

TYLKO MILCZENIE MOŻE CIĘ OCALIĆ

GRAHAM MASTERTON

ŚWIST UMARŁYCH

Thriller
z Katie
Maguire

ALBATROS

DZIEWIĄTA KSIĄŻKA Z KATIE MAGUIRE

**To zabójstwo jest wyraźnym ostrzeżeniem dla tych, którzy
lubią puszczać parę z ust: TYLKO MILCZENIE MOŻE CIĘ
OCALIĆ.**

Sierżant Kieran O'Regan tropił najgroźniejszych przestępców. Teraz nie żyje.

Na cmentarzu znaleziono jego pozbawione głowy ciało z wetkniętym w gardło fletem...

To makabryczne zabójstwo jest wyraźnym ostrzeżeniem dla potencjalnych informatorów: tylko milczenie może cię ocalić. O'Regan miał bowiem dostarczyć kluczowe dowody w śledztwie dotyczącym korupcji w policji. Dochodzenie było powiązane z aresztowaniem miejscowego dealera narkotyków, który – choć nie brakowało dowodów jego winy – uniknął kary. Gangstera wsadziła za kratki nadkomisarz Katie Maguire, która za wszelką cenę chce doprowadzić tę sprawę do końca.

Ale kiedy kolejny policjant zostanie zamordowany w ten sam sposób, Katie zrozumie, że ludzie wolą milczeć niż stracić głowę...

GRAHAM
MASTERTON
ŚWIST UMARŁYCH

Z angielskiego przełożyła
ANNA ESDEN-TEMPSKA

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem **Manitou** (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawiane **Magia seksu** i **Potęga seksu**. W ostatnim czasie Graham Masterton skupił się na kontynuacji cyklu kryminałów z Katie Maguire, do którego należy dziewięć powieści: **Białe kości**, **Upadłe anioły**, **Czerwone światło hańby**, **Uznani za zmarłych**, **Siostry krwi**, **Pogrzebani**, **Martwi za życia**, **Tańczące martwe dziewczynki** i **Świst umarłych**.

grahammasterton.co.uk grahammasterton.blox.pl

Tego autora

Sagi historyczne

WŁADCY PRZESTWORZY
IMPERIUM
DYNASTIA

Rook

ROOK
KŁY I PAZURY
STRACH
DEMON ZIMNA
SYRENA
CIEMNIA
ZŁODZIEJ DUSZ
OGRÓD ZŁA

Manitou

MANITOU
ZEMSTA MANITOU
DUCH ZAGŁADY
KREW MANITOU
ARMAGEDON

INFEKCJA

Wojownicy Nocy

ŚMIERTELNE SNY
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY
DZIEWIĄTY KOSZMAR

Katie Maguire

BIAŁE KOŚCI
(książka wcześniej ukazała się pt. KATIE MAGUIRE)
UPADŁE ANIOŁY
CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY
UZNANI ZA ZMARŁYCH
SIOSTRY KRWI
POGRZEBANI
MARTWI ZA ŻYCIA
TAŃCZĄCE MARTWE DZIEWCZYNKI
ŚWIST UMARŁYCH

Inne tytuły

STUDNIE PIEKIEŁ
ANIOŁ JESSIKI
STRAŻNICY PIEKŁA
DEMONY NORMANDII
ŚWIĘTY TERROR
SZARY DIABEŁ

ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ
ZJAWA
BEZSENNI
CZARNY ANIOŁ
STRACH MA WIELE TWARZY
SFINKS
WYZNAWCY PŁOMIENIA
WENDIGO
OKRUCHY STRACHU
CIAŁO I KREW
DRAPIEŻCY
WALHALLA
PIĄTA CZAROWNICA
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW
BŁYSKAWICA
DUCH OGNIA
ZAKŁĘCI
ŚPIĄCZKA
SUSZA
SZKARŁATNA WDOWA

Tytuł oryginału:
DEAD MEN WHISTLING

Copyright © Graham Masterton 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: Silas Manhood Photography

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-926-2

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Przypisy

Podczas czytania tej książki możecie posłuchać melodii granej na flecie irlandzkim low-D.

Zajrzyjcie na:

www.youtube.com/watch?v=hn4Qwr-xA4w

Níl a fhios ag aon duine cá bhfuil fód a bháis.

Nikt nie wie, gdzie dopadnie go śmierć.

Irlandzkie porzekadło

Rozdział 1

O'Reganowie właśnie jedli śniadanie, kiedy rozległo się niecierpliwe dzwonięcie do drzwi.

– Ktoś do nas, tato! – powiedziała trzyletnia Grainne z buzią umazaną owsianką.

Kieran popatrzył na żonę, która stała przy kuchence, smażąc placki ziemniaczane. Zrobiła okrągłe oczy i odłożyła szpatułkę, bo dzwonek powtarzał się coraz bardziej natarczywie.

– Mam otworzyć? – spytał pięcioletni Riordan, zsuwając się z krzesła.

Dzwonienie nie ustawało, a po chwili zaczęło się też walenie pięścią w drzwi. Kieran położył dłoń na ramieniu syna i przytrzymał go.

– Nie, nie, ja pójdę. Ktokolwiek to jest, musi być czymś strasznie wkurzony.

– Kieran... – odezwała się Moira, zestawiając patelnię z ognia.

Była ósma rano. W kuchni panował półmrok. Po okiennej szybie spływały wielkie krople deszczu.

– Nie martw się, to pewnie tylko stary Roddy. Znów będzie marudził, że dzieciaki bawiły się na ulicy i powgniały mu karoserię. Myśli, że jak jestem gliniarzem, to powinienem czuwać nad wszystkimi w sąsiedztwie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Kieran – powtórzyła Moira, tym razem głośniej, by przekrzyczeć dzwonek i łomotanie.

Mała Grainne, nie wypuszczając z dłoni łyżki ze skapującą owsianką, zakryła sobie uszy.

– Bez obaw, kochanie – uspokoił żonę Kieran, co miało jej przypomnieć, że trzyma pistolet w kieszeni grubej kurtki wiszącej przy wejściu.

Zaledwie jednak wyszedł na korytarz, rozległy się potężny stukot i trzask, a kopnięte drzwi frontowe stanęły otworem. Do środka wpadli trzech przemoczeni od deszczu mężczyźni. Mieli na sobie zakrywające twarze kominiarki, skórzane kurtki i dżinsy. Ten z przodu trzymał obrzyn.

Kieran zrobił dwa chwiejne kroki, cofając się do kuchni. Próbował zatrzaskać drzwi, ale pierwszy napastnik kopnął je mocno buciorem i uniósł broń; lufa znalazła się ledwie trzydzieści centymetrów od twarzy Kierana.

– Cokolwiek kombinujesz, szefie, daj sobie spokój – wycedził bandyta niskim, ochrypłym głosem. – Chyba że chcesz, żeby twoje smarki żarły mózg tatusia na śniadanie.

Grainne upuściła łyżkę i zaczęła przenikliwie piszczeć, a jej brat rozpłakał się i nerwowo szarpał przód swojego swetra. Pobladła Moira zrobiła krok naprzód.

– Wynoście się z naszego domu! Wynocha! – krzyknęła.

– Każ się małej przymknąć albo sam ją uciszę – odparował facet.

– Nie waż się tknąć moich dzieci – powiedział Kieran. – Nie wiem, czego chcecie, ale ładujecie się w gorsze gówno, niż wam się śniło. Wynocha stąd.

– O, przecież nie wyjdziemy bez tego, po co przyszliśmy. – Napastnik nadal celował z obrzyna w twarz Kierana. – I niech ta gówniara przestanie się tak drzeć, do cholery, dobrze?

Grainne wrzeszczała dalej. Była czerwona na buzi jak piwonia. Łzy spływały jej po policzkach. Moira rzuciła się, żeby wziąć córkę na ręce, ale mężczyzna był szybszy. Ominął Kierana, przełożył broń do lewej ręki i trzepnął małą tak mocno w bok głowy, że dziewczynka spadła z krzeselka na podłogę. Zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze.

Kieran złapał napastnika za rękę i próbował wyrwać mu obrzyn, lecz tamten nie puścił broni i z ogłuszającym hukiem wypalił w sufit. Posypał się na nich tynk, a kiedy opadł niczym płatki śniegu, w powietrzu przez chwilę snuł się szary obłoczek gryzącego w płucach dymu. Kieran zamachnął się na mężczyznę, ale

jego pięść ześlizgnęła się tylko tamtemu po ramieniu. Zanim zdołał uderzyć znowu, dopadli go dwaj pozostali i chwycili za ręce. Kieran, choć niski, był barczysty i krzepki, jednak przeciwnicy byli o wiele potężniejsi i silniejsi. W ich oddechach czuł kwaśny odór papierosów i alkoholu.

– Dobra, dość już tej cholерnej szarpaniny – powiedział ten z bronią. – Idziesz z nami. Przejedziemy się trochę za miasto, żeby można było spokojnie pogadać.

Kieran próbował wyrwać się jego towarzyszom, wierzgał jak koń, lecz trzymali za mocno; o mało nie wywichnęli mu prawego barku. Ciężko dysząc, skrzywiony z bólu, popatrzył w piwne oczy mężczyzny z obrzynem.

– Poznaję cię. Jestem pewien, że cię znam. Gdybyś miał dość jaj, żeby ściągnąć to z gęby, przypomniałbym sobie twoje nazwisko. Jestem tego pewien.

Facet wyszczerzył zęby.

– Możliwe, szefie. Ale nie chodzi o mnie, co nie? Tylko o ciebie i ten cholerny bałagan, którego narobiłeś. Czemu więc nie pójdiesz z nami grzecznie? Rozumiesz, co mam na myśli, no nie? Musimy wyjaśnić sobie kilka spraw.

– Dokąd go zabieracie? – zaoponowała dzielnie Moira, choć głos jej drżał.

Trzymała teraz córkę na rękach i kołysała ją lekko, żeby ją uspokoić. Riordan z buzią w podkówkę stał obok, uczepony fartucha matki.

– Nie zrobicie mu nic złego, co?

– Nie marudź, dziewczyno – odparł ten z obrzynem. – Chcemy zabrać twojego staruszka tam, gdzie martwa cisza i da się pogadać o tym i owym spokojnie, bez tych wrzasków. Powiem ci tylko, że nie byłoby dobrze dzwonić na policję czy coś w tym rodzaju. Będziemy wiedzieli, jeśli to zrobisz, a konsekwencje dla twojego staruszka... no, mogłyby być tragiczne.

– Proszę, nie róbcie mu nic złego. – Oczy Moiry były pełne łez. – To dobry człowiek. Najlepszy. Nie chcielibyście chyba, żeby te biedne maluszki dorastały bez ojca, prawda?

– W porządku, Moira – odezwał się Kieran. – Ci faceci wyraźnie mają o coś żal, ale na pewno dojdziemy do porozumienia. Zostań tu i staraj się nie denerwować, dobrze? Wrócę, kiedy tylko wszystko sobie wyjaśnimy. Rób, co on

każe. Nie zgłaszaj tego. W ogóle do nikogo nie dzwoń. Kocham cię. I ciebie też, Riordan. I ciebie Grainne, skarbie.

– Dość już tych sentymentalnych bredni – przerwał mu ten z bronią. – Bo chyba zaraz się porzygam. Idziemy.

Kieran nie stawiał oporu, kiedy wyprowadzali go przez wyłamane drzwi na deszcz. Z tego miejsca na St Christopher's Road, w północnej części Cork, widział czarne burzowe chmury nadciągające szybko od wzgórz po drugiej stronie rzeki Lee. Pomyślał, że przypominają horde nadlatujących czarownic w poszarpanych płaszczach targanych przez wiatr.

Kiedy prowadzili go do srebrnego mercedesa sedana, ugięły się pod nim nogi. Gdyby nie podtrzymywali go pod ramiona, pewnie by upadł. Choć starał się dodać otuchy żonie, jeszcze nigdy w życiu nie był tak przerażony jak teraz. Nawet kiedy postrzelono go podczas napadu na bank, a tuż obok niego zginął drugi funkcjonariusz. Musiał ścisnąć mięśnie, żeby panować nad pęcherzem. Czuł, że zaraz może zmoczyć dzinsy.

Mężczyźni otworzyli tylne drzwi auta i wepchnęli go do środka. Kierowca czekał, paląc papierosa. Jego twarz była zakryta czarną kominiarką. Facet z bronią siadł z przodu, dwaj pozostali z tyłu, po bokach Kierana.

Kierowca sięgnął do skrytki i wyjął z niej kajdanki, jakich używano w Garda Síochána. Podał je typowi z obrzynem, a on przekazał mężczyźnie siedzącemu po prawej ręce Kierana.

– To dla zdrowia i bezpieczeństwa – rzucił. – Naszego, nie twojego, ma się rozumieć.

Jego kumpel zatrzaskał Kieranowi kajdanki na nadgarstkach i pociągnął nosem.

– Dobra, to dokąd jedziemy? – spytał Kieran, siląc się na dziarski ton, gdy mercedes ruszył od krawężnika i skręcili w prawo w Murmont Lawn, w kierunku Ballyvolane.

– Jak ci mówiłem, szefie, tam gdzie martwa cisza – burknął mężczyzna z bronią.

Teraz obrzyn leżał na jego kolanach i Kieran miał ponure przeczucie, że ten człowiek wyszedł dziś rano z domu zdecydowany go użyć.

– O co w tym wszystkim chodzi? – naciskał.

Jechali na północ Ballyhooly Road, deszcz siekł jeszcze mocniej. Chodzące z maksymalną szybkością wycieraczki ledwie nadążały.

Domyślał się, czemu go porwali i kim są, ale nie miał zamiaru im tego mówić. Niech sami powiedzą i przyznają, o co im chodzi.

Facet siedzący z lewej głośno kichnął i otarł nos wierzchem dłoni. Ten z przodu się nie obejrzał, ale powiedział:

– Na litość boską, Hoggy! Chcesz nas wszystkich wpędzić do grobu czy co?

Kierowca i ten, co siedział z tyłu po prawej, zarechotali i pokręcili głowami. Kieran zamknął oczy i pomyślał: Muszę się tylko skoncentrować. Może to wszystko nie dzieje się naprawdę, wcale nie jestem w tym aucie, ale w domu i jem placki z Moirą, Riordanem i Grainne. Kiedy jednak uniósł powieki, mijali właśnie centrum handlowe Dunnes na Ballyvolane, wycieraczki nadal chodziły jak szalone, a on tkwił uwięziony w mercedesie w obstawie tych czterech cuchnących obwiesi. Poza nimi pewnie jeden Bóg wie, dokąd go wiozą i co zamierzają z nim zrobić, kiedy tam dotrą.

– Oglądałeś wczoraj wieczorem mecz kwalifikacyjny? – spytał ten z prawej. – Coen dał dupy. Gdyby nie tamten pieprzony wolny, Connolly nigdy by nie wyrównał.

– O, to tylko głupia wpadka – odezwał się ten z bronią. – Dziś w rozgrywkach krajowych liczy się psychika. Jeszcze zobaczycie. Coen będzie gwiazdą, jak się rozpędzi.

Porywają mnie, pomyślał Kieran. Porywają mnie, a gadają o piłce. Z jakiegoś powodu przepełniło go to jeszcze większym przerażeniem. Bardziej obchodził ich oglądany wczoraj w telewizji mecz niż jego życie.

Przejechali Upper Dublin Hill, a przy Kilcool skręcili w lewo w wąską dróżkę pomiędzy żywopłotami. Minęli kilka ładnych willi i dotarli do pustego parkingu przy długim szarym murze. Kieran dostrzegł za nim krzyże i rzeźby aniołów.

Wiedział już, gdzie go przywieźli. Facet z bronią idealnie opisał to miejsce. Panowała tu „martwa cisza”. To był cmentarz Świętej Katarzyny w Kilcully.

Kierowca zaparkował tyłem obok bramy i wysiedli. Choć nadal wiał zimny wiatr, deszcz nagle zelżał. Pomiedzy chmurami ukazywały się prześwity nieba.

– No to chodźmy złożyć uszanowanie – powiedział ten z bronią.

Nikogo nie było widać, więc nie ukrywał obrzyna. Oparł go sobie nonszalancko o ramię. Hoggy, ten kichający, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego sporą szarą torbę. Była mniej więcej wielkości bagażu podręcznego do samolotu, ale zanim Kieran mógł się jej przyjrzeć dokładniej, ten drugi chwycił go za ramię i popchnął do niewielkiej bocznej furtki cmentarza z czarnych złoconych sztachet.

Była zamknięta, ale ten z bronią trzy razy mocno ją kopnął i zasuwa puściła. Ruszył przodem i poprowadził ich asfaltową aleją pomiędzy płytami nagrobnymi i rzeźbami. Nikt nic nie mówił. Poza szelestem poruszanych wiatrem liści drzew na cmentarzu panowała cisza. Krzaki i klomby były zadbane. W oddali Kieran widział zielone wzgórza Ballynahiny. Ten panujący dokoła spokój tylko pogłębiał jego strach i Kieran znów się zachwiał.

– Nie najadłeś się jak trzeba na śniadanie czy co, szefie? – spytał ten z bronią.

Doszli do miejsca przy końcu cmentarza. Osłoniętej cisami przestrzeni strzegły stojące w rogach posągi aniołów – trzy miały głowy opuszczone, czwarty spoglądał w niebo na pędzące chmury. Pomiedzy dwoma była metalowa ławeczka.

– To tu – odezwał się facet z bronią. – Usiądźmy i pogadajmy, dobrze?

– Nie mam wam nic do powiedzenia – zaoponował Kieran. – Myślę, że wiem, kim jesteście, a jeśli to prawda, nie zamierzam nic mówić.

– Siadaj, do cholery!

– Ile razy mam powtarzać? Nie mam nic do powiedzenia.

Facet z bronią dał znak kumplowi, który przytrzymał Kierana, i ten popchnął go na ławkę, zmuszając, by usiadł. Była nadal mokra po deszczu, co Kieran poczuł przez dzinsy.

– Wiesz, kto tu jest pochowany? – spytał mężczyzna z obrzynek. – W tym grobie z aniołem patrzącym w niebo?

Kieran uparcie milczał.

– Billy Ó Canainn – rzucił mężczyzna. – A sam wiesz najlepiej, kto odpowiada za jego przedwczesną śmierć, prawda?

– Co mam ci powiedzieć? – mruknął Kieran. – Nie będę udawał, że go nie znałem, ale nie miałem nic wspólnego z tym, że zginął. Sam był sobie winien.

– Tak sądzisz? Ale to ty na niego doniosłeś, co nie? A wystarczyło udawać, że go nie widziałeś. Gdyby nie ty, łebku, nasz Billy nadal by chodził, gadał i pił w Gerald Griffin.

– Może by chodził i gadał, ale raczej by nie pił. Tłukłby się po celi na Rathmore Road, gdzie zresztą było jego miejsce.

Hoggy stał tuż za nim. Kieran zorientował się, że tamten kładzie torbę na ziemi i rozpina ją. Obejrzał się lekko, ale nadal nie mógł dostrzec, co jest w środku.

– Żyj i daj żyć innym, słyszałeś takie powiedzenie, prawda? – odezwał się ten z bronią. – Dlaczego nie trzymałeś się tego w przypadku Billy’ego? Kto dał ci pieprzone prawo, by go osądzać i wydawać na niego wyrok śmierci? Miał żonę i piątkę dzieciaków, którymi powinien się opiekować. A teraz leży tu, pod aniołem, i nikomu już nie pomoże. A wszystko przez ciebie.

– Nic nie powiem – oświadczył Kieran. – Osobiście nie miałem nic przeciwko Billy’emu Ó Canainnowi. Robiłem tylko to, co do mnie należy. To moja praca.

– Lepiej już było zostać muzykiem, a nie pieprzonym gliną – warknął ten ze spluwą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął błyszczący niklowany flet irlandzki, długi na niemal sześćdziesiąt centymetrów. Pokazał go Kieranowi.

– Proszę, to twoja specjalność, prawda? Dmuchanie w gwizdek, podnoszenie alarmu – powiedział. – Może teraz nam coś zaświstasz? *Płynące żagle* albo jakiś fajny taneczny kawałek, jak *Kropelka brandy*?

Kieran popatrzył na flet, a potem w oczy mężczyzny. Milczał. Nie tylko nie wiedział, co powiedzieć, ale też wargi miał jak z drewna. Nawet gdyby umiał grać, nie byłby w stanie. Zdawał sobie sprawę, że to wszystko prowadzi do czegoś potwornego. Ledwie mógł oddychać.

– Nie chcesz więc nam zagrać, co? – spytał gość z bronią. – To niezbyt ładnie z twojej strony, prawda? Czymś cię uraziłem? Z tego, co słyszałem, dmuchałeś w gwizdek ile sił w płucach, zwłaszcza do ucha szefa wydziału wewnętrznego O'Malleya.

Teraz już Kieran był niemal pewien, kim jest ten mężczyzna. Musiał być gliną, inaczej nie znałby nazwiska kierującego regionalnym biurem ujawniania nieprawidłowości. Mimo to Kieran nie miał odwagi zwrócić się do niego po imieniu. Bał się, że wtedy tamten natychmiast użyje broni, by uciszyć go raz na zawsze.

– Hm... jeśli nie chcesz nam poświstać po dobroci, zobaczymy, czy uda się nam wydobyć to z ciebie jakoś inaczej – powiedział tamten. – Patrick, może przytrzymałbyś naszego przyjaciela, a Hoggy obsłuży go jak należy?

Patrick usiadł na ławce po prawej stronie Kierana. Objął go lewą ręką za ramiona i przyciągnął mocno do siebie. Kieran obejrzał się na niego, ale był tak blisko, że nie mógł ogarnąć go wzrokiem; widział tylko te jego przekrwione oczy zza kominiarki i krzywy uśmiezek, w którym brakowało czterech przednich zębów.

– W porządku? – zapytał go Patrick i mrugnął.

Miał tak cuchnący oddech, że Kieran musiał obrócić głowę.

I wtedy usłyszał, jak tuż za nim Hoggy uruchamia piłę łańcuchową. Za pierwszym razem się nie udało, pociągał cztery, może pięć razy. Kiedy wreszcie zaskoczyła, ryknęła jak silnik motocykla podkręcany niecierpliwie przy czerwonym świetle.

Kieran szarpnął się w bok, próbując wstać, ale Patrick ścisnął go jeszcze mocniej i złapał za krótkie kręcone włosy.

– Puszczaj, bydlaku! – wrzasnął Kieran, przekrzykując warkot pilarki. Starał się uwolnić głowę, ale Patrick kurczowo trzymał go za włosy, wpijając paznokcie w jego skórę.

Facet z obrzynem podszedł i zrobił znak krzyża, jakby udzielał mu błogosławieństwa.

– Zastrzel mnie! – krzyknął Kieran. – Jeśli macie mnie zabić, to zastrzel mnie, do cholery!

– Zrobiłbym to, ale ta broń nie jest nawet nabita. – Mężczyzna pomachał uniesioną lufą. – A poza tym nie mam zamiaru się nad tobą litować.

Cofnął się i unosząc kciuk, dał znak Hoggy’emu.

Kieran znów zaczął krzyczeć, ale tym razem był to tylko nieartykułowany przeraźliwy wrzask, który nie ustawał, dopóki zęby piły nie wżarły się w tył jego szyi, rozrywając kołnierz dżinsowej koszuli na strzępy. Rozbryzgi krwi i tkanki poleciały na oparcie ławki. Potem ostrza trafiły na kręgi i przez ułamek sekundy słysząc było coś jakby chrupnięcie.

Gdy piła przecięła krtań, Patrick podniósł głowę Kierana. Z szyi tryskała krew, lejąc się na ramiona i przód koszuli.

– Cholera, ale zapaskudziłem sobie kurtkę! – prychnął. – Wygląda tak, jakbym cały dzień pracował w rzeźni!

– Nie zatrudniliby cię tam, chłopie – stwierdził ten z bronią. – Chcą mieć facetów, którzy potrafią zabijać krowy i owce, nie takich padalców.

Patrick trzymał kapiącą krwią głowę Kierana. Patrzyła prosto na mężczyznę z obrzynem. Oczy Kierana były otwarte, podobnie jak usta, ale w twarzy malowało się bardziej zdumienie niż ból. Patrick obrócił trofeum, by mu się przyjrzeć.

– Robi wrażenie zaskoczonego, nie? Ale ogólnie nie zniósł tego najgorzej, nie sądzicie?

Tymczasem Hoggy wyłączył piłę i zaczął ją pakować z powrotem do torby.

– Poszło o wiele łatwiej, niż myślałem – skwitował, znów wycierając nos wierzchem dłoni. – Nie rozumiem, czemu ci z Isis nie używali pił zamiast noży.

Są o wiele bardziej skuteczne, co nie?

– Tak, pewnie, problem w tym, że ten nasz gość prawie nic nie czuł. Myślę, że powinien odcierpieć za to, co zrobił. Ale przynajmniej bliscy nie będą mogli pochować go w jednym kawałku, więc pocierpią za niego. Nie zapomniałeś torby na głowę?

Hoggy wyciągnął z kieszeni kurtki plastikową reklamówkę Tesco. Patrick wrzucił do niej głowę Kierana i zakręcił torbą, by zawiązać górę, tak jakby pakował ziemniaki w warzywniaku.

– Dobra, zmywamy się, zanim nadciągną tu jakieś rodziniki odwiedzające groby – powiedział ten z obrzynem. – Hoggy, kajdanki. Nie chcemy przecież zostawiać śladów, prawda?

Hoggy odpiął kajdanki i wsunął je do kieszeni. Ten z bronią odłożył obrzyn na ławkę obok pozbawionego głowy ciała Kierana, po czym starannie upchał flet do tchawicy zabitego, tak że wystawało z niej zaledwie z siedemnaście centymetrów.

– Masz, szefie – powiedział. – Teraz możesz sobie siedzieć, świstać, ile dusza zapagnie, i nikt nie będzie się o to wściekał.

Rozdział 2

– To się pani spodoba – powiedział detektyw Markey, otwierając przed Katie drzwi jej samochodu.

– Naprawdę sądzisz, że powinnam zobaczyć to osobiście? – spytała, zapinając suwak ciemnozielonej parki, po czym podniosła czarny kołnierz ze sztucznego futra.

Dopiero co wyszła z ciężkiego przeziębienia i gdyby Markey tak bardzo nie nalegał, wolałaby zostać w biurze, gdzie było ciepło.

– No, to dość niezwykły przypadek, cała ta scena, a on to w końcu celebryta, myślę więc, że media będą bombardować panią pytaniami. Jakie mogły być motywy i tak dalej.

Na stromym podejździe domu w Woodhill Park w Tivoli stały trzy radiowozy i dwie furgonetki z wydziału technicznego, a także karetka. Dolna część drogi została zamknięta od strony Lover's Walk.

Dom, z oknami w stylu art déco, pomalowany na biało i kryty szarą dachówką, był ogromny. Otoczony klombami i krzewami na działce o powierzchni co najmniej dwóch tysięcy metrów kwadratowych, miał z boku szerokie patio z widokiem na płynącą w dole rzekę Lee. Przed garażem na dwa samochody stał czerwony bentley continental GT, usiany kroplami deszczu.

– Wie pani, ile takie kosztują? – spytał detektyw Markey, gdy obchodzili bentleya w drodze do frontowego wejścia. – Ćwierć miliona, lekko.

– O, tylko tyle, Nick? – rzuciła Katie. – W takim razie zamówię sobie dwa.

Przed szerokimi dębowymi drzwiami stała detektyw sierżant Kyna Ni Nuallán. Rozmawiała z detektywem Patrickiem O'Donovanem. Jej krótkie blond

włosy zakrywała robiona na drutach zielona czapka. Miała na sobie workowatą fioletową pelerynę i botki do kolan. W tym stroju jeszcze bardziej przypominała *aos sí*, baśniowego elfa. O'Donovan był nieogolony i potargany, jakby zjawił się tu wyrwany prosto z pościeli.

Gdy Katie się zbliżyła, Kyna obejrzała się na nią i wzrokiem powiedziała jej wszystko to, czego nie chciała mówić na głos. Nie widziały się od dwóch tygodni, bo Kyna była w komendzie głównej w Dublinie na szkoleniu Evo-FIT. *Jak się masz? Brakowało mi ciebie.*

W odpowiedzi Katie zamknęła na moment oczy, by dać jej znać, że rozumie, co Kyna chce przekazać.

– I co tu mamy? – spytała. – Myślałabym, że Jimmy Ó Faoláin to ostatni człowiek, którego ktoś mógłby chcieć wysłać na zielone łąki Pana.

– Racja, pani inspektor – powiedziała Kyna. – Dziany, urządził non stop przyjęcia i był najlepszym przyjacielem wszystkich. Żywa legenda.

– Może ma to jakiś związek ze stowarzyszeniem sportowym GAA – zasugerował detektyw O'Donovan. – Był prezesem Rachmasach Rovers, prawda? Poza tym przewodniczył pewnie tysiącom innych organizacji, fundacji charytatywnych i Bóg wie jeszcze czemu.

– I co z tego? – rzuciła Katie.

– Nie słyszałaś? Ostatnio mówiono, że Roversi odpuszczają mecze, bo to są ustawki.

– Po co mieliby coś takiego robić? Sądziłam, że w tym roku chcą znaleźć się w czołówce ligi.

– Nie mam zielonego pojęcia. Hurling to dla mnie czarna magia.

W tej chwili z domu wyszedł Bill Phinner, szef zespołu techników, ściągając z głowy kaptur białego kombinezonu ochronnego. Wyglądał jeszcze żałośniej niż zwykle. Katie wiedziała, że właśnie rzucił palenie, nawet papierosów elektronicznych, co niespecjalnie mu służyło przy jego skłonnościach do pesymizmu. Bill Phinner wierzył, że w sprzyjających okolicznościach prawie każdy w Cork byłby zdolny popełnić jakąś zbrodnię, a kiedy tak się działo, to

jego ponurym obowiązkiem było znalezienie dowodów winy, by postawić sprawcę przed sądem.

– Jak ci leci, Bill? – zagadnęła go Katie.

– Możesz już wejść i sama rzucić okiem – odparł. – Jak na razie udało się nam znaleźć tylko jeden pocisk, który poszedł rykoszetem. Poza tym nie mamy żadnego dowodu rzeczowego, czegokolwiek, choć, oczywiście, dostaniemy resztę pocisków do przebadania, kiedy patolog je dla nas wyłuska. Brak śladów włamania. Żadnych śladów butów na podłodze, choć rano było bardzo mokro. Sprawdzamy, ale nie mam wielkich nadziei. Nie było też łusek. Ten, kto strzelał, musiał je pozbierać.

– Jakież ślady walki?

Bill pokręcił głową.

– Zobaczysz czemu, jak wejdiesz.

– Mamy iPhone'a Jimmy'ego – wtrąciła Kyna. – Otwiera się, rozpoznając twarz, więc nie będzie kłopotu ze sprawdzeniem go. Zabierzemy też komputery, księgi rachunkowe i wyślemy do przejrzania naszym ekspertom.

– To zajmie nieco czasu – dorzucił O'Donovan. – Ten gość miał chyba dwa razy więcej książek niż biblioteka Watykanu. Tylko że te jego dotyczą wyłącznie spraw finansowych, nie pism świętych.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła Katie. – Niewiele wiem o Jimmym Ó Faoláinie, ale najwyraźniej dla niego zawsze liczyła się przede wszystkim kasa, Bóg był na drugim miejscu.

– Spotkałam go raz na kolacji charytatywnej w Dublinie – powiedziała Kyna. – Prawdziwy złotousty, mówię wam. Gdyby nie był finansistą, mógłby zrobić karierę jako hipnotyzer. Sama prawie się w nim zakochałam.

Katie uniosła lekko brwi, ale nie odezwała się. Tylko ona wiedziała, jak wątpliwe było, żeby Kynie wpadł w oko jakiś mężczyzna.

– Kto zgłosił, że on nie żyje? – spytała po chwili.

– Jego najnowsza dziewczyna – odparł O'Donovan. – Stewardesa Ryanaira, Viona Caffrey. Jimmy dał jej klucze, bo ona wraca o różnych porach, a on często

bywa poza domem, jest na jakichś konferencjach i tak dalej. Przyjechała tu prosto z lotniska mniej więcej o dziesiątej czterdzieści pięć i wtedy go znalazła.

– Gdzie jest teraz?

– Jeszcze tutaj. W gabinecie z funkcjonariuszką Malone. Powiedziała, że zostanie tu, póki go nie zabiorą.

– Pogadam z nią za chwilę – zdecydowała Katie. – Na razie skupmy się na naszym nieszczęsnym przyjacielu.

Wyjęła z kieszeni kurtki ochraniacze na buty i założyła je. Wciągnęła też czarne laboratoryjne rękawiczki – na wszelki wypadek, gdyby musiała czegoś dotknąć. Potem weszła za Billem Phinnerem do środka.

Wnętrze było urządzone luksusowo. Posadzkę w holu wyłożono beżowymi i białymi płytami z marmuru, po lewej stronie były łukowate paradne schody, poręcz na dole wieńczył mosiężny posąg nimfy o nagich piersiach. Z sufitu zwisał ogromny żyrandol – kołyszące się w przeciągu od drzwi kryształki dzwoniły lekko. Ściany były ozdobione obrazami olejnymi Waltera Osborne’a i Jamesa Jebusy Shannona. Oryginałami albo przynajmniej ich bardzo wiernymi kopiami.

– Niech pani popatrzy. – Detektyw Markey wskazał kciukiem portret kobiety podającej kotu miseczkę mleka. – To może być warte co najmniej z osiemdziesiąt pięć tysięcy.

– Powinieneś specjalizować się w aukcjach, Nicky – wtrącił O’Donovan.

– Mój kumpel zajmował się konserwacją obrazów w Crawford Gallery – powiedział Markey. – Opowiadał mi, że niektóre obrazy wyglądały tak, jakby malarz upačkał je flakami i kaszanką, ale nie szkodzi. Nigdy nie mieli problemu, by znaleźć jakiegoś snobistycznego fiuta, który był gotów zapłacić za to tysiące.

Przeszli do salonu. Dwoje szerokich oszklonych drzwi wychodziło na patio. Parkiet lśnił. Kanapy i fotele naśladowały styl rokoko, na bocznych stolikach stały antyki: lampy, porcelanowe figurki i złożone wazony. Po przeciwnej stronie pokoju dominował duży marmurowy kominek, a nad nim wisiał ogromny pejzaż

przedstawiający wybrzeże przy Old Head w Kinsale – morze ze statkami rybackimi i chmury na niebie.

Katie zauważyła, że w kominku jest sporo popiołu po spalonym drewnie.

– Nie przygotowano paleniska. Nie mówcie mi, że ten facet nie ma tu kogoś do pomocy w domu.

– Ależ oczywiście, że ma – powiedziała Kyna. – Codziennie przychodzi tu jedna Polka, by rozpaść w kominku, zmienić pościel, pomyć okna i tak dalej. Poza tym jakaś kobieta z okolicy gotuje mu w razie potrzeby. Jest i ogrodnik, pełniący też funkcję człowieka do wszystkiego.

– A gdzie byli dziś rano?

– Polka miała wolne, bo musiała iść do dentysty, a ogrodnik przychodzi tylko dwa razy w tygodniu.

– Możliwe więc, że ten, kto go zastrzelił, wiedział, że nikogo poza gospodarzem nie będzie.

– Powiedziałbym, że nasuwa się taki wniosek – odparł O'Donovan.

– Widzicie ten chiński wazon w czerwone wzory? – odezwał się Markey. – Można za niego dostać parę tysięcy, lekko.

Bill Phinner poprowadził ich do korytarza po drugiej stronie salonu. Wchodziło się z niego do kuchni. W połowie drogi były otwarte drzwi, przy których krzątało się czterech techników w białych kombinezonach. Wyglądali jak stadko bałwanów. Sprawdzali podłogę zielonym światłem lasera, robili zdjęcia z fleszem i posypywali pudrem lakier, by odkryć odciski palców.

– Hej, chłopaki, dajcie nam chwilę, dobrze? – poprosił Bill Phinner i kiedy technicy wycofali się dalej do korytarza, podszedł i zamknął drzwi. Kilka centymetrów nad środkową belką było pięć znajdujących się blisko siebie otworów po pociskach, a nieco wyżej jeszcze dwa. Do drzwi przyczepiono plakietkę z drewnianym serduszkiem, na którym był wyryty napis WYGÓDKA.

– Dopadli go na tronie – powiedział detektyw O'Donovan.

– Pewnie nawet nie wiedział, kto go zabił – dodała Kyna. – Chyba że zanim strzelili, krzyknęli, by upewnić się, że tam jest.

– No dobra, popatrzmy – rzuciła Katie.

Wyciągnęła poperfumowaną wodą Chanel chusteczkę, którą zawsze nosiła w kieszeni, i przyłożyła do twarzy. Nie chciała poczuć tego zapachu, a w dodatku zaczęło jej ciec z nosa.

Bill Phinner otworzył szeroko drzwi. Jimmy Ó Faoláin nadal siedział na sedesie, choć oparty bokiem o ścianę. Ciemnowłosa mężczyzna o włoskiej urodzie z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i silną, ale wąską brodą. Oczy były otwarte, ale już pociemniały, podbiegły krwią. Miał na sobie jedwabną bordową górę od pizamy, z wzorkiem w lilie, i spodnie spuszczone do kostek.

Jeden pocisk trafił go pięć centymetrów nad lewym okiem, borując małą, porządną dziurkę w czole; musiał jednak rozerwać się wewnątrz czaszki, bo włosy w tyle głowy sterczały niczym dzika korona. Kawałki krwistej tkanki mózgu rozprysły się po białych kafelkach na ścianie za nim i poprzylepiały do bladoniebieskiej fugi. Kiedy Katie przypatrywała się im, jeden spory odpadł i pacnął na posadzkę.

Phinner wskazał na trójkątny odprysk na jednej z płytek.

– Tu trafił któryś z tych wyższych strzałów – powiedział. – Pocisk odbił się rykoszetem i jak mówiłem, znaleźliśmy go, więc dość szybko możemy ustalić kaliber. Jeśli anioły uśmiechną się do nas, pewnie poznamy też typ broni, a może nawet jej pochodzenie. A jeśli uśmiechnie się sam Pan Bóg, to możliwe, że już kiedyś jej użyto i mamy ją w swojej bazie.

Delikatnie, jakby odchyłał kotarę w teatryku kukielkowym, uniósł połę pizamy ofiary. Katie zobaczyła, że pięć pozostałych pocisków trafiło dokładnie w okolicę serca. Strużki krwi zaschły na fałdach brzucha i ciemnych kręconych włosach łonowych.

– Nieźle opalony ten wasz gościu, co? – odezwał się detektyw Markey. – Z tego, co słyszałem, lubił sobie często wyskoczyć na Karaiby. A ja nie mogę sobie nawet pozwolić na dłuższy weekend w Santa Ponsa.

– O, daj spokój! – ofuknął go O'Donovan. – Wolę już być biedny jak mysz kościelna, niż dziany leżeć w grobie. Jak sądzisz, czemu na cmentarzach nie ma

sklepów?

Katie przerwała im te dywagacje, zwracając się do Phinnera:

– Przepuszczalny czas śmierci, Bill?

– Sądząc po oczach i temperaturze ciała, powiedziałbym, że koło dziewiątej trzydzieści dziś rano.

– Przejdziemy od domu do domu – odezwała się Kyna. – Choć w okolicy jest ich niewiele, a po żadnej stronie Lover's Walk nie ma kamer.

– Dobra – zgodziła się Katie. – Pogadam z dziewczyną Jimmy'ego. Zobaczymy, czy zna kogoś, komu mogłoby zależeć na jego śmierci.

* * *

Viona Caffrey siedziała po jednej stronie białej ręcznie wykańczanej kanapy na przeszklonej werandzie, trzymając w dłoni wilgotną chusteczkę. Funkcjonariuszka Malone stała tuż za nią ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Wyglądała na znudzoną. Często przydzielano jej zadanie pilnowania podejrzanych kobiet, które mogłyby chcieć uciekać, bo potrafiła z nimi rozmawiać, okazać im współczucie i uspokoić je, a jednocześnie była dobrze zbudowana i silna, a w dodatku szybko biegła. Detektyw Ó Doibhilin nazywał ją „górną Knocknaskagh na nogach”, choć nie powiedziałby jej tego prosto w oczy.

Weranda miała ogrzewanie podłogowe. Stały na niej ogromne ceramiczne donice z roślinami. Powietrze było przepojone słodkim zapachem wawrzynu, stefanotisu i begonii. Idąc po wyłożonej kafelkami podłodze, Katie mimowolnie pomyślała o dwóch zasuszonych fiołkach na parapecie w swojej kuchni.

– Pani Viono, jestem nadkomisarz Maguire. Jak się pani czuje?

Viona uniosła wzrok. Miała czerwone, podpuchnięte od płaczu wielkie szafirowe oczy. Atrakcyjna dziewczyna o pociągłej twarzy, tyle że z dość wydatnym nosem. Blond włosy o popielatym odcieniu miała splecione w warkocz francuski. Wyglądała jak typowa stewardesa z reklam linii lotniczych. Nadal miała na sobie granatowy uniform Ryanaira, ale zdjęła różowy płaszcz.

Leżał przewieszony przez oparcie kanapy. Katie poznała go wszędzie, że to Sies Marjan. Kiedyś przymierzyła taki w domu towarowym Brown Thomas, ale go nie kupiła. Był przydługi, a poza tym kosztował dwa tysiące czterysta dwadzieścia euro.

Popatrzyła na buty dziewczyny. Różowe szpilki z paseczkiem nabijanym złotymi nitami. Nigdy takich nie mierzyła, ale niewątpliwie był to model Valentina Garavaniego. Przynajmniej siedemset euro.

Katie mniej więcej wiedziała, ile zarabia się w Ryanairze, domyśliła się więc, że Jimmy Ó Faoláin nie szczędził na tę dziewczynę pieniędzy.

– Będziemy musieli porozmawiać z panią na komendzie – powiedziała, siadając przy Vionie. – Ale na razie muszę spytać panią o kilka rzeczy, jeśli nie ma pani nic przeciw temu.

Viona skinęła głową.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że Jimmy nie żyje – jęknęła żałośnie. – Wie pani, wciąż wydaje mi się, że lada chwila tu wejdzie, roześmieje się i powie, że to tylko żart.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Dziewczyna wyduła usta. Z głębi piersi wyrwał się jej szloch.

– W poniedziałek rano. Spędziliśmy razem weekend. Rzadko mieliśmy taką okazję, bo on zawsze miał tyle zajęć. Pojechaliśmy do Kinsale, zjedliśmy lunch w Finns' Table... to była ulubiona restauracja Jimmy'ego... Finns' Table. Uwielbiał pieczone homary.

– A gdzie pani była od poniedziałku rano?

– Na Maladze. Poprosili mnie, żebym wzięła zastępstwo, bo jedna z dziewczyn się rozchorowała.

– Kontaktowaliście się z Jimmym w tym czasie? Jakies esemesy, maile?

– W poniedziałek wieczorem wysłaliśmy sobie esemesy. A we wtorek po południu posłałam mu wiadomość, kiedy wracam.

– Odpowiedział?

– Tylko emotikonem. Palec w górę.

– Nie miała więc pani wrażenia, że może dziać się u niego coś złego albo że się czymś martwi?

Viona pokręciła głową.

– Wiedziała pani o jakichś jego kłopotach w interesach? Kłócił się z kimś?

– Jimmy nigdy się z nikim nie kłócił. Zawsze był uśmiechnięty. Zawsze mówił, że urodził się w garncu złota na drugim końcu tęczy, jak w tej baśni.

– Nie słyszała pani, żeby ktoś mu groził?

– Czemu ktoś miałby mu grozić?

Katie spojrzała na Kynę i detektywów Markeya i O'Donovana.

– Na ile możemy się zorientować, nic nie zostało skradzione – powiedziała Kyna. – W gabinecie pod obrazem jest sejf, ale nie wygląda na to, żeby ktoś próbował go otworzyć. Raczej nie brakuje żadnych obrazów, rzeźb czy innych przedmiotów dekoracyjnych.

– A co z rodziną Jimmy'ego? – zwróciła się Katie do Viony. – Utrzymywał z nią dobre stosunki?

– Rodzice nie żyją, ale ma dwie siostry. Jedna mieszka w Macroom, a druga... nie jestem pewna... chyba gdzieś w Anglii. Był kiedyś żonaty. Jego była wyszła ponownie za mąż i mieszka w Carrigaline.

– Dzieci?

– Syn, z tamtego związku. Spotkałam go tylko raz. Ma dopiero jakieś dwanaście lat i wydawał się pogodzony z sytuacją. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

– Czy Jimmy kiedykolwiek wspominał pani o Rachmasach Rovers? – zapytał detektyw O'Donovan.

– Roversi? Grają w sobotę w Thurles. Miał mnie tam zabrać.

– Ale nie mówił nic o ustawianych meczach?

Viona znów pokręciła głową.

– Opowiadał o swoich interesach, ile kto mu zapłaci i kiedy, ale niewiele więcej. Nic o Roversach, nie.

– Od jak dawna byliście ze sobą? – zagadnęła Kyna.

– Sześć miesięcy, mniej więcej. Poznaliśmy się podczas lotu powrotnego z Neapolu. Zapytał wprost, czy umówiłabym się z nim na kolację. Spotykałam się z pewnym facetem, ale to nie było nic na serio, więc się zgodziłam.

– A związek pani i Jimmy’ego był według pani czymś poważnym?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Z nim to nigdy nic nie było wiadomo. No bo zawsze się uśmiechał, żartował, prawił mi komplementy, ale wiecznie strzelał oczami na boki, rozumie pani?

– Kto jeszcze miał klucze do domu poza panią? – zapytał detektyw Markey.

– Agata... Jego służąca. I Maeve, kucharka. Musiała. Bo czasami dzwonił do niej i prosił, żeby przyszła przygotować mu kolację, zanim on wróci do domu.

– Czy swój klucz zawsze nosi pani przy sobie? Czy jest możliwość, że ktoś go sobie wypożyczył bez pani wiedzy, choćby na chwilę?

Viona sięgnęła po różową torebkę Mulberry – według oceny Katie wartą ponad tysiąc euro. Matko Boska, pomyślała, robię się okropna, zupełnie jak Markey. Wszystko przeliczam na pieniądze. Ale ten płaszcz, buty i torebka bardzo wiele mówiły o uczuciach Jimmy’ego do Viony. Może prezenty rekompensowały brak autentycznego zaangażowania emocjonalnego. Pewnie świadczyły też o tym, jakie oczekiwania wobec niego miała ta dziewczyna.

Viona wyjęła z torebki i pokazała detektywowi Markeyowi klucz na srebrnym breloku z krzyżem świętej Brygidy.

– Proszę. Jest zawsze u mnie w torbie. Nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógłby go sobie pożyczyć.

– Czy Jimmy kiedykolwiek dawał pani w prezencie pieniądze albo może wypłacał jakieś kieszonkowe? – spytała Kyna.

– Płacił za taksówki, jeśli musiałam wracać nimi do siebie. I kupował mi różne rzeczy. Ale nigdy nie dał mi większej sumy w gotówce, jeśli o to pani pyta. A ja go o coś takiego nigdy nie prosiłam.

– No tak – rzuciła Katie. – To chyba na razie wszystko. Jak mówiłam, pewnie poprosimy panią jeszcze o pofatygowanie się na komendę na Anglesea Street,

kiedy nasi technicy skończą badania.

– Czy to mogłoby być jutro rano? Po południu mam lecieć na Lanzarote, chyba że dostanę urlop okolicznościowy, ale biorąc pod uwagę obecną sytuację w Ryanairze, za bardzo na to nie liczę.

– Dobrze – zgodziła się Katie. – Porozmawiamy jeszcze z Agatą i Maeve. I z ogrodnikiem. Jak on się nazywa?

– Dermot – odparła Viona. – Nazwiska nie znam. – Wahała się chwilę, po czym spytała: – Co stanie się z Jimmym?

– Zabierzemy jego ciało do uniwersyteckiego szpitala w Cork na sekcję. Potem, jeśli koroner wyda zgodę, będzie można go zabrać do domu pogrzebowego. Wyobrażam sobie, że uroczystość pożegnalna będzie wydarzeniem, skoro miał tylu przyjaciół.

– No nie wiem – wybąkała Viona. – Znał tysiące ludzi, wszyscy go lubili, ale właściwie nie miał przyjaciół. Ja próbowałam kimś takim dla niego być, ale to nie było łatwe. Wiecznie żartował. Nie pamiętam, żeby mówił coś całkiem serio, nie przypominam sobie ani jednego takiego razu. Byliśmy parą, ale być z kimś to nie to samo, co kogoś kochać, prawda?

– Dobre pytanie – przyznała Katie.

Rozdział 3

Ledwie zdjęła kurtkę i usiadła za biurkiem, zadzwonił do niej Conor.

– Co tam? – spytała, przeglądając papiery, które nagromadziły się pod jej nieobecność.

– Nadal masz zmieniony głos, nie jesteś jeszcze zdrowa – powiedział.

– Musiałam wyjść. Ale zaraz wezmę znów lemsip. Czuję się całkiem nieźle.

– Fajnie, a ja mam wiadomość, przez którą poczujesz się jeszcze lepiej. Właśnie dzwonił do mnie chirurg z Gilabbey. Twierdzi, że operacja Barneya udała się na sto dziesięć procent. Na szczęście czaszka nie była pęknięta. Udało się im usunąć krwiniak mózgu i znormalizować ciśnienie wewnątrzczaszkowe.

Katie się rozpląkała. Jej asystentka, Moirin, usłyszała to przez otwarte drzwi i wychyliła zza framugi swoją pyzată buzię Śnieżki, żeby sprawdzić, co się dzieje. Katie pomachała do niej i uśmiechnęła się na znak, że wszystko w porządku. Jej seter irlandzki, Barney, został porwany przez Travellersów, inaczej Pavee, członków tutejszej koczowniczej grupy etnicznej. Pies został ciężko pobity i porzucony na jej progu. Była pewna, że nie przeżyje.

Conor zawiózł go od razu do szpitala weterynaryjnego Gilabbey w Togher. Przyjaźnił się z jednym z najlepszych tamtejszych chirurgów, doktorem Domnallem O’Sullivanem. Z początku rokowania były kiepskie. Barney miał połamane nogi i kilka żeber, a także poważne obrażenia głowy – prawdopodobnie został wielokrotnie uderzony cegłą.

– O Jezus, już myślałam, że więcej go nie zobaczę. – Katie wyciągnęła papierową chusteczkę z pudełka i wytarła oczy. – A co ze złamaniami?

– Wszystko w swoim czasie, kochanie – odparł Conor. – Teraz starają się usunąć płyn z klatki piersiowej, a potem przeprowadzą pełne badania radiologiczne, żeby zlokalizować wszystkie miejsca złamań. Ale Domnall mówi, że pies jest niesamowity. Nigdy nie widział, żeby po tak ciężkich obrażeniach zwierzę zdołało przeżyć. Trzeba będzie podziękować świętemu Rochowi.

– Conor, nie wiem, co ci powiedzieć. To tobie powinnam dziękować, nie świętemu Rochowi.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

– Co takiego?

– Przecież nie byłoby niespodzianki, gdybym ci to zdradził, prawda? O której będziesz w domu?

– Późno. Mieliśmy zabójstwo. Muszę poprowadzić konferencję prasową przed wiadomościami o szóstej. Słyszałeś o kimś takim jak Jimmy Ó Faoláin?

– Żartujesz! Kilka razy go spotkałem, głównie na kolacjach z tańcami. Jak to nazywali go w „Evening Echo”? Król akcji węglowych. Jezu... Kto go zabił?

– Gdybym wiedziała, to nie siedziałabym do późna w biurze. Zastrzelono go w jego własnym domu. W Tivoli. Napastnik musiał jakoś dostać się do środka i posłał mu siedem kul przez drzwi toalety.

– O święty Michale. Masz pomysł, jaki mógł być motyw? Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś powiedział o Jimmym Ó Faoláinie coś złego. Nigdy.

– No właśnie, dlatego wszyscy jesteśmy zdumieni. Ale słuchaj, wróć do domu, kiedy tylko będę mogła. Co chcesz zjeść wieczorem? Zostało trochę gulaszu, możesz sobie podgrzać.

– Nie wiem, pewnie po prostu zadzwonię i zamówię pizzę w Apache.

Katie wzięła wdech i powiedziała:

– Jeszcze raz dziękuję, że zająłeś się tak Barneyem. Gdybym już cię nie kochała, to po tym zakochałabym się w tobie na zabój.

– Przed nami jeszcze długa droga, Katie, ale Domnall jest dobrej myśli.

– A ty dalej mi nie powiesz, co to za niespodzianka?

– Nie. W żadnym wypadku. Do zobaczenia. Kocham cię.

Odłożyła słuchawkę. W tej chwili do jej gabinetu wszedł, szurając nogami, komendant Denis MacCostagáin. Jak zwykle miał na sobie koszulę z długimi rękawami, workowate szare spodnie i czerwone szelki. Jego cienkie białe włosy sterczały jak naelektryzowane. Do tej pory Katie zawsze myślała, że szef wygląda na doświadczonego i sprawnego stróża prawa, ale tego dnia popatrzyła na jego przygarbione ramiona, wydęty brzuch i uświadomiła sobie, że strasznie się postarzał.

– Słyszałem, że pojechałaś zobaczyć nieodżałowanego Jimmy’ego Ó Faoláina – powiedział, przyciągając krzesło, by usiąść po drugiej stronie jej biurka.

– Tak jest. I mam dla pana zagadkę, jeżeli w ogóle coś może pana zaskoczyć. Zginął najpopularniejszy człowiek w Cork. No... może drugi co do popularności... po naszym prezenterze telewizyjnym Daithím Ó Sé. I to nie wygląda na wypadek podczas włamania rabunkowego. Chyba że w domu było coś szczególnego, po co specjalnie przyszedł zabójca, a czego braku nie można stwierdzić. Może dałam się zwieść, ale wydaje mi się, że to bardzo profesjonalnie zorganizowane zabójstwo.

– Będziemy pod wielką presją, żeby jak najszybciej zamknąć to śledztwo, Kathleen. Słyszałaś, co wyszło wczoraj na temat Mulligana przed komisją badającą nieprawidłowości? O Józefie i wszyscy święci! W dodatku sąd rejonowy w zeszłym tygodniu odrzucił nasz pozew przeciwko Joemu Falseyowi. Zaczynamy wyglądać na bandę przygłupów.

– Mam tego świadomość, panie komendancie – powiedziała Katie. – Jest jednak o wiele za wcześnie na wnioski co do motywów. Jimmy Ó Faoláin był rzeczywiście lubiany, ale angażował się w tak wiele spraw, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby komuś nadepnął na odcisk, nawet niechcący. W każdym razie ktokolwiek go zastrzelił, znał się na rzeczy, i jeśli nie znajdziemy śladów DNA czy wiarygodnego świadka, niełatwo będzie wytropić winnego.

Do gabinetu weszła Moirin z filiżanką cappuccino i talerzem herbatników z żurawiną i migdałami.

– Miałby pan ochotę napić się herbaty, panie komendancie? – spytała.

– Nie, nic mi nie trzeba – odparł MacCostagáin, choć wziął herbatnika i go ugryzł. Przez dłuższą chwilę żuł go z ponurą miną, jakby życie mu obrzydło, a potem powiedział: – Tak naprawdę przyszedłem w sprawie McManusa.

Katie zmroziło. Wiedziała, co się szykuje. We współpracy z inspektorem Carrollem z Tipperary Town aresztowała Zezowatego McManusa za organizowanie walk psów. Za dwa tygodnie miał stanąć przed sądem. Należał do Travellersów, choć właściwie mieszkał na stałe w obozowisku Ballyknock na wzgórzu Palmera i nie ukrywał, że organizuje wszystkie ważniejsze walki psów w Tipperary.

Nie krył się też z tym, że to on zlecił porwanie Barneya. I że pies został skatowany, ponieważ Katie nie zgodziła się wycofać zarzutów.

Miał ksywkę „Zezowaty”, bo z powodu lekkiego zezą nigdy nie było wiadomo, czy na człowieka patrzy, czy nie, i robiło to dość nieprzyjemne wrażenie.

– Polecono mi, żeby nie wszczynać postępowania przeciwko McManusowi – oświadczył komendant.

– Polecono? Kto polecił?

– Frank Magorian. Ale nie wkurzaj się. To nie była decyzja Franka. Naciskali na niego z organizacji Travellersów. Mówią, że McManus jest szykanowany ze względu na przynależność do mniejszości etnicznej.

– Nie aresztowałam McManusa za to, że jest inny, ale za to, że robi majątek na katowaniu psów.

Komendant połknął resztę herbatnika i otrzepał dłonie.

– Kathleen, ja to wiem i ty to wiesz. Ale musimy być postrzegani jako sprawiedliwi wobec społeczności Travellersów, a biorąc pod uwagę, że McManusa ukarano by jedynie grzywną, jeśli w ogóle zostałby uznany za winnego, to wyrywanie się z procesem nie jest warte świeczki.

– Społeczności Travellersów? A co z psami? Co z tymi biednymi głupimi zwierzakami, które dręczy się całe ich życie, żeby walczyły i wypruwały sobie

nawzajem flaki, nabijając kabzy takim łajdakom jak McManus? Czy one nie mają żadnych praw? Czy nie powinniśmy ich chronić?

– Niestety, Travellersi mają prawników, a psy nie.

– I co gorsza, zastraszają ludzi. Reaguję alergicznie na Franka Magoriana i nie robię z tego tajemnicy, ale myślałam, że jest nieco odważniejszy. Co, boi się, że banda nomadów wpadnie do klubu golfowego i złośliwie mu skórkę jego własnymi kijami?

MacCostagáin wstał.

– Przykro mi, Kathleen, ale w tych czasach trzeba uważać na polityczną poprawność, a my mamy i tak dość kłopotów.

– Jestem wściekła – rzuciła Katie. – Tak naprawdę wściekła. Jak pan wie, mój pies, Barney, został porwany przez McManusa. O mało go nie zabili. Przed chwilą dowiedziałam się, że może jednak przeżyje. Kocham tego psa. Nie wyobraża pan sobie nawet, ile dla mnie znaczy. Ale nie miałam zamiaru odpuścić McManusowi, nawet gdyby to znaczyło, że stracę Barneya na zawsze, bo codziennie setki psów przechodzą piekło, setki, i chcę położyć temu kres.

– Kathleen, nie mamy środków finansowych ani osobowych, nawet żeby ochronić ludzi, którzy tego potrzebują. Nie możemy rozczulać się nad psami. Poza tym te walki psów, gangi... lepiej ich nie drażnić, jeśli nie mamy pewności, że uda nam się ich wszystkich pozamykać, a prawo nie daje nam takiej możliwości. Oni robią więcej forsy na jednej walce psów niż na większej transakcji z narkotykami. Nie przerzucą się na robótki ręczne, wierz mi.

Nie odezwała się. Lubiła i szanowała komendanta MacCostagáina, choć jego pierwsza reakcja na jej awans była niechętna, podobnie jak większości innych oficerów w Regionie Południowym. Teraz ją akceptował i bronił jej w razie potrzeby, choć zdarzało się to rzadko. Miała skuteczność dobrze powyżej sześćdziesięciu procent i nauczyła się nie ustępować wobec golfistów, mizoginów i masonów takich jak zastępca komendanta głównej Garda Síochána – Frank Magorian, którego władza stopniowo słabła.

MacCostagáin spojrział na nią z góry. Czowała jego smutek.

– No to do zobaczenia – powiedział i wziął kolejnego herbatnika.

* * *

Mathew McElvey, młody rzecznik prasowy, przyszedł zobaczyć się z nią około trzeciej, żeby przejrzeć to, co zamierzała powiedzieć mediom o Jimmym Ó Faoláinie.

– Jeśli mam być z tobą szczerą, nie chcę mówić wiele – zaznaczyła. – Poproszę, by zgłaszali się do nas świadkowie, jeśli ktoś coś widział. I tyle. Powiem, że dziewczyna Ó Faoláina znalazła go w domu zastrzelonego, ale nie wspomnę, że siedział na kiblu, i nie będę ryzykowała żadnych przypuszczeń co do możliwych motywów. Nie zamierzam też mówić, że wszyscy go lubili. Najwyraźniej ktoś za nim nie przepadał i okazało się, że jedna osoba wystarczy.

– Nie ma pani żadnych podejrzanych? – zapytał Mathew. – A ta jego dziewczyna?

– Nikogo nie wykluczam, ale nie wyobrażam sobie, żeby ta śliczna Viona chciała z nim skończyć. Był dla niej kurą znoszącą złote jajka. Oczywiście sprawdziliśmy jej ręce pod kątem śladów prochu po wystrzale. Dla pewności. Ale wynik był negatywny, a w domu nie znaleźliśmy wyrzuconych rękawiczek.

– Nie miała żadnego zazdrosnego byłego czy kogoś w tym rodzaju?

– Sprawdzimy to, oczywiście. Mam przeczucie, że coś się wyjaśni, kiedy nasi eksperci przejrzą jego księgi rachunkowe. Gość wykiwany na giełdzie potrafi się wściec jak diabli.

– Racja – rzucił Mathew, popatrując na zegarek. – Mówiłem dziennikarzom, żeby przyszli na czwartą, jeśli to pani pasuje.

Kiedy wstał, żeby wyjść, do otwartych drzwi gabinetu zapukał detektyw Ó Doibhilin. Był nieogolony, zmierzwione włosy mu sterczały. Miał na sobie brązową puchówkę i jasnoszare dopasowane spodnie dresowe, poplamione piwem.

– Michael – powitała go Katie. – Jak leci z Twomeyami?

– Wreszcie myślę, że coś mam.

– Wykończyli cię, widzę. Wejdz, siadaj.

– Bez przesady – zaoponował detektyw Ó Doibhilin. – Ale zanudzili mnie na śmierć. Nigdy nie słyszałem tylu bzdur. Te zakute łby gadają tylko o piłce, prochach i z kim się prześpią. Myślałem, że nie wytrzymam. I jeszcze musiałem ubierać się codziennie jak chodząca reklama sportowych ciuchów.

Katie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Detektyw Ó Doibhilin szczyił się elegancją, ale przez ostatnie dwa miesiące pracował pod przykrywką. Obserwował kręgi skupione wokół Twomeya i Quinna, co oznaczało, że mieszkał w wynajętej kawalerce w Fair Hill i włóczył się jako zblazowany koleś z północnego Cork.

– We wtorek robią przerzut kamperem przez Rosslare. Kamper przyplynie promem z Fishguard. Ma być wypakowany fentanylem.

– Niezły wynik – przyznała Katie. – Powiedziałaś o wszystkim Begleyowi?

– Powiem, kiedy tylko wróci z lunchu.

– Widzisz, mówiłam ci, że te wszystkie wieczory w barze Halfway w końcu się opłaca.

– Rzeczywiście, ale chyba będę musiał wysłać swoją wątrobę na detoks do Najwyższego, a głowę do kliniki Dean na jakieś poważne oczyszczenie.

– Musimy wszystko starannie zaplanować. Nie możemy dopuścić, żeby policja skarbową dopadła ich zaraz po wylądowaniu, a kiedy będziemy jechać za nimi z Rosslare do Cork, nie powinni zorientować się, że są śledzeni. Nie zależy mi na małej rybce. Chcę dopaść Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna, a to oznacza, że muszę spróbować złapać ich z fentanylem.

– Jest kilka miejsc, gdzie zwykle składają towar – powiedział detektyw Ó Doibhilin. – Na tyłach stacji benzynowej Maxol przy Watercourse Road i w opuszczonym domu na rogu Great William O'Brien Street. Wspominali też o broni i materiałach wybuchowych, ale nie wiem, gdzie je chowają. Nie chciałem ich za bardzo naciskać, bo mogliby zacząć coś podejrzewać.

– Dobrze się spisałeś, Michael. Wiem, że to nie było łatwe.

– Chyba najtrudniejsza sprawa to zaloty siostry Seamusa Twomeya. Zawsze próbuje zaprosić mnie do siebie do chaty na, jak to mówi, bara-bara. Szkoda, że nie może pani zobaczyć jej rozmiarów. Jezu! Po prostu płetwal błękitny w mini.

Kiedy wyszedł, Katie dopiła kawę i zaczęła przeglądać wiadomości i raporty, które tego ranka wylądowały na jej biurku. Wieści o Barneyu przekazane przez Conora poprawiły jej samopoczucie, a jeśli to, co usłyszała od detektywa Ó Doibhilina, doprowadziłoby do postawienia w stan oskarżenia za przemyt narkotyków Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna, byłby to wielki sukces. Coraz więcej mieszkańców Cork, w różnym wieku, uzależniało się od opioidów. Od stycznia spowodowały śmierć siedemnastu osób. Pacjenci z niezbyt groźnymi dolegliwościami jak bóle pleców zaczynali od leków przeciwbólowych na receptę, a potem szybko się uzależniali i zaspokajali swoje potrzeby, korzystając z czarnego rynku.

Fentanyl jest jednym z najbardziej szkodliwych opioidów, bo może być pięćdziesiąt razy mocniejszy od heroiny. To on zabił Prince'a. Koledzy z wydziału narkotyków ostrzegali Katie, że w wielu pubach i klubach w mieście coraz łatwiej zdobyć ten narkotyk. Podobnie jak karfentanyl, który pierwotnie służył do usypiania dużych zwierząt, jak bydło, a nawet słonie, albo oksykodon, a przynajmniej jego podróbki.

Córka sąsiadki Katie, dwudziestoczteroletnia Siobhan, zmarła pierwszego czerwca po przedawkowaniu fentanylu. Miała siedmiomiesięczną córeczkę i brała opioidy, by złagodzić chroniczny ból po trudnym porodzie. Katie była na jej pogrzebie na cmentarzu St Colman. Gdy składali trumnę do grobu, na granitowoszarym niebie ukazała się tęcza. W tym momencie Katie obiecała sobie solennie, że położy kres przemytowi opioidów.

Nigdy nie sądziła, że będzie to łatwe. Większość dilerów fentanylu wywodziła się z grup IRA. Gang Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna był tego przykładem. Nazywali siebie *Fola na hÉireann*, Krew Irlandii, i byli zdecydowanie najbardziej bezwzględną bandą w mieście, jeśli nie w całym kraju. Jedną z ich ulubionych kar było zmuszanie ofiar do siadania na ustawionym na

sztorc metalowym przecie rusztowania, tak że pomału, osuwając się w dół pod własnym ciężarem, umierali nabici na pal.

Do pokoju znów zajrzała Moirin.

– Może jeszcze kawy, pani nadkomisarz? – spytała.

– Nie, dziękuję, Moirin. Odrobina więcej kofeiny i będę tu skakać jak pchła na patelni.

– To prawdziwy szok z tym Jimmym Ó Faoláinem – powiedziała Moirin. – Opłacił podróż córce mojej sąsiadki do Stanów na leczenie raka i nigdy nie chciał żadnych podziękowań. Z tego, co słyszałam, był niesamowicie *flaithiúlach*, jednym z najbardziej szczodrych ludzi, jakich można sobie wyobrazić.

– Wszyscy mi to mówią – przyznała Katie. – Ale nawet święci mają wrogów.

Spisała punkty swojego wystąpienia przed mediami, a potem wstała i poszła do małej łazienki na tyłach biura. Popatrzyła uważnie na swoje odbicie w lustrze nad umywalką i uznała, że dawno już nie wyglądała tak młodo i ładnie. Wiadomość o Barneyu ją uskrzydliła, ale swoje robiły też świeżo podcięte na pazia włosy. W zeszłym tygodniu była u fryzjera na Camden Wharf. Przyciemnili jej lekko kolor. Rudy wpadał teraz w odcień niemal wiśniowy. Katie bardzo podobało się, jak układają się jej włosy, kiedy lekko potrząsa głową.

Zawsze uważała, że nie powinna wykorzystywać swojego wyglądu w środowisku, w którym niektórzy z kolegów traktowali kobiety jak gorszy gatunek, ale trzeba się było liczyć z realiami. Niewątpliwie zawsze budziła większy respekt, kiedy wyglądała dobrze.

Nadkomisarz Pearse zwierzył się jej nawet kiedyś, że nie za bardzo słuchał, co Katie opowiada o systematycznym niszczeniu liczników zużycia wody, bo kiedy to mówiła, po raz pierwszy zauważył, że odcień jej oczu jest „tak mocno zielony”.

Rozdział 4

Kierowca i dwóch młodszych krewnych pomogli wysiąść z minibusa pięćce pasażerów. Ich włosy były srebrzyste albo już całkiem białe, choć jednemu z nich na łysinie pozostało jedno zaczesywane pasemko, które raz po raz podrywało się na wietrze niczym skrzydło rannej mewy.

W zwartej grupie, niczym mały oddział marszowy, szurając nogami, przekroczyli bramy cmentarza Świętej Katarzyny. Wszyscy byli ubrani na czarno, poza jedną kobietą, która miała na sobie ciemnozielony płaszcz. Dwóch młodszych krewnych szło za nimi, niosąc owinięte celofanem bukiety czerwonych róż.

Mijali ślepe kamienne anioły i klomby, aż doszli do mogiły z wysoką tablicą z czarnego marmuru. Z trzech stron otaczał ją żywopłot z ciemnych cisów, wysoki niemal na trzy metry. Przed nią stała długa kamienna ława, gdzie cała piątka usiadła. Trzech braci i dwie siostry. Niewątpliwie byli spokrewnieni. Mieli podobne szerokie twarze i spłaszczony nosy. Dwaj młodszy krewni położyli kwiaty na grobie i stanęli za ławką. Byli pewnie tuż po dwudziestce, z powagą spełniali swoją powinność, ale wydawali się skrzepowani. Jeden ziewnął.

Po minucie ciszy najstarszy mężczyzna wsparł się na lasce, by wstać, i odchrząknął.

– Minął więc kolejny rok od czasu, gdy opuściła nas Brianna – powiedział. – Trudno uwierzyć, że to już sześć lat, odkąd ostatni raz słyszeliśmy jej głos i razem wznosiliśmy toasty za rodzinę O’Learych i jej osiągnięcia. Sześć lat! I cokolwiek mówi się o tym, jak to czas leczy rany, wiem, że wszyscy tęsknimy za Brianną bardziej, niż da się to wyrazić w słowach.

Przerwał na chwilę, po czym ciągnął:

– Lubiła śpiewać *Ostatnią różę lata*, prawda? A my śpiewaliśmy jej tę piosenkę na pożegnanie. Nie jestem Johnem McDermottem, nie będę próbował swoich sił jako wokalista, ale czy te słowa nie są dziś równie wymowne jak wtedy, kiedy utraciliśmy ją tak okrutnie przedwcześnie?

Nie zostawię cię tu, byś usychała na łodydze samotnie, gdy inne piękności już śpią, tylko cicho rozsypię twe płatki na łożu, gdzie twoje przyjaciółki z ogrodu, pozbawione zapachu, martwe są.

Był dopiero w połowie fragmentu, który chciał zacytować, gdy usłyszeli dziwny, cichy świst. Z początku pomyśleli, że to tylko wiatr poruszający gałęzie cementarnych drzew. Ale dźwięk powracał, falujący i niski; czasami cichł, jednak tylko na moment. Popatrzyli po sobie i wreszcie jeden z młodych powiedział na głos to, co wszyscy myśleli:

– Jezu, to chyba nie duch babci Brianny?

– Głupi jesteś – zgasił go drugi. – To tylko wiatr.

– Jaki tam wiatr! Posłuchaj! Jeśli to nie poświstywanie ducha, to co to jest?

Najstarszy mężczyzna uniósł laskę i pomachał nią, zwracając się do młodych:

– Uspokójcie się! Okażcie trochę szacunku! Jesteśmy tu, żeby oddać hołd matce waszej mamy, więc jeśli jej duch chce się do nas w tej chwili przyłączyć, to pięknie!

– Jasne – bąknął młody. – Tylko że babcia chyba nigdy nie grała na flecie!

Przez chwilę wsłuchiwali się uważnie i choć nie wyczuli w tym żadnej melodii, a dźwięk był cichy i urywany, poświstywanie trwało. Jakby muzyk nie mógł się zdecydować, co zagrać. Jedna z kobiet splotła dłonie, zamknęła oczy i zaczęła się modlić:

– Kochana Brianno, jeśli jesteś teraz z nami, wiedz, że cię kochamy i ogromnie za tobą tęsknimy.

Poświstywanie zostało nagle zagłuszone wściekłym krakaniem walczących wron. Usłyszeli trzepot skrzydeł i jakieś zgrzyty.

– To chyba dochodzi stamtąd. – Jeden z młodych wskazał ręką. – Zaczekajcie, pójde sprawdzic.

– Idę z tobą, stary – powiedział drugi.

Obaj opuścili zgromadzenie starszyny siedzącej na ławce i poszli ścieżką, by ustalić, skąd dochodził hałas. Gdy dotarli za następny żywopłot, wrony jeszcze krakały i szamotały się, ale na ich widok się rozpierschły, wydając taki dźwięk, jakby ktoś strzepywał mokry parasol.

Młodzi ludzie zobaczyli cztery kamienne anioły wielkości człowieka. Były ustawione na rogach wyźwirowanego kwadratu. Nie dostrzegli, że trzy patrzą ze smutkiem w dół, a czwarty w niebo. Ich uwagę przykuła sylwetka siedząca na metalowej ławce pomiędzy dwoma posągami. Mężczyzna miał na sobie dzinsy i dzinsową koszulę. Ręce trzymał na kolanach. Tak jakby odpoczywał albo medytował. Ale brakowało głowy. Z krtani wystawał mu nikłowany flet.

– O Matko Boska – szepnął jeden z chłopaków. – Widzisz to co ja, Sean? To chyba jakiś żart na Halloween?

Sean stał, jakby go zamurowało. Przyciskał dłoń do ust. Ramiona bezgłowej postaci i przód koszuli były poplamione zaschniętą ciemnobordową krwią. Nogawki dzinsów też. Skóra na rozciętej szyi była poszarpana. Młodzi ludzie mogli się domyślić, że do ciała dobrały się wrony.

– Widziałem taki dowcip w necie – mówił dalej chłopak, choć coraz bardziej rozedrganym głosem. – Koleś leżał przed drzwiami garażu, jakby opadająca brama ucięła mu głowę. Dokoła było mnóstwo krwi. Wezwano gliny, a okazało się, że to tylko żart, wiesz?

Zanim skończył, zerwał się silniejszy wiatr i poruszył suchymi liśćmi na cmentarnej ścieżce. Flet znów zaczął świstać. Delikatnie, bez ładu, ale równie melancholijnie jak w *Ostatniej róży lata*.

Gdy szczere serca usychają, a ukochani odchodzą w dal, któż chciałby pozostać na tym smutnym świecie sam?

Nadfrunął kruk, przysiadł bezczelnie na ramieniu bezgłowej postaci i zaczął skubać w jej szyi, popatrując groźnie na dwóch intruzów, jakby prowokował ich

do starcia.

– Sean... Jezu Chryste – jęknął jeden z młodych. – On musi być prawdziwy. Kruki przecież nie żarłyby manekina, co?

Sean nie odpowiedział. Obrócił się na pięcie, nachylił i obrzygał ścieżkę na wpół strawionym śniadaniem – jasnobrązową masą przybraną skórkami pomidorów, niczym płatkami czerwonych róż.

Rozdział 5

Katie była w drodze do windy, gdy usłyszała „ping” i zza rozsuwających się drzwi wyłonił się inspektor O'Rourke. Szybko ruszył w jej stronę.

– Francis?

Inspektor O'Rourke był niski, pękaty i czerwony na twarzy, o wojowniczo wysuniętej brodzie. Katie zawsze miała wrażenie, że ten gość chętnie przyłożyłby każdemu, kto by się z nim ściał.

– Chciałem panią złapać przed konferencją prasową – wysapał, po czym przyłożył dłoń do piersi, bo kompletnie zabrakło mu tchu.

– Chyba nie mamy jeszcze podejrzanego, co? – spytała.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z Jimmym Ó Faoláinem. Odebraliśmy telefon na sto dwanaście, niecałe pół godziny temu. Z cmentarza Świętej Katarzyny w Kilcully. Wiem, wszyscy pomyśleliśmy to samo: „Tylko nie mówcie, że na cmentarzu jest jakiś trup”. Ale jest. Jakiś gość bez głowy. Siedzi tam na ławce. – Wyciągnął iPhone'a i pokazał jej zdjęcie przysłane przez funkcjonariusza z Kilcully.

Katie przez chwilę oniemiała wpatrywała się w ekran. Trudno było uwierzyć, że to nie jakaś mistyfikacja.

– A gdzie jego głowa? – spytała. – To znaczy... wiemy, kto to jest?

– Na razie nie ma możliwości tego ustalić. Ale nie przeszukaliśmy jeszcze całego cmentarza.

– A... co mu sterczy z szyi?

– Da pani wiarę? To flet.

Spojrzała na O'Rourke'a okrągłymi oczami.

– Flet? Naprawdę?

– Na cmentarzu było kilka osób, które przyszły odwiedzić grób babci. Usłyszeli dziwny dźwięk. A to było to. We flecie grał wiatr.

– Niesamowite. Po prostu brak mi słów – powiedziała Katie. – Miał przy sobie jakieś dokumenty?

– Nie, nic. Żadnego portfela, telefonu, kluczy. Był w kapciach. Ale nasi technicy są już w drodze.

– Zgłaszano jakieś zaginięcia?

– Tylko trzy dziewczynki uciekły z liceum Christ King, a jakiś staruszek z demencją powędrował dokądś z Brookfield.

– No, jeszcze tego mi trzeba – mruknęła Katie. – Lokalny celebryta zamordowany przez nieznanego sprawcę lub sprawców i człowiek, którego tożsamości nie umiemy ustalić, zabity przez nieznanego sprawcę lub sprawców.

Inspektor O'Rourke pociągnął nosem i skinął głową.

– Sporo tych nieznanych, nie ma co...

– No dobrze – rzuciła Katie. – Ale informujcie mnie na bieżąco, Francis, choćby trzeba było mi wysłać esemesa w trakcie konferencji, dobrze?

– Tak jest, oczywiście.

– Ten flet mnie niepokoi. Po co ktoś miałby wpychać coś takiego w szyję ofiary?

– Nie wiem. Może zabity był członkiem folkowego zespołu i jakiś kumpel wkurzył się, że kręcił z jego kobietą?

– Francis...

– No zaraz, był taki przypadek w Wexford kilka lat temu, kiedy pewien gitarzysta kombinował z lalą basisty. Tamten udusił go strunami jego własnej gitary. Pamięta pani?

– Nie popuszczaj za bardzo wodzy wyobraźni, Francis. Najpierw sprawdźmy, kim jest ofiara. To powinno dać nam odpowiedź na większość pytań.

– O, zna mnie pani. Wyobraźnia nie jest moją najmocniejszą stroną. Wie pani, w zeszłym tygodniu dałem żonie w prezencie rocznicowym żelazko na parę, bo

stale gderała, że stare jest do niczego. Matko Boska! O mało mnie nim nie rozprasowała na amen.

* * *

Katie uzgodniła, że konferencja prasowa odbędzie się w mniejszej sali konferencyjnej, bo spodziewała się, że pojawią się tylko stali wierni bywalcy, ale kiedy weszła, zorientowała się, że jest co najmniej dwudziestka reporterów, plus telewizja i kamery.

Zobaczyła wszystkich najwytrwalszych dziennikarzy z Cork – Fionnuala Sweeney z RTÉ siedziała z przodu z Danem Keane’em z „Examinera”, Fergusiem O’Farrellem z RedFM i Jean Mulligan z „Evening Echo”. Zajmując miejsce między Mathew McElveyem i nadkomisarzem Pearse’em, dostrzegła również Kierana Dennehy’ego z „Irish Timesa”, Darę Kerrigan z „Mirror” i Thomasa O’Neilla z „Sun”. Rozpoznała też trzech czy czterech wolnych strzelców, a nawet reporterów „The Corkman” i „The Southern Star”, lokalnych gazet, które zajmowały się sprawami północnego i zachodniego hrabstwa Cork i rzadko poświęcały uwagę tematom dotyczącym miasta.

Świeciły reflektory kamer telewizyjnych. Katie przesłoniła oczy dłonią. Mathew McElvey nachylił się do niej.

– Nie wiem, czemu zawdzięczamy aż tak wielkie zainteresowanie Jimmym Ó Faoláinem – szepnął.

– Był celebrytą – powiedziała. – Może nie tej miary co Gerald Kean czy Brendan O’Connor, ale jednak.

– Jasne, pani nadkomisarz. I oczywiście, jak zwykle, powiadamiałem wszystkie media, że udzielimy wypowiedzi prasie. Ale nie przewidywałem takiej frekwencji. Co tu robi Megan Daly z „Southern Star”? Zwykle pisuje o zwycięzcach w loterii ze Skibbereen albo o farmerach z Clon, którym traktor przejechał po stopach.

– Michael? – zwróciła się do nadkomisarza Pearse’a. – Masz jakiś pomysł?

– Wyraźnie coś się święci – przyznał. – Odkąd tu wszedłem, w sali aż się gotuje.

Katie sięgnęła do stojącego przed nią mikrofonu, włączyła go i postukała palcem, by sprawdzić, czy działa. Rozejrzała się po sali i skinęła głową na powitanie, choć się nie uśmiechnęła. W końcu miała mówić o zabójstwie.

– Dzień dobry – powiedziała. – Chcę potwierdzić, że dziś rano Garda Síochána dostała wezwanie do Woodhill Park w Tivoli. Znaleźliśmy tam ciało Jimmy’ego Ó Faoláina, dyrektora generalnego Leaside Investments. Zginął w wyniku oddania do niego kilku strzałów. Najwyraźniej zmarł na miejscu. Ciało zostało przewiezione do szpitala uniwersyteckiego, gdzie będzie przeprowadzona sekcja. Technicy badają miejsce zbrodni, a audyt śledczy zajmie się rachunkami pana Ó Faoláina, by ustalić, czy można z nich wysnuć jakąś hipotezę dotyczącą motywów. Z tego, co na razie wiemy, nie dostawał żadnych pogroźek i jak się wydaje, nie było oczywistego powodu, by ktoś chciał go zabić.

– Gdzie dokładnie został znaleziony? – spytał Dan Keane.

– W swoim domu, na parterze – odparła Katie.

– W którym pokoju?

– Nie jestem gotowa tego wyjawić, dopóki nie przeprowadzimy dalszych badań.

– A co robił, kiedy go zastrzelono? – spytał Thomas O’Neill. – Czytał? Rozmawiał przez telefon? Oglądał telewizję? Jadł śniadanie?

– Nie jestem gotowa tego wyjawić, dopóki nie przeprowadzimy dalszych badań.

– W jaki sposób zabójca dostał się do domu?

– Tego nie wiemy jeszcze na pewno. Nie było wyraźnych śladów włamania.

– Możliwe więc, że Ó Faoláin znał zabójcę i sam go wpuścił? Albo ją, oczywiście.

– Niewykluczone.

– Kto go znalazł?

– Jego dziewczyna, Viona Caffrey. Stewardesa Ryanaira. Przyjechała po powrocie z Malagi i otworzyła drzwi własnym kluczem. Od razu nas wezwała.

– Czy jest podejrzana? – spytał Kieran Dennehy.

– Jest przesłuchiwana, oczywiście, ale nie jest podejrzana. Nie mamy podstaw sądzić, że mogła być zamieszana w zabójstwo Jimmy’ego Ó Faoláina. Na razie staramy się ustalić, kto mógł do niego strzelać i dlaczego, ale jesteśmy pewni, że za jakiś czas będziemy mieli dość materiału dowodowego, by aresztować sprawcę.

Słysząc było pokaskiwanie i szuranie nogami, ale już nikt z reporterów nie uniósł ręki. Mimo to Katie czuła wyraźnie, że spodziewają się od niej dalszych wyjaśnień. Nikt nie zbierał rzeczy i nie szykował się do wyjścia, nawet Fionnuala Sweeney, która musiała być zaraz z powrotem w redakcji, jeśli miała zdążyć przed najbliższym wydaniem wiadomości.

– Czy to wszystko? – odezwała się Katie. – Nikt nie ma więcej pytań?

I wtedy Thomas O’Neill uniósł długopis.

– A co ze sprawą mężczyzny bez głowy?

W sali zapadła martwa cisza. Katie spojrzała w wyczekująco wpatrzone w nią oczy zebranych i zdała sobie sprawę, że wiedzą o zwłokach znalezionych na cmentarzu Świętej Katarzyny. Wszyscy, co do jednego. I z tego powodu ściągnęli tu tak licznie. Trudno jej było jednak odgadnąć, ile wiedzą i skąd.

Nie mogła zaprzeczyć, że wie, ale nie chciała wydawać oświadczenia, póki jej ludzie nie sprawdzą, kim jest ofiara. Zwykle, kiedy znajdowali ciało i nie mogli od razu ustalić tożsamości, jak to było w przypadku topielca z rzeki Lee, apelowali o informacje, które mogłyby pomóc w identyfikacji denata. Ale w tej sprawie było coś takiego, że czuła wewnętrzny opór przed wyjawieniem mediom jakichkolwiek szczegółów. Choć przecież właściwie sama nic nie wiedziała i niewiele mogłaby zdradzić.

To przez ten flet. Wetknięty w przeciętą szyję w jakimś celu. A ona zaczynała już podejrzewać, jaki jest powód. I dlatego nie chciała o tym mówić. Jeszcze nie. Jeśli jej podejrzenia okażą się słuszne, choćby częściowo, mogła sobie wyobrazić,

jaką katastrofę to spowoduje. W porównaniu z tym upadek murów Jerycha mógłby wydawać się nie większą tragedią niż porwanie ogrodowego płotu przez wicher.

– O jakim mężczyźnie bez głowy mowa? – spytała.

– Och, proszę, pani nadkomisarz... Dziś znaleziono tylko jednego.

– A co pan o nim wie?

– To chyba pani miała tu odpowiadać na pytania, nie ja. Ale powiedzmy, że wiem, gdzie został znaleziony, i wiem, kim jest... albo raczej był.

– No to wie pan więcej ode mnie – odparła Katie. – Na cmentarzu Świętej Katarzyny w Kilcully znaleziono dziś po południu martwego człowieka. I tak, miał odciętą głowę. Zanim jednak tu przyszłam, żeby mówić na temat Jimmy’ego Ó Faoláina, nie znałam tożsamości tej ofiary z cmentarza.

– Jeśli więc podam pani jego nazwisko, nie będzie pani w stanie potwierdzić ani zaprzeczyć?

– Ma pan rację, nie. I jest naprawdę zbyt wcześnie na jakiegokolwiek oświadczenia w tej sprawie.

– Gdybym powiedział, że to funkcjonariusz Garda Síochána, Kieran O’Regan, byłaby pani zaskoczona?

– A kto coś takiego sugeruje? – natarła na niego Katie.

Zaczynała tracić cierpliwość. A zawsze tak bardzo starała się o przyjacielskie i konstruktywne stosunki z mediami. Oczywiście zdarzało się, że prasa wydawała się jej zbyt krytyczna albo zbyt wścibska, lecz Katie musiała zdawać się na dziennikarzy, apelując o zgłaszanie się świadków zbrodni i wypadków drogowych, a także kiedy trzeba było ostrzegać przed kierowcami szaleńcami, złodziejami czy narkotykami. W zamian podawała prasie i innym mediom tyle informacji i smakowitych szczegółów śledztwa, ile mogła. W granicach rozsądku. Nie miała jednak zamiaru dać się podpuścić.

– Przykro mi, pani nadkomisarz – odparł Thomas O’Neill. – Nie mogę zdradzić źródła. Ale jest bardzo wiarygodne, o tym mogę panią zapewnić.

– W gruncie rzeczy nie obchodzi mnie to, nawet jeśli sam archanioł Gabriel szepnął panu coś do ucha, gdy pan spał. Nie mam nic więcej do powiedzenia, zwłaszcza na temat niesprawdzonych pogłosek. Podałam państwu najświeższe informacje o zabójstwie Jimmy’ego Ó Faoláina i na dziś to już wszystko. Koniec konferencji.

Wyłączyła mikrofon i wstała. Nadkomisarz Pearse i Mathew McElvey również się podnieśli. Prawie wszyscy dziennikarze, przekrzykując się, pytali o to samo. „Pani nadkomisarz, czy to był funkcjonariusz O’Regan?”, „Ten człowiek bez głowy to O’Regan?”, „Potwierdzi pani, czy to był funkcjonariusz Garda Síochána, O’Regan?”.

Katie ruszyła do wind, a za nią, próbując dotrzymać jej kroku, pospieszył nadkomisarz Pearse. Mathew McElvey już miał też pójść jej śladem, ale zawrócił i starał się uciszyć dziennikarzy. Jednak czekając na windę, Katie nadal słyszała wrzawę.

Gdy ona i Pearse wjeżdżali na piętro, patrzyli na siebie ponuro, a potem w milczeniu skierowali się korytarzem do gabinetu komendanta MacCostagáina i zapukali do drzwi.

Komendant stał przy oknie z filiżanką herbaty. Odwrócił się i uśmiechnął na ich widok.

– O, Kathleen, Michael. Co się dzieje?

– Chodzi o tego faceta bez głowy, którego znaleziono na cmentarzu Świętej Katarzyny – powiedział Pearse.

– Tak?

– Właśnie składaliśmy oświadczenie na temat Jimmy’ego Ó Faoláina, ale dziennikarze chcieli tylko dowiedzieć się czegoś o tym bez głowy.

MacCostagáin popatrzył na Katie.

– Myślałem, że nie będziesz o tym wspominać, dopóki się nie dowiemy, kto to był.

– Niestety, już się o tym od kogoś dowiedzieli – odparła. – A w dodatku ktoś poinformował ich, że to Kieran O’Regan.

– O święty Patryku i święci anielscy. Myślisz, że to prawda?

– Na razie nie mam pojęcia. Ciało nie miało głowy i nie znaleziono przy nim niczego, co pomogłoby ustalić tożsamość. Każę O'Donovanowi skontaktować się z rodziną O'Regana. Zobaczymy, czy zaginął. Tymczasem poproszę Billa Phinnera, by sprawdził odciski palców i DNA.

– Kieran O'Regan był na bezterminowym urlopie, więc nikt nie mógł się dziwić, że nie pojawił się na służbie – wtrącił nadinspektor Pearse.

– Pytałaś dziennikarzy, dlaczego sądzą, że to on? – spytał MacCostagáin, ale jeszcze nim zdołała się odezwać, dorzucił: – Oczywiście pytałaś i nie chcieli ci powiedzieć.

– No tak. Ale nic mnie nie obchodzi, co nakazuje im kodeks zawodowy. Zgodnie z prawem nie wolno im odmówić podania nam źródła tej informacji.

– Mam nadzieję, że im o tym przypomniałaś.

– Nie, panie komendancie. Dziś nie naciskałam, bo chcę najpierw potwierdzić tożsamość ofiary. Wszystko w swoim czasie. Ale już ja ich docisnę, może mi pan wierzyć, zwłaszcza jeśli okaże się, że to rzeczywiście O'Regan. Ci dziennikarze zawsze zapominają o trybie warunkowym, prawda? Mogą chronić anonimowość źródła, jeśli to nie zagraża bezpieczeństwu państwa lub jakiejś konkretnej osoby. A gdyby ofiarą okazał się O'Regan, występują oba typy zagrożenia. I to w najwyższym stopniu.

– Jezu, ale kaszana – rzucił MacCostagáin. Usiadł i zapatrzył się w swoją filiżankę herbaty, jakby jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie widział i zastanawiał się, jakim cudem takie dziwo trafiło do jego rąk.

– Ktokolwiek dał cynk mediom o tych zwłokach bez głowy, musiał chcieć to nagłośnić, bo najwyraźniej informacja poszła do każdej gazety, stacji radiowej i oczywiście telewizji RTÉ – powiedziała Katie. – Podejrzewam, że to sprawcy. Przecież musieli poświęcić sporo czasu na przygotowanie sobie listy mediów, z którymi się skontaktują, więc pewnie zrobili to wcześniej, zanim dokonano mordu. No i nasuwa się podstawowe pytanie: Skąd mieliby wiedzieć, że to O'Regan, jeśli to nie oni go zabili? Wiadomo, jego zdjęcia były w gazetach,

można go było zobaczyć w telewizji i tak dalej, ale ciało nie miało głowy. Jeżeli my nie mogliśmy go rozpoznać, to jak mógłby to zrobić ktokolwiek inny? I jeszcze ten flet wetknięty w szyję...

Komendant MacCostagáin uniósł na nią wzrok. Jego twarz zdradzała potworne zmęczenie. Niewątpliwie i jemu też coś podobnego przyszło do głowy. Można było tylko zgadywać, co z tego wszystkiego wyniknie. Czy to oznacza koniec Garda Síochána w obecnej formie i przedwczesny kres jego kariery?

– Jeden flet, nic więcej – prychnął. – Kto by pomyślał?

– Jeszcze nic nie wiadomo na pewno – powiedziała Katie. – Może to coś znaczy albo nie znaczy nic. Jeśli jednak miała to być wiadomość, pewnie wszyscy odczytalibyśmy ją podobnie.

– To mnie zwała z nóg. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów po tamtym zgłoszeniu O'Regana. Na kiedy był wyznaczony termin posiedzenia komisji? – spytał komendant. – Chyba jakoś niedługo.

– Na przyszły czwartek, o ile wiem – odparła. – To miało zależeć od tego, ile czasu zabiorą zeznania sierżanta Duffy'ego na temat manipulacji przy badaniach alkometem.

– Ale bagno. Wcale mnie nie dziwi, że Nóirín O'Sullivan się poddała. Na jej miejscu zrobiłbym to samo. Choć nigdy nie proponowano mi udziału w komisji. Ja nie bawię się w takie rzeczy.

Katie westchnęła ciężko.

– W każdym razie wszystkie te dywagacje na nic, póki nie ustalimy, czy to naprawdę O'Regan – zauważyła. – W razie gdyby to się potwierdziło, będzie w czym wybierać, jeśli chodzi o podejrzanych. No a jeśli to nie byłby on, to Bóg jeden wie, co dalej.

* * *

Katie zastała detektywa O'Donovana w sali odpraw. Stukał dwoma palcami w klawiaturę komputera, jedząc bułkę z szynką i pomidorem.

– Patrick. Normalnie wysłałabym tam kogoś z mundurowych, ale to byłoby podejrzanе. Nie chciałabym, żeby sąsiedzi zobaczyli pod domem radiowóz. Może zabrałbyś ze sobą Padragain, na wypadek gdyby potrzebny był ktoś, na którym ramieniu można się wypłakać.

– No, miejmy nadzieję, że to nie on – powiedział O’Donovan. – To w porządku gość. Choć trochę sztywny, służbista, wie pani, co mam na myśli? Nawet gdyby jechał do zabójstwa, nie zaparkowałby przy żółtej linii.

– Nie obchodzi mnie, jak parkował. Na razie chcę wiedzieć tylko, czy żyje.

O’Donovan wstał, ugryzł jeszcze kawałek kanapki i ruszył po płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka.

– Mam złe przeczucia – wyznał.

– Nie ty jeden, Patrick. Tragedia wisiała na włosku.

Rozdział 6

Kiedy detektyw Michael Ó Doibhilin szedł Baker Road w kierunku baru Halfway, znowu zaczęło mżyć. Stanął przy wejściu, by otrzepać z wody brązową puchową kurtkę.

To był składający się z jednej sali pub na końcu szeregu podupadłych sklepików po północnej stronie miasta, obok zabudowań ośrodka zdrowia St Mary's. Tego wieczoru grał zespół Padłe Osły. Michael słyszał, jak przy akompaniamencie gitar, folkowego bębna i kobz wrzeszczą *Nigdy nie pobijesz Irlandczyka*. Piosenka ginęła w typowej wrzawie podochoconych głosów i śmiechów.

Naprawdę nie mógł się już doczekać, kiedy to zadanie się skończy. Z początku było fajnie – wpadał do pubu z tą swoją opowieścią, przykrywką, że szmugłował narkotyki dla gangu Caveya w Dublinie. Twierdził, że ziemia zaczęła mu się tam palić pod nogami, bo inny gangster, Jer Brogan, coraz mocniej wchodził na rynek narkotyków, a gliny nasiliły kampanię toczoną przeciwko dilerom. To niby dlatego wrócił do rodzinnego Hollyhill. Stałym bywalcom pubu mówił, że nadal szuka jakiejś dobrze płatnej roboty, a najchętniej nielegalnej i dobrze płatnej.

Po dwóch miesiącach udawania, że jest Tommym Ó Frighilem, był już tym znużony. Musiał pokazywać się w barze niemal co wieczór, pić i gadać o piłce nożnej i hurlingu, a potem wracać do domu nad ranem, cuchnąc alkoholem i papierosami. Rzucił palenie pięć lat temu i wprawdzie nie było dozwolone wewnątrz pubu, ale gdyby nie przyłączał się do Seamusa Twomeya i Douglasa

Quinna, kiedy tylko wychodzili na dymka, traciliby połowę informacji, jakie mógł z nich wyciągnąć na temat szmuglowanych przez nich fentanylu i zioła.

Nabawił się chronicznego kaszlu, a jego dziewczyna, Eithne, zagroziła, że odejdzie, jeśli on nie rzuci palenia. Kiedy zostawała u niego, narzekała, że wraca, zataczając się, i śmierdzi jak cap. Ze względów bezpieczeństwa nie mógł wytłumaczyć jej, gdzie się podziewa, co robi i dlaczego.

Drzwi pubu gwałtownie się otworzyły i z lokalu wyszedł jeden ze stałych bywalców, a za nim popłynęła głośna fala muzyki. Był to Dermot O’Leary, pulchny gość o siwiejących włosach, w okularach i swetrze na suwak.

– O, jesteś, chłopie – powitał Michaela, nie wypuszczając z warg przygotowanego papierosa. – Już myślałem, że cię dziś nie zobaczymy.

– Robiłem zakupy ciotce Brannie. Właśnie miała operację biodra i nie może chodzić sama do sklepu.

– O, to z ciebie taki cichy święty, co, Tommy? A tutaj zgrywasz twardziela.

– Nie mów, że sam zapominasz o urodzinach mamy – skontrował Michael.

– Pewnie bym nie zapominał, gdybym, kurde, wiedział, kim była moja rodzicielka. Wychowywałem się w sierocińcu St Vincent’s.

– O, przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

– Pytał o ciebie Seamus. – Dermot wskazał głową na wnętrze pubu. – Mówił, że musicie o czymś pogadać.

– Tak? O czym?

– Lepiej jego spytaj. Albo się zmywaj. Wiesz, jak to z nim jest, kiedy się o coś wkurzy.

– Nie zrobiłem nic, o co mógłby mieć pretensje – powiedział Michael. – W każdym razie nic takiego nie przychodzi mi do głowy.

Dermot wzruszył ramionami, wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa.

– Trzymaj się, chłopie. Mogę ci tylko życzyć powodzenia.

Michael zawahał się. Wiedział, że gdy Seamus Twomey się wścieknie, wszyscy trzęsą portkami ze strachu. Zwykle był najgłośniejszy w pubie. Jego śmiech przypominał ryk rozhisteryzowanego osła. Ale kiedy był zły, robił się

cichy. Jego twarz nie zdradzała wtedy żadnych uczuć. Wystarczyło najlżejsze skinienie głowy i ten, kto go obraził, był zabierany mu sprzed oczu przez jego dwóch, trzech zbirów i dostawał okrutny łomot. Jeśli udało mu się wyjść z tego z podbitym okiem, złamanym nosem i pękniętymi zębami, to mógł uważać się za szczęściarza.

I o czym ten Seamus Twomey chce ze mną gadać? – zastanawiał się Michael. Czy podejrzewa, że jestem wtyką, gliną? Jeśli tak i nie uda mi się dowieść, że to nieprawda, jutro mogą mnie znaleźć dryfującego w rzece Lee po nie wiem jak potwornych torturach.

Był ostrożny, ale wiedział, że jeśli teraz się nie pokaże, to narazi całą operację. Dermot O’Leary powie Twomeyowi, że uciekł, i to tylko potwierdzi podejrzenia Twomeya.

Michael zaczął kaszleć, głównie z nerwów. Rozejrzył się. Pod markizą przed pubem nadal stał Dermot O’Leary. Palił i obserwował go, ciekaw, co zrobi dalej. Krople deszczu bębniły o daszek, powodując hałas przypominający tupot stada szczurów biegających po strychu.

Michael pchnął drzwi i wszedł do baru. Padłe Osły właśnie skończyły *Nigdy nie pobijesz Irlandczyka* i robiły sobie przerwę na parę kolejek. Mimo to w małej salce w kształcie litery L panował taki zgiełk, że wszyscy musieli do siebie krzyczeć. To było pomieszczenie o niskim suficie i ścianach gęsto obwieszonych fotografiami lokalnych drużyn hurlingu, oprawionymi w ramki czerwonymi koszulkami i drewnianymi plakietkami. Na Michaelu ten lokal zawsze robił klaustrofobiczne wrażenie.

Dostrzegł Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna. Siedzieli przy stałym okrągłym stoliku po prawej stronie baru. W obstawie swoich zbirów. Była z nimi anorektycznie chuda młoda blondynka z dwoma srebrnymi kólkami w dolnej wardze i tatuażami aż do łokci oraz Gwenith, siostra Seamusa Twomeya.

Michael zasalutował im i ruszył do baru. Nikt z nich nie odpowiedział na powitanie. Żona właściciela, Maureen, uśmiechnęła się.

– To co zwykle, Tommy? Coś dziś późno przychodzisz...

Nosiła perukę z czarnymi lokami i niebieską satynową sukienkę z głębokim dekoltem. Nad górną wargą miała wydatny ciemny pieprzyk i Michael zawsze na nim skupiał wzrok, kiedy z nią rozmawiał, żeby nie przyłapała go na gapieniu się w przepastny dołek między jej piersiami, gdzie na złotym łańcuszku dyndał niebezpiecznie malutki Jezusik na krzyżu.

– Robiłem zakupy ciotce – wyjaśnił. – Jest unieruchomiona. Póki co. Upadła, wysiadając z autobusu dwieście dwa. Musieli jej wymienić biodro.

– Dobry z ciebie facet – pochwaliła go Maureen, nalewając mu kufel piwa Murphy. – W tych czasach trudno znaleźć kogoś, kto by coś dla kogoś zrobił. – Podała mu piwo i ruchem głowy wskazała stolik Twomeya. – Siądziesz z nimi? Chyba Seamus chce z tobą pogadać.

W tej chwili Twomey kolejny raz ryknął tym swoim śmiechem.

– A to dobre! Jezu Chryste! Cud, że nie dostałeś po tym sraczki!

Jednak na widok Michaela idącego w kierunku stolika przestał się śmiać. Douglas Quinn, dwóch przybocznych, wytatuowana dziewczyna i Gwenith obejrzeni się i patrzyli, jak się do nich zbliża.

Seamus Twomey nie był wysoki. Miał może metr sześćdziesiąt trzy wzrostu. Spadziste ramiona. Za to głowa była nieproporcjonalnie duża. Łysy. W dodatku wypadły mu brwi, przez co twarz tym bardziej wydawała się bez wyrazu. Miał oczy w kolorze bladej cytryny, a skórę w nienaturalnym odcieniu różu, tak jakby odlano mu głowę z plastiku na drukarce 3D.

W odróżnieniu od niego Douglas Quinn był wysoki, kościsty i nosił długie włosy – niegdyś czarne, a teraz już siwiejące, podobnie jak broda. Miał szpiczasty nos i oczy, które błyszczały spod zmierzwionych brwi, jak u wilka, który obserwuje świat z jaskini, gotów rzucić się na wszystko, co nadawałoby się do zjedzenia, a co nieświadomie by mu się nawinęło. Nawet przyjaciele mówili o nim *An Duine Dorcha*. Ciemny Gość.

Dwaj przyboczni mogliby być bliźniakami. Obaj mieli rude włosy ostrzyżone na zapalkę i twarze przypominające duże guzkowate kartofle. Nosili nawet takie

same opięte czarne T-shirty z irlandzką flagą i napisem *Zatwardziały feniański drań*. Grube karki. Wydawało się, że zaraz pękną na nich koszulki.

Michael spojrział na Gwenith i skrepowany, posłał jej uśmiech. Podejrzewał, że dziewczyna waży przynajmniej dziewięćdziesiąt kilo. Na zniszczonych rozjaśnianiem blond włosach przy skórze widać już było ciemniejsze odrosty. Okrągła jak księżyc w pełni buzia spoczywała na podwójnym podbródku przypominającym księżycowy rogal. Siostra Seamusa miała krótki, płaski jak u mopsa nos i skrzywione, maciupieńkie, karminowe usteczka. Wydawało się cudem, że może nimi aż tyle zjeść. Tego wieczoru ubrała się w fioletowy żakiet z guzikami, które niczym szereg ratowników górskich pomagały podtrzymywać jej ogromne piersi. Czarne rajstopy na nogach były pozaciągane.

– Tommy! Chodź no tu, mam do ciebie pytanie – powiedział Twomey, stukając palcem w blat stołu.

Michael przyciągnął krzesło i usiadł przy blondynce o wytatuowanych rękach. Zauważył, że ma serię ukośnych blizn na lewym nadgarstku, które mogły być śladami po samookaleczeniach.

– O co biega, Seamus? – rzucił, biorąc łyk piwa, żeby wyglądać na wyluzowanego. Jednocześnie kombinował, czy w razie czego zdoła dotrzeć do drzwi, zanim tamte draby o kartoflanych gębach go chwycą.

– Chodzi o naszą Gwenith – odparł Twomey. – Uprzedziłeś się do niej z jakiegoś powodu czy co?

Michael popatrzył na Gwenith, która obserwowała go z triumfalnym błyskiem w oku, a potem przeniósł wzrok z powrotem na jej brata. Douglas Quinn wydawał się bardzo ubawiony; gładził się po brodzie, oczekując odpowiedzi.

– No co ty! – zaprzeczył Michael. – Skąd ci coś takiego przyszło do głowy?

– Wpadłeś jej w oko, odkąd zacząłeś się do nas przysiadać na drinka. Nie mów, że jesteś tak ślepy, by tego nie zauważyć.

– Jasne, jak mógłbym się nie zorientować? Ale wiesz, to twoja siostra, więc nie chciałem się wcinać. Rozumiesz? Z tego, co wiem, ona kręci już z jakimś gościem.

– Gdyby tak było, po co by na ciebie popatrywała? Nie jesteś przypadkiem parową, co?

– A dajże spokój, Seamus. Czy ja wyglądam na jakiegoś pieprzonego chłoptasia?

– No nie wiem, chłopie. Ty mi powiedz. Wiem tylko, że nasza Gwenith podrywa cię jak szalona, a ty nawet nie spytałeś jej, czy miałyby ochotę wybrać się na jakiś film albo spacer za miasto.

Michael wyszczerzył do niego zęby i bardzo starał się nie dać po sobie poznać, że na samą myśl o zabraniu Gwenith do kina albo na wycieczkę robi mu się niedobrze. Zresztą byłoby to już zbyt niebezpieczne. Oczami wyobraźni widział, jak wychodzi z multipleksu z Gwenith, a tu klepie go w plecy jakiś dawny szkolny kolega i zagaduje: „Michael! Kopę lat! Co u ciebie, stary? O matko, co to za lala? Jest się w co wtulić”.

Kumpel Michaela miałby niezłą zabawę, ale jego czekałby niezły łomot, a może nawet śmierć, bo Gwenith na pewno powiedziała by braciszкови, że Tommy to wcale nie Tommy.

– Szczerze mówiąc, Seamus, ostatnio jestem zawalony robotą – powiedział. – Wciągnąłem się w te fuchy przy malowaniu i wykańczaniu domów w Coolroe Court w Ballincollig.

– Ale dziś wieczorem nie będziesz już chyba pracował, co, chłopie? – natarł na niego Twomey.

– No, nie. Pomyślałem, że wpadnę na kilka kolejek. Padam na pysk.

– Nie mów, że jesteś zbyt zmęczony, żeby pofiglować trochę z naszą Gwenith.

Gwenith pociągnęła przez rurkę jaskrawozielone jabłkowe poitini, po czym otarła usta wierzchem tłustego nadgarstka.

– Możemy pójść do mnie, Tommy – powiedziała. – Mam cały serial *Can't Cope, Won't Cope*, mnóstwo do picia i wielką torbę nachos.

– No właśnie – wtrącił jej brat. – Kto by się oparł takiej propozycji.

Michael rzucił okiem na Douglasa Quinna. Po błysku w oczach i zaciśniętych ustach poznał, że facet z całych sił stara się nie parsknąć śmiechem. Obaj przybocznicy mieli obojętne miny, jakby w ogóle nie słyszeli, co proponowała Gwenith, albo nie rozumieli po angielsku.

Dziewczyna wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Michaela. Miała zimne, wilgotne palce, pewnie z powodu złego krążenia. Paznokcie były pomalowane na jaskrawy kolor, ale większość lakieru już poodpryskiwała.

– No to jak, Tommy? – spytała zalotnie.

– No dobra, świetnie – rzucił Michael. – Mieszkasz daleko?

– O, tylko kilka ulic stąd. Na końcu Sprigg's Road. I tak zawiezie nas tam Farry, prawda, Farry?

Jeden z przybocznych potwierdził ledwie widocznym skinieniem głowy.

– Ale mam czas, żeby dokończyć drinka? – zapytał Michael.

– Jasne – mruknął Twomey. – Postawię ci nawet następnego, a może nawet trzeciego. Nie codziennie jakiś gościu uszczęśliwia moją siostrę.

* * *

Gwenith kazała Michaelowi przysunąć się z krzesłem i sięść bliżej. Przywarła udem do jego uda. Pachniała mocno Estée Lauder Beautiful. Znał te perfumy, bo jego poprzednia dziewczyna, Clodagh, ich używała i siedzenie jego samochodu od strony pasażera tak nimi przesiąkło, że nie dawało się tego wywietrzyć przez ponad dwa miesiące po ich rozstaniu. Teraz pod nutą Estée Lauder wyczuwał jednak ślad zapachu siekanej cebuli i oleju do smażenia.

– Jak cię tu tylko zobaczyłam, od razu pomyślałam, że jesteś strasznie fajny – powiedziała Gwenith, wtulając się w niego jeszcze bardziej. – A kiedy zacząłeś coś mówić, to... kompletnie mnie rozwaliło. Mój ostatni chłopak, niezły pistolet, miał odzywki jak jakiś pieprzony Cygan.

– Ty też spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia – zapewnił dziewczynę Michael, świadom, że jej brat słucha uważnie każdego jego słowa. – Ale jak

mówiłem Seamusowi, nie wiedziałem, czy jesteś wolna. Nie chciałem nikomu wchodzić w paradę.

– Och, mnie możesz wchodzić w paradę, kiedy tylko zechcesz, Tommy – wysapała Gwenith, ściskając go za ramię i wydając z siebie dziwny świszczący jęk.

Było już wpół do jedenastej i pub się wyludniał, choć kilku klientów jak zwykle zamierzało zostać do zamknięcia – o drugiej albo trzeciej. Gwenith głośno wciągnęła przez słomkę resztkę poitini i podniosła torbę z podłogi.

– No dobra, Farry, spadamy. Dopijaj i jedziemy.

Przyboczny o imieniu Farry jednym haustem dokończył guinnessa i przeciągle beknął, uderzając się przy tym w pierś. Od przyjścia Michaela wypił ze cztery kufle, a przedtem musiał już wychylić ze dwa, może nawet trzy. Gdyby Michael nie był tajniakiem, kazałby mu oddać kluczyki, a jeśli gość by odmówił i próbował siadać za kierownicą, toby go aresztował.

Kiedy Gwenith i Michael wstali, Seamus Twomey uniósł szklanę.

– Za was! Przyjemnej jazdy. Zobaczymy się jutro, to mi wszystko opowiecie. *Sláinte!*

Wyszli z pubu i ruszyli w kierunku sklepu Centra, przy którym stała zaparkowana srebrna toyota Farry’ego. Na karoserii lśniły krople deszczu. Gwenith usiadła z tyłu. Kołysząc biodrami, przesunęła się głębiej i poklepała miejsce obok siebie, zapraszając Michaela, żeby umościł się przy niej. Farry zapalił, zajął miejsce za kierownicą i wypuszczając z ust obłok dymu, uruchomił silnik.

Zawrócili na Baker’s Road i pojechali ku Cathedral, a Gwenith przyciągnęła Michaela do siebie.

– Co ty na to, żeby trochę zaszaleć, Tommy? Obiecuję, że nie pożałujesz.

Michael zrobił dzióbek, zamknął oczy i pocałował ją. Jej język natychmiast wślizgnął mu się do ust i zaczął wędrować po jego zębach jak zbłąkany morświn.

Jej usta były miękkie, lepkie od taniej szminki, a ślina smakowała jabłkowym poitini. Słodko, trochę jak lekarstwo. Jakby ktoś pomieszał landrynki jabłkowe ze

spirytusem rektyfikowanym i kremem na odparzenia od pieluch.

Uniósł na chwilę powieki i zobaczył w lusterku wstecznym odbicie oczu Farry'ego, który uważnie ich obserwował. Michael wiedział, że jeśli w jakikolwiek sposób zdradzi, że Gwenith wcale mu się nie podoba, a jej pocałunki są dla niego wstrętne, może się to okazać fatalne w skutkach. Odwzajemnił pocałunek, mocno, a potem chwycił jej lewą pierś i pieścił, choć przez podtrzymujący biustonosz była tak twarda, że przypominało to pieszczenie piłki futbolowej.

– Och, Tommy – szepnęła mu do ucha.

Wzięła go za nadgarstek, oderwała jego dłoń od piersi i poprowadziła pod skórzaną minispódniczkę, głęboko między uda.

– Czujesz? – spytała, dociskając jego palce do swoich majtek. – Moja myszka jest całkiem mokra.

Znów spojrzał na odbijające się w lusterku wstecznym oczy Farry'ego i starał się myśleć o wszystkim, byle nie o wilgotnych nylonowych majtkach Gwenith. Przypominał sobie szkolenia, które przechodził w Garda College w Templemore. Uczono go, jak sobie radzić z terrorystą w pasie szahida, ale nie dostał żadnych wskazówek, jak bronić się przed napaloną grubaską, której brat jest chodzącym na swobodzie wielokrotnym zabójcą.

– Gwenny, Jezu, jesteś niesamowita – powiedział, pocierając wte i wewte czubkiem środkowego palca po zagłębieniu w śliskich majtkach. – Jeszcze nie spotkałem dziewczyny, która byłaby gotowa tak szybko jak ty.

Farry znów beknął. A Michael pomyślał, że po tym, co przed chwilą powiedział, nie ma o to do tego drania żalu. Jeśli miałby być szczery, dziwił się, że gość się nie porzygał.

Dotarli na koniec St Enda's Road i skręcili w Sprigg's, gdzie okna szeregowych domów wychodziły na rozległe porośnięte trawą zbocze. Farry podjechał do końca drogi, zatrzymał samochód i wygramolił się zza kierownicy, żeby otworzyć drzwi Gwenith. Nadal padało, ale trochę mniej. Zanim wsiadł z powrotem do toyoty, podszedł do Michaela.

– Będziesz dla niej dobry, co, Tommy? Potraktujesz ją jak księżniczkę, jasne? Żadnych numerów, bez ściemy.

– Seamus kazał ci to powiedzieć? – spytał Michael.

– Seamus nie jest ślepym kotkiem, Tommy. Wie, jaka ona jest gruba i czemu rzadko udaje się jej zaciągnąć faceta do łóżka. Jezu, to nie miss świata. Ale wyświadczasz mu przysługę, co nie? I wiesz, on ci tego nie zapomni.

– Chodź już się ciupciać, dobrze? – ponagliła go Gwenith. Czekala na Michaela na stopniach pod domem. – Robię się mokra na zewnątrz tak samo jak w środku!

Michael nie odpowiedział nic Farry'emu, ale skinął głową na znak, że rozumie, a potem przebiegł jezdnię, by dołączyć do Gwenith.

Rozdział 7

Katie zamknęła raport, nad którym pracowała, wyłączyła komputer i zdecydowała, że czas wracać do domu. Było dwadzieścia siedem po dziesiątej; dziwne, że O'Donovan jeszcze się do niej nie odezwał. Zastanawiała się, czy do niego zadzwonić, ale zawsze można było na nim polegać, więc jeśli się z nią nie skontaktował, to na pewno nie bez przyczyny.

Wzięła płaszcz z wieszaka i zapinała guziki, gdy do drzwi zapukał Bill Phinner.

– Siedzisz do tak późna, Bill. Chyba nie pokłóciłeś się z żoną, co? – zagadnęła.

– Jeśli mam być szczery, to pracowaliśmy nad pociskiem znalezionym w domu Jimmy'ego Ó Faoláina i nie zdawałem sobie sprawy, która to godzina.

Uniósł pocisk w plastikowej przezroczystej torebeczce na dowody. Wyglądał jak malutka srebrna stokrotka ze ściągniętymi do tyłu płatkami.

– I co? Zidentyfikowaliście go?

– Tak sądzimy, tak. Wróciliśmy na miejsce i zrobiliśmy trochę pomiarów, a potem przeprowadziliśmy symulację na prowizorycznym modelu. Oczywiście niepełnym, tylko dla orientacji. Z drzwiami i ścianą z kafelkami tego samego gatunku. Wystrzelaliśmy najprzeróżniejsze rodzaje pocisków przez drzwi, żeby odbiły się rykoszetem od ściany, i dokonaliśmy porównań.

– No i?

– Poczekajmy, aż dostaniemy pozostałe sześć pocisków od doktor Kelley, nim ustalimy coś ostatecznie. Bo tamte nie będą tak zdeformowane. Nie mam jednak wielkich wątpliwości. Sądzę, że to trzystapięćdziesiątkasiódemka sig hollow

point. Mogłyby to być również czterdziestki smith and wesson hollow point, ale trzystapięćdziesiątkasiódemka pasuje bardziej. Próbowaliśmy wielu różnych typów broni. Z tego, gdzie trafiły pociski, i z rowkowania na płaszczu pocisku mamy niemal pewność, że strzelano z sig sauera P dwieście dwadzieścia sześć.

– Czyli jednego z najbardziej popularnych pistoletów na świecie – podsumowała Katie. – Nawet nasze regionalne grupy wsparcia takie mają.

– Jasne. Ale przynajmniej wiemy, jakiej broni szukać, i możemy poprosić, żeby każdy, kto widział u kogoś coś w tym rodzaju, dał nam znać. Jeśli będziemy mieli w ręku pistolet, bez trudu poznamy, czy to z niego wystrzelono te pociski.

– Dobra, Bill, dzięki. Nie będę mówić o igłach w stogu siana, to dopiero początek. Nie znaleźliście żadnych innych śladów w domu?

Phinner pokręcił głową.

– Nic a nic. Dość niezwykła sytuacja. Każdy zostawia coś po sobie, gdziekolwiek jest. Nawet jeśli to nie więcej jak pół śladu podeszwy, parę drobinek łupieżu, mikroskopijna smużka smarków na ścianie po kichnięciu. – Pomachał torebką z dowodem. – Ale jutro rano znów pošlę Jonesa i O’Keefe’a do Woodhill Park. Każę im raz jeszcze dokładnie przebadać każdy centymetr kwadratowy Coherent TracERem. Nigdy nie wiadomo. Może jednak coś przeoczyliśmy. Jakiś rudy włos na czerwonym dywanie. Zdarza się.

– Życzę powodzenia – powiedziała Katie. – Lepiej, żeby już zbierała się do domu. Umieram z głodu. Zjadłabym konia z kopytami.

* * *

Jechała N25 w deszczu i właśnie mijala Slatty Water, gdy jej telefon zagrał melodyjkę *Siúil A Rún*, piosenki ze słowami *Przyjdź cicho, mój ukochany, uciekniemy razem...*

– Tu O’Donovan, pani nadkomisarz. Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale razem ze Scanlan goniliśmy w kółko jak wariaci.

– I co tam, Patrick? Rozmawiałeś z panią O’Regan?

– Nie do wiary, ale nie byliśmy w stanie jej znaleźć. Pojechaliśmy na St Christopher’s Road, ale niestety, w domu nie zastaliśmy nikogo. Jeden z sąsiadów twierdzi, że widział Moirę O’Regan, jak około wpół do drugiej odjeżdżała gdzieś z dwójką dzieci rodzinnym samochodem. Od tamtej pory nie wróciła.

– Przypuszczam, że próbowaliście do niej dzwonić.

– Oczywiście, telefonowaliśmy wielokrotnie, wysyłaliśmy esemesy. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Najpierw więc pojechaliśmy do domu rodziców Kierana w Mayfield. Od jakiegoś tygodnia się do nich nie odzywał. A z Moirą i dziećmi nie mieli żadnego kontaktu jeszcze dłużej. Ale przynajmniej dali nam adres i numer telefonu matki Moiry, która mieszka w Togher.

– Ale i ona nie widziała Moiry?

– Córka dzwoniła do niej rano. I to było bardzo dziwne. Najwyraźniej płakała, ale kiedy matka spytała, co się z nią biedną dzieje, nie chciała powiedzieć. W kółko powtarzała tylko: „Nie mogę, nie mogę, nie wiem, co by mu zrobili”.

– I jakie są twoje wnioski? – spytała Katie, skręcając z N25 w Cork Road i kierując się na południe do Cobh.

– Trudno powiedzieć na pewno – odparł detektyw O’Donovan. – Ale jeśli ten gość bez głowy to rzeczywiście Kieran O’Regan, domyślałbym się, że został porwany przez kogoś, kto mu groził, a jego żona o tym wiedziała.

– Też tak sądzę. Musimy ją znaleźć, Patrick, i to szybko. Jeśli ma choćby najbledsze pojęcie o tym, kto go zabił, to sama jest teraz w poważnym niebezpieczeństwie.

– Jej matka dała nam listę braci i sióstr Moiry, i wszystkich przyjaciół, którzy jej tylko przyszli do głowy, więc na tym się skupiliśmy. Dzwoniliśmy albo jeździliśmy do nich. Właśnie wracamy z Mallow. Widzieliśmy się z ostatnią osobą z listy, najlepszą przyjaciółką Moiry ze Scoil Mhuire.

– Dziś wieczorem na służbie jest sierżant Mulvaney, prawda? Poinformowaliście go o wszystkim?

– Tak, jasne. Przesłaliśmy mu już najnowsze zdjęcie Moiry i dzieci, podaliśmy numery rejestracyjne jej samochodu. Granatowa honda civic,

trzyletnia.

– Dobra, Patrick, dzięki. Będę jutro z samego rana, pogadamy.

Dojechała już do Carrig View. Światła Monkstown po drugiej stronie rzeki Lee migotały i połyskiwały odbite w wodzie. Tam mieszkał jej ojciec, tylko pięć minut promem stąd. Nagle poczuła wyrzuty sumienia, że nie odwiedziła go już niemal od miesiąca. Skręciła w podjazd, gdzie stało już zaparkowane czarne audi Q7 Conora, wyłączyła wycieraczki i silnik. Chwilę siedziała w milczeniu, starając się wyciszyć, nie myśląc o niczym.

Krople deszczu kapały z cisowego żywopłotu obok szyby samochodu. Spokój, pomyślała. Cisza. Ale nie minęło pół minuty, a w jej iPhone'ie znów odezwało się *Siúil A Rún*.

– Conor?

– Wchodzisz czy nie? Czekałem tu cały wieczór z niespodzianką.

– Przepraszam. Już idę. Doszłam właśnie do trzeciej *bhumi*, żeby osiągnąć *ksanti*.

– Że co? A, *ksanti*. Powinienem się być domyślić. To coś pomaga, cokolwiek to znaczy?

– Chyba tak. *Ksanti* daje bezgraniczną cierpliwość, a ja na ciebie nie krzyczę, prawda?

Wysiadła z auta i podbiegła do ganku, gdy Conor otwierał już drzwi. Wciągnął ją do środka, pomógł zdjąć płaszcz i powiesił go.

– Witaj w domu – powiedział, biorąc ją w ramiona. – Widzę, że miałaś upiorny dzień.

Wtuliła się w niego mocno, przyciskając policzek do jego piersi. Przy nim zawsze czuła się tak bezpiecznie, nie tylko dlatego, że był wysoki i muskularny. Ze swoim prostym nosem i ciemną brodą przypominał jej jednego z mitycznych rycerzy. Najbardziej chyba Seána Ruadha, trzynastego syna króla krainy Erin, który rozplątał na pół wygłodzonego morskiego węża, by uratować księżniczkę, nie mówiąc już o ścięciu głów dwudziestu śmiałkom, którzy odważyli się kłamliwie głosić, że to oni ją wybawili.

Uwielbiała też zapach Conora. Chanel Bleu i jego samego.

– Jakież postępy? – zapytał.

– W sprawie Ó Faoláina? Nie ma o czym mówić.

– A co z tym twoim przyjacielem bez głowy z cmentarza w Kilcully?

– Tu też nic nie zwojowaliśmy, choć jutro powinniśmy mieć jakieś wyniki DNA. Biedni Patrick i Padragain całe popołudnie miotali się po mieście, żeby sprawdzić, czy to naprawdę Kieran O'Regan. Cały dzień bezsensownej zabawy w kotka i myszkę.

– A gdyby to nie była zabawa w kotka, tylko w pieska?

Katie rozpromieniła się.

– Masz jakieś wiadomości o Barneyu?

– Nawet coś więcej. Chodź do salonu, pokażę ci.

Dopiero teraz Katie zauważyła, że drzwi do pokoju są zamknięte, choć zwykle stały otworem, chyba że był środek zimy, kiedy wiał północno-zachodni wiatr i w korytarzu robił się przeciąg.

– Co ty kombinujesz, Conor?

Otworzył drzwi. W kominku trzaskał ogień, na stoliku w kubelku z lodem chłodziła się butelka szampana, a obok stały przygotowane dwa wąskie kieliszki. Katie jednak ledwie na to spojrzała, bo kiedy weszli do środka, z legowiska przed kominkiem podniósł się rudo-biały seter i przydreptał do nich. Oczy patrzyły wesoło, a ogon chodził na boki.

– O dobry Boże – szepnęła Katie i zalała się łzami. – Dobry Boże, Conor, jaka piękna! Bo to suczka, prawda?

– Tak, tak. Nie ma wątpliwości. Co więcej, jest twoja.

Gdy przyklękła na dywanie, seterka podeszła, powąchała jej dłoń i polizała. Katie głaskała ją po łbie i delikatnie drapała za uszami, a suczka węszyła i wykonywała radosny taniec, przytupując przednimi łapami.

Katie nie widziała wielu rudo-białych seterów w życiu, bo do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku ta rasa właściwie zanikała, póki irlandzki związek kynologiczny nie podjął wysiłków, by ją odrodzić. To były psy

myśliwskie, posłuszne i serdeczne, a ta suczka miała wszelkie cechy swojej rasy: bujny jak pióropusz ogon i długą, jedwabistą, perłowobiałą sierść zdobioną rudymi łatami na grzbiecie, przy pyszczku i na uszach.

– Nie wiem, co powiedzieć, Con – wybąkała Katie. Wstała i wyciągnęła pogniecioną chusteczkę, by otrzeć łzy. – Gdzieś ty ją znalazł? Jest cudowna.

Seterka stała blisko i patrzyła jej w oczy, jakby martwiła się reakcją swojej nowej pani. Katie nie mogła się powstrzymać i znów pogłaskała łeb suczki, unosząc jej długie kosmate uszka.

– Nic mi nie jest, kochanie – zapewniła. – Tylko że wujek Conor mówił mi o niespodziance, ale nigdy w życiu nie domyśliłabym się, że to będziesz ty.

– Dostałem ją od znajomego weterynarza z Limerick, Nialla Mac Seáina. Miał wobec mnie stary dług wdzięczności. Z jego kliniki skradziono trzy cenne charty perskie, a ja je dla niego wytropiłem. Jest śliczna, prawda? Ma trzy lata, jest zaszczepiona i zaczipowana, i odrobaczona też. Jej właściciel wyjeżdża do pracy za granicę. Poszukiwał kogoś, kto by ją zaadoptował. Niall mówił, że jest dobrze wychowana i zadbana.

– Tylko co pomyśli sobie Barney, jak wróci do domu? – zaniepokoiła się Katie. A po chwili milczenia dodała: – Bo on wróci, prawda?

– Nie mam co do tego wątpliwości, kochanie – zapewnił Conor. – Właściwie to wziąłem ją ze względu na Barneya, żeby miał dziewczynę, która dotrzyma mu towarzystwa podczas rekonwalescencji. Ciebie całe dnie nie ma w domu, a on będzie potrzebował mnóstwa wsparcia i czułości. Ta młoda dama może go pocieszyć, kiedy ty w pracy będziesz ścigać swoich łotrów.

– Tylko że ona też musi się wybiegać – zauważyła Katie. – Widziałam raz takiego psa na plaży w Dingle. Wystartował jak pocisk i po chwili widać już było tylko małą rudo-białą plamkę w oddali. Barney nieźle biega, ale przy tamtym psie można by uznać, że porusza się jak ślimak na czterech łapach.

– Nie martw się tym. Gadałem z sąsiadką, Jenny Tierney. Mówiła, że z przyjemnością będzie ją wyprowadzać, kiedy mnie nie będzie. Tak między

nami, mam wrażenie, że ona przy okazji spacerów z psami spotyka się z pewnym starszym facetem na końcu Rinacollig.

Katie znów przyklękła i objęła szyję seterki.

– Już ją kocham. Jak ma na imię?

– Foltchain, co znaczy „piękne włosy”. Niall mówił, że tak nazywano Fliodhais, boginię, która była kochanką Fergus mac Róicha. Każdej nocy, kiedy nie mógł jej osiąść, musiał szukać zaspokojenia u siedmiu innych kobiet.

– Matko Boska, mam nadzieję, że Barney jakoś temu sprostą.

* * *

Gdy Conor otwierał szampana, Katie przebrała się w puchaty różowy szlafrok. Przygotował kanapki z wędzonym łososiem. Wiedział, że tak późno Katie nie będzie mieć wielkiego apetytu.

– Psujesz mnie – powiedziała, wciągając bosa stopy na kanapę.

Conor pocałował ją.

– Zasługujesz na to, żeby cię psuć. Tyle robisz dla innych. A poza tym jesteś najbardziej pociągającą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

Foltchain leżała zadowolona na dywaniku przed kominkiem, choć od czasu do czasu łypała w kierunku Katie i Conora, jakby sprawdzała, czy nadal tu są, czy w magiczny sposób nie znikną, zostawiając ją samą.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Nie będziemy oskarżać Zezowatego McManusa – odezwała się w końcu Katie.

– Żartujesz!

– Nie. Komendant poinformował mnie o tym. Dziś po południu. Że niby nie mamy środków finansowych, by przejmować się psami. Poza tym McManus dostałby najwyżej po łapach i co to da? Zarabia krocie na walkach psów. On i cała reszta tych sadystycznych palantów.

Conor pokręcił głową.

– Nie do wiary. Gość organizuje rozrywanie żywcem psów na strzepy, nie mówiąc już o katuszach, na jakie je skazuje podczas tresury, i nawet nie zapłaci grzywny? Powinno się go powiesić, włączyć koźmi, poćwiartować, wykastrować i skazać na wieczne potępienie.

– Mówiłam MacCostagáinowi, że jestem wściekła, kochanie, ale to nic nie zmienia. Jak nie ma pieniędzy, to nie ma. A mogłabym się założyć, że Zezowaty McManus wynająłby sobie najdroższych adwokatów.

– A co na to inspektor Carroll?

– Nie miałam jeszcze czasu z nim porozmawiać, coś okropnego. Będzie strasznie rozczarowany, to jasne.

Conor popijał małymi łykami szampana. Sięgnął po kanapkę.

– Ktoś musi coś z tym zrobić. Niall twierdzi, że McManus za jakieś dwa tygodnie organizuje wielkie walki psów. Zgadnij, z jakiej okazji? By uczcić ślub córki. Szykuje się krwawe cygańskie wesele.

– Nie wiem, co możemy zrobić poza przerywaniem walk, kiedy tylko dostajemy cynk, że coś takiego się odbywa.

Katie przysunęła się i oparła głowę na ramieniu Conora, który w milczeniu szybko, ze złością żuł kanapkę.

– Nie wściekaj się za bardzo. – Pogładziła go po dłoni. – Jeśli w tej pracy czegoś się nauczyłam, to tego, że nie jesteśmy w stanie zrobić porządku ze wszystkim, co by tego wymagało, a nawet gdybyśmy mieli możliwość to zrobić, często nie pozwala nam na to prawo. I właśnie o to chodzi w *ksanti*. O akceptację. Cierpliwość.

– I co, jak się poczeka dość długo na brzegu rzeki, to w końcu zobaczy się płynące nią ciała wrogów?

– Coś w tym rodzaju.

– Ale ile jeszcze psów skona w męczarniach, kiedy będziemy czekać na dryfującego Zezowatego McManusa?

Katie pocałowała go w policzek.

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, Conor. Ale któregoś dnia go dopadniemy, zobaczysz.

* * *

Tej nocy, gdy oddech leżącego obok Conora stał się głęboki i zwolnił, Katie usiadła na łóżku i zaczęła wsłuchiwać się w deszcz. Wcześniej dobiegły ją dźwięki z kuchni. Stukot pazurków Foltchain na kafelkach. Ale teraz suczka najwyraźniej już się uspokoiła i zasnęła.

Mimo że Katie tyle mówiła Conorowi o cierpliwości i akceptacji, żołądek skręcał się jej z nerwów. Dawno nie czuła takiego niepokoju. Nie mogła zapomnieć o zabójstwie Jimmy’ego Ó Faoláina, a im więcej o tym myślała, tym bardziej była rozedrgana. Wydawało się, że wszyscy lubili tego faceta. Z zamordowaniem go musiał się wiązać jakiś mroczny sekret. Do podobnego zabójstwa doszło pięć lat temu, kiedy zastrzelono popularnego deputowanego z Cork. Dopiero po jego śmierci okazało się, że brał łapówki sięgające kilkudziesięciu tysięcy euro za udzielanie pozwoleń na budowy i inne przysługi polityczne.

Katie nazywała to u siebie przecuciem „wielkanocnych kurczaków”. Lata temu, kiedy była żoną Paula, kupiła kurczaka z wolnego wybiegu. Wydawał się pulchny i zdrowy, ale gdy rozcięła sznurek, którym miał związane nogi, odkryła, że w środku jest mnóstwo wijących się robaków.

Podobnie martwiła się ciałem bez głowy, należącym do funkcjonariusza Kierana O’Regana albo i nie. Ponieważ jednak jego żona i dzieci zniknęli, Katie była niemal pewna, że to on. A jeśli tak, Bóg jeden wie, do czego to prowadzi.

Siedem miesięcy temu w swój dzień wolny funkcjonariusz O’Regan jechał do Kinsale. Zatrzymał się, żeby się czegoś napić, w pubie Babbling Brook w Riverstick i tam wśród gości rozpoznał słynnego w Cork handlarza narkotyków, Jera Brogana. Wdał się z nim w rozmowę, sugerując, że sam jest typkiem spod ciemnej gwiazdy. Brogan w tym czasie powinien odsiadywać

trzyletni wyrok w więzieniu przy Rathmore Road, a nie szlając się po barach. Sprzedał krystaliczną metamfetaminę jakiejś dziewczynie w nocnym klubie i młoda kobieta zmarła tej samej nocy na zawał serca.

Pijany, przechwalający się Brogan wyjawiał O'Reganowi, że dzięki łapówkom i groźbom udało się przekonać eskortę wiozącą go do więzienia, żeby go puściła. W dodatku jeden z wyższych stopniem funkcjonariuszy zakładu karnego sfalszował zapisy w księgach. Figurowało tam teraz, że w związku z agresywnym zachowaniem skierowano Brogana do placówki o ostrzejszym rygorze – więzienia Mountjoy w Dublinie. A tak naprawdę mieszkał nadal u siebie w Blackpool i nie zamierzał spędzić ani chwili za kratami. Przyznał też, że nie jest jedynym dilerem z Cork, któremu upiekła się zasądzona odsiadka.

Po rozmowie z Broganem O'Regan przeprowadził własne śledztwo, by ustalić, kto stał za groźbami i łapówkami pozwalającymi skazanym kryminalistom uniknąć więzienia. Kiedy uznał, że zebrał dość materiału dowodowego, przedstawił to, co usłyszał od Brogana, Josephowi O'Malleyowi, szefowi wydziału wewnętrznego.

Miał składać zeznania przed komisją na zamku w Dublinie, której przewodniczył sędzia Peter McGuigan. Choć bardzo niewiele szczegółów sprawy wyciekło dalej, szeptano po kątach, że jego odkrycia spowodują prawdziwe trzęsienie ziemi.

Najbardziej niepokoiło Katie to, kto mógł go zabić. Flet wetknięty w szyję sugerował dobitnie motywy. Tylko czy zamordowali go członkowie gangu narkotykowego, żeby nikt nie dowiedział się, kto konkretnie przekupuje funkcjonariuszy więziennych, czy też pracownicy więzienia albo ktoś z Garda Síochána? Najczarniejszy scenariusz byłby taki, że zorganizowały to wszystkie trzy strony.

Katie znów się położyła i umościła na poduszce. Deszcz dalej bulgotał w rynnie za oknem. Miała wrażenie, że pada w jej głowie.

Położyła dłoń na nagim ramieniu Conora. Poruszył się.

– Mmm... zaczekaj – zamruczał.

Rozdział 8

Gwenith otworzyła drzwi mieszkania na drugim piętrze i wpuściła Michaela. Wąski korytarzyk wydawał się jeszcze ciaśniejszy z powodu mnóstwa płaszczy i kurtek wiszących jedna na drugiej. Na podłodze wały się znoszone buty, a także jakieś koperty – poczta, której Gwenith nie potrudziła się pozbierać.

– Masz chęć na działkę, Tommy? – spytała, wyswobadzając się z płaszcza. Próbowała go powiesić, ale spadł na podłogę i tam go zostawiła.

Michael zdjął puchówkę i rzucił ją na płaszczyk Gwenith.

– Chodź, chodź, chłopaku – zachęcała go. – Rozgość się.

Wszedł do salonu i Gwenith pozapalała lampy. Tu panował jeszcze gorszy bałagan niż w korytarzu. Cuchnęło palonym ziołem i olejem do smażenia. Przy jednej ścianie dominował ogromny płaski telewizor Sony. Poza tym w pokoju stały obita kremowym skajem kanapa i dwa fotele nie do pary. Jeden z drewnianymi oparciami na łokcie, na drugim siedzisko było podarte. Ze szczeliny sterczało brązowe włosie z wypełnienia. Michael nie mógł stłumić skojarzenia, które się mu nasunęło, ze slangowym powiedzonkiem „pęknięta sofa” – określającym grubaskę w majtkach odsłaniających krocze.

Kanapa i fotele były zarzucone stertami swetrów i rajstop, wymiętolonymi magazynami „VIP” i pudełkami po pizzy. Na środku owalnego stolika stała wielka szklana popielniczka pełna powyginanych petów, dokoła niej leżały wygniecione bibułki do skrętów i zdrapki, opakowania po batonach czekoladowych Tayto nadziewanych chrupkami serowo-cebulowymi oraz szczotka z wplątanymi w nią blond włosami.

Jaskrawozielone luźno tkane zasłony zwisały smętnie, bo plastikowe żabki puściły w wielu miejscach. W ciemnościach na zewnątrz Michael widział migające do niego z oddali światła centrum miasta i marzył, żeby znaleźć się teraz gdziekolwiek, byle nie tu z tą kobietą.

– Klapnij sobie – powiedziała Gwenith, zgarniając naręcze ciuchów i gazet i rzucając je za kanapę. – Mam piwko Murphy’s, jeśli chcesz. Zauważyłam, że zawsze je pijesz.

– Dzięki wielkie – bąknął Michael, siadając. – Murphy’s. Cudownie, dzięki.

– Jesteś grzeczniutki jak na chłopaka z Hollyhill – zauważyła Gwenith. – I żadnych kolczyków w uszach, żadnych tatuaży, a za strzyżenie musiałeś zapłacić chyba z dwadzieścia euro. To dlatego od razu mi się spodobałeś. Ten koleś ma klasę, pomyślałam. Nie to co te palanty, z którymi się zwykle prowadzam.

– Wiesz, przekonałem się, że wszystko idzie jak z płatka, każdy kit można wcisnąć, kiedy człowiek wygląda modnie i ładnie się wysławia – powiedział Michael.

Gwenith poszła po drinki, a on rozglądał się po pomieszczeniu, siedząc sztywno na kanapie. Nie miał ochoty się opierać, bo skaj aż lepił się od brudu, a kiedy Michael się odchylił, dostrzegł w dodatku wystający spod jakiegoś czasopisma wielki biały biustonosz, którego znoszone ramiączka były pożółkłe od potu.

Na ścianie naprzeciw niego wisiał trójwymiarowy portret Chrystusa z uniesioną dłonią, patrzącego na niego ze smutkiem, jakby mówił: „Co ty tu robisz, synu, z tą tłustą fleją?”.

Gwenith wróciła i podała Michaelowi zmrożoną butelkę. W drugiej dłoni trzymała wielki kufel wypełniony w połowie brązową pianą.

– Co ty tu masz? – zapytał.

Zrobiła trochę więcej miejsca na kanapie, zrzucając kolejne rzeczy, i usiadła obok, przyciskając się do niego udem.

– Johnny jump-up, czyli guinness z cydrem. Nie masz przypadkiem papierosa, co? Trochę się zasapałam. Chętnie bym się sztachnęła.

Michael wyciągnął z kieszeni paczkę i wyjął dwa papierosy. Oba wsunął do ust i zapalił, po czym podał jednego Gwenith. Zaciągnęła się głęboko i popatrzyła przeciągle na Michaela, wypuszczając dym z nozdrzy.

– Kręcisz z kimś, Tommy? – Z każdym słowem wydychała więcej dymu. – Nie ściemniaj. Takie ciacho jak ty...

– Spotykałem się z taką jedną w Dublinie. Ale od powrotu do Cork z nikim nie jestem.

Upiła trochę z kufla i otarła usta rękawem.

– Więc nie masz powodu się hamować, co?

Nie, żadnego, dziewucho, poza tym, że wyglądasz jak hipopotam w mini i pachniesz jak pub dwie godziny po zamknięciu.

– Wiesz, z kim zrobiłam to po raz pierwszy? – zagadnęła Gwenith. – Z ojcem Kennedym, po lekcji religii. Wyglupiałam się w klasie, więc zabrał mnie do swojego gabinetu, zamknął drzwi i powiedział, że mam w sobie diabła i to jedyny sposób, żeby go ze mnie wypędzić. Tłumaczył, że jako duchowny ma w sobie Ducha Świętego i może mi go zaszczepić. To miało pomóc mi pozbyć się diabła i stać się czystą. Coś w rodzaju szczepionki, kapujesz?

– Ile miałaś lat? – rzucił, ale od razu poczuł, że to pytanie pasuje bardziej do policjanta niż ulicznika z Hollyhill, więc szybko dodał: – Te cholerne popieprzone klechy... powinni poucinać sobie jaja i nakarmić nimi pieprzone siostrzyczki.

– Jedenaście. Ojciec Kennedy uprzedził mnie, że nie wolno mi pisać o tym nikomu ani słówka, nawet tacie, mamie czy braciom, inaczej to nie zadziała i diabeł znów we mnie wskoczy, zanim zdążę się przeżegnać.

– On jeszcze żyje... ten ksiądz? – spytał gniewnie Michael. – Jeśli tak, to pójdę i dam mu za to, co ci zrobił, taki wycisk, że się zesra.

– O, chyba umarł lata temu. Tak czy inaczej, nie ma sensu tego rozpamiętywać. O dziewictwie lepiej nie mówić. Jak się je straci, to nie da się

tego cofnąć.

Siedzieli przez chwilę, pijąc w milczeniu. Słyszeli, jak za ścianą kłóci się jakaś para. Coś huknęło, jakby upadło kopnięte krzesło.

– To Dolanowie – powiedziała. – Stale się awanturują. Nie wiem, dlaczego ona wciąż z nim jest. Kompletny idiota. Może zagłuszemy ich, jak zaczną trzeszczeć sprężyny w łóżku.

Michael kończył już piwo i rozpaczliwie próbował wymyślić coś, co usprawiedliwiłoby jego wyjście albo przynajmniej odroczyło nieuchronną mękę. Uniósł pustą butelkę.

– Chętnie bym się jeszcze trochę napił, jeśli to nie kłopot.

Wstała, wzięła od niego butelkę i odstawiła na stolik.

– Później – zdecydowała. – Najpierw trochę popracujmy na pragnienie, dobrze?

Złapała go za ręce i napierając na niego piersiami, pociągnęła, żeby wstał. A potem zarzuciła mu prawą rękę na szyję – musiał się nachylić – i wpiła się w jego usta. To był pocałunek głębszy, dłuższy i bardziej soczysty niż ten na tylnym siedzeniu samochodu Farry’ego. Michael chwycił ją za biodra, bo miał wrażenie, że tonie, i musiał przytrzymać się czegoś, żeby całkiem nie pójść na dno. Kiedy wreszcie jej język przestał penetrować wnętrze jego ust aż do gardła i na zakończenie cmoknęła go wilgotnymi wargami, uśmiechnął się bezradnie.

– Jezu, to było coś – wysapał, starając się złapać oddech.

– Czekaj, to dopiero początek, zobaczysz, mały. Jeszcze nawet nie zaczęłam. Jak z tobą skończę, będziesz się czuł, jakby wylizały cię syreny.

Jasne, Gwenith, a jeśli ty choć trochę przypominasz syrenę, to pewnie będę cały cuchnął śledziami, pomyślał.

Złapała go mocno za rękę i zawlokła do sypialni. Potknął się o zagięty dywan. Łóżko nie było pościelone. Poduchy sfilcowane, pomięta pościel, na podłodze leżała poplamiona, błyszcząca, różowa kołdra. Po obu stronach łóżka stały szafki nocne, a na nich lampy. I na każdej były filiżanki po herbacie, szklanki po piwie

i przesypujące się popielniczki, jeszcze więcej papierków po czekoladkach, a na jednej – dwa niebieskie aplikatory tamponów.

Okno zasłaniały różnokolorowe żaluzje, niektóre paski były powyginane, niektórych brakowało. Na ścianie nad rzeźbionym drewnianym wezglowiem wisiały kolejny trójwymiarowy obraz święty – *Ostatnia wieczerza* – oraz postrzępiony plakat lokalu Black Dog Saloon & Mezcaleria oprawiony w plastikową ramę.

Gwenith puściła jego dłoń, rozpięła fioletowy zakiet, zdjęła go i cisnęła na podłogę. Następnie podeszła do Michaela i zajęła się sprzączką jego paska. Chwyła go przez dzinsy tak mocno, że aż się skrzywił, a nawet zakaszła.

– Co jest, Tommy? – Uśmiechnęła się, ocierając się nosem o jego policzki i szarpiąc guziki rozporka. – To chyba nie z zimna, co? Chodź, rozgrzeję cię, zaraz wycisnę z ciebie siódme poty.

Dzinsy opadły mu do kolan, a Gwenith zaczęła miętosić go przez bokserki w biało-czerwone paski.

– Dobrze widzieć, że trzymasz, z kim trzeba – powiedziała, mając na myśli biało-czerwone stroje zawodników klubu Cork. – Wiesz, Seamus szalał na punkcie hurlingu, jak był w szkole. Teraz kija używa tylko do rozwalania łbów.

Pomimo groźby czającej się za tym stwierdzeniem i wielkości nacierającego na niego czarnego biustonosza godnego piersi walkirii, penis Michaela zaczął twardnieć, a wtedy dziewczyna zabrała się za niego ze zdwojoną siłą. Ściągnęła mu bokserki, złapała za penisa i zaczęła pocierać go wściekle wte i wewte, wbijając mu przy tym paznokcie w skórę. Lewą ręką bawiła się jego jądrami, jakby to były kule bilardowe w bawełnianym woreczku.

– No, dawaj, Tommy, nie zdejmiesz mi stanika? – wydyszała mu prosto w ucho. – Spodziewam się trochę wzajemności.

Zamrugął i skrzywił się znowu, gdy zaczęła żonglować jego jądrami z jeszcze większym entuzjazmem, jakby to mogło go zachęcić.

– Jasne, pewno – wymamrotał, sięgając za jej pulchne ramiona, aż namacał trzy haftki z tyłu. Zawsze szczylił się tym, że potrafi szybko rozpiąć lasce

biustonosz, ale pasek stanika Gwenith był tak napięty jak liny mostu wiszącego, więc Michael nie mógł zastosować swojej zwykłej techniki ślizgu.

– Matko Boska, Tommy – zniecierpliwiła się Gwenith.

Puściła penisa, odepchnęła ręce Michaela i burcząc, sięgnęła za siebie. Stanik spadł i wyleciały z niego dwie wielgachne piersi – miękkie, ciężkie, kołyszące się, o sztywnych sinawych sutkach obwiedzionych ciemnymi kółeczkami wielkości podkładek pod kufle. Michael chwycił je i mimowolnie zastanowił się, ile mogą ważyć.

– Och, Tommy, jesteś taki podniecający – wysapała i popchnęła go na łóżko. Po ściągnięciu mu sportowych butów zsunęła jego spodnie i bokserki aż do kostek i kilkoma brutalnymi szarpnięciami wyswobodziła z nich stopy Michaela. Nie zawracała sobie głowy, by zdjąć mu beżowy bawełniany sweter czy koszulę. Rozpięła suwak swojej skórzanej mini i zaczęła ściągać z siebie pozaciągane czarne rajstopy. Pod wydętym brzuszyskiem ukazała się wydepilowana cipka udekorowana szeregiem czerwonych i zielonych brylancików. Gwenith wdrapała się na Michaela. Materac chodził jak trampolina.

– No dalej, tylko mi tu nie wymiękaj – ostrzegła.

Penis Michaela zaczynał się kurczyć, więc znów nim poruszała i possała go mocno, zostawiając ślad karminowej szminki na skórze.

Kiedy odpowiednio stwardniał, złapała go i wprowadziła sobie do środka, wtykając go do oślizgłej waginy; w skupieniu marszczyła przy tym czoło. Kiedy penis znalazł się już we właściwym miejscu, nachyliła się i zaczęła poruszać się w górę i w dół. Piersi dyndały, ocierając się o jego sweter. Od czasu do czasu odciskała mokry pocałunek na jego wargach i wpychała mu język do ust, ale szybko zaczęła ciężko dyszeć. Krople potu pociekły na twarz Michaela, jakby zaczęło padać.

– O Boże, Jezu, jesteś niesamowity – sapała, ujeżdżając go mocniej i mocniej.

Była strasznie ciężka. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu miednica. Przy każdym klapnięciu jej uda wydawały głośny dźwięk jak pierdnięcie. Michael mógł tylko zamknąć oczy i modlić się, żeby to się wreszcie skończyło.

– O Boże, dochodzę. Matko Boska, już, prawie już.

Michael ku własnemu zaskoczeniu miał wytrysk. Sekundy potem Gwenith dostała konwulsji i zaczęła nacierać na niego całym ciężarem coraz brutalniej, parskając jak klacz.

Wreszcie opadła na niego bezwładnie, wypompowując mu z płuc całe powietrze, ale po chwili sturlała się na bok. Leżała zdyszana, zlana potem, raz po raz dostając jeszcze lekkich drgawek po orgazmie.

– Och, tego mi było trzeba – odezwała się w końcu i pocałowała go w policzek. – Nie masz pojęcia, od jak dawna nie miałam dobrego bzykanka.

– No, muszę ci powiedzieć, że jesteś niesamowita – pochwalił ją Michael.

Leżał chwilę, gładząc jej ramię. Zastanawiał się, co właściwie czuje. Powinien być sobą zniesmaczony, że tak tchórzliwie poddał się Gwenith i jej bratu? Technicznie rzecz biorąc, zdradził Eithne, przez co było mu jeszcze bardziej głupio, choć jego szczytowanie działało się jakby poza nim, przypominało mechaniczny efekt masturbacji. Martwił się jednak, co się stanie, jeśli dojdzie do aresztowania Seamusa Twomeya za przemyt narkotyków i postawienia go przed sądem. Czy jego prawnicy nie będą sugerować, że Michael celowo uwiódł siostrę oskarżonego, by zebrać obciążające dowody?

Gwenith znowu zaczęła się bawić jego penisem.

– Może mała powtórka? – spytała, cmokając Michaela głośno w ucho.

– Kusząca propozycja, ale naprawdę muszę już lecieć.

– Co? Myślałam, że cię suszy. Dawaj, napij się jeszcze, a potem znów sobie pobaraszkujemy. Wiem, że masz na to ochotę.

– No, może. Dobra.

Podniosła się i poczłapała naga do kuchni po drinki. Michael usiadł na łóżku, trochę dlatego, że pościel miała zjełczały zapach, jakby Gwenith nie zmieniała jej od tygodni. Pomyślał o jeszcze innych konsekwencjach odbycia z nią stosunku, poza komplikacjami prawnymi. Nie założył kondomu. Skąd mógł mieć pewność, że ona bierze pigułki? A jeśli ta dziewczucha zajdzie w ciążę? Gdyby został ojcem

jej dziecka, to by był dopiero koszmar! A jeżeli ona ma jakąś chorobę przenoszoną drogą płciową i on przypadkiem zarazi tym Eithne?

Gwenith wróciła z butelką piwa i kuflem swojego johnny jump-upa. Pocałowała go w usta. Smakowała tak, jakby pociągnęła spory łyk guinnessa, kiedy robiła swój koktajl.

– Może masz ochotę na taylorosy do tego? – spytała, siadając blisko niego. Jej udo nadal było spocone. – Mam też chrupki cebulowe, ale są już od jakiegoś czasu otwarte i trochę zwiotczały. Jak ty, Tommy. Może coś sobie chapniesz? To by dodało ci sił.

Michael starał się roześmiać, ale zabrzmiało to tak, jakby się krztusił. Gwenith uniosła kufel i powiedziała:

– *Dea-ádh leat cara daor!* Za ciebie, powodzenia, drogi przyjacielu! Oby wrony nigdy nie ruszyły twojego stogu, a twoja oślica zawsze była przy nadziei. – Łyknęła drinka, otarła usta dłonią, pociągnęła nosem, a potem nachyliła się i wzięła jego miękki penis do ust.

Po prawie pięciu minutach ssania uniosła się jednak i usiadła prosto.

– Nie, Tommy, to na nic – rzuciła. – Nie dam rady ci postawić, żeby nie wiem co. Lepiej napij się i utnij sobie żołnierską drzemkę. Kiedy wrócą ci siły, możemy znów spróbować.

Nie wiedział, co powiedzieć. Zdawało się, że nie ma szans się wymigać. Wykombinował, że najłatwiej będzie uniknąć kolejnego razu z Gwenith, jeśli uda, że śpi. A kiedy ona zaśnie, weźmie buty, spodnie i kurtkę i spróbuje wymknąć się cicho, żeby jej nie obudzić. Jutro wytłumaczy jej jakoś, dlaczego koniecznie musiał wyjść. Może powie, że zjadł na lunch niedosmażonego hamburgera i strasznie go po tym pogoniło.

Wypił piwo. Gwenith siedziała przy nim, dopalając połówkę skręta, którą znalazła w popielniczce. Nie musiał wiele mówić. Ona nawijała bez końca o sobie. Jak to uczy się na masażystkę. O wakacjach na Gran Canaria i o tym, jak rzucił ją chłopak. Była wściekła i upokorzona, bo powiedział, że poszedł z nią do łóżka tylko dlatego, że założył się z kolegami, że „wyrwie świnkę”. Seamus

poszedł do warsztatu samochodowego, gdzie ten gość pracował, i wyrzucił go przez okno. Facet miał szczęście, że nie wepchnął mu do tyłka węża, którym dopompowuje się opony, i nie rozerwał go sprężonym powietrzem na strzępy.

– No dobra – odezwał się Michael. – Chrapnę sobie chwilę. Do zobaczenia za jakąś godzinkę.

Obrócił się do niej plecami i zamknął oczy. Gwenith nachyliła się, rozplaszczając pierś na jego ramieniu, i wyłączyła lampkę na szafce nocnej po jego stronie. Potem położyła się i dalej paliła pozostałą resztkę skręta.

* * *

Minęło pół godziny i Michael naprawdę zasnął. Śniło mu się, że próbuje się ubrać i wyjść, ale zapomniał, jak się wiąże sznurowadła. Słyszał, jak z drugiego pokoju ktoś woła, żeby się pospieszył, ale nie chciał odpowiadać, przyznawać się, że nie jest jeszcze gotowy, i wyjaśniać dlaczego.

Nadal zastanawiał się, co robić, kiedy nagle w pokoju zapaliło się górne światło. Natychmiast się obudził i obejrzał, mrugając oślepiiony.

W drzwiach stała Gwenith. Miała na sobie błyszczący turkusowy szlafrok. W prawej dłoni trzymała smartfon. Jego samsunga, którego nosił w zasuwanej na suwak kieszeni puchówki.

– Nic dziwnego, że wydałeś mi się zbyt bystry jak na chłopaka z Hollyhill – powiedziała głosem drżącym ze złości. – Założę się, że nigdy nie byłeś w cholernym Hollyhill.

– Gwenith... Zaraz ci wszystko wyjaśnię. To nawet nie mój telefon.

– Pewnie, Tommy. Ale z ciebie żaden Tommy, prawda? Wykiwałeś mnie. Jesteś Michael, tak masz na imię, ty pieprzony glino. Świetna historia dla „Echo”, nie sądzisz? Gliniarz udaje nie-glinę, żeby zbałamucić biedną, niczego niepodejrzewającą dziewczynę. Tylko że będzie inaczej: „Ciało gliniarza z metalowym prętem w tyłku dryfowało po rzece Lee”.

Michael sturlał się z łóżka. Podniósł bokserki i dżinsy.

– No dobra, w takim razie już mnie tu nie ma.

Szybko się ubrał i założył buty, choć nie zawiązał sznurowadeł. Potem wyciągnął rękę do Gwenith.

– Oddaj mi ten telefon.

– Jeszcze czego!

– Oddawaj, mówię. Jak nie, to pożałujesz.

Zbliżał się do niej z wyciągniętą dłonią, ale cofnęła się do korytarza. W tej chwili usłyszał, jak pod domem zatrzymuje się samochód. Trzasnęło troje drzwi, jedno po drugim.

– To nie ja pożałuję, chłopie – wycedziła Gwenith. – Jak znalazłam ten telefon, od razu zadzwoniłam do Seamusa. Już tu jest.

– Daj mi telefon albo odbiorę ci go siłą, jeśli trzeba.

– Nie ma mowy, Tommy, Michael czy jak tam masz na imię. To byłby atak, przemoc, prawda? Poza tym nie mogę pozwolić, żebyś wezwał tu na pomoc gliny, swoich koleśki.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Gwenny? To ja. Ten bydlak jeszcze tam jest?! – zawołał Seamus.

Utkwiła wzrok w Michaelu.

– Jest, jest! – odkrzyknęła. – I nie może się już ciebie doczekać!

Rozdział 9

Katie nastawiła budzik na szóstą, ale kiedy otworzyła oczy, zorientowała się, że jest już trzynaste po siódmej.

Obok łóżka stała Foltchain, opierając pysk o patchworkową narzutę. Po bokach jej łba leżały rozpostarte kosmate uszka. Przypominała Falkora, dobrego smoka z *Niekończącej się opowieści*. Szeroko otwartymi ślepkami wpatrywała się błagalnie w Katie, jakby czekała na zaproszenie do łóżka.

Za suczką pojawił się Conor we frotowym szlafroku. Trzymał kubek kawy i uśmiechał się.

Katie pogładziła Foltchain po głowie i popieściła jej uszka.

– Jesteś piękna – powiedziała. – Ale strasznie nachalna. Powinnam być dziś wcześniej w pracy. Mam mnóstwo roboty.

– Liczą się przede wszystkim twoje zdrowie i dobro. Praca na drugim miejscu – stwierdził Conor. – Godzina wte czy wewte, co za różnica? Musisz się wysypiać.

– A kto weźmie dziś rano na spacer naszą śliczną Foltchain? – spytała Katie.

– Najwyraźniej ja – odparł. – Wczoraj po południu dostałem zlecenie. Miałem szukać zaginionego spaniela z Carrigaline, ale właściciel przysłał mi esemesem wiadomość, że pies się znalazł. Sam trafił z powrotem do domu. Gdyby wszystkie psy były takie bystre, musiałbym zamknąć interes.

Katie usiadła, a Conor złapał poduszkę, potrząsał nią i podłożył jej pod plecy.

– Co chciałabyś na śniadanie? Może zrobię ci jajecznicę?

– Tylko parę grzanek i dżem agrestowy, to mi wystarczy.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. – Conor uśmiechnął się, postawił kubek z kawą na stoliku nocnym i pocałował ją. – Zależy mi tylko, żebyś nie opadła z sił.

– Masz jakieś plany na dziś po spacerze z naszym skarbem?

– Jadę rano do Tipp na spotkanie z Alice Cushley, inspektorką z ISPCA¹. Poznałem ją, kiedy była jeszcze w Waterford. Postawiła sobie za punkt honoru położenie kresu walkom psów. Mam nadzieję, że nie wrócę zbyt późno.

– Nie próbuj ścierać się z McManusem bezpośrednio, Conor. Wystarczy, że te biedne psy są rozszarpywane na kawałki. Nie chciałabym, żeby coś podobnego spotkało i ciebie.

– Daj spokój, Katie, nie od dziś zajmuję się tą działką jako detektyw, wiem, jak dbać o swoje bezpieczeństwo. Grozili mi gorsi dranie niż Zezowaty.

– Nie wiedziałam, że są tacy, to znaczy gorsi od niego.

– W takim razie powinnaś poznać niektórych hodowców psów.

– Hodowców?

– Pewnie. Nie wszyscy są tacy, ale niektórzy specjalnie hodują psy zdeformowane, żeby się podobały, i... wierz mi... robią na nich niezłą kasę. Hodują owczarki niemieckie o spadzistym grzbiecie. Nazywamy je „półzabimi psami”. Albo buldogi, pekińczyki i mopsy o nosach tak spłaszczonych, że ledwie mogą oddychać. Czy bassety o tak krótkich łapach i opadających brzuchach, że nie przebiegną za królikiem łąki. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to łajdaków, którzy hodują takie stworzenia, powinno się zamknąć w takich samych boksach, w jakich trzymają swoje psy, żeby nie mógł się im rozwijać normalnie kręgosłup.

– Czasami głęboko zastanawiam się nad gatunkiem ludzkim – powiedziała Katie. – Co te wszystkie biedne niewinne zwierzaki żyjące na naszej planecie zrobiły, żeby zasłużyć sobie na kogoś takiego jak my?

– Lepiej nie zadawaj takich pytań hodowcom psów w Limerick. Miałybyś szczęście, gdyby tylko poszczuli cię psami.

– W każdym razie zachowaj psią czujność, jeśli chodzi o McManusa, proszę. Mówiłam ci ostatnio, że cię kocham?

Conor znów ją pocałował, w czoło.

– Zrobię ci grzanekę.

Foltchain spojrziała na niego, oblizwała się i odtańczyła swój numer ze stepowaniem.

– Nie dla ciebie, kochanie – uprzedził Conor. – Nie masz co się przymilać. Kupiłem ci paczkę psich herbatniczków. O smaku masła orzechowego i bekonu. Pachną tak pysznie, że sam miałbym na nie ochotę.

* * *

Gdy Katie dotarła na Anglesea Street, zajrzała do niej Moirin, by powiedzieć, że szukał jej komendant MacCostagáin.

Dziś Katie miała na sobie szary kostium ze spodniami, a do tego czarny golf. Teraz żałowała, że nie wybrała czegoś bardziej kolorowego, bo dzień był szary i ponury. Musiała nawet zapalić lampę na biurku. Dodatkowa godzina snu, którą darował jej Conor, wcale nie dodała jej energii, przeciwnie, Katie czuła się jeszcze bardziej wyczerpana niż zwykle. Zrobiłaby wszystko, żeby móc wrócić do domu, położyć się i spać do kolacji.

– Kawy? – spytała Moirin.

– Tak, proszę. Bez mleka. Jestem dziś jakaś strasznie ociężała.

– Ci kryminaliści... oni nigdy nie odpuszczą, co? – rzuciła Moirin. – Mogliby nam dać z kilka dni spokoju.

Katie zabrała kawę do gabinetu szefa. MacCostagáin siedział pod oknem. Rozmawiał z zastępcą komendant głównej, Frankiem Magorianem. Obaj mieli grobowe miny, jakby omawiali sprawy pogrzebu.

Frank Magorian był wysoki. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, pociągłą, przystojną jak George Clooney twarz i czarne, siwiejące lekko na skroniach, szesane do tyłu włosy. W wieku pięćdziesięciu trzech lat był jednym z najlepiej wykształconych funkcjonariuszy Garda Síochána, z długą listą

dyplomów zarówno w dziedzinie kryminologii, jak i zarządzania. Przeszedł między innymi szkolenie w FBI dla szefów policji.

Katie lubiła zadbanych mężczyzn, jak Conor, ale Frank Magorian wydawał się jej aż nazbyt gładki, a w dodatku robił wrażenie zadzierającego nosa. Zawsze zwracał się do niej z nutką pobłażania w głosie, jakby chciał przypomnieć jej, że została szefem dochodzeniówki w ramach starań, by na wyższych stanowiskach w Garda Síochána znalazło się więcej kobiet i by w ten sposób zademonstrować, że respektuje się tu zasady równouprawnienia.

– O, pani nadkomisarz – powitał ją Frank Magorian. Denis MacCostagáin wstał, ale on nie. Spojrzał na zegarek. – Szczerze mówiąc, spodziewaliśmy się pani wcześniej.

– Straszne korki – rzuciła Katie. – Na rondzie w Dunkettle wywróciła się betoniarka.

Nie wspomniała nic o tym, że zasnęła.

– No tak... Skoro już pani jest, to chce pani usłyszeć najpierw złą wiadomość czy tę gorszą?

Usiadła naprzeciw niego i postawiła filiżankę z kawą na parapecie. Po drugiej stronie okna wylądowała wrona siwa i ze złością postukała dziobem w szybę, po czym odfrunęła. Katie zawsze uważała *caróg liath* za zły znak; według niej te ptaki przynosiły pecha. Kiedy była mała, babcia mówiła, żeby rzuciła w ich kierunku kamieniem, kością albo kawałkiem darniny. Z tego, jak odlatywały, można było wywróżyć, kto będzie jej mężem i czy w ogóle wyjdzie za mąż.

– Zła wiadomość jest taka, że Moira O'Regan, żona funkcjonariusza Kierana O'Regana, jest ciężko ranna. Późnym wieczorem miała wypadek samochodowy. Była z nią dwójka dzieci. Chłopiec i dziewczynka. Ta mała zginęła.

– Matko Boska... – jęknęła Katie. – Gdzie to się stało?

– Na trasie N trzydzieści, przy Ballyrue Cross w hrabstwie Wexford. Droga w tym miejscu jest dość prosta, ale samochód chyba zniósło na drugą stronę jezdni i zderzył się czołowo z nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówką. Można się domyślać, że Moira O'Regan przysnęła za kierownicą.

– W jakim kierunku jechała?

– Na wschód.

– Czy w aucie znaleziono jakieś bilety na prom? Może chciała się dostać do Rosslare.

– O ile wiem, nie. Ale teraz można zarezerwować sobie bilety przez internet.

– Gdzie ją zabrali?

– Do szpitala ogólnego w Wexford. Podobno jest w śpiączce. Ma poważne obrażenia głowy i klatki piersiowej.

– A co z jej synem?

– Połamane żebra i wstrząs mózgu, ale poza tym w porządku. Dziewczynka uderzyła o tył siedzenia matki. Choć była w foteliku, pękły kręgi szyjne. Miała zaledwie trzy lata.

– Okropne. Co będzie przechodzić ta kobieta, kiedy odzyska przytomność i odkryje, że jej córeczka nie żyje? Jeśli, daj Boże, wyjdzie z tej śpiączki. – Katie urwała i spojrzała na Denisa MacCostagáina, a potem znów na Franka Magoriana. – No dobrze, to ta zła wiadomość. A jaka jest ta gorsza?

– Facet, któremu ścięto głowę na cmentarzu w Kilcully, to rzeczywiście O'Regan. Technicy zdjęli DNA ze szczoteczki do zębów i grzebienia, które trzymał w swojej szafce, poza tym porównali odciski palców.

– Wydawało się niemal pewne, że to on – rzuciła Katie. – Bo ten flet zatknięty w szyję...

– Dość oczywiste, że komuś zależało, by nie zeznawał przed komisją – stwierdził Frank Magorian. – Pytanie za milion euro: komu? Nie mieliśmy dotąd okazji zapoznać się dokładnie z wynikami jego śledztwa, ale bez względu na to, kto go zabił, to będzie jak bomba atomowa dla całej naszej instytucji, nie mówiąc już o służbach związanych z więziennictwem. To może oznaczać nawet koniec Garda Síochána w tej formie, jaką znamy.

– Postaram się jak najszybciej o nakaz przeszukania domu O'Regana – powiedziała Katie. – Musiał mieć dokumentację w komputerze albo trzymać ją gdzieś w formie papierowej. Kto miał go reprezentować przed komisją?

– Zdaje się, że jego adwokat, ale nie znam nazwiska.

– Każę detektyw sierżant Ni Nuallán skontaktować się z biurem sędziego McGuigana. Ktoś tam musi wiedzieć. I nie mówcie mi, że ten prawnik mógł jeszcze nie przejrzeć całego materiału dowodowego.

Frank Magorian wstał i zapiął marynarkę.

– Podkreślam, że jeśli zyska pani dostęp do tego, co odkrył funkcjonariusz O'Regan, bez względu na to, co to będzie, należy trzymać wszystko w ścisłej tajemnicy. Żadnych przecieków do mediów, szeptania po kątach na Anglesea, nic. Nie chcę, żeby ktokolwiek mógł rzucić okiem na jego ustalenia... poza technikami, którzy będą je ściągać z jego komputera albo kopiować z jakichś dokumentów O'Regana.

– To może nie być takie proste – zaznaczyła Katie. – Te materiały mogą oznaczać konieczność natychmiastowych aresztowań albo przynajmniej doprowadzenia jakichś osób na komendę w celu oficjalnego przesłuchania. W końcu teraz to coś o wiele poważniejszego niż groźba wielkiego skandalu. To śledztwo w sprawie zabójstwa. Może mieć poważne konsekwencje polityczne, których mogę się tylko domyślać. Jak pan powiedział, to może oznaczać koniec naszej instytucji w obecnej postaci.

Frank Magorian podszedł i stanął tak blisko Katie, że nie mogła wstać.

– Jakiegokolwiek dowody chciał przedstawić O'Regan, najpierw pokażecie je mnie. Nie ma innej opcji. I nie będziecie nikogo aresztować ani przesłuchiwać, dopóki nie dam wam zielonego światła. Czy to absolutnie jasne?

– Wydaje mi się, że mam zarówno prawo, jak i obowiązek aresztować każdego, kogo podejrzewałam o popełnienie ciężkiej zbrodni, bez proszenia pana o zgodę.

– Nie w tym przypadku, Kathleen, i niech mi pani wierzy, mogę bardzo skomplikować pani życie, jeśli się pani nie podporządkuje. Jedna głowa już poleciała na cmentarzu w Kilcully. Być może będzie ich więcej. Niech pani uważa, żeby nie poleciała i pani główka.

Po tych słowach wymaszerował z pokoju. Katie i MacCostagáin popatrzyli na siebie zdumieni. W ich oczach malowała się mieszanka skomplikowanych uczuć – uraza, potępienie, ale może i odrobina *ksanti* też.

– Miejmy nadzieję, że Frank Magorian nie wie o tym więcej, niż to okazuje – odezwała się Katie.

– O Matko Przenajświętsza – rzucił komendant, wrócił do biurka i osunął się na swój fotel. – Nie wiem już, kto gorszy, przestępcy czy my.

* * *

Niedługo po wpół do dwunastej przyszedł detektyw O'Donovan z detektyw Scanlan. Oboje wyglądali na tak samo zmęczonych jak Katie. Choć Scanlan była o wiele bardziej elegancko ubrana niż zwykle. Miała na sobie gruby robiony na drutach jasnoniebieski sweter i krótką granatową spódniczkę. Blond włosy ściągnęła do tyłu jasnoniebieską spinką.

Właśnie wrócili z Wexford, gdzie pojechali do szpitala zobaczyć Moirę O'Regan i porozmawiać z lekarzami.

– Nadal jest w śpiączce – powiedziała Scanlan. – Miała krwiak w mózgu, ale udało się im go odessać. Nie mogą jednak na razie stwierdzić, czy to nie spowodowało jakichś trwałych uszkodzeń neurologicznych.

– Jak jej synek?

– Ma na imię Riordan. Kiepsciutko, ale jest przytomny, żebra ma zabandażowane. Jeszcze nie wie, że jego siostra nie żyje.

– Ile on ma lat?

– Pięć.

– Matko Boska – jęknęła Katie. – Miejmy nadzieję, że choć jego matka przeżyje.

– I co teraz? – zapytał O'Donovan.

– No, już zostało potwierdzone, że zamordowany to rzeczywiście O'Regan. Musimy przeprowadzić dokładne przeszukanie u niego w domu, przekopać

wszystko od dołu do góry. Szczególnie zależy nam na jego komputerze, nośnikach pamięci, USB, notesach czy rejestrze połączeń telefonicznych. Ale zwróćcie też uwagę na wszystko nietypowe, co uda się wam znaleźć.

– Dobra. Podskoczę do sądu rejonowego i załatwię nakaz.

Nadal rozmawiali, kiedy do drzwi zapukała detektyw sierżant Kyna Ni Nuallán. Weszła i podała Katie kartkę wyrwaną z notesu.

– Właśnie rozmawiałam przez telefon z sekretarką sędziego. Powiedzieć, że nie była zbyt chętna do pomocy, to mało. Ale adwokat, który miał reprezentować O'Regana przed komisją, nazywa się John Deneen. Ma kancelarię na South Mall, co nie jest wielkim zaskoczeniem.

– Tak, znam go – wtrąciła Katie. – Poznałam go, kiedy bronił Brendana Daly'ego. Pamiętacie, to ten gość od ustawianych przetargów na zapory w dole rzeki Lee. Cwany drań, jednak Deneen go wybronił. Byłam zdumiona. Postaraj się go docisnąć, Kyna. Na pewno ma kopie dokumentów O'Regana i może przysłałby nam pliki.

– Zrobię, co w mojej mocy, pani nadkomisarz. Ale pewnie będzie się powoływał na tajemnicę adwokacką.

– O, dajże spokój. O'Regan zamierzał przedstawić dowody publicznie, więc to się kupy nie trzyma. Poza tym John Deneen to doświadczony prawnik, nie chciałby mieć opinii utrudniającego pracę organom ścigania. Jeśli będzie oponował, powiedz, że wystąpimy o nakaz.

– Tak jest.

Weszła Moirin.

– Przepraszam, że przerywam, ale detektyw Markey mówi, że jest Viona Caffrey. On już czeka na panią w pokoju przesłuchań.

– Dzięki, Moirin. Patrick, daj znać, jak tylko będziesz miał nakaz rewizji. Padragain, zadzwoń do szpitala do doktor Kelley, dobrze? Spytaj o postępy w sprawie Jimmy'ego Ó Faoláina i funkcjonariusza O'Regana. W przypadku Jimmy'ego Ó Faoláina nie widać wyraźnego motywu, a u O'Regana nasuwa się

ich aż zbyt wiele. Naprawdę zależy mi, żeby popchnąć te śledztwa naprzód. Bardzo potrzebny jest nam jakiś dowód.

Kiedy detektywi O'Donovan i Scanlan wyszli, Katie uporządkowała biurko i poszła powiedzieć Moirin, że jeśli chce, może wcześniej wyjść na lunch.

Zjeżdżając windą do pokoju przesłuchań, popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i zobaczyła to pewne siebie spojrzenie, które zawdzięczała jedenastu latom pracy przy rozwiązywaniu zagadek zbrodni. Wydawało się, że nie było powodu, by ktoś zabił Jimmy'ego Ó Faoláina, z kolei powodów do mordu na O'Reganie było aż zbyt wiele. Jednak możliwość, że którykolwiek z tych mężczyzn został zgładzony przez terrorystów, zaskoczonych włamywaczy czy zazdrosnych mężów, była bardzo nikła. Tak czy inaczej, obaj zginęli z powodu pieniędzy i czyjegoś strachu przed ich utratą... lub złości, że już je stracili.

Rozdział 10

W pokoju przesłuchań zastała detektywa Markeya gawędzącego z Vioną Caffrey tak, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy spotkali się na kawie.

Markey wstał i podsunął Katie krzesło. Viona wyglądała na o wiele mniej zrozpaczoną niż poprzedniego dnia. Miała przyklepione sztuczne rzęsy i nałożony cień na powieki. Najwyraźniej nie przewidywała, że się rozplacze. Katie mimowolnie zauważyła, że tego ranka dziewczyna ma inny płaszcz, beżowy z wielbłądziej wełny, dwurzędowy, z paskiem. O ile Katie dobrze zgadła, od Max Mary, kosztował więc co najmniej tyle co tamten różowy.

– Jak się pani trzyma? – spytała.

– Dalej nie dociera do mnie, że już nigdy więcej nie zobaczę Jimmy’ego – powiedziała Viona. – Kiedy w nocy leżałam w łóżku, miałam wrażenie, że z drugiego pokoju słyszę jego śmiech.

– Pytałam o to wczoraj i mam nadzieję, że nie będzie mi pani miała za złe, jak się powtórzę. Poza tym, że Jimmy kupował pani różne rzeczy i ubrania, czy kiedykolwiek dawał pani pieniądze?

– Nie jestem dziwką.

– Nie miałam tego na myśli. Zastanawiałam się tylko, czy dawał pani jakieś kieszonkowe. Niektórzy bogaci mężczyźni tak robią, zwłaszcza jeśli chodzi o długotrwałe relacje. Może nie gotówkę, ale kartę kredytową albo na przykład wykupił polisę na życie, żeby panią zabezpieczyć, w razie gdyby coś mu się stało.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – oburzyła się Viona, potrząsając bojowo głową. – Zamordowałam go, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia? O to chodzi?

– Oczywiście, że nie. Ale staramy się znaleźć powód, dla którego ktoś mógłby chcieć go zabić. Prowadził mnóstwo interesów, musimy więc brać pod uwagę, że motyw mógł być finansowy.

– Myślcie sobie, co chcecie, ale Jimmy nigdy mi nie płacił i nie zawarł ubezpieczenia na moją korzyść. Jedyne, co robił, kiedy dostawał pieniądze od klienta, to zabierał mnie do jakiejś fantastycznej restauracji albo na weekend gdzieś daleko i kupował mi wszystko, co tylko chciałam.

– Pewnie będzie pani tego brakowało tak samo jak i jego.

– W zeszłym tygodniu miał mi kupić bransoletkę z różowego złota z brylancikami, którą widziałam u Keanesa. Mówiłam, że chciałabym mieć coś, co by mi go przypominało do końca życia. Coś w rodzaju obrączki z brylancikami, no wie pani, tylko że to byłaby bransoletka. Powiedział, że muszę poczekać kilka dni, bo ta stara, która miała mu zapłacić, jeszcze nie wyskrobała pieniędzy.

– Ach, tak. Wie pani może, kim była „ta stara”?

Viona pokręciła głową.

– Oni wszyscy są starzy, ci jego klienci. No, przynajmniej większość. Mówił mi, że mają oszczędności, a on je za nich inwestuje, żeby nie leżały w wielkim banku, nie przynosząc niemal żadnego dochodu, albo pod materacem.

– To już nie będzie pani miała tej bransoletki na pamiątkę?

– Nie. – Viona znów pokręciła głową i pociągnęła nosem, jakby chciała zademonstrować Katie, jak bardzo jej smutno. – A była przepiękna. Brylanty w różowym złocie, każdy otoczony jeszcze mniejszymi brylancikami. Nazywa się to Pavee, jak Travellersi, choć nie wiem, co to ma z nimi wspólnego.

– Nic, bo chodzi o *pavé* – poprawiła ją Katie. – To znaczy małe diamenciki osadzone gęsto jak kostki brukowe.

– Ach, tak. Ale była taka piękna. Teraz mogę tylko pójść i popatrzeć sobie na nią na wystawie u Keanesa, póki tam jest. Ale wie pani, zdaje mi się, że jeszcze jakiś czas tam poleży. Może zrobię sobie z nią selfie? Mierzyłam ją. Chyba pozwolą mi ją jeszcze raz założyć do zdjęcia.

– Wątpi pani, że ktoś ją szybko kupi? – spytała Katie jakby nigdy nic. – Ile za nią chcą?

– Nie wiem dokładnie. Nie była tania. Jimmy powiedział, że kosztuje furę pieniędzy, ale i tak mi ją sprezentuje.

– No dobrze – rzuciła Katie. – Wróćmy do jego kontaktów biznesowych, a zwłaszcza do Rachmasach Rovers. Wczoraj mówiła pani, że nie miał żadnych problemów ze swoimi partnerami w interesach, a w każdym razie, że o niczym takim pani nie słyszała. Myślała pani o tym jeszcze? Może jednak miał z kimś jakiś zatarg, o którym pani zapomniała.

– Nie. Jak mówiłam, Jimmy był w dobrych stosunkach ze wszystkimi. Mogę zaręczyć, że potrafił być jak drut kolczasty, kiedy coś nie szło po jego myśli, ale zaraz potem mu przechodziło. Nigdy nie miał do nikogo długo pretensji i nie przypominam sobie, by ktoś miał pretensje do niego.

– Nikt nie miał do niego żalu i nie zarzucał, że Roversi sprzedają mecze? No bo chodziły takie słuchy.

– Nie. Zresztą myślę, że to nieprawda. Przecież Connie Cadogan wypadł z gry, kiedy złamał nogę w tym głupim wypadku samochodowym, a to ich najlepszy napastnik. Jimmy bolał nad tym jak wszyscy. Nie da się wygrywać bez cholernie dobrego *lántosai clé*, jak zawsze powtarzał.

– Mówiła pani, że po przyjeździe do domu Jimmy’ego nie zauważyła pani nic szczególnego – wtrącił detektyw Markey. – Nikt nie uciekał?

– Nikogo nie było. A w Woodhill Park nigdy nie widać żywej duszy. Można by pomyśleć, że wszyscy, którzy tam mieszkali, wymarli.

* * *

Katie zapinała kurtkę, kiedy do jej gabinetu wszedł Bill Phinner. Tym razem w torebce na dowody miał sześć pocisków.

– Doktor Kelley przysłała je z samego rana – powiedział głosem tak zboliałym, jakby patolożka poinformowała go, że umiera na rozedmę płuc. –

Wydobyła je wczoraj wieczorem z ciała Jimmy'ego Ó Faoláina.

– I? – spytała Katie.

– Oczywiście mieliśmy rację. To wszystko trzystapięćdziesiątkisiódemki sig hollow pointy. Wszystkie wystrzelone z tej samej broni. Prawie na pewno z sig sauera P dwieście dwadzieścia sześć. Zdaniem doktor Kelley żadna z ran postrzałowych nie była śmiertelna, a nawet wszystkie razem go nie zabiły. Ona zdaje sobie sprawę, że to kontrowersyjne stwierdzenie, ale uważa, że zmarł na skutek wstrząsu hipowolemicznego.

– Coś jeszcze ustaliła?

– W organizmie są ślady kokainy, badanie płuc wykazało, że ją palił. W odrobinie moczu, który pozostał w pęcherzu, znalazła metabolit kokainy, co potwierdza, że brał narkotyki, ale poza tym, że nie żył, był zdrow jak pies rzeźnika.

– A co z miejscem zbrodni? Mamy coś nowego?

– Kompletnie nic. Ktokolwiek go zastrzelił, musiał dobrze wiedzieć, co robi, albo jakimś cudem udało się mu nie pozostawić żadnych śladów. Jakby zastrzelił go duch, słowo daję.

– Przesłuchiwałam jego dziewczynę, Vionę Caffrey – powiedziała Katie. – Wydaje mi się, że miała wszelkie powody chcieć, by żył jak najdłużej. Zresztą nie tylko ze względów sentymentalnych.

– A nie mógł to być jakiś zazdrosny były?

– Myśleliśmy o tym, oczywiście, ale Scanlan sprawdziła jej poprzedniego chłopaka i w tym czasie nawet nie było go w kraju. Jest inżynierem od ogrzewania i pracuje w Wielkiej Brytanii dla jakiejś firmy budowlanej. Jego brat mówił, że ucieszył się nawet, kiedy Viona od niego odeszła. Pewnie chętniej postawiłby Jimmy'emu drinka, niż do niego strzelał. Nie... Myślę, że szukamy kogoś, kto robił z nim interesy. Miejmy nadzieję, że ekipa księgową coś wywącha, ale to może potrwać kilka tygodni.

W biurze Jimmy'ego Ó Faoláina znaleźli siedemdziesiąt trzy księgi rachunkowe. Wszystkie wysłano na Harcourt Square w Dublinie, do krajowego

biura policji skarbowej, zajmującego się przestępstwami finansowymi. Tamtejsi księgowi śledczy mieli przejrzeć wszystkie zapisy pod kątem śladów jakichkolwiek nieprawidłowości. Zamierzali też sprawdzić, czy Ó Faoláin nie brał udziału w praniu pieniędzy albo nie finansował jakichś organizacji terrorystycznych czy przestępczych. Choć Katie była pewna, że chodziło o sprawy finansowe, nie miała wielkiej nadziei, że coś znajdą. Jimmy Ó Faoláin był klasycznym „cwaniakiem z Cork” i bez względu na to, w co się zaangażował, wątpliwe, by zostawił na ten temat cokolwiek na piśmie.

Wyszła z komendy i ruszyła Parnell Bridge. Niebo miało dziwnie szaropomarańczowy kolor, słońce było ledwie widoczne zza chmur, a koryto rzeki od południowej strony przybrało rudawy odcień. Niesamowite światło. Idąc, miała wrażenie, że to surrealistyczny sen.

Najpierw zajrzała do centrum handlowego Merchants Quay. Kupiła sobie czarne rajstopy w Marks & Spencer, a potem dwa gotowe dania, kurczaka wykwentnego i wędzoną łopatkę wieprzową, żeby mieć coś na wieczór w dni, kiedy Conor zajmuje się tropieniem zaginionych domowych ulubieńców, a ona jest zbyt zmęczona, by coś szykować. Później weszła na piętro, do baru kanapkowego O’Briens. Usiadła przy stoliku nad miseczką grochówki z kiełbasą chorizo i jesiennym jarmużem. W centrum panował ruch, przy kasach baru stała długa kolejka, ale mimo gwaru i muzyki Katie czuła się osamotniona, jakby była za szybą. Zastanawiała się, że może spędza zbyt wiele czasu, osądzając innych, czepiając się ich z powodu zwyczajnych ludzkich słabości i popełnianych przez nich głupich błędów. Wracając do pracy, przechodziła Oliver Plunkett Street i przystanęła przy sklepie jubilerskim, Keanes. Popatrzyła na wystawę, ale nie było tam bransoletki z brylancikami, o której mówiła Viona, więc weszła do środka.

Elegancki młody sprzedawca, przypominający z wyglądu Dustina Hoffmana z początków kariery, podleciał do niej jak na skrzydłach. Lekko przechylając głowę, uśmiechnął się miło.

– Czym mogę pani służyć? – zapytał.

– Mieliście na wystawie bransoletkę. Z różowego złota. Wysadzaną dokoła brylantami, każdy był otoczony mniejszymi, w stylu *pavé*.

– A, tak. Pewna klientka chciała ją obejrzeć dziś rano, więc nadal mam tę bransoletkę pod ladą.

Wszedł za jasno oświetloną gablotę, wyjął bransoletkę i położył na zielonej aksamitnej poduszeczce.

– Piękna. Ręczna robota, wykonana tu, w Cork. Ma być dla pani?

– Chciałabym. – Katie podniosła bransoletkę i przyjrzała się jej z bliska. – To jedyna taka, jaką macie?

Sprzedawca skinął głową.

– Tak, nie ma takiej drugiej. Co więcej, to absolutny unikat.

Katie pokazała legitymację.

– Detektyw nadkomisarz Maguire z komendy na Anglesea Street – przedstawiła się.

Popatrzył na nią przerażony.

– O mój Boże! Nie jest kradziona, mogę za to ręczyć! Dostaliśmy ją bezpośrednio od Aoife Tubridy. Ma pracownię na Rutland Street. Tworzy wspaniałą biżuterię. Prawdziwa artystka. Może pani iść do niej i spytać.

– Proszę się nie obawiać. Wiem, że nie jest kradziona. Interesuje mnie tylko, czy był tu pan Ó Faoláin, żeby ją obejrzeć. Poznałby pan Jimmy’ego Ó Faoláina, prawda?

– Oczywiście, jak każdy. Słyszałem, że został zamordowany. Coś okropnego. Był naszym stałym klientem, jednym z najlepszych. Wpadał dwa, trzy razy w miesiącu, szukając czegoś wyjątkowego... kolczyków, naszyjnika, bransoletek.

– A czy tę bransoletkę oglądał?

– Tak. Przyprowdziła go jego dziewczyna. Widziała ją wcześniej i chciała mu pokazać.

– I co on na to?

– Spytał o cenę, a kiedy mu ją podałem, powiedział swojej towarzyszce, że oczywiście ją dostanie, ale musi trochę poczekać. Przyznam, że dziewczyna

wydała mi się strasznie rozczarowana. Zobaczyłem, że potem, na ulicy, okropnie się pokłócili. Krzyczała na niego.

– A ile kosztuje ta bransoletka?

– Trzydzieści tysięcy euro, ze względu na doskonałą jakość brylantów. Ale mówiłem, że dla tak dobrego klienta mógłbym zejść do dwudziestu ośmiu.

Katie wsunęła bransoletkę na rękę i poruszała nią, przypatrując się blaskom kamieni. Przepiękna. Nie wyobrażała sobie jednak, że Conor, detektyw specjalizujący się w poszukiwaniu domowych zwierząt, mógł wydać dwadzieścia osiem tysięcy na coś takiego, żeby nie wiem jak ją kochał.

Wróciła na Anglesea Street. Przed komendą siedział po turecku na chodniku chudy brodaty mężczyzna w sflaczałym berecie i grał na flecie. Rzuciła mu do kubka pięć euro. Bardzo zaciekało ją to, że Jimmy Ó Faoláin obiecał Vionie kupić bransoletkę, kiedy dostanie pieniądze od „tej starej”. Pewnie ta kobieta miała mu przekazać jakąś sumę do zainwestowania. W końcu tym się głównie zajmował. Klientka nie dałaby mu przecież kasy na kupowanie drogich prezentów u jubilera dla jego stewardesy.

Nasuwało się pytanie, ilu jeszcze emerytów obrabiał Jimmy Ó Faoláin, by żyć jak król, i czy w ogóle brał pod uwagę, że kiedyś będzie musiał zwrócić klientom ich pieniądze wraz z wypracowanymi przez nie zyskami. A przede wszystkim, czy któryś z nich zorientował się, co on wyprawia?

Rozdział 11

Alice Cushley czekała przy małym ceglany kominku w pubie Kickham House na głównej ulicy Tipperary. Było jeszcze wczesnie i w lokalu prawie nie było ludzi, a dym od rozpalania ognia jeszcze nie opadł, przez co wszystko wydawało się zamglone, jak na kolorowej fotografii z lat pięćdziesiątych zeszłego wieku.

– Alice, wybaczn spóźnienie – powiedział Conor. – Jakies idiotyczne roboty drogowe przy Ballyporeen. Co moge ci zaproponowac do picia?

– Kawe, jezeli mozna, dzieki. Z mlekiem.

Byla wysoka, niemal wzrostu Conora. Miała okragła twarz, lekko wylupiate oczy i ciemne włosy upięte w niezbyt porządn kok. Nosila czarną kurtkę z emblematem organizacji walczacej o prawa zwierząt i czarne traperskie bucior. Robila wrazenie osoby, która nie da sobie w kaszę dmuchać, i nie dawala. Conor od razu ją polubil, kiedy tylko się poznali, bo była niesamowicie dzielna w starciach z farmerami źle traktującymi swoje jałówki czy właścicielami sklepów ze zwierętami, którzy trzymali żywy towar stłoczony w ciasnych klatkach. A w dodatku tak samo jak on z poświęceniem starała się położyć kres walkom psów.

Conor wrócił od baru ze szklaneczką whiskey z wodą i usiadł naprzeciw Alice.

– Trochę wczesnie jak na to, co? – Uśmiechnęła się.

– Nie sądzę. Skoro mam gadać z Zezowatym McManusem...

– Naprawdę nie wiem, co chcesz osiągnąć, Conor. Tyle razy groziliśmy mu procesem, ale on ma to w nosie.

– Słuchaj, zarzuty przeciwko niemu w związku z walką psów w Cappamurra zostały wycofane, ale chcę mu uświadomić, że o nim nie zapomnimy. Poza tym powiem mu prosto w tę jego tłustą paskudną gębę, że zamierzam wnieść przeciwko niemu prywatny pozew.

– Przykro mi, Conor, ale myślę, że on się tylko uśmieje... jeśli dodatkowo nie każe kilku swoim zbirom stłuc cię na kwaśne jabłko.

Barmanka przyniosła kawę. Conor obserwował, jak Alice dolewa sobie mleka i wrzuca dwie kostki brązowego cukru. Dopiero po chwili się odezwał:

– Nadal mamy sporo materiału dowodowego z Cappamurra. Nagrania wideo i zeznania świadków. Jeśli dziś uda mi się sfilmować trochę więcej, to będzie dowód dla sądu, że Zezowaty nadal organizuje te walki. Maltretuje zwierzęta i nielegalnie na tym zarabia, i bynajmniej nie jest skruszony.

Alice skrzywiła się lekko.

– Jeśli jesteś gotów podjąć ryzyko, to chwała ci, ale radziłabym się wstrzymać. Zezowaty wie, gdzie mieszkasz, i może cię urządzić tak samo jak Barneya.

– Nie, Alice, nie boję się go i zamierzam zrobić to, co postanowiłem. Mówiłaś, że dziś, od rana do wieczora, organizuje walki ćwiczebne.

– Owszem. Jeden znajomy ochroniarz podsłuchał, jak ktoś z gangu Zezowatego gadał o tym wczoraj w barze Billy’ego Foleya w Cashel. Z tego, co do niego dotarło, ma to się odbywać na polu w głębi farmy Keegana, tuż pod Ballynonty, po stronie północnej.

– Jeśli mam być szczery, to nie mam pojęcia, gdzie to jest.

– Jedź na wschód Palmer’s Hill, miń obozowisko Ballyknock i piętnaście kilometrów za skrzyżowaniem z M osiem będziesz miał Ballynonty. Na rozjeździe skręć w lewo. Dwa kilometry dalej przy drodze zobaczysz farmę Keegana.

– Dobra, już wiem. Dzięki, Alice.

Wyciągnęła rękę i przytrzymała jego dłoń.

– Miej oczy szeroko otwarte, Conor. Nie żartuję. Nie chcę siedzieć w przyszłym tygodniu w kościele i wysłuchiwać, jaki to był wspaniały.

– Życie to życie, Alice. A moim zdaniem psie życie jest równie ważne jak ludzkie. Nie wolno zabijać boskich stworzeń ot tak, dla zabawy czy kasy.

Dokończył whiskey, wstał, nachylił się i pocałował Alice w policzek. Kiedy wychodził na przejmująco chłodne powietrze Main Street, czuł jeszcze na kurtce zapach palonego w kominku drewna.

* * *

Ruszył na wschód Palmer's Hill, ale dojechał tylko do obozowiska Ballyknock – gdzie Zezowaty McManus miał dom na kółkach – i zaparkował audi przed porzewiałą bramą. Wysiadł i wyjął z bagażnika ciemnozielony plecak.

Wiedział, że jeśli napotka tu jakichś Travellersów, to skończy się jedynie na misji zwiadowczej, ale kiedy wdrapywał się stromą ścieżką do osady, nie słyszał nic poza szumem z M8 i wiatrem hulającym po okolicznych polach – łagodnym, choć nieustępliwym, jakby ktoś próbował dmuchaniem rozniecić oporny ogień na palenisku. Żadnych odgłosów zabawy dzieci czy śmiechów kobiet.

Dotarł do szeregu pomalowanych na biało przyczep kempingowych osłoniętych od strony drogi wysokim betonowym murem i krzakami. Dalej za nimi stały dwa SUV-y – range rover i toyota land cruiser. Obok spokojnie skubały trawę dwa konie o zapadniętych grzbietach, ale nie było widać żadnych ludzi. Domyślał się, że dzieci nie wróciły jeszcze ze szkoły, a wszyscy dorośli wybrali się oglądać walki psów w Ballynonty.

Podszedł do ogromnej białej przyczepy, stojącej jako druga w szeregu. Należała do Zezowatego McManusa. Conor wspinał się po betonowych schodkach do drzwi. Okno obok nich było uchylone, lecz wszystkie żaluzje opuszczono i w środku panowała martwa cisza. Mimo to zapukał, by upewnić się, że nikogo nie ma. Począł chwilę, czy ktoś odpowie.

Rozejrzał się dokoła. Szare chmury sunęły wolno po niebie i wydawało się, że poza dwoma końmi o zapadniętych grzbietach i pięcioma wronami siedzącymi na drucie telefonicznym jedyną żywą istotą na ziemi jest on. Raz w życiu miał wrażenie, że Bóg mu sprzyja.

Odstawił plecak i wyjął dwulitrową butelkę po napoju pomarańczowym. Jeszcze raz na wszelki wypadek rzucił okiem dokoła, po czym odkręcił korek, uchylił okno parę centymetrów szerzej i starannie wlał zawartość butelki do środka. Słyszał, jak płyn leje się na podłogę.

Kiedy butelka była pusta, wyjął zapalniczki, oderwał jedną i potarł. Od jej płomyka zapalił resztę i szybko wrzucił cały pakiecik przez szczelinę.

Odczekał kilka sekund, by mieć pewność, że nie zgasły. Po chwili cuchnący brązowy dym zaczął sączyć się po bokach drzwi, a za żaluzjami zabłysło pomarańczowe światło. Podniósł plecak, zszedł ze schodków i szybko ruszył w dół do samochodu, starając się nie sprawiać wrażenia, jakby chciał uciec stąd jak najprędzej. Nie dostrzegł żadnych potencjalnych świadków, ale z tego, co opowiadała mu o różnych przypadkach Katie, z tym to nigdy nie wiadomo.

Wsiadł z powrotem do auta i uruchomił silnik. Zawahał się na chwilę, sprawdził, czy zza płotu widać dym, ale nie zobaczył go, więc zwolnił hamulec ręczny i ruszył pełnym gazem. Gnał tak szybko, jak tylko wąskie drogi na to pozwalały. Skręcił ostro w lewo na północ i wjechał na M8 na najbliższym skrzyżowaniu.

Niedaleko Cloghabreeda dostrzegł przed sobą wóz patrolowy. Zwolnił do dozwolonych stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Ostatnie, czego mu było trzeba, to dać się złapać na przekroczeniu prędkości, gdy jechał na południe z Ballyknock dziesięć minut po wybuchu pożaru w przyczepie McManusa. Zwłaszcza że jego dłonie nadal śmierdziały benzyną.

Dygotał od nadmiaru adrenaliny i poklepywał kierownicę ze złośliwą uciechą na myśl, że Zezowaty wróci po dniu psich walk i zobaczy, że wszystko, co posiadał, obróciło się w zgliszcza. Miał nadzieję, że ten potwór poutykał w tym domu na kółkach całą gotówkę.

Po jakimś czasie Conor zaczął się jednak uspokajać. Nim dotarł do skrzyżowania z N25 i skręcił do Cobh, nerwy całkowicie odpuściły. Czuł się lekko, niemal bosko. Święty Conor od psich męczenników. Wszystkie psy, które zginęły w sposób tak okrutny przez McManusa, zostały wreszcie pomszczone. Wyobrażał sobie, jak wyją z radości w niebie.

Rozdział 12

Kiedy Katie wchodziła na schody komendy, piknął jej iPhone i zobaczyła, że przyszedł esemes od detektywa sierżanta Begleya. *Mam pilną sprawę.*

Czekał już na nią w jej gabinecie. Stał przy oknie z napiętym wyrazem twarzy. Ostatnio schudł, choć jego niebieska koszula nadal była wydęta nad paskiem. Czerwone szelki zwiślały mu na plecach niczym uprzęż do przytrzymywania uczącego się chodzić dziecka.

– Co jest, Sean? – spytała, wieszając płaszcz.

– Nie uwierzysz. Właśnie telefonował do mnie Seamus Twomey.

– Żartujesz! Seamus Twomey? Poważnie?

– Nie próbował ukrywać, kim jest ani dlaczego dzwoni. Jakimś cudem wywąchał, że Michael Ó Doibhilin jest wtyką. Twierdzi, że trzyma go jako zakładnika. Jak się wyraził, „dla bezpieczeństwa”.

– O Matko Boska – jęknęła Katie. – Nie zrobił mu chyba nic złego, co?

– Twierdzi, że przekonał Michaela, by powiedział mu, co wie, i nie miał oporów przed zreferowaniem mi tego. Wiedział o fentanylu szmuglowanym przez Rosslare i wszystkich ziołach, koce i ciasteczkach, którymi handlują co wieczór w dyskotekach jego dilerzy. „Przekonał” go, o dobry Boże! Znając Michaela, musiał go rozkwasić na miazgę, żeby to z niego wycisnąć.

Katie usiadła przy biurku.

– Udało się już ustalić, skąd dzwonił?

– Pracujemy nad tym. Ale Twomey musiał wiedzieć, że go zlokalizujemy i nagramy wszystko, co mówi. Najwyraźniej się tym nie przejmuje. To nie było anonimowe ostrzeżenie. W żadnym wypadku.

– I czego on chce? Tak jakbym się nie domyślała...

– Mamy przymknąć oko na sprowadzanie przez niego narkotyków i nie czepiać się jego dilerów w klubach. Jeśli zostawimy go w spokoju, Michael będzie cały i zdrowy. Tak dokładnie powiedział.

– Dał ci do zrozumienia, jak długo zamierza go trzymać?

Begley pokręcił głową.

– Pytałem o to, ale nie odpowiedział. Pomyśl jednak. Będzie go trzymać, póki mu to potrzebne, nie dłużej, prawda? A potem? Nie ma pewności, że puści go wolno. Michael miałby za dużo obciążających dowodów.

– Boże, zmiłuj się nad nim – rzuciła Katie. – On ma dopiero dwadzieścia sześć lat.

– To co robimy? – spytał detektyw sierżant Begley. – Trzeba będzie zachować największą ostrożność. Mogą go trzymać wszędzie. Nawet gdzieś na północy. Wystarczy, że zatrzymamy jeden transport Twomeya albo aresztujemy jakiegoś dilera, nawet przez przypadek, a dla Michaela może to oznaczać kulkę w tył głowy. Naprawdę nie chciałbym brać udziału w jego pogrzebie, za żadne skarby.

– Mówiłeś o tym z kimś jeszcze? – spytała Katie.

– Tylko z gościem, który lokalizował telefon. Ale wątpię, by zdawał sobie sprawę, o co chodzi Twomeyowi, bo on gadał trochę bez ładu i składu.

– To na razie nikomu ani słowa, Sean. Nikomu. Powiem nadinspektorowi Pearse'owi, by wstrzymał wszelkie aresztowania podejrzanych o dilerkę, nie tylko ludzi Twomeya, i osobiście dopilnuję, by celnicy w Rosslare nie konfiskowali dostaw opioidów Twomeya.

– Przecież na pewno będą pytać czemu?

– Nie martw się, coś wymyślę. Muszę zastanowić się, jak odkryć, gdzie trzymają Michaela, ale tak, żeby Twomey nie mógł zorientować się, co robimy.

Katie nie dodała, że komenda na Anglesea Street jest ostatnio tak nieszczelna jak stara łódź rybacka z Kinsale. Raz za razem media miały przecieki na temat tajnych akcji, które planowano. A skoro dowiadywały się o czymś media, to i przestępcy. Nie dalej jak w tym miesiącu trzeba było odwołać długo szykowany

nalot na burdele na Grafton Street, bo kiedy nadjeżdżały radiowozy, reporterzy „Examinera”, „Echo” i Cork 96FM już czekali na rogu South Mall.

Była przekonana, że kilku mundurowych przekazuje tajne informacje, żeby sobie trochę dorobić. Jednak – choć nie miała na to konkretnych dowodów – podejrzewała też, że i niektórzy wyżsi rangą oficerowie mogą mieć osobisty interes w tym, by jej zasadzki nie wypaliły.

Odkąd działała komisja badająca doniesienia o nieprawidłowościach, Katie wyczuwała napiętą atmosferę na Anglesea Street i była pewna, że jednym z powodów jest korupcja, a przynajmniej korzystanie z podejrzanych przysług. To, co do tej pory ujawniono, było zapewne ledwie czubkiem góry lodowej. Wśród osób składających doniesienia był sierżant John Lacey. Miał stawić się przed komisją w poniedziałek rano. Twierdził, że po cichu odstąpiono od dwudziestu siedmiu procent procesów z oskarżenia o kradzież pojazdów. Pretekstem był rzekomy „brak wystarczającego materiału dowodowego”.

W tej chwili sierżant Lacey przebywał na bezterminowym urlopie, podobnie jak to było w przypadku O'Regana, głównie ze względu na szykany ze strony kolegów. Któryś z nich przywiązał do klamki drzwi jego domu martwego szczura. Zresztą nawet nadkomisarzowi Pearse'owi zdarzało się nazwać Lacey'a „podstępna gadziną”.

Detektyw sierżant Begley podciągnął opadające ze spadzistych ramion szelki, ale jedna i tak od razu się zsunęła.

– Dobrze, jak sobie pani nadkomisarz życzy, tak będzie – powiedział. – Ale proszę bez wahania dać mi znać, gdybym mógł w czymś pomóc. Znam tu kilku mundurowych, którzy są naprawdę w porządku.

– Dziękuję, Sean – rzuciła Katie.

Najwyraźniej rozumiał, dlaczego chciała trzymać sprawę porwania detektywa Ó Doibhilina w tajemnicy, przynajmniej na razie.

Begley już miał wychodzić, gdy do drzwi zapukał funkcjonariusz z centrum łączności. Młody okularnik z podgolonymi po bokach rudymi włosami i mocno odstającymi zaczerwienionymi uszami.

– Przepraszam, że przerywam. Panie detektywie sierżancie, mam lokalizację. Seamus Twomey telefonował z Halfway Bar and Lounge na Baker’s Road w Gurze, przy ośrodku zdrowia St Mary’s. Mam też numer i adres, na jaki zarejestrowano kartę. St Rita’s Avenue.

– Halfway Bar and Lounge? – powtórzyła Katie. – To tam co wieczór chodził Michael, żeby spotkać się z Twomeyem i Quinnem.

– Wiem – rzucił detektyw sierżant Begley. – Ten pub miał opinię najbardziej niebezpiecznego lokalu w Cork po Flying Bottle. A teraz, kiedy Flying Bottle jest zamknięty, musi być na pierwszym miejscu.

– To mi nasuwa pewien pomysł – mruknęła Katie. – Gdzie bar, tam alkohol, a gdzie alkohol, tam pijani faceci, a co tacy lubią najbardziej?

– Kebab?

– O, dajże spokój, Sean. Ładne, zdzirowate dziewczyny. I balowanie.

– Chyba wiem, do czego pani zmierza – powiedział Begley.

– Daj mi chwilę nad tym pomyśleć. A na razie pomódlmy się za Michaela, niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Amen. – Detektyw sierżant Begley przeżegnał się.

* * *

– Nie ma tu kogoś innego, kto mógłby wyglądać na dziwkę? – zachnęła się Kyna.

Katie nie potrafiła opanować uśmiechu.

– Pewnie, są takie. Padragain Scanlan i Aíbhilín Sheónín. Ale na razie ty jesteś w tym najlepsza. Słuchaj, kiedy udawałaś barmankę w Templemore Tavern, byłaś zdzirowata, że hej.

– O tak. I o mało nie straciłam życia.

– Nie mam zamiaru ściemniać, jest spore ryzyko, Kyna. Seamus Twomey to lepszy cwaniak. Ale nie przychodzi mi do głowy żaden inny pomysł, jak dowiedzieć się, gdzie trzymają Michaela.

– Nie mogliśmy po prostu śledzić ludzi z jego gangu, kiedy wychodzą z baru przed zamknięciem, i zobaczyć, dokąd jada?

– Z tym mielibyśmy problem. Po pierwsze, nie znamy z widzenia wszystkich członków Fola na hÉireann, po drugie, mielibyśmy uzgodnić to z nadkomisarzem Pearse'em, co by znaczyło, że wiedziałby o tym każdy mundurowy z komendy. Wystarczyłoby, że któryś z nich szepnie słowo Twomeyowi. To byłoby jak podpisanie wyroku śmierci na Michaela.

– Ale śledzimy telefon Twomeya?

– Ten, z którego dzwonił do Seana, oczywiście. Tylko że jak dotąd wytropiliśmy jedynie połączenie z warsztatem samochodowym, gdzie robią mu przegląd auta, i drugie do matki, którą chce w niedzielę zabrać na lunch. Najwyraźniej nie używa tej komórki do interesów narkotykowych ani działań strategicznych, jakiegokolwiek one są.

– Ma tupet, co?

– I wiesz, to właśnie mnie martwi. Porwał naszego detektywa i dał jasno do zrozumienia, że zrobi mu coś złego, jeśli nie pozwolimy mu spokojnie prowadzić handlu narkotykami. Uderzające, że uważa się za kompletnie nietykalnego. Co pozwala mu wierzyć, że go nie ruszymy? Dlatego zależy mi na ścisłej dyskrecji, przynajmniej na razie.

Z telefonu Katie dobiegła melodyjka *Siúil A Rún*. Dzwonił Conor.

– Katie? O, cieszę się, że cię złapałem. Właśnie odezwał się do mnie Domnall z Gilabbey.

– Jak się ma Barney? Boże, nie mów, że mu się pogorszyło.

– Wręcz przeciwnie, kochanie, wręcz przeciwnie. Robi fantastyczne postępy i pewnie za parę dni będziemy mogli zabrać go do domu. Przez jakiś czas nie da rady biegać po plaży ani skakać przez płoty, ale Domnall sądzi, że za miesiąc całkowicie wróci do zdrowia.

– Och, to cudowna wiadomość, Con! Dziękuję. Jak poszło z Zezowatym?

– Szczerze mówiąc, nie tak, jak miałem nadzieję. Był w obstawie tylu zbirów, że nie mogłem do niego podejść. Później ci opowiem. Ale mam jeszcze inne

dobre wiadomości.

– Świetnie. Może zostawmy to na wieczór? W tej chwili jestem zajęta z Kyną.

– Zajęta z Kyną? To brzmi interesująco. Może powinienem przyjechać i przyłączyć się?

– Oj, przestań, dobrze? W drodze do domu wpadnę do ojca, ale nie powinnam być zbyt późno.

– Pozdrów staruszkę ode mnie, dobrze?

Katie odłożyła telefon.

– To Conor – zwróciła się do Kyny. – Barney ma się dużo lepiej, niedługo powinnam móc zabrać go do domu.

– Och, to wspaniale. Cieszę się za ciebie. I za Barneya też, bidulka.

– A przy okazji, coś się udało załatwić z Johnem Deneenem? – spytała Katie.

– Odzywał się do mnie jego sekretarz. Jakąś godzinę temu. Mówi, że jeśli dostanie od nas na piśmie, że ciało zostało zidentyfikowane i nie ma wątpliwości, że to O'Regan, jest gotów wysłać nam kopię dokumentacji, którą zamierzał przedstawić komisji. Już wszystko załatwiłam z Billem Phinnerem.

– Frank Magorian zastrzegł, że najpierw on chce zobaczyć te papiery.

– Ach, tak? A skąd będzie wiedział, czy rzuciłaś na niego okiem? Patrzenie nie zostawia śladów, prawda?

Katie mimowolnie się uśmiechnęła. Niech sobie zastępca komendant głównej Magorian mówi, co chce, ale nie jest w stanie powstrzymać jej przed przeczytaniem dokumentacji, zanim mu ją przekaże. I oczywiście on to wiedział, ale ostrzegał, że nie powinna nic robić bez jego zgody, bez względu na to, co by odkryła.

– Słuchaj, jeśli chcesz, żebym zaczęła w barze Halfway wieczorem, pójdę teraz do domu i przebiorę się w swój uniform dziwki – powiedziała Kyna. – Potem wrócę, żebyś rzuciła okiem i upewniła się, czy wyglądam dość zdzirowato.

– Będę czekać jak na szpilkach.

Kyna spojrzała na drzwi Moirin, by upewnić się, że są zamknięte, po czym podeszła do Katie, dotknęła lekko opuszkami palców jej policzka i pocałowała ją

w usta. Przez chwilę stały blisko siebie, patrząc sobie w oczy.

– Tak się cieszę z powodu Barneya – odezwała się w końcu Kyna. – Wiem, ile dla ciebie znaczy. Więcej niż po prostu pies.

Katie uśmiechnęła się i cmoknęła ją w policzek.

– Dobrze. Lepiej będę się zbierać – rzuciła. – Muszę podjechać do szpitala z Patrickiem i Padragain i zobaczyć się z doktor Kelley. Powinnam być z powrotem koło trzeciej.

– Zamierzasz obejrzyć O'Regana? Nie jedz nic przedtem.

* * *

Otoczenie zwłok nie odbierało apetytu doktor Kelley. Wyszła ze swojego biura znajdującego się na końcu kostnicy, wyraźnie kończąc jeść, bo coś przeżuwała i otrzepywała okruchy ciasta francuskiego z bladozielonego fartucha na piersi.

Była niską, przysadzistą kobietą z okrągłą twarzą, podwójnym podbródkiem i krzaczastymi męskimi brwiami. Nosiła okrągłe okulary, a spod czepka chirurga wystawały ciemne loki, sztywne jak końskie włosie. Mimo to Katie często myślała, że gdyby wyregulowała brwi i pomalowała usta czerwoną szminką, mogłaby wyglądać dość ładnie, jak staromodna porcelanowa lalka.

– Przepraszam – powiedziała patolożka, nadal żując. – Nie jadłam śniadania i umierałam z głodu.

Katie starała się uśmiechnąć. Zapach kostnicy zawsze przyprawiał ją o mdłości. Wiedziała, że ciała balsamuje się dezodoryzującym płynem, który usztywnia tkanki i zabija bakterie *Clostridium perfringens*, mimo to była pewna, że rozpoznaje w tle odrażający fetor ludzkiego rozkładu. Zastanawiała się czasami, czy jej nos ma pamięć i czy może to, co wyczuwa, jest wynikiem nakładania się zapachu wszystkich ciał, na jakie trafiła podczas swojej pracy.

Na zewnątrz się rozchmurzyło. Dzień stał się niespodziewanie pogodny. Z umieszczonych wysoko okien do kostnicy wpadały promienie słońca, nadając

pomieszczeniu atmosfery jakiejś dziwnej kaplicy.

– Pratima, maski poproszę! – zawołała doktor Kelley do swojej asystentki.

Pojawiła się młoda Hinduska i podała maski chirurgiczne Katie i detektywom O'Donovanowi i Scanlan. Patolożka poprowadziła ich do wózka, na którym leżał przykryty zielonym prześcieradłem Kieran O'Regan.

– Nadal nic nie wiadomo, co z jego głową? – spytała, podnosząc prześcieradło i odkrywając ciało do pasa. Skóra O'Regana była teraz woskowożółta, niczym łój, z fioletowymi sińcami. Choć doktor Kelley zrobiła nacięcia, by uwolnić gazy z jego brzucha, nadal był spuchnięty.

– Z głową? Nie – odparła Katie. – Pewnie leży zagrzebana w jakichś bagnach albo dryfuje rzeką Lee. Kto wie?

– Jak podejdziesz i popatrzysz na jego szyję, zobaczysz, że przywróciłam jej mniej więcej oryginalny kształt – powiedziała patolożka.

Wszyscy przeszli na tę stronę wózka, by zobaczyć czerwoną miazgę odciętej szyi. Doktor Kelley włożyła do niej cienką regulowaną obręcz z przezroczystego celuloиду, żeby płaski mięsień szeroki nie opadał od przodu szyi na dół.

– To wygląda zupełnie jak te plastikowe usztywniacze wkładane do kołnierzyków nowych koszul – zauważył detektyw O'Donovan.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy – pochwaliła go doktor Kelley. – To jest właśnie to i świetnie się sprawdziło. Kiedy szyja waszego delikwenta wróciła w przybliżeniu do formy, w jakiej była, kiedy jeszcze miał głowę, mogłam ją sfotografować i wydrukować model w trzy-D, a także zbadać brzegi rany i przecięte kręgi.

Katie nachyliła się, żeby zobaczyć tył szyi O'Regana. Tuż pod miejscem, gdzie ucięto głowę, były trzy równoległe draśnięcia, jedno nad drugim. Szarpane, płytkie rany, każda o długości około siedmiu centymetrów.

– Co to takiego? – spytała. – Ślady wahania?

– Nie tyle wahania, ile odbicia – powiedziała doktor Kelley. – Widziałam tego typu rany dziesiątki razy, ale głównie na przodzie lewego uda albo na wierzchu lewej dłoni, na nogach lub lewym policzku. Są charakterystyczne dla obrażeń

odniesionych w wyniku użycia piły łańcuchowej. Rany nóg zdarzają się, kiedy piła wymknie się z rąk albo gdy przecięcie gałęzi pójdzie o wiele łatwiej, niż można się było spodziewać. Twarzy, jeżeli piła szarpnie, odbije w górę i do tyłu. Zwykle trzeba mieć szczęście, żeby przy tym nie stracić oka i nie ciachnąć sobie połowy czoła.

– A w tym przypadku?

– W tym przypadku wiemy, że wasz delikwent siedział prosto, kiedy ścinano mu głowę. Mogę bez wątpienia stwierdzić, że zabójca był za nim. Musiał ustawić piłę poziomo. Bardzo trudno utrzymać ją w tej pozycji. Kiedy zaczął ciąć, piła odbiła, nim weszła głębiej i sprawca zdołał nad nią zapanować. Z trójwymiarowego modelu widzę, że zęby piły były stare i stępione, a łańcucha nie naciągnięto jak należy. Ostra piła z odpowiednim naciąganiem wchodziłaby w drewno, czy w tym przypadku szyję, jak w masło. Stępione zęby i obłuzowany łańcuch powodują wibracje i tym samym zwiększają ryzyko odbicia, nawet trzykrotnego. Jestem pewna, że tak się właśnie stało.

– Informowała pani o tym Billa Phinnera?

– O tak. Wysłałam mu wszystkie ustalenia i jego eksperci mają tworzyć własny model.

Katie stała chwilę w milczeniu przy bezgłowym ciele O'Regana.

– No dobrze – odezwała się wreszcie. – Czy już pani z nim skończyła? Kiedy będziemy mogli wydać ciało rodzinie?

– Kiedy tylko sobie pani życzy. Nie mam więcej badań do przeprowadzenia. Nie miał we krwi śladów alkoholu ani narkotyków. Trochę za wysoki poziom cholesterolu, ale serce, wątroba i nerki były w dobrej kondycji. Rodzina musi mnie tylko poinformować, do którego domu pogrzebowego go wysłać.

Doktor Kelley okryła z powrotem ciało zielonym prześcieradłem. Katie spojrzała na stojących naprzeciw detektywów O'Donovana i Scanlan. Nie potrzebowała mówić na głos, że kwestia pochówku może być problematyczna, biorąc pod uwagę, że miał stanąć przed komisją i przedstawić dowody na korupcję w szeregach Garda Síochána. Pogrzeb państwowy z pełnymi honorami

mógł być wykluczony. Poza tym jeszcze nie wydali publicznego oświadczenia, że bezgłowe ciało zostało zidentyfikowane.

– A co z Jimmym Ó Faoláinem? – spytała Katie. – Czy przy nim też wszystko skończone?

– Tak. Ekspediujemy go po południu do zakładu pogrzebowego Jerha O’Connora.

– No, przynajmniej on będzie miał paradne pożegnanie.

* * *

– Mogę się założyć o wszystkie pieniądze, że motyw zabójstwa funkcjonariusza O’Regana da się wyczytać z jego materiałów dowodowych – powiedziała Katie, kiedy jechali z powrotem na Anglesea Street.

– Wolę nie myśleć, jakie to może mieć konsekwencje – mruknął detektyw O’Donovan. Zatrąbił niecierpliwie na samochód przed nim, który nie ruszał, choć zapaliło się już zielone. – Co on robi, ten dupek, odmawia zdrowaśkę?

– Prawda, ja też nie chcę nawet o tym myśleć. – Katie westchnęła. – Jeśli nie możemy ufać sami sobie, to komu?

* * *

Dostała esemesa od Billa Phinnera, że ma dla niej wiadomości, więc nim ruszyła do swojego gabinetu, zeszła na dół do laboratorium techników. Phinner stał przy pojemniku z wodą. Miał założone wytłumiające słuchawki i plastikowe gogle. Nadzorował strzelanie z pistoletu sig sauer, który został właśnie znaleziony przy Horgan’s Quay. Gdy Katie weszła, rozległ się stłumiony huk, po czym bulgotliwy dźwięk, kiedy kula zwalniała, pokonując opór wody w zbiorniku.

Bill Phinner zdjął słuchawki i gogle i poprowadził Katie do swojego pokoju.

– To nie ten sam typ broni, z jakiej zastrzelono Jimmy’ego Ó Faoláina, prawda? – spytała.

– Nie. To dziewięćmilimetrowy P dwieście trzydzieści osiem z mechanizmem spustowym z samonapinaniem. Myślę, że to może być broń, której użyto w strzelaninie w Mayfield w zeszłym miesiącu, choć trudno mi pojąć, po co ktoś miałby ją wywalać do kontenera na śmieci.

– Właśnie byłam w kostnicy zobaczyć ciało O'Regana – powiedziała Katie. – Doktor Kelley jest właściwie pewna, że głowę odcięto piłą łańcuchową.

– Co do tego nie ma wątpliwości. Pewnie widziałas te rany z odbicia na tyle jego szyi. Sposób, w jaki zostały przecięte skóra, mięśnie i kręgi, pasuje jedynie do piły łańcuchowej. O typowych parametrach. Ale nigdy nie wiadomo, to wszystko kwestia szczęścia. Może się trafić, że akurat wpadnie nam w ręce ktoś, kto będzie miał piłę ze śladami DNA wbitymi między ostrza.

– Szanse na to są prawie równe zeru. Jak wiesz, nadal wstrzymujemy się z ogłoszeniem, czyje to ciało. Nie możemy nawet apelować do świadków.

– No to chyba mam dla ciebie nieco bardziej pokrzepiającą nowinę – powiedział Bill Phinner. Sięgnął na biurko i podniósł przejrzystą torebkę z fletem, który wydobyto z przeciętej szyi funkcjonariusza O'Regana. – Ci, którzy mu go wetknęli, nie zostawili odcisków palców, ale nie uwierzysz... Najwyraźniej nie mogli się powstrzymać, by sobie na nim nie poświstać, zanim wepchnęli mu go w krtań.

– O Matko Boska. Ciekawe, co zagrali.

– No, tego nie wiemy, ale znaleźliśmy ślady wyschniętej śliny na ustniku i wysłaliśmy dziś rano próbkę DNA doktor O'Donnell do szybkiej analizy.

– Coś się udało?

– Nie... nie znalazła nic pasującego w bazie, niestety. Bardzo mi przykro. Ale jak złapiesz podejrzanego, to przynajmniej mamy gotowy profil DNA.

– To już coś, dzięki – rzuciła Katie. – Ale jeśli mam być z tobą szczerą, nie wiem, kiedy to będzie. Na razie stale trafiamy na mur.

– Każdy mur można obejść, pani detektyw nadkomisarz, albo wdrapać się na drabinę i przez niego przejść. W tym flecie jest coś jeszcze i głównie dlatego

chciałem się z tobą zobaczyć. Pamiętasz, opowiadałem ci o takim starszym gościu, którego wziąłem do pomocy przy analizie włókien.

– Tym, który wrócił z emerytury?

– Właśnie. Brendan Mulvihill. Grał na cymbałach w zespole ludowym. Kiedy dziś rano zobaczył ten flet, powiedział, że chyba wie, skąd pochodzi. Jest zrobiony ze stopu niklu i ma drewniany ustnik. Mulvihill mówi, że to niewątpliwie ręczna robota. Zna tylko dwa, trzy sklepy w Cork, gdzie można takie dostać, a ten najprawdopodobniej był kupiony w Music Market na Old Blackrock Road.

– To bardzo przydatna informacja. Dziękuję, Bill. Zaraz wyślę tam Padragain Scanlan.

– Uwielbiam takie skomplikowane sprawy – przyznał Phinner, kiedy po laboratorium odbił się echem kolejny wystrzał. – Jak człowiek taką łamigłówkę wreszcie rozwiąże, ma o wiele większą frajdę, nie sądzisz?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wolałaby świat, w którym nikt by nic nie kradł i nie krzywdził ludzi czy zwierząt, świat, w którym nie trzeba byłoby rozwiązywać zagadek zbrodni, nieważne, czy trudnych, czy łatwych.

* * *

Kiedy wróciła do biura, Kyna już na nią czekała. Przysiadła na blacie biurka Katie. Miała na sobie ognistorudą perukę, połyskliwą złotą bluzkę bez rękawów i szkarłatne legginsy. Spryskała się Estée Lauder SpellBound tak mocno, że Katie po dwóch wdechach kichnęła.

– Dość dziwkowato? – spytała Kyna.

– Jezu, gdyby był konkurs na irlandzką dziwkę roku, wygrałabyś w przedbiegach.

Kyna zsunęła się z biurka i obróciła dokoła, żeby pokazać, jak legginsy ciasno opinają jej tyłek.

– Powinnyśmy zrobić sobie selfie – rzuciła.

– Nie sędę. Ktoś mógłby to zhakować i zaczęłoby to krążyć w internecie. Ale słuchaj, Kyna. Wiem, jak wkurzają cię Twomey i Quinn, więc bardzo cię proszę, naprawdę bardzo uważaj. Jeśli odkryją, kim jesteś, mogę stracić was oboje. I ciebie, i Michaela.

Kyna położyła dłonie na ramionach Katie.

– Nie pocałuję cię – powiedziała. – Ten błyszczak do ust jest zbyt lepki. Ale zrobię to, kiedy załatwię co trzeba, słowo.

Rozdział 13

Po drodze do domu Katie podjechała do Monkstown, żeby zobaczyć się z ojcem. Jego dom było widać po drugiej stronie rzeki od jej frontowej furtki i miała wyrzuty sumienia, że nie odwiedza taty dość często. Problem w tym, że zawsze po dniu pracy padała na twarz ze zmęczenia. Ostatnie sprawy były przytłaczające, a z powodu kolejnych cięć w budżecie brakowało jej doświadczonych detektywów.

Dobrze, że ojcem opiekowała się teraz Blaithin, kucharka z pubu Roaring Donkey na Orilia Terrace w Cobh. Dbała, żeby jadł jak należy. Prasowała mu też koszule i odkurzała dywany. A jeden z jej synów wpadał od czasu do czasu ze swoim jazgotliwym kundelkiem, żeby zrobić porządek w ogrodzie.

Katie zaparkowała przed dużym, pomalowanym na zielono wiktoriańskim domem i zobaczyła, że jest tu już i inny samochód, biała toyota prius. Kiedy wchodziła schodkami na ganek, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich jej młodsza siostra, Clodagh.

– Clo! Jaka miła niespodzianka! Jak leci?

Clodagh z uśmiechem uściskała ją i ucałowała. Mogłaby być jej bliźniaczką, choć była odrobinę wyższa i odziedziczyła po ojcu charakterystyczny szpiczasty nos. Miała na sobie gruby beżowy sweter z opadającym szalowym kołnierzem i naszyjnik z ogromnych ceramicznych paciorków. Katie domyślała się, że zarówno sweter, jak i naszyjnik siostra zrobiła sama. Razem ze swoją współpracowniczką, Fancheą, prowadziła sklep z pamiątkami na Henry Street w Kenmare.

– Świetnie, lepiej nie może – odparła Clodagh. – A ty jak się masz? Stale widuję cię w telewizji. Powinnaś zająć się tym na poważnie, wiesz? Byłabyś świetna w serialu *Fair City*.

– Kto to?! – zawołał z pokoju ojciec.

– Twoja jedyna córka, która poszła w twoje ślady, tato! – odkrzyknęła Clodagh.

Po chwili wszedł do przedpokoju. Miał przerzedzone siwe włosy, ale zielone oczy były bystre, a policzki rumiane. Na kuchni Blaithin przybrał nieco na wadze, a tego wieczoru, w ciemnozielonym wełnianym swetrze, wydawał się jeszcze potężniejszy.

– Katie! Jak dobrze cię widzieć, kochanie! Co nowego?

Ucałowała go. Palił, ale pachniał czystością, zupełnie inaczej niż w miesiącach zaraz po śmierci matki Katie, kiedy kompletnie zaniedbał siebie i dom.

– Nie ma Blaithin? – spytała, gdy szli do salonu.

W kominku płonął ogień, a na bocznym stoliku w wazonie z rżniętego kryształu stały pomarańczowe róże.

– Przyszła przygotować mi śniadanie, ale to jej dzień wolny. Pojechała zobaczyć się z kuzynką w Fermoy. Jak ci się podoba mój sweter? Clo sama go dla mnie zrobiła na drutach.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było, tato – powiedziała Katie. – Jesteśmy zawałeni robotą. Jimmy Ó Faoláin został zastrzelony, a do tego na cmentarzu w Kilcully znaleziono zwłoki bez głowy. Poza tym jak zwykle mamy sprawy związane z handlem narkotykami, przemytem ludzi, prostytutką i kradzieżami w sklepach. I bardziej zwyczajne obowiązki, jak to na komendzie.

– Nie ma sprawy, Katie. Nie martw się. Wiem, ile masz zajęć.

– Wyobraź sobie, że złapaliśmy jakiegoś cwaniaka, który wywlókł ze sklepu manekin, razem z ubraniem. Mówił, że pomylił go ze swoim przyjacielem i myślał, że ten dostał jakiegoś ataku i dlatego tak zeszywniał. Niby chciał go nieść do domu.

Ojciec pokręcił głową.

– Nie do wiary... Oni czasami tak się tłumaczą, że nie wiadomo: śmiać się czy płakać. Jeden gość mówił mi, że wziął sobie cudzą drabinę, żeby zajrzeć przez okno do sypialni i zobaczyć, czy żona ma romans z sąsiadem. Tylko że nie potrafił wyjaśnić, po co mu były do tego jeszcze wiertarka udarowa i cykliniarka.

– Miałabyś ochotę na filiżankę herbaty, Katie? – spytała Clodagh. – Tato?

– Raczej poproszę trochę wódki, jeśli jest – rzuciła Katie. – To był ciężki dzień. Ale szczerze mówiąc, ostatnio wszystkie są takie.

– A jak idzie w sprawie Jimmy’ego Ó Faoláina? – zapytał ojciec, otwierając srebrną papierośnicę z wygrawerowanym krzyżem Garda Síochána. Dostał ją, gdy odchodził ze służby. Nie odszedł dobrowolnie, ale w związku z nieprawdziwymi zarzutami o korupcję, i przez lata nie chciał używać tej pamiątki. Katie nie skomentowała tego, ale pomyślała, że może wraz z upływem lat robi się mniej zasadniczy.

– Jimmy’ego Ó Faoláina? Jak na razie nie ma wielkich postępów. A właściwie żadnych. Na dziewięćdziesiąt procent jesteśmy pewni, z jakiej broni strzelano, ale kompletny brak śladów na miejscu jest uderzający. Nie ma nic. Żadnych śladów butów, odcisków palców, włosa czy choćby drobinki włókna, śladów włamania... I nic nie zginęło.

– Wygląda mi to na robotę fachowca – skwitował ojciec. – Masz jakiś pomysł co do motywu?

– Księgowi z policji skarbowej w Dublinie przeczesują dla nas księgi rachunkowe Ó Faoláina, ale kto wie, ile to potrwa. Podejrzewam, że musiało chodzić o kasę, bo wygląda na to, że wszyscy go uwielbiali.

– A ten facet bez głowy? Doszliście już do tego, kto to jest? A raczej był.

Katie była w rozterce. Wiedziała, że ojcu może ufać bezgranicznie. Nadal jednak widywał się od czasu do czasu z dawnymi kolegami, zwłaszcza tymi, którzy go wspierali i sympatyzowali z nim, kiedy zgłosił łapówkarstwo pleniące się wśród funkcjonariuszy. Może nie oprzeć się pokusie i wyjawi im, że to O’Regan został zamordowany, zaledwie kilka dni przed tym, jak miał zeznawać

przed komisją. Albo może się mu to po prostu przypadkiem wymyknąć. Nie cierpiał na demencję, lecz bywał roztrzępany.

– Pracujemy nad tym, tato – odparła. – Wiemy, że ścięto mu głowę piłą, ale to na razie tyle.

– O Józefie święty. Szczęście w nieszczęściu, że to przynajmniej szybka śmierć.

Wróciła Clodagh z dwiema filiżankami herbaty i wódką z tonikiem w szklance z rżniętego kryształu dla Katie.

Ojciec zapalił papierosa i przez chwilę wydmuchiwał dym.

– Cieszę się, że jesteście tu dziś obie – odezwał się wreszcie. – Mam nadzieję zobaczyć się z wami wszystkimi w następnym tygodniu albo jeszcze następnym. Bo... myślę o sprzedaży domu.

– Jestem zszokowana, tato – odezwała się Clodagh. – Przecież kochasz ten dom. Zawsze mówiłeś, że spędzisz tu resztę życia.

– A dokąd się wyprowadzisz? – spytała Katie.

– Lisney rozgląda się po okolicy, szuka dla mnie jakiegoś małego domku. Gdzieś niedaleko stąd. Może w Castlefarm albo Strawberry Hill. Rzecz w tym, że nie potrzebuję już tak wielkiego domu jak ten. Wasza mama odeszła, a po niej była Ailish i myślałam, że zostanę tu i pobierzemy się. Ale Ailish też mi odebrano i potem nie mogłam już znaleźć żadnej kobiety, która by mi je zastąpiła... Ailish i waszą mamę.

Katie przyjrzała się uważnie ojcu. Uciekał wzrokiem, widziała, że nie mówi im wszystkiego. Sączył herbatę i zaciągał się papierosem, a kiedy spojrzał na Katie i dostrzegł wyraz jej twarzy, szybko się odwrócił.

– Tak naprawdę to nie ma nic wspólnego z tym, czy się żenisz, czy nie, co, tato? – powiedziała.

Wzruszył ramionami, nadal jednak na nią nie patrzył.

– Jesteś zbyt dobrym gliną, Katie, to twój problem.

– No to jaki jest prawdziwy powód, że sprzedajesz dom?

– Chodzi o pieniądze... jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć. Jestem spłukany. A ten dom jest wart osiemset pięćdziesiąt tysięcy, lekko, i to mnie postawi na nogi.

– A co z twoimi oszczędnościami? Z emeryturą?

– Powiedzmy, że zrobiłem kilka niemądrych inwestycji. Wiesz, zawsze ostrzegają, że inwestycje mogą okazać się bardzo opłacalne albo przynieść straty. Moje wszystkie poleciały w dół jak koza w studnię.

– Na litość boską, w co ty inwestowałeś? – spytała Clodagh.

Wypuścił z ust więcej dymu.

– To już bez znaczenia. Mówiłem ze swoim prawnikiem i kolegą, który był maklerem. Nie mogę w żaden sposób odzyskać pieniędzy. Ryzyko to ryzyko. Jedyne, co mogę zrobić, to zminimalizować straty i nigdy już się w coś takiego nie bawić.

– Ile tego było? – spytała Katie.

– Prawie dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy. Wiem. Jest czego żałować. A nawet nad czym płakać.

– Jesteś pewien, że nie ma nic, co mogłybyśmy zrobić, żeby pomóc ci z tego wybrnąć? – naciskała Katie.

– Nie. Jesteście cudowne. Nie martwcie się tym. Jak powiedziałem, ten dom i tak jest dla mnie o wiele za duży, i może dobrze mi robi na głowę, jeśli będę dalej od wspomnień o waszej mamie. Czasami myślę, że ona jest na górze, w łóżku, i muszę wstać, upewnić się, że jej nie ma. – Na chwilę umilkł, po czym dodał ledwie słyszalnym głosem: – Nigdy jej nie ma.

– Daj mi znać, gdybyś chciał, żebym pojechała z tobą obejrzeć jakieś domy – powiedziała Katie. – Strasznie mi przykro, że straciłeś tyle pieniędzy. Serce się kroi.

– W gruncie rzeczy to nie ma znaczenia, Katie. Trumna nie ma kieszeni.

Rozmawiali jeszcze z godzinę. Katie próbowała nakłonić ojca, by opowiedział jej dokładnie, jak to było z tymi inwestycjami, lecz nie dał się przekonać. Potrafiła to zrozumieć. Pewnie czuł się głupio i było mu strasznie

wstyd, że zaprzepaścił życiowe oszczędności i musi opuścić swój dom. Wiedziała, o czym mówi, kiedy wspomniał, że ma wrażenie, jakby jej matka nadal tu była. Sama czuła to samo. W lecie wyjrzała przez okno w kuchni w nadziei, że zobaczy matkę w ogródku warzywnym, jak pieki grządki.

Wreszcie zegar stojący w korytarzu wybił ósmą i Katie wstała.

– Muszę już jechać, tato. Conor mówił, że ma dla mnie jakąś dobrą nowinę, to niespodzianka. Wiesz co, przywiozę tu ze sobą w niedzielę Foltchain, żebyś ją poznał, i wybierzemy się na spacer nad rzeką.

– Byłoby bardzo miło, Katie. I tak się cieszę, że Barney wraca do zdrowia.

– Uważaj na siebie, tato.

Rozejrzała się jeszcze po salonie. Za zasłonami był parapet, gdzie lubiła się chować i bawić lalkami w zimowe wieczory, kiedy była mała. Spojrzała na ojca, zapatrzonego w płomienie w kominku, i ogarnął ją smutek, że życie mija tak szybko.

Rozdział 14

Kyna zaparkowała swojego białego mini countrymana niedaleko Halfway Bar and Lounge, za rogiem na Mount Saint Joseph's Heights. Kiedy wygramoliła się z samochodu i zamknęła go, starsza kobieta wynosząca śmieci popatrzyła na nią jak na kosmitkę, która właśnie wysiadła z latającego spodka. Kyna uśmiechnęła się do niej, jakby chciała zapewnić, że nie zawsze wygląda tak dziwkowato, i ruszyła chodnikiem do Baker's Road.

Kiedy kołysząc się lekko na piętnastocentymetrowych obcasach, zbliżała się do baru, stało pod nim trzech mężczyzn. Palili. Oni też gapili się na nią, kiedy popychała drzwi i wchodziła do środka. Słyszała, jak jeden mówi: „Jezu, ale bym ją wygrzmocił!”.

W hałaśliwym lokalu panował ścisk. Słyszać było muzykę i tubalne śmiechy. Gitarzysta, skrzypek, flecista i muzyk grający na bębenu bodhrán siedzieli przy stoliku zastawionym szklanicami piwa. Grali *Niebieski tatuaż*, a kiedy doszli do refrenu, wszyscy dokoła zaczęli przytupywać do rytmu i podśpiewywać razem z nimi.

– *Wytatuowane na niebiesko! Wytatuowane na niebiesko! Wytatuowałem sobie twoje imię na niebiesko!*

Kyna ruszyła do baru, w pełni świadoma, że wszyscy się za nią oglądają i jest w centrum uwagi. Zespół grał dalej, ale kiedy śpiewali refren, przyłączyło się do nich tylko parę głosów.

– Witaj, dziewczyno – odezwała się barmanka Maureen. – Dobrze widzieć nową twarz. Przeprowadziłaś się tu skądś?

– Nie, przyjechałam z Dublina na tydzień, dwa pomóc siostrze – powiedziała Kyna. – Właśnie urodziła bliźniaki i nie wie, za co się złapać. Cały dzień karmiłam je, kołysałam do snu, więc przyda mi się jeden głębszy.

– Co ci podać?

– Może WKD vodka blues, jeśli macie.

Gdy Maureen szykowała jej drinka, do baru podeszła Gwenith z trzema pustymi szklankami. Miała na sobie opiętą czerwoną sportową koszulkę i czarną skórzaną minispódniczkę.

– Ty tu sama? – zwróciła się do Kyny.

– Tak. Jak mówiłam już barmance, cały dzień pomagałam siostrze opiekować się jej nowo narodzonymi bliźniakami i padam na twarz.

– To może przyłącz się do nas? Chyba nie chcesz tu sterczeć sama jak palec, co?

Kyna popatrzyła na Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna. Między nimi siedział tylko jeden z ich ogolonych na zero ochroniarzy. Miał odchyloną głowę, oczy zamknięte, a usta otwarte, jakby już wypił o wiele za dużo.

– Śmiało, to mój brat Seamus i jego kumpel Dougie, fajne chłopaki. Lubią ładne dziewczyny, a z ciebie naprawdę zabójcza laska. Kiedy weszłaś, wszystkim aż gały wyszły na wierzch.

– No... dobrze – rzuciła Kyna, wzruszając ramionami, jakby non stop słyszała, jaka to jest seksowna, i nie miała nic lepszego do roboty, niż z nimi usiąść.

– Nie zwracaj sobie głowy płaceniem za swoje drinki – dodała Gwenith. – Maureen, dopisz tę wódkę do rachunku Seamusa, dobrze? I podaj chłopakom jeszcze dwa kolejne kufle murphy's, a dla mnie jabłkowe poitini.

– Już się robi – powiedziała Maureen.

Kyna przeszła od baru do stolika w rogu i usiadła obok Seamusa Twomeya. Douglas Quinn spojrzał na nią i puścił do niej oko.

– Jak masz na imię, skarbie? – spytał Seamus. – Nigdy jeszcze cię tu nie widziałem.

– Bo mieszkam w Dublinie. Jak chcesz, możesz do mnie mówić Iskierka. Wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają.

– Iskierka! Dobrze, Iskierko. A czym ty się zajmujesz, żeby jakoś związać koniec z końcem? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, że pytam.

– Tym i owym. Trochę modelingiem... no wiesz... Moje zdjęcie było parę miesięcy temu w „The Gloss”.

– Wcale się nie dziwię – wtrąciła się Gwenith i położyła pulchną łapę na kolanie Kyny. – Wiesz, niektórzy ludzie są tak seksowni, że właściwie nie ma znaczenia, czy są kobietą, czy mężczyzną. Ty jesteś właśnie taka.

– Nie nakręcaj się, Gwenny – burknął Douglas. – Już cię nosi, a ja i Seamus to co? Napaliłaś się jeszcze bardziej niż na tego Tommy’ego. Tylko nie zrozum mnie źle. Nigdy się nim nie interesowałem. Nie jestem parowa.

Seamus zaśmiał się i rąbnął pięścią w stół.

– Wiesz, on ma rację, Gwenny! My tu próbujemy flirtować, a ty nam wchodzisz w drogę. Ale ty nie jesteś lesbą, co, Iskierko? Kręcą cię bardziej tacy przystojniacy jak my, prawda?

Znów się zaśmiał, głośno, po chamsku. Douglas też. Kyna uśmiechnęła się, ale patrzyła tylko na Gwenith. Po tym, jak grubaska gładziła raz za razem jej kolano, było widać wyraźnie, że czuje do niej pociąg. Może Gwenith miała ten szósty zmysł w sprawach seksu i już wiedziała, że Kynę interesują bardziej kobiety niż mężczyźni.

– A kto to taki ten Tommy? – spytała, rozglądając się po barze, żeby sprawić wrażenie, jakby niespecjalnie interesowała ją odpowiedź.

– O, taki tam gość – prychnęła Gwenith. – Jeden z tych bubków, co to udają, że im się podobasz, tylko po to, żeby cię wycyckać. Znasz to, prawda?

– I co, rzuciłaś go w diabły?

– Można tak powiedzieć. – Gwenith spojrzała na brata.

Tym razem parsknął śmiechem, który wcale nie brzmiał wesoło.

Gadali tak dobrze ponad dwie godziny. Seamus opowiedział długi dowcip o mężczyźnie, którego tyle razy łapano na prowadzeniu po pijaku, że zwołał

rodzinę i obiecał, że już nigdy nie siądzie za kierownicą. Jego kumpel próbował rozbawić towarzystwo historyjką o gościu, który zabrał swojego trzynogiego psa na spacer plażą i znalazł dzina w butelce, ale Douglas zapomniał, jaka była pointa dowcipu.

Gwenith cały czas gładziła wewnątrz uda Kyny i jej dłoń podkradała się coraz wyżej. Za każdym razem, kiedy Kyna na nią spojrzała, dziewczyna oblizywała znacząco wargi i posyłała jej krzywy uśmiezek, jakby chciała powiedzieć: „Wiesz, co bym ci chciała zrobić, prawda?”. Kynie jej gęba jak księżyc w pełni wydawała się tak odrażająca, że musiała z całych sił się powstrzymać, by nie strzepnąć z siebie jej łapy i nie wygarnąć, jaka jest paskudna. Ale Gwenith dała do zrozumienia, że między nią a Tommym coś zaszło, a Kyna oczywiście wiedziała, że Tommy to imię, pod którym występował Ó Doibhilin, kiedy pracował pod przykrywką.

Okolo dziesiątej trzydzieści zadzwonił telefon Seamusa. Podniósł go z blatu, na którym rozlało się piwo, i otarł rękawem, nim odebrał.

– Tak? O, to ty, Davo. Czego chcesz o tej porze, do cholery?! No nie mów. Jasne. Czy to nie znów ten pieprzony idiota zastępca menedżera? Słuchaj, nie trzęś portkami, chłopie. Zaraz tam przyjadę i wyjaśnię sobie z nim wszystko. Dobra.

Wstał.

– Przepraszam – rzucił. – Mam problem na mieście. Muszę się tym zająć.

Potrząsnął za ramię swojego drzemiącego pachołka.

– Farry! Zbudź się, rusz dupę. Mamy interes do załatwienia!

Facet otworzył oczy i usiadł, mrugając, jakby nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą? – spytał Douglas.

– Nie zawracaj sobie głowy. Normalne gówno. Ten zastępca menedżera w Nightowls robi problemy Davowi. Poszedł za nim do kibla, próbował go obszukać i tak dalej.

– Za kogo on się ma? Za pieprzoną brygadę antynarkotykową czy co? Jednak pojedę z tobą. Muszę się zobaczyć z Kevanem, chcę, żeby załatwił mi na jutro samochód.

Seamus, Douglas i Farry dopili resztki drinków, odstawili z hukiem puste szklanki i wyszli z pubu. Kyna zauważyła, że nikt nie zawołał do nich „Dobranoc”. Nawet barmanka Maureen.

– Ja też muszę się już zbierać – powiedziała, lecz Gwenith przytrzymała ją za udo.

– A może wpadniesz do mnie napić się czegoś przed snem? – zaproponowała.
– Pogadałybyśmy sobie, jak to dziewczyny. Seamus i Dougie są fajni, ale mam już dość słuchania tych ich głupich dowcipów i rozmów o piłce, hurlingu i samochodach.

– No, nie wiem – odparła Kyna. – Powinam wracać ratować siostrę. Ma straszne problemy z usypianiem tych bliźniaków.

– O, daj spokój. Tylko na małą godzinkę. Opowiesz mi, jak to jest z tym modelingiem. Zawsze chciałam zostać modelką. Słyszałam, że teraz szukają też dziewczyn o większych rozmiarach.

To prawda, pomyślała Kyna. Ale takich, które noszą rozmiar czterdzieści, a nie pięćdziesiąt cztery, i nie mają takich zakazanych gęb jak ty.

– No dobrze, ale na krótko – rzuciła. – Nie miałam wolnego wieczoru od tygodni. Wiesz, zajmuję się nie tylko modelingiem. Bo to nie jest stała praca.

Postanowiła zostawić samochód tam, gdzie go zaparkowała. Kto wie, co może pójść tego wieczoru nie tak. Nie chciała, żeby ktoś z gangu rozpoznał ją w przyszłości, kiedy będzie jeździć po mieście.

– Nie mieszkam daleko – powiedziała Gwenith.

Wyszły i ruszyły Cathedral Road. Panował przejmujący ziąb. Gwiazdy skryły się za chmurami.

– Zwykle Seamus albo Dermot podrzucają mnie do domu, ale raz na jakiś czas spacer dobrze mi robi. Mój jedyny problem to słabość do czipsów. To one mnie gubią, można powiedzieć.

– Ja nie mogę patrzeć na chipsy. Kiedy nie pracuję jako modelka, jestem sprzedawczynią w Chicken Express na Fairview – skłamała Kyna. – Trzeba jakoś zarobić na życie, prawda?

Gwenith wzięła ją za rękę.

– Myślę, że my dwie zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami. Najnajlepszymi.

* * *

Gwenith otworzyła drzwi i wpuściła Kynę.

– Proszę, Iskierko. Tu możesz powiesić kurtkę. Wejdz do pokoju, a ja przygotuję ci drinka i coś na ząb. Nie mam wódki, ale jest cydr, jeśli chcesz.

– Może być cokolwiek.

Boczne lampy w salonie już były zapalone, Kyna zobaczyła więc stertę swetrów, wilgotnych ręczników i wygniecionych magazynów na kanapie, pudełka po pizzy na stoliku i brudne kapcie porzucone na podłodze. Pachnące kwaśno powietrze było ciężkie, jakby Gwenith nigdy nie otwierała okien ani nawet nie ruszała pozaciąganych zasłon.

– Wybacz ten bałagan! – zawołała z kuchni. – Jakoś nigdy nie mam czasu, żeby posprzątać.

– Och, nie przejmuj się, ze mną jest tak samo! – odkrzyknęła Kyna, myśląc o swoim nieskazitelnie czystym mieszkaniu z różowym chińskim dywanem i oprawioną w ramy reprodukcją aktu pędzla Sarah Purser. Usiadła na kanapie, nieruchomo, ze splecionymi dłońmi. Powinna wejść w trans i podejść do tego profesjonalnie. Cokolwiek czeka ją z tą dziewczyną, musi wytrzymać i dowiedzieć się, co się stało z Ó Doibhilinem, to wszystko.

Minęło prawie pięć minut, zanim Gwenith wróciła. Z ust zwisał jej zapalony papieros. W jednej ręce niosła butelkę cydru, w drugiej szklanicę z johnnym jump-upem. Zdjęła czerwoną koszulkę ze znakiem stowarzyszenia sportowego, biustonosz, minispódniczkę i rajstopy. Teraz spowijał ją poplamiony z przodu

błyszczący turkusowy szlafrok. Mogłyby to być ślady krwi, ale Kyna podejrzewała, że pewnie Gwenith pochlapała się sosem do barbecue.

– Masz, dziewczyno – rzuciła, sadowiąc się przy Kynie i podając jej butelkę cydru. Wydmuchnęła kącikiem ust dym i rozgoniła go, machając dłonią. – Może mały numerek?

Nie czekając na odpowiedź Kyny, nachyliła się i pocałowała ją w policzek, a potem w usta. Wysunęła czubek języka, ale Kyna trzymała zaciśnięte wargi. Oddech Gwenith cuchnął papierosami i guinnessem.

Gwenith odchyliła się i niezrażona tym, że Kyna nie otworzyła przed nią ust, zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Lubisz to tak i tak – powiedziała. – Co? Od razu poznałam. Jesteś dokładnie taka jak ja. Jest ci wszystko jedno, czy to dziewczyna, czy facet, byle byli seksowni i napaleni.

– Ale najwyraźniej ten cały Tommy zniechęcił cię do takich rzeczy – zauważyła Kyna.

– O, do diabła z Tommym! Co za zakłamany gnojek! Udawał, że jest stąd, uroczy, przyjacielski i w ogóle...

Kyna łyknęła cydru.

– Czy on... no wiesz.

– Co? Czy poszedł ze mną do łóżka? Tak, zanim odkryłam, kim jest naprawdę. Nie był zły. To lepsze niż zabawianie się bananem, ale wiesz... niespecjalnie mu na mnie zależało.

– I udawał? Niby po co?

– Nie powinnam ci mówić. Brat strasznie by się na mnie złościł, gdybym ci powiedziała. Ale on nawet nie miał na imię Tommy.

Kyna położyła dłoń na pulchnym ramieniu Gwenith i pogładziła je przez śliski szlafrok.

– Przysięgam na wszystkie świętości, że nikomu nie pisnę słowa.

– Może najpierw usiądź wygodniej, Iskierko? Czemu nie zdejmiesz tych legginsów? Pewnie się w nich gotujesz z gorąca. A ja pokażę ci swoje iskierki.

– Nie. Jesteś w porządku, ale wiesz... moja siostra... Będzie się zastanawiać, gdzie, na Boga, przepadłam.

– O, daj spokój, dziesięć minut nie robi różnicy, prawda? Zobacz.

Gwenith wstała i rozchyliła szlafrok. Ukazały się ogromne, kołyszące się pod swoim ciężarem piersi, obwisłe brzuszysko i usiane cellulitem uda. Pod fałdami tłuszczu połyskiwały jej klejnociki.

– Ładne? Prawdziwe, od Swarovskiego. – Podtrzymała brzuch lewą ręką, żeby Kyna mogła przyjrzeć się dokładnie kryształkom wokół nabrzmiąłych warg sromowych. – Niesamowite, co? Uwielbiam je! Czuję się z nimi jak tancerka na rurze... *pole dancer*, wiesz, o co mi chodzi, tyle że bez rury. No, może nie licząc tego Marka, który pracuje w Kearys Motors! Chwytasz? On jest Polakiem². Kapujesz?

Kyna zdobyła się na uśmiešek, ale była zbyt zestresowana widokiem potężnej nagiej Gwenith, żeby się zaśmiać. Zaczęła podnosić się z kanapy, ale nim zdążyła usiąść prosto, Gwenith padła przed nią na tłuste kolana, chwyciła za gumkę legginsów Kyny i zaczęła je z niej zdzierać.

Z początku Kyna próbowała ją powstrzymać, ale tamta tylko wyszczerzyła zęby.

– Przestań, Iskierko, nie wstydz się! Przecież obie jesteśmy dziewczynami.

Ściągnęła z niej legginsy i cisnęła daleko na podłogę. A potem nachyliła się, rozdzielając szeroko kolana Kyny ramionami, po czym dobrała się głęboko między jej uda i wetknęła tam głowę.

Kyna tylko raz spojrzała w dół, by ujrzeć przesuszoną tlenioną czuprynę wznoszącą się i opadającą rytmicznie między jej nogami, jakby Gwenith przepływała krytą żabką basen publiczny w Churchfield. Potem zrezygnowana opuściła głowę na kanapę ze sztucznej skóry i próbowała skupić się na ulubionym wierszu z czasów szkolnych, *Long-Legged Fly* W.B. Yeatsa.

*Wydaje się jej, częściowo już kobiecie,
w trzech czwartych dziecku,*

*Że nikt nie patrzy; jej stopy
ćwiczą prowokujący chód,
jaki widziała na ulicy.*

Gwenith lizała i lizała i mimo obrzydzenia Kyny końcówki nerwów na jej łąchaczce zareagowały na tę upartą stymulację. Wiedziała jednak, że nie będzie szczytować. Wszystko w niej stawiało opór z odrazy i niepokoju. Miała kiedyś koleżankę, która zachęciła swojego labradora, żeby ją lizał, ale to teraz było gorsze, bo pies nie rozumiał, co robi, a Gwenith czuła, że Kyna czegoś od niej chce, choć nie zdawała sobie dokładnie sprawy, czego, i uznała, że może wykorzystać ją seksualnie.

*Jak długonoga muszka na strumieniu
Jej umysł dryfuje w ciszy.*

Gwenith lizała coraz szybciej i w którymś momencie wepchnęła sobie dłoń między uda. Sapała, dyszała, wydając wstrętne chrapliwe dźwięki. Nagle stężała – osiągnęła orgazm. Kyna wykorzystała to, by udać, że i ona szczytuje. Unosiła biodra i opuszczała, szepcząc „Tak, tak, tak” i przyciskając do siebie dziewczynę.

Po chwili Gwenith usiadła i otarła twarz wierzchem dłoni.

– Iskierko, ty mała tancereczko! – powiedziała. – Jezu, ale z ciebie seksowny cukiereczek!

Dźwignęła się z podłogi usiadła przy Kynie, obróciła jej głowę obiema dłońmi i wpiła się w jej usta.

– Teraz chyba moja kolej na lizanko, co?

Kyna zaciskała wargi, gdy tamta nacierała pocałunkiem. Pokręciła głową.

– Nie mogę, Gwenith, przepraszam. Mam paskudne nadżerki na dziąsłach. To dlatego nie mogłam całować się głębiej. Nie chciałabym ci sprzedać infekcji tam, w dole.

Gwenith odsunęła się, wyraźnie rozczarowana, ale potem nachyliła się i cmoknęła Kynę w policzek.

– Jesteś w porządku. To ładnie z twojej strony. Wiesz co? Mogłybyśmy umówić się, jak dzióbek ci się wygoi. Moja babcia zawsze mówiła, że najlepszy na to jest sok z pomarańczy. Świeżo wyciśnięty, wiesz, nie jakiś tam z butelki.

Wzięła szlafrok i zawiązała mocno pasek, po czym poszła po legginsy Kyny i jej podała.

– Zrobię nam jeszcze po drinku – powiedziała. – Nie wiem czemu, ale po smaku cipki zawsze strasznie chce mi się pić. A wydawałoby się, że powinno być odwrotnie, nie sądzisz?

Kiedy szła przez pokój, zabręczała jej komórka. Gwenith przyłożyła ją do ucha.

– Taaak? Jasne, tu Gwenny, a niby kto miałby być, do cholery? Nie, nie. Nie, tego też nie kupiłam. Słuchaj, Seamus, nie miałam czasu wstąpić do Tesco. Załatwię to rano, dobrze?

Chwilę słuchała, kiwając niecierpliwie głową.

– Dobra – rzuciła w końcu. – Przestań już, na litość boską. Pójdę i zrobię zakupy z samego rana. Kto je zawiezie do Crosser? Bo ja nie mogę. Farry? Jasne, jeśli tylko trochę oprzytomnieje z kaca i nie będzie się dalej czuł jak gównno na huśtawce.

Wreszcie się rozłączyła.

– Och, ten Seamus! – Westchnęła i cmoknęła niezadowolona. – Chciałby, żebym latała wokół niego jak jakaś pieprzona ćma! Jakbym nie miała dość do roboty!

Wciągając legginsy, Kyna uśmiechnęła się do niej blado, ale ze współczuciem.

– A czego chciał?! – zawołała, bo Gwenith ruszyła do kuchni, żeby otworzyć kolejną butelkę cydru i nalać sobie johnny’ego jump-upa.

Gdy tylko znikła w korytarzu, Kyna podskoczyła do jej telefonu i sprawdziła numer, z którego dzwoniono. Komórkowy, zaczynał się na 087. Szybko go

zapamiętała, kojarząc z numerem swojego pierwszego mieszkania w Drumcondra, do którego dodała datę urodzin mamy i dwie ostatnie cyfry swojego telefonu. Nim Gwenith wróciła z drinkami, siedziała już z powrotem na kanapie.

– O, miałam zrobić zakupy. Takie tam... srajtaśma, herbata i pasztet w puszkach, choć naprawdę nie wiem, po co, do cholery, karmimy go i dajemy mu papier do podcierania tyłka. Wsadziłby nas wszystkich do pudła, gdyby miał szansę.

– Mówisz o tym typku Tommym?

– Dokładnie – powiedziała Gwenith. Wzięła spory łyk guinnessa z cydrem, po czym wydała z siebie przeciągłe beknięcie. – Nie mów Seamusowi, że ci powiedziałam. Ten koleś okazał się gliną. Od wielu tygodni przesiadywał w Halfway i strzygł uszami na boki. Gdybym go nie capnęła, nigdy byśmy się nie domyślili, co to za szuja.

– Ale po co masz mu kupować jedzenie i takie rzeczy?

– Bo na razie jest na naszym wikcie, dziewczyno. Żeby dać mu nauczkę, jak mówi Seamus. Pewnie go wypuścimy, jak gliny przestaną się nas czepiać.

– A jak nie przestaną?

– Tak jak powiedział pewien koleś, kiedy pojawił się na balu przebierańców z gumowym fiutem na nosie, a przy drzwiach spytano go, za co się przebrał: „A chuj wie”.

Gwenith parsknęła śmiechem z własnego dowcipu, obryzgując twarz Kyny swoim drinkiem.

Rozdział 15

Gdy Katie szła w stronę ganku swojego domu, drzwi się otworzyły i w oświetlonym korytarzu pojawił się Conor ze stojącą obok niego Foltchain. Zawsze ubierał się dobrze, ale tego wieczoru był jeszcze bardziej elegancki niż zwykle – w szarej tweedowej marynarce i jasnoszarej koszuli. Założył nawet krawat.

Pocałowała go.

– Patrzcie, patrzcie! Wybierasz się dokądś?

– Owszem. Zamierzam zaprosić cię na kolację, jeśli nie jesteś za bardzo zmęczona. Zamówiłem stolik u Gilberta.

– Ho, ho! I z jakiej to okazji? Czy ten gość z Killarney zapłacił ci wreszcie za odnalezienie jego sznaucerów?

– Tak. Ale to nie dlatego. Mówiłem ci przez telefon, że mam dobre wieści.

– Super. Daj mi tylko dziesięć minut na przebranie.

Katie poszła do sypialni, rozebrała się i wzięła prysznic. Foltchain przytuptała do pokoju popatrzeć, jak suszy włosy przed toaletką. Katie dmuchnęła na nią suszarką, aż podniosły się kosmate uszka suczki i zamknęła oczy, jakby stała na ciepłym wietrze nad morzem.

– Nalać ci coś do picia?! – zawołał Conor.

– Nie, dziękuję! Napiję się w restauracji. I pamiętaj, ktoś z nas musi pozostać trzeźwy.

Włożyła jedną ze swoich ulubionych sukienek. Małą czarną, zapinaną od dołu do góry, z długimi rękawami, i lakierki. Kiedy wyszła z pokoju, Conor już czekał i podał jej płaszcz.

– Masz tajemniczy wyraz twarzy – powiedziała. – Umieram z ciekawości, o co chodzi.

Pojechali audi Conora na Pearse Square w Cobh, skąd roztaczał się widok na morze. Było czarne. Tylko odbite światła z promenady zdradzały, że to druga pod względem głębokości zatoka na świecie. To tutaj zawiął *Titanic*, nim wypłynął na Atlantyk, by nigdy już nie powrócić.

Conor zarezerwował stolik w rogu w głębi sali. Tego wieczoru w lokalu z błyszczącą białą podłogą, prostymi drewnianymi stolikami i krzesłami było pełno ludzi, panował zgiełk. Nim Katie zdecydowała, co chce pić, Conor skinął na kelnerkę i poprosił o butelkę szampana, która już czekała w kubelku z lodem.

– Nie trzymaj mnie dłużej w napięciu – rzuciła Katie, gdy Conor z cichym pyknięciem otworzył butelkę i nalewał musujący napój. – Przez cały dzień starałam się rozwikłać różne zagadki. Nie potrzebuję kolejnej.

– *Sláinte!* – Uniósł kieliszek. – Oby skończyły się twoje zmartwienia, anioły miały cię w opiece, a niebiosa ci sprzyjały.

– Conor...!

– No dobrze – powiedział z uśmiechem. – Dziś dowiedziałem się od swojego prawnika, że z domem wszystko załatwione, a ja z Panią Nieznośną już od ponad pięciu lat żyję w separacji, więc można będzie uzyskać rozwód.

– Rzeczywiście, to dobra wiadomość, choć nie powinieneś tak nazywać swojej byłej. Ona pewnie przeklina cię jeszcze bardziej. I jaki jest układ z domem?

– Ona go zatrzyma, ale ja nie będę musiał już spłacać pożyczki hipotecznej. Owszem, stracę swój udział, ale co za ulga, że to się wreszcie skończy. Jednak to nie dlatego cię tu zaprosiłem.

Przyszła kelnerka i podała im karty dań.

– Mamy wybór owoców morza, wędzonego łososia, a hitem dnia jest świeżo złowiony witlinek z grilla.

Conor spojrzał na kelnerkę.

– Nie, tu się pani myli. To jest hit dnia.

Wyjął małe granatowe pudełeczko z kieszeni marynarki, otworzył i pokazał Katie połyskujący w środku pierścionek z brylantem.

– Kocham cię całym sercem, Kathleen Maguire. Czy wyświadczysz mi ten rzadki zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Katie patrzyła na niego w osłupieniu. Tak ją ścisnęło w gardle, że nie była w stanie wykrztusić słowa. Mogła tylko starać się nie wybuchnąć płaczem. Musiała podnieść serwetkę i wytrzeć oczy, przy czym rozmazała tusz na rzęsach.

Kelnerka uśmiechnęła się, zachwycona, ale i skrępowana zarazem.

– Może wrócę za chwilę? – spytała.

– Nie, kochanie, chcę, żebyś została i była świadkiem, cokolwiek ta pani powie – odparł Conor. – Jestem tylko biednym tropicielem psów, ale w dobrej formie, zdrowym i wypłacalnym, i znam na pamięć słowa pieśni *The Rising of the Moon*.

Wyciągnął pierścionek z pudełka i podał Katie. Jej dłoń leżała płasko na blacie, nawet nie uniosła palca, żeby mógł wsunąć na niego pierścionek. Była totalnie zaskoczona, pochlebiała jej ta propozycja. Już kiedy pierwszy raz zobaczyła Conora na komendzie, bardzo się jej spodobał. Ta jego porządnie przystrzyżona broda i wydatne kości policzkowe wikinga, jego pewność siebie... Ale czy rzeczywiście chciała znów wyjść za mąż? Jej były, Paul, też był przystojny, lecz okazał się nieodpowiedzialnym kobieciarzem, zdradzał ją. A potem był John. Naprawdę go kochała, zawsze jednak miała wrażenie, że przynosi mu pecha i ten pech prześladował go, od kiedy się poznali, i snuł się za nim niczym mroczny cień.

Spojrzała w oczy Conora, widziała w nich błaganie: „Wyjdź za mnie, Katie, proszę. Będę w siódmym niebie”.

Miała wrażenie, że czas staje w miejscu, muzyka, rozmowy i śmiechy rozmyły się gdzieś w odległym tle.

– Con – odezwała się wreszcie, kładąc mu rękę na nadgarstku. – Nie chciałabym cię urazić, ale musisz pozwolić mi to przemyśleć.

– Katie, kocham cię! Chcę, żebyś została moją żoną.

– Słyszę, kochanie. I sędzę, że jesteś cudownym mężczyzną, wierz mi, i nie mogłeś mnie bardziej skomplementować. Ale moje życie jest teraz tak skomplikowane... nie jestem w stanie zebrać myśli. A małżeństwo... to coś na zawsze.

Kelnerka przycisnęła piąstkę do przednich zębów, jakby musiała powstrzymać się, żeby nie krzyknąć „Przestań, powiedz mu tak!”. Conor obejrzał się na nią.

– Przepraszam, skarbie. Może jednak wrócisz za kilka minut? Chyba nie jesteśmy jeszcze całkiem gotowi złożyć zamówienia.

Wahał się chwilę, po czym wsunął pierścionek z powrotem do pudełka, zatrasnął je i schował do kieszeni.

– Nie chciałem cię zdenerwować – powiedział. – Chyba nie miałem wyczucia chwili, co?

Katie z trudem przełknęła ślinę i pogładziła wierzch jego dłoni.

– Wiesz, co do ciebie czuję, Con. Ale do tej pory moje związki były tak nieudane... Nie chodzi o to, że ci nie ufam, kochanie. Nie ufam sobie. W pracy mam taki kocioł, jakby świat miał rozpaść się na kawałki, i nie chcę powiedzieć ci teraz „Tak” tylko dlatego, że jestem zestresowana.

– Nie ma sprawy, Katie – zapewnił Conor. – Dotarło. Rozumiem, co mówisz.

Dolał do kieliszków i usiadł wyprostowany; sączył powoli szampana, jakby nie smakował jak należy. Po chwili uniósł kieliszek.

– Właściwie czemu pijemy szampana? – spytał. – Nie wiem, co tu świętować.

– Con – zaczęła Katie – nie powiedziałam „Nie”. Proszę tylko o trochę czasu, to wszystko. To poważna decyzja... nie chodzi tylko o uczucia. Mam pracę, która zabiera mi większość dni, a nawet nocy i wymaga mojej stałej uwagi, siedem dni w tygodniu. Myślę o tobie, kochany, nie tylko o sobie. To przez mój zawód rozpadło się moje małżeństwo z Paulem i jeśli się nad tym zastanowić, przeze mnie zginął biedny John. Bardzo, ale to bardzo mi na tobie zależy i nie chciałabym, żeby przytrafiło ci się coś podobnego.

– O... – bąknął Conor. – Bardzo, ale to bardzo ci na mnie zależy.

Wróciła kelnerka z notesem.

– Czy już coś państwo zdecydowali? Witlinek jest przepyszny. Sama jadłam go na lunch.

Katie spojrzała w kartę, a potem na Conora.

– Przepraszam. Chyba już nie jestem specjalnie głodna.

– No tak – rzucił Conor. – Opuuszczamy, co? Zapłacę tylko za szampana.

Katie milczała, kiedy wyciągnął kartę kredytową i płacił. Nie wiedziała, co powiedzieć, żeby poczuł się lepiej. Opuścili bistro w milczeniu i poszli przez plac. Powietrze pachniało morzem i spalinami i ten zapach przypominał Katie słowa, które zapadły jej w pamięć w szkole – opis opuszczania portu. *Wyruszamy na otwarte oceany, wietrzną wolność i bezkresne szlaki. Kolejne światła nikną. To, z czego dawniej byliśmy dumni, czemu byliśmy gotowi się poświęcać, zostaje za nami, za rufą, tonie za horyzontem i mija, mija.*

Nim Conor otworzył jej drzwi samochodu, była zalana łzami.

* * *

Kiedy wracali do Carrig View, spytała:

– Nie miałeś więc okazji pogadać z McManusem?

– Nie. Jak mówiłem, otaczało go jeszcze więcej tych jego zbirów niż zwykle. Nie boję się tych kanalii, ale nie chciałem oświadczać ci się dziś ze złamanym nosem. Choć i tak nie miałyby to żadnego znaczenia.

– Con, ja tylko poprosiłam cię o trochę czasu, żeby to sobie przemyśleć. Nie jestem zbyt dobra w niespodziankach, jeśli można tak powiedzieć. Kiedy wyjąłeś pierścioneł, o mało serce mi nie wyskoczyło.

– Powinienem znać cię lepiej.

– I poznasz, mam nadzieję. Słuchaj, nie jest jeszcze tak późno. Weźmy Foltchain na spacer i porozmawiajmy. Nie chcę, żebyś kładł się spać w poczuciu, że zostałeś odrzucony, bo tak nie jest.

Conor zaparkował na podjeździe i Katie poszła po Foltchain. Suczka czuła, że to coś specjalnego. Machała przymilnie ogonem.

– Zastanawiam się, co powie na Barneya – zagadnęła Conora Katie, kiedy szli nabrzeżem rzeki. W zatoce za nimi odezwał się przeciągły, smutny dźwięk syreny statku, jakby matka wieloryb wołała utracone dziecko.

– Sądzę, że się polubią. Foltchain jest uległa. A Barney łagodny jak baranek, prawda? Pod warunkiem że nikt nie chce skrzywdzić jego pani.

Katie wzięła Conora za rękę, ścisnęła ją i trzymała mocno.

– W tym związku nie musimy się z niczym spieszyć, Con. Mamy mnóstwo czasu, tyle, ile tylko Bóg nam da. I ty, i ja przyszliśmy na ten świat, by robić więcej niż większość z nas, na przykład ratować niewinnych ludzi, by nikt ich nie zabijał i nie krzywdził, albo niewinne psy przed torturami zadawanymi dla zabawy.

– Mam nadzieję, że wolno nam jednak od czasu do czasu pomyśleć i o własnych przyjemnościach – powiedział Conor.

– Od czasu do czasu. – Katie uśmiechnęła się i podskoczyła lekko, żeby dosięgnąć jego policzka i pocałować go. – Tyle że nie w godzinach szczytu. Zupełnie jak z parkowaniem na MacCurtain Street.

Doszli aż do przystani. Podpływał właśnie ostatni prom tego wieczoru. Stanęli i patrzyli na jego światła, gdy przybijał do brzegu. Foltchain trzymała się blisko nich, popatrując raz po raz na ich twarze. Katie czuła, że suczka nadal trochę się niepokoi, że nagle może zostać zupełnie sama, bez domu.

Już mieli zawracać, kiedy jej komórka zagrała melodyjkę *Siúil A Rún*.

– Halo – rzuciła.

Nie poznała numeru.

– Detektyw nadinspektor Maguire? O, dobrze, że panią złapałem. Tu inspektor Carroll z Tipperary. Myślałem, że to panią zainteresuje. W obozowisku Ballyknock wybuchł poważny pożar. Dzwonili właśnie do mnie ze Stowarzyszenia Śledczych Pożarowych. Wysłali już dwóch swoich ludzi, bo

zastępca komendanta straży pożarnej uważa, że to wyraźnie wygląda na podpalenie.

– Naprawdę? Czy ktoś ucierpiał?

– Są dwie ofiary śmiertelne. Młoda kobieta Pavee, Rosella Rooney, i... nie zgadnie pani... Zezowaty McManus.

– Poważnie? McManus? Kiedy to się stało?

– W południe albo coś koło tego, ale ciała wydobyto dopiero jakieś pół godziny temu.

– W południe?

– Tak. Najwyraźniej nikogo więcej nie było na miejscu. Tylko McManus i ta młoda kobieta. Wszyscy inni poszli oglądać walki psów, które zorganizowano na farmie niedaleko Ballynonty.

– A dlaczego nie było tam McManusa? – zdziwiła się Katie. – To znaczy na walkach psów.

Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy Conor jest świadkiem jej rozmowy, ale on już szedł drogą z Foltchain i nie mógł nic słyszeć.

– Z tego, co nam mówiono, McManusa chwycił atak podagry i przed dziesiątą trzydzięci albo coś koło tego miał takie bóle, że odpuścił i postanowił wracać do obozowiska. Nie jesteśmy całkiem pewni, jakie relacje łączyły go z tą Rosellą Rooney, ale to ona go odwiozła. Oboje byli w przyczepie McManusa, gdy wybuchł pożar. Może spalili albo oglądali telewizję, nie wiadomo. Ale kiedy zaczęło się palić, nie mieli szans ucieczki. Wszystkie okna były zamknięte poza jednym, którego nie dałoby się otworzyć na tyle, by McManus przecisnął przez nie swój tłusty brzuch.

– I zdecydowanie wygląda to na podpalenie?

– Wszystko na to wskazuje. Przez to jedyne uchylone okno najprawdopodobniej została wlana substancja przyspieszająca rozprzestrzenianie się ognia.

– Kto zaalarmował straż?

– Farmer z okolicy, który przejeżdżał traktorem, zobaczył dym i płomienie nad murem obozowiska. Nie możemy ustalić, kiedy dokładnie wybuchł pożar, bo wtedy paliło się już na całego, ale farmer zadzwonił na numer alarmowy o dwunastej zero siedem.

– Dokąd odsyłają ciała? Pewnie do kostnicy regionalnej w Limerick.

– Tak. Ale z tego, co mówił mi komendant straży, nie zostało już wiele do kremacji.

– Dziękuję za wiadomość – powiedziała Katie. – Informujcie mnie na bieżąco, dobrze?

Przyspieszyła kroku, by dogonić Conora. W głowie jej wirowało. Miała ochotę wybuchnąć i od razu zapytać go, jakim cudem widział Zezowatego McManusa, w otoczeniu jego mięśniaków czy nie, na walce psów w Ballynonty, skoro ten w ciężkich bólach wrócił do swojego domu na kółkach. Ale w czasie tych kilku sekund, które zajęło jej dołączenie do Conora, zawodowe myślenie wzięło górę i zadała sobie pytanie: Jeśli Conor nie był w Ballynonty, to gdzie? I kto spowodował pożar, w którym zginął McManus?

– Co to był za telefon? – Conor wziął ją pod ramię.

– O, rutynowe sprawy.

– Nie mogą dać ci chwili spokoju?

– Nie, póki nie przejdę na emeryturę. Chyba że ludzie przestaną popełniać przestępstwa. Zakładając, że wcześniej nie nastąpi koniec świata.

Przez resztę drogi do domu milczała. Kiedy Foltchain zwinęła się w kłębek w swoim koszu w kuchni, Katie poszła do salonu i zapaliła lampy. Conor był już w sypialni. Rozbierał się.

– Nie kładziesz się do łóżka?! – zawołał.

– Jeszcze nie jestem śpiąca! Chyba wypiję drinka i poczytam!

Podeszła do bocznego stolika i naląła sobie trochę smirnoffa. Potem siadła na kanapie, podciągnęła stopy i wzięła książkę *The Girl in Green*.

W drzwiach pojawił się Conor w niebieskich spodniach od pizamy; wciągał bawełnianą koszulkę na owłosioną pierś. Przez dłuższą chwilę obserwował, jak

Katie przewraca kartki książki.

– Gniewasz się o coś? – odezwał się.

– Nie, skąd.

– Ale coś ci chodzi po głowie, prawda? To dlatego, że ci się oświadczyłem? Przykro mi, jeżeli traktuję nasz związek nie tak jak trzeba. Pewnie lepiej rozumiem psy niż kobiety.

Katie sączyła wódkę i udawała, że czyta kolejną stronę, ale w końcu odłożyła książkę i spytała:

– Naprawdę byłeś w Tipperary?

– Oczywiście. Czemu myślisz, że nie? Spytaj Alice Cushley. Chyba nie myślisz, że się z kimś spotykam, co?

– I naprawdę pojechałeś do Ballynonty i widziałeś Zezowatego McManusa?

– O co chodzi, Katie? To, że nie zdołałem z nim pogadać, jak chciałem, nie znaczy, że go nie widziałem. Złapię go innym razem.

– Nie, nie złapiesz.

Conor wszedł do pokoju i usiadł obok niej na kanapie.

– Przysięgłem, że położę kres walkom psów, Katie, znajdę sposób i nie odpuszczę. McManus nie może w nieskończoność maltretować psów i liczyć, że mu to ujdzie na sucho.

– Conor... on nie żyje.

Wlepił w nią wzrok, próbując odgadnąć z jej oczu, czy go sprawdza, czy żartuje sobie z niego.

– Nie mówisz poważnie. Nie żyje? Jak to?

– Spaliła się jego przyczepa, najprawdopodobniej została podpalona. On był w środku. Z pewną młodą kobietą Pavee. Ona też zginęła.

Conor otworzył usta, ale zaraz je zamknął i nic nie powiedział.

– Pojechał na walki psów, owszem – ciągnęła Katie, starając się panować nad głosem. – Nie czuł się jednak dobrze, podagra, więc wrócił do domu. Kiedy dotarłeś do Tipperary i spotkałeś się z Alice Cushley, on był już w Ballyknock.

Zapadła cisza. Conor gapił się na nią, ale było jasne, że nie ma pojęcia, co powiedzieć.

W końcu odezwała się ona:

– I dlatego pytałam cię, czy naprawdę pojechałeś do Ballynonty i rzeczywiście go widziałeś. Bo nie widziałeś, mam rację?

Conor wstał. Zaczął chodzić po pokoju, uderzając pięścią w dłoń, a potem znów usiadł.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tam ktoś jest – powiedział tak cicho, że Katie ledwie go słyszała.

– Co?

– Mówię, że nie zdawałem sobie sprawy, że tam ktoś jest. Pukałem, ale nikt się nie odezwał.

Katie odstawiła drinka i opuściła książkę.

– Och, Conor... – Nie rozplakała się.

Rozdział 16

Jakąś godzinę przed świtem zaczęło padać. Krople uderzały w kaptur żółtej nieprzemakalnej kurtki Johna Lacey'a, a w świetle jego latarki błyskały tysiące srebrzystych kręgów rozchodzących się po powierzchni rzeki.

John obejrzał się i krzyknął do Aidana:

– Chyba czas się zbierać, synu! Wygląda na to, że nie ma szans na poprawę pogody!

Aidan wychylił głowę z namiotu. Jego twarz oświetlał ekran iPhone'a, na którym w coś grał.

– Dobra! Mam zacząć wszystko pakować?

I z czego ty się tak cieszysz? – pomyślał John. Sądził, że całonocna wyprawa na ryby to dobry sposób, żeby znów się do siebie zbliżyli. Przywiózł syna nad zalew Innisleena, na wąski szlak wiodący nad rzeką Lee do ruin opactwa Świętego Senana. Sam jako chłopak przyjeżdżał tu na ryby. Zabrał dwuosobowy nowy namiot, wędki, hamburgery i sześć butelek piwa Satzenbrau w przenośnej lodówce, choć Aidan miał dopiero trzynaście lat.

Wokół poza szmerem rzeki, szelestem liści i tym, że od czasu do czasu zakwakała kaczka, panowała niemal idealna cisza. Ale i Aidan milczał. Godzinami grał w *Dragon Hills 2* i *Oxenfree*. Na wszelkie próby ojca nawiązania rozmowy czy jego żarty odpowiadał mruknięciem lub monosylabami, albo tylko przewracał oczami.

Tuż przed północą złapali trzy leszcze i wzdręgę, lecz kiedy John powiedział synowi, że ich karty rybackie zobowiązują do wypuszczenia tych ryb, chłopak kompletnie stracił zainteresowanie wędkowaniem.

– No bo jaki w tym sens?

Johna kusiło, by spytać, jaki jest sens tych gier, ale tylko wzruszył ramionami.

– To przygoda – odparł. – Wyzwanie. Człowiek przeciwko rybie.

– No tak.

John zwinął żyłkę. Pozbierał wędkę, wziął torbę khaki na sprzęt, złożył dwa stołki, na których żaden z nich nie usiadł. Nim podszedł do namiotu, Aidan już go zwinął i rolował matę.

– Wrzucmy to do samochodu – powiedział John. – Potem wrócimy po resztę.

Aidan ruszył przed nim ścieżką do miejsca, gdzie John zaparkował volvo kombi. Trudno było uwierzyć, że ten odęty, idiotycznie podgolony nastolatek to ten sam chłopiec, który przed laty siadał mu na kolanach i ssąc palec, słuchał jego opowieści. John wiedział, że stracił z synem kontakt tylko z własnej winy. Małżeństwo z Rioną też ucierpiało. Ale kiedy odkrył, że wyżsi rangą funkcjonariusze Garda Síochána biorą łapówki, nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego. To było wbrew wszystkiemu, czego go uczono przed wstąpieniem do służby, i wbrew nakazom religii. Jego dziadek i zmarły ojciec też byli policjantami i gniewnie waliliby w wieka trumien, gdyby usłyszeli o łapówkach, dzięki którym niektórzy z najgroźniejszych przestępców Cork unikali sądu.

Na celowniku Johna był przede wszystkim największy gang złodziei samochodów, który działał swobodnie od lat i nie obawiał się żadnych aresztowań. John każdą wolną chwilę poświęcał na wyłuskiwanie świadków i zbieranie dowodów. W efekcie małżeństwo i trójka małych dzieci zeszyły na dalszy plan, jakby życie rodzinne nie było niczym więcej niż serial leący w telewizji włączonej cicho w drugim pokoju.

Gang składał się z dwóch przestępczych rodzin z Cork – Coakleyów i Lynche'ów. Członkowie obu mieszkali w Mayfield. John nie miał problemu z zebraniem materiału dowodowego. Podrobione dowody rejestracyjne, fałszywe numery rejestracyjne, przemalowywanie pojazdów i nagrania z kamer przemysłowych, na których było widać wyraźnie, jak wywozi się nowe

samochody z placów oficjalnych dilerów. Poza tym kilkadziesiąt zeznań świadków. Następnie John wziął pod lupę przepływ ogromnych sum pieniędzy, które gang Coakleyów i Lynche'ów przekazywał funkcjonariuszom w zamian za nietykalność i nadal to robił. Głównie w gotówce lub przez zagraniczne konta.

Jego kombi stało zaparkowane na trawie obok szlaku. Otworzył drzwi bagażnika. Razem z Aidanem załadowali do auta namiot i sprzęt wędkarski. Teraz już lało jak z cebra. Szum był taki, jakby las się palił.

– Wsiadaj – zwrócił się John do syna. – Nie ma sensu, żebyśmy obaj lecieli z powrotem.

Aidanowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Wskoczył na przednie siedzenie i zaczął znowu grać na telefonie. Jego ojciec poszedł zabrać jeszcze kuchenkę turystyczną, lodówkę i plastikową torbę z resztką burgerowych bułek. Deszcz mu nie przeszkadzał. Pasował do poczucia klęski, jakie go ogarnęło.

Właśnie podnosił kuchenkę, gdy usłyszał krzyk syna.

– Puśćcie mnie! Co wy wyprawiacie? Zabierajcie łapy, puszczajcie!

Obejrzał się. Drzwi od strony pasażera w kombi były szeroko otwarte, a Aidana – schyłego, z rękami wykręconymi do tyłu – wlokło w jego kierunku trzech mężczyzn. Mieli na sobie czarne skórzane kurtki, dżinsy i czarne kominiarki zakrywające twarze. Kiedy podeszli, zauważył, że jeden z tych przytrzymujących Aidana ma oparty o ramię obrzyn, a idący za nimi gość niesie pomarańczową piłę łańcuchową.

John upuścił kuchenkę turystyczną na trawę i wyprostował się. Tamci trzej popchnęli Aidana do niego i zatrzymali się.

– Jak leci, szefie? – odezwał się ten z bronią, opuszczając lufę w kierunku ziemi. – Jezu, co za szczęście, że twoja stara wiedziała, gdzie jesteście. Inaczej nigdy byśmy cię nie znaleźli.

– Co? – Johna kompletnie zmroziło, zabrakło mu tchu, serce zaczęło walić tak, że aż bolało. – Chyba nie byliście u mnie w domu? Nie groziliście mojej żonie? Nic jej nie zrobiliście, prawda?

Facet z obrzynem wytarł nos o czarną skórzaną rękawiczkę.

– Za kogo nas masz, za jakichś obwiesi? Jasne, nie zrobiliśmy jej nic złego. Była bardzo grzeczna. Powiedzieliśmy jej tylko, że rozwalimy twoją córunię w drobny mak, jak nam nie powie, gdzie jesteście, i to wystarczyło.

– Kim wy, u diabła, jesteście? – rzucił John, ale nie mógł zaczerpnąć powietrza i zabrzmiało to tak, jakby miał atak astmy.

– Kim jesteśmy? A jak myślisz, do cholery?! Zgaduj, szefie. Jesteśmy kumplami tych gości, którym ostatnio tak zalazłeś za skórę, wtykając nochal nie tam gdzie trzeba. Chcemy sobie chwilę z tobą pogadać i tyle.

– Nie mam wam nic do powiedzenia. Na pewno wiecie, że jestem sierżantem. Mówię więc wam: lepiej spadajcie stąd, bo inaczej znajdziecie się po uszy w gorszym gównie, niż kiedykolwiek wam się śniło.

– Jaja sobie robisz? Nas jest trzech, was dwóch, a jeden to tylko przyszczaty podrostek. W dodatku tak się składa, że mam strzelbę, naładowaną. Ale z przyjemnością ją rozładuję w lewe ucho twojego syna, żeby zobaczyć, czy jego mózg doleci na drugą stronę rzeki.

– Nie waż się go tknąć – rzucił John. – Ani się waż. Puśćcie go, to pogadamy, dobra?

– No widzisz. Wiedziałem, że załatwimy to po dobroci.

Mężczyzna z bronią wyszczerzył zęby w uśmiechu. Obrócił się do Aidana.

– Oddaj mojemu kumplowi telefon, synku.

Chłopak przyciskał iPhone'a do piersi. Z rozpaczą popatrzył na ojca.

– Powiedziałem, daj mojemu kumplowi ten pieprzony telefon, synu – powtórzył mężczyzna z bronią, tym razem jeszcze groźniej.

John skinął głową.

– Śmiało, Aidan. To tylko telefon. Po prostu nie chcą, żebyś do kogoś zadzwonił. Kupię ci nowy.

– Patrzcie, patrzcie, co za *flaithiúlach* tatunio – powiedział mężczyzna z bronią. – Założę się, że ma na drugie Wspaniałomyślny. Szkoda, że nie jest równie *flaithiúlach* dla swoich kolegów, prawda?

Aidan niechętnie podał iPhone'a mężczyźnie stojącemu najbliżej. Ten zrobił dwa kroki w tył, zamachnął się i cisnął telefon w kierunku rzeki, której powierzchnię wciąż znaczyły krople siekącego deszczu. Urządzenie wysokim łukiem poszybowało nad trawą i chlupnęło obok kaczki, tak że ptak w popłochu odleciał.

– No to chodźmy, znajźmy sobie jakieś poświęcone miejsce, dobrze? – powiedział człowiek z bronią.

– Myślałem, że najpierw pozwolicie odejść mojemu synowi – zaproponował John.

– O, pewnie, kiedy tylko trochę sobie pogadamy. Na razie nie możemy go puścić. Nigdy nie wiadomo, na kogo mógłby się natknąć. W tych czasach nawet farmerzy mają komórki. A poza tym myślę, że to może być dla niego bardzo pouczające, zwłaszcza jeśli postanowi zostać gliną, jak dorośnie. Niech wie, że najważniejsza jest lojalność. Krew nie woda, wiesz, do czego piję, ale pieniądze nasiąkają i jednym, i drugim. Można zebrać nimi również wiele gówna.

Mężczyzna z bronią ruszył szlakiem przed siebie, a dwaj pozostali skinieniem głów nakazali Johnowi i Aidanowi podążyć za nim.

– Nigdzie nie idę! – krzyknął Aidan, cofając się. – Nie zmusicie mnie! A mój tata jest funkcjonariuszem Garda Síochána, jego też nie macie prawa do niczego zmuszać!

Jeden ze zbirów próbował złapać chłopca za rękę, ale ten odwinął się i kopnął go w goleń. Mężczyzna obejrzał się na swoich kompanów, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie no, ten mały jeszcze się stawia”. A potem bez wahania uderzył Aidana w bok głowy tak mocno, że chłopak poleciał do tyłu i upadł w krzaki.

– Hola! – krzyknął John i zrobił krok w kierunku syna, ale ten ze strzelbą zagroził mu drogę, unosząc lufę i celując mu prosto w twarz.

– Na twoim miejscu nawet bym o tym nie myślał, szefie – ostrzegł. – Nie rób tego, jeśli chcesz, żeby święty Piotr cię rozpoznał, kiedy pojawisz się u bram niebieskich.

– Mówiłem, że z wami pogadam, o czym tylko chcecie. – Głos Johna trząsał się z wściekłości. – Ale nie mieszajcie w to mojego syna. – A do Aidana zawołał: – Spokojnie, dobrze?! Oni chcą ze mną o czymś podyskutować i tyle, a kiedy wyjaśnimy co trzeba, będziemy mogli odejść.

Chłopak odrywał rzepy z rękawa i starał się wyplątać z krzaków. Wreszcie z trudem podniósł się na nogi i skrzywiony, przyciskając dłoń do obolałego ucha, ruszył za nimi w kierunku opactwa Świętego Senana. Nikt się nie odzywał, kiedy zbliżali się do niskiego kamiennego muru otaczającego cmentarz. Strugi deszczu nadal siekły rzekę niczym upiorna procesja żałobników. Opactwo stało opuszczone od początku dziewiętnastego wieku i choć wysoka wieża się zachowała, przypominała pustą skorupę; jej okna ziały czernią. Groby zarosły chwastami, a większość płyt była poprzekrzywiana i omszała.

Mężczyzna z obrzynem kluczył ścieżkami, popatrując na prawo i lewo, jakby szukał jakiejś szczególnej mogiły. Wreszcie zatrzymał się za rogiem ruin opactwa.

– Tutaj, tu będzie dobrze – powiedział i wskazał lufą na niski prostokątny nagrobek, po którego jednej stronie stał bezgłowy anioł. – Tak naprawdę to idealne miejsce, nie sądzicie?

– To o czym chcecie pogadać? – zapytał John. – Czy tylko mam wam podpowiedzieć, na którego konia postawić jutro w Punchestown?

– O, żartowniś z ciebie – prychnął ten z bronią.

W tym momencie Aidan wrzasnął „Tato!”, bo jeden z mężczyzn podskoczył do Johna od tyłu i złapał go za lewy nadgarstek, wykręcił mu rękę na plecy i zatrzasnął na niej kajdanki, a potem sięgnął od drugiej strony, pociągnął za drugą rękę i też ją przypiął.

– Na litość boską, o co wam chodzi? – zaprotestował John. – Macie broń, prawda? Nie musicie mnie skuwać, żebym nie uciekł!

– Możliwe – mruknął ten z obrzynem. – Tylko że planujemy coś więcej niż miłe pogaduchy, rozumiesz? Więc wolimy mieć pewność, że będziesz grzeczny

i nie zaczniesz fikać. Nie chcielibyśmy pokieraszować cię bardziej, niż to konieczne.

Mężczyzna, który skuł Johna, popchnął go brutalnie w kierunku nagrobka, aż do jego krawędzi. Potem zmusił go, żeby położył się twarzą do dołu na chropowatym granicie, i zdarł mu z głowy kaptur nieprzemakalnej kurtki, odsłaniając tył szyi.

Kiedy John leżał z policzkiem na mokrym kamieniu, usłyszał charakterystyczny dźwięk pociągania za linkę uruchamiającą piłę łańcuchową. Zaskoczyła dopiero za piątym czy szóstym razem i zawarczała jak startujący motocykl.

O Matko Boska, co oni zamierzają ze mną zrobić? Jeśli chcą mnie zabić, proszę, niech stanie się to szybko. Proszę, niech mnie nie tną na kawałki. W oczach stanął mu obraz samobójcy, który rzucił się pod pociąg na stacji Kent. Leżał obok torów z nogami obciętymi tuż pod miednicą, patrząc na Johna z wyrazem twarzy, który prześladował go w snach przez wiele tygodni. Jego oczy mówiły: „Myślałem, że umrę. Myślałem, że w jednej chwili będzie koniec. A jestem nadal przytomny, jest czwartek rano i jestem okaleczony, nie do odratowania”.

Mężczyzna z bronią podszedł do nagrobka i nachylił się, żeby John słyszał go przez warkot piły.

– Sądziłeś, że jesteś cwany jak lis, co, sierżancie Lacey? Że możesz kablować na kolegów i tylko cię za to poklepią po plecach. Teraz wiesz, że w życiu tak się nie dzieje. W Garda Síochána przyjaciele i koledzy są na pierwszym miejscu, nieważne, co by kombinowali. Może zrobili coś głupiego, ale nie tobie ich sądzić. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Facet z piłą stał teraz tuż obok Johna i stale podkręcał silnik jakby dla poparcia tych słów.

– Czas się pomodlić – rzucił ten z bronią. – Na twoim miejscu błagałbym Boga, by wybaczył mi, że byłem takim wrednym kapusiem.

– Mam dzieci – wybąkał John głosem piskliwym ze strachu.

– To będzie dla twoich smarków niezapomniana lekcja.

W tej chwili Aidan nagle rzucił się do ucieczki. Przeskoczył najbliższy nagrobek i pognał do bramy cmentarza. Mężczyzna z bronią warknął „Patrick!” i gość, który zakuwał Johna w kajdanki, zaczął gonić chłopaka.

Jak na dużego, ciężkiej budowy faceta Patrick biegał zaskakująco szybko. Aidan, wymachując rękami, pędził jak oszalały, co sił w nogach. Ale nogi Patricka pracowały niczym maszyna, jakby codziennie ćwiczył na bieżni mechanicznej, i chłopiec nie dotarł nawet do kombi ojca, gdy tamten go dopadł. Złapał Aidana za rękaw kurtki i powłókł go z powrotem do opactwa. Aidan celowo nie wstawał z ziemi, ale tamten ciągnął go dalej, aż na cmentarz, i rzucił pod nogi temu ze strzelbą.

– I dokąd ty, do cholery, biegłeś, mały?! – wrzasnął na niego mężczyzna z bronią, przekrzykując warkot piły.

Aidan zaczął szlochać, jego usta skrzywiły się z przerażenia i rozpacz.

– Nie możecie... nie... nie róbcie nic złego tacie...!

– Wiesz co?! – ryknął mu prosto w ucho mężczyzna z obrzynem. – Jesteś jak wrzód na tyłku! Chciałeś uciekać?! Nie będziemy ryzykować, że znowu zwiejesz!

Obejrzał się na swojego kompana trzymającego piłę.

– Załatw go, Hoggy! – wrzasnął. – Zrób to, zanim znów da nogę!

– Co? – spytał Hoggy, odsuwając w bok piłę, żeby lepiej słyszeć.

– Powiedziałem, załatw go! Na przykład ciachnij mu stopę! Cokolwiek, byle nie dał rady uciekać!

Aidan siedział na ziemi, między dwoma nagrobkami. Wbił pięty w żwir i starał się cofnąć, ale Patrick stał tuż za nim i przytrzymał go za ramiona. Chłopak rzucał się, żeby się wyrwać, tamten jednak był od niego o wiele silniejszy.

– Puść mnie! Puszczaj! Już nie będę uciekał, przysięgam, słowo honoru! – krzyczał chłopak.

Hoggy zbliżył się do niego z uniesioną chodzącą na maksa piłą. Opuścił ją w kierunku stopy Aidana, który wierzgał, kopał i wił się, żeby tylko uniknąć

ostrza, lecz nie był w stanie. Hoggy przesunął narzędzie poziomo i zęby wgrzyzły się w piętę prawego buta chłopca. Na sąsiednią płytę pofrunęły strzępki materiału, bryznęła krew. Potem Hoggy złapał Aidana za kostkę, przeciął dżinsy, skórę i z przenikliwym zgrzytnięciem kość. Stopa odpadła. Hoggy kopnął ją na bok, tak jak arborysta usuwa sobie z drogi gałąź podczas przycinania rozrośniętego nadmiernie drzewa.

– Przestańcie! – krzyknął John. – Przestańcie! Na litość boską, przestańcie, dosyć!

Próbował podnieść się z nagrobka, ale był niczym wyrzucona na brzeg foka, a kiedy uniósł głowę, mężczyzna ze strzelbą nonszalancko obrócił ją w dłoni i uderzył go za uchem kolbą – nie dość mocno, by John stracił przytomność, ale wystarczająco, by opadł znów na płytę.

Aidan już nie krzyczał. Był śmiertelnie blady, miał drgawki z powodu szoku. Hoggy podkręcił piłę i tym razem zaczął ciąć tuż poniżej lewego kolana, tyle że piła ześlizgnęła się po goleni, rozdzierając dżinsy i skórę pod nogawką. Hoggy uniósł narzędzie i spróbował znowu. Tym razem zdołał niemal całkiem odciąć podudzie, choć nadal wisiało na strzępku ścięgien czy mięśni. Żwir między płytami nagrobnymi błyszczał od krwi, ale deszcz szybko zaczynał ją zmywać.

– Wystarczy! – krzyknął ten z bronią. – Skupmy się na tym, po co tu przyszliśmy! Patrick, chodź, przytrzymasz nogi tej szumowiny, kiedy Hoggy zajmie się robotą. Dobra?

Patrick rzucił Aidana na ziemię. Chłopak leżał na wznak, trzęsąc się i wzdrygając. Krople deszczu biły go prosto w twarz. Hoggy obszedł płytę, na której rozciągnęli Johna. Patrick przyklęknął, zupełnie jakby się modlił w kościele, i chwycił swoją ofiarę za nogi, by nie wierzgała.

– Jakieś ostatnie słowo, sierzancie Lacey?! – krzyknął ten z obrzynem.

– Coście zrobili Aidanowi?! – zawołał John. – Co mu zrobiłeś, ty bydlaku?!

– I tyle? To twoje ostatnie słowa?

– Będziesz się za to smażył w piekle! – wrzasnął John. – Bóg cię osądzi, będziesz się smażył w piekle!

Mężczyzna ze strzelbą cofnął się i skinął na Hoggy'ego, a ten podkręcił piłę łańcuchową na maksymalną prędkość.

Tymczasem deszcz nadal padał, po wodach rzeki rozchodziły się tysiące małych kręgów. W oddali, od strony Kilcrea Hill, odezwał się niski pomruk grzmotu, jakby sam Pan Bóg obudził się, czując, że na świecie dzieje się coś bardzo niedobrego.

Rozdział 17

Choć było już dziesięć po piątej, dalej rozmawiali. Katie była półprzytomna ze zmęczenia, ale wiedziała, że nawet jeśli położy się do łóżka, nie zdoła zasnąć. Conor siedział obok niej na kanapie, był jednak tak pobudzony, że co chwilę wstawał i krążył po pokoju.

Foltchain usłyszała, że nie śpią, i zaczęła drapać w drzwi kuchni, więc Katie wpuściła ją do salonu, żeby mogła położyć się przed kominkiem, w którym popiół jeszcze nie ostygł. Może suczka martwiła się, że zastanawiają się, jak się jej pozbyć? Katie od czasu do czasu nachylała się i pieściła jej uszy, by czuła, że jej chcą i jest bezpieczna.

– Mogę powiedzieć tylko jedno. Wydawało mi się, że to najlepszy sposób wyłączenia McManusa z tego biznesu – powiedział Conor. – Tak naprawdę nic innego nie potrafiłem wymyślić. Ty postanowiłaś nie wnosić oskarżenia, ISPCA tak samo, ale nawet gdyby sądownie zakazano mu trzymania psów, on by to zignorował. Zresztą on sam oficjalnie nigdy nie miał żadnych psów.

– Con, to, co zrobiłeś, jest chore! Nawet gdyby McManusa i jego przyjaciółki nie było w środku, nie da się niczym usprawiedliwić podpalenia tej przyczepy. Czasami trzeba zaakceptować, że nie ma się mocy naprawienia tego co złe. Jeżeli zaczniemy wymierzać sprawiedliwość na własną rękę, zniżymy się do poziomu przestępców.

– Nie mów, że żałujesz, że on nie żyje. Jak się pomyśli o tych setkach psów, które przez niego cierpiały niewiarygodne męczarnie... Przecież, Jezu Chryste...

– Nie żał mi, że nie żyje, Con. Tylko wolałabym, żebyś to nie ty go zabił. Nie widzisz, w jakiej sytuacji mnie stawiasz? Przyznałeś mi się do tego, co zrobiłeś,

a ja jako nadkomisarz mam obowiązek cię aresztować. Ale wyobrażasz sobie, jakie to będzie miało konsekwencje? Prawdopodobnie komendant MacCostagáin będzie musiał mnie zawiesić... przynajmniej na czas zbierania dowodów przeciwko tobie. I co za uczta dla mediów! „Boss psych walk ginie w płomieniach! Podpalaczem zabójcą okazał się kochanek nadkomisarz Maguire”. Matko Boska, Con, mogę przez to stracić pracę.

Conor usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Foltchain popatrzyła na Katie, jakby pytała, czym on się tak martwi.

– Pukałem – odezwał się wreszcie Conor. – Pukałem, ale nie było odpowiedzi.

– Pewnie Zezowaty i jego przyjaciółka byli pijani mimo wczesnej pory. Tylko że nawet jeśli pukałeś, to cię nie usprawiedliwia. Bóg świadkiem, nie mam pojęcia, co robić, Con.

Opuścił dłonie i spojrzał jej prosto w oczy.

– Już nie jesteśmy kochankami.

– Co?

– Zerwaliśmy kilka dni temu. Pokłóciliśmy się strasznie o Zezowatego, odbiło mi i wypadłem z domu. Więcej mnie nie widziałaś.

– Con, przecież to nieprawda.

– Kto o tym zaświadczy? Nikt nie widział nas razem przez ostatni dzień czy dwa. Było ciemno, kiedy zabraliśmy Foltchain na spacer, minęło nas tylko parę samochodów.

Katie wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Najwyraźniej kłamał, kiedy mówił, że widział McManusa w Ballynonty, ale choć wyjawiał jej, że to on jest podpalaczem, który podłożył ogień pod przyczepę Zezowatego, nie miałyby sposobu tego dowieść, gdyby teraz uparcie zaprzeczał. Niewykluczone, że technicy z Tipperary znajdą jakieś ślady wskazujące, że to był on – odciski butów, opon, palców – ale wydawało się jej to mało prawdopodobne.

– Katie... – Conor ujął jej dłonie – myślę tylko o tobie. Może to było z mojej strony szaleństwo, ale nie potrafię tego żałować. Jedyne, na czym mi teraz zależy,

to żebyś nie miała przez to kłopotów. Nie wiedziałaś, co planuję. Nie byłaś w to w najmniejszym stopniu zamieszana, więc nie ma powodu, żebyś ponosiła konsekwencje.

– Ale jeśli udamy, że nic mi nie powiedziałaś, to co zrobisz?

– Mam kuzyna w Sligo. Zawsze mogę powiedzieć, że nie zobaczyłem McManusa w Ballynonty i postanowiłem odwiedzić krewnego. Mogę pojechać i zatrzymać się u niego... wiem, że poprze moje zeznania.

– Con... Kocham cię... myślę, że kocham. Mario Przenajświętsza, myślałam, że cię kocham. Jak mogłeś to zrobić?

– Pewnie sądziłem, że ujdzie mi to na sucho.

Katie odwróciła się od niego. Od dawna na nikogo się nie złościła. Frank Magorian wydawał się jej aroganckim mizoginem, a czasem drażniło ją, że detektyw sierżant Begley jest takim zakutym łbem, ale w odróżnieniu od Conora, od żadnego z nich nie oczekiwała, że będzie ją kochał czy się o nią troszczył. Choć bardzo chciała, by Zezowaty McManus został skazany za potworne okrucieństwo wobec psów, miała teraz nieprzeparte wrażenie, że Conora bardziej obchodzi dobro psów niż jej dobro.

Tak, mogła powiedzieć, że się pokłócili i zerwali, i że nie miała pojęcia o jego zamiarze spotkania się z McManusem w Ballynonty. Ale aresztowanie go pod zarzutem podpalenia i zabójstwa to było nic w porównaniu z tym, co mogłoby się stać, gdyby od tego odstąpiła i została przyłapana na kłamstwie dla ratowania nie tylko jego, ale również własnej skóry.

Z doświadczenia w śledztwach, które sama prowadziła, wiedziała też, że prawdopodobnie ktoś ich jednak widział albo przynajmniej zauważył audi Conora zaparkowane na jej podjeździe po jego powrocie z Tipperary.

Wyrwała dłonie z jego uścisku.

– Ale mnie załatwiłeś, Con. Nie wiem, co zrobić. Matko Boska, jestem między młotem a kowadłem.

– Przykro mi, Katie. Naprawdę przepraszam, wpakowałem nas w niezłą kabałę, co?

O mało nie skusiła się na kolejną dużą wódkę, ale była zbyt zmęczona i alkohol jej nie smakował, w każdym razie nie o tej porze. Wzięła z kanapy poduszkę i cisnęła ją przed siebie, lecz to było za mało, by wyładować złość z powodu braku odpowiedzialności Conora. Były mąż, Paul, naraził jej karierę zawodową, handlując kradzionymi materiałami budowlanymi, i zdradził ją wielokrotnie, ale przynajmniej nikogo nie zabił.

– Może powinienem wyjść – odezwał się Conor.

– Tak – odparła. – Może powinienes. I może lepiej nie mów mi nawet, gdzie będziesz albo kiedy się do mnie odezwiesz, jeśli w ogóle miałbyś to zrobić.

Kiedy wstawał, jej telefon znów zagrał melodyjkę *Siúil A Rún*. Podniosła go i zobaczyła, że dzwoni Kyna.

– Kyna? Co jest? Która to godzina?

– Piąta trzydzieści dwie. Przepraszam, że cię budzę.

– Tak się składa, że nie. Jeszcze się nie położyłam.

– Przed chwilą udało mi się uciec od upiornej siostry Seamusa Twomeya, Gwenith. Z obrzydzeniem przyznam, że strasznie jej się spodobałam.

– Wygłupiasz się.

– Chciałabym. Dzięki Bogu, udało się ograniczyć zbliżenie do minimum. Ale to ona odkryła, że Michael Ó Doibhilin pracuje pod przykrywką. Wygląda na to, że zawlokła go do siebie i uparła się na bzykanko. Nie wiem dokładnie, jakim cudem go zdemaskowała, ale musiała wezwać brata i wtedy Michael nie miał już szans. Kiedy u niej byłam, brat do niej zadzwonił. Z tego, co usłyszałam, trzymają Michaela gdzieś w Crosshaven. Twomey chciał, żeby Gwenith kupiła dla niego w Tesco jedzenie i papier toaletowy, a potem dała to wszystko jakiemuś zbirowi, Farry’emu, który miał to zawieźć.

– Świetna robota, Kyno. Zadzwonię do Buckleya i O’Briena. Każę im ją śledzić, a potem tego Farry’ego. Gdzie ona mieszka?

– W ostatnim bloku na Sprigg’s Road, tuż przy Sunvalley Drive. W najbardziej zabałaganionym chlewie, jaki w życiu widziałam.

– I nie sądzisz, że ciebie też zdemaskowała jako glinę?

– Nie ma mowy. Nawet chce się ze mną umówić na kolejne bara-bara. Fuja! Dzięki Bogu, nie muszę już do niej iść! Powinnaś ją zobaczyć. Mogę ci ręczyć, że nie chciałybyś jej na bezludnej wyspie.

– Zaraz do ciebie oddzwonię – powiedziała Katie, rozłączyła się i wybrała numer detektywa Buckleya.

W tej chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych i kiedy się obejrzała, zobaczyła, że Conor wyszedł.

Natychmiast wybiegła z salonu i otworzyła szeroko drzwi frontowe. Oślepiły ją światła audi Conora, gdy wycofywał się z podjazdu. Ruszył Carrig View. Lało jak z cebra.

– Conor! – krzyknęła, biegnąc za nim, choć na nogach miała same rajstopy, bez butów. – Conor, stój! Conor!

Albo jej nie słyszał, albo nie chciał słyszeć. Pojechał na pełnym gazie na północ, zostawiając ją stojącą na mokrym chodniku. Mrugając w strugach deszczu, patrzyła, jak czerwone tylne światła jego auta nikną w oddali.

Usłyszała jakiś cichy głos.

– Halo? Halo? Czy to pani nadkomisarz? Halo?

Uniosła telefon do ucha.

– Tak, Kieron, to ja. Przepraszam, że dzwonię o tak zakazanej porze.

Poszła z powrotem do domu. Foltchain stała w holu, czekała na nią i o mało jej nie przewróciła.

– Nie martw się, mała – powiedziała do suczki Katie. – Nie zostawię cię. Za żadne skarby świata.

Rozdział 18

Detektyw Scanlan czekała w swoim volkswagenie polo pod Music Market, gdy zza rogu wyłonił się właściciel z tekturowym kubkiem kawy w dłoni. W drugiej trzymał saksofon. Zawiesił instrument na klamce, żeby otworzyć zamek frontowych drzwi, a potem wszedł do środka. Scanlan wysiadła z samochodu i ruszyła za nim.

Music Market mieścił się w małym parterowym budynku naprzeciw tylnego wejścia do szpitala uniwersyteckiego. Pomalowano go na buroczerwono. Na wystawach wisiały rzędy gitar akustycznych. Gdy Scanlan się zbliżała, właściciel pojawił się znowu. Ciągnął wielką tablicę ze sklejkę wyciętej w kształt kontrabas z wymalowanym na niej napisem *Music Market, outlet guitar*. Ustawił ją na chodniku przed wejściem.

– Jak leci? – zagadnęła go Scanlan, wyciągnęła legitymację i pottrzymała chwilę, żeby mógł się przyjrzeć. – Jestem detektyw Padragain Scanlan z komendy na Anglesea Street.

– Ach, tak? – wybąkał nieufnie.

Był niski, łysy, w okularkach jak sowa, z opadającym siwawym wąsem. Miał na sobie jasną jaskrawozieloną koszulę, fioletową kamizelkę i workowate brązowe spodnie ze sztruksu.

– Czy pan William Ó hUiginn? – spytała.

– A jeśli tak?

– Muszę pomówić z właścicielem tego sklepu, a według papierów należy on do Williama Ó hUiginna.

– Ja jestem właścicielem, więc to ja.

– No to jedno mamy wyjaśnione. Moglibyśmy wejść do środka, bo chciałabym zadać kilka pytań?

– Pewnie. Proszę bardzo.

William Ó hUiginn poprowadził ją do sklepu. Małe wnętrze z niskim sufitem było tak zavalone instrumentami, że ledwie przecisnęli się do lady. Powietrze przesiąknięte było dymem palonej tu fajki i sosnowym zapachem kalafonii do smyczków.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał William Ó hUiginn, zdejmując pokrywkę z kubka. Pociągnął szybko łyk kawy.

– Czy może sprzedał pan ostatnio jakieś flety low-D?

– Flety low-D? Po co pani ta wiadomość?

– To tylko drobny szczegół śledztwa.

– Więc pani wie, że zostały skradzione? Jakim cudem się pani o tym dowiedziała? Nic nie zgłaszałem. No bo na co mi to? Nie było sensu, i tak nie mógłbym ich potem sprzedać, nawet gdybym je odzyskał. Sprawa cholernych przepisów sanitarnych.

– Mimo wszystko powinien był pan zgłosić kradzież. Nawet gdyby pan ich nie odzyskał, może złapałibyśmy złodziei. Kiedy je skradziono, te flety?

– W czwartek, dwa tygodnie temu. Mniej więcej o dziesiątej trzydzieści.

– I ma pan jakiś pomysł, kto mógł to zrobić?

– O tak. Ale trudno mi podać dokładny opis. Wysoki facet, z ogoloną głową, w skórzanej kurtce, wie pani, co mam na myśli? Ale tylko tyle zauważyłem, bo kiedy wszedł, jeden z waszych mówił mi właśnie o kradzieżach. Nie do wiary, co?

– Chce pan powiedzieć, że był tu funkcjonariusz Garda Síochána?

– No właśnie. Przyszedł powiedzieć mi, że po mieście grasuje jakiś gang. Myszkuje po sklepach, włamują się do domów. Mówił, że przyjechali z Dublina, żeby obrobić tyle sklepów i mieszkań, ile się da, i ulotnić się, zanim ktoś się spostrzeże.

– To akurat prawda – potwierdziła Scanlan, bo w Cork panowała istna plaga kradzieży i włamań dokonywanych przez przyjezdne szajki z północy. Jednak, o ile jej było wiadomo, nadkomisarz Pearse nie wysłał swoich ludzi z ostrzeżeniem do miejscowych sklepikarzy. Nie mógłby sobie pozwolić na taki luksus. Poza tym trąbiły o tym media, telewizja, radio, pisano w „Echo”. Nie wspomniała jednak o tym Williamowi Ó hUiginnowi. Ktoś mógł udawać funkcjonariusza i celowo odwracać uwagę właściciela, kiedy jego kumpel kradł flety. Nie chciała snuć domysłów i komplikować sprawy, która mogła być zwykłym przypadkiem kradzieży sklepowej.

– Co za ironia losu, prawda? – dodał William Ó hUiginn. – Tamten gość związał mi flety, kiedy w sklepie stał funkcjonariusz. Ale dopiero później w ciągu dnia zauważyłem, że te flety znikły. Więc nie mam całkowitej pewności, że to był ten człowiek. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby mógł to zrobić ktoś inny. Resztę klientów z tamtego dnia znam. To muzycy. Poza nimi wpadła para dzieciaków, które chciały kupić harmonijkę, ale nie miały dość kasy.

– Mówi pan o fletach – zauważyła detektyw Scanlan. – W liczbie mnogiej. Ilu ich w sumie brakuje?

– Pięciu – odparł właściciel sklepu. Znów łyknął kawy. Okulary zaszyły mu mgłą, więc je zdjął i otarł o rękaw koszuli. – Tak, pięć. Nie mogłem się nadziwić, bo kto, na Judasza Iskariotę, potrzebuje aż pięciu fletów low-D? Po jaką cholerę? Nie ma zespołów fleciarzy, a gdyby takie były, nie graliby wszyscy w tej samej tonacji, prawda?

– Czy został panu jeszcze jakiś taki flet, żebyśmy mogła obejrzeć dokładnie, jak wygląda?

– Tak, jasne. W sumie miałem ich siedem i złodziej dwa zostawił. Pomyślałem, że i to jest dziwne. Czemu nie związał ich wszystkich? Ja bym tak zrobił, gdybym zamierzał je sprzedać. – Podszedł do okrągłego drewnianego kubelka, z którego wystawały dwa flety. – Proszę popatrzeć.

Wyciągnął jeden i trzymając go w obu dłoniach, podał detektyw Scanlan, z atencją, jakby przekazywał jej relikwię.

– Te flety są ręcznie robione przez Feadóge Lámhdhéante w Kerry. Sprzedają je po dwieście dwadzieścia pięć euro i to, niech mi pani wierzy, cena okazyjna. Widziałem, że są reklamowane za trzysta.

– Czy mogłabym wypożyczyć ten flet? – spytała Scanlan. – Dam panu pokwitowanie i zwrócę instrument najszybciej, jak to możliwe.

William Ó hUiginn zmarszczył brwi.

– No dobrze – odparł w końcu. – Niech będzie. Ale... nie chodzi tu tylko o moje skradzione flety, prawda? Dzieje się coś więcej, tak?

– Powinien pan być detektywem – skomplementowała go Scanlan. – Niestety, na razie nie mogę zdradzić panu nic więcej, ale powiem tak: pomógł pan bardziej, niż pan sobie wyobraża. – Wyjęła notes i długopis i zaczęła wypisywać: *Pożyczony z Music Market, jeden flet low-D...* Nie podnosząc głowy, spytała: – A ten funkcjonariusz, który przyszedł ostrzec pana o kradzieżach... Zapamiętał pan coś? Jego nazwisko, numer odznaki? Jak wyglądał?

Właściciel sklepu wyjął dolną wargę i powoli pokręcił głową.

– Dla mnie oni wszyscy wyglądają jednakowo, poza kobietami, oczywiście. Taki wysoki facet, barczysty, ale w końcu w tych żółtych kurtkach każdy robi takie wrażenie, prawda? Jednak coś pani powiem, myślę, że pochodził z Waterford albo tamtych okolic, bo stale mówił do mnie „szefie” i miał jeszcze kilka takich typowych odzywek... już nie pamiętam jakich.

Detektyw Scanlan wyrwała gotowe pokwitowanie.

– Możliwe, że wrócę i będę miała jeszcze kilka pytań, ale na razie dziękuję za współpracę.

William Ó hUiginn wrzucił flet do błyszczącej zielonej torebki z papieru i podał ją Scanlan.

– Tylko niech się pani nie skusi, żeby na nim zagrać – uprzedził. – Przepisy sanitarne, instrument musi pozostać nietknięty. Nigdy nie wiadomo, co kto ma w ślinie.

Rozdział 19

Katie dotarła na komendę dopiero o dziewiątej czterdzieści pięć. O szóstej rano wzięła prysznic, ale potem w puchatym szlafroku padła na łóżko, żeby się chwilę zrelaksować, i ocknęła się dopiero dwie i pół godziny później.

Moirin przyniosła jej filiżankę czarnej kawy i szklankę wody. Zdawało się, że zawsze wie, kiedy Katie potrzebuje kofeiny i jest odwodniona.

– Podać pani coś jeszcze? – spytała. – Kupiłam rano dwie malinowe babeczki w Heaven’s Cakes. Ma pani ochotę na jedną? Było do pani mnóstwo telefonów. Pytała też o panią detektyw Padragain Scanlan.

– Tak, wysłała mi esemesa. I nie, dziękuję, nic mi więcej nie trzeba, Moirin. Mam język wyschnięty jak kłapek Gandhiego.

Zanim zaczęła odpowiadać na telefony i przeglądać wiadomości, chciała zadzwonić do ojca. Myślała o nim po drodze do miasta i gdyby nie była tak bardzo spóźniona, przejechałaby na drugą stronę rzeki i wstąpiła do niego. Powinna porozmawiać, dowiedzieć się od niego więcej o pieniądzach, które stracił, i zorientować, czy można choć część z tego odzyskać. Przyjaźniła się z Peterem Doodym, pierwszorzędnym prawnikiem z South Mall, specjalizującym się w sprawach finansowych. Był elegancki, ciemnowłosy, przystojny i miał jacht w Kinsale, a poza tym często doradzał jej w sprawach oszustw i prania brudnych pieniędzy.

Kiedy wybrała numer ojca, telefon dzwonił i dzwonił. Wreszcie odezwała się Blaithin.

– Blaithin? Tu Kathleen. Czy jest tata?

– O, cześć, Kathleen. Jak się masz? Niestety, taty nie ma w domu. Nie mówił ci? Pojechał na pogrzeb na cmentarz Świętego Olivera w Ballincollig.

– Nie, nic mi o tym nie wspominał. Czyj to pogrzeb?

– Jego starego przyjaciela, Briana Cooneya. To jeden z jego ostatnich, prawda? Zawsze mówił, że gdyby nie Brian, nie miałby już do kogo zadzwonić, kiedy inni jego znajomi umierali. A teraz odszedł i Brian.

– Smutne. Nie do wiary, że nic mi nie powiedział, kiedy wczoraj u niego byłam. Brian nie był jeszcze taki stary. Miał chyba koło siedemdziesięciu pięciu lat. Chorował?

– Skończył siedemdziesiąt cztery. Ale nie, nie był chory. Odebrał sobie życie, biedak. Połknął ze sto tabletek ibuprofenu, jak mówił mi twój tata.

– Matko Boska, co za tragedia!

– Stracił wszystkie pieniądze. O to chodziło. Zbankrutował. Miał niezłą emeryturę, jeździł w rejsy i tak dalej. A nagle został bez niczego.

Katie nie wspomniała o tym, że jej ojciec też stracił mnóstwo pieniędzy, bo nie była pewna, czy powiedział o tym Blaithin.

– Kiedy wróci, będziesz tak dobra i przekażesz mu, że dzwoniłam? – poprosiła. – I że pewnie wieczorem znów do niego wpadnę.

– Oczywiście.

Odłożyła telefon i podeszła do okna. Chmury rozstępowały się niczym poszarpane ścierki. Zza nich zaczynały się przedzierać wodniste promienie słońca. To, co się stało z Brianem Cooneyem, było nie tylko tragiczne, ale również niepokojące. Zastanawiała się, czy Brian i jej ojciec stracili pieniądze na tej samej inwestycji i czy jeszcze jacyś inni emeryci zbankrutowali podobnie. Ostatnio roiło się od oszustów, którzy oferowali w internecie starszym ludziom możliwość uzyskania wysokiego procentu od oszczędności, ale ofiary były często zbyt dumne i zbyt zawstydzone, by zgłaszać, że zostały wykiwane.

Potem pomyślała znów o Conorze. Od kiedy zniknął w nocy, nie próbował się z nią skontaktować. Kusiło ją, żeby wysłać mu esemesa, ale w końcu postanowiła poczekać, aż sam się odezwie. Wiedziała, że powinna powiedzieć komendantowi

MacCostagáinowi o tym, że Conor przyznał się jej do podpalenia przyczepy Zezowatego McManusa, ale zdawała sobie sprawę, że kiedy tylko te słowa przejdą jej przez usta, jej świat się zawali. Nie tylko związek z Conorem, ale także całe życie zawodowe legnie w gruzach.

Może Conor miał rację i lepiej byłoby kłamać, zaprzeczyć, że wie cokolwiek o tym, co zrobił.

Usiadła znów za biurkiem. Do drzwi zapukała detektyw Scanlan. Weszła z fletem w zielonej papierowej torebce.

– Pasuje – stwierdziła. – Zaniósłam go Billowi Phinnerowi. Jest identyczny jak ten zatknięty w szyję O'Regana.

Zreferowała Katie przebieg wizyty w Music Market i powtórzyła, co powiedział jej William Ó hUiginn o funkcjonariuszu Garda Síochána i pięciu skradzionych fletach.

– Wydało mu się bardzo dziwne, że zabrali tylko pięć fletów, skoro mogli zwinąć wszystkie siedem.

Katie wyjęła flet z torby i obejrzała go ze wszystkich stron.

– Może potrzebowali tylko pięciu. Jeśli ten wepchnięty w szyję O'Regana był jednym z nich, to może złodziej wcale nie chciał ich sprzedawać. Ilu funkcjonariuszy miało składać zeznania przed komisją?

– Nie wiem na pewno, ale mogę zadzwonić do biura sędziego McGuigana i sprawdzić. Chyba nie sugeruje pani tego, co mi się zdaje?

– Mam nadzieję, Padragain, że nie. Boże, mam wielką nadzieję. Zatelefonuj jak najszybciej do sędziego i weź listę wszystkich, którzy zgłaszali nieprawidłowości. Ich nazwiska, adresy. Może sprawdź też, na jaki temat mieli zeznawać. Wiem na pewno, że jeden zamierza przedstawić dowody na rasistowskie traktowanie.

– Słyszałam, że któryś ze świadków ma też kupę informacji o nieprawidłowościach finansowych w Garda College – dodała Scanlan. – Pieniądze uczelni były wydawane na luksusowe podróże zagraniczne, wystawne kolacje, a nawet na prostytutki. Polecą głowy, to pewne.

– Padragain... – zmitygowała ją Katie.

– Och, nie miałam na myśli O'Regana. Nie jego głowę. Tylko głowy niektórych dość wysoko postawionych, którym te rewelacje mogą zaszkodzić.

– Tak, wiem. Ale módlmy się, żeby głowy nie spadały w dosłownym znaczeniu.

* * *

Pół godziny później detektyw sierżant Begley przyszedł powiedzieć Katie, że detektywi Buckley i O'Brien nadal czekają pod mieszkaniem Gwenith na Sprigg's Road. Siostra Twomeya była w Tesco na Paul Street i wróciła do domu o dziewiętej pięćdziesiąt pięć, ale na razie Farry się nie pokazał.

– Dobrze, dzięki, Sean – rzuciła Katie. – Poproś, żeby byli cierpliwi. Z tego, co mówiła Kyna, ten cały Farry może mieć kaca giganta. Kto wie, kiedy zwlecze się z łóżka.

– Skoro te łotry kupują naszemu Michaelowi jedzenie, to przynajmniej jest jeszcze żywy i w miarę w dobrej formie – stwierdził Begley.

– Miejmy taką nadzieję. Ale musimy bardzo uważać. Gdyby tylko nabrali jakichś podejrzeń, że śledzimy tego Farry'ego, to może być katastrofalne w skutkach.

– Ostrzegłem wsparcie. Kiedy dowiemy się, gdzie mogą trzymać Michaela, wyślą uzbrojony oddział.

– Dobrze. Świetnie. Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, dobrze?

Katie wyszła za Begleyem z pokoju i ruszyła korytarzem do gabinetu komendanta MacCostagáina. Zastała go siedzącego z ponurą miną za biurkiem. Rozmawiał z zastępcą komendant głównej, Frankiem Magorianem. A ten wyglądał tak, jakby wybierał się na golfa. Miał na sobie żółty sweter w warkocze i spodnie w jaskrawoniebieską kratkę. Pachniał mocno wodą po goleniu Issey Miyake.

– Ach, Kathleen – powitał ją MacCostagáin. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Frank pyta o nasze postępy w sprawie O'Regana.

– Posuwamy się naprzód, ale nie tak szybko, jak bym chciała – odparła. – Mamy obiecujące wyniki kryminalistyczne, ale jedynym potencjalnym świadkiem jest jak dotąd pani O'Regan, a ona nadal leży w szpitalu Wexford i nie odzyskała jeszcze przytomności.

– I dalej nie masz pojęcia, co mogło być motywem?

– Nie chcę wysuwać pochopnych wniosków, panie komendancie, czekam, aż prawnik O'Regana prześle mi kopie jego dokumentacji, ale jestem gotowa się założyć, że został zamordowany, by uniemożliwić mu zeznania przed komisją. A to oznacza, że wszyscy pozostali sygnaliści mogą być w poważnym niebezpieczeństwie.

– Tylko dlatego, że O'Regan miał flet w szyi? – spytał Frank Magorian.

– Przyznam, że na razie jest to tylko niepotwierdzona hipoteza. Ale jeśli jego zabójca nie próbował w ten sposób zakomunikować czegoś na temat podnoszenia alarmu, czyli jak to się mówi, dmuchania w gwizdek, to pozostaje pytanie, po co coś takiego zrobił.

– Powodów może być wiele. Jeśli sprawca był dość szalony, by odciąć temu biedakowi głowę, to pewnie stać go i na inne rzeczy.

– Możliwe. Ale zabójcy od razu dali cynk mediom, jeszcze zanim mogliśmy to zrobić my. To musiało być ostrzeżenie dla wszystkich innych sygnalistów. Gdybym ja miała zeznawać przed komisją w najbliższych tygodniach i usłyszałabym, że jednemu z sygnalistów odcięto głowę, to dobrze bym się jeszcze zastanowiła nad tym, co robię, a pan nie?

– Niewykluczone, że tak, Kathleen. Niewykluczone. Ale ci sygnaliści... Nie sądzę, że łatwo ich wystraszyć. Gdyby było łatwo, to w ogóle nie podnosiliby sprawy, prawda? Wszyscy widzieli, przez co musiał przejść sierżant Maurice McCabe. Te bezpodstawne oskarżenia o brak kompetencji i molestowanie, które przeciwko niemu wysuwano... Nie wspominając już o groźbach, że zostanie zgładzony. McCabe jednak się nie poddał, prawda? Nie... Jestem raczej pewien,

że trzeba tu szukać główkującego samotnego świra. Na mojego nosa to jakiś wariat.

– Główkującego – mruknął Denis MacCostagáin. – Trafne określenie.

– Nawet gdyby ktoś tu główkował, to musiało ich być więcej – powiedziała Katie. – Nie wyobrażam sobie, jak jeden człowiek mógłby zmusić O'Regana, by poszedł na cmentarz, a potem siedział spokojnie, kiedy on odcinał mu głowę. Musiały brać w tym udział co najmniej dwie osoby, a prawdopodobnie więcej niż dwie.

– Punkt dla ciebie, Kathleen – rzucił Frank Magorian. – Ale miałem mnóstwo przypadków, kiedy psychole popełniali zbrodnie parami. Nożycowe Siostry w Dublinie, na przykład. Odcięły głowę tamtemu gościowi, prawda? Nie wspominając o jego wacku.

– Skoro tak pan mówi....

Katie już wiele miesięcy temu postanowiła, że nie będzie się spierać z Frankiem Magorianem, bez względu na to, jak bardzo lekceważąco ją traktuje. Był, mimo wszystko, zastępcą komendant głównej i choć w Garda Síochána następowały radykalne zmiany, on nadal był zwierzchnikiem regionu południowego i nadal miał koneksje zarówno w Dublinie, jak i w Cork. Teraz, kiedy musiała rozwiązać drażliwy problem z Conorem, nie warto było iść z nim na noże.

Spojrzała na MacCostagáina.

– Właściwie wpadłam tylko powiedzieć, że mamy pewne wiadomości i możemy być blisko odnalezienia detektywa Ó Doibhilina.

Wyjaśniła, że detektywi Buckley i O'Brien czekają w pogotowiu i będą śledzić Farry'ego, kiedy ten pojedzie do Crosshaven albo dokądkolwiek, gdzie przetrzymują Ó Doibhilina. Nie wspomniała jednak, w jaki sposób Kynie udało się zdobyć informacje. Orientacja seksualna Kyny to jej sprawa. Katie było wystarczająco przykro, że ją wykorzystała, nawet jeśli dzięki temu mieli szansę ocalić życie Michaela Ó Doibhilina.

– Trzymam kciuki, Kathleen – powiedział Frank Magorian. – Ale nawet jeśli uwolnimy Ó Doibhilina, trudno będzie aresztować Seamusa Twomeya. Twomey na pewno nie porywał go osobiście, co? A to, że Ó Doibhilin został zdemaskowany, bardzo utrudni twoje śledztwo przeciwko Twomeyowi i Quinnowi. Nie zaryzykują już przeszmuglowania fentanylu przez Rosslare, prawda? Kto wie, jaką trasę przerzutową wybiorą, i można się założyć, że teraz będą bardziej wyczuleni na naszą obecność, pod przykrywką czy nie.

– Zobaczmy, co da się zrobić. Zawsze można znaleźć jakiś sposób.

Rozdział 20

Dwudziestu jeden chłopców ze szkoły podstawowej Dripsey wśród krzyków i śmiechów, popychając się nawzajem, wysiadło ze szkolnego autobusu. Pobiegli na wyścigi do budynku klubu, żeby się przebrać.

Była z nimi dwójka nauczycieli. Trener Tadhg Daley i jego asystentka Cliona Brennan. Tadhg – wysoki, szczupły i wysportowany – miał opadającą jasnorudą grzywkę, przypominającą szmatkę, którą ktoś strzepuje z okna na piętrze. Cliona była przysadzista, z twarzą okrągłą i różową jak u lalki.

– Ruszajcie się, chłopaki! – zawołał Tadhg i dmuchnął w gwizdek dla podkreślenia swoich słów. – Chcę was tu widzieć przebranych za trzy minuty, nie później! Każda sekunda zwłoki oznacza straconą sekundę na boisku!

Kiedy czekał z Clioną, aż chłopcy włożą stroje piłkarskie, podskakiwał w miejscu i rozcierał dłonie.

– Mam przecucie, że w tym roku znowu zdobędziemy Sciath Na Scol! Myślę, że ci z Rylane nie mają najmniejszych szans! Nie żebym ich nie doceniał. To świetna drużyna, ale nasza jest lepsza.

Cliona rozerwała opakowanie batona muesli, ugryzła go i z powagą żuła. Już miała wziąć kolejny kęs, gdy podniosła wzrok, zmarszczyła brwi i zaczęła obracać się to w tę, to w drugą stronę.

– Cicho! – rzuciła.

– Co się stało? – spytał Tadhg. Nadal podskakiwał i teraz boksował powietrze jak kangur.

– Mógłbyś na chwilę przestać i posłuchać, Tadhg? – poprosiła. – Zdaje mi się, że ktoś płacze.

– Zaraz wszyscy będą płakać, jak zacznę odliczać, a oni nie wyjdą z tej przebieralni.

Ale Cliona uniosła dłoń i zamarła w bezruchu. Tadhg przestał skakać i po chwili ciszy oboje dosłyszeli słabe, przerażające zawrodoenie dochodzące z niedaleka.

Tadhg rozejrzał się po boisku, opuszczonym, rozmoczonym deszczem, płaskim. Na wschód widać było tylko wysoki rząd reflektorów i tonące za nimi we mgle zielone lasy Inniscarry. Na południe otwartą przestrzeń kończyły niskie kamienne mury otaczające opactwo Świętego Senana. Ruiny wieży i cmentarz zakrywał niemal całkowicie szpaler wysokich cyprysów.

– To chyba jakiś pies, a najpewniej lis. Może zaplątał się w siatkę ogrodzenia albo złamał nogę czy coś takiego.

Nasłuchiwali kolejne kilka sekund. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Lecz potem znów zaczęły się jęki. Z początku cienkie i błagalne, stopniowo przybierały na sile i były coraz bardziej rozpaczliwe.

– Jestem pewna, że zawołał „Ratunku!”.

– Och, przestań, Cliona. Lisy w tej okolicy są sprytne, ale nigdy nie słyszałem, żeby któryś z nich mówił.

– Naprawdę ktoś wołał – upierała się Cliona.

Ruszyła biegiem w kierunku opactwa, gdy chłopcy z drużyny zaczęli wysypywać się z budynku klubu, wszyscy w wiśniowo-białych koszulkach, w barwach szkoły.

– Cliona! – krzyknął za nią Tadhg. – Cliona, jesteśmy gotowi, zaczynamy!

Zignorowała go. Popchnęła furtkę z pięciu metalowych sztachet i zginęła za cyprysami w głębi cmentarza. Tadhg zaklął pod nosem, podniósł piłkę i rzucił ją bramkarzowi tak mocno, że chłopak omal nie upadł.

– Macie, pokopcie trochę dla rozgrzewki. Zaraz wracam.

Puścił się pędem za Clioną, zaciskając pięści; nozdrza mu chodziły. Miał potwornie wybuchowy charakter. Zawsze wściekał się, gdy coś szło nie po jego

myśli. Dzięki temu był dobrym trenerem, ale na co dzień był nie do życia, dlatego żona rzuciła go dwa lata temu, zabierając ze sobą dzieci.

– Cliona! – zawołał. – Nie możemy zajmować się psami, lisami czy cokolwiek to jest! Mamy mecz, musimy pilnować chłopaków, na litość boską!

Był dopiero w połowie żwirowej ścieżki, gdy nagle zza jednego z kamiennych nagrobków wyłoniła się Cliona. Szła do niego chwiejnym krokiem, wystukując coś na komórce, jakby ją opętało.

– Nie mam sygnału! – wysapała. – Muszę złapać sygnał!

– Cliona, na litość boską, co się dzieje?

– Wezwij karetkę, Tadhg! I policję! Tam jest potwornie ranny chłopak i jakiś nieżywy człowiek, bez głowy!

– Co? – wyjąkał osłupiały. – Jak to? Nieżywy, bez głowy?

Ale wtedy rozległ się kolejny potworny jęk, w którym było tyle bólu, że Tadhga kompletnie zatkało. Gapił się na Clionę przerażony. Teraz, z bliska, rozpoznał, że to musi być człowiek, nie zwierzę.

– Tadhg! Zobacz, czy łapiesz zasięg!

Wyciągnął telefon z kieszeni dresu i wybrał 112. Operator pod numerem alarmowym zgłosił się niemal natychmiast.

– Pogotowie, jakie wezwanie?

– Masz, ty mów. – Podał telefon Clonie.

Wolał, żeby sama powiedziała dyżurnemu, co odkryła. Na sztywnych nogach wszedł głębiej między groby, by zobaczyć, kto tak wyje z bólu.

Znalazł Aidana leżącego na wznak między dwiema płytami nagrobnymi, uczeponego dłońmi ich krawędzi, jak ktoś, kto chce podnieść się z wanny.

Twarz chłopca wyglądała upiornie. Przypominała bardziej białą maskę z Halloween niż buzię nastolatka. Włosy mu sterczały. Kurtka nasiąkła od deszczu, a dzinsy od krwi. Obie stopy były odcięte. Leżały po bokach na żwirze. Jedna noga kończyła się w kostce, druga poniżej kolana. Tadhg widział nagie białe piszczele wystające z rozdartej lewej nogawki i miazgę chrząstek tam, gdzie

powinna być prawa kostka. To cud, że chłopak jeszcze żył, że nie wykrwawił się na śmierć albo nie umarł z szoku.

Tadhg przyklęknął obok niego i podparł mu głowę dłonią. Aidan przestał zawodzić, otworzył oczy i popatrzył na niego.

– Proszę, już nie – zaszlochał. – Proszę. Nie będę więcej próbował uciekać, przysięgam.

– Nie zrobię ci nic złego, mały – powiedział Tadhg. – Wezwałem do ciebie karetkę. Jak się nazywasz?

– Aidan. Aidan Lacey. Czy z moim tatą wszystko w porządku?

Chłopiec próbował usiąść, lecz tylko znów zawył z bólu i opadł głową na dłoń Tadhga.

– Kto ci to zrobił? – spytał Tadhg.

– Nie wiem. Nie wiem, kim byli. Trzech facetów. Wszyscy zamaskowani. Co z moim tatą? Nic mu nie zrobili, prawda?

Zza nagrobka wyszła Cliona. Nadal trzymała przy uchu telefon.

– Już jadą – rzuciła. – Pogotowie i policja. Jak on się ma?

Aidan zamknął oczy, choć nadal drgał i mruczał, jakby śnił mu się jakiś koszmar, w którym z kimś rozmawiał. Tadhg przyłożył dwa palce do jego szyi, by wyczuć puls.

– Sto czterdzieści. Trochę za szybki, ale przynajmniej serce jeszcze bije. Pytał o ojca.

– Tam. – Cliona wskazała za ramię, nie oglądając się. – Nie chcę znów na to patrzeć. I tak nigdy tego nie zapomnę.

Tadhg odchylił się na bok, żeby spojrzeć na groby za nią. Dwa rzędy dalej stał omszały skrzywiony lekko krzyż. Do niego przywiązany był człowiek z rozpostartymi rękami, w żółtej kurtce przeciwdeszczowej. Z przodu zaschły na niej strużki krwi. Spod rozchylonego kołnierza wystawała szyja, ale został z niej tylko krwawy kikut, bez głowy. Tadhg zauważył, że z krtani coś sterczy, jakby błyszczący patyk, lecz z tej odległości nie poznał, co to może być.

– O Matko Przenajświętsza – powiedział i spojrzał w dół na chłopca, którego oczy były zamknięte, choć widać było, że pod powiekami gałki ruszają się rozpaczliwie to w tę, to w drugą stronę. – To musi być jego tata. Kto mógł im coś takiego zrobić?

– Tak, jestem na linii – odezwała się Cliona do słuchawki. – Chłopiec wydaje się w głębokim szoku, ale zbadaliśmy puls. Nadal jest z nami.

– Cliona, wracaj na boisko, dobrze? Powiedz chłopakom, że trening odwołany. Mogą się przebrać z powrotem. Każ im siedzieć w klubie i niech sobie pograją w gry na swoich smartfonach, nim będziemy gotowi odwieźć ich do szkoły. Nie mów nic więcej, tylko że zdarzył się drobny wypadek.

Cliona zostawiła Tadhga samego na cmentarzu z Aidanem i bezgłowym mężczyzną. Trzy wrony siwe podfrunęły i przysiadły na jednym z sąsiednich nagrobków. Najwyraźniej przyciągnął je widok trupa, ale były zbyt ostrożne, by zacząć dziobać szyję martwego człowieka, kiedy Tadhg znajdował się tak blisko.

Tadhg nie chciał więcej patrzeć w tamtą stronę, lecz mimowolnie od czasu do czasu jednak zerkał. Żałował, że tak szybko pochłonął dziś śniadanie, bo czuł, jak nie do końca przeżute parówki chodzą mu po brzuchu, i nagle gorzki smak żółci podszedł mu do gardła.

Aidan znów otworzył oczy, zapatrzył się w niebo i wydał z siebie przeraźliwy krzyk. Trzy wrony siwe zerwały się przerażone ze swojej grędy, ale nie odleciały daleko. Krążyły przy cyprysach, a potem znów usiadły, choć nieco dalej, tak by mieć w zasięgu wzroku bezgłowego mężczyznę z tym błyszczącym czymś sterczącym z szyi. Wkrótce dołączyły do nich kolejne. Ptaszyska z krakaniem gromadziły się na cmentarzu.

Jednak już piętnaście minut później pod opactwo podjechał radiowóz, a za nim karetka i jeszcze jeden wóz policyjny, wszystkie z migającymi niebieskimi światłami na dachach. Trzaskały drzwi, zachrząściły kroki na żwirowej ścieżce. Wrony niechętnie się zerwały i odleciały na zachód, za rzekę. Ich skrzydła trzepotały w powietrzu niczym czarne papierowe wachlarze.

Rozdział 21

– Mówię ci, chłopie, umieram z głodu – powiedział detektyw O'Brien. – Jak ten palant zaraz się nie pokaże, to chyba zacznę jeść swój notatnik, strona po stronie.

Była jedenasta trzydzieści, a detektywi Buckley i O'Brien czekali już w nieoznakowanej granatowej toyocie pod blokiem Gwenith trzy i pół godziny, od samego świtu.

Widzieli, jak podjeżdża taksówka, żeby zawieźć Gwenith do Tesco, a potem, godzinę i dziesięć minut później, inna podrzuca ją z pięcioma wypchanymi torbami zakupów z powrotem. Od tej pory nikt tu nie przychodził, tylko troje ludzi opuściło budynek i najwyraźniej byli to jego mieszkańcy wychodzący do pracy.

O'Brien skończył dopiero dwadzieścia dziewięć lat i był chudy jak chart. Miał jasnorude włosy i niemal niewidoczne jasne rzęsy. Buckley, trzydziestosześcioletni zwalisty brunet, zaczynał już siwieć. Mimo różnicy wieku i doświadczenia dobrze się czuli w swoim towarzystwie – jak starszy i młodszy brat – i dlatego Katie często wysyłała ich razem.

– Na końcu Fair Hill jest od dupniej strony sklep – powiedział O'Brien. – Sądziś, że miałbym czas podskoczyć tam po kanapkę z szynką i paczkę taytosów?

– O, pewnie – prychnął Buckley, mając na myśli, że nie. – A jak nasz gość właśnie się pokaże i go zgubimy, bo ty poleciałeś po żarcie? Może i ona wygląda słodko, ale widziałeś kiedyś nadkomisarz Maguire wkurzoną? Wiesz, wtedy lepiej trzymać ręce na jajach, bo ona jest gotowa je odgryźć i wypluć przez okno.

O'Brien pociągnął nosem i wyjrzał na ulicę.

– Jest mi aż słabo z głodu. Zjadłbym konia z kopytami.

Jednak już trzy minuty później z St Mary's Avenue skręcił w Sprigg's Road elegancki srebrny mercedes. Zaparkował pod dziwnym kątem przed blokiem Gwenith. Wsiadł napakowany gość z ogoloną głową. Miał na sobie szary garnitur, który wydawał się o dwa numery za ciasny. Pod marynarką widać było czarny T-shirt. W lewym uchu połyskiwał srebrny kolczyk.

– Jak to nie nasz Farry, to jestem kompletnym idiotą – mruknął Buckley.

– Zaraz, zaraz, chyba wpadłem już kiedyś na tego typu – powiedział O'Brien.

– Właściwie jestem tego pewien. Lata temu, kiedy byłem mundurowym. Pracował jako bramkarz w nocnym klubie na Carey's Lane. Zgarnąłem go za zmasakrowanie jednego z gości. Jeśli to on, to wtedy dostał za to trzy miesiące odsiadki na Rathmore Road.

Poczekali następne pięć minut, nim znów pojawił się tamten facet w szarym garniturze. Niezdarnie niósł zakupy, które Gwenith zrobiła w Tesco. Kiedy załadował torby do bagażnika, z piskiem opon zawrócił i odjechał na pełnym gazie. Buckley odczekał, aż mercedes skręci w St Mary's, i dopiero wtedy uruchomił silnik toyoty i ruszył za Farrym.

– Jeśli jedzie do Crosser, to wybrał właściwą drogę – zauważył O'Brien, kiedy sunęli śladem Farry'ego w kierunku rzeki. Na Camden Quay zatrzymało ich jednak czerwone światło. Mogli tylko patrzeć bezradnie, jak srebrny mercedes przejeżdża przez Christy Ring Bridge i skręca na wschód Lavitt's Quay po drugiej stronie rzeki.

– O Matko Przenajświętsza, spraw, żebyśmy go nie zgubili – modlił się Buckley.

Ale już widzieli, że mercedes musiał stanąć na światłach przy Patrick's Bridge, więc kiedy mieli zielone, przejechali szybko na drugi brzeg i dogonili Farry'ego. Trzymali się dwa auta za nim, gdy sunął Merchant's Quay, a potem skręcał na południe, dalej od centrum miasta. Wkrótce minęli Douglas i jechali między farmami, lasami i przez zamglone łąki, na których pały się krowy. Farry

pruł równo sto dziesięć kilometrów na godzinę, przekraczając o dziesięć dozwoloną prędkość.

– Gdybyśmy go nie śledzili, z wielką przyjemnością kazałbym mu zjechać na pobocze i wlepiłbym mu mandat – powiedział Buckley. – Bo... Jezu! Widziałeś, jak on wziął tę ciężarówkę z naczepą? Zabije się i nie będzie go trzeba zatrzymywać.

Gnali prawie dwadzieścia minut N28, niemal do samego Carrigaline.

– Może przystanie gdzieś, żeby coś przegryźć – powiedział z nadzieją O'Brien.

– Nie licz na to – mruknął jego kolega i miał rację.

Zamiast skierować się do centrum, mercedes skręcił w lewo na objazd biegnący po południowej stronie rzeki Owenabue i pojechał prosto do wioski Crosshaven. Kiedy mijali Drake's Pool, wyszło słońce. Jego promienie przeświecały między zakotwiczonymi jachtami kołyszącymi się na wodzie.

– Twomey i Quinn muszą być nieźle dziani, jeśli mogą sobie pozwolić na jakieś mieszkanie tutaj – odezwał się O'Brien, wyciągając szyję, żeby przyjrzeć się bogatym domom wychodzącym na zalew. – Wybraliśmy sobie niewłaściwy zawód, Steve. Może powinniśmy rzucić to w diabły i zająć się przemytem narkotyków. To byłby niezły pomysł, biorąc pod uwagę, że znamy to od podszewki, co? Ty i ja moglibyśmy bez trudu przeszmygłować przez Ringaskiddy opioidy warte pół miliona euro, a celnicy nic by nie wyniuchali.

– Daj spokój – rzucił Buckley. – Przy naszym szczęściu od razu zgarnęliby nas jacyś dwaj detektywi równie bystrzy jak my, a nie uśmiecha mi się spędzenie następnych dziesięciu lat życia w jednej celi z tobą w Portlaoise. Dziękuję bardzo za wachanie twoich bąków i wysłuchiwanie trucia na temat szans Lorcána McLoughlina w wyższej lidze hurlingu.

Na ostatnim odcinku drogi prowadzącej do wioski ruch był niewielki, jechali więc co najmniej sto pięćdziesiąt metrów za mercedesem, by Farry nie zorientował się, że go śledzą. Kiedy dotarł do parkingu przy przystani, nieoczekiwanie skręcił w prawo i znikł na krętej drodze na stromym wzgórzu.

Ponieważ nie włączył wcześniej kierunkowskazu, przejechali skrzyżowanie, ale zaraz zahamowali i zaczęli się cofać. Kierowca ciężarówki za nimi mocno przydusił klakson i rzucił parę przekleństw.

– Boże jedyny, mam nadzieję, że Farry nie kapnął się, że go śledzimy – powiedział Buckley, kręcąc kierownicą, by ruszyć na wzgórze.

Rozwścieczony kierowca ciężarówki znów zatrąbił, więc O'Brien opuścił szybę i krzyknął:

– Zabieraj się w cholere, gruby nieokrzeszańcu!

Wjechali na szczyt i odkryli, że droga łączy się z Middle Road przy pomalowanym na biało barze Anchor. Farry zaparkował niemal naprzeciwko drzwi pubu na początku Daly's Lane, wąskiej alejki dla pieszych prowadzącej z powrotem do Lower Road i przystani. Nie było miejsca, by zaparkować drugi samochód, a Farry od razu by zauważył, gdyby zatrzymali się tuż za nim, więc musieli pojechać dalej.

– Cholera – mruknął pod nosem Buckley.

Przejechał z powrotem do Lower Road, skręcił ostro w prawo i stanął na końcu Daly's Lane.

Dwaj detektywi zdążyli w sam raz, by zobaczyć, jak Farry, kołysząc się na ugiętych nogach dla równowagi, schodzi stromą alejką, trzymając w obu rękach pięć toreb z Tesco. Zatrzymał się przy małym szarym domku w połowie dróżki i kopnął brązowe drzwi frontowe. Począł chwilę, a kiedy nie było odpowiedzi, jeszcze raz kopnął, mocniej. Wreszcie ktoś otworzył, choć siedzący w samochodzie detektywi nie byli w stanie dostrzec kto.

Farry zniknął w środku. Drzwi się za nim zamknęły.

– Dobra – rzucił Buckley. – Zadzwoń do nadkomisarz Maguire i podam jej namiary. Wygląda na to, że na tyłach domu jest podwórko. Może skocz przez mur i zobacz, czy da się coś wypatrzyć?

– Jasne.

O'Brien wysiadł z auta. Kiedy to zrobił, zapukał w dach i pokazał na drugą stronę drogi. Przy przystani stał mały, kwadratowy budynek. Z boku dużymi

literami było napisane: *Ryby i Frytki*. O'Brien demonstracyjnie pogłodził się po brzuchu, a jego kolega opuścił szybę od strony pasażera.

– Później, ty cholerny głodomorze – powiedział. – Idź, zajrzyj, może zobaczysz Michaela, dobrze?

Zadzwoił do Katie. Oczywiście wiedziała już dokładnie, gdzie się znajdują i na co patrzą, bo od kiedy ruszyli za mercedesem Farry'ego, śledzono ich ruchy w dziale komunikacji na górnym piętrze komendy, a ich samochód był wyposażony w kamerę 1080p.

– O'Brien sprawdza, czy Michael rzeczywiście jest w środku – poinformował szefową Buckley. – Ja mam w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewność, że to tu go trzymają. Bo inaczej po co ten Farry woziłby tu pół Tesco?

– Słuszna uwaga, ale dlaczego aż tyle zachodu? – spytała Katie. – Przecież chyba w Crosshaven też są jakieś sklepy, prawda?

– No raczej. Widzę stąd jeden market, po drugiej stronie parkingu.

Katie zastanawiała się chwilę.

– Nawet jeśli Michael jest związany, może Twomey i Quinn mogli przeznaczyć tylko jednego człowieka do pilnowania go – powiedziała w końcu. – Jeśli tak, to ten facet pewnie nie chce ryzykować zostawiania Michaela samego, kiedy pójdzie do sklepu.

– Bardzo możliwe – przyznał Buckley. – Jeśli są tam tylko Farry i jeszcze jeden gość, którym musimy się zająć, to dla nas sprzyjająca okoliczność. Problem w tym, że nie wiemy, czy są uzbrojeni. Musimy przyjąć, że przynajmniej jeden ma broń.

– Powiadomiłam sierżanta Clery'ego z posterunku w Crosshaven – oznajmiła Katie. – W tej chwili na służbie są tylko on i jeszcze jeden funkcjonariusz, ale kazałam im być w pogotowiu, w razie gdyby byli nam potrzebni. Nie chcemy, by Farry zorientował się, że odkryliśmy, gdzie trzymają Ó Doibhilina. Zakładając, że on tam jest.

– To jaki jest plan?

– Wysłałam już do was detektywa sierżanta Begleya i regionalny oddział wspierający. Powinni dotrzeć w ciągu najbliższych dwudziestu minut. Będą mieli ze sobą negocjatora, specja od uwalniania zakładników.

– A jeśli Farry wyjdzie, zanim tu będą?

– To niech jedzie. Nie róbcie nic, co mogłoby go zaniepokoić. Będziemy go śledzić, ale nie zatrzymamy. Żeby nie wiem co, nie pukajcie do drzwi i nie atakujcie, póki nie mamy całkowitej pewności, że Ó Doibhilin tam jest. Jeśli trzymają go gdzie indziej, mogą mu coś zrobić albo nawet go zabić, kiedy Twomey dowie się, że nie działamy pod jego dyktando.

– Tak jest. Postaram się dać pani znać jak najszybciej.

Detektyw Buckley odchylił się na oparcie siedzenia i czekał. W ostatnich latach często wzywano go do przypadków, w których ktoś trzymał zakładników lub groził, że popełni samobójstwo. Było tego coraz więcej, zwłaszcza po krachu ekonomicznym w 2014 roku. Żadne z tych zdarzeń nie skończyło się szczęśliwie, niektóre miały wręcz tragiczny finał, jednak udało się uratować życie wielu niewinnych ludzi.

Ale z jakiegoś powodu już dawno nie był tak spięty. Gnębiły go złe przeczucia. Zwykle była nadzieja, że naćpany zabójca da się przekonać, odłoży nóż i podda się, a rozhisteryzowana dziewczyna zejdzie z dachu wielopiętrowego garażu na Paul Street. Teraz jednak Buckley nie potrafił pozbyć się wrażenia, że na wszystko jest już za późno. Znał Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna od lat i wiedział, jacy potrafią być brutalni. Jeśli detektyw Ó Doibhilin jeszcze żyje, istniało poważne ryzyko, że wkrótce będzie martwy i że nie on jeden zginie przed zmrokiem.

* * *

Detektyw O'Brien ruszył wąską alejką na tyłach domków. Pomalowane na biało betonowe mury miały tylko półtora metra wysokości, więc pochylił się, by nie zauważył go przypadkiem ktoś z któregoś z okien.

Dotarł zaledwie do ogrodzenia trzeciej posesji, kiedy jakiś pies zaczął szczekać jak szalony i rzucać się na furtkę. O'Brien znieruchomiał. Pies nie przestawał ujadać. Wreszcie otworzyły się jakieś drzwi.

– Madra! – krzyknęła kobieta. – Zamkniesz ty pysk, cholero jedna? Co cię napadło? Do domu!

Odczekał, aż drzwi się zamkną, i podkraść się na tyły następnego podwórka, za domkiem, do którego wnosił zakupy Farry. Ostrożnie wychylił głowę i zajrzał za mur. Zobaczył istne śmietnisko. Stara kuchenka, pordzewiały rower bez przedniego koła, brudny wąski materac z ciemną plamą pośrodku i sterta pozdieranej beżowej wykładziny. Na tylnych drzwiach – łuszcząca się farba. A firanki w oknie wisiały nierówno i zrobiły się brunatne od dymu papierosowego. Okno było tak brudne, że O'Brien ledwie mógł rozpoznać jakieś kształty w środku, zwłaszcza że teraz mocniej świeciło słońce i jego promienie odbijały się od betonowego muru i raziły go w oczy. Za to dobrze widział odbicie czubka swojej głowy na szybie.

Wyraźnie jednak dosłyszał męski głos i po kilku sekundach dostrzegł szarą sylwetkę Farry'ego krążącego po pokoju jak rekin na płyciźnie. Potem rozległ się głos jakiegoś innego faceta, ostrzejszy, ale O'Brien i tak nie mógł zorientować się, co mówi.

Wyjął radiotelefon i osłonił usta dłonią.

– Jestem na tyłach domku – powiedział Buckleyowi. – Nie widzę Michaela, ale postaram się podejść bliżej okna, żeby rzucić okiem do środka.

– Tylko uważaj – ostrzegł go kolega. – Wiesz, co to za sukinsyny.

– Odebrałem.

Detektyw O'Brien zwolnił zasuwkę tylnej furtki, ale kiedy ją popchnął, odkrył, że jest zablokowana. Odczekał chwilę, a potem znów wychylił głowę nad mur. Za oknem nie było widać nikogo, choć nadal dobiegały go stamtąd głosy.

Schylony, podbiegł do furtki sąsiedniego podwórka i spróbował tutaj. Otworzyła się bez trudu. Posesja była świeżo zamieciona, w skrzynkach rosły karłowate jałowce i ozdobna kapusta. Drewniane okiennice były pozamykane.

Uznał, że pewnie nikogo nie ma w domu. Po lewej stronie był składzik na węgiel. Pomyślał, że jeśliby się na niego wdrapał, mógłby zajrzeć z góry do pokoju, w którym był Farry.

Rozpiął ciemnozieloną kurtkę i tweedową marynarkę, którą miał pod spodem, i poluzował sig sauera w kaburze na biodrze. W razie gdyby Michael Ó Doibhilin znajdował się w środku, chciał być przygotowany na wszystko, choć wiedział, że powinni czekać na wsparcie. Podczas napadu na pocztę w Macrooom postrzelono jego kolegę, kiedy ten mocował się z wyjęciem broni, i choć rany nie okazały się śmiertelne, musiał zrezygnować z dalszej kariery w Garda Síochána.

O'Brien wszedł na podwórko i cicho zamknął za sobą furtkę. Potem podciągnął jedną ze skrzynek i ustawił obok składziku, żeby się po niej wspiąć. Dźwignął się na pochyłą pokrywę i klęcząc, przytrzymał się obiema dłońmi muru, by nie ześlizgnąć się z powrotem na dół. Teraz widział wyraźnie, co się dzieje za oknem w sąsiednim domu.

Pomieszczenie, w którym Farry nadal niespokojnie chodził tam i z powrotem, było ciemną zagraconą kuchnią z drewnianym kredensem i staromodnym zlewem z prostymi mosiężnymi kranami, choć O'Brien dostrzegł też błyszczącą nową kuchenkę. Drzwi prowadzące w głąb domu były otwarte na oścież; widać więc było mały salon na froncie, ale rozróżnił tam tylko tył fotela z czerwoną tapicerką. Nad oparciem sterczały czarne włosy. Mógł to być detektyw Ó Doibhilin albo ktoś, kto go pilnuje, albo ktoś zupełnie inny.

O'Brien nie był już w stanie zrobić nic więcej. Skoro nie mógł potwierdzić, że Michael Ó Doibhilin jest tu przetrzymywany, negocjator nie będzie mógł układać się z Farrym, na jakich warunkach puszczą Michaela wolno. Trzeba będzie przebić się do środka, taranując drzwi i rzucając granaty hukowo-błyskowe. Jeśli Ó Doibhilin tam jest, nie mogli dać Farry'emu nawet kilku sekund, bo wtedy mógłby zrobić detektywowi coś złego albo przystawić mu pistolet do głowy i wziąć go na zakładnika. Ale nawet jeśli Ó Doibhilina tam nie ma, nie wolno pozwolić, by Farry chwycił za telefon i ostrzegł Seamusa Twomeya, że policja nie

dotrzymała warunków umowy. Bo wtedy, bez względu na to, gdzie jest Ó Doibhilin, groziłaby mu natychmiastowa kulka w łeb.

O'Brien ostrożnie puścił krawędź muru i ześlizgnął się po klapie składziku. Kiedy zeskakiwał na ziemię, przewrócił skrzynkę i rozsypał torf na świeżo wysprzątany klinkier. Podniósł skrzynkę i odniósł na miejsce, ale kiedy ją stawiał, usłyszał zgrzyt zamka. Tylne drzwi domku stanęły otworem i pojawił się w nich siwowłosa mężczyzna w czarnym płaszczu. Trzymał w dłoni długi miedziany pogrzebacz i piorunował wzrokiem O'Briena niczym rozgniewana czapla.

– Co ty, na Boga, robisz w moim ogródku, łobuzie? Myślałeś, że mnie nie ma, co? Chciałeś mnie okraść? Tak, wyszedłem, ale już jestem i wzywam policję. Czeka tu, ty podły rzezimieszku!

– Chwileczkę, dobrze? – zaoponował O'Brien. – Nie przyszedłem się włamywać. Sam jestem stróżem prawa. Proszę, mogę pokazać swoją odznakę.

– Och, to chyba najstarszy numer na świecie, naiwnego sobie znalazł! – ofuknął go stary. – Takie zabawki to można sobie teraz kupić w internetach. Każdy głupi to wie! Myślisz, że jak mam kilka siwych włosów, to jestem półgłówkiem? Czeka tu, mówię!

– Proszę posłuchać, przepraszam, że przewróciłem skrzynkę, ale ma pan moje słowo, że nie przyszedłem pana okraść, a teraz muszę iść. Do widzenia.

Gdy O'Brien otworzył furtkę, stary człowiek podskoczył za nim i rąbnął w nią pogrzebaczem.

– Zostaniesz tutaj! Wzywam policję! Może i złapałem cię, zanim zdołałeś mi coś ukraść, ale zaraz zabierzesz się do obrabiania moich sąsiadów, to pewne jak dwa razy dwa jest cztery.

O'Brien uniósł odznakę i trzymał mu ją przed oczami, choć nie był pewien, czy tamten potrafi skupić na niej wzrok.

– Proszę – powtórzył, starając się zachować spokój. – Garda Síochána. Detektyw Kenneth O'Brien. A teraz niech pan wraca do domu, zanim zaaresztuję pana za groźby karalne.

Pociągnął za furtkę, by zmusić mężczyznę do cofnięcia się, i ruszył alejką. Wtedy jednak otworzyła się furtka sąsiedniej posesji i pojawił się Farry.

– Co to za hałasy, chłopaki? – spytał. – Czemu się tak, kurwa, wydzieracie? Co tu się, kurwa, wyprawia?!

– Ten łobuz chciał wleźć do mojego domu przez okno na piętrze – poskarżył się stary. – Złapałem go, a on jeszcze ma czelność wmawiać mi, że jest gliną.

Farry gapił się na detektywa O’Briena i w miarę jak docierało do niego, kogo ma przed sobą, jego świńskie oczka robiły się coraz bardziej okrągłe; otworzył powoli usta, jakby wydawał z siebie długi, bezgłośny okrzyk.

Nic nie powiedział, lecz O’Brien jakby w zwolnionym tempie zobaczył ruch jego prawej dłoni sięgającej do kieszeni. Lufa pistoletu automatycznego zaczepiła na moment o jaskrawoczerwone szelki.

O’Brien odrzucił połą ciemnozielonej kurtki i złapał za broń. Wyciągnęli ją niemal jednocześnie i każdy trzymał swoją oburącz. Stojąc na lekko ugiętych nogach, mierzyli do siebie z odległości niecałych trzech metrów. Stary człowiek patrzył to na jednego, to na drugiego i coś zaskrzeczał.

– Jestem funkcjonariuszem Garda Síochána – powiedział detektyw O’Brien. – Rzuć broń.

Stary mężczyzna upuścił pogrzebacz, który z brzękiem potoczył się po bruku. W tym samym momencie Farry wypalił. Wąski przesmyk odbił echem ogłuszający huk, a O’Brien, trafiony w pierś, poleciał do tyłu. Uniósł głowę i próbował wycelować, by strzelić do Farry’ego w odpowiedzi, lecz głowa zaraz opadła, a broń ze stukotem wylądowała na bruku.

Farry podszedł do niego i nachylił się.

– To on, nie ma co. Mądrała. Wreszcie dostał za swoje.

– Matko Boska, trzeba zadzwonić po pogotowie – odezwał się staruszek.

– Po co, chłopie? Jest martwy na amen. Taczka wystarczy.

– Ale on mówił, że jest z Garda Síochána.

– A co za pieprzona różnica? Chciał cię okraść, prawda? I wyjął broń, nie? To co miałeś robić? Dać mu się najpierw zastrzelić, a potem okraść? To było

w samoobronie, jasne jak słońce. Twoje święte prawo.

Z zabałaganionego podwórka wynurzył się drugi mężczyzna. Miał tłuste, zaczesane do tyłu włosy, szpiczasty nos i krzywe zepsute zęby. Trzymał dużego colta, odbezpieczył go.

– O Chryste na rowerze, Farry. Coś ty narobił?

– Samoobrona – powiedział Farry. Zaczął dyszeć, jakby łąpał go atak astmy. – Groził mi bronią, Vincent. Bez ostrzeżenia. To co miałem zrobić? Hej, ty... poświadczysz to, prawda, stary?

– Ooo... no pewnie. Poświadczę ci wszystko jak trzeba – zapewnił starszek, choć stale nerwowo popatrywał na mężczyznę leżącego na ziemi. Strużki ciemnoczerwonej krwi wędrowały po wzorku układanej kostki.

– I co my z nim teraz zrobimy, na Boga? – zapytał Vincent. – Nie możemy go tak zostawić. Psy się zleca.

– Powinienem zadzwonić na pogotowie – powiedział stary, podnosząc pogrzebacz.

– Nie, nie, kiepski pomysł, nie warto – powstrzymał go Farry. – Mamy przyjaciół. Oni się tym zajmą, bez problemu. Vincent, dryndnij do Seamusa, dobrze, chłopie?

– Dlaczego ja? To ty go, kurwa, zastrzełeś, nie ja.

Nadal stali w alejce, zastanawiając się, co robić, kiedy usłyszeli krzyk.

– Nie ruszać się! Policja! Rzućcie broń i ręce do góry!

Obrócili się i zobaczyli detektywa Buckleya idącego przesmykiem w ich kierunku, z podniesionym pistoletem.

– O Chryste! – zarządził Farry z braku tchu. – Dawaj, Vincent, wiejemy!

– Hej! – zawołał stary, ale ci dwaj pobiegli na swoje podwórko, zatrzasnęli furtkę, zaryglowali, a potem zamknęli za sobą również tylne drzwi.

Buckley dopadł do furtki i zaczął w nią walić pięścią. I wtedy spojrzął w dół na swojego kolegę.

– To było w samoobronie – powiedział stary.

Bladozielone oczy O'Briena były otwarte, patrzyły niewidzącym wzrokiem w niebo.

– Co? – spytał Buckley.

W szoku nie rozumiał, co stary ma na myśli. Ale kiedy zajrzał za mur, przez kuchenne okno zobaczył, że Farry i Vincent otwierają frontowe drzwi domu. Widział też innego mężczyznę, którego tamci pchali albo wlekli ze sobą.

– Dzwon na sto dwanaście! – rzucił do starego mężczyzny. – Powiedz im, co się stało i gdzie... Jest tu postrzelony funkcjonariusz. Szybko!

Po tych słowach pognął na łeb na szyję z powrotem alejką do Lower Road. Wskoczył do samochodu, uruchomił silnik i z piskiem opon zawrócił na środku drogi. Domyślał się, że Farry pójdzie do mercedesa stojącego naprzeciw baru Anchor i pojedzie Middle Road, która łączyła się z Lower Road przy murze przystani.

Nie czuł nic, jakby wszystko dokoła był kalejdoskopem niepowiązanych ze sobą obrazów – te malowane na rudo domy i kamienny mur migające za oknem, zacumowane na wodzie jachty, mężczyzna z psem uskakujący z przejścia dla pieszych. Słyszał tylko krew pulsującą w skroniach.

Mercedes Farry'ego wypadł z Middle Road, tuż za pubem Oar. Uderzył w bok samochodu Buckleya tak mocno, że toyota przekoziółkowała przez barierkę, znalazła się na przeciwległym pasie i zderzyła czołowo z nadjeżdżającą furgonetką. Rozległ się kolejny huk. Fragmenty furgonetki i toyoty posypały się po jezdni. Toyota dachowała na chodniku.

Farry nie zatrzymał się. Choć mercedes stracił kołpak, a reflektor dyndał jak wyłupiona gałka oczna, Farry dociskał pedał gazu do dechy i pruł w kierunku Carrigaline i Cork.

Na Lower Road, obok przystani, w ciszy słyhać było już tylko krzyk mew. Trzech żeglarzy podbiegło do samochodu Buckleya. Próbowali otworzyć drzwi od strony kierowcy. Kilku gości z pubu przeszło przez mur, by im pomóc. Jeden przyniósł łyżkę do opon.

Detektyw Buckley uwiązł do góry nogami w zgniecionym wraku toyoty. Przekrzywiona głowa była przyciśnięta do prawego ramienia. Nawet ktoś bez żadnego pojęcia o medycynie widział, że ma skręcony kark.

Rozdział 22

Katie zastanawiała się, czy ma ochotę na kanapkę z kurczakiem, kiedy zadzwonił komendant MacCostagáin.

– Kathleen, przyjdź do mnie natychmiast, proszę. To pilne.

– Zdecydowała się już pani, co chce na lunch? – spytała Moirin, kiedy mijała drzwi jej pokoju.

– Och, nie wiem. Jakaś kanapkę, ciastko, cokolwiek, sama wybierz. Byle nie z ozorem.

Gdy dotarła do gabinetu MacCostagáina, zobaczyła drzwi zamknięte, co było dość niezwykle. Zapukała, a kiedy weszła, zastała tam oprócz komendanta nadkomisarza Pearse'a, inspektora O'Rourke'a i sierżanta Nolana. Po wyrazie ich twarzy poznała, że coś się stało i że to poważna sprawa.

Denis MacCostagáin wstał zza biurka.

– Mieliśmy właśnie telefon od nauczyciela ze szkoły Dripsey. Zabrał uczniów na mecz treningowy na boisko obok opactwa Świętego Senana. On i jego asystentka usłyszeli jakiś płacz czy wołanie, a kiedy poszli zobaczyć, co się dzieje, znaleźli na cmentarzu ciężko rannego nastolatka. Miał odcięte obie stopy.

– Mój Boże, jak to? Miał jakiś wypadek?

– Bynajmniej, Kathleen. Ten chłopak nazywa się Aidan Lacey, to syn sierżanta Johna Lacey'a. Przykro mi, ale ta dwójka nauczycieli znalazła też sierżanta Lacey'a. Przywiązanego do krzyża na nagrobku. Odcięto mu głowę, jak O'Reganowi. Też miał wepchnięty do krtani flet. Po głowie ani śladu. Wiemy, że to on, bo chłopiec powiedział temu nauczycielowi, że to jego tata.

Katie usiadła.

– To straszne. Jezu Chryste... to bardziej niż straszne. Tragedia. Był zdrowym, silnym człowiekiem... sierżant Lacey.

– Tak, nasze ścieżki nieczęsto się przecinały, ale z tego, co pamiętam, był jednym z najskuteczniej działających funkcjonariuszy. Może nieco wyniosłym, świętszym niż sam papież.

– O ile wiem, panie komendancie, on tylko pytał, dlaczego nie wnosimy oskarżeń w wielu sprawach, w których mieliśmy aż nadto materiału dowodowego, aby doprowadzić do wyroków skazujących. Nie powiedziałabym, że chciał być „świętszy niż sam papież”.

– No dobrze, może i nie. Ale był swego rodzaju oryginałem. Indywidualistą do przesady. Wystarczyło pokazać mu linię, a on stanąłby na głowie, byle jej nie przydepnąć.

– Ale jego śmierć dowodzi jednego – powiedziała Katie. – Tego, że Frank Magorian bardzo się mylił, wysnuwając teorię, że O'Regana mógł zamordować jakiś samotny czubek. Teraz nie ma już najmniejszych wątpliwości, że tak nie było. Komuś zależało na tym, by O'Regan i Lacey nie stawili się przed komisją. I powiedziałabym, że załatwili to w sposób widowiskowy. Postraszyli wszystkich, którzy zamierzali przedstawić obciążające dowody.

– Czy sędzia McGuigan przesłał ci już pełną listę sygnalistów? – spytał nadkomisarz Pearse.

– Spodziewam się jej lada chwila. Niewykluczone, że już tu jest.

– Może to działanie poniewczasie, ale kiedy tylko dowiesz się, kto jest na liście, natychmiast załatwię tym osobom ochronę.

– Niby jak?

– Zależy, co wolą. Możemy umieścić ich w jakimś bezpiecznym miejscu do czasu składania zeznań albo zapewnić im przez dwadzieścia cztery godziny na dobę uzbrojoną ochronę.

– To bardzo pięknie, musimy jednak wziąć pod uwagę, kto mógł zamordować O'Regana i sierżanta Lacey'a i jaki był motyw. Czy pozostali sygnaliści będą

naprawdę bezpieczni w takiej kryjówce albo pod ochroną naszych funkcjonariuszy?

– Co sugerujesz? – spytał Denis MacCostagáin.

– Nic nie sugeruję. Zastanawiam się tylko nad tym samym co zawsze, kiedy jest popełnione przestępstwo. Kto na tym najbardziej skorzystał? W przypadku tych dwóch sygnalistów mógł to być ktoś z naszych ludzi, kto łamie przepisy i groziło mu, że komisja uzna jego winę.

– Poważnie? Mówisz, że O'Regan i Lacey mogli być zamordowani przez osobę z Garda Síochána?

– Albo raczej przez kilka osób – sprostowała. – To możliwość, której nie wolno bagatelizować. A tak naprawdę z tymi fletami, które ktoś wetknął im w szyje, to bardziej niż prawdopodobne. Komu przyszłoby coś takiego do głowy, jeśli nie tym, którzy mają żal do sygnalistów i nie chcą, by wyszło na jaw to, co chcą ujawnić?

– No, nigdy nie wiadomo – wtrącił inspektor O'Rourke. – To może być celowo podrzucony fałszywy trop. Żebyśmy podejrzewali kogoś z wewnątrz. Niejeden gang w Cork jest zadowolony z tego, że dzieje się u nas tak, a nie inaczej.

– Chyba nie masz na myśli, że i nam powinno to pasować?

– W przestrzeganiu prawa trzeba do pewnego stopnia akceptować zasadę: Żyj i daj żyć innym, pani nadkomisarz. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Nie mamy środków finansowych ani wystarczających zasobów ludzkich, by ścigać każde drobne wykroczenie.

– Jest pewna różnica między zasadą „Żyj i daj żyć innym” a braniem łapówek, Francis.

– Zależy, o jakich łapówkach mówisz. Jeżeli funkcjonariusz zje burgera w CoqBull i spyta, czy wystarczy, jak pokaże legitymację, to już naprawdę korupcja? Jeśli chcesz znać moje zdanie, nazwałbym to raczej przyjacielskimi układami w środowisku. Daj spokój, każdemu z nas raz czy dwa proponowano jakieś fory w zamian za przymknięcie oka. Do mnie na przykład zwróciła się

Autentyczna IRA, pamiętasz, za czasów Bobby'ego Quilty'ego, i chyba nawet Frankowi Magorianowi od czasu do czasu ktoś pomachał setką euro przed nosem.

Katie nie miała cierpliwości dłużej spierać się o potencjalnych sprawców.

– Sierżant Lacey... Czy poinformowano techników?

– Tak, oczywiście – odparł nadkomisarz Pearse. – Bill Phinner właśnie kompletuje zespół.

– No to jadę do Dripsey – rzuciła Katie. – Powinnam sama to zobaczyć. Media nic o tym jeszcze nie wiedzą, prawda?

– Nie, na razie tego nie ujawniamy, podobnie jak staraliśmy się w przypadku O'Regana, choć pewnie nie na wiele się to zda. Mathew McElvey z działu kontaktów z prasą twierdzi, że na razie nic nie wskazuje na to, by media dostały jakiś cynk, ale nie zdziwię się, jeśli lada chwila okaże się, że już wiedzą.

– Chyba pojedę z tobą – powiedział Denis MacCostagáin.

– Naprawdę? – zdziwiła się Katie.

– Dla uszanowania. Znałem ojca sierżanta Lacey'a. I dawno już nie widziałem na żywo martwego ciała. Może powinienem przypomnieć sobie realia naszej pracy. To nie tylko papierkowa robota, spotkania organizacyjne i branżowe kolacje.

* * *

Kiedy dotarli do ruin opactwa Świętego Senana, zobaczyli otoczony cmentarz, na którym roiło się od funkcjonariuszy z Ballincollig, techników i fotografów. Karetka koronera stała zaparkowana przed wejściem na boisko.

Choć świeciło słońce, nawierzchnia alei i zarośla nadal były mokre od porannego deszczu. Liście połyskiwały, a między grobami unosiła się lekka mgiełka. Sceneria jak z powieści o duchach.

Katie towarzyszyli komisarz Mulliken i detektyw O'Donovan. Komendant MacCostagáin jechał za nimi drugim samochodem, z inspektorem O'Rourkiem.

Zanim Katie wyszła z komendy, Moirin przyniosła jej kanapkę z indykiem i paczkę czipsów, ale Katie poprosiła, żeby je schowała dla niej na później. Kiedyś powiedziała Conorowi, że oglądanie śmierci to najbardziej skuteczna dieta.

Myślała o nim, gdy detektyw O'Donovan wiózł ich do Inniscarry obwodnicą Cork. Conor nadal się do niej nie odezwał, a mógł być wszędzie. Może nawet wyjechał z kraju. O śmierci Zezowatego McManusa i jego towarzyszek w pożarze w Ballyknock mówiono w wiadomościach telewizyjnych i pisano w gazetach, ale cytowany w nich inspektor Carroll stwierdził: „Jak dotąd nie mamy żadnych poszlak, które mogłyby naprowadzić nas na ślad sprawcy. Apelujemy więc do wszystkich, którzy mogliby mieć jakiegokolwiek pomocne dla nas informacje”.

Wiedziała, że takim kimś jest ona, i zdawała sobie sprawę, że im dłużej się waha, czy powiedzieć o zwierzeniu Conora, tym większe daje mu szansę na uniknięcie sprawiedliwości. Kochała go. W każdym razie tak jej się zdawało, ale teraz miała bardzo mieszane uczucia. Był winny zabójstwa, mimo że niecelowo doprowadził do śmierci Zezowatego McManusa, którego tak bardzo nienawidził za okrucieństwo wobec setek psów.

Jednak czy to miłość powstrzymywała ją przed złożeniem zeznania, czy też milczała z powodu tchórzostwa? Czy bała się, że związek z Conorem może zrujnować jej karierę, a nawet przekreślić ją całkowicie? Odebrano jej szansę na postawienie McManusa przed sądem, a zbiry tego bandyty stłukły Barneya tak, że cudem przeżył, choć nie mogłaby dowieść, że stał za tym McManus. Kto by uwierzył, że nie chciała zemsty i nie zachęcała Conora, by wziął sprawiedliwość we własne ręce razem z butelką benzyny?

Nadal myślała o Conorze, kiedy wysiedli z samochodów i wchodzili na cmentarz. To było jak dokuczliwy ból głowy, który nie odpuszcza. Żwir na ścieżce zachrząścił jej pod butami. Podniosła wzrok i zobaczyła promienie przeświecające przez ziejące pustką okna wieży opactwa. Wiedziała, że mimo wszystko teraz musi skupić się na innych sprawach, i zdawała też sobie sprawę, że jest bliska podjęcia decyzji.

Bill Phinner przybył tu zaledwie kilka minut przed nimi. Stał między nagrobkami, tam gdzie znaleziono Aidana Lacey, i rozmawiał z jednym z techników, zbierającym ślady krwi z kamiennej płyty, i z piegowatym sierżantem z Ballincollig.

– Jak tam, pani nadkomisarz? – zwrócił się do niej. – To sierżant McPolin. Był jednym z pierwszych na miejscu. Obawiam się, że mamy do czynienia z kolejną egzekucją.

– Jeszcze nigdy w życiu, przez cały okres pracy, nie widziałem czegoś podobnego – stwierdził sierżant McPolin, kręcąc głową tak mocno, że Katie miała wrażenie, jakby zaraz miały mu pospadać wszystkie piegi.

– Ten sam *modus operandi*, Bill? – zwróciła się do szefa techników.

Za Katie nadchodził Denis MacCostagáin, więc zanim Phinner jej odpowiedział, powitał komendanta.

– Chciałem sam to zobaczyć – wyjaśnił swoją obecność MacCostagáin. – Kiedy dzieje się krzywda jednemu funkcjonariuszowi, to dotyka nas wszystkich. Totalny wstrząs.

Katie obejrzała się na niego. Ostatnio jego wypowiedzi brzmiały bardzo pesymistycznie. Od dawna widziała, że jest przemęczony. Rzadko jednak dramatyzował i mówił coś takiego, jakby za kilka dni świat miał się zawalić.

– Chodźcie, zobaczcie sami tego nieszczęśnika – powiedział Bill Phinner. – Wszystko wskazuje na tę samą technikę. Głowę obcięto piłą łańcuchową, nie ma wątpliwości, choć trzeba będzie sprawdzić w laboratorium, czy to była ta sama piła co podczas zabójstwa O'Regana. Są też jednak pewne różnice.

– Na przykład?

– Głównie taka, że O'Regan siedział prosto, kiedy ścinano mu głowę, a ślady na nadgarstkach wskazywały, że skuto mu ręce z przodu. Głowę sierżanta Lacey ścinano, gdy leżał twarzą na tej płycie nagrobnej, z rękami skutymi z tyłu. Popatrzcie na ten granit, krew dokoła i te świeże nacięcia w kamieniu. To muszą być ślady zębów piły, które trafiły na kamień po przecięciu szyi.

– Potraficie stwierdzić, że leżał twarzą w dół?

Phinner skinął głową.

– Sama zobaczysz. Widać to po cięciu na szyi i kręgach. Pewnie trwało to zaledwie kilka sekund. Nie chciałbym tak skończyć. Wolę po prostu położyć się pewnego wieczoru do łóżka, a po obudzeniu się stwierdzić, że nie żyję. Ale sierżant Lacey niewiele czuł.

Podprowadził Katie do kamiennego krzyża, do którego było przywiązane ciało ofiary z rękami rozpostartymi jak u Jezusa. Na nieprzemakalnej kurtce stężały krople krwi niczym skapujący czerwony wosk. Z kikudem szyi i sterczącym z niej niczym knot fletem zwłoki przypominały makabryczną ogromną świecę.

Katie przeżegnała się i wyszeptała: *Requiem aeternam dona ei, Domine, et lux perpetua luceat ei.*

Komendant MacCostagáin podszedł bliżej i w milczeniu stał wpatrzony w bezgłowe ciało przez prawie piętnaście sekund.

– Co za ofiarność – odezwał się wreszcie. – Ale co to w sumie dało? Czy on naprawdę wierzył, że może coś zmienić? I czy za sto lat ktoś będzie jeszcze o nim pamiętał?

– Może nie – odezwała się Katie. – Ale może nasza instytucja zacznie lepiej funkcjonować i to dzięki niemu. I dzięki innym sygnalistom.

– A co z tym fletem? – zapytał detektyw O'Donovan. – Czy jest taki jak te, które skradziono w Music Market?

– Oczywiście nie mogę stwierdzić na pewno, póki nie zrobimy wszystkich zdjęć i nie zbadamy go w laboratorium – odparł Bill Phinner. – Ale na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza. To flet low-D, ze stopu niklowego, ze znacznikiem Feadógi Lámhdhéanty z Kerry, ręczna robota.

– Nigdzie nie podawałam informacji na temat fletu. Byłoby to więc niesamowitym zbiegiem okoliczności, gdyby zabójca użył takiego samego przez przypadek – zauważyła Katie. – Poczekam na twój raport, Bill, ale według mnie należy uznać, że sierżant Lacey został zamordowany przez tych samych

bandytów, którzy zabili O'Regana. Czy jego syn był w stanie opisać napastników?

– Kiedy tu dotarliśmy, stracił już przytomność – wyjaśnił sierżant McPolin. – Ale wcześniej rozmawiał z dwójką nauczycieli, którzy go znaleźli. Mówił im, że było trzech zamaskowanych mężczyzn. Stracił mnóstwo krwi, cud, że jeszcze żył i mógł coś powiedzieć. Ratownicy zabrali go do szpitala uniwersyteckiego. Razem z jego stopami. Nie wiem, czy da się je przyszyć z powrotem, ale w dzisiejszych czasach chirurdzy potrafią zdziałać cuda.

Katie spojrzała ostatni raz na ukrzyżowane ciało sierżanta Lacey'a, a potem rozejrzała się po kolegach, po czym ruszyła z powrotem do samochodu. Denis MacCostagáin dogonił ją i zrównał z nią krok.

– Nie widzę sensu trzymać tego dłużej w tajemnicy – powiedziała Katie. – Musimy zaapelować do wszystkich możliwych świadków. Myślę, że warto też zaoferować nagrodę za informacje, jeśli Frank Magorian się na to zgodzi.

– No nie wiem... – Komendant westchnął ciężko. – Zaufanie wobec Garda Síochána jest niższe niż kiedykolwiek. Nie sądzisz, że lepiej byłoby działać po cichu, na ile to możliwe?

– Wierzysz więc, że mogą być w to zaangażowani nasi ludzie?

– Nie to miałem na myśli. Ale... tak jak mówiłaś wcześniej... musimy zastanowić się, dlaczego ci dwaj sygnaliści zostali uciszeni, a to znaczy, że trzeba brać pod uwagę każdą hipotezę. Niestety, to oznacza również możliwość, że niektórym funkcjonariuszom bardzo zależy na tym, by pewne fakty nie wyszły na jaw przed komisją, i są gotowi posunąć się bardzo daleko, by do tego nie dopuścić.

– Przepraszam, ale z tego wynika, że zgadza się pan ze mną.

Denis MacCostagáin dotarł do swojego samochodu i otworzył drzwi od strony pasażera. Obejrzał się na opactwo Świętego Senana, a potem popatrzył na Katie.

– Wiele poświęcamy tej pracy, Kathleen. Oddajemy jej wszystko. Ryzykujemy życie, swoją reputację, spada na nas całe odium tego, co ludzie

myślą o wielu z nas, a to wszystko za pensję, na którą maszynista kolejowy by nawet nie splunął. A jednak każdego dnia wymaga się od nas, żebyśmy świecili przykładem niczym szlachetni rycerze i obrońcy prawa i prowadzili życie tak czyste, że nawet księżom rzadko się coś takiego udaje.

Urwał na chwilę.

– I dlatego – dodał – chciałem tu dziś przyjechać zobaczyć sierżanta Lacey’a. Chciałem przypomnieć sobie, jaki jest koszt służenia w Garda Síochána.

Katie już miała coś odpowiedzieć, ale zadzwonił jej telefon.

– Tu Sean Begley, pani nadkomisarz. W Crosser wszystko poszło nie tak.

Przez kilka sekund milczał. Katie myślała nawet, że połączenie zostało przerwane.

– Sean? Halo? Jesteś tam jeszcze, Sean?

– Tak. Przepraszam. Ale O’Brien został zastrzelony, a Buckley miał wypadek samochodowy. Obaj nie żyją.

– O Boże... Boże, Sean...

– Co się stało? – zaniepokoił się komendant. – Co się dzieje, Kathleen?

Uniosła dłoń na znak, że powie mu za chwilę.

– A co z Michael’em Ó Doibhílinem? – spytała.

– Mamy go. Cały i zdrowy, ale jest w głębokim szoku.

– Dzięki Ci, Boże, że ocaliłeś choć jego. Kto strzelał? Wiesz?

– Farry Logan, ten gość, którego Buckley i O’Brien śledzili. Próbował uciec, ale złapaliśmy go, kiedy wyjeżdżał z rozbitym przodem samochodu z Crosser, przekraczając dwukrotnie dozwoloną prędkość.

Chwilami przerywając, z wyraźnie ściśniętym gardłem, Begley opowiedział, jak Farry zastrzelił O’Briena i jak Buckley zderzył się z jego mercedesem, kiedy go gonił.

– Farry upiera się, że nie miał pojęcia, że O’Brien to glina. Jak twierdzi, był pewien, że to włamywacz, który próbował okraść sąsiada. A kiedy O’Brien wyciągnął broń, przestraszył się, że go zabije, i strzelił w samoobronie.

– Matko Boska, ale pewnie nie ma na to świadków.

– Tak się składa, że ma. Stetryczalego staruszka, który mieszka obok domu, gdzie trzymali Ó Doibhilina.

– Coraz lepiej. Jezu, Sean, nieszczęścia naprawdę chodzą parami. Jestem w Inniscarze. Na tutejszym cmentarzu znaleziono sierżanta Johna Lacey. Ma odciętą głowę jak O'Regan.

– Żartuje pani. No nie... przecież wiem, to nie temat do żartów. Mam wrażenie, że dziś rano otworzyły się bramy piekieł i tańcząc, wypadły stamtąd wszystkie demony, żeby nam dopiec.

– Słuchaj, jadę prosto na komendę – powiedziała Katie. – Wyślę inspektora Mullikena do Crosser, by przejął dowodzenie, ale na razie dasz sobie radę, co? Gdzie jest teraz Farry Logan?

– Na tutejszym posterunku, razem z tą drugą kanalią, Vincentem Mulroneym.

– Każę ich przewieźć na Anglesea. Aresztowałeś ich, przeczytałeś im ich prawa i tak dalej? Dobrze. A co z Ó Doibhilinem? Gdzie on jest?

– Też na posterunku. Dostał mocną herbatę.

Kiedy Katie skończyła rozmowę z Begleyem, wcisnęła ręce do kieszeni kurtki i z bezgranicznym smutkiem na twarzy spojrzała na komendanta.

– Detektyw Buckley i O'Brien... obaj nie żyją – poinformowała go. – Miał pan rację, mówiąc, że wiele poświęcamy w tej pracy. Ci dwaj dali z siebie wszystko.

MacCostagáin patrzył na nią długo bez słowa. Można było niemal odnieść wrażenie, że wcale nie interesuje go, jak zginęli, albo po prostu to już przerastało jego wytrzymałość.

Wrona siwa podfrunęła i przysiadła na furcie cmentarza. Nastroszyła piórka i zakrakała głośno, zaczepnie, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie? Wy, ludzie, zawsze myślicie, że będziecie żyć wiecznie, ale nie ma tak dobrze”.

Rozdział 23

– Może to Farry Logan trzymał broń – zwróciła się Katie do piątki detektywów, którzy z posepnymi minami siedzieli na kanapach w jej gabinecie – jednak to Seamus Twomey nacisnął spust.

Kiedy tylko dotarła na Anglesea Street, zaczęła kompletować zespół do prowadzenia śledztwa w sprawie śmierci Buckleya i O'Briena. Po udzieleniu detektywom niezbędnych informacji wysłała ich do Crosshaven i zamierzała zabrać się do organizowania drugiego zespołu, który zająłby się zabójstwem dwóch sygnalistów, O'Regana i Lacey, ale to już była całkiem inna sprawa.

Na szefa grupy przydzielonej do śledztwa w sprawie śmierci Buckleya i O'Briena wybrała detektywa inspektora Mullikena. Miał duże doświadczenie w radzeniu sobie z irlandzkimi separatystami w Cork, a bez względu na to, jakie były bezpośrednie okoliczności śmierci dwóch detektywów, zginęli w konsekwencji porwania Michaela Ó Doibhilina przez Seamusa Twomeya.

Poza tym skierowała do tej sprawy Kynę, bo miała do niej pełne zaufanie. W dodatku Kyna była niezrównana w wyciąganiu prawdy od opornych świadków. A niemal każdy świadek, który mógłby mieć jakieś informacje obciążające Twomeya, byłby oporny. I nie bez powodu.

– To Seamus Twomey porwał Ó Doibhilina i groził, że go zabije, jeżeli będziemy przeszkadzać mu w szmuglowaniu opioidów – ciągnęła. – Ostatecznie to on ponosi winę za zabójstwo O'Briena i wypadek, w którym zginął Buckley.

Uniosła dłoń i na palcach wyliczała zarzuty, jakie chce postawić Twomeyowi i które oni powinni udokumentować.

– Chcę, żeby został skazany za udział w zabójstwie, za porwanie zakładnika zgodnie z aktem dotyczącym działań terrorystycznych z dwa tysiące piątego roku, za bezprawne uwięzienie, groźenie śmiercią lub ciężkim pobiciem, za handel narkotykami. Teraz, kiedy Michael Ó Doibhilin wrócił i jest bezpieczny, Twomey nie może wywierać na nas nacisku. Ale to straszna tragedia, że uwolnienie go tak wiele nas kosztowało.

– Nie tylko Twomeya powinniśmy ścigać – odezwała się Kyna. – Douglas Quinn i siostra Twomeya, Gwenith, są równie mocno zaangażowani w działania Fola na hÉireann. Tak naprawdę Gwenith ma o wiele większy wpływ na ich ruchy, niż się zdaje. W jej przypadku najbardziej właściwe byłoby określenie, że ma tam kupę do powiedzenia. Fuj! Aż mną trzącha, jak o niej pomyśle!

– Wszystko w swoim czasie, róbmy to krok po kroku – zaznaczyła Katie. – To podstępni, wpływowi i bardzo brutalni ludzie, nawet jeśli robią wrażenie bandy zwyczajnych szumowin z Fair Hill. Chcę, by Twomey wierzył, że łyknęliśmy historyjkę Farry’ego o samoobronie. Aż do ostatniej chwili, kiedy będziemy mieć dość dowodów, by go aresztować z uzasadnioną nadzieją na wyrok skazujący.

Kiedy Katie skończyła wprowadzać ich w szczegóły, wyszli z jej gabinetu. Wzięli swoje kurtki i pojechali do Crosshaven. Zastępca Billa Phinnera, Fergus Kenny, wyruszył tam już wcześniej z trzema technikami, by sfotografować ciało O’Briena i leżącą na dachu toyotę Buckleya.

Katie robiła notatki na spotkanie w sprawie sygnalistów, kiedy zajrzała do niej Moirin.

– Był do pani telefon podczas spotkania. Dzwonił doktor O’Sullivan ze szpitala weterynaryjnego Gilabbey w Togher. Przepraszał, że niepokoi, ale nie może skontaktować się z Conorem.

– W porządku, Moirin. Wielkie dzięki.

– Miałaby pani teraz ochotę na kanapkę?

Katie przestała na chwilę wystukiwać numer na smartfonie i pokręciła głową.

– Powinna pani coś zjeść, sama pani wie. Kiedy człowiek kompletnie traci apetyt, powinien się posilić.

– No dobrze, Moirin. Przynieś, zobaczymy. Może zdołam trochę posilić się samym patrzyeniem.

Doktor O’Sullivan odezwał się niemal natychmiast, jakby czekał jak na szpilkach na jej telefon.

– Tu Katie Maguire – przedstawiła się. – Jakieś wiadomości o Barneyu?

– O, cześć, Katie! Jak się masz? Tak, mam wiadomości, i to dobre! Próbowałem dzwonić do Conora, ale z jakiegoś powodu nie odbiera.

– Ostatnio jest dość zajęty. Prowadzi śledztwo.

– To wspaniałe, co robi dla psów, bez dwóch zdań. Słyszałaś o tym facecie od psich walk, McManusie? Skremował się w pożarze własnej przyczepy. Conor zawsze zgrzytał zębami i kłął, jak o nim mówił, więc na pewno nie będzie po nim płakać.

– Tak, tak, słyszałam – potwierdziła Katie. – Ale powiedz, jak Barney?

– Robi takie postępy, jakie można byłoby sobie tylko wymarzyć, Katie. Nadal ma gorset na żebrach i gips na lewej tylnej łapie, kuśtyka, ale jest w stanie się poruszać. Oddycha normalnie i wrócił mu apetyt. Gdybyś chciała po niego podjechać, to w każdej chwili jest do wzięcia.

Nieoczekiwanie poczuła, jak oczy zachodzą jej łzami. Sięgnęła po chusteczkę i ocierała je, kiedy Moirin wchodziła właśnie z kanapką i paczką czipsów.

– Wszystko w porządku? – spytała zaniepokojona.

Katie skinęła głową.

– Jest lepiej, niż można się było spodziewać, Moirin. Mogę zabrać Barneya do domu. Zastanawiam się, co on sobie pomyśli o Foltchain.

– Niech się pani nie martwi. To będzie miłość od pierwszego wejrzenia.

Usiadła i zastanawiała się chwilę, po czym znów zadzwoniła do doktora O’Sullivana.

– Jeśli mogę o coś prosić, to czy byłbyś tak dobry i wysłał esemesa do Conora? Ja też jakoś nie jestem w stanie go złapać, a jestem dziś zawalona pracą. Dałbyś mu znać, że Barney może być zabrany do domu, i spytał, czy mógłby dziś po niego podjechać do Togher... powiedzmy o osiemnastej trzydzieści?

– Jeśli chcesz, oczywiście. Ale...

Katie domyślała się, że zastanawia się, dlaczego ona sama nie wysłała wiadomości do Conora.

– Conor mógłby pomyśleć, że tak bardzo brak mi Barneya, że chcę go zabrać z kliniki, zanim wystarczająco wydobrzeje. Będzie bardziej profesjonalnie, jeśli to wyjdzie od ciebie.

– Dobrze, Katie. Nie ma problemu. Zaraz to zrobię.

Odchyliła się na oparcie fotela i popatrzyła na kanapkę. Podjęła decyzję co do Conora, kiedy zobaczyła promienie słońca przeświecające przez ziejące pustką otwory okien opactwa, ale teraz nadała temu bieg i wiedziała, że nie będzie odwrotu. Może idealizowała uczucia Conora do niej i jego troskę o Barneya. Może on jest zbyt daleko, by dotrzeć do Togher o wpół do siódmej. Może, tak jak myślała wcześniej, nie ma go już w kraju.

Skończyła robić notatki na temat sygnalistów i uderzyło ją, jak cicho jest na komendzie. Żadnych śmiechów, jak to zwykle bywało, trzaskania drzwiami. W tym jednym tygodniu stracili więcej funkcjonariuszy niż w ciągu ostatnich trzech lat.

Nadkomisarz Pearse jakąś godzinę temu wysłał dwóch swoich ludzi, by poinformowali żonę Buckleya i rodziców O'Briena, że obaj zginęli podczas pełnienia obowiązków służbowych. Ona zamierzała odwiedzić rodziny podwładnych jutro rano.

Nadal miała w uszach podśpiewywanie detektywa O' Briena. Zawsze twierdził, że skoro jest rudzielcem, potrafi śpiewać równie dobrze jak Ed Sheeran.

– To jest w genach – przekonywał. – Jak facet ma pomarańczowe włosy łonowe, jedyny sposób, by poderwać sobie dziewczynę, to zaśpiewać jej serenadę.

Próbowała uśmiechnąć się na to wspomnienie, ale nie mogła. Podniosła talerz i wrzuciła kanapkę do kosza.

* * *

O czwartej przeszła do gabinetu komendanta MacCostagáina, by zorganizować śledztwo w sprawie zabicia O'Regana i Lacey. Cała wyznaczona grupa już się tam zebrała. Rozmawiali ściszymi głosami.

– Nazwijmy to operacją Motyl – zaczęła, siadając. – Od tej ludowej melodyjki na flet, *Motyl*. Mówiono mi, że jest jedną z najłatwiejszych, miejmy więc nadzieję, że tak właśnie lekko pójdzie nam ze złapaniem zabójców funkcjonariusza O'Regana i sierżanta Lacey.

– No, przynajmniej mamy dwóch świadków – zauważył detektyw inspektor Robert Fitzpatrick. – Problem w tym, że pani O'Regan jest nadal w śpiączce, a syn Lacey jeszcze nie nadaje się do przesłuchiwania z powodu swojego stanu.

Fitzpatrick miał dowodzić operacją, razem z detektywami Scanlan i O'Marą. Katie wprowadziła do grupy również dwójkę nowicjuszy – detektyw Bedelię Murrish i detektywa Cairbre'a O'Creana; oboje pracowali na Anglesea Street dopiero od końca sierpnia. Chciała mieć ich w drużynie, bo byli młodzi, bystrzy i wykazali, że mają talent do pracy pod przykrywką. Poza tym byli w Cork nowi i raczej nie mieli czasu nabrać złych nawyków od starszych kolegów albo ulec naciskom miejscowych gangsterów – finansowym czy z wykorzystaniem gróźb. Murrish pochodziła z Mayo, a O'Crean ze Sligo.

Nic nie wspomniała o tych argumentach komendantowi MacCostagáinowi czy detektywowi inspektorowi Fitzpatrickowi i miała nawet lekkie wyrzuty sumienia, że jest tak nieufna wobec kolegów. Mimo to sądziła, że zdrowa porcja podejrzliwości nie zaszkodzi, jeśli dzięki temu można uratować głowy kolejnych sygnalistów.

– Bill Phinner twierdzi, że ma mnóstwo tropów – powiedział Fitzpatrick. – Ślady butów, opon, niedopałek papierosa, który mógł być rzucony przez któregoś ze sprawców. Jeśli ich aresztujemy, będziemy w stanie udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że brali udział w zabójstwach. Pod warunkiem że ich złapiemy.

Detektyw inspektor Fitzpatrick był przystojnym pięćdziesięciodwulatkiem atletycznej budowy, z krótko ostrzyżonymi szpakowatymi włosami i twarzą rugbysty – mocne czoło, mocna szczęka, krótki, rzymski nos z niewielkim

garbem. Tylko te jego oczy wydawały się Katie odstręczające. Tak jasne i pozbawione koloru, jakby całą noc moczyły się w wybielaczu. Trudno było zgadnąć, co Fitzpatrick myśli. Pewnego razu bardzo ją zaskoczył, zatrzymując ją na korytarzu i zachwycając się jej żakietem od Max Mary, choć jego głos nie zdradzał żadnych uczuć, a oczy były pozbawione wyrazu jak zawsze.

Tamtego wieczoru wróciła do domu i powiedziała swojemu ówczesnemu kochankowi, Johnowi, że miała wrażenie, jakby komplementowała ją zimna ryba.

Bezbarwne oczy i ton Fitzpatricka nie były jednak istotne. Liczyło się wielkie doświadczenie w sprawach dotyczących łapówek i oszustw. Zajął mu to ponad dwa lata, ale zebrał miazdzące dowody na to, że kilku radnych w hrabstwie Cork dostawało setki tysięcy euro za zgody na budowę osiedli w Clonakilty i w okolicy.

Detektyw Murrish była chudzielcem o jasnych jak len włosach splecionych zwykle w koronę. Miała zamglone spojrzenie, błękitne, lekko podkrążone oczy i tendencję do słuchania z otwartymi ustami, kiedy się do niej mówiło, przez co sprawiała wrażenie nieco gapowatej. Zaliczyła jednak wszelkie testy w Templemore z nadzwyczajnymi wynikami i zgłosiła się do jednostki zwiadowczej, najbardziej tajnego wydziału Garda Síochána, który liczył zaledwie setkę funkcjonariuszy; wszyscy oni byli utajnieni na służbie i poza nią.

Z kolei detektyw O’Crean – z włosami podgolonymi po bokach, przeciętną urodą i pyzată, niewinną buzią – niczym się nie wyróżniał na tle młodych mężczyzn zbierających się co wieczór pod nocnym klubem Havana Browns. Ale podobnie jak jego koleżanka Murrish, dostał bardzo wysokie oceny na egzaminach, a poza tym miał czarny pas w kick-boxingu.

– Na początek przeczeszemy cały materiał dowodowy, który O’Regan i Lacey zamierzali przedstawić przed komisją – powiedziała Katie. – Są w nim wymienieni funkcjonariusze, których podejrzewali o kumoterstwo albo korupcję, lub niekompetencję. Na ile to tylko możliwe, sprawdzimy, gdzie ci funkcjonariusze przebywali w czasie, kiedy popełniano zabójstwa. W tym śledztwie wszystkich będziemy traktować jednakowo. Nieważne, czy oskarżeni

funkcjonariusze są z drogówki, czy to wysocy rangą oficerowie. Musimy ustalić, czy zarzuty wobec nich mogły przekreślić ich karierę albo spowodować zdegradowanie, gdyby zostały potwierdzone. W pewnym sensie powinniśmy przewidzieć, do jakich wniosków doszedłby w końcu sędzia Peter McGuigan. Nie zrozumcie mnie źle. Nie twierdzę, że naszych dwóch sygnalistów musiał zamordować ktoś z Garda Síochána. O'Regan miał przedstawić dowody, że przestępcy, którzy powinni siedzieć za kratkami, chodzą na wolności, a sierżant Lacey najwyraźniej miał informacje, że po cichu odstępowano od wnoszenia oskarżeń wobec szajki złodziei samochodów i nawet nie dochodziło do procesów. Musimy więc sprawdzić także ruchy pracowników więzienia na Rathmore Road oraz prokuratury. Szczególnie niepokoi mnie to, że O'Regan i Lacey szykowali się do przedstawienia dowodów w kompletnie różnych sprawach. Gdyby zostali zamordowani przez gangi przestępcze, to zgodnie z logiką nie byłby to ten sam gang. Przestępcy wypuszczani z więzienia byli handlarzami narkotyków, ci drudzy kradli pojazdy. A jednak obie ofiary zostały zamordowane dokładnie w ten sam sposób. Obie miały ścięte głowy i flety zatknięte w szyje. Co więc łączy oba te przypadki?

– Ilu jeszcze sygnalistów ma stanąć przed komisją? – spytała detektyw Murrish. – I na jaki temat mają zeznawać?

– Jest ich jeszcze trzech, o ile wiem – odparła Katie. – Prosiliśmy biuro sędziego o podanie nam ich nazwisk i nazwisk prawników, którzy ich reprezentują, żebyśmy mogli dowiedzieć się, jaki materiał dowodowy chcą przedstawić komisji. A poza tym, i to jest sprawa pilna, zamierzamy zapewnić im ochronę. Sygnalizowałam to już nadinspektorowi Pearse'owi i będę z nim o tym jeszcze rozmawiać po tym spotkaniu.

Komendant odchrząknął.

– Nie muszę wam mówić, że to śledztwo musi być trzymane w ścisłej tajemnicy na każdym etapie – wtrącił. – W czasach mediów społecznościowych, tych wszystkich Twitterów i tak dalej, człowiek jest winny, kiedy tylko ktoś

wysunie jakieś oskarżenie. Tutaj stawką jest reputacja naszej instytucji, generalnie, a nie chcielibyśmy splamić jej honoru.

Popatrzyli po sobie nawzajem. Zdawali sobie w pełni sprawę, że dowody, które zbiorą, mogą zrujnować reputację Garda Síochána. Katie nigdy nie miała do czynienia ze sprawą o takim znaczeniu dla przyszłości zawodowej tak wielu ludzi, w tym jej samej.

Zadzwoiła jej komórka. Telefonował detektyw sierżant Begley.

– Pani nadkomisarz? Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem, ale właśnie zdołałem porozmawiać chwilę z Michaeliem Ó Doibhilinem.

– A, tak, to dobrze. Jak on się ma?

– Prawdę mówiąc, nadal jest w szoku i nie potrafię się z nim dogadać. Sugerowałbym, żeby odesłać go do domu na noc, żeby się trochę pozbierał. Mógłby przyjść na komendę rano i wtedy wszystko pani opowie. Na pewno jutro będzie mówił bardziej z sensem niż teraz.

– Dobrze, Sean – zgodziła się. – Tak pewnie będzie najrozsądniej. Nie sądzisz, że powinien pokazać się lekarzowi, co?

– Nie wydaje mi się. Fizycznie wyszedł bez szwanku. Myślę, że po prostu cholernie go wystraszyli. Wie pani, co mam na myśli?

– Tak. Wiem dobrze, co masz na myśli.

Rozdział 24

Szykowała się do wyjścia, kiedy w drzwiach jej gabinetu pojawił się nadkomisarz Pearse. Wyglądał na wyczerpanego.

– Co za dzień – rzucił i siadł ciężko na kanapie pod oknem. – Jeden z takich, co to chciałoby się zatrzymać zegar, cofnąć wskazówki do godziny śniadania i zacząć od początku.

Katie miała ochotę objąć go i przytulić na pociechę.

– Jutro rano zamierzam odwiedzić Buckleyów i O'Brienów. Obaj będą mieli pogrzeby państwowe z wszystkimi honorami. Będzie mi ich strasznie brakowało.

– Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, że Farry Logan i Vincent Mulroney zostali przywiezieni z Crosser. Wykonujemy właśnie odpowiednie procedury.

– Wiadomo już, czy wystąpią o obrońcę z urzędu?

– Nie, nie mają takiego zamiaru. To chyba pierwsze, co zaznaczył Logan. Powiedział, że nie odpowie na żadne pytania, i żądał telefonu, by zadzwonić do swojego prawnika, Nicholasa Bourke'a, ze Sweeney and Bourke, ni mniej, ni więcej.

– Nicholasa Bourke'a? Tej gnidy? Dobry wybór, to bystrzak, jak na gnidę. Oczyszczył Bobby'ego Quilty'ego z zarzutów o napaść na tle seksualnym, prawda? Nigdy nie zrozumiem, jak mu się to udało. Ale nie jest tani, co? Założę się, że to Seamus Twomey zapłaci rachunek.

Pearse dźwignął się na nogi.

– Przygotuję wszystko na jutro, żeby można było przeprowadzić przesłuchanie wstępne, jeśli ci to pasuje. Później, kiedy wróci detektyw inspektor

Mulliken z ekipą techników z tym, co zebrali na miejscu, możemy zadać więcej pytań.

– Zaraz zejść na dół – powiedziała Katie. – Chcę rzucić okiem na te dwójkę, nim wyjdę. Muszę zapamiętać sobie dobrze ich twarze. Bo nie odpuszczę, póki nie zobaczę ich zdjęć na pierwszej stronie „Echo”, kiedy dostaną dożywocie za zabójstwo.

Zapinała kurtkę, kiedy Moirin poinformowała ją, że dzwoni księgowy, James Gallagher, z policji skarbowej w Dublinie.

– Ja i moi koledzy już prawie kończymy przeglądanie ksiąg rachunkowych Jimmy’ego Ó Faoláina – oznajmił. – Bardzo zajmująca lektura, muszę powiedzieć. Dan Brown mógłby mu pozazdrościć wyobraźni. Kropkę nad i postawimy jutro, ale myślę, że mamy już to, czego szukacie. Może mógłbym wpaść do Cork pojutrze i przejrzymy to razem.

– Świetnie – rzuciła Katie. – A tak w największym skrócie, co znaleźliście?

– To, delikatnie mówiąc, trochę skomplikowane, ale w gruncie rzeczy Jimmy Ó Faoláin manipulował instrumentami finansowymi, wprowadzając w błąd inwestorów, co było tak trudne do odkrycia jak fałszerstwa Enronu. Tworzył piramidę finansową powołując się na przyszłe zyski z węgla, które w rzeczywistości nie istniały, ani w przyszłości, ani w ogóle nigdy.

– Czy jest jakiś jeden inwestor albo jakaś ich grupa, którzy stracili więcej od innych?

– Tak się nam wydaje, choć nie jest to całkiem oczywiste, bo w zapisach użyto kodów nazwisk. Ale sama pani zobaczy, kiedy przywiozę wyniki audytu. To fascynujący materiał.

Nim Katie zeszła na dół, Farry Logan i Vincent Mulronej przeszli procedury, zostali sfotografowani i zamknięci w celach. Towarzyszył jej nadinspektor Pearse. Dyżurny funkcjonariusz poprowadził ich do cel, żeby mogli zobaczyć zatrzymanych.

Otworzył drzwi celi Farry’ego i Katie weszła do środka. Zatrzymany z założonymi rękami siedział na końcu pryczy. Nie uniósł wzroku ani w żaden

sposób nie zareagował na jej obecność.

– Pozwoliliśmy mu zadzwonić – zameldował funkcjonariusz. – Poprosił też o ventolin, w aerozolu, ponieważ cierpi na astmę. Widział go lekarz i stwierdził, że to w porządku, więc zaraz przyślą nam ten lek z apteki Phelans.

Katie przez chwilę stała, wpatrując się w Farry’ego, aż wreszcie na nią spojrział. Kiedy tylko to zrobił, obróciła się na pięcie i bez słowa wyszła z celi.

Vincent Mulroney leżał na pryczy, gdy otworzyli jego celę, lecz natychmiast zsunął nogi na podłogę i wstał; pociągał nosem i zaciskał pięści.

– Przecież nic nie zrobiłem! – krzyknął. – Jestem tylko niewinnym świadkiem. Nikogo nie zastrzeliłem ani nie rozbiłem żadnego samochodu.

– Możesz to powiedzieć sędziemu – odparł nadinspektor Pearse.

– Poprosiłem o herbatę i cheeseburgera, ale nikt mi nic nie przyniósł.

– To komenda, nie McDonald. Dostaniesz jeść o właściwej porze.

– Ach, tak? Wielkie dzięki, łaski bez.

Katie i Pearse wrócili do części recepcyjnej ze szklanym sklepieniem, wysokimi czarnymi kolumnami i palmami. Siedziały tam dwie młode kobiety. Mocno trzymały się za ręce. Miały oczy czerwone od płaczu. Jakakolwiek była ich historia, opowiadały ją funkcjonariuszce, która wydawała się osobą życzliwą i współczującą.

– Dlaczego zawsze najlepsi umierają młodo, a łotry dożywają sędziwego wieku? – zapytał Pearse.

Katie nie odezwała się, tylko uśmiechnęła się do niego ze smutkiem i ścisnęła go za łokieć.

* * *

Dojazd do szpitala weterynaryjnego Gilabbey na Vicars Road w Togher nie zajął jej więcej niż dziesięć minut. Dotarła tam o szóstej dwadzieścia. To był szary piętrowy budynek przy ulicy, gdzie były hurtownie z pościelą i warsztaty samochodowe.

Kiedy tylko przedstawiła się recepcjonistce, szedł do niej doktor O'Sullivan. Był niski, niemal jak ona, miał kręcone ciemne włosy i ogromne okulary w czarnych oprawkach. Na ciemnoniebieskim wdzianku widniał znak szpitala: stetoskop z odbiciem łapy na końcu.

– Katie, jakże miło cię poznać! – powitał ją. – Cieszę się, że też mogłaś przyjechać! Wreszcie dodzwoniłem się do Conora. Powinien tu być lada chwila!

– O, to świetnie – rzuciła. – Mieliśmy okropnie ciężki dzień, przykro mi to mówić. Nie wiem, czy słyszałeś w wiadomościach, ale dziś straciliśmy dwóch ludzi. Jeśli mam być szczerą, nie byłam pewna, czy w ogóle zdołam się wyrwać.

– Tak, słyszałem. Bardzo mi przykro. Należeli do twojego zespołu, tak? Czasami myślę, że my, zwyczajni ludzie, nie zdajemy sobie sprawy, z jakimi niebezpieczeństwami macie do czynienia każdego dnia, że to dla was chleb powszedni. Ale wiesz, to tropienie psów, to, co robi Conor, też może być bardzo ryzykowne.

– Nie mylisz się – przyznała Katie.

– Słuchaj, jeśli poczekaś tu, pójdę po Barneya. Trudno opisać, jak się cieszymy, że wraca do zdrowia. Są psy, które po takich ciężkich obrażeniach się poddają, ale twój Barney to prawdziwy wojownik. Daj mu jeszcze kilka tygodni, a będzie hasał jak nowy, słowo.

Doktor O'Sullivan zostawił ją w poczekalni. Recepcjonistka uśmiechnęła się do niej, ale Katie była zbyt spięta, by wdawać się w rozmowy. Przeżywała, że zaraz odzyska Barneya. I już samo to by wystarczyło. Ale lada chwila mogła też zobaczyć Conora.

Usiadła na twardym plastikowym krześle, wzięła egzemplarz magazynu o wystawach psów w Irlandii i przerzucała go, właściwie nie patrząc. Żałowała, że jednak czegoś nie zjadła. Nie dlatego, że była głodna, ale zaczęło się jej robić słabo.

Drzwi skrzydła chirurgii i wejściowe do kliniki otworzyły się jednocześnie. Pojawił się doktor O'Sullivan z kuśtykającym Barneyem i wszedł Conor w długim brązowym płaszczu z postawionym kołnierzem.

Kiedy tylko Barney zobaczył Katie, zaszczekał z radości i przydreptał do niej. Miał grubo obandażowaną pierś, a tylna lewa łapa była w gipsie. Położył pysk na jej kolanach i zaczął lizać i pocierać nosem dłonie Katie. Gdy głaskała go po łbie i drapała za uszami, popatrywał bystro; ciemnoruda sierść błyszczała, ogon machał jak szalony.

– Zuch z ciebie! – powiedziała. – Tak cię te potwory pokiereszowały, a patrzcie, nie dałeś się.

Conor podszedł i przez dłuższą chwilę stał obok w milczeniu, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie płaszcza.

– Nie spodziewałem się tu ciebie – odezwał się wreszcie.

Nie spojrzała na niego, nadal pieściła uszy Barneya.

– Myślałem, że go odbiorę i zawiozę do ciebie do domu w Cobh – ciągnął. – Miałem nadzieję, że jeśli to zrobię, może wybaczysz mi, że tak zniknąłem.

– Gdzie byłeś? – spytała, ciągle na niego nie patrząc.

– Tak się składa, że nie pojechałem do Sligo. Mam przyjaciela, który prowadzi hotel w Mallow. Nie powiedziałem mu, co zrobiłem. Tylko że potrzebuję kilku dni, żeby oderwać się od tego szukania zaginionych zwierząt.

– I co planujesz teraz?

– Miałem nadzieję, że porozmawiamy. Ale usłyszałem w wiadomościach o tych dwóch detektywach zabitych w Crosshaven. Jednego z nich chyba poznałem... Buckleya. Na komendzie, prawda? Świetny facet. Moje kondolencje. Jeśli nie masz dziś ochoty na rozmowy, doskonale rozumiem.

Recepcjonistka wyszła zza kontuaru. Trzymała w dłoni kopertę.

– Przepraszam, że państwu przeszkadzam. To rachunek.

Conor wyciągnął rękę po papiery.

– Nie ma sprawy, ja go ureguluję.

– Nie musisz, Conor. – Katie po raz pierwszy podniosła na niego wzrok. – To mój pies i został ranny przeze mnie.

– Uznajmy, że to pokuta. Albo pokajanie się. Albo wcześniejszy prezent ma gwiazdkę.

Jeszcze raz potargała uszy Barneya i wstała.

– No to niech będzie – powiedziała. – Może pojedź za mną do domu. Porozmawiamy.

* * *

Martwiła się, jak Barney zareaguje na Foltchain. Zawsze był zazdrosny o Katie i kiedy wprowadził się do niej Conor, minęły tygodnie, nim pies przestał chodzić za nią krok w krok i wpychać się między nich w kuchni i na kanapie. Nawet kiedy zamykała go na noc w kuchni, słyszała, że stoi tuż przy drzwiach i głośno wciąga powietrze nosem, jakby chciał wywąchać, co oni z Conorem robią w łóżku.

Ale niepotrzebnie się bała. Kiedy otworzyła frontowe drzwi i wprowadziła Barneya do korytarza, Foltchain powitała go jak starego przyjaciela, a Barney wyglądał na zadowolonego, że jego pani pilnował drugi seter irlandzki. Oczywiście obwąchali się, a Foltchain szczególnie zainteresowała się zapachem jego bandażu. Gdy Katie pogoniła je do salonu, oba psy stanęły przy kominku i z wywieszonymi językami patrzyły na swoją panią.

Wszedł Conor.

– Widzisz tych dwoje? – powiedział. – Wyglądają jak para zakochanych.

Przez moment Katie miała wrażenie, że doda „zupełnie jak my”, ale nie zrobił tego.

– Dam im wody i coś do jedzenia – rzuciła. – Czemu nie zdejmujesz płaszcza? Rozbierz się. Może ty też chcesz się czegoś napić? Jeśli byłbyś tak dobry, to rozpal w kominku.

– Dziękuję. Jak masz w lodówce satz, to chętnie.

Kiedy dała co trzeba psom, otworzyła butelkę piwa Satzenbrau, a sobie naląła smirnoffa. Zrzuciła buty, usiadła na kanapie i podkuliła nogi. Conor, klęcząc przy kominku, dmuchał na podpałkę, żeby rozpalić ogień.

– To był najgorszy dzień w moim życiu – odezwała się Katie. – Ale przynajmniej kończy się iskierką nadziei, bo Barney wrócił do domu.

– Przykro mi – powiedział Conor. – A jeszcze te kłopoty ze mną, co?

– Słyszałeś, że Buckley i O’Brien zginęli. Ale zamordowano kolejnego funkcjonariusza, sierżanta Johna Lacey’a. Był jednym z sygnalistów, miał przedstawić materiał dowodowy sędziemu McGuiganowi. Znalezione go na cmentarzu w Inniscarze. Ścięto mu głowę i zatknięto w krtań flet. Kiedy go zabijali, był z nim jego mały syn. Mordercy odcięli biednemu chłopakowi stopy, żeby nie uciekł.

Conor odwrócił głowę i patrzył na nią.

– Poważnie? O dobry Boże...

– Nie ujawniliśmy jeszcze sprawy sierżanta Lacey’a. To może mieć poważne reperkusje, aż boję się myśleć.

– Słuchaj, Katie, jeśli to dla ciebie tak ciężki wieczór, to lepiej sobie pójdę. Możemy spotkać się jutro o jakiejś dogodnej dla ciebie porze.

Pokręciła głową.

– Nie, zostań. Musimy porozmawiać. Myślałam o tobie, od kiedy wyszedłeś, nawet tam, w Inniscarze.

Rozpłka zadziałała i w kominku zaczął trzaskać ogień. Conor podszedł i usiadł obok Katie na kanapie. Uniósł dłoń, jakby miał położyć ją na jej ręce, ale zaraz ją opuścił. W jego ciemnych piwnych oczach widziała jedno wielkie cierpienie.

– Pozwól, że najpierw powiem ci jedno – zaczął. – Kocham cię, Katie Maguire, kocham cię bardziej niż jakąkolwiek kobietę w życiu.

Nie odezwała się, czekała, co powie dalej. W piersi tak ją ścisnęło, że ledwie mogła oddychać. Zagryzła usta, jakby zaraz miała się rozpłakać. Jak na jeden dzień dość już wylała łez.

– Zrobiłem coś szalonego, wiem. Nawet gdyby McManus nie wrócił do domu, to było wariactwo. Ale wiesz, walnęło mnie strasznie, że nie podacie go do sądu za zorganizowanie tej walki psów i wszystkich innych, wcześniej. Bo to

było tak, jakbyśmy przyznawali, że psy nie mają uczuć, nie mają duszy. McManus był odpowiedzialny za dręczenie i zabicie setek psów, setek!

Katie wyciągnęła dłoń, wzięła go za rękę i ścisnęła.

– Con, ja też cię kocham. – Musiała odchrząknąć, żeby być w stanie mówić dalej. – Trzeba to jednak jakoś wyjaśnić, inaczej będzie to katastrofa dla nas obojga. Przyznałeś mi się do tego, co zrobiłeś, i nie mogę udawać, że tego nie słyszałam. Bo to ty podłożyłeś ogień i zabiłeś dwoje ludzi, nawet jeśli nie miałeś takiego zamiaru. Kiedy wstępowałam do Garda Síochána, złożyłam uroczystą przysięgę przed Bogiem, że będę stać na straży prawa, całkowicie bezstronnie. A to znaczy, że bez względu na to, czy chodzi o tych, których kocham, czy tych, których nienawidzę.

– Rozumiem to, Katie. Doskonale cię rozumiem. Mam nadzieję, że nie uznałaś mnie za tchórze, skoro tak uciekłem, ale potrzebowałem czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. Kiedy dowiedziałem się, że McManus i ta młoda kobieta zginęli w pożarze, byłem równie zszokowany jak ty. Gdybym tylko mógł cofnąć czas...

– Jesteś dziś drugą osobą, która mi to mówi – wtrąciła Katie. – Jeśli miałabym wehikuł czasu, na pewno zbiłabym fortunę.

Conor uśmiechnął się do niej z goryczą i wzruszył ramionami.

– W każdym razie zdecydowałem, co zrobię. Jeśli się nie zgłoszę i nie przyznam, nie mogę liczyć na to, że ty też będziesz milczeć. Zresztą, nawet gdybyś dochowała tajemnicy, to prędzej czy później jeden z twoich kolegów odkryje, że to ja podpaliłem tę przyczepę, a wtedy znajdziesz się w jeszcze głębszym bagnie przez to, że próbowałaś mnie kryć.

W tej chwili przykuśtykał do pokoju Barney, a tuż za nim pojawiła się Foltchain. Usiedli razem przy kominku. Oba psy patrzyły na Conora, jakby przyszły specjalnie, by wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Zamierzam pojechać do Tipperary i oddać się do dyspozycji inspektora Carrola. Wyjaśnię, że nie miałeś pojęcia, co planuję, co oczywiście jest prawdą. Poza tym zaznaczę, że nie przyznałem ci się, że to ja podpaliłem tę przyczepę.

– I to byłoby już kłamstwo. Bo przyznałeś mi się.

– Wiem. Ale to mogłoby namieszać w twojej karierze, a mnie w niczym by nie pomogło, prawda? Kompletnie mi odbiło, Katie. Popełniłem błąd i muszę ponieść karę, nie ma jednak powodu, żebyś i ty przez to ucierpiała.

– Naprawdę zamierzasz się zgłosić?

– Pojadę tam jeszcze dziś. Teraz.

– Działają wprawdzie dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale o tej porze nie zastaniesz inspektora Carrolla. Tak czy inaczej, jesteś zmęczony i wypiliśmy drinka. Lepiej pojedź rano.

Urwała, nadal ściskając jego dłoń. Była w rozterce, jakby ścierały się w niej dwie kompletnie różne osoby – obowiązkowa detektyw nadkomisarz i potrafiąca wybaczyć wszystko kochanka o miękkim sercu. Spojrzała w dół i zobaczyła, że leżący na dywaniku przed kominkiem Barney opuścił łeb, a Foltchain oparła na nim swój.

– Zostań – poprosiła.

* * *

Napili się jeszcze i Katie poszła za Conorem do kuchni, gdzie zrobił dwa omlety z szynką i pieczarkami, swoją specjalność. Usiedli na kanapie i oglądali program publicystyczny Claire Byrne. Mówiła, o ironio, o coraz większym problemie uzależnień od opioidów w Irlandii, który jest już równie poważnym zagrożeniem jak alkoholizm.

Katie czuła ulgę, że Conor zdobył się na odwagę, by wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co zrobił, ale było jej też rozpaczliwie smutno. Tak dobrze było zwyczajnie siedzieć, jeść kolację i oglądać telewizję, z Barneyem i Foltchain leżącymi na dywaniku przed kominkiem. Ale rano Conor pojedzie do Tipperary i nie będzie więcej takich wieczorów jak ten.

Nie wspominała już o Zezowatym McManusie ani nie pytała, jak Conor podkładał ogień. Starła się też nie myśleć o detektywach Buckleyu i O'Brienie

ani o makabrycznym widoku ciała sierżanta Lacey'a z fletem sterczącym z szyi. Skupiła się na jedzeniu, płomieniach w kominku i tym, że jest tu z Conorem.

Kiedy skończyli jeść, zabrali Barney'a i Foltchain na krótki spacer po Carrig View, aż do barierki, skąd widać było rzekę. Tego wieczoru był przypływ, powierzchnia wody skrzyła się ognikami.

– Myślę, że biedny Barney się zmęczył – powiedział Conor. – Może powinienem go wziąć na ręce.

Pies jednak zdołał dokuśtykać do domu. Foltchain czasami oddalała się od niego, ale zawsze wracała i muskała go nosem. Katie i Conor trzymali się za ręce.

Kiedy wrócili do domu, Katie zamknęła psy w kuchni i poszła do sypialni zapalić lampki przy łóżku. Conor stanął w progu.

– Mogę spać w pokoju gościnnym – powiedział.

Podeszła do niego i położyła dłonie na jego ramionach.

– Tylko dlatego, że zrobiłeś coś szalonego, nie przestałam cię przecież kochać.

– Wszystko zniszczyłem, co? Ty i ja, to, co mogłoby być nam pisane. Zaprzepaściłem to na zawsze. Zrujnowałem. Spaliłem na popiół, jak dom McManusa.

– Mamy jeszcze tę noc, Con. Nacieszmy się nią.

Pocałowali się. Uwielbiała szorstki dotyk brody Conora i jego zapach. Czubek jego języka dotykał jej zębów, jakby delikatnie przesuwał palcami po klawiaturze, starając się zagrać cichą romantyczną melodię.

Zdjął jej ciemnoszary sweter z dekoltem w łódkę. Sięgnął na plecy Katie i rozpiął stanik. Miała pełne, ciężkie piersi; ujął je i pieścił sutki, aż zeszywniały. Potem rozpiął spódnicę. Spadła na podłogę. Wziął Katie na ręce, położył na patchworkowej narzucie i całował bez końca.

– Katie – wyszeptał. – Boże wszechmogący, Katie, co ja zrobiłem?

– Ciii – szepnęła, przykładając palec do ust. – Do jutra nic nie zrobiłeś. W tę noc jesteśmy tylko my, ty i ja.

Ściągnął jej grube czarne rajstopy, a potem stringi. Leżała na łóżku z rozchylonymi udami, a on przywarł do niej; jego broda ocierała się o gładkie, wydepilowane wargi sromowe. Czując się tak, jakby się rozpływała, zagłębiła palce w jego wijących się włosach i uniosła mu głowę.

– Chodź, wikingu – powiedziała. – Daj się zobaczyć nago.

Kłęcząc na łóżku, Conor zrzucił sweter i rozpiął koszulę. Potem położył się na plecach obok niej, rozpiął pasek i zdjął brązowe sztruksowe spodnie i skarpetki. Katie sięgnęła dłonią za gumkę obcisłych białych bokserek i poczuła, jaki jest twardy.

Pieścił ją powoli, niczym przez sen, jakby płynęli łodzią po spokojnych wodach strumienia. A potem wślizgnął się w nią głęboko, aż poczuła jego włosy łonowe na skórze; po chwili wycofał się całkiem i za każdym razem, kiedy w nią wchodził, zdawało jej się, jakby to było pierwszy raz.

Całował ją w rozmarzeniu i gładził piersi, jakby nie mógł uwierzyć, że taki cud istnieje naprawdę. Zawsze był uważnym kochankiem, nawet w chwilach największej namiętności, ale tej nocy Katie odkrywała zupełnie innego Conora – Conora, który zdaje sobie sprawę, jak silną i zmysłową kobietę traci.

Była bliska orgazmu, jednak ten moment stale umykał, jak cofająca się fala. Conor szczytował, zadrgał, lecz było to bardzo przytłumione. Potem po prostu leżał obok, trzymając ją w objęciach, gdy jego penis powoli się kurczył.

– Straciłem cię, prawda? – spytał.

Poczuła jego brodę i oddech na nagim ramieniu.

Pocałowała go w czoło.

– Nie, do jutra rana nie – szepnęła.

Rozdział 25

Oboje obudzili się wcześnie, kiedy jeszcze było ciemno. Za oknem lał deszcz. Conor przytulił mocno Katie i pocałował ją.

– No to już – powiedział. – Nadszedł dzień rozliczenia.

– Pomogę ci we wszystkim, na ile potrafię, Con. Znam bardzo dobrego prawnika, Garreta Delaney'a.

– Jestem winien zabójstwa, Katie. Jedyne, co możesz dla mnie zrobić, to odwiedzać mnie od czasu do czasu w więzieniu.

Usiedli razem w kuchni i pili kawę. Katie zjadła pół grzanki z marmoladą, ale Conor nie miał apetytu na nic. O siódmej trzydzieści ktoś zadzwonił do drzwi. To była sąsiadka, Jenny Tierney. W pelerynie z kapturem wyglądała jak legendarna zielarka, dobra czarownica, Bidy Early. Przyszła wyprowadzić na poranny spacer Foltchain i ucieszyła się ogromnie na widok Barney'a.

– Jego nie możesz, niestety, wziąć za daleko – powiedziała Katie. – I trzeba mu założyć pelerynkę, żeby nie przemokły bandaż. Ale jest w dobrym nastroju, a z Foltchain zaprzyjaźnili się tak szybko, jakby im się paliło.

Nagle uprzytomniła sobie, co mówi, i obróciła się do Conora, rzucając bezgłośnie „Przepraszam”.

Kiedy Jenny zabrała psy i ruszyła przez deszcz, Katie i Conor objęli się mocno i przez prawie minutę stali w holu bez słowa. Potem pocałował ją w czoło.

– *Slán mo ghrá.* Do widzenia, moja ukochana.

* * *

Ledwie zdążyła powiesić płaszcz, do gabinetu weszła detektyw Scanlan.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz. Józefie święty, ale dziś leje, co? Lepiej byłoby nie wystawiać nosa za drzwi. Ale właśnie dostałam nazwiska z biura sędziego McGuigana, razem z informacjami, na jaki temat ci ludzie mają zeznawać. Jego sekretarka przeproszała za opóźnienie, ale musiała porozumieć się najpierw z prawnikami sygnalistów.

Katie usiadła przy biurku. Scanlan podała jej kartkę z danymi trzech osób. Były tam nazwiska, adresy i numery telefonów.

Sierżant Dolan MacAuley miał przedstawić dowody na wymazywanie punktów karnych kierowcom w zamian za łapówki.

Funkcjonariusz Yasir Wassan – dowody wskazujące, że na jego posterunku notorycznie dochodzi do przekraczania zakresu władzy, szykan i incydentów rasistowskich. Był w związku z tym na bezterminowym zwolnieniu chorobowym.

Funkcjonariusz Eamon Ó Grádaigh zamierzał udokumentować, że jego koledzy biorą łapówki za puszczanie wolno handlarzy 1P-LSD w nocnych klubach.

– Dziękuję, Padragain – powiedziała Katie i wstała.

Poprosiła, żeby Moirin poczekała jeszcze z szykowaniem dla niej cappuccino, po czym zeszła na dół zobaczyć się z nadkomisarzem Pearse'em. Zastała go stojącego przed lustrem. Przygryzając czubek języka, przyczesywał swoje resztki włosów.

Podowała mu listę. Przeczytał ją, kończąc układanie fryzury.

– MacAuleya i Ó Grádaigha znam dobrze – powiedział. – Wassan... słyszałem o jego skargach, ale nie wiem, czy cokolwiek w tej sprawie zrobiono. Wszyscy trzej mieszkają rzut beretem od centrum, więc nie będzie trudno ich pilnować, nawet gdyby zostali u siebie.

– Musimy być jednak bardzo ostrożni, wybierając im ochroniarzy – zaznaczyła Katie. – A tym bardziej, jeśli któregoś z nich gdzieś przeniesiemy. O miejscu ich pobytu mogą wiedzieć tylko ci, których jesteśmy na sto procent pewni.

– Jak chcesz, dam ci spis funkcjonariuszy, do których mam pełne zaufanie. Nie zrozum mnie źle. Ufam wszystkim swoim ludziom, ale zawsze może się trafić jakiś jeden czy drugi mniej udany.

Katie wskazała na listę.

– Dwóch i trzech to pięciu, Michael. Przed komisją sędziego McGuigana do końca roku miało składać zeznania pięciu sygnalistów, a z Music Market skradziono pięć fletów. Trudno mi uwierzyć, że to przypadek. Nie chciałabym zobaczyć kolejnych trzech funkcjonariuszy z obciętymi głowami.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby temu zapobiec. Tyle mogę obiecać.

– Dobrze. Wielkie dzięki. Daj mi chwilę do namysłu, dobrze? Sądzę, że powinnam porozmawiać z każdym z tych sygnalistów, zanim podejmę decyzję, jak ich chronić.

– Jesteś pewna? Mogę mieć gotową ekipę w pół godziny. Ó Grádaigh ma składać zeznania jutro z samego rana, myślę, że trzeba się pospieszyć.

– Nie martw się, Michael. Zaraz do ciebie przyjdę, jak tylko pogadam z każdym z nich.

Wróciła do swojego gabinetu. Kiedy tylko usiadła, weszła Moirin ze spienionym cappuccino i talerzykiem herbatników z kawałkami suszonych owoców.

– Właśnie przyszedł detektyw Ó Doibhilin. Jest na dole, w sali odpraw, jeśli chce pani z nim mówić.

Katie spojrzała na zegarek na biurku.

– To będzie ciężki dzień, nie ma co, Moirin. O jedenastej jadę z kondolencjami do żony Buckleya i rodziców O'Briena. Mogłabyś skoczyć do kwiaciarni i kupić mi dwa bukiety białych róż? Powinnam być z powrotem przed pierwszą. Zamierzam przesłuchać tych dwóch łajdaków, którzy ich zabili.

– Czasem nie wiem, jak pani potrafi być taka opanowana – powiedziała Moirin. – Ja nie dałabym rady się powstrzymać. Naplułabym im w twarz.

– Sędzia i sąd wymierzą im sprawiedliwość – odparła Katie. – Moje zadanie to ich złapać. I zebrać materiał dowodowy. A jeśli w ten sposób doprowadzę do

ich skazania i spędzą większość życia za kratami, to nie muszę na nich pluć.

Popijając cappuccino i pogryzając herbatniki, zadzwoniła do wszystkich trzech sygnalistów. Oczywiście wiedzieli, że O'Regan został zamordowany i jak, ale na razie nie słyszeli nic o sierżancie Laceyu. Katie przeczuwała, że jego zabójcy lada chwila dadzą cynk mediom o jego śmierci, lecz z jakiegoś powodu jeszcze z tym zwlekali.

Żona sierżanta Lacey'a została powiadomiona natychmiast, że mąż został zamordowany, a syn okrutnie okaleczony. Teraz czuwała przy łóżku chłopca w szpitalu. Był tam też na wszelki wypadek stale jeden funkcjonariusz. Katie zamierzała odwiedzić ją wieczorem przed powrotem do domu.

Najpierw zatelefonowała do funkcjonariusza Ó Grádaigha. Właśnie robił zakupy z żoną w Ballyvolane.

– Przepraszam, jeśli łapię pana w złym momencie – powiedziała.

– Nie ma problemu, pani nadkomisarz. Musimy jeszcze zrobić zakupy przed moim wieczornym wyjazdem do Dublina.

Tak prosto i otwarcie, jak mogła, wyjaśniła, że sierżantowi Laceyowi obcięto głowę w ten sam sposób co O'Reganowi. I że też zatknięto mu w kikut szyi flet.

Kiedy skończyła, przez chwilę milczał. Słyszała tylko jakąś muzykę w tle i gwar, jak to w sklepie.

– Panie Ó Grádaigh? – odezwała się. – Eamon? Jest pan tam jeszcze?

– Tak. Tylko jestem trochę zszokowany tym, co pani mówi. Chyba lepiej wyjdę na zewnątrz, żeby porozmawiać, a żona niech sama dokończy zakupy.

Kiedy znalazł się na parkingu, Katie ciągnęła:

– Jestem pewna, że ci, którzy zabili O'Regana i Lacey'a, chcą uciszyć was wszystkich pięciu. Na razie nie mamy pojęcia, kto to może być albo dlaczego tak zależy mu na uniemożliwieniu wam zeznań, zwłaszcza że każdy z was miał materiał dowodowy na zupełnie inny temat. Ale musi pan być podwójnie ostrożny i zarówno pan, jak i pana rodzina potrzebujecie ochrony.

– Ale... pani nadkomisarz... jeśli wśród zabójców jest ktoś z Garda Síochána albo ktoś, kto ma układy z naszymi funkcjonariuszami, to jak może pani

zagwarantować, że nie dowiedzą się, gdzie nas szukać? Na rany Chrystusa.

– Niech pan pozwoli, że coś zasugeruję – powiedziała Katie i wyjaśniła, co ma na myśli.

Słuchał uważnie.

– Dobrze – rzucił, gdy skończyła. – To brzmi logicznie. Przynajmniej będę wiedział, że nikt z nich nie będzie miał swojego interesu w tym, żeby się mnie pozbyć.

Katie zadzwoniła do sierżanta Dolana MacAuleya i powtórzyła dokładnie to samo, co mówiła Ó Grádaighowi. Wysłuchał jej z powagą w milczeniu.

– Podporządkuję się temu w stu dziesięciu procentach – zapewnił. – Wielokrotnie już grożono mi śmiercią. Dziś rano jakiś przyjemniaczek napisał mi na Twitterze, że utnie mi jaja i wepchnie mi do gardła, żeby nie mógł zeznawać. Niech pani wybaczy, że to mówię, ale to typowe komentarze, jakie dostaję w sieci.

Funkcjonariusz Wassan długo nie odbierał, a kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie można było wyczuć niepokój.

– Nie wiem, co powiedzieć, pani nadkomisarz. Dostaję pogróżki, odkąd tylko zgłosiłem przypadki rasistowskiego traktowania. Mógłbym poskarżyć się na o wiele więcej szykan, bo byłem przedmiotem ataków i wyzwisk o charakterze rasistowskim od pierwszego dnia na służbie.

– Obecnie jest pan na zwolnieniu lekarskim, tak?

– Ostatni przypadek kompletnie mnie załamał. Przyniosłem sobie na posterunek coś na wynos na kolację, a kiedy się meldowałem, kolega zrzucił mi to z biurka na podłogę i nadepnął. Powiedział, że nie chce, żeby w biurze cuchnęło curry. Niby nic takiego strasznego. Przezywali mnie „ciapatym szczurem”, mówili, że jestem terrorystą, a ja zawsze starałem się traktować to jak żarty. Ale kiedy on podeptał mi kolację, rozpadłem się na kawałki i po prostu nie mogłem już tego znieść.

– Yasir... doskonale pana rozumiem – powiedziała Katie. – Mnie też sporo się dostaje tylko dlatego, że jestem kobietą na wyższym stanowisku. Ma pan

rodzinę? Żonę, dzieci?

– Siostrę. Mieszka w Anglii, w Birmingham. Jest mężatką, nosi inne nazwisko, więc sądzę, że nic jej nie grozi.

– Proponuję więc coś takiego...

Wyjaśniła mu, co zamierza.

– Dobrze – odparł Wassan. – Zgadzam się. Już wcześniej bałem się o swoje życie, jeszcze zanim powiedziała pani o O'Reganie i sierżancie Lacey. Teraz jestem pewien, że będą próbowali mnie zabić. Jestem pani nadkomisarz bardzo wdzięczny. Od długiego czasu nikt tak ze mną nie rozmawiał. Po prostu jak z człowiekiem, którego życie jest coś warte.

* * *

Nadkomisarz Pearse był sceptyczny, kiedy Katie powiedziała mu, że zamierza wynająć prywatną firmę ochroniarską do pilnowania trzech sygnalistów i ich rodzin.

– A skąd wiesz, że im możesz ufać? – spytał. – I naprawdę myślisz, że oni mają odpowiednie przygotowanie? Są dobrzy do łapania drobnych złodziejasków w sklepie i jako nocni ciecie w fabrykach albo żeby przyjechać, jak się przez pomyłkę włączy gdzieś alarm, ale co zrobią, jeśli będą mieli do czynienia z bandą morderców z pistoletami i piłą łańcuchową? Nie sądzisz, że dadzą nogę? W jednej chwili nie będzie po nich śladu.

– Nie martw się tym – powiedziała Katie. – Znam firmę, gdzie zatrudniają tylko naprawdę doświadczonych. Takich, co doskonale potrafią sobie z czymś takim radzić.

– Co to za firma? Znam ich?

– Możliwe. Ale wybac, nie podam ci nazwy. Mają wszelkie wymagane atesty, to mogę ci zagwarantować.

Pearse kompletnie zdębiał. Gapił się na nią. Ze dwa razy otwierał i zamykał usta, nim się odezwał.

– Mnie nie powiesz, kim oni są?

– Nie musisz wiedzieć, Michael, a im mniej osób wie, co to za agencja i gdzie będzie trzymać tych, których ma chronić, tym bezpieczniej dla naszych sygnalistów.

– Kathleen, zdumiewasz mnie.

– Michael, nie chodzi o to, że ci nie dowierzam. Mam do ciebie pełne zaufanie. Ale po raz pierwszy zdarza się nam, że musimy zapewnić ochronę komuś z nas przed nami samymi.

– Tego nie wiadomo na pewno.

– Nie, prawda. Ale jest taka możliwość, a skoro tak, to musimy przedsięwziąć wszelkie dostępne środki ostrożności.

Nadinspektor Pearse wydał policzki.

– No ładnie, Katie, masz rację. Ale przypuśćmy, że coś ci się, Boże uchowaj, stanie, a nikt z nas nie będzie wiedział, kim są ci ochroniarze, jak ich znaleźć i gdzie pochowali tych sygnalistów... Przecież może potrącić cię autobus i co zrobimy, jeśli tamci nie stawią się w Dublinie? Co wtedy?

– Nie jesteś zbyt pesymistą? – Katie uśmiechnęła się. – Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, powiem komendantowi MacCostagáinowi, ale nikomu poza nim. I będę oglądać się w prawo i lewo, zanim przejdę przez jezdnię.

* * *

Znalazła Kynę w kantynie. Jadła na śniadanie sałatkę owocową i popijała herbatą z cytryną.

– Co tam w sprawie Buckleya i O'Briena? – spytała Katie, siadając naprzeciw niej.

Kyna upięła włosy do góry, na ustach miała karminową szminkę Yves Saint Laurenta i wyglądała jeszcze bardziej bajecznie niż zwykle.

Uniosła dzbanek z herbatą.

– Chcesz trochę? – zaproponowała.

Na stoliku stała pusta filiżanka. Katie przysunęła ją do siebie.

– Poproszę – powiedziała. – Łyk. Kompletnie zaschło mi w gardle. Bez przerwy gadam, od samego przyjscia do komendy dziś rano.

– Przesłuchałam tego staruszka, który był świadkiem, jak Farry Logan zastrzelił O'Briena – oznajmiła Kyna. – Cytryny? Nie? Tak naprawdę postarałam się go przesłuchać dwukrotnie... najpierw tuż po przyjeździe do Crosshaven, a potem tuż przed powrotem tutaj, mniej więcej dwie godziny później. To niesamowite, jak świadkowie inaczej opowiadają historię za drugim razem, zwłaszcza kiedy kłamią, ale nawet niekoniecznie.

– I ty sądzisz, że ten staruszek kłamał?

– Bez dwóch zdań. Za pierwszym razem powiedział, że O'Brien wyciągnął broń pierwszy. Potem, że zrobili to jednocześnie. Najpierw mówił, że O'Brien się nie odzywał, a Logan musiał wziąć go za Travellersa, z tych, co to chodzą po domach i kradną, ale potem przyznał, że O'Brien kazał Loganowi rzucić broń i podnieść ręce.

Katie piła małymi łykami herbatę.

– Pytanie zasadnicze... Myślisz, że zezna to w sądzie?

– Na razie wątpię. Widać było, że strasznie się boi. Nie wiem, co mu powiedział Logan, ale póki Seamus Twomey i Douglas Quinn są na wolności, nie wierzę, by odważył się opowiedzieć, co naprawdę się stało.

– No dobra. A sprawa Buckleya?

– Ryzykowna jazda Logana. Wypadł z Middle Road, nie udzielając należnego pierwszeństwa, i uderzył w samochód Buckleya. Za to na pewno możemy go ścigać, jeśli już nie za coś innego. Poza tym jest jeszcze nielegalne posiadanie broni i oczywiście porwanie, no i bezprawne przetrzymywanie zakładnika. Michael Ó Doibhilin zaświadczy o wszystkim co trzeba.

– Tak – rzuciła Katie. – Zaraz z nim pomówię... i właściwie to dlatego cię szukałam.

Kyna nabiła ostatnie dwa winogrona z sałatki na widelec.

– Jestem gotowa. Jeśli uda się nam zapudłować Seamusa Twomeya w Portlaoise i tę jego tłąstą siostrzyczkę w Dóchas, to mogę już nigdy w życiu nie aresztować więcej żadnych przestępców.

Rozdział 26

Detektyw Michael Ó Doibhilin zapukał leciutko do drzwi gabinetu Katie. Ona i Kyna siedziały blisko siebie, obok okna. Prawnik O'Regana, John Deneen, przysłał właśnie kopię materiału, który funkcjonariusz zamierzał przedstawić komisji. Obie uważnie przeglądały wydruk.

Ó Doibhilin był blady. Robił wrażenie rozkojarzonego, dziwnie zdziennego. Miał na sobie szary golf i workowate dresowe spodnie. Potargane włosy sterczały we wszystkich kierunkach.

– Michael, chodź, siadaj – powiedziała Katie. – Jak tam, dochodzisz do siebie?

– O, czuję się świetnie – zapewnił i przycupnął na brzeжку kanapy. – Przecież nic mi nie zrobili.

– Kiedy cię porwali?

– Jak byłem u Gwenith Twomey. Przeszukała mi kurtkę i znalazła telefon. Tak odkryła, że nie jestem żadnym Tommym. Zanim się obejrzałem, załadowali mnie do samochodu i wywieźli do Crosser.

– Czy Seamus Twomey był obecny, kiedy cię brali?

Michael Ó Doibhilin pokręcił głową.

– Tylko ten Farry i dwóch innych, których imion nie dosłyszałem.

– Ale rozpoznałbyś ich, gdybyśmy ich mieli?

– Nie jestem pewny. To była chwila. Zbudziłem się i wszystko stało się tak szybko...

– Było w nich coś szczególnego? Ubrania, rysy twarzy, coś w akcencie?

– Niespecjalnie. Swetry, dżinsy. Ogolone głowy. Jeden miał srebrny kolczyk. Nie mówili wiele, ale wydawało mi się, że są z Cork.

– Powiedzieli, że przysłał ich Seamus?

– Nie. Nic nie wspominali o Twomeyu.

Katie rzuciła okiem na Kynę. Po szybie okna spływały krople padającego to silniej, to słabiej deszczu. Ó Doibhilin siedział ze splecionymi dłońmi wciśniętymi między kolana. Wzrok wbił w pokrytą wykładziną podłogę. Gdyby nie znała go lepiej, pomyślałaby, że jest naćpany.

– Uprawiałeś seks z Gwenith – powiedziała Kyna.

– Tak.

– Nie mów, że dla przyjemności. To góra mięsa, mówiąc najdelikatniej.

Wzruszył ramieniem.

– Dlaczego poszedłeś z nią do łóżka? Nie chciałeś, żeby cię zdemaskowali, tak?

– Zaprosiła mnie do siebie i tak jakoś wyszło...

– Tylko nie wmawiaj nam, że ona ci się spodobała.

– Tłumaczę, po prostu tak jakoś wyszło.

– Czy Twomey groził, że da ci wycisk, jak do niej nie pójdziesz?

– Nie.

– I co się stało, kiedy dowieźli cię do Crosshaven? Byłeś związany?

– Nie.

– Miałeś ręce skute z tyłu kajdankami, kiedy Begley zatrzymał samochód Farry'ego. Ale w domu nie?

– Nie.

– I nie starałeś się stamtąd wydostać? – spytała Katie. – Jeśli nie byłeś związany i pilnował cię tylko Vincent Mulroney, czemu nie próbowałeś uciekać? Przecież masz niebieski pas w karate, prawda?

– Tak, pani nadkomisarz, ale obiecałem, że nie będę im sprawiał kłopotów.

– Obiecałeś nie sprawiać kłopotów? Dlaczego, na Boga, zgodziłeś się na coś takiego?

– Wiedziałem, że i tak niedługo zaczniecie mnie szukać i możemy uzgodnić coś po przyjacielsku. W ten sposób nikomu nie stałaby się krzywda, rozumie pani?

– Uzgodnić po przyjacielsku? Mówisz poważnie? Z Seamusem Twomeyem? Zadzwoił do sierżanta Begleya i powiedział, że zamordują cię, jeśli będziemy dalej przeszkadzać mu w szmuglowaniu narkotyków. No, w każdym razie taki był sens jego słów.

– Mnie nigdy czegoś takiego nie mówili.

– A jeśli chodzi o to, żeby nikomu nie stała się krzywda... to detektywi Buckley i O'Brien zginęli, próbując cię ratować.

– Wiem, pani nadkomisarz, jestem zdruzgotany. Nie potrafię uwierzyć, że już ich nie ma.

– Więc ani Farry, ani Vincent nie bili cię – upewniła się Katie. – Ale grozili ci pobiciem?

– Nie. Właściwie prawie się nie odzywali. Poza tym że rozmawiali o wyścigach w Mallow.

Kyna wstała i usiadła przy nim. Patrzyła na niego długo bez słowa, a on raz czy dwa zerknął na nią, lecz natychmiast znów wbijał wzrok w podłogę.

– A jednak ci grozili, co? – stwierdziła łagodnie i położyła mu dłoń na kolanie.

– Nie. Nigdy.

– No tak, masz rację. – Kyna strzeliła palcami. – To nie tobie grozili, co? Masz dziewczynę, prawda? Przyszedłeś z nią na komendę jakiś miesiąc temu. Bardzo ładna. Jak ma na imię? Eithne. No tak.

Detektyw Ó Doibhilin otworzył szeroko oczy, a potem je zamknął i nie otwierał, jakby chciał odciąć się od całego świata.

– Grozili Eithne, prawda? – docisnęła go Kyna. – Na litość boską, rozumiem, dlaczego nie chcesz nam powiedzieć, co się stało. Ja też bym milczała, gdyby moja dziewczyna była w niebezpieczeństwie.

– Michael – odezwała się Katie. – Nie jesteś sam. Wiemy, jak bardzo się boisz i że Twomey skrzywdzi Eithne, jeśli będziesz zeznawać przeciwko niemu, ale możemy ją ochronić. Potrzebujemy twoich zeznań, Michael. Musisz wskazać palcem na Twomeya, żebyśmy mogli zamknąć go na dobre. Nie da się oskarżyć go o porwanie, jeśli będziesz twierdzić, że nie trzymali cię tam siłą, że nie grozili ci śmiercią albo tym, że zrobią ci coś złego. Sędzia spyta, dlaczego w takim razie po prostu nie wstałeś i stamtąd nie wyszedłeś.

Ó Doibhilin milczał.

– Przynajmniej powiedz nam, gdzie mieszka Eithne, żebyśmy mogli zapewnić jej ochronę. Może mieć uzbrojonego wartownika dzień i noc.

Nadal się nie odzywał. Deszcz wciąż spływał po szybie okna.

– No dobrze. – Katie westchnęła. – Dam ci trochę czasu do namysłu. Ale musisz zdawać sobie sprawę, że jeśli będziesz ukrywał istotne fakty, z jakiegokolwiek przyczyny, to może być poważne wykroczenie. Mogę zagwarantować Eithne bezpieczeństwo, Michael, ale jeśli nie będziesz zeznawać przeciwko Seamusowi Twomeyowi czy komuś z jego gangu, nie zagwarantuję ci, że nie stracisz pracy.

– Tak jest.

Wstał i wyszedł, nie dodając już ani słowa.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Katie popatrzyła na Kynę.

– Skąd wiedziałaś o jego dziewczynie?

– Trochę strzelałam w ciemno, jeśli mam być szczerą. Michael to twardy gość, choć może na to nie wygląda. Widziałam, jak podszedł do dwóch facetów, którzy zaczęli się bić w knajpie VooDoo. Obezwładnił ich i aresztował bez niczyjej pomocy. Można go przestraszyć tylko wtedy, jak się zagrozi komuś, na kim mu zależy.

– Brawo, Kyno. Ale jak Twomey mógł na to wpaść? Skąd w ogóle wiedział, że Michael ma dziewczynę?

– Miejmy nadzieję, że to nie ktoś od nas go oświecił.

– Tak czy inaczej, on o niej wie i to musiało wstrząsnąć Michaeliem, prawda? Musimy ją znaleźć, i to szybko. Nawet jeśli Michael nie zgodzi się zeznawać przeciwko Twomeyowi, wystarczy, że tamten nabierze wobec niego podejrzeń, i pośle po nią swoich zbirów.

– Chyba Nicholas Markey ją zna – przypomniała sobie Kyna. – Zejdę i go spytam.

Katie podniosła teczkę z materiałami zebranymi przez funkcjonariusza O'Regana.

– A ja czytam dalej. Matko Boska, jesteśmy dopiero na trzeciej stronie, a mnie już włosy stają dęba.

* * *

Katie wiedziała już, co sprawiło, że O'Regan rozpoczął swoją krucjatę. Wszystko zaczęło się od przypadkowego spotkania z dilerem Jerem Broganem w pubie Babbling Brook w Riverstick.

Brogan przechwalał się, że powinien odsiadywać trzy lata w więzieniu Mountjoy w Dublinie, a tak naprawdę nie spędził ani jednego dnia za kratkami. Zgodnie z tym, co O'Reganowi udało się z niego wyciągnąć, wolność zawdzięczał niecnym układom z przekupnymi funkcjonariuszami Garda Síochána i pracownikami służb więziennych. Wszyscy oni brali łapówki od jednego z najsłynniejszych gangów przestępczych w mieście.

Po bliższym rozeznaniu O'Regan odkrył, że Brogan to jeden z co najmniej dziewięciu skazanych kryminalistów, którzy nigdy nie zobaczyli zatrzaśniętych za sobą drzwi celi.

Nie było mu trudno ustalić na szczeblu niższym, za co kto wziął łapówki. Stosunki między funkcjonariuszami Garda Síochána a strażami więziennymi nie były zbyt ciepłe, a jeszcze mniej sympatii mieli dla siebie nawzajem strażnicy i przestępcy, ale za to wszyscy, jak Jer Brogan, lubili się napić. Rozwiązał mu się język po trzydziestu czy czterdziestu kolejkach piwa popijanych whiskey

i w końcu odmalował skomplikowany obraz krążenia łapówek, oszustw i szantażowania groźbami.

Kiedy tylko przestępcy dostawali wyrok w sądzie rejonowym, eskorta więzienna, która miała ich transportować, powiadamiała pewnych wysokich rangą urzędników więzienia na Rathmore Road. A tamci wystawiali papiery na natychmiastowe przeniesienie do innego więzienia, jak Mountjoy, Cloverhill czy Castlerea, pod pretekstem konieczności treningu behawioralnego, ze względów bezpieczeństwa lub dlatego, że w celach w Cork akurat brakuje miejsc. I wtedy skazani byli odstawiani prosto do domu albo do Kerry, gdzie na kilka miesięcy wynajmowali sobie pokój w pensjonacie w Killarney, jeśli na swoim terenie za bardzo rzucaliby się w oczy i ktoś mógłby ich rozpoznać na ulicy lub obawiali się donosów wścibskich sąsiadów.

O'Regan stosunkowo łatwo doszedł do tego, które eskorty i służby więzienne brały łapówki. Tysiące euro przechodziły z rąk do rąk, a funkcjonariusze niemający dostępu do tych machinacji byli rozgoryczeni z zazdrości.

Poza tym zdołał odkryć, że to gang narkotykowy Coakley przekazywał wiele z tych sum, ale trafił na ślepy zaułek, gdy próbował dowiedzieć się, skąd szła reszta pieniędzy i komu płacono. Ktoś z eskorty więziennej mówił mu, że po odwiezieniu skazanych przestępców do domu albo do Kerry dostawał pięćset euro w gotówce od mężczyzny, o którym wiedział, że jest funkcjonariuszem. Kiedy go spytał, od kogo te pieniądze, tamten powiedział „od szefa, który jest szychą” i nic więcej.

O'Regan inteligentnie starał się wydedukować, kim może być ta „szycha”, i na końcu swojego wywodu wskazywał na wysokiego stopniem dowódcę więziennych eskort, a także na dwóch inspektorów z Garda Síochána. Stawiał nawet znak zapytania przy nazwisku zastępcy komendant głównej Franka Magoriana, bo ten miał sześciopokojową willę wychodzącą na zatokę w Castletownshend oraz domek wczasowy w Hiszpanii i wydawał się uderzająco rozrzutny jak na kogoś z jego pensją.

Choć Katie nie lubiła Magoriana, nie sądziła, że to on jest tym „szefem szychą”. Był arogancki, prawda, ale również niezmiernie dumny ze swojej opinii nieustępliwie zwalczającego gangi przestępcze i raczej uważałby przyjmowanie brudnych pieniędzy od handlarzy narkotyków, alfonsów czy przemytników za coś poniżej swojej godności.

Mimo wszystko zastanawiała się, dlaczego O'Regan brał go pod uwagę, i zanotowała sobie, żeby sprawdzić, czy da się zrobić dyskretne rozeznanie w finansach Magoriana. Może poradzi się Jamesa Gallaghera, księgowego z policji skarbowej z Dublina, kiedy ten wpadnie jutro do Cork.

Przyszła Moirin z dwoma bukietami białych róż i dwiema kartami kondolencyjnymi. Tuż za nią pojawiła się Kyna. Wzięła jeden z bukietów i powąchała kwiaty, a potem spojrzała na Katie z niewymownym smutkiem.

– O'Brien... był taki młody. Miał przed sobą całe życie.

– Masz coś od Markeya?

– Tak. Eithne studiuje media kreatywne w Crawford. Jest na trzecim roku. Nicholas nie wie, gdzie ona mieszka, ale wieczorami podobno pracuje w Scozi's. Posłałam go tam, żeby spytał o jej adres.

Katie podała jej teczkę z materiałem dowodowym funkcjonariusza O'Regana.

– Przeczytaj resztę tego. Mrozi krew w żyłach. Najwyraźniej niektóre łapówki płacili Coakleyowie, ale O'Regan nie miał pewności, kto je bierze. Mógł to być ktoś ze służb więziennych albo wyższy rangą funkcjonariusz od nas. Ktokolwiek to jest, dawali mu dziesiątki tysięcy euro. Jemu albo jej, oczywiście. Kiedy dostaniemy kopię materiałów sierżanta Lacey'a? Może to nam coś wyjaśni. Na razie wiemy tylko, że to jakiś „szef szycha”.

– *Jeśli nie tracisz głowy, kiedy wszyscy wokół ją tracą...* – zacytowała Rudyarda Kiplinga Kyna.

– Nie żartuj – rzuciła Katie.

* * *

Fergus Kenny z działu technicznego przyszedł do gabinetu Katie, kiedy już miała iść odwiedzić żonę detektywa Buckleya i rodziców O'Briena. Popatrzył na dwa bukiety, ale się nie odezwał. Wiedział, dla kogo te kwiaty.

– Mam tu wszystkie zdjęcia z miejsca zbrodni w Crosshaven – oświadczył. – Doktor Kelley wyjęła pocisk z ciała O'Briena i przysłała go nam. Dziewięć milimetrów. Wystrzelony z pistoletu Colt Combat Commander, który został odebrany Farry'emu Loganowi podczas aresztowania. Na broni nie było odcisków palców ani śladów DNA innej osoby poza Loganem. A kiedy on został tu przywieziony i był sprawdzany, stwierdzono na jego prawej dłoni i marynarce obecność prochu.

– Dobrze. Czyli możemy udowodnić, że to Logan oddał śmiertelny strzał, choć twierdzi, że to było w obronie własnej. A co z kajdankami zdjętymi z rąk Ó Doibhilina?

– Kajdanki zawiasowe, takie same, jakich używamy w Garda Síochána. Ale każdy może je sobie kupić w sieci za dwadzieścia euro albo nawet mniej. Odciski palców, które na nich znaleźliśmy, należą do Vincenta Mulroneya i jeszcze do kogoś, kogo nie mogliśmy zidentyfikować.

– Dziękuję, Fergus. Coś jeszcze?

– Rozbieramy samochód Logana na części. Twierdzi, że zawiodły hamulce i dlatego zderzył się z detektywem Buckleyem. Chyba będziemy w stanie udowodnić, że kłamie. Może w aucie znajdziemy jakieś ślady, które da się powiązać z innymi przestępstwami. Już odkryliśmy pozostałości kokainy na siedzeniach i dywanikach, a na oparciu kanapy z tyłu było trochę zaschniętej krwi.

– Szukaj, cokolwiek da się na niego znaleźć, Fergus. Dobra robota. Dawaj mi znać.

Rozdział 27

Katie zaparkowała na St Anne's Drive. Dom detektywa Buckleya był zadbane, pomalowany na łososiowo. Bliźniak z klombem w kształcie rombu przy wejściu. Zasłony we frontowym pokoju były zaciągnięte, ktoś zostawił wieniec na ganku.

Rozmowy z żonami funkcjonariuszy, którzy zginęli na służbie, zawsze były trudne. Żeby nie wiem jak starała się okazać współczucie, wiedziała, że ją osobiście obwiniają o ich śmierć, nawet jeśli nie mówiły tego wprost. Nie miało znaczenia, że i ona bolała nad ich stratą. Ci ludzie ponieśli śmierć, starając się wypełniać jej rozkazy.

Przez chwilę siedziała w samochodzie. Aż cała przednia szyba była usiana kroplami deszczu. Już miała wysiąść, gdy komórka zagrała *Siúil A Rún*.

– Katie? Tu Conor. Właśnie rozmawiałem przez telefon z tym Garretem Delaneyem. Jutro przyjedzie do Tipperary zobaczyć się ze mną. Na razie radził mi trzymać buzię na kłódkę poza chwilami, kiedy mnie karmią.

– Och, Con.... Wnieśli oskarżenie?

– Oficjalnie jeszcze nie. Zostałem aresztowany jako podejrzany o nieumyślne zabójstwo. Nie wniosą oskarżenia, póki nie złożę zeznań.

– Nie wiem, co powiedzieć. Siedzę tu w deszczu pod domem detektywa Buckleya. Żałuję, że nie mogę być tam z tobą i dać ci wsparcia. Albo że ciebie tu nie ma, żeby dać trochę wsparcia mnie.

– Widziałaś się już z jego żoną?

– Nie. Ale zaraz do niej idę. Strasznie się tego boję.

– Daj spokój, Katie. Jeśli nauczyłaś mnie czegoś, to tego, jak mierzyć się z tym, co nas spotyka, żeby nie wiem jak było ciężko.

– O Matko Boska, Con, gorzej już być nie może. Mam wrażenie, jakby cały świat wokół mnie rozpadał się na kawałki, walił się jak mury Jerycha. I nawet nie mogę liczyć na to, że wieczorem obejmiesz mnie na pociechę, kiedy przyjadę do domu.

– Czeka na ciebie Barney. I Foltchain. Zaopiekują się tobą, póki mnie nie ma.

– Możesz siedzieć w więzieniu latami. Wiesz o tym, prawda? Latami!

– Złość zawsze ma swoje konsekwencje, Katie, nawet jeśli jest usprawiedliwiona. Powinienem był pojąć to dawno temu.

* * *

Dochodziło wpół do trzeciej, kiedy Katie wróciła na Anglesea Street. Była kompletnie wyczerpana. Zobaczyła się i z wdową po Buckleyu, i z ojcem i matką, a nawet babką O'Briena.

Popijała z nimi herbatę i próbowała zjeść herbatniki, kiedy siedzieli, gapiąc się na nią oczami lśniącymi od łez. Słyszała, jak im opowiada, że śmierć ukochanego męża i uwielbianego syna z rąk brutalnego bandyty nie poszła na marne. Bohatersko poświęcili życie, by cała społeczność Cork mogła czuć się bezpieczniej, by ją obronić przed złem.

Odmówiła z nimi modlitwy. *W Twoje ręce, Panie Boże, polecamy naszych braci. Odeszli z tego świata. Przyjmij ich na zielone łąki, gdzie nie ma już smutku, płaczu i bólu, ale panują spokój i radość, na wieki wieków. Amen.*

Bez względu jednak na to, co starała się mówić, wiedziała, że ich śmierć była całkiem bezsensowna. W idiotyczny, okrutny sposób zginęło dwóch dobrych ludzi.

To bolało. Tym bardziej że to ona odpowiadała za zorganizowanie tego śledztwa pod przykrywką, które doprowadziło w końcu do tego, że nie żyli.

Kiedy wróciła do swojego gabinetu, usiadła za biurkiem i spuściła głowę. Była bliska tego, by otworzyć laptopa i napisać, że składa rezygnację.

W tym momencie weszła Moirin.

– Jak się pani czuje? To okropne, te wizyty z kondolencjami, co?

Katie podniosła na nią wzrok i starała się uśmiechnąć.

– Tak. Bo jest jedno pytanie, które osieroceni bliscy zawsze chcą zadać, choć nigdy tego nie robią. A nawet gdyby to zrobili, nie można byłoby im odpowiedzieć, bo odpowiedzi nie ma i nigdy nie będzie. Chcieliby wiedzieć „Dlaczego?”.

Zadzwoiła do niej Kyna.

– Wróciłaś – powiedziała. Nie dodała „Jak poszło?”. – Miałam telefon od tej glisty Nicholasa Bourke’a. Zatrzymali go dłużej w sądzie, ale przypieczętnie tu koło trzeciej, żeby reprezentować Logana i Mulroneya.

– A nie mówiłam? – rzuciła Katie. – Ten dzień da nam do wiwatu.

Przerzucała papiery, które nagromadziły się na biurku. Był tam długi raport od rady miasta na temat nielegalnego wysypiska śmieci przy obozowisku Travellersów przy Spring Lane w Ballyvolane i ataku uzbrojonych w topory tamtejszych mieszkańców, kiedy próbowano robić z tym porządek.

Nadal czytała, gdy zajrzała Moirin.

– Przyszedł pan MacQuaid. Ma pani ochotę na jeszcze jedną filiżankę kawy?

– O, wprowadź go, proszę. I nie, dziękuję za kawę. I tak ciśnienie mi skacze. Ale pewnie mój gość chętnie się napije.

Stephen MacQuaid wszedł do gabinetu z szerokim uśmiechem i wyciągniętymi do uścisku rękami. Katie znała go od czasów Garda College w Templemore, gdzie razem studiowali, i zawsze miała wrażenie, że gdyby wtedy nie miał już stałej dziewczyny, a ona nie spotykała się ze swoim przyszłym mężem, Paulem, pewnie by się zeszli i stworzyliby idealny związek.

Jasnowłosey, szczupły, o ostrych rysach i orzechowych oczach, zawsze rozglądał się tak, jakby zaraz miał coś napsocić. Był w brązowej tweedowej marynarce i rudobrązowej koszuli.

– Przyszedłem najszybciej, jak mogłem – powiedział, całując ją w oba policzki. – Ile to czasu minęło, odkąd cię ostatni raz widziałem? Powinniśmy zjeść razem lunch i opowiedzieć sobie wszystko. Byłaś już w Spitjacku? Świetne jedzenie, jeśli nie przeszkadza ci, że cała się upaćkasz sosem barbecue.

– Jak się masz, Stephen? Twoja córeczka już pewnie chodzi i mówi.

– Chodzi i mówi? We wrześniu poszła do szkoły i mamy już drugą, dasz wiarę? Jestem teraz w mniejszości. Trzy na jednego.

Usiedli razem pod oknem. Katie patrzyła na Stephena i przez ułamek chwili wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby wyszła za niego, zamiast za Paula. Dawno temu, kiedy zaczęła się zastanawiać nad wstąpieniem do służby, jej ojciec powiedział: „Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że w życiu dostaje się szansę tylko raz, a potem, zanim się człowiek obejrzy, jest stary. Namyśl się więc dobrze, Katie, zanim podejmiesz decyzję”.

– Od razu przejdę do rzeczy – rzuciła. – Mam poważną sprawę i potrzebuję kilku twoich ludzi do zorganizowania ochrony.

– Firma MacQuaid Security, do usług – zapewnił. – W tej chwili mamy małe braki kadrowe, ale na pewno pokombinujemy coś w grafiku, żeby ci pomóc.

Wyjaśniła mu, dlaczego chce zatrudnić prywatną ochronę do pilnowania sygnalistów. Stephen słuchał z powagą, a potem skinął głową.

– Mam dziewięciu dobrze przeszkolonych chłopaków, doświadczonych, jeśli chodzi o ochronę osobistą. Trzech z nich to byli funkcjonariusze Garda Síochána, a jeden był wybrany do zespołu zapewniającego ochronę królowej Elżbiecie, kiedy przyjechała do Dublina.

– Rozmawiałam z tymi trzema sygnalistami i wszyscy zgodzili się na ochronę – wtrąciła Katie. – Jednak to ogromnie ważne, żeby nikt tutaj, na Anglesea Street, nie wiedział, jak ich znaleźć. Poza mną, oczywiście. A ja będę musiała wtajemniczyć we wszystko komendanta MacCostagáina.

– Nie ma problemu. Mam kilka bezpiecznych kryjówek, gdzie można ich ukryć, i mogę ustalić dyżury. Będą pilnowani dzień i noc, na okrągło. Obiecuję ci, Katie, że nikt poza moimi ludźmi nie będzie znał miejsc ich pobytu, a jeśli oni nie

rozpoznają swoich podopiecznych z telewizji czy gazet, nie będą nawet wiedzieli, kogo chronią. Zapewnię im absolutne bezpieczeństwo. Nie będzie już kolejnych dekapitacji, gwarantuję.

– Bogu dzięki. Wreszcie nabieram nadziei, że zapanuję nad sytuacją.

* * *

Nicholas Bourke zjawił się o trzeciej, a kiedy Katie, Kyna i detektyw sierżant Begley weszli do pokoju przesłuchań, prawnik był zagłębiony w rozmowie z Farrym Loganem. Vincent Mulroney w tym czasie gapił się tępo w przestrzeń i dłubał w nosie, osłaniając go dłonią.

Farry Logan podniósł na nich wzrok, ale zaraz popatrzył w inną stronę. Było jasne, że nie rozpoznał w Kynie „Iskierki”. W barze Halfway miała na sobie błyszczący złoty top i obcisłe legginsy, a on był dobrze podcięty.

Określenie „gładki w obyciu” mogłoby być wynalezione specjalnie dla Nicholasa Bourke’a. Wysoki, z czarnymi zaczesanymi do tyłu włosami, miał ciężkie powieki i lekko wydęte usta, jakby właśnie wyssał szczególnie kwaśny plasterek cytryny. Z kieszonki szarego, szytego na miarę garnituru wystawała fiołkowa chusteczka w tureckie wzory. Katie poczuła, że używa wody po goleniu Issey Miyake.

Wstał i wyciągnął dłoń.

– Pani detektyw nadkomisarz Maguire. Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Panie Bourke... – Nie była w stanie dodać „Dziękuję”.

Wszyscy usiedli. Begley włączył dyktafon.

Zaczęła Katie.

– Mamy niezbite dowody, że to Farry Logan jest odpowiedzialny za oddanie strzału i zabicie detektywa O’Briena.

– Mój klient temu nie zaprzecza – oświadczył Nicholas Bourke. – Strzelał jedynie w obronie własnej, z obawy o swoje życie. Detektyw O’Brien skradał się na tyłach domów przy Daly’s Lane, mój klient uznał więc w sposób oczywisty, że

to złodziej, który planuje włamanie. Kiedy stanął mu na drodze, detektyw O'Brien wyjął broń i wycelował w niego, nie mówiąc, że jest funkcjonariuszem na służbie. Jak wiecie, mamy świadka na poparcie tej wersji zdarzeń, pana Gilroya Higginsa, który mieszka po sąsiedzku.

– W zeznaniach pana Higginsa jest, delikatnie mówiąc, sporo nieścisłości. Naszym zdaniem został zastraszony, by podtrzymywać oświadczenie Farry'ego Logana.

– Bez komentarzy. To sąd zdecyduje, czy świadek jest wiarygodny.

– Farry Logan i Vincent Mulronej wzięli detektywa Ó Doibhilina – powiedziała Katie. – To dlatego detektyw O'Brien „skradał się”, jak to pan określił, na tyłach domów.

– Detektyw Ó Doibhilin nie był skrupowany ani w żaden sposób do niczego zmuszany. Mógł w każdej chwili wyjść, jeśli taka byłaby jego wola.

– Może fizycznie nic go nie trzymało, ale ostrzeżono go, że ryzykuje bezpieczeństwo swojej dziewczyny, jeśli będzie próbował uciec.

Farry Logan zdecydowanie pokręcił głową.

– Mój klient temu zaprzecza – stwierdził Bourke.

– Na Boga, jak pan sądzi, dlaczego właściwie detektywi Buckley i O'Brien szukali detektywa Ó Doibhilina, panie Bourke? – wtrącił detektyw sierżant Begley. – Szef Farry'ego Logana, Seamus Twomey, dzwonił do mnie i ostrzegał, że jeśli nie odczepimy się od jego narkotykowych interesów, możemy już nigdy nie zobaczyć Ó Doibhilina. W każdym razie nie żywego. Mamy nagranie, więc nie może pan temu zaprzeczyć.

– Przecież on żartował – prychnął Farry. – Seamus nie zajmuje się narkotykami. Narkotykowe interesy? Bez jaj. On trudni się malowaniem i wykańczaniem wnętrz.

Nicholas Bourke przyłożył palec do ust, dając mu znak, żeby się nie odzywał.

– A więc, panie Logan, detektyw Ó Doibhilin pojechał z wami do Crosshaven dobrowolnie? – spytała Katie. – Siedział w tym domku, choć powinien być

wieczorem u rodziców, a rano stawić się w pracy na Anglesea Street? Zechce pan wyjaśnić czemu?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery? – wybuchnął Farry. – Jego pytajcie.

– Bez komentarza – powtórzył Nicholas Bourke.

– Proszę pozwolić, że spytam zarówno Farry’ego Logana, jak i Vincenta Mulroneya... Czy przetrzymywaliście detektywa Ó Doibhilina w Crosshaven na polecenie Seamusa Twomeya?

– Bez komentarza – warknął Nicholas Bourke. – Pan Twomey również jest moim klientem, ale jeszcze go nie aresztowaliście ani nie wysunęliście wobec niego żadnych zarzutów, a póki tego nie zrobicie, nie powinniście go mieszać do tematu tego przesłuchania.

– Dobrze, jeszcze jedna kwestia – rzuciła Katie. – Przebadaliśmy samochód Farry’ego Logana i ustaliliśmy, że kiedy zderzył się on z autem detektywa Buckleya, powodując śmiertelny w skutkach wypadek, hamulce były sprawne. Pan Logan twierdził jednak, że to hamulce zawiodły.

– Bez komentarza – powtórzył Nicholas Bourke. – Będziemy wnioskować o ekspertyzę z warsztatu pana Logana, by ustalić, jaki był stan hamulców.

– Wobec tego to na razie wszystko. – Katie wstała. – Czekam na dalsze wyniki od techników i zeznania świadków i być może za jakiś czas będę chciała zadać pana klientom jeszcze trochę pytań, panie Bourke.

– Prosimy bardzo, pani nadkomisarz. Im szybciej wszystko sobie wyjaśnimy, tym lepiej. Sądzę, że mamy tu do czynienia z nieszczęśliwym splotem okoliczności. Niestety, kosztowało to życie dwóch pani detektywów, ale jak się temu uważnie przyjrzeć, nie ma tu niczyjej winy.

Katie wpatrywała się w niego. W tej chwili o niczym nie marzyłaby bardziej jak o tym, żeby być czarownicą i wysłać z oczu promienie zielonego światła, które spaliłyby Nicholasa Bourke’a na miejscu, tak że nie zostałyby z niego nic poza kupką popiołu.

Obróciła się i wyszła z pokoju przesłuchań. Kyna ruszyła za nią, a detektyw sierżant Begley wyłączył dyktafon.

Kiedy wróciły do jej gabinetu, Katie mocno objęła Kynę. Cała się trzęsła. Kyna pocałowała ją i pogładziła po włosach.

– Nie martw się – powiedziała. – Przyszpilimy ich. I Twomeya też. I Quinna. I tę upiorną Gwenith.

Katie otarła oczy.

– Przepraszam. Jestem tak strasznie zła, że straciliśmy Buckleya i O’Briena. Jestem wściekła na Twomeya i Logana, i na siebie. Teraz muszę iść do szpitala porozmawiać z panią Lacey, a nie potrafię jej nawet w przybliżeniu wskazać, kto zabił jej męża. Dla niej to nie koniec. Biedna kobieta. Nie ma nawet jego głowy.

* * *

Funkcjonariusz w mundurze czuwał przed drzwiami szpitalnej salki, gdzie leżał Aidan Lacey. Przeglądał gazetę „Sun”, ale natychmiast rzucił ją i wstał na widok zbliżającej się Katie. Machnęła dłonią na znak, żeby usiadł. Pamiętała nudę długich samotnych godzin, które spędziła jako młoda funkcjonariuszka w szpitalach, pilnując zarówno ofiar, jak i przestępców.

Dochodziła szósta. W zimnym pokoju panował półmrok. Riona Lacey siedziała przy łóżku syna i oglądała telewizję. Chłopiec spał. Nad jego nogami wznosiło się niczym namiot prześcieradło oparte na specjalnym stojaku. Aidan był podłączony do dwóch kroplówek. Monitor pokazujący pracę serca pikał z monotonną regularnością, ale twarz nastolatka była tak blada, jakby nie żył.

– Czy mogę wejść? – spytała Katie.

Riona Lacey skinęła głową. Była drobną kobietą o okrągłej buzi i smutnych oczach. Przypominała Katie Sinéad O’Connor, tyle że o bujnych kręconych kasztanowych włosach. Miała na sobie ciemnobrązowy sweter z dekoltem w łódkę. Rękawy naciągnęła na dłonie.

Katie przysunęła sobie plastikowe krzesło i usiadła obok niej.

– Jak on się czuje?

– Przyszli mu prawą stopę. Mają nadzieję, że się przyjmie i będzie dobrze. Lewa noga była zbyt poharatana. Trzeba będzie dopasować protezę. Ale lekarz mówił, że teraz potrafią zdziałać cuda.

Riona Lacey wyciągnęła rękę i złapała Katie za nadgarstek, choć jej dłoń nadal była ukryta w rękawie.

– Nie wiedzą, jak długo będą go tu trzymać. Może miesiącami. Modłę się do Boga, żeby tylko znów mógł chodzić.

– Nie umiem wyrazić, jak strasznie jesteście wstrząśnięci. Wszyscy z Anglesea Street przesyłają pani najszczerze wyrazy współczucia.

– W porządku, pani nadkomisarz. Wiem, że John zraził do siebie wielu ludzi. Kiedy tylko widział, że coś jest nie tak, nie potrafił odpuścić. Powtarzałam mu, że stanie się wyrzutkiem jak sierżant McCabe, ale mówił, że nie ma wyboru.

– Zamierzał donieść na niektórych kolegów, że nie aresztują złodziei samochodów, prawda? Albo jakimś cudem gubią dowody przeciwko nim, żeby nie można ich było postawić przed sądem?

– Tak. Ale nie opowiadał mi wiele. Uważał, że to mogłoby być dla mnie zbyt niebezpieczne, gdybym wiedziała. Niektórzy z jego kolegów brali łapówki, tyle mi wyjawiał, a paru dostało nawet kradzione samochody.

– Był bardzo odważny – powiedziała Katie. – Bo kochał swój zawód i był mu naprawdę oddany.

Riona posłała jej szybki, smutny uśmiech.

– W zeszłym tygodniu miał urodziny. Skończył trzydzieści sześć lat. Podarowałam mu zegarek, żeby mógł odmierzać czas i mijające dni. Udało mu się doliczyć tylko do pięciu.

– Jeżeli potrzebuje pani pomocy, jakiegokolwiek, może pani na nas liczyć. Czy chodzi o koszty leczenia, czy terapię. Jakieś wsparcie finansowe. A nawet gdyby pani potrzebowała po prostu z kimś porozmawiać.

– Była tu już Brianna, psycholog policyjny. Przyjdzie znów jutro rano. To ona powiedziała mi, jak zginął John. – Riona zaciskała palce na nadgarstku Katie tak

mocno, jakby broniła się przed upadkiem z parapetu na szóstym piętrze. – O Boże – jęknęła i nagle jej oczy wypełniły się łzami. – Boże, wie pani, kto to zrobił?

– Jeszcze nie – przyznała Katie. – Mamy jednak kilka dobrych tropów i ręczę pani, że w końcu ich złapiemy. Zostaną ukarani za to, co zrobili pani mężowi. Proszę mi wierzyć.

Zadzwoił telefon Katie. To był Mathew McElvey z działu kontaktów z prasą. W jego głosie słychać było panikę.

– Gdzie pani jest?

– W szpitalu, a o co chodzi?

– Jeśli jest tam gdzieś w pobliżu telewizor, niech pani włączy wiadomości. Właśnie dziesięć minut temu byli u mnie ze stacji RTÉ. Chcieli potwierdzenia, czy wczoraj rano znaleziono sierżanta Lacey'a z odciętą głową.

– Co im powiedziałaś?

– Nic. Ale oni już wszystko wiedzieli. Zadzwoili do nich ci goście, którzy go zabili. Wiedzieli nawet, że miał zatknięty w szyję flet.

– I potwierdziłaś to?

– Nie, ja nie. Skierowałem ich do komendanta MacCostagáina i on potwierdził. Uznał, że nie ma sensu tego ukrywać, skoro i tak wiedzą. Wyglądałoby to tak, jakbyśmy kręcili.

– To samo mu mówiłam. Ale i tak wolałabym, żeby najpierw się ze mną skontaktował.

Nadal rozmawiała z Mathew McElveyem, gdy przebrzmiały dzwony i zaczęły się wiadomości. Telewizor był ściszony. Nie było słychać, co mówi prezenterka Keelin Shanley, ale za nią pojawiło się duże zdjęcie sierżanta Lacey'a w mundurze.

– To o Johnie! – szepnęła Riona.

Gorączkowo poszukała pilota i zwiększyła głośność, aż Aidan drgnął, choć nie otworzył oczu.

„Wiadomość z ostatnich minut. Sierżant John Lacey, jeden z sygnalistów, który miał składać zeznania przed komisją w sprawie ujawnienia

nieprawidłowości, dziś rano został znaleziony martwy na cmentarzu przy opactwie Świętego Senana w Inniscarze. Odcięto mu głowę, a ciało przywiązano do krzyża na grobie. Do szyi miał wciśnięty flet. Z redakcją wiadomości RTÉ skontaktował się anonimowy informator, który powiedział, że sierżant Lacey poniósł zasłużoną karę za podłą zdradę kolegów z Garda Síochána i został stracony ku przestrodze dla innych sygnalistów, by zaprzestali niesłusznych oskarżeń i nie oczerniali uczciwych ludzi przed sędzią McGuiganem. Komendant MacCostagáin potwierdził, że znaleziono ciało sierżanta Lacey'a i że prowadzi się w tej sprawie śledztwo, choć jest zbyt wcześnie na podawanie bardziej szczegółowych informacji”.

Prezenterka mówiła dalej, ale Riona wyłączyła telewizor i cała we łzach upuściła pilota na podłogę. Katie przysunęła się na krzesło i objęła ją mocno.

– Och, John, och, John! Jak mogli mu coś takiego zrobić? – łkała Riona. – Co ja bez niego pocznę?

Katie starała się ją uspokoić. Gładziła jej kręcone włosy. Nie mogła zrobić nic więcej, by ulżyć jej cierpieniu.

Pół godziny później ktoś zapukał do drzwi. Przyszła jedna z młodszych sióstr Riony. Katie uścisnęła wdowę na pożegnanie.

– Zadzwoń do pani jutro z rana, żeby dowiedzieć się, jak się ma Aidan.

Riona podniosła na nią wzrok, ocierając łzy rękawami swetra.

– Niech mi pani obieca, że ich złapie. Że będą ciężko pokutować za to, co zrobili mojemu Johnowi.

– Riono, gdybym znała drogę do piekła, tobym ich tam wysłała.

– Ja ją znam – szepnęła Riona. – Ja już tam jestem.

Rozdział 28

Funkcjonariusz Yasir Wassan stał w wąskiej kuchni, mieszając w rondelku kaszę mannę. Szykował na śniadanie sooji ka halwa. Po drodze do tego mieszkania poprosił ochroniarza, by podwiózł go do Aiysha's Spice House na Shandon Street, i tam kupił sobie co trzeba do jedzenia na trzy, cztery dni albo przynajmniej do czasu, kiedy miał stawić się w Dublinie przed sędzią McGuiganem.

Stephen MacQuaid zainstalował go w pokrytym kamyczkowym tynkiem bliźniaku na Mount Farran, stromej osiedlowej uliczce w Blackpool. Przydzielił mu trzech ochroniarzy, którzy mieli pełnić na zmianę ośmiogodzinne warty. Ten nocny wyszedł jakąś godzinę temu i teraz na kanapie w salonie polegiwał ten poranny; oglądał program *Today* z Maurą i Dáithím. Declan był wysokim, muskularnym młodym mężczyzną. W czarnym polo wyglądał na boksera, ale wyrażał się w sposób bardzo delikatny i uprzejmy.

– Co ty tam pichcisz, stary? – zapytał po chwili, pojawiając się w drzwiach kuchni i pociągając nosem. – Pachnie, jakbyś przypalił.

– To kasza manna i powinna tak pachnieć. Będzie pyszna, jak skończę. Musisz trochę spróbować.

– O, wielkie dzięki, ale chyba jednak spasuję. Z samego rana zjadłem kiełbaski i grillowane pomidory. Ale kawy nie odmówię, jeśli sobie parzysz.

– Jakbyś miał ochotę, to mam lassi.

– Lassi? Myślałem, że to imię psa.

Wassan pokręcił głową.

– Jogurt, woda i miąższ mango. Z lodem. I jeśli byś sobie życzył, z odrobiną cukru.

– Jeżeli nie zrobiłoby ci to różnicy, poprzestanę na kawie, dobrze?

– Staram się zapoznawać swoich irlandzkich przyjaciół z pakistańską kuchnią.

– Powodzenia, stary. Nie sądzę, żebyś w Cork odniósł większy sukces. Jeśli to nie nóżki wieprzowe, flaki wołowe czy kaszanka, albo McDonald, to nie dadzą się skusić.

– Nie lubisz curry?

– Ono mnie nie lubi, w tym problem. Jadłem curry parę dni temu, kiedy miałem iść na dyżur, ale na świętego Patryka... Nic dziwnego, że Mahatma Gandhi nosił te pieluchy.

Wassan zaczął ostrożnie wygarniać z rondelka podsmażoną kaszę mannę, gdy nagle ktoś załomotał do drzwi.

Declan natychmiast sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął paralizator Vipertek, przypominający płaską czarną latarkę.

– Idź do pokoju na tyłach, Yasir, i zamknij drzwi, jak ćwicyliśmy. Nikt nie wie, że tu jesteś, więc to pewnie tylko jakiś świr, któremu przeszkadza, jak zaparkowałem samochód. Ale i tak się schowaj.

Wassan ruszył do pokoju na tyłach, który był tu pewnie niegdyś „najlepszy”. Kiedy szedł przez korytarz, rozległo się kolejne walenie do drzwi i dzwonek, wciskany raz po raz. Pakistańczyk cicho zamknął za sobą i przekręcił klucz. Stał bez ruchu, ledwie mógł oddychać. Z portretu wiszącego nad kominkiem spoglądała na niego obojętnie Chinka o zielonej twarzy.

Declan żwawo podszedł do drzwi.

– Kto tam? O co chodzi?! – krzyknął. – Przestań łomotać w te cholerne drzwi, dobrze? Jeszcze je rozwalisz!

Nie było odpowiedzi, ale stukanie i dzwonięcie ustało. Na jakieś dwadzieścia sekund zapadła cisza. Declan czekał z paralizatorem w pogotowiu i zastanawiał się, czy otworzyć, żeby zobaczyć, kto się za nimi kryje, albo upewnić się, że odpuścili i sobie poszli.

Już sięgał do klamki, kiedy rozległy się ogłuszający huk i trzask pękającego drewna. Gwałtownie cofnął się przed lecącymi na korytarz drzwiami. Do środka wpadli trzej mężczyźni w czarnych kominiarkach. Ich przywódca miał w rękach obrzyn i wycelował w pierś Declana.

– Na początek możesz rzucić ten cholerny paralizator – rozkazał. – Nie sprawiaj nam kłopotów, szefie, to nie porobię w tobie dodatkowych dziurek. Umowa stoi? Świetnie. A gdzie ten ciapaty? Bo jest tutaj, prawda? Nie mów, że nie. Czuję, jak cuchnie!

Drzwi pokoju dziennego były uchylone. Jeden z mężczyzn otworzył je szerzej kopniakiem i zajrzał.

– Gównno, tu go nie ma.

– W kuchni też nie – rzucił drugi.

– Na górze? – spytał ten z obrzynem, zbliżając się do ochroniarza i mierząc mu w nos z odległości niespełna pięciu centymetrów.

Declan skinął głową w kierunku pokoju na tyłach domu.

– Dzięki wielkie – powiedział ten z bronią. – To nam oszczędzi mnóstwo biegania wte i wewte po schodach, co nie?

Wolną ręką nacisnął klamkę i zorientował się, że drzwi są zamknięte na klucz.

– Hoggy, Patrick – warknął.

Hoggy wyszedł na zewnątrz i przyniósł czerwony taran. Wziął dwa razy zamach i walnął nim w drzwi, wyłamując je z framugi. Odchyliły się na bok, a Patrick posłał je kopniakiem na podłogę.

Wassan klęczał na parapecie zaplątany w nylonowe firanki. Usiłował otworzyć okno, lecz było zablokowane. Mężczyzna z bronią przeszedł przez pokój.

– Złaź, szefie – nakazał. – Musimy sobie trochę pogadać, co nie? Wiesz, co mam na myśli.

– Kim jesteście? – zapytał ostro Wassan. – Nie mam wam nic do powiedzenia.

– O, naprawdę? To coś nowego. A tyle miałeś do powiedzenia szefowi wydziału wewnętrznego, O'Malleyowi.

– To sprawa pomiędzy nim a mną.

– To, co mu nagadałeś, już narobiło kłopotu, funkcjonariuszu Wassanie. A jeśli to, co powiedziałaś O'Malleyowi, powtórzysz przed sędzią McGuiganem, to będzie podwójny kłopot. Przez ciebie i twoje donosicielstwo dobrzy ludzie stracą środki do życia.

Wassan zgramolił się z parapetu.

– Czego ode mnie chcecie? Mam iść i powiedzieć przed komisją: „Przepraszam, panie sędzio, ale kłamałem. Wszystkie te rasistowskie szykany, na które się skarżyłem, to tylko mój wymysł. Naplotłem, bo chciałem oczernić kolegów, i bardzo przepraszam”? Tak mam mówić?

Mężczyzna z bronią przekrzywił głowę, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Muszę przyznać, że masz tupet, chłopie. Ale nie gadajmy po próżnicy. Do obiadu jest jeszcze sporo do zrobienia.

Dwaj pozostali weszli do pokoju i złapali Wassana za ręce. Pociągnęli je do tyłu i jeden zatrzaskał mu na nich kajdanki.

Kiedy wypchnęli go za drzwi, zastąpił im drogę Declan.

– Chwileczkę. Dokąd go zabieracie?

– O, zupełnie o tobie zapomniałem – mruknął ten z bronią. – Miałeś opiekować się tu tym swoim ciapatym przyjacielem, co?

Declan nie odpowiedział, ale stał z lekko uniesionymi dłońmi, wahając się, co dalej, jak ktoś, kto nie jest pewien, czy drapieźnik zaraz go nie zaatakuje.

– Zawaliłeś na całego, no nie? – wycedził mężczyzna z bronią. – Wiesz, co bym ci powiedział na miejscu twojego szefa? Wylatujesz!

Uniósł strzelbę i z ogłuszającym hukiem wypalił z obu luf jednocześnie. Wsunął poprzecznie nabój między spusty, żeby móc je pociągnąć razem i nie obdrzeć sobie przy tym skóry z palca. Połowa głowy Declana rozprysła się na ścianie w końcu korytarza. Ochroniarz z rozpostartymi rękami wykonał piruet niczym baletnica i runął na podłogę.

– Nachalny palant – burknął ten z bronią. – Pospieszmy się.

Hoggy próbował odetkać palcem ucho.

– Co? Nic nie słyszę, do cholery.

– Nie jestem w nastroju, Hoggy. Wynośmy się stąd, zanim ktoś się napatoczy i wezwie psy.

Funkcjonariusz Wassan wił się i szarpał z kajdankami, żeby się obejrzeć. Wreszcie zobaczył ciało ochroniarza na podłodze.

– Zastrzelełeś go! – krzyknął przeraźliwie. – Nic wam nie zrobił, a ty go zastrzelełeś! Z zimną krwią! *Aap aik rakshas hain!* Jesteś diabłem wcielonym!

Trzej mężczyźni popchnęli go, ściągnęli po stromych schodach przed domem i zmusili, żeby wsiadł do czarnego sedana bmw, zaparkowanego tuż za zielonym fordem kuga ochroniarza. Potem ruszyli na pełnym gazie spod krawężnika i pognali Mount Farran do Assumption Road.

– Dokąd mnie wieziecie? – domagał się odpowiedzi funkcjonariusz Wassan, nadal szamocząc się na tylnym siedzeniu między Hoggym i Patrickiem.

Mężczyzna ze strzelbą obejrzał się na niego.

– Zabieramy cię tam, gdzie powinni się znaleźć wszyscy świstacze. Tam gdzie możesz sobie świstać, ile dusza zapragnie, i nikt nie usłyszy perfidnych melodyjek, które wygrywasz.

Rozdział 29

Padła drobniutki deszcz, kiedy skręcili z Grange Terrace w Ovens i pojechali na północ Grange Road. Na polach dokoła nikogo nie było, jedyny ślad życia stanowiły wrony siedzące na drutach telefonicznych.

– Cokolwiek zamierzacie zrobić, to jesteście stuknięci, jeśli sądzicie, że wam się upiecze – powiedział Wassan.

Facet ze strzelbą obejrzał się i wyszczerzył do niego zęby.

– Nie bądź taki pewny, szefie. Mamy wysoko postawionych przyjaciół.

– A przypuścmy, że obiecuję wam wycofać oskarżenia...

– Za późno już na to. Zresztą czy moglibyśmy ci zaufać? Założę się, że kiedy tylko byśmy cię puścili, zaraz byś na nas nadał glinom.

– Mógłbym przysiąc, że wycofam zarzuty.

– Na co? Na Biblię? Przecież jesteś muzułmaninem, prawda?

– Dałbym słowo honoru.

– Słyszysz to, Hoggy? Powiada, że da „słowo honoru”! Mówisz o honorze, a kablujesz na kolegów tylko dlatego, że cuchnie im twoje curry!

Jechali jakiś kilometr wąską alejką między żywopłotami, aż dotarli do kamiennego muru z czarną żelazną furką. Za murem były zapuszczony, porośnięty wybujałą trawą cmentarz i nieczynny stary kościół z dachem krytym szarym łupkiem.

Zaparkowali i Patrick wywlókł Wassana z samochodu. Poranek był cichy, słychać było tylko deszcz padający na liście i krakanie wron. Patrick i Hoggy wzięli między siebie funkcjonariusza Wassana i podprowadzili go do furty.

Wydała z siebie nieprzyjemny zgrzyt, kiedy ją otwierali. Potem na wpół pchali, na wpół wlekli Wassana przez zarośnięty cmentarz, aż dotarli pod kościół.

– Witaj w kościele Athnowen – powiedział człowiek z bronią. – Od dobrych kilku lat stoi nieczynny, ale nie mogliśmy znaleźć bardziej odpowiedniego miejsca na taki rytuał jak ten. Możesz to nazwać rytuałem rozgrzeszenia.

Dębowe drzwi kościoła stały otworem. Wassan widział, że zerwano z nich metalowy rygiel. Zardzewiała kłódka dyndała swobodnie. Mężczyzna ze strzelbą ruszył przodem do mrocznego wnętrza, gdzie panował przejmujący chłód. Na posadzce pod butami zachrząścił piasek.

Przy chrzcielnicy siedzieli dwaj ludzie z Garda Síochána, których Wassan od razu rozpoznał: sierżant Dolan MacAuley i funkcjonariusz Eamon Ó Grádaigh. Na stopniach obok nich siedział czwarty mężczyzna w czarnej kominiarce, nonszalancko bawiąc się pistoletem automatycznym.

Zarówno MacAuley, jak i Ó Grádaigh mieli ręce skute z tyłu kajdankami, a lewe oko tego drugiego było podbite na fioletowo i tak spuchnięte, że została z niego tylko szparka. Sierżant MacAuley miał na sobie jedynie bladozielony T-shirt i szorty, a Ó Grádaigh niebieski prążkowany sweter i dżinsy. W kościele było lodowato. Obaj dygotali z zimna.

– No to jesteśmy, panowie – powiedział mężczyzna ze strzelbą. Jego głos odbił się upiornym echem po kościelnej nawie. – Trzy mądre małpki razem. Widzieliście zło, słyszeliście, ale dzięki Bogu nie będziecie mieli szansy o tym mówić.

– Pieprz się – warknął Ó Grádaigh.

– Hej, nie musisz mnie obrażać. Przecież nie ja kazałem ci szpiegować i opowiadać bajki O'Malleyowi, co? Patrick, Sean, zwiążcie te trzy małpy razem, dobrze? Plecami, tak jak mówiliśmy. Hoggy, możesz już włączać piłę. Chciałbym, żeby sobie jej posłuchali, zanim weźmiemy się do rzeczy.

Sean wsunął pistolet za pasek dżinsów, a potem razem z Patrickiem zmusił Wassana, by siadł na podłodze obok MacAuleya i Ó Grádaigha. Popychali ich i kuksańcami ustawili wreszcie tak, żeby stykali się ze sobą plecami. Patrick

wyciągnął zielono-białą nylonową linę i okręcił ich nią na wysokości ramion i piersi z siedem czy osiem razy, zanim ją mocno zawiązał.

Tymczasem Hoggy pociągał sznur uruchamiający piłę łańcuchową. Musiał szarpać wiele razy, nim wreszcie zaskoczyła, może dlatego, że w kościele było tak zimno. Stał przy chrzcielnicy, podkrecając silnik i powoli zataczając piłą koła.

Żaden z sygnalistów nie powiedział słowa. Sierżant MacAuley wodził wzrokiem za piłą, jakby próbował unieruchomić ją siłą woli. Ó Grádaigh odwrócił głowę i zapatrzył się w mrok nawy poprzecznej. A Wassan zacisnął powieki i modlił się. Narastający ryk silnika był ogłuszający i mężczyzna ze strzelbą oparł ją o ramię, żeby zatkać uszy dłońmi.

– Który pierwszy?! – krzyknął Hoggy, nachylając się do niego.

– Po starszeństwie! – odwrzasnął ten ze strzelbą.

– A niby co to, do cholery, znaczy?

– Sierżant najpierw, biały funkcjonariusz potem, na końcu ten ciapaty!

Hoggy podszedł do sierżanta MacAuleya. Ugiął nogi w kolanach, żeby stać pewniej. Teraz sierżant MacAuley też zamknął oczy, jego usta poruszały się, gdy modlił się do Boga, prosząc o odpuszczenie wszystkich grzechów.

Zęby piły wżarły mu się w jabłko Adama. W powietrzu zawirowały rozbryzgi krwi i strzępki tkanek niczym rój rozsierzdzonych szerszeni. Dochodząc do kręgów, Hoggy jeszcze bardziej podkrecał obroty i wtedy już niemal natychmiast głowa MacAuleya odpadła od szyi i wylądowała przy jego stopach. Odbijając się, poleciała do mężczyzny ze strzelbą i zastygła w bezruchu z wlepionym w niego spojrzeniem, póki obojętnie nie kopnął jej czubkiem buciora.

Hoggy obszedł związaną grupę, by znaleźć się naprzeciw Ó Grádaigha. Krótko podstrzyżone włosy na tyle głowy ociekały krwią sierżanta MacAuleya. Ó Grádaigh ze śmiertelnym przerażeniem patrzył na Hoggy'ego.

Ten zrobił ruch piłą w kierunku jego twarzy, żeby się trochę podrażnić. Ó Grádaigh wrzasnął dziko na całe gardło, wytrzeszczając na niego jedyne zdrowe oko. Hoggy zaśmiał się i znów machnął piłą. Tym razem Ó Grádaigh zmoczył dzinsy.

– Patrzcie! – krzyknął mężczyzna ze strzelbą. – Nic nie potrafią zatrzymać dla siebie, podstępne bydlaki! Nawet własnych sików!

Hoggy poprawił pozycję, stanął mocno na rozstawionych, nieco ugiętych nogach i nachylił się do Ó Grádaigha. Przesunął w bok piłą i przeciął skórę i mięśnie jego szyi tak gładko, jakby to był kawał drewna. Tylko przez moment zęby łańcucha zazgrzytały na kościach kręgow. Głowa spadła do tyłu, między Wassana i ciało sierżanta MacAuleya. Hoggy musiał po nią sięgnąć. Wywłókł ją za ucho i cisnął na posadzkę.

Funkcjonariusz Wassan nie krzyczał, gdy Hoggy podszedł do niego od przodu. Popatrzył na niego, a potem znów zamknął oczy. W wyrazie jego twarzy malował się absolutny spokój. Nikt nie mógł tego wiedzieć, ani wtedy, ani nigdy później, ale myślał o młodszej siostrze, Afrah, która umarła na zapalenie płuc, kiedy miała zaledwie pięć lat. Wyobrażał ją sobie, jak śmieje się i biega po ogrodzie w pogoni za ich kotem.

Poczuł porażające szarpnięcie i rozdzierający ból, tak straszny, że nawet nie rozpoznał w nim bólu. To była jednak tylko krótka chwila. Potem jego głowa spadła na posadzkę obok głowy Ó Grádaigha.

Hoggy wyłączył piłę i odłożył ją obok chrzcielnicy.

– Chłopaki, patrzcie, jak się upaskudziłem. Będę się chyba musiał po tym wykapać.

– Już dawno był na to najwyższy czas – mruknął Patrick.

Hoggy pokazał mu środkowy palec. Tymczasem podszedł do nich czwarty mężczyzna, z czarną torbą na śmieci. Marszcząc z obrzydzeniem nos, pozbierał głowy, chwytając je za włosy, i powrzucał do worka, po czym okręcił jego górny koniec i zawiązał.

Patrick wyciągnął spod kurtki trzy flety. Zagrał sobie na każdym po kolei i wepchnął po jednym w pokrwawione szyje.

– Gotowe – rzucił, cofając się. – Jestem pewien, że to już koniec z sygnalistami. Jeśli po czymś takim jakiś glina jeszcze będzie miał jaja, żeby nadawać na kolegów, to ja jestem Chińczykiem.

– No, ale gdybyś przypadkiem nim został, to niech ci tylko nie przyjdzie do głowy latać do szefa wydziału wewnętrznego, O'Malleya, ze skargami na rasizm – powiedział ten ze strzelbą. – Nie mamy już więcej fletów.

Rozdział 30

James Gallagher, księgowy z policji skarbowej, przybył punktualnie o jedenastej. Z laptopem i dużą skórzaną teczką. Moirin wprowadziła go do gabinetu Katie, gdzie ta ustalała szczegóły w sprawie pogrzebu detektywów Buckleya i O'Briena. Mieli być pochowani z honorami. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego podobne pożegnanie nie należy się i funkcjonariuszowi O'Reganowi, ale najwyraźniej był to temat drażliwy, zwłaszcza dla kampanii honorowej; to jej członkowie mieli pełnić wartę wzdłuż ulic, którymi będzie szedł kondukt.

To był niski, energiczny mężczyzna, ten James Gallagher. Przyszyty wąsik. Okulary bez oprawek. Granatowy trzyczęściowy garnitur. Kiedy usiadł i założył nogę na nogę, Katie zobaczyła wypolerowane brązowe półbuty i jaskrawożółte skarpetki.

– Jak pani mówiłem przez telefon, pani nadkomisarz, sprawy finansowe Jimmy'ego Ó Faoláina są okropnie skomplikowane. I takie było zamierzenie właściciela tej firmy. Założył Erin Investments, obiecując swoim klientom szokująco wysokie zyski, ale w gruncie rzeczy to była piramida finansowa, a on jedynie wypłacał pewne sumy dawniejszym klientom z tego, co inwestowali nowi, zatrzymując większość środków dla siebie. Erin Investments nigdy nie zainwestowało w nic ani centa.

– A te udziały, które kupował?

James Gallagher otworzył laptopa i pokazał Katie liczby.

– Kupował je masowo, głównie od firm, które miały kłopoty finansowe. Oczywiście w ten sposób pompował ich wartość i mógł opierać na tym korzystne

prognozy. Ale kiedy tylko wysłał klientom najnowsze wyniki i pochwalił się, jaki zysk wypracowują dla nich te inwestycje, pozbywał się udziałów, zatrzymując dochód dla siebie. To może nieco bardziej skomplikowane, ale w uproszczeniu tak to wyglądało.

– Mówił pan, że zwłaszcza jedna grupa ucierpiała na tych machinacjach.

– Ó Faoláin jakiś rok temu założył przedsiębiorstwo o nazwie Equity Sunshine. Mogła się pani natknąć na ich reklamy w gazetach, a chyba nawet ogłaszali się też w telewizji. Kierowali ofertę do starszych ludzi posiadających domy o sporej wartości rynkowej. Przekonywał, by pod ich zastaw inwestowali w to, co nazywał „bezpiecznymi, pewnymi, ale bardzo zyskownymi przedsięwzięciami”, co w sumie nawzajem się wyklucza. Twierdził, że może zapewnić tym ludziom dostatek na emeryturze. Wakacje zagraniczne, nowe samochody, jedzenie w restauracjach, ale jak się przeczyta, co dodano małą czcionką, i to tak malusieńką, że aby ją rozszyfrować, potrzeba mikroskopu elektronicznego, to żadnych gwarancji nie dawał. Tak naprawdę wręcz przeciwnie. Ostrzegał wprost każdego, kto wpłacał pieniądze do Equity Sunshine, że nigdy więcej ich nie zobaczy.

– Tragiczna sprawa – powiedziała Katie. – Gdyby żył, zaciągnęłabym go do sądu za oszustwo.

– Było pewne stowarzyszenie. Trzynastu emerytów zrzeszyło się, by zainwestować w Equity Sunshine. I na ile mogę się zorientować z tych rachunków, stracili miliony.

– Zna pan ich nazwiska?

– Nie, niestety – przyznał James Gallagher. – Jimmy Ó Faoláin nadawał numery swoim inwestorom według systemu, którego jeszcze nie rozgryzłem. Ale wspominał o tym stowarzyszeniu w odkrytym przeze mnie mailu do swojego banku. To ten mail, niech pani spojrzy. Nazwali się Ghairdín Glas.

– To znaczy „zielony ogród”. O Jezu. Bardziej pasowałoby „spalona ziemia”. Ile stracili?

– Według tych zapisów nieco ponad siedem i pół miliona.

– Matko Boska. Ma pan pojęcie, gdzie to wszystko poszło?

– Większość wydawał na kupno posiadłości za granicą, a resztę polokował na kontach w dalekich krajach. Bermudy, Kajmany. Nieprędko uda się nam to prześledzić i oczywiście możemy nie być w stanie wiele z tego odzyskać, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, gdzie się to podziało.

W tym momencie dołączył do nich detektyw O'Donovan. James Gallagher powtórzył pokrótce, co właśnie referował Katie na temat Ghairdín Glas.

– Wydaje mi się, że to mógłby być mocny motyw zabójstwa, nie sądzisz, Patrick? – spytała Katie.

– No pewnie, ale co z tym Ghairdín Glas? Trzynastka osób, które przekroczyły sześćdziesiąt pięć lat, a prawdopodobnie sporo starszych. Nie wyobrażam sobie, żeby tacy emeryci potrafili wejść do Jimmy'ego Ó Faoláina i zastrzelić go, nie zostawiając żadnych śladów. Oczywiście jeżeli by tam w ogóle dokuśtykali na swoich skrzypiących kolanach. I skąd wzięliby półautomatycznego sig sauera?

– Mogli załatwić sobie płatnego zabójcę – powiedziała Katie.

– Jakoś nie wierzę. I niby gdzie? Tacy goście nie kręcą się na potańcówkach dla aktywnych emerytów z tabliczką *Zabójca do wynajęcia*, prawda? Myślę, że to zrobił raczej jakiś biznesmen, którego Ó Faoláin wykiwał. I jeszcze ta jego dziewczyna, ta stewardesa, wcale bym się nie zdziwił, gdyby i ona była w to jakoś zamieszana. Najwyraźniej interesowała się wyłącznie tym, na ile błyskotek może go naciągnąć.

– No tak. Prześliczna Viona Caffrey – mruknęła Katie.

– Poza tym są te jego machlojki przy Rachmasach Rovers, co? Sprzedane mecze i tak dalej. Wiesz, jacy potrafią być ci z klubów. To fanatycy. Może menedżer drużyny wściekał się skrycie, bo dla odmiany marzyła mu się wygrana.

– Myślałam, że zebrałeś już zeznania wszystkich z drużyny.

– Tak, ale równie dobrze mógłbym przesłuchiwać słupy do cumowania łodzi. Mówię ci, niewiele udało się mi z nich wycisnąć.

– A co z menedżerem?

– Finbar Foley... pewnie o nim słyszałaś. Jimmy Ó Faoláin wykradł go z Mallow. Facet nie cieszył się z przegranych, tyle ci powiem. Roversi grali siedem meczów w tym sezonie i jak dotąd, sześć przegrali, a w czterech nie strzelili żadnych goli. Ale nawet jeśli Foley miał coś wspólnego z zabójstwem Jimmy'ego Ó Faoláina, toby mi nie powiedział, prawda?

– Proszę, popatrzcie na to – wtrącił James Gallagher. – Jest to dość sprytnie ukryte w kosztach utrzymania, ale wszystko wskazuje na to, że Jimmy Ó Faoláin po każdym meczu przekazywał dziesięć tysięcy euro na konto Finbara Foley'a. Z tego możemy wysnuć dość prosty wniosek, że Foleyowi płacono za przegrane. Sądźcie, że zależałoby mu na zarzynie kury, która znosi złote jaja? Chyba że rzeczywiście tak strasznie marzył o wygranej dla odmiany, choćby dla poprawienia swojej opinii w klubie, a Jimmy Ó Faoláin groził, że przestanie mu płacić i zdemaskuje go jako oszusta.

– Może powinieneś pójść i jeszcze raz pomówić z Foleyem – zasugerowała Katie. – Trochę go postraszyć, niech się poczuje nieswojo, daj do zrozumienia, że nadal jest w kręgu podejrzanych. Ale i podbechtaj jego ego. Powiedz, że teraz, kiedy nie ma już Jimmy'ego Ó Faoláina, masz nadzieję, że Rachmasach zdobędzie pierwsze miejsce w lidze. Potrzebny nam jeden mały ślad, Patrick... cokolwiek, co mogłoby nas naprowadzić na rozwiązanie zagadki, kto wszedł tamtego ranka do domu Jimmy'ego Ó Faoláina.

James Gallagher wyciągnął z teczki gruby niebieski skoroszyt i położył go na biurku Katie.

– To jest mój raport na piśmie, pani nadkomisarz. Są tu wszystkie ustalone dotąd fakty i wyliczenia. Zostanę w Cork jeszcze kilka dni. Zatrzymam się u przyjaciół w Montenotte, więc jeśli coś tu panią zdziwi albo będzie pani miała jakiegokolwiek pytania, proszę dać mi znać, a ja z przyjemnością wszystko wyjaśnię.

– A jaka jest pana opinia o tych rachunkach? To znaczy... szczerze... w kontekście tego zabójstwa?

James Gallagher poklepał dłonią skoroszyt.

– Mam całkowitą pewność, że zabójca albo zabójcy figurują w tych wyliczeniach. Niekoniecznie z imienia i nazwiska, bo wiele danych jest jeszcze nierozszyfrowanych. Ale kiedy odkryjemy, kto jest kto, bez wątpienia liczby podsuną nam wszystko, co potrzebne, by aresztować właściwe osoby i przygotować materiał dowodowy.

– Innymi słowy, ktokolwiek go zabił, jego dni są policzone – powiedział detektyw O'Donovan, wyraźnie zadowolony ze swojego skojarzenia. – Ich dni są policzone – podkreślił, na wypadek gdyby Katie nie chwyciła dowcipu.

* * *

Katie wróciła do załatwiania pogrzebów, ale nie minęło dwadzieścia minut, a zadzwonił telefon. To był Stephen MacQuaid. Brakowało mu tchu, jakby kilka razy obiegł bieżnię, zanim zdecydował się dzwonić.

– Już zadzwoniłem na sto dwanaście – wydyszał. – Mam ich na drugim telefonie. Wysyłajcie radiowóz i karetkę.

– Co się stało, Stephen? Uspokój się, spróbuj opowiedzieć.

Gdy Stephen MacQuaid starał się złapać oddech, do drzwi gabinetu Katie zapukał nadkomisarz Pearse i nie czekając na zaproszenie, wszedł z detektywem inspektorem Fitzpatrickiem. Cokolwiek wywołało panikę Stephena MacQuaida, Katie od razu po ich minach poznała, że i oni o tym słyszeli. Uniosła dłoń, żeby dać im znać, że nadal prowadzi rozmowę telefoniczną.

– Nie rozumiem, jak to się mogło stać, Katie – powiedział Stephen, tłumiąc szloch. – Ochroniarz... ten, który dziś rano pilnował twojego Pakistańczyka... Declan Summers... został zastrzelony. Matko Przenajświętsza, urwało mu pół głowy.

– Stephen, spróbuj się uspokoić. Trudno zrozumieć, co mówisz. Twój ochroniarz został zastrzelony?

– Tak. Musieli zabić go od razu. O Jezuu.

– A co się stało z funkcjonariuszem Wassanem?

– Nie wiem. Nie ma go. Powiedziałem to dyżurnemu, wzywając pomoc.

– Co? Gdzie to było? – Katie otworzyła szufladę po lewej stronie biurka i popatrzyła na trzy adresy kryjówek, które dał jej Stephen. – Na Mount Farran?

– Zgadza się. Declan miał się odezwać o dwunastej, ale nie dzwonił... jego telefon nie odpowiadał, więc pojechałem tam, żeby zobaczyć, czy jest jakiś problem. Frontowe drzwi były wyważone, a on leżał w korytarzu, martwy. Nie potrafię uwierzyć, że żaden z sąsiadów nie słyszał strzału ani nic nie widział. Ci ludzie muszą być głusi i ślepi. Głusi i ślepi.

– I nie ma śladu po Wassanie? A co z dwoma pozostałymi? Z sierżantem MacAuleyem i z Ó Grádaighiem?

– Ich ochroniarze też nie odbierają telefonów. Jadę do Ballyvolane sprawdzić, co z sierżantem MacAuleyem, a potem do Glanmire.

– Stephen, gdzie teraz jesteś?

– Zaraz wyjadę z Mount Farran.

– Zostań tam. Kiedy przyjadą nasi funkcjonariusze, przedstaw się im. Powiedz, kim jest zabity kolega i jak mogą się skontaktować z jego najbliższymi. Wyślę ludzi do Ballyvolane i Glanmire, żeby sprawdzić, co z tamtymi dwoma, ale sam tam nie jedź. Ktokolwiek zastrzelił twojego człowieka, może jeszcze być pod którymś z tych adresów.

– Nie rozumiem, jak to się mogło stać, Katie! Tak mi przykro! Myślałem, że te kryjówki są całkowicie bezpieczne, że tam nic im się nie stanie! Nikt spoza MacQuaid Security nie wie, że należą do nas! Nikt! No, poza tobą.

– Spróbuj się opanować, dobrze, Stephen? Uspokój się. Zaraz do Mount Farran przyjedzie paru moich detektywów i porozmawiają z tobą.

Katie odłożyła telefon i bez słowa patrzyła na nadkomisarza Pearse'a i detektywa inspektora Fitzpatricka. Potem wyrwała kartkę z trzema adresami z zeszytu, wstała zza biurka i podeszła do Pearse'a.

– Proszę – powiedziała. – Sierżant MacAuley w Mervue Lawn, a Ó Grádaigh w Church Hill. Miała ich ochraniać firma MacQuaid Security, ale nie ma kontaktu z jej pracownikami. Musimy wysłać patrole na każdy z tych adresów, i to

natychmiast. Ostrzeż ludzi, że mogą zastać na miejscu uzbrojonych i niebezpiecznych przestępców.

Pearse łypnął na nią okiem; jego spojrzenie mogło znaczyć: „Ach, te kobiety!”, „Ale namieszałaś...” albo „Wiadomo, jaka będzie główna wiadomość o szóstej, co?”.

– Już się robi, Kathleen – rzucił i wyszedł.

– Jeśli porwali wszystkich trzech, to katastrofa – powiedział Fitzpatrick. – Nie tylko dla ciebie i dla mnie. Cała nasza instytucja wyjdzie na kompletnie nieudolną. Zanim się obejrzymy, postawią nas przed komisją.

– Modłę się tylko, żeby Wassana nie spotkało to samo co O'Regana i Lacey. Boże, Boże, nie pozwól, żeby i tamci dwaj zaginęli.

Fitzpatrick usiadł. Mżawka dotarła już do centrum; zamazywała szybę okna za jego plecami. Oczy detektywa o martwym spojrzeniu pasowały do takiego dnia jak ten. W pewien sposób to beznamiętne zachowanie kolegi dodawało Katie otuchy. To nie był czas na histerię czy złość. Tylko na bezwzględny, pozbawiony emocji pościg za tymi, którzy czynili zło.

– Nie rozumiem, jak znaleźli Wassana – powiedziała. – Może któryś z ochroniarzy pracujących dla Stephena MacQuaida dał im znać. Nie wolno zapominać, jak nisko gotowi są upaść ludzie dla pieniędzy.

– Z tego, co wiemy, Wassana nie mogli porwać ci sami, co zabili tamtych – stwierdził Fitzpatrick. – Jego skargi dotyczyły jedynie rasizmu i szykan. O'Regan bił na alarm, że skazani kryminaliści chodzą na wolności, a doniesienia sierżanta Lacey dotyczyły odstępowania od wnoszenia oskarżeń o kradzież samochodów.

– Wiem, Robert. Myślę o tym stale, od kiedy znaleziono Lacey. Ale im bardziej różnią się sprawy, na temat których gromadzili dowody, tym bardziej jestem przekonana, że za zamknięcie im ust odpowiadają ci sami ludzie. Komendant MacCostagáin nie zgadza się ze mną, a w każdym razie tak mówi, ale bez względu na to, jakich przestępstw miały dotyczyć zeznania przed komisją, wszystkie te doniesienia skończyłyby się naganą, zwolnieniem albo nawet procesem karnym kogoś z naszych szeregów.

– Nie byłbym taki pewny. Za sfalszowanie czterech tysięcy wyników testów z alkomatem nikt jakoś nie dostał po łapach.

– Tak, wiem, ale to było bardziej skomplikowane, a gdyby wylali wszystkich, którzy to robili, zostalibyśmy prawie bez ludzi.

Detektyw inspektor Fitzpatrick zastanawiał się nad tym chwilę, stukając długopisem o wnętrze dłoni.

– Może się zrobić straszne zamieszanie – skwitował.

– Jakbym tego nie wiedziała. Ale zamienię słowo z Billem Phinnerem i dopilnuję, żeby zrobili badania DNA i porównali odciski palców z tymi należącymi do funkcjonariuszy Garda Síochána w służbie czynnej i tych, którzy przeszli na emeryturę, podobnie jak przestępców.

– Kiedy to się skończy, chyba wezmę całą resztę urlopu, który mi przysługuje – powiedział Fitzpatrick.

Katie spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Ale on nie. Jego oczy pozostały tak zimne i bez wyrazu jak zawsze.

Zadzwoił jej telefon. Odebrała. To był nadkomisarz Pearse.

– Zostali porwani.

Rozdział 31

Najpierw Katie pojechała z Fitzpatrickiem do Mount Farran. Detektywa Markeya i detektyw Murrish wysłała do Ballyvolane, a Scanlan i O'Creana do Glanmire. Nadkomisarz Pearse powiedział jej, że ochroniarze pod tymi adresami zostali ciężko pobici i związani, ale nie zastrzelono ich.

Zaułek był zastawiony. Trzy radiowozy, ambulans i dwie furgonetki z wydziału technicznego. Gdy podjechała Katie z Fitzpatrickiem, pojawił się też wóz transmisyjny RTÉ. Chodnik odgrodzono barierkami, ale obok i tak zebrała się grupka gapiów. Stali w mżawce w nadziei, że uda im się zobaczyć coś makabrycznego.

Technicy osłonili niebieskim winylowym namiotem wejście do domu na Mount Farran, a ich szef, Bill Phinner, stał we frontowym ogródku, pykając z pachnącego owocowo elektronicznego papierosa. Katie podeszła, oganiając się dłonią od kłębiastych oparów.

– Myślałam, że z tym skończyłeś, Bill.

– Próbowałem. Może mi się uda, jak pójdę na emeryturę.

– Co jest?

– Trzydziestotrzyletni mężczyzna, strzał w lewą stronę głowy. Z obu łuf jednocześnie. Wnioskując ze śladów na ścianie za nim, powiedziałbym, że szukamy obrzyna, dwururki.

– Jakież inne ślady?

– Drzwi frontowe i wewnętrzne staranowane. Wgniecenia wskazują na „duży czerwony klucz” albo coś w tym rodzaju. Zdecydowanie robota profesjonalistów. Nie posłużyli się po prostu jakimś kawałem drewna czy młotem dwuręcznym.

Katie popatrzyła na niego znacząco. „Duże czerwone klucze” były używane standardowo do wejść siłowych. Choć zwykle wyważenie drzwi u podejrzanego wymagało uprzedniej akceptacji zwierzchników.

– Gdzie Stephen MacQuaid? – spytała. – Mówiłam mu, żeby się stąd nie ruszał.

– Masz na myśli szefa tego zabitego? Jest tam. W swoim samochodzie. Powiedział, że mu trochę słabo. Nie dziwię się wcale. To nie najbardziej apetyczny widok w porze kolacji, facet, którego połowa głowy rozbryzła się po ścianach, co?

Wyszła z ogródka i ruszyła alejką do Stephena siedzącego po stronie pasażera w swoim aucie. Drzwi przy nim były otwarte. Podniósł na nią wzrok. Był szary na twarzy.

– Nie wiem, co powiedzieć, Katie.

– Słyszałeś o tamtych dwóch pozostałych?

Skinął głową i podniósł telefon.

– Dzwonili do mnie, obaj. Zabrali ich do szpitala. Jeden, Martin, ma wyłamany bark. Drugi, Braden, musi mieć zszytą skórę na głowie.

– Tak. Dwoje moich detektywów jest z nimi.

Stephen pokręcił głową.

– Nie wiem, kto mógł nas zdradzić, ale ktoś musiał to zrobić. Przysięgam na Boga, sprawdzam i prześwietlam podwójnie każdego, kogo zatrudniam. Nie tylko ochroniarzy. Także dziewczyny z recepcji. Nawet sprzątaczkę.

– Nie masz żadnych podejrzeń? Może któryś z twoich ochroniarzy narzekał na godziny dyżurów, płace czy rodzaj zadań, które mu przydzielasz?

– Musiałem wyłączyć jednego jakiś miesiąc temu, bo podrywał żony i córki klientów, ale poza tym wszyscy, o ile mi wiadomo, są zadowoleni.

– Wyślemy jednego z naszych ekspertów z działu komunikacji do twojego biura, żeby obejrzał komputery. Sprawdzimy, czy nie były zhakowane.

– Oczywiście, proszę bardzo, ale wątpię. Mamy najlepsze oprogramowanie zabezpieczające, jakie tylko można kupić.

– No dobrze – rzuciła Katie. – Możesz już jechać, ale musimy jeszcze porozmawiać. Proszę, nie mów o tym z nikim, zwłaszcza z mediami. Wszystko, co powiesz, może narazić na poważne niebezpieczeństwo tych trzech sygnalistów, gdziekolwiek są.

– Nic nie wiadomo? Żadnych żądań okupu, czegoś w tym rodzaju?

– Nie.

Stephen złapał się za głowę.

– Och, Katie. Nie masz pojęcia, jak mi przykro. Kompletnie cię zawiodłem. To zrukuje moją firmę.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– O nic cię nie winię, Stephen. Jedyne, czym się teraz martwię, to tym, co stało się z trzema naszymi ludźmi i czy uda się nam ich odnaleźć żywych.

– Może brak wiadomości to dobra wiadomość.

– Może. Ale nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

Katie zostawiła Stephena i poszła z powrotem w kierunku domu. Detektyw inspektor Fitzpatrick już na nią czekał. Uniósł płachtę namiotu, żeby ją wpuścić. Wyłamane drzwi podniesiono, technicy robili im zdjęcia aparatem czułym na podczerwień, na wypadek gdyby zostały na nich ślady butów.

– Stale domagam się tabletu z oprogramowaniem kryminalistycznym – powiedział Bill Phinner. – Wiem, że kosztuje furę pieniędzy, ale to oszczędziłoby nam konieczności wożenia zdjęć do laboratorium.

– Wspomnę o tym na następnym spotkaniu w sprawie budżetu – zapewniła Katie. – Nie mam jednak wielkich nadziei. Nie możemy sobie nawet pozwolić na nowy czajnik do sali odpraw.

W tej chwili jeden z techników włączył reflektor LED-owy na końcu korytarza. Katie natychmiast zrozumiała, dlaczego Stephen był taki poszarzały na twarzy. Przy listwie po lewej stronie leżał Declan. Prawą rękę miał uniesioną nad głowę. Brakowało mu ponad połowy twarzy. Stercząca do góry szczęka przypominała łyżkę do butów zrobioną z kości słoniowej. Cała ściana w głębi

była zbryzgana krwią. Na wykładzinie leżał długi strzęp splątanych włosów, skóry i tkanki mózgowej.

Katie przeżegnała się. Nie przywykła do widoku zmasakrowanych, zatłuczonych, porąbanych na krwawe kawałki ciał. Zawsze robiło się jej niedobrze. A przede wszystkim tak strasznie jej było żal życia, które zostało tym ludziom odebrane.

Bill Phinner zaprowadził ją do kuchni, która nadal pachniała mocno przypaloną kaszą manną.

– Wygląda na to, że Wassan szykował sobie coś do zjedzenia, kiedy złożyli im wizytę zabójcy. Wszystko tu jest, patrz, kasza manna, nerkowce, rodzynki, kardamon, zmieszane z wodą i mlekiem. To ulubione pakistańskie śniadanie.

Wyszli znów na korytarz, gdzie dwóch techników, błyskając fleszami, fotografowało ciało Declana.

– Domyślam się, że Wassan próbował się schować w tym pokoju na tyłach, bo zamek nadal jest wysunięty, a klucz tkwi od wewnętrznej strony, mimo że drzwi zostały wyważone. Firankę ktoś odsunął na bok, ale klamka okna pozostała w pozycji pionowej. Nie mógł go otworzyć, bo było zablokowane.

– Dobrze, Bill, dziękuję – powiedziała Katie. – Muszę cię zostawić, działaj. Ja i Fitzpatrick wracamy na Anglesea Street. Na Ballyvolane wysłałeś Fergusa, tak?

– Owszem, zaraz potem będzie w Glanmire.

Gdy Katie z Fitzpatrickiem wychodziła przez furtkę frontową, zbliżył się do nich sierżant Kiely. Szpakowaty doświadczony funkcjonariusz zawsze przypominał Katie starego byka ubranego w jaskrawożółtą kurtkę.

– Chłopaki pogadali z sąsiadami, pani nadkomisarz – powiedział. – Paru przyznało, że słyszało jakiś huk zaraz po dziewiątej rano, ale specjalnie się nad tym nie zastanawiali. Pomyśleli, że to z tamtej budowy przy rondzie. Przez ostatnie dwa tygodnie był tam straszny łomot. Uznali, że to tylko to.

– Czy ktoś zauważył nieznane samochody albo jakichś obcych?

– Nie, nikt nic nie widział. Mężczyźni, którzy nie wyszli do pracy, byli jeszcze w łózkach, a kobiety w kuchniach, szykowały śniadanie.

Z drugiej strony ulicy nadbiegła Fionnuala Sweeney z RTÉ z kamerzystą. Dopadła Katie, zanim ta zdołała zatrzaskać drzwi samochodu.

– Pani nadkomisarz! Ma pani dla nas oświadczenie?

– Młody człowiek zginął od rany postrzałowej. Na razie to wszystko, co mogę powiedzieć.

– Wiecie, kim on jest?

– Tak, ale nie podamy jego nazwiska, póki nie zostaną poinformowani jego najbliżsi.

– Macie podejrzanego?

– W tej chwili nie. Bardzo będziemy więc wdzięczni za wszelkie informacje. Gdyby ktoś coś wiedział o tym zdarzeniu, prosimy dzwonić pod numer tysiąc osiemset, sześćset sześćdziesiąt sześć, sto jedenaście. Wszystkie rozmowy będą ściśle poufne.

– Czy ofiara była mieszkańcem tego domu?

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Najprawdopodobniej jeszcze dziś, ale nieco później, zwołam konferencję prasową.

– Czy to jakieś porachunki gangów?

– Jak mówiłam, bez komentarzy.

– Czy należałoby brać pod uwagę szersze zagrożenie? Bo uzbrojony napastnik grasuje na wolności...

– Według naszej wiedzy nie ma takiej obawy. Ale oczywiście jeśli ktokolwiek zobaczyłby kogoś z bronią, radzilibyśmy nie zbliżać się i nie wchodzić z nim w żaden kontakt. Najlepiej oddalić się jak najszybciej i dzwonić na sto dwanaście.

Katie zamknęła drzwi i detektyw inspektor Fitzpatrick ruszył.

– Jezus Maria – rzuciła, wydymając policzki. – Chyba i ja wezmę sobie długi urlop, tak jak ty. Gdzie pojedziemy? Chyba najdalej od Cork, jak to możliwe. Co powiesz na Bali?

– Jeśli chciałyby pani siedzieć na wulkanie... Nie byłoby wiele inaczej niż tutaj, gdzie mamy komisję w Dublinie.

* * *

Po powrocie na Anglesea Street Katie poszła prosto do MacCostagáina. Od Pearse'a wiedział już, że wszyscy trzej sygnaliści zostali porwani. Komendant miał minę ponurą jak rzadko.

– No to by było na tyle z tym twoim przyjacielem MacQuaidem i jego superszczelną ochroną – zaczął, kiedy Katie zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy, rzuciła go na poręcz krzesła i usiadła. – Masz jakiś pomysł, kto mógł zdradzić te adresy?

– Mogę się tylko domyślać, że to musiał być ktoś z pracowników Stephen'a. W sumie zatrudnia około sześćdziesięciu osób. Ale nawet on nie ma pojęcia, kto mógłby coś takiego zrobić. Tylko garstka jego ludzi wie, że firma ma kryjówki, a jeszcze mniej zna ich lokalizację. Wynajmują te lokale, więc adresy stale się zmieniają.

– Mój Boże, Kathleen. To koniec świata, oboje zdajemy sobie z tego sprawę.

– Ja jeszcze nie tracę nadziei. Do tej pory nie mamy żadnej informacji i o ile wiem, media też nic nowego nie słyszały.

– Niewykluczone, że sprawcy czekają na wieczorne wiadomości, tak jak wczoraj. Może chcą uderzyć z grubej rury. Widziałaś rano gazety? Co pisali o sierżancie Lacey'u? „Sun” oskarża nas, że biegamy jak kurczaki z poobcinanymi głowami, podczas gdy sygnalistom ścina się głowy. Dzwonił już do mnie Frank Magorian, a do niego komendant główna, która była jednocześnie na linii z ministrem sprawiedliwości. Wszyscy sobie z nas kpią.

– Niestety, tak się składa, że mamy mało świadków – powiedziała Katie. – Żaden z mieszkańców Mount Farran nie widział nic szczególnego. Markey wysłał mi esemesa, kiedy tu jechałam, i podobno nikt z Mervue Lawn w Ballyvolane nic nie widział ani nie słyszał. Może dlatego, że sierżanta MacAuleya zabrano, zanim się zbudzili. A kryjówkę na Church Hill w Glanmire zasłania tyle drzew i krzaków, że nie widać domu, a tym bardziej tego, czy ktoś z niego wychodzi.

Denis MacCostagáin podniósł filiżankę z herbatą z biurka, zajrzał do niej, zobaczył kozuch z mleka i odstawił z powrotem.

– Ktoś musiał coś widzieć, nawet jeśli nie rozumiał, co się dzieje. Będziesz prosić w mediach o informacje, prawda?

– Już prosiłam Fionnualę Sweeney, żeby ogłosiła nasz apel w wiadomościach RTÉ. Ale zaraz zejdę do Mathew McElveya i przygotujemy komunikat do porannych wydań dzienników.

– O... chyba nie musisz się fatygować – powiedział komendant, obracając się na fotelu i wskazując na drzwi za jej plecami.

Mathew McElvey zaglądał zza progu i szykował się właśnie, by zapukać.

– Wchodź, wchodź, Mathew – ponaglił go MacCostagáin. – Co tam?

Katie uderzyła myśl, że McElvey szybko się postarzał przez ten krótki czas, odkąd pracował w biurze prasowym na Anglesea Street. Zaczynał jako energiczny bystry młody człowiek, elegancki, zawsze nosił marynarkę i krawat, włosy miał przyczesane. Teraz krawat był rozluźniony, koszula wyglądała na wczorajszą, zmierzwione włosy wyraźnie domagały się wizyty u fryzjera. Zastanawiała się, czy to codzienne wydawanie informacji prasowych na temat kradzieży, śmiertelnych wypadków drogowych i samobójstw doprowadziło go do tego stanu. Albo przyczyny były inne – pół roku temu się ożenił i może po prostu miał kłopoty w domu.

– Dzwonił do mnie Dan Keane z „Examinera” – powiedział. – Chciał wiedzieć, czy masz zamiar wydać oświadczenie w sprawie trzech sygnalistów.

Katie aż zadrżała.

– A co z nimi?

– Chciał się dowiedzieć, czy znaleźliście już ich ciała.

– Sądzi, że nie żyją? Niby dlaczego?

– Miał telefon z wiadomością, że wszyscy trzej zostali ukarani za donoszenie na kolegów. Nie chciał zdradzić, kto dzwonił.

– Czy ten ktoś mówił, jak zostali ukarani?

Mathew skinął głową. I przyłożył dłoń do ust, jakby nagle poczuł mdłości.

– Zostali ścięci, tak? – odezwała się Katie.

Znów skinął głową.

– Zostali ścięci i wszystkim wetknięto w szyje flety, tak jak O'Reganowi i sierżantowi Laceyowi – dodała.

– Tak – potwierdził. – W każdym razie tak powiedziano Danowi Keane'owi.

– Rany boskie, Kathleen – rzucił komendant. – Mieliśmy ich chronić. Nie mogliśmy bardziej zawalić, chyba że sami poucinalibyśmy im głowy.

– Ten dzwoniący... – zaczęła Katie. – Czy napomknął Keane'owi o czymś, co sugerowałoby, gdzie mogą być ciała?

– Mówił coś o kurczakach bez głów.

– O kurczakach bez głów? Tak pisano o nas dziś rano w „Sun”, prawda?

– Nie wiem. Nie za bardzo rozumiałem, o czym Keane mówił.

– Jeśli kiedyś będzie do ciebie dzwonić ktoś z „Sun”, powiedz mu, żeby wziął dobry rozpęd i skoczył z urwiska w Kinsale – wtrącił MacCostagáin.

– Mogę? – Katie sięgnęła po telefon z jego biurka.

Poprosiła dyżurną w centrali o połączenie z Danem Keane'em z redakcji „Examinera”.

Dziennikarz odebrał, ale złapał go napad kaszlu.

– Dan? Tu nadkomisarz Maguire z Anglesea Street.

– O, dzień dobry. Przepraszam, ale właśnie robiłem sobie inhalację.

– Jest tu ze mną Mathew McElvey, mówi, że miał pan telefon z wiadomością o naszych trzech sygnalistach.

– Owszem, miałem. Przepraszam, muszę odchrząknąć.

– Czy to dzwonił mężczyzna, czy kobieta?

– Facet. Opryskliwy typ. Nie podał nazwiska ani w żaden sposób się nie przedstawił, jeśli o to zamierzała pani zapytać, choć i tak bym nie zdradził, kto to był.

– Mathew mówił, że ten człowiek wspominał coś o kurczakach bez głów. O co chodziło?

– Spytałem go, gdzie są ciała, a on zapytał, czy jestem dobry w szaradach, bo jeśli tak, to mnie naprowadzi. Powiedział, że sygnaliści to kurczaki, ponieważ są za bardzo zestrachani, żeby załatwić wszystko bezpośrednio z kolegami. A teraz to kurczaki z poucinanymi głowami. A gdzie można takie znaleźć? W mieście kur. *Hen town*.

– I to ma być podpowiedź? Miasto kur?

– Tak twierdził. Ale niech mnie kule biją, jeśli wiem, co to znaczy. Nie jestem zły w rozwiązywaniu krzyżówek, ale nad tym głowię się bez skutku.

– Garda Síochána jeszcze nic nie wie o sygnalistach, więc byłabym wdzięczna, jeśli na razie zatrzymałby pan to dla siebie. Zorganizuję konferencję prasową, kiedy tylko będę miała coś pewnego do powiedzenia.

– No i o co tu chodzi? – zapytał MacCostagáin, kiedy odłożyła słuchawkę.

– Keane powiedział, że ten ktoś, kto dzwonił, dał mu wskazówkę, gdzie znajdują się ciała. Jakieś miasto kur. *Hen town*.

– Miasto kur? W co oni grają, ci ludzie? To bez sensu. Miasto kur?

Katie wzięła notes z biurka Denisa MacCostagáina i napisała: *Hen town*.

– To nie może być trudna zagadka – rzuciła. – Oni chcą, żebyśmy znaleźli te ciała. Zależy im na tym, żebyśmy zobaczyli je z odciętymi głowami i fletami tkwiącymi w szyjach. Ale drażnią się z nami. Chcą, żebyśmy wyglądali na całkiem niekompetentnych. I nie tylko wyglądali. Oni chcą, żebyśmy tak się czuli. Żebyśmy mieli wrażenie, że drepczemy w miejscu.

Zabrzącał telefon Mathew McElveya. Odebrał, a po chwili przykrył go dłonią i popatrzył bezradnie na Katie i komendanta.

– To Fionnuala Sweeney. Pyta, czy to prawda, że wszyscy sygnaliści zostali ścięci i powtykano im flety w szyje.

– Powiedz „Bez komentarza” – zdecydowała Katie.

– Mówi, że i tak podadzą tę wiadomość.

– Powiedz, że nie możemy ich powstrzymać, ale pełne oświadczenie wydamy później.

– Twierdzi, że nie może trzymać tego dłużej niż do szóstej.

Katie spojrzała na to, co wypisała na kartce.

– Może to jakiś cmentarz – zastanawiała się głośno. – O’Regan i Lacey zostali ścięci na cmentarzach. Może ten ktoś miał na myśli cmentarz Queenstown. Niektórzy mieszkańcy Cobh nadal tak go nazywają. To jedyny cmentarz w Cork ze słowem *town* w nazwie.

– Niezbyt zręczna odpowiedź do krzyżówki – zauważył Mathew.

Wpatrywała się w napisane słowa i nagle pojęła, o co chodzi. Przypomniał się jej drogowskaz, który widziała, wracając z opactwa Świętego Senana.

– To anagram – powiedziała.

– Co?

– Anagram. Nawet niezbyt skomplikowany. Athnowen. Jest tam opuszczony stary kościół, a przy nim cmentarz.

Denis MacCostagáin uniósł krzaczaste brwi.

– Zawsze wiedziałem, że nie bez przyczyny postanowiliśmy awansować kobiety. Są bystre. Sam w życiu nie wpadłbym na coś takiego.

– Jeszcze nic nie wiadomo. Mogę się mylić – zaznaczyła Katie. – Może to wcale nie anagram i chodzi o zupełnie inne miejsce. Ale Athnowen nie jest daleko od Świętego Senana i leży na kompletnym odludziu. Dałoby się tam wymordować pół Cork i nikt by się nie zorientował.

– Więc co robimy, Kathleen? – zapytał komendant.

– To dość blisko. Pojadę tam i rzucę okiem. Zabiorę ze sobą detektyw sierżant Ni Nuallán i dwóch mundurowych. Nawet jeśli jestem w błędzie, to nie stracimy więcej niż pół godziny.

– No tak, ale jeżeli ich tam nie ma... tych sygnalistów... to co wtedy?

– Powiedzą nam. Wcześniej czy później powiedzą. Nie mam co do tego wątpliwości. Ci zabójcy chcą, żebyśmy wyszli na miotających się nieudolnie przygłupów, ale chcą też śmiertelnie nas wystraszyć.

* * *

Choć do Athnowen było niespełna piętnaście minut jazdy N22 na zachód z Cork, powoli zapadał już zmierzch, gdy Katie z Kyną dotarła do Grange Road swoim granatowym fordem focusem. Za nią jechał radiowóz z dwójką młodych mundurowych. Zaparkowali tuż za nią.

– Jezu, co za upiorne miejsce – mruknęła Kyna, wysiadając z auta i naciągając kaptur workowatego fioletowego płaszcza przeciwdeszczowego.

– Prawie modłę się, by okazało się, że jestem do niczego w rozwiązywaniu zagadek – powiedziała Katie.

Jeden z mundurowych popchnął czarną żelazną furtę i wszyscy czworo ruszyli przez cmentarz porośnięty wybujałą mokrą trawą.

– Szkoda go. – Kyna zatrzymała się przed niewielkim granitowym nagrobkiem z napisem: *Aoife Murphy, teraz Anioł pomiędzy Aniołami, zmarł w wieku 12 lat, 17 września 1876 roku.*

Doszli do kościoła. Drzwi były zamknięte, ale metalowy rygiel, który je niegdyś zabezpieczał, był wygięty, a kłódka zwisała otwarta. Razem popchnęli drzwi. Przerazliwie skrzypiąc, stanęły otworem. Wyjęli latarki, żeby rozejrzeć się po wnętrzu.

Było tam nie tylko ciemno, ale też tak zimno, że wyglądało, jakby wszyscy czworo palili papierosy i wydmuchiwali dym. Posuwali się środkiem. Ich kroki odbijały się echem od murów, promienie latarek przecinały się niczym miecze świetlne w pojedynku.

– Od jak dawna ten kościół stoi opuszczony? – zapytał jeden z mundurowych, świecąc na witraże nad ołtarzem. – Nawet jeśli nie ma tu żadnych ciał, założę się, że są duchy.

– Nie wiem na pewno – odparła Katie. – Słyszałam chyba, że jakieś przedsiębiorstwo chciało przekształcić go w spopielnię zwłok, ale tutejsi mieszkańcy zaprotestowali.

– Nie zgodzili się na spopielnię na cmentarzu? Co za logika!

W tym momencie doszli do nawy poprzecznej i światła latarek trafiły na chrzcielnicę. Przed nią na posadzce siedzieli związani plecami do siebie trzej

sygnaliści. Bez głów. Każdemu na ramionach utworzyła się szkarłatna pelerynka zaschniętej krwi. I każdemu z kikuta szyi sterczał, zatknięty trochę krzywo, błyszczący flet.

Katie podeszła i patrzyła na nich. Kyna przystanąła tuż za nią i dotknęła jej ramienia.

– To nie twoja wina – szepnęła cicho, tak by nie usłyszeli jej mundurowi. – Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby ich ochronić. Nie wiem, co jeszcze mogłabyś zrobić.

– Jeśli to nie moja wina, to czyja?

– Tych, co ich zamordowali, i tych, którzy wydali adresy kryjówek zabójcom. Nie twoja.

– A jednak czuję się za to odpowiedzialna.

Kyna uniosła dłoń, jakby chciała raz jeszcze dotknąć jej ramienia, ale dała spokój.

– Znajdziemy ich, odpokutują za to – powiedziała. – Nie chcę służyć w policji, w której muszę się bać sprzeciwiać korupcji, szykanom i molestowaniu. I ty też nie chcesz.

Katie obejrzała się na mundurowych. Promienie ich latarek nadal niczym świetliki migały wokół bezgłowych ciał sygnalistów.

– A gdzie ich głowy? – zapytał jeden. – Nigdzie nie widzę tych cholernych głów.

Obaj wyraźnie oniemieli z przerażenia.

– Dzwońcie do nadkomisarza Pearse’a, dobrze? Powiedzcie, co znaleźliśmy – zaordynowała Katie. – Ja poinformuję komendanta MacCostagáina.

– Będzie zachwycony – mruknęła Kyna.

Katie nie mogła oderwać wzroku od fletów sterczących z szyj ofiar. Ale czekając, aż MacCostagáin odbierze telefon, zauważyła też, że sierżant MacAuley i funkcjonariusz Ó Grádaigh trzymają się kurczowo za ręce, jak kochankowie albo bracia, którzy uciekają przed śmiercią.

Rozdział 32

– Nie mogę tak żyć – powiedziała Eithne, puszczając brzeg zasłony.

Michael Ó Doibhilin usiadł na łóżku.

– Oni tam są, żeby cię chronić, skarbie. Będą tam dwadzieścia cztery godziny na dobę, póki ten cały cyrk się nie skończy.

– Ale ja nie chcę, żeby mnie pilnowali. Chcę żyć normalnie, bez poczucia, że coś mi grozi.

– Będzie dobrze, przysięgam na wszystkie świętości. Nikt ci nic nie zrobi.

Eithne przysiadła na brzegu łóżka. Była szczupłą dwudziestojedynką o skórze tak bladej, że niemal przezroczystej, i błyszczących ciemnych włosach opadających aż za talię. Miała ładną owalną twarz, ogromne brązowe oczy i kiedy tak siedziała w zwiewnej białej koszuli nocnej, Michael pomyślał, że przypomina wróżkę ze Świetlistego Dworu, z tych, co to zawsze są piękne i dobre dla mężczyzn, ale w zamian wymagają bezustannych dowodów miłości, inaczej uciekają na wzgórze.

– Nie mogę, Michael. Po prostu nie mogę. Ty też się przez to zmieniłeś.

Wiedział, co jego dziewczyna ma na myśli. Kiedy pojawił się u niej po porwaniu, chciał się z nią kochać, ale po kilku minutach erekcja minęła i żadne pieszczoty nie przywróciły wzrodu.

– To co chcesz zrobić? – zapytał.

– Mam zamiar wyjechać na jakiś czas. Wracam do mamy i taty.

– Twoi rodzice mieszkają w Mayo, skarbie. Jak będę mógł się z tobą widywać?

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń leżącą na kołdrze.

– Nie będziemy się spotykać, Michael. Z nami koniec.

Patrzył na nią oniemiały.

– Co? Chyba nie mówisz poważnie, Eithne. Powiedz, że to był żart.

– Michael, ja się nie tylko boję. Jestem po prostu przerażona. Dziś rano byłam w markecie i zaczął łązić za mną jakiś facet. Gapił się tak, jakby miał lada chwila rzucić się i mnie zadźgać.

– Daj spokój, skarbie, to pewnie tylko jakiś nachalny adorator. Zawsze ci się tacy trafiają, wiesz przecież. Tu jesteś bezpieczna, wierz mi.

– Michael, ja chcę się czuć bezpieczna dlatego, że nikt na mnie nie poluje. A nie dlatego, że ochrona siedzi pod drzwiami dzień i noc.

– Mówiłem ci już. Nie będę zeznawał przeciwko Seamusowi Twomeyowi. A póki trzymam buzię na kłódkę, on nic ci nie zrobi.

– No tak, ale przypuśćmy, że wypśnie ci się coś, przez co go aresztują? Albo go przymkną, bo ktoś inny coś powie, a on pomyśli, że to przez ciebie go zwinęli?

– Eithne, kocham cię.

– Ja ciebie też, Michael, ale moja siostra Brigid ostrzegала mnie od samego początku. Ona też kiedyś chodziła z kimś z Garda Síochána i mówiła, że to jest zupełnie inny gatunek ludzi. Rozumiesz? Ty też taki jesteś.

– Jestem całkiem zwyczajny, skarbie, mam takie same uczucia jak każdy inny człowiek.

Pochyliła się i pocałowała go, ale zaraz pokręciła głową, aż zakołysały się jej długie włosy.

– Nie, Michael, nie jesteś zwyczajny. I dlatego cię kocham. Ale z tego samego powodu nie mogę z tobą zostać.

– Mógłbym postarać się, żeby oddelegowali mnie do Mayo.

Znów pokręciła głową.

– Nawet gdyby, to nadal będziesz ty, a to dla mnie niebezpieczne. Jeśli nie Seamus Twomey, zawsze znajdzie się jakiś inny bandyta, wcześniej czy później.

Urwała na chwilę. Patrzyła, jak po jego policzkach zaczynają płynąć łzy.

– Wiem, co myślisz. Że jestem nielojalna, niewierna i okrutna, ale mnie boli to dwa razy bardziej niż ciebie. Mimo to nie mogę tak żyć. Po prostu nie mogę.

Wziął kilka głębokich wdechów, a potem odrzucił kołdrę.

– W takim razie zbieram się stąd.

– Nie musisz dziś iść, Michael. Przecież chyba możesz zostać do rana?

– Po co? Jaki w tym sens? Rzucasz mnie, więc po co mam tu sterczeć.

Siedziała, obserwując go, jak podnosi bokserki, dzinsy i ubiera się. Teraz i ona pochlipywała; jej wąskimi ramionami wstrząsał szloch, drgały spazmatycznie jak stopka pracującej maszyny do szycia.

– To nie musi być koniec na zawsze – jęknęła żałośnie.

– No, poczekamy, zobaczymy, prawda? – powiedział Michael, kiedy wysunął głowę z wkładanego swetra. Teraz był na nią zły. I na siebie za to, że płakał.

– Proszę, zostań.

– Daj spokój.

– Proszę. Nie sądziłam, że tak się zezłościś i nagle mnie tu zostawisz.

– Twój wybór, nie da się tak, żeby i wilk był syty, i owca cała, Eithne. Poza tym mam coś bardzo pilnego do załatwienia w pracy.

* * *

Opuścił jej studenckie mieszkanie na Seven North Mall, wychodzące na rzekę Lee, i podjechał na Blarney Street do baru Halfway. Kilku stałych bywalców stało na zewnątrz, popalając papierosy, kiedy wysiadał z samochodu. Patrzyli na niego tak, jakby szedł chodnikiem nagusieńki.

Przepychał się do baru przez zatłoczony lokal. Muzyka i śmiechy były głośne jak zwykle. Seamus Twomey, Douglas Quinn i Gwenith siedzieli przy swoim stałym stoliku. Towarzyszyło im dwóch krzepkich zabijaków. Jeden z ogoloną głową, drugi na czubku zostawił sobie rudego języka, ale obaj mieli grube wytatuowane karki. Na jego widok zrobili miny, jakby zobaczyli wchodzącego tu ducha dawno zmarłego krewniaka.

Podszedł do nich i popatrzył na każdego po kolei.

– Jak się macie? – zagadnął. – Komuś dolewka?

Gwenith wydeła policzki i uderzyła dłonią o blat.

– O rany! Jezusie święty!

Seamus Twomey odchylił się na krzesło i zmierzył Michaela złowrogim spojrzeniem, w którym było jednak i coś w rodzaju podziwu.

– Ty to masz jaja, koleś, tego ci nie odmówię.

– Chcesz pogadać czy nie? – zapytał Michael.

– Dobra – mruknął Twomey. Uniósł dłoń i strzelił palcami na barmankę. – Maureen... nalej nam wszystkim jeszcze, kotku, a tej świni po cywilnemu też, cokolwiek tam chce. Ale to ta świnka tym razem płaci. – Potem zwrócił się do Michaela: – No, dawaj, przysuń sobie krzesło. Wyglądasz na kogoś, komu coś chodzi po głowie.

Michael przyciągnął krzesło od sąsiedniego stolika i usiadł obok Gwenith. Cofnęła się nieco, poprawiła skomplikowanym ruchem piersi i spiorunowała go wzrokiem, wydymając z pogardą wąskie usteczka.

– Nie musisz się martwić o Farry’ego – zaczął Michael. – Nie będę zeznawał przeciwko niemu ani przeciwko Vincentowi.

– Farry jest oskarżony o zastrzelenie jednego z twoich kumpli – warknął groźnie Douglas Quinn. – Niby czemu nie chcesz, żeby go za to załatwili?

– Bo mam dość traktowania mnie jak gówno, jeśli już chcesz wiedzieć. Zmęczyło mnie harowanie dzień i noc bez kasy za nadgodziny. A kiedy udaje mi się kogoś złapać, to i tak całą zasługę bierze na siebie mój szef.

– No tak, ale bycie gliną to powołanie – powiedział kpiąco Twomey, nadal odchylony, z jedną ręką przewieszoną za oparcie krzesła. – Jak u księdza. Nie robisz tego dla pieniędzy.

– Trafieś – rzucił Michael. – Gdybyś wiedział, ile forsy mi wiszą, tobyś nie uwierzył. Lekko ponad trzydzieści cztery tysiące, brutto. A mam iść na emeryturę, jak skończę pięćdziesiąt pięć lat. Więc kiedy mnie porwałś...

Twomey wyprostował się gwałtownie, mrużąc oczy. Michael umilkł na chwilę i zaraz się poprawił.

– ...powiedzmy, że kiedy zaprosiłeś mnie do Crosshaven, zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko tego warte. Ty kręcisz setkami tysięcy euro w fentanylu i kto wie w czym jeszcze, a ja próbuję cię powstrzymać, ryzykując życie i połamanie nóg. Przecież nigdy nie uda mi się wygrać z przemysłem narkotyków... Więc czemu by nie podejść do tego bardziej praktycznie i nie zawrzeć jakiegoś rozsądnego porozumienia, co?

Maureen przyniosła drinki i postawiła je na stoliku. Michael wyjął portfel i zapłacił.

– Resztę zatrzymaj – powiedział. – Zaczynam kampanię na rzecz nisko opłacanych pracowników.

– Kiedy mówisz o „rozsądnym porozumieniu”, co konkretnego masz na myśli? – zapytał Twomey, znów opierając się wygodnie.

– Mogę dopilnować, żeby wszystko, cokolwiek wysyłasz przez Rosslare czy Ringaskiddy, przechodziło przez cło nieotwarte i bez problemu. Mam mnóstwo kontaktów wśród celników i właściwie mogę zagwarantować, że popatrzą w inną stronę, a ich psy będą wachać dupy innych psów, a nie twój towar.

– W zamian za co?

– Za pięćset euro od transportu.

– Skąd mam wiedzieć, czy ci ufać? Mogę powiedzieć ci, że coś przesyłam, prawda? A za chwilę twoje chłopaki to przechwycają, a mnie zapudłują.

– Po co miałbym coś takiego robić? Przecież nic bym z tego nie miał, tylko celnicy wyszliby na bohaterów.

– A my już byśmy cię znaleźli – wtrąciła Gwenith. – Nie lubimy glin sprawiających nam kłopoty.

Michael obejrzał się na nią. Ze sposobu, w jaki na niego patrzyła swoimi małymi świńskimi oczkami, zorientował się, że wcześniejsze przecucia go nie myliły. Była najbardziej wpływowym członkiem tego gangu. Nie jej brat i nie Douglas Quinn. Mogło się wydawać, że to tylko gruba, zachłanna dziwka, ale

widać było, że tamci ją szanują – a tak naprawdę wydawało się nawet, że się jej boją – i że dostanie wszystko, czego tylko zechce. W końcu chciała jego i Seamus zadbał, żeby go dostała.

– Możesz mi ufać, bo nie będę zeznawał przeciwko Farry’emu i Vincentowi. Z tego, co słyszałem na komendzie, trudno im będzie dowieść, że Farry nie zastrzelił O’Briena w obronie własnej, bo jest przecież bezstronny świadek, który podtrzymuje tę wersję zdarzeń. A jeśli chodzi o zderzenie, w którym zginął Buckley... przecież to mógł być wypadek. Wydaje mi się, że najgorsze, co mogą mieć na Farry’ego, to nielegalne posiadanie broni i nieostrożna jazda. Pewnie nawet nie zostanie skazany na odsiadkę.

– No jasne... Nicky Bourke sądzi, że Farry łatwo się z tego wykaraska – powiedział Twomey. – Oczywiście pod warunkiem, że ty nie zmienisz zdania i nie zaczniesz kłapać dziobem.

– Na razie musicie mi wierzyć na słowo – rzucił Michael. – Przekonacie się, kiedy Farry i Vincent staną przed sądem.

– A do tej pory nadal mamy polisę ubezpieczeniową – wtrąciła Gwenith. – Tę twoją śliczną lalunię, Eithne. Póki będziesz trzymał gębę na kłódkę, Tommy czy Michael, czy jak ci tam naprawdę na imię, ona będzie dalej śliczna. To przerażające, co taki kwas siarkowy może zrobić z twarzą ładnej dziewczyny.

Michael nie skomentował jej słów, tylko uniósł szklanekę i spytał:

– To jak, umowa stoi?

Seamus Twomey uniósł swoją, Douglas Quinn również.

– Nadal nie bardzo ci wierzę, krętaczu – warknął ten pierwszy. – Ale robiłem już sporo interesów z gliniarzami i większość z korzyścią dla obu stron, poza tymi kilkoma przypadkami, kiedy się nie powiodło.

W tym momencie także Gwenith podniosła szklanekę. Z jabłkowym poitini.

– A te, które się nie powiodły... – zawiesiła głos. – Gdybyś ty wiedział, jak oni skończyli...

Posłała Michaelowi lepki czerwony uśmieszek i przesunęła tłustym paluchem po swoim drugim podbródku, jakby podcinała gardło.

Uśmiechnął się do niej i mrugnął. Gdybyś ty wiedziała, co myślę. Wolałbym raczej, żeby podcięli mi gardło, niż jeszcze raz iść z tobą do łóżka.

* * *

Było już dobrze po północy, a Katie wciąż znajdowała się w kościele w Athnowen. Grange Road została odgradzona. Stały na niej radiowozy, furgonetki techników i dwa ambulanse. Katie patrzyła, jak ludzie Billa Phinnera pobierają próbki krwi i DNA, a także robią mnóstwo zdjęć w podczerwieni i badają rozarte ślady butów na zapiaszczonej posadzce przy chrzcielnicy.

O szóstej wyszła na zewnątrz, by złożyć oświadczenie dla mediów, i jeszcze raz o dziesiątej. Powiedziała im tylko, że odnaleziono ciała trzech sygnalistów z odciętymi głowami, tak jak to było w przypadku poprzednich dwóch, bo media i tak już o tym wiedziały. Nie wyjaśniła, jak zostali porwani, i nie łączyła tego z zastrzeleniem ochroniarza Declana Summersa na Mount Farran.

Kazała detektyw Murrish skontaktować się z biurem sędziego McGuigana w Dublinie. Kolejnych trzech sygnalistów miało składać zeznania przed komisją, ale nie w ciągu najbliższych ośmiu tygodni. Na ile to możliwe, ich nazwiska i treść materiałów dowodowych, które mieli przedstawić, trzymano w tajemnicy, choć powszechnie było wiadomo, że jedne z nich dotyczą nadużyć finansowych w Garda College w Templemore.

Detektyw inspektor Fitzpatrick przyjechał do kościoła tuż po siódmej i teraz podszedł do Katie.

– Czemu nie jedziesz do domu? Mogę to już przejąć. Nie będziemy zabierać ciała jeszcze przez co najmniej godzinę.

– Dziękuję, Robert. Przydałoby mi się parę godzin snu. Ustalmy, że omówimy wszystko jutro o dziewiątej.

Fitzpatrick spojrzał na trzy bezgłowe ciała. Rozwiązano już ich pęta i zostali oddzieleni. Leżeli na noszach. Technicy z aparatami fotograficznymi i latarkami na podczerwień pochylali się nad nimi.

– Módlmy się do Boga, żeby to już były ostatnie ofiary – powiedział. – Trzeba będzie powiadomić ich bliskich. Rozpacz. To, że odcięto im głowy i powtykano w szyje flety, już samo w sobie jest wystarczająco straszne, ale rodziny zdążyły o tym usłyszeć w wiadomościach. Najgorsze, że nie wiadomo, gdzie są głowy, a my nie mamy wielkich nadziei, że kiedykolwiek je znajdziemy. Jak ci ludzie mogą uznać, że sprawa jest zamknięta, jeśli muszą pochować swoich bliskich bez głów?

– Nie wiem – odparła Katie. – Mam jednak wrażenie, że wcześniej czy później na nie trafimy. Nie pytaj czemu. Zwykle nie wierzę w przeczucia.

Podeszła do Kyny, która rozmawiała z jakąś kobietą z grupy techników. Drobną dziewczyną w bladoniebieskim kombinezonie wyglądała jak Teletubiś.

– Jadę już – oznajmiła Katie. – Może cię podwieźć?

– Byłoby świetnie – ucieszyła się Kyna. – Jestem wykończona.

Poszły cmentarzem do furty i wsiadły do forda Katie.

– Dobrze się czujesz? – spytała Kyna. – Wiem, właśnie wyszliśmy z cmentarza, ale naprawdę wyglądasz jak upiór.

– Jestem potwornie zmęczona, to wszystko. Fizycznie i psychicznie. Rano, kiedy trochę odpocznę, będzie w porządku. Może pojedźmy razem do mnie? Mam znów Barneya. Jest też Foltchain. To przemile towarzystwo, ale wiele z nimi nie pogadasz.

– Naprawdę chcesz?

– Con nadal siedzi w Tipperary. Nie wiem, czy wypuszczą go za kaucją.

Kyna wzięła ją za rękę. A potem obejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, i nachyliła się, żeby ją pocałować.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. No już, jedźmy.

Rozdział 33

Oba psy były zachwycone, kiedy w drzwiach pojawiła się Katie z Kyną. Foltchain krążyła wokół kobiet, trącając nosem ich nogi, a Barney, sapiąc, dreptał po korytarzu, co jakiś czas skowycząc z radości.

– Chodzi już dużo lepiej – powiedziała Katie, targając pieszczotliwie jego uszy. – Pewnie za jakiś tydzień zdejmą mu gips.

– Widzę, że ta dwójka to zgrany tandem – powiedziała Kyna.

Nie dodała „jak my”, choć Katie prawie na to czekała.

Katie zdjęła kurtkę i rzuciła ją na kanapę.

– Wezmę prysznic i idę do łóżka. Mogę ci zrobić gorącą czekoladę, jeśli chcesz.

– Dziękuję, wystarczy szklanka wody. Po prostu pić mi się chce i muszę przepłukać gardło po kurzu w tym kościele.

Katie sprawdziła, czy psy mają dość wody w miskach, i poszła do sypialni. Kyna ruszyła za nią.

– Jezu, mam nadzieję, że nie będą mi się śniły dziś jakieś koszmary – jęknęła Katie.

– Ja też. I coś ci powiem, nie sędzę, że kiedykolwiek jeszcze będę mogła słuchać melodii wygrywanych na flecie, nie myśląc o tych trzech biedakach siedzących tam bez głów.

Obie się rozebrały. Kyna powiesiła bluzkę i sweter na oparciu krzesła. Widziały się już nago, były ze sobą blisko, więc żadna nie czuła się skrępowana. Kiedy Katie zrzuciła stringi, Kyna podeszła do niej, przytuliła ją i pocałowała w usta. Popatrzyły sobie w oczy. Ich piersi ocierały się o siebie.

– Jak myślisz, co stanie się z Conorem? – odezwała się Kyna.

Katie zrozumiała, że to pytanie kryje wiele podtekstów. A głównie: „Jeśli Conor pójdzie do więzienia i już do ciebie nie wróci, czy sądzisz, że jest szansa, żebyśmy byli razem?”

– Nie mam pojęcia – odparła. – Zależy, czy sędzia uwierzy, że Con tylko próbował położyć kres walkom psów organizowanym przez Zezowatego i nie zamierzał zrobić mu krzywdy.

– Kochasz go, prawda?

– Tak, tak mi się wydaje. Przyznam, że kiedy powiedział mi, co zrobił, to był dla mnie szok. Ale bardzo chciał powstrzymać Zezowatego przed dręczeniem i zabijaniem psów. Podziwiam go za to. Poza tym nie sądzę, że jeszcze kiedykolwiek mnie okłamie.

Kyna przesunęła delikatnie czubkiem języka po wargach Katie.

– Uwielbiam smak tego błyszczyka.

– Chodź – rzuciła Katie. – Wykąpmy się, zanim uśniemy na stojąco.

Weszły pod prysznic razem. Kiedy Katie odkręciła kran, poleciała na nie lodowata woda. Obie pisnęły, jak to dziewczyny. Po chwili zaczęła robić się cieplejsza, a one wmasowywały sobie nawzajem we włosy szampon i mydliły się – nie po to, by się podniecić, ale by zmyć z siebie horror minionego dnia.

Całowały się i przytulały pod lecącą z prysznic woda. Ich języki bawiły się ze sobą. Katie znajdowała w tym pociechę. Z ulgą zaczęła się odprężyć. Był ktoś, kto ją kochał i rozumiał, i nie oczekiwał od niej nic poza uczuciem.

Potem wysuszyły włosy, umyły zęby i położyły się razem do łóżka. Każda miała na sobie górę od piżamy Katie. Katie różową, a Kyna jasnoniebieską.

– No dobrze – powiedziała Katie, wyłączając lampę przy łóżku. – Musimy wstać o siódmej, co daje nam pięć godzin snu.

Kyna objęła ją ramieniem i mocno przytuliła.

– Mam nadzieję, że uda mi się przestać myśleć o tych sygnalistach.

– Próbuj liczyć ślimaki.

– Ślimaki?

– Mama zawsze tak mi mówiła. Tłumaczyła, że są o wiele wolniejsze od baranów, więc wystarczy policzyć do trzech i już śpisz.

– My przekręcałyśmy rymowanekę i skandowałyśmy: „Ślimak, ślimak, pokaż rogi, bo zrobię z ciebie pierogi”. Urocze dziewczynki z nas były, co?

– Zastanawiam się, czy to bardzo boli, jak ci ścinają głowę – odezwała się Katie. – Może nie aż tak, zwłaszcza jeśli się to robi piłą łańcuchową. Pewnie w parę sekund jest po wszystkim.

– Zastanawiałam się nad tym, o czym mówiłaś wcześniej... o tym, kto mógł ich zabić i dlaczego. Jak wspomniałaś, każdy z sygnalistów wysuwał zarzuty związane z czymś zupełnie innym, dlaczego więc mieliby chcieć ich zabić ci sami ludzie? A wydaje się raczej pewne, że i tych poprzednich dwóch, O'Regana i Lacey, zamordowali ci sami.

– Musimy odkryć, kim jest ten „szef szycha”. Wygląda na to, że to on za wszystko płaci, a kiedy uda się nam rozszyfrować, kto to taki, może i trafimy na motyw.

– Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby był z komendy głównej w Dublinie. To ktoś z Phoenix Park starał się za wszelką cenę oczernić sierżanta McCabe'a, prawda? Założył podsłuch na jego telefon, wysyłał maile wskazujące, że jest niekompetentny i że jest pedofilem. Biedak o mało się nie załamał.

– Tak, ale dyskredytowanie sygnalistów to jedno. Odcinanie im głów to coś zupełnie innego. Niewykluczone jednak, że masz rację. To może być ktoś z komendy głównej albo Ministerstwa Sprawiedliwości. Ktoś wysoko postawiony, kto nie sądzi, by mógł być złapany, bo przecież nikt nie odważy się na niego kablować.

Kyna odruchowo gładziła jej włosy.

– Wiesz, to może być bardzo niebezpieczna sprawa – powiedziała. – Jeśli ten „szef szycha” bez wahania ścina głowy sygnalistom, to co zrobi, kiedy będziemy blisko zdemaskowania go? Albo jej.

– Nasunęłaś mi pewien pomysł – mruknęła Katie. – Może to jest jakiś sposób, żeby zmusić go do wyjścia z ukrycia? Albo ją, masz rację.

– Mów dalej.

– Przypuśćmy, że ja sama poszłabym do szefa wydziału wewnętrznego O'Malleya ze skargą na jakieś przekręty na Anglesea Street?

– Przekręty na Anglesea Street? Takie, o jakich jeszcze nie wiemy?

– Pamiętasz ten burdel w wynajętym domu w Wilton... ten prowadzony przez dwie Rumunki? Mówiły, że działają na własną rękę, ale mieliśmy wszelkie podstawy, by sądzić, że stoi za tym gang Văduva.

– No tak, zamknęliśmy go.

– Ale od jakiegoś czasu mam podejrzenia, że działają znowu, bardziej dyskretnie, uważając, żeby tym razem nie było nalotu. Odplacają się niektórym funkcjonariuszom regularnymi tak zwanymi masażami. Nie raportowałam tego, bo nie mam jeszcze twardych dowodów, ale jeden z moich stałych informatorów dał mi cynk i podsłuchiłam coś w kantine. Jestem w stu procentach pewna, że to się dzieje.

– Katie, jeśli to zrobisz, mogą przyjść i po ciebie. Nie uśmiecha mi się leżeć tu obok pani nadkomisarz bez głowy. To byłoby trochę jak w *Ojcu chrzestnym*.

– No i o to chodzi, Kyno. Chcę, żeby po mnie przyszli. Jak inaczej dowiemy się, kim jest ten „szef szycha”? Będę uzbrojona i w pełni gotowa na konfrontację.

– Katie...

– Nie martw się tym, jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji. Zdrzemnijmy się trochę, na litość boską, dobrze? Bo rano będziemy do niczego.

– Teraz to mnie dopiero zmartwiłaś. Jak możesz liczyć, że zasnę?

– No dobrze. Nie zrobię tego. Zadowolona?

* * *

Kiedy jednak rano jechały do centrum, Katie powiedziała:

– Zamierzam to zrobić. Nie widzę innego sposobu.

– Wiedziałam – jęknęła Kyna. Teraz przeszły na tryb służbowy, więc nie dodała „Jesteś uparta jak osioł”. – Ale lepiej uważaj, żeby nie ucięli ci głowy, bo

przysięgam na Boga, że inaczej nigdy w życiu już się do ciebie nie odezwę.

– Najpierw muszę jeszcze trochę posprawdzać. Upewnić się, czy te Rumunki się nie wyprowadziły albo nie wróciły do Rumunii. Nie chcę wyjść na totalną idiotkę.

– Wolę żywą idiotkę niż martwego geniusza.

Wkrótce po tym, jak Katie usiadła za biurkiem, a Moirin przyniosła jej cappuccino, zajrzał Bill Phinner. Jak zwykle wyglądał na kogoś, kto zgubił pięćdziesiąt euro, a znalazł pięćdziesiąt centów, ale idąc w jej kierunku, uniósł kciuki.

– Co jest, Bill? – spytała.

Pokazał jej plastikową torebkę na dowody. Tym razem nie było w niej pocisku, ale szary plastikowy uchwyt o długości dwunastu centymetrów.

– Jest szansa, że szczęście nam dopisało – powiedział. – Znaleźliśmy to za chrzcielnicą. Służy do uruchamiania piły łańcuchowej i wygląda na to, że urwało się, kiedy facet ją włączał. Zdarza się to od czasu do czasu, a jak pamiętasz z analizy ran na szyjach ofiar, ta piła musiała być dość zużyta.

– I co nam to mówi?

– Tak naprawdę całkiem sporo. Facet miał rękawiczki, kiedy pociągał za uchwyt, ale znaleźliśmy na nim jeden czy dwa zatarte ślady.

– Nie na wiele się zdadzą, póki nie aresztujemy sprawców – skwitowała Katie. – Zresztą nawet wtedy nie będzie to ostateczny dowód, że ten, kto je zostawił, był katem.

– Owszem. Ale ważniejszy jest sam uchwyt. Porównaliśmy go ze wszystkimi piłami łańcuchowymi oferowanymi w katalogach lokalnych outletów z narzędziami i wiemy, że pochodzi z modelu Husqvarna czterysta pięćdziesiąt. Są tylko dwa miejsca, gdzie można takie kupić. Jedno w Limerick, drugie to centrum ogrodnicze we Frankfield, na Ballycurreen Road. Dzwoniłem do nich rano. Odnotowują wszystkich kupujących takie piły, ze względu na gwarancję. W ciągu ostatnich dwóch lat sprzedali tylko pięć egzemplarzy tego modelu.

Przyślą nam mailem dane tych klientów, kiedy przyjdzie dziewczyna, która zajmuje się księgowością.

– Dobra robota, Bill. Przynajmniej na początek. Coś jeszcze?

– Flety pasują do opisu tych skradzionych w Music Market. A co więcej, na każdym jest ślad śliny i są odciski palców. Jeśli więc będziesz już kogoś miała, nie będzie mógł zaprzeczyć, że jest w to zamieszany.

– Uderzające, że byli tak nieostrożni – powiedziała Katie. – Zwłaszcza jeśli choć jeden z nich jest z Garda Síochána. Przecież dziś nawet największy tępak i każdy przestępca wie o DNA.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to oni nie uważają, bo mają to gdzieś. Nie sądzą, że uda się ich złapać, a nawet jeśli, to że za to bekną.

– No dobra, Bill. Dziękuję. Mamy spotkanie o dziewiątej, będziesz mógł przekazać swoje ustalenia reszcie zespołu.

Phinner podniósł uchwyt i wpatrywał się w niego, jakby irytowało go, że nic więcej nie może z niego odczytać.

– Nie wiem czemu, ale w tej sprawie mam bardzo złe przeczucia. Chwilami myślę, że lepiej byłoby pochować naszych zmarłych z honorami i zapomnieć o wszystkim.

– Nie bądź takim pesymistą – rzuciła Katie.

– Pięknie, że mnie podbudowujesz, ale jak mawiał mój stary dziadek, wolę przewidywać najgorsze, niż dać się niemiło zaskoczyć.

* * *

Jakieś dwadzieścia minut później przyszli do niej Fitzpatrick i dwójka detektywów: Murrish i O’Crian. Przesłuchali dwóch ochroniarzy, którzy pilnowali sierżanta MacAuleya i Ó Grádaigha. Obaj zostali dotkliwie pobici – jeden kijem baseballowym, drugi młotkiem. Ten od sierżanta MacAuleya został po opatrzeniu odesłany do domu, ale ochroniarz Ó Grádaigha nadal przebywał w szpitalu. Miał pęknięcie czaszki.

– Obaj podali identyczny opis – oznajmił Fitzpatrick. – Trzech solidnie zbudowanych facetów, wszyscy ubrani w czarne dżinsy i kurtki, w czarnych kominiarkach na głowach. Jeden z nich miał obrzyn i zdecydowanie był przywódcą, bo to on gadał. Potrafili powiedzieć tylko tyle, że miał ochrypły głos z akcentem typowym dla Waterford.

– A więc to ci sami ludzie porwali zarówno MacAuleya, jak i Ó Grádaigha?

– Na to wygląda. Zgarnęli ich w odstępie mniej więcej czterdziestu pięciu minut, możemy więc przyjąć, że MacAuleya zawieźli do kościoła w Athnowen i zostawili tam skrupowanego, a sami wrócili po Ó Grádaigha i Wassana. Nie wiemy dokładnie, kiedy wzięli Wassana, ale właśnie szykował sobie śniadanie, więc pewnie on był ostatni po tamtych dwóch. Ich wywieźli między szóstą dwadzieścia pięć a siódmą dziesięć.

– I nikt nie widział tych trzech mężczyzn albo samochodu, którym przyjechali?

– Nikt. Ale naprzeciwko kryjówki, po drugiej stronie ulicy w Ballyvolane, mieszka pewna staruszka. Podejrzewamy, że jednak coś widziała, tylko boi się nam powiedzieć, żeby i jej nie stało się coś złego. Poślę tam jeszcze Murrish, żeby z nią pogadała. Może w rozmowie z młodą kobietą, w cztery oczy, nie będzie aż tak wystraszona.

Po wyjściu Fitzpatricka, Murrish i O’Creana Katie odebrała telefon od patolożki, doktor Kelley.

– Oczywiście przebadam jeszcze dokładniej te trzy ciała, ale chciałam ci powiedzieć, że to niemal pewne: głowy zostały ścięte piłą łańcuchową, tą samą co w przypadku dwóch poprzednich ofiar – oznajmiła. – Do południa będę w stanie stwierdzić, czy się nie mylę.

– Znaleźliśmy już coś, co wskazuje na użycie piły łańcuchowej – powiedziała Katie. – Niedaleko ciał leżał urwany uchwyt od linki uruchamiającej piłę.

– A właśnie, jest coś jeszcze – rzuciła doktor Kelley. – Te dwa ciała z pożaru w Ballyknock...

– Chodzi ci o Zezowatego McManusa i znaną przy nim kobietę? Jak ona się nazywała?

– Rosella Rooney. Tak. Przysłał mi tu ich szczątki ze szpitala regionalnego w Limerick. Miałam jechać tam i przeprowadzić sekcję na miejscu, ale trzeba się zająć dwiema ofiarami wypadku z Ballincollig, no i doszły te trzy ciała ze ściętymi głowami. Inspektor Carroll z Tipperary Town kazał mi cię powiadomić. Mówił, że się tym interesujesz.

– No tak, niestety. W każdym razie dziękuję za wiadomość.

– Wątpię, żebym miała ci wiele więcej do powiedzenia w tej sprawie. Według inspektora Carrolla oba ciała są w tak dużym stopniu spalone, że trudno je nawet rozpoznać.

– Dzięki. Do usłyszenia.

Katie odłożyła telefon. Przez cały rano starała się nie myśleć o Conorze, ale na próżno. Nawet jeśli sąd uwierzy, że podpalił przyczepę, nie zdając sobie sprawy, że McManus z przyjaciółką byli w środku, śpiący lub pijani, niemal na pewno dostanie wyrok odsiadki za spowodowanie zagrożenia dla życia. A najadła się już dość wstydu za swojego byłego męża, Paula, z powodu jego machlojek przy materiałach budowlanych. Jak ma zachować wiarygodność jako nadkomisarz, detektyw, skoro żyła z podpalaczem?

Skończyła spisywanie wytycznych w sprawie pogrzebów detektywów Buckleya i O'Briena i przekazała je Moirin, żeby ta przesłała je do komendy głównej w Dublinie i sekretariatu diecezji przy Redemption Road. Po południu czekały ją wizyty u żony sierżanta MacAuleya i partnerki funkcjonariusza Ó Grádaigha, co było już samo w sobie dość ciężkim zadaniem. A w dodatku musiała poprosić Mathew McElveya o zorganizowanie konferencji prasowej, żeby wyjaśnić, jak to się stało, że trzech sygnaliści zostali porwani i zabici, choć powinni mieć zapewnioną ochronę policyjną.

Zwiesiła głowę. Czuła się tak, jakby dźwigała na barkach całą warownię Rock of Cashel. Kiedy tak siedziała, wrócił detektyw O'Crean.

– Przepraszam, pani nadkomisarz, zapomnieliśmy powiedzieć pani, że naprzeciwko Mervue Lawn na Glenheights Road jest sklep spożywczy. Mają przed wejściem kamerę.

– Tak? – Katie uniosła wzrok.

– Jest szansa, że w czasie, kiedy porwano MacAuleya, na zapisie znajdzie się jakiś przejeżdżający samochód. Właśnie przeglądamy nagranie. – Zawahał się. – Dobrze się pani czuje?

– Wszystko w porządku, Cairbre. Po prostu mało spałam. Słuchaj, jesteś teraz zajęty? Jeśli nie masz nic pilnego, bądź tak dobry i podjedź do Wilton, na adres, który ci dam, i sprawdź, czy mieszkają tam jeszcze dwie Rumunki.

Obróciła się do komputera i szybko poszukała raportu o dwóch kobietach aresztowanych za prowadzenie burdelu.

– Zostały skazane za prowadzenie nielegalnej agencji i przysięgały, że nigdy więcej nie będą mieszać się w tego typu interesy, ale doszły mnie słuchy, że znów są w grze. Jeśli je zastaniesz, spytaj, czy mógłbyś umówić się na masaż i ile to kosztuje.

Detektyw O’Crean popatrzył na nią zaniepokojony.

– A jeśli się zgodzą? Mam to zrobić? To znaczy... wziąć ten masaż?

– Gdyby mówiły, że tak, to spytaj, czy to obejmuje szczęśliwe zakończenie, czy też wtedy trzeba dopłacić. Bez względu na to, jaką cenę podadzą, powiedz, że to dla ciebie za drogo, podziękuj pięknie i wyjdź.

– A jak zaproponują zniżkę?

– To i tak się pożegnaj. Nie chciałabym, żeby oskarżano nas o to, że zastawiamy pułapki.

– No dobra. Mam je nagrać? To znaczy... planujemy je zgarnąć i postawić przed sądem?

– Nie. Chcę tylko wiedzieć, czy jeszcze tu są i czy nadal działają w seksbiznesie.

– W porządku.

– Pewnie zastanawiasz się, po co mi to – dodała Katie. – Na razie nie mogę ci tego powiedzieć, ale zrobię to, jak tylko będę mogła. To w ramach operacji Motyl, tyle mogę ci zdradzić. To nie ma nic wspólnego ze stręczycielstwem.

– Nie ma sprawy, pani nadkomisarz. Robiłem już takie rzeczy. Były takie dziewczyny, które proponowały szybkie numerki za stacją autobusową Sligo, a ja musiałem udawać, że jestem czymś takim zainteresowany. Tego dnia lało jak z cebra i nie wiem, komu bardziej ulżyło, kiedy je aresztowałem, im czy mnie.

Rozdział 34

Michael Ó Doibhilin szedł tyłami stacji benzynowej Maxol na Watercourse Road. Miał postawiony kołnierz granatowej wełnianej kurtki i tweedową czapkę naciągniętą głęboko na czoło. Od frontu znajdowały się kamery i choć było mało prawdopodobne, że ktoś go zobaczy i później zidentyfikuje, wolał nie ryzykować.

Zbliżył się do drzwi betonowego magazynu na zapleczu stacji, szybko się rozejrzał, a potem zapukał siedem razy – trzy razy podwójnie, raz pojedynczo – tak jak poinstruował go Seamus Twomey.

Poczekał. Sfatygowane drzwi były pomalowane na bordowo. Na rdzewiejącej tabliczce widniał napis: *G. Monahan, DZIAŁ TECHNICZNY*. Minęła pewnie minuta i już kusiło go, żeby zapukać znowu, ale usłyszał w środku głosy i zgrzyt zamków.

Drzwi otworzył jeden z osiłków Twomeya. Michael nie widział go wcześniej, ale nie było w tym nic specjalnie dziwnego, skoro gang liczył z trzydziestu, czterdziestu facetów. Ten gość wyglądał jak Budda, gdyby Budda zapuścił kilkunniowy siwiejący zarost i wytatuował sobie wokół szyi grzechotnika. Był w brudnym szarym T-shircie z wyblakłym kolorowym nadrukiem portretu Jezusa.

– Michael, prawda? – upewnił się. – Lepiej wejść. Czekaliśmy na ciebie.

Michael wszedł do środka. Wewnątrz magazynu panował chłód. Pachniało wilgocią jak w wielu starszych budynkach Cork. Okna zamalowano czarną farbą, ale było jasno dzięki dwóm zapalonym świetłówkom wiszącym pod sufitem.

Po lewej stały sterty tekturowych pudeł owiniętych plastikową folią. Pod ścianą z prawej Michael zobaczył części samochodowe i trzy rozmontowane

motocykle, a nawet kosiarki elektryczne i jakieś ogrodowe rzeźby – domyślił się, że wszystko to jest kradzione.

Seamus Twomey i Douglas Quinn byli na miejscu w otoczeniu jedenastu czy dwunastu swoich ludzi. Większość młodych wyglądała modnie, z włosami szczesanymi w czub. Mieli na sobie wąskie dżinsy i ciasne, krótkie, zapinane na suwak bluzy. Ci starsi byli bardziej w stylu mięśniaka, który otworzył drzwi – ciężkiej budowy, łyzi, z bliznami i tatuażami. Nosili czarne skórzane kurtki, kolczyki i ciężkie buciory. Przynajmniej dwóch z nich pamiętał z tego ranka, kiedy go wywlekali z mieszkania Gwenith. Prawie wszyscy palili. Poza dymem nikotynowym Michael wyczuwał też ziołowy aromat marihuany.

Twomey siedział na skrzyni. Opierał dłonie o kolana. Tuż przy nim klęczał jakiś brodaty chudy Azjata o kręconej czarnej czuprynie. Miał przepaskę zawiązaną na oczach, podarte na kolanach dżinsy. Przód białej bawełnianej koszulki był poplamiony krwią. Nadgarstki skuto mu z tyłu kajdankami, a kostki nóg mocno skrępowano nylonowym sznurem do suszenia bielizny.

Kiedy Michael podszedł bliżej, zobaczył, że Azjata został ciężko pobity. Świadczyły o tym opuchnięte wargi, posiniaczone policzki i zaschnięta ciemna krew pod nosem. Ręce też nosiły ślady pobicia, a kąt, pod jakim prawa była zgięta za plecami, wskazywał, że ma wyłamany bark albo że jest złamana kość ramienna.

Z każdym oddechem pochylał się niżej i krzywił z bólu. Pewnie miał też połamane żebra.

– Witaj na imprezie, ściemniaczu – powiedział Seamus. – Słuchajcie, gdyby ktoś nie miał jeszcze przyjemności go poznać, to Michael detektyw! Myślę, że od teraz możemy go nazywać Mickdup!

Wszyscy tak się uśmieiali, że aż zaczęli kasłać.

– Mickdup twierdzi, że ma dość harówki za marne pieniądze, i proponuje nam swoje usługi, żebyśmy mogli sprowadzać więcej towaru przez Ringaskiddy i Rosslare. Chyba można mu zaufać, ale zaprosiliśmy go tutaj, żeby dowiódł nam, że jest w porządku.

Michael rozejrzał się po zgromadzonych członkach gangu i otworzył ramionami kaznodzieja zwracający się do swojej trzódki.

– Dawajcie, chłopaki, zrobię, cokolwiek chcecie. Seamus naświetlił, w czym rzecz. Rzygam już tym, że trzeba tyrać dzień i noc za drobne na McDonalda i w dodatku nikt człowieka za to nie szanuje. Szczerze mówiąc, Seamus wystraszył mnie tak, że mało się nie zesrałem, i wtedy pomyślałem sobie: dlaczego nie miałbym przestać go nękać i nie pomóc mu, żeby sobie dorobić i coś z tego mieć? W gruncie rzeczy co mnie to obchodzi, czy jacyś popaprańcy uzależnią się od psychotropów? Zbliża się Gwiazdka, przyda mi się trochę kasy.

Jeśli spodziewał się oklasków lub jakiegokolwiek oznaki aprobaty, to nic takiego nie nastąpiło. Słysząc było tylko szuranie nogami. Zebrani pokaszali, ale nie odezwali się do niego słowem, tylko z założonymi na piersiach rękami, mrużąc oczy, popatrywali na niego nieufnie i wydmuchiwali z nozdrzy dym. Uznał, że trudno mieć do nich o to pretensje. Od kiedy w krótkich portkach biegali po ulicach, wybijając okna, ściągając słodycze w sklepikach i drażniąc sąsiadów – funkcjonariusze Garda Síochána byli ich zaprzysięgłymi wrogami.

– No dobra – rzucił Twomey. – Oto jak możesz dowieść swojej lojalności wobec Fola na hÉireann...

Zanim mógł skończyć, rozległo się pukanie do drzwi, w tym samym rytmie, który zastosował Michael. Twomey skinął na sobowtóra Buddy, a ten kołyszącym się krokiem ruszył otworzyć. Michael poznał piskliwy głos Gwenith, jeszcze zanim się obejrzał i zobaczył ją, odzianą w sztuczne futerko z lamparcim wzorem. Na głowie miała pasującą do tego czapkę, na nogach czerwone botki z marszczonego lśniącego plastiku.

– Nie spóźniłam się na najlepsze, Seamus? Cholerny telefon! Wpadł mi do toalety i musiałam go suszyć suszarką.

Podeszła i poklepała brata po głowie w błyszczącą łysinę, jakby był małym chłopcem.

– Jak leci, braciszku? – Potem spojrzała na Michaela i dodała: – A ty jak się masz, Michael? Gotów pokazać nam, co potrafisz?

Michael szybko zmusił się, by posłać jej uśmiech. Już czuł jej perfumy, Estée Lauder Beautiful, i przez chwilę miał wrażenie, że znów dusi się pod jej mokrym od potu galaretowatym ciałem.

Twomey wskazał na klęczącego przed nim młodego Azjatę z zawiązanymi oczami.

– Złapaliśmy tego Bonnera z trójką jego kumpli wieczorem dwa dni temu, za rogiem przy Voodoo Rooms. Spuszczali łomot naszemu Jackiemu i chcieli mu zabrać jego ciasteczka. Od jakiegoś czasu ci Bonnerzy próbują wypchnąć nas z rynku, uznaliśmy więc, że czas dać im nauczkę.

Michael dobrze wiedział, że gang Azjatów ostatnio stara się przejąć sprzedaż ecstasy, opioidów i innych narkotyków rekreacyjnych w nocnych klubach miasta. Mieli już zatargi z kilkoma działającymi w Cork grupami handlarzy narkotyków, w tym i z członkami gangu Twomeya. Sporo ludzi z obu stron zostało pobitych, dźgniętych nożem i postrzelonych, choć jeszcze nikt nie zginął.

Seamus Twomey mówił o Azjatach „Bonnerzy”, nawiązując do legendarnego bramkarza Celticu Patricka „Packiego” Bonnera, ale tak naprawdę nie byli to Pakistańczycy, ale Pendźabczycy. Nazywali się Dukhāntanavam – „koszmar senny”.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś jednym z palantów, którzy próbują wywąchać, kto pochłastał tych pięciu gliniarzy kablujących na kolegów?

– Nie – zaprzeczył Michael. – Ja działam w wydziale narkotyków.

Twomey wstał i położył dłoń na wykrzywionym ramieniu Azjaty.

– Oglądaliśmy to, co pokazywali w telewizji o tych gościach. I uważamy, że to całkiem skuteczny sposób radzenia sobie z upierdliwymi dupkami w ogóle, nie tylko z glinami. Weźmy na przykład tych cholernych Bonnerów.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Michael. – Sygnalistom pościnali głowy i powtykali im flety w szyje. Na tym polegał numer, prawda? Fleciki do świstania dla podnoszących alarm świstaków.

– No właśnie, ściemniaczu. Ale nam flety niepotrzebne. Są ciasteczka, które ten drań miał przy sobie, kiedy go złapaliśmy, i możemy je mu zaraz wepchnąć

do szyi, no nie? Będzie widać wyraźnie, o co nam chodzi.

– O, daj spokój... Chyba nie mówisz, że mu obetniecie głowę?

Na te słowa Azjata wydał zdławiony jęk, niczym przerażony pies, i zaczął kołysać się na boki.

– Przestań się ciskać, kurwa! – warknął na niego Twomey, przytrzymując jeszcze mocniej jego ramię. A potem zwrócił się znów do Michaela: – Nie, nie my. Ty obetniesz mu głowę.

– Co? Ja? Chyba jaja sobie robisz!

– Nie, Mick. Wcale nie żartuję. To da nam absolutną pewność, że będziesz z nami szczerzy i nie wystawisz nas przy najbliższej okazji. Nagramy sobie, jak ścinasz mu łeb. Co może być lepszą polisą ubezpieczeniową?

Gwenith kiwnęła głową.

– Jeśli już chcesz wiedzieć, to był mój pomysł. – Właśnie zapaliła papierosa i przy każdym słowie wydmuchiwała z ust dym. – Wmówiłeś nam wszystkim, że jesteś Tommy. Nawet udało ci się wkręcić do mojego łóżka, ty nędzny łgarzu. Musieliśmy wymyślić, jak uniknąć ryzyka, żebyś i tym razem nas nie wykołował.

Michael spojrzał na młodego Azjatę, który nadal jęczał i kiwał się na boki, mimo że Twomey próbował go unieruchomić.

– Nie możesz mi kazać ściąć mu głowy. To nie tylko morderstwo, ale też jakieś barbarzyństwo.

– Jak chcesz, Michael – prychnęła Gwenith. – Ale jeśli tego nie zrobisz, czemu mielibyśmy wierzyć w choć jedno twoje słowo?

– Bo nie złożyłem detektyw nadkomisarz Maguire żadnych zeznań obciążających Farry'ego i Vincenta. Powie ci to wasz prawnik, Nicholas Bourke. Bez moich zeznań mogą nawet nie zostać skazani na odsiadkę.

– To nie wystarczy, ściemniaczu, w żadnym wypadku – stwierdził Twomey. – Możesz zmienić zdanie, zanim staną przed sądem, i nie będziemy mieć żadnych szans cię powstrzymać.

– A jeśli przysięgnę na Boga, że nie będę zeznawał przeciwko nim?

– Ja przysięgam różne rzeczy Bogu ze sto razy dziennie. I Jezusowi, i Matce Boskiej, i świętemu Józefowi, ale to wcale nie znaczy, że zamierzam dotrzymać słowa. – Twomey obejrzał się. – Hoggy! – zawołał.

Barczysty facet w zielonym swetrze z kapturem wystąpił naprzód. Miał szpakowate, bardzo gęste włosy, jak włókna na kuchennej myjce, ale jego twarz była dziwnie dziecinna. Pызate policzki i zadarty nos, okrągłe błękitne oczy. Mógłby być młodszym bratem Mickeya Rooneya. W jednej ręce trzymał pomarańczową piłę łańcuchową marki Husqvarna.

– Chyba wam odbiło – powiedział Michael. – Jeśli wydaje się wam, że zetnę mu głowę, to dajcie spokój. Odpuśćcie sobie. Nie ma mowy.

– Naprawiłeś już ten wichajster, Hoggy? – spytał Twomey, nie spuszczać oczu z Michaela.

– Tak. Wykorzystałem kawałek rączki od starego widelca.

– Dobra. To uruchamiaj.

Hoggy położył piłę na podłodze, przytrzymał ją prawym buciorem i zaczął pociągać linkę.

– No to koniec – rzucił Michael. – Wychodzę. To jakieś szaleństwo.

Seamus Twomey pokręcił głową i skinął na Douglasa Quinna.

– Jeśli spróbujesz wyjść, Mick, zastrzelimy cię. Proste jak drut. Zastrzelimy cię, a potem odetniemy głowę temu Bonnerowi i upozorujemy wszystko tak, żeby wyglądało na to, że ty to zrobiłeś, a potem popełniłeś samobójstwo.

Piła zaskoczyła. Michael ledwie słyszał, co mówi Twomey, gdy Hoggy podkręcał obroty.

– Twój wybór, Michael! – wrzasnęła mu do ucha Gwenith.

– Powariowaliście wszyscy! – krzyknął Michael. – Nie zrobię tego! Nie ma mowy!

Quinn popatrzył na Twomeya i przewrócił oczami, jakby chciał dać do zrozumienia, że „jeszcze zobaczymy”. Sięgnął do swojej kurtki i wyjął czarny CZ 75, czeski pistolet samopowtarzalny. Wycelował Michaelowi w skroń i trącił go lufą.

– Jak nie zetniesz głowy temu Bonnerowi, skończysz dziś pogrzebany w bagnach, gdzie nikt cię nigdy nie znajdzie! – krzyknął Twomey do ucha Michaela. – Będziesz próbował uciekać, od razu cię zastrzelimy!

Michael zamknął oczy. Próbował rozumować logicznie, ale słyszał tylko ten upiorny warkot piły. Stał mu przed oczami obraz Eithne, jak siedziała na łóżku i mówiła, że nie może z nim być, póki coś jej z tego powodu grozi. Pomyślał o ojcu, matce i siostrach i wyobraził sobie, jak zareagują, kiedy dziś – po południu, za kilka godzin – zadzwoni telefon i dowiedzą się, że on nie żyje. Pomyślał o swoim mieszkaniu, łóżku, które zostawił niepościelone. Jeśli Douglas Quinn go zastrzeli, Michael nigdy już w nim nie będzie spać.

Zawsze miał świadomość, że jego praca detektywa jest niebezpieczna, i podczas tych niewielu lat, które w niej spędził, wielokrotnie był atakowany. Raz dziabnięto go nożem w policzek i o mało nie stracił lewego oka. Po raz pierwszy jednak znalazł się w sytuacji, w której groziła mu natychmiastowa śmierć.

Otworzył oczy i popatrzył raz jeszcze na młodego Azjatę. Kiedy proponował Twomeyowi pomoc w szmuglowaniu narkotyków do kraju, był w pełni gotowy na to, że zostanie poddany jakiejś próbie. Twomey mógł poczekać do końca procesu i sprawdzić, czy on nie będzie zeznawał przeciwko nim. Michael myślał nawet, że może kazać mu przemyścić w aucie opioidy przez Ringaskiddy.

Nie spodziewał się jednak, że zostanie postawiony przed wyborem: kogoś zabić albo zostać zabitym. Bez żadnej innej możliwości. Miał ściąć głowę temu młodemu człowiekowi albo umrzeć samemu.

Twomey skinął na Hoggy'ego i ten podał Michaelowi pracującą piłę. Przez moment Michael rozważał, czy nie zagrozić nią Twomeyowi i reszcie, cofnąć się do drzwi i rzucić do ucieczki, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to beznadziejne. Wystarczy, że machnie narzędziem nie w tę stronę co trzeba, a Douglas Quinn strzeli mu w głowę.

Wziął piłę i uniósł ją przed sobą pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

– Używałeś już kiedyś czegoś takiego?! – wrzasnął do niego Hoggy.

– Tylko raz! – odparł Michael.

– Dobra! Stań na rozstawionych nogach, o tak! Odchyl piłę na bok! Postaraj się to zrobić jednym wolnym czystym cięciem! Nie pchaj na siłę, rozumiesz? I nie panikuj, jeśli gość zacznie kręcić głową, bo się obryzgasz! Przecinanie szyi idzie lekko jak po maśle. To nie drewno. Ale może trochę szarpnąć, jak dojdiesz do kręgosłupa! Kapujesz?

– Kapuję!

Twomey nachylił się do prawego ucha młodego Azjaty i wrzasnął:

– Nie wiem, do kogo wy tam się modlicie, Allaha, Mahometa czy kogo tam jeszcze, ale czas, żebyś się pomodlił, jeśli chcesz!

Tamten nie odpowiedział, tylko dalej zawodził. Michael podszedł do niego, trzymając piłę poziomo. Jej zęby znalazły się ledwie pięć centymetrów od wystającego jabłka Adama młodego człowieka. Michael próbował nie myśleć o niczym, jednak było to niemożliwe. On albo ja. Jestem detektywem, służę w Garda Síochána, przysięgałem bronić przestrzegania prawa, ale to diler, pewnie przyjechał do Irlandii nielegalnie. Nie znam jego imienia ani nic o nim nie wiem. Musiał zdawać sobie sprawę, co ryzykuje, wchodząc w drogę Seamusowi Twomeyowi w jego biznesie handlu ecstasy.

Azjata nie mógł go widzieć, ale zapewne odgadł, co się szykuje. Nagle przestał wyc i wyprostował plecy, unosząc brodę, żeby Michael nie miał problemu z nacięciem szyi.

Młody mężczyzna wziął kilka głębokich wdechów, co wyraźnie sprawiało mu ból, i krzyknął:

– *Chētī – karō – jī!* Proszę, zrób to szybko!

Michael spojrział w prawo. Douglas Quinn trzymał pistolet tak blisko jego skroni, że lufa niemal muskała ucho. Michael żałował, że nie może zamknąć oczu, ale wiedział, że jeśliby sobie na to pozwolił, mógłby nie poradzić sobie jak trzeba z odcinaniem głowy i zadać jeszcze większy ból młodemu Azjacie.

– Wybacz mi, Boże – szepnął pod nosem i wolno przesunął piłą od lewej do prawej. Zęby zafurkotały, tnąc krtań mężczyzny. Poleciały strzępki skóry i krew,

a potem Michael poczuł, jak trafia na kość. Trwało to tylko kilka sekund i głowa młodego Azjaty poleciała do tyłu i stoczyła się na podłogę.

Michael wyłączył piłę. Stał, dygocząc, zbryzgany krwią. Gwenith odtańczyła triumfalny taniec, wiwatując i wymachując uniesionymi rękami, a niektórzy członkowie gangu klaskali, choć nie wszyscy. Jeden z młodszych nachylił się, oparł dłoń o ścianę i z wymiotował.

Douglas Quinn nadal trzymał pistolet przy skroni Michaela.

– Oddaj teraz piłę – nakazał.

Ton jego głosu był niemal równie przerażający jak broń.

Podszedł Hoggy i wziął z rąk Michaela piłę.

– Brawo, chłopie. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Profesjonalna robota. Mógłbyś żyć z ucinania głów, jakbyś miał do tego serce.

Michael obejrzał się. Był bliski powiedzenia Douglasowi Quinnowi, żeby nacisnął spust i skończył to wszystko. W szoku, zawstydzony, miał wstręt do samego siebie. Bezgłowy Azjata nadal klęczał wyprostowany. Michael nie mógł na niego patrzeć. Nie był w stanie nawet patrzeć na własne ręce, całe we krwi.

– Ho, ho, Mick! Ale z ciebie brutal – odezwał się Twomey. – Mamy to wszystko sfilmowane, możesz sobie potem pooglądać. Witaj w Fola na hÉireann, ściemniaczu, w Krwi Irlandii.

Michael pokazał mu swoje dłonie. Nadal się trząsł. W ustach miał gorzki posmak żółci.

– Tam w rogu jest kran – powiedział Twomey. – Możesz zmyć z siebie krew tego Bonnera. Potem chyba możemy wszyscy pójść do Darby’ego O’Gilla obok. Napijemy się, by uczcić tę okazję. Nie codziennie jakiś palant się do nas przyłącza. Jeśli następny transport fentanylu przejdzie we wtorek przez Ringaskiddy, a celnicy będą patrzeć w inną stronę, to będzie wiadomo już na pewno, że robisz, co należy.

– A czemu miałyby nie robić? – wtrąciła Gwenith. – Nie chciałbyś przecież, żeby to nagranie znalazło się w sieci, co, Michael? – Rzuciła niedopałek na podłogę i przydeptała, a potem podeszła do klęczącej bezgłowej postaci i kopnęła

ją botkiem. Ciało przewróciło się na bok. – Spakuj mi tę głowę, Brendan, dobrze? – poleciała najbliższemu członkowi gangu. – Resztę możecie podrzucić w nocy na Shandon Street. Posadźcie truposza z ciasteczkami wetkniętymi w szyję przed wejściem do tego baru z curry, gdzie kręcą się Bonnerzy. Jeśli nie pojmą aluzji i nie przestaną się wcinać tam, gdzie nie ich miejsce, to są bardziej tępi, niż myślałam.

Michael umył ręce zimną wodą z kranu w kącie i ruszył za resztą grupy, która wysypywała się z magazynu i kierowała do Darby’ego O’Gilla. Rozpaczliwie potrzebował mocnego drinka. Tak naprawdę miał ochotę upić się na umór, żeby wreszcie przestać czuć wibracje piły wrzynającej się w kręgosłup młodego Azjaty i zapomnieć widok jego głowy spadającej i turlającej się do stóp Seamusa Twomeya.

Rozdział 35

Była prawie czwarta, kiedy Katie i detektyw sierżant Begley wrócili na komendę po złożeniu kondolencji żonie sierżanta MacAuleya i dziewczynie funkcjonariusza Ó Grádaigha. Katie uderzyło, że żadna z nich nie płakała. Od wielu miesięcy żyły w potwornym stresie ze względu na wrogość, jaką okazywali sygnalistom koledzy z pracy. W pewien tragiczny sposób wiadomość o śmierci ukochanych mężczyzn kładła temu kres i przynosiła ulgę.

Mathew McElvey zwołał konferencję prasową na piątą i ekipa reporterska RTÉ już tu była, podobnie jak dziennikarze i dźwiękowcy z Cork FM i RedFM, i C103.

Katie chciała po drodze zajrzeć do gabinetu komendanta MacCostagáina. W połowie korytarza spotkała detektywa O’Creana, który jadł kanapkę z serem i piklami.

– O, wróciła pani – rzucił i o mało się nie zadławił. – Właśnie chciałem zostawić pani wiadomość o tych Rumunkach.

– I co? Nadal działają?

– Czy działają? Powiedzmy, że zaproponowano mi dużo więcej niż masaż. A nawet więcej niż masaż ze szczęśliwym zakończeniem. Za dwieście euro mogłem spędzić tam całą noc, z nimi dwiema, w każdej pozycji, jaka mi tylko przyjdzie do głowy. Dla mnie są nieco zbyt dojrzałe, ale jeszcze całkiem niczego. To znaczy... nie wyrzuciłoby się żadnej z nich z łóżka za kruszenie czipsami.

– No i co im powiedziałaś?

– Że chwilowo brak mi kasy i spytałem, czy dadzą mi na kredyt. Wyobraża pani sobie, co one na to. Odpowiedziały słowem, które oznacza to, o co prosiłem,

ale z „się” na końcu, czyli kazały mi iść w diabły.

– No dobrze, dzięki wielkie, Cairbre. Mógłbyś na razie nikomu o tym nie wspominać?

– Mówiła pani, że to może mieć jakiś związek z operacją Motyl?

– Tak, prawda. Ale podzielę się tą informacją z zespołem, kiedy będę gotowa.

– Jak sobie pani życzy. Zawsze mogę wrócić do Wilton i jeszcze raz sprawdzić te dwie. Nie ma pani przypadkiem wolnych dwustu euro, co?

Katie uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Przykro mi. Musisz uciuć sobie z pensji.

Kiedy zapukała i weszła do gabinetu MacCostagáina, zastała tam również Franka Magoriana. Miał na sobie czarny garnitur i krawat, domyśliła się więc, że przyszedł tu specjalnie, by złożyć oświadczenie dla mediów na temat trzech zamordowanych sygnalistów.

Denis MacCostagáin właśnie starał się zawiązać sobie na szyi czarny krawat i nie za bardzo mu to wychodziło – cienki koniec wystawał sporo zza tego szerszego.

– O, Kathleen – powitał ją. – Jak ci poszło na wizytach u pogrążonych w żałobie?

– Myślę, że obu kobietom brakuje już łez – odparła. – Nawet kiedy wyjaśniłam im, że nie mogą liczyć na pogrzeby państwowe, przyjęły to bez słowa skargi. Chyba mają dość Garda Síochána do końca życia. Pani MacAuley mówiła mi, że w ostatnich trzech miesiącach mąż dostał tyle pogróżek, że podwoił ubezpieczenie na życie i zmienił testament.

Podeszła do komendanta, ściągnęła mu krawat i zawiązała go od nowa porządnie.

– Co za tragedia – powiedział Frank Magorian. – Straciliśmy pięciu świetnych funkcjonariuszy. Cokolwiek myśleli o nich koledzy, oni widzieli to, co wydawało im się złe, i trzymali się swoich zasad. Dziś to, niestety, rzadkość.

– Racja – zgodził się z nim MacCostagáin. – Ale teraz, kiedy ich nie ma, nigdy nie dowiemy się już, czy ich doniesienia były uzasadnione, czy tylko

dzielili włos na czworo.

Frank Magorian skinął głową.

– Trafiłeś w dziesiątkę, Denis. Weźmy funkcjonariusza Wassana. Skarżył się, że jego koledzy to rasiści, a między rasizmem i dobrotliwymi żartami, jak to na posterunku, granica jest bardzo wąła. Kiedy się jest gliną, nie można mieć zbyt cienkiej skóry, bez względu na jej kolor. A sierżant Lacey... narzekał, że odstępuje się od wnoszenia do sądu oskarżeń o kradzież samochodów, bo w tajemniczy sposób zapodziejają się gdzieś ważne dowody. A może naprawdę nie mieliśmy wystarczających dowodów? Przecież nie wolno tracić państwowych pieniędzy na stawianie kogoś przed sądem, skoro nie można uzyskać wyroku skazującego.

Na chwilę przerwał, po czym dodał:

– To samo z tymi innymi. Sierżantem MacAuleyem, O'Reganem i Ó Grádaighiem.

– Przeglądaliśmy materiały przygotowane przez O'Regana – wtrąciła Katie. – To on twierdził, że ludzie z Garda Síochána, eskorta i pracownicy więzienia biorą łapówki za nieodstawianie skazanych do zakładu i puszczają ich wolno.

– Sprawdziliście to dokładnie? – zapytał Frank Magorian.

– Nie tak dokładnie, jak bym chciała. Detektyw inspektor Fitzpatrick przesłuchał pracowników administracji więzienia w Cork i z trzech innych więzień, w tym Cloverhill, i w każdym przypadku wydaje się, że wszystkie papiery są w porządku.

– O'Regan sugerował, że dokumentacja została sfalszowana, tak?

– Spotkał skazanego przestępcę, który powinien przebywać w więzieniu na Rathmore Road, a pił w pubie w Riverstick. To wtedy O'Regan nabrał podejrzeń, że dzieje się coś dziwnego.

– Twierdził, że go spotkał – podkreślił Frank Magorian. – Problem w tym, że już nie będzie mógł złożyć nam zeznania pod przysięgą, więc nie dowiemy się, czy powinniśmy mu wierzyć. Wiesz, Kathleen, to oczywiście tragedia, wszystkie te zabójstwa, ale muszę powiedzieć, że to oszczędzi nam niewyobraźalnych

kłopotów. Nie tylko nam, ale także prokuraturze i Ministerstwu Sprawiedliwości. Pomyśl tylko, z jakim piekielnym bałaganem musielibyśmy się borykać, gdyby te ich odkrycia okazały się prawdą. Nie tylko wicepremier i komendant musieliby się podać do dymisji, lecz również połowa parlamentu, większość komendy głównej i Garda College. Nie wspominając już o służbach więziennych.

Katie nie skomentowała tego, choć prawnik O'Regana wymieniał Franka Magoriana jako jednego z podejrzanych o branie łapówek, które pozwalały najgorszym gangsterom w Cork uniknąć więzienia.

Spojrzała na zegarek.

– Konferencja prasowa zaczyna się o piątej. Przypuszczam, że będzie pan w niej uczestniczył i powie pan kilka słów o zamordowanych?

– Tak, oczywiście. Ale nie chcę tego rozdmuchiwać, Kathleen. Wiem, jesteś przekonana, że zabójcy mogą mieć powiązania z kimś z Garda Síochána albo nawet z kilkoma osobami, ale nie chcę, żebyś o tym wspominała prasie, nawet jeśli oni sami to zasugerują. Denis mówi, że nie zrobiłaś wielkich postępów w zidentyfikowaniu osób odpowiedzialnych, i wolałbym, żebyś nie wyskakiwała z jakimiś dzikimi spekulacjami.

– Tak jest – odparła Katie.

Nie powiedziała, że trudno nazwać dzikimi spekulacjami jej podejrzenia. Najprawdopodobniej w zabójstwa pięciu sygnalistów byli zamieszani ludzie z ich instytucji. Wszyscy wymienieni w zeznaniach funkcjonariusze mogli teraz odetchnąć z ulgą, podobnie jak Coakleyowie i inne grupy przestępcze.

Denis MacCostagáin przyczesał do tyłu przerzedzone białe włosy.

– Wiesz co? – rzucił. – W tych dniach modłę się tylko o święty spokój. Wystarczy, że zbrodnie popełniają kryminaliści, nie trzeba nam glin na dokładkę.

* * *

W sali konferencyjnej było czarno. W tym sensie, że panował ścisk, a niemal wszyscy byli ubrani na czarno. Katie wpadła na pomysł, by na ścianie za stołem,

przy którym siadła z Frankiem Magorianem i komendantem MacCostagáinem, obok nadkomisarza Pearsa i detektywa inspektora Fitzpatricka zawiesić duże czarno-białe zdjęcia pięciu sygnalistów. Chciała zademonstrować, że choć wskazywali nieprawidłowości, nadal są szanowani przez kolegów. To miał być swego rodzaju hołd.

Frank Magorian wstał i wygłosił ponurą mowę, jak to wszyscy w służbach boleją nad stratą, i podkreślił, jakimi prawymi ludźmi byli zamordowani.

– To nasz obowiązek w Garda Síochána zachowywać najwyższe standardy moralne. I dlatego zachęcamy do zgłaszania przypadków, kiedy ktoś z nas pobłądzi albo mylnie zinterpretuje obowiązujące przepisy. Jak na razie nie potrafimy ustalić, kto w sposób tak brutalny i przerażający pozbawił życia tych pełnych poświęcenia stróżów prawa, ale bądźcie pewni, że odnajdziemy sprawców. Nie będziemy stosować żadnej taryfy ulgowej, nie ulękniemy się, będziemy nieustraszenie dążyć, by sprawiedliwości stało się zadość. Przestępcy, którzy dopuścili się tak haniebnego czynu, zostaną ujęci i poniosą zasłużoną karę. Dziękuję.

Mimo jego zapewnień z sali natychmiast padły niezręczne pytania.

Pierwszy podniósł się Dan Keane z „Examinera”, ze swoim nieodłącznym papierosem zatknętym za ucho.

– W zarysach wiemy już, co każdy z tych sygnalistów chciał zeznać przed sędzią McGuiganem. Gdyby zebrane przez zamordowanych dowody okazały się prawdziwe, niejeden funkcjonariusz Garda Síochána znalazłby się w gównie po uszy, proszę wybaczyć to określenie.

– Co chce pan przez to zasugerować? – zapytał Frank Magorian.

– Nic nie sugeruję. Zastanawiam się tylko, czy bierzecie pod uwagę, że zabójcom mógł pomagać ktoś stąd, z Anglesea Street. Celowo albo nieświadomie.

Na to odezwała się Katie:

– Stworzyłam specjalny, złożony z doświadczonych detektywów zespół, który prowadzi śledztwo w sprawie tych pięciu zabójstw i oczywiście sprawdza

wszelkie warianty. Nazwaliśmy to operacją Motyl. Jak przed chwilą mówił zastępca komendant głównej, pan Magorian, nikt nie będzie traktowany ulgowo, bez względu na stanowisko.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – zauważył Dan Keane. – Czy to możliwe, aby w te zabójstwa był zamieszany jakiś funkcjonariusz albo ktoś z waszych cywilnych pracowników?

Teraz wstała Fionnuala Sweeney.

– Kiedy zabito dwóch sygnalistów, pozostali trzej, którzy mieli składać zeznania, zostali objęci ochroną. Zapewniała ją firma prywatna, Stephen MacQuaid Security. Dlaczego?

– Musieli być pilnowani dwadzieścia cztery godziny na dobę, a my w tej chwili nie mamy dość ludzi do takich zadań, zwłaszcza że ostatnio sporo się działo, niech wspomnę protesty w sprawie wody i problem nielegalnych obozowisk.

– A jednak ich nie upilnowano, prawda? Wszyscy zostali porwani z tak zwanych bezpiecznych kryjówek, gdzie ich umieszczono, przy czym jednego z ochroniarzy MacQuaida zastrzelono, a dwóch ciężko pobito. Nie była to chyba zbyt efektywna ochrona?

– Kiedy omawiałam warunki ze Stephenem MacQuaidem, nic nie wskazywało na to, że nie zyskamy stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa – wyjaśniła Katie. – Stephen MacQuaid cieszy się nienaganną opinią wśród firm ochroniarskich, sam był niegdyś w Garda Síochána. Na razie nie mamy pojęcia, w jaki sposób zabójcy poznali tajne adresy i dowiedzieli się o miejscach pobytu sygnalistów.

– Może jakiś mały ptaszek stąd im je zdradził – podsunął Dan Keane.

– To uwaga bardzo nie na miejscu – powiedziała Katie. – Tej sprawy nie da się rozwikłać snuciem domysłów czy idąc za uprzedzeniami. Przyznam, że nadal szukamy solidnych tropów, ale mamy sporo materiału dowodowego, jak odciski palców, opon czy ślady DNA, i kiedy uda się nam trafić na podejrzanych o te zbrodnie, nie będzie problemu z uzyskaniem wyroków skazujących.

– Na pewno, ale czy zdołacie zamknąć zabójców w więzieniu? I czy w ogóle trafią do więzienia?

– Nie będę tego komentować. Materiały zgromadzone przez funkcjonariusza O'Regana są nadal przeglądane i jego oświadczenie jest w trakcie rozpatrywania.

Jean Mulligan z „Echo” podniosła rękę. Miała zsunięte na głowę okulary, ciemnobrązową kurtkę i wyraźnie sepleniała.

– To niespecjalnie wiąże się z sygnalistami, pani nadkomisarz, ale czy to prawda, że pani bliski przyjaciel, Conor Ó Máille, został zatrzymany w Tipperary jako podejrzany o podpalenie przyczepy mieszkalnej w obozowisku w Ballyknock i o zabójstwo dwojga Travellersów?

Katie poczuła, jak ogarnia ją złość. To był męczący, trudny dzień i ostatnie, czego chciała, to odpowiadać na pytania o Conora i Zezowatego McManusa.

– Bez komentarzy – rzuciła. – Ta konferencja została zwołana, by udzielić państwu informacji na temat zamordowanych sygnalistów, o niczym więcej.

– Tylko pytam, czy to prawda – nie ustępowała Jean Mulligan.

– Po co? Zdaje się, że już pani to wie.

– Czyli to prawda? Z tego, co słyszałam, Conor Ó Máille podłożył ogień pod przyczepę, w której mieszkał Zezowaty McManus, organizujący walki psów, w wyniku czego zginął on w płomieniach wraz ze swoją przyjaciółką. A w czasie, kiedy to się stało, pan Ó Máille mieszkał z panią w pani domu w Cobh.

– Jestem tu, żeby rozmawiać o sygnalistach – podkreśliła raz jeszcze Katie. – O niczym więcej.

Obejrzała się na Franka Magoriana. Marszcząc brwi, wpatrywał się w nią. W jego spojrzeniu zaskoczenie mieszało się z wrogością, jakby przed chwilą odkrył, że ona z Kyną zabawiały się w trójkącie z jego żoną, kiedy tylko wyjeżdżał grać w golfa. I wtedy Katie podjęła decyzję, że złoży jeszcze jedno oświadczenie.

Wstała i w sali konferencyjnej nagle zapadła kompletna cisza.

– Mam państwu jeszcze coś do powiedzenia i to także dotyczy sygnalisty. W tym przypadku jestem nim ja. Nie mogę podać zbyt wielu szczegółów, bo nie

widziałam się jeszcze w tej sprawie z szefem wydziału wewnętrznego, panem O'Malleyem, zajmującym się kwestią ujawniania nieprawidłowości. Moje zgłoszenie będzie dotyczyć pewnego burdelu w Cork. W zeszłym roku został zamknięty, a kobiety, które go prowadziły, zostały skazane za stręczycielstwo. Otrzymałam jednak informację, że ten dom publiczny nadal działa i że pewni funkcjonariusze o tym wiedzą, ale nie podejmują żadnych działań, ponieważ przyjmują w zamian usługi seksualne.

Dan Keane podniósł rękę.

– Prowadzenie burdelu to tylko zakłócanie porządku publicznego, prawda? A prostytutka sama w sobie jest legalna, jeśli obie strony są dorosłe i robią to z własnej woli. O przestępstwie można mówić jedynie wtedy, kiedy chodzi o nieletnich lub osoby, które robią to z przymusu, i w grę wchodzi handel ludźmi.

– Racja. Prowadzenie burdelu jest karane za ledwie grzywną. Ale nie martwi mnie samo prowadzenie burdelu, tylko zachowanie funkcjonariuszy, którzy przyjmują łapówki, a usługi seksualne są nimi tak samo jak pieniądze.

– Mogłaby pani podać nazwiska osób prowadzących ten przybytek i powiedzieć, gdzie się znajduje? – zapytała Jean Mulligan. – I wymienić nazwiska funkcjonariuszy, którzy korzystają z usług seksualnych?

– Nie, oczywiście w obu przypadkach odpowiedź brzmi „nie”. Ze względów prawnych – wyjaśniła Katie, ale nim mogła cokolwiek dodać, Denis MacCostagáin wstał i podniósł rękę.

– Na tym, drodzy państwo, kończymy! – oznajmił. – Na razie to wszystko, co mamy państwu do powiedzenia. Dziękujemy za przybycie! Jeśli będą jakieś nowe ustalenia w śledztwie, Mathew McElvey skontaktuje się z państwem bezpośrednio.

Zrobił się gwar, niemal wszyscy dziennikarze zadawali jeden przez drugiego pytania:

– Pani nadkomisarz Maguire! Pani nadkomisarz! Kiedy zamierza pani spotkać się z panem O'Malleyem?

– Ilu funkcjonariuszy korzystało z usług seksualnych?

– Od jak dawna pani o tym wie i dlaczego aż do dziś czekała pani z podjęciem jakichś kroków?

– Panie komendancie Magorian, robił pan wrażenie zszokowanego, kiedy nadkomisarz Maguire oznajmiła, że zamierza złożyć doniesienie. Czy informowała o tym pana wcześniej?

– Nadkomisarz Maguire, biorąc pod uwagę, co spotkało pięciu poprzednich sygnalistów, nie obawia się pani trochę, że coś podobnego może się zdarzyć i pani?

Denis MacCostagáin położył dłoń na plecach Katie, między łopatkami, i właściwie wypchnął ją z sali konferencyjnej. Frank Magorian wyszedł tuż za nimi.

– Dziękuję, jest pan wspaniały – powiedziała Katie. – Dalej do swojego pokoju zdołam już dotrzeć o własnych siłach, dzięki wielkie.

– Najpierw idziemy do mnie – warknął MacCostagáin.

Z jego chodu, sposobu, w jaki wymachiwał rękami, i pociągania nosem mogła wyczytać jasno, że gotuje się z wściekłości.

* * *

– Dlaczego, na litość boską, nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?! – ryknął.

Ściągnął z siebie krawat, jakby chciał się go pozbyć bez chwili zwłoki, bo to Katie mu go zawiązała.

– Zaczniemy od tego, że to było absolutnie wbrew zasadom! Nie składa się przed mediami oświadczeń, które mogą godzić w dobre imię instytucji, a szczególnie naszej komendy, bez uprzedniego skonsultowania się ze mną!

Frank Magorian podszedł do okna i stał tam bez słowa ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Najwyraźniej cieszył się, że to MacCostagáin wziął na siebie zrobienie jej awantury. Od czasu do czasu jednak rzucał jej pogardliwe spojrzenie. Wyraźnie nie mógł ukryć satysfakcji. Pewnie myślał sobie: No i doigrałaś się, pani nadkomisarz Maguire. To może cię kosztować utratę

stanowiska. A potem zamiast ciebie wybierzemy na nie jakiegoś mężczyznę, najlepiej wolnomularza, kogoś, z kim będę mógł grać w golfa.

– Wystawiłaś mnie! – krzyknął MacCostagáin. – Wyszedłem na głupka! Ośmieszyłaś mnie przed tymi wszystkimi dziennikarzami!

– Przepraszam – odezwała się Katie. – Nie miałam takiego zamiaru. Chciałam tylko, by mieli jasność, że nie boimy się zgłaszać nieprawidłowości, mimo tego, co stało się z sygnalistami. I myślałam, że to najlepszy moment, żeby to zademonstrować.

Komendant MacCostagáin zdjął marynarkę i zaczął krążyć wokół swojego biurka, waląc pięścią w dłoń.

– Dan Keane ma absolutną rację! Prowadzenie burdelu to tylko zakłócanie porządku publicznego i zwykle kończy się na pouczeniu. Inaczej sąd rejonowy od rana do nocy pękałby w szwach od alfonsów i dam kierujących takimi przybytkami. A to, o czym chcesz donieść Josephowi O'Malleyowi, zniszczy karierę wielu dobrych funkcjonariuszy, i to teraz, kiedy tak brakuje nam ludzi.

– Ci funkcjonariusze przyjmują łapówki, a funkcjonariusze przyjmujący łapówki nie są dobrzy.

– A przy okazji, skąd masz te informacje? Kim są te cholerne burdelmamy? I których funkcjonariuszy chcesz oskarżać? Masz ich nazwiska? Na litość boską, Kathleen, cóż to za grzech wziąć masaż czy kazać zrobić sobie loda? Clintona za to nie wyrzucili, nie? Dlaczego naszym ludziom miałyby grozić nędza i utrata dachu nad głową za to, że ulegli małej ludzkiej pokusie?

Katie nie zamierzała się poddać.

– Zadziwia mnie pan, mówiąc coś takiego. Zawsze sądziłam, że rygorystycznie wymaga pan przestrzegania zasad moralnych... zwłaszcza jeśli chodzi o łapówkarstwo. Pamięta pan przecież sierżanta Tobina, prawda? Wziął tylko kilka skrzynek whiskey, a pan go wylał.

– Nie osądzaj mnie, Kathleen. Jestem blisko emerytury i pracuję tu dość długo, żeby wiedzieć, kiedy należy być surowym, a kiedy można trochę odpuścić. Wymagania wobec nas są ogromne, a gratyfikacja skromna. Małego bara-bara nie

można porównywać do wypuszczania na wolność skazanych dilerów, a przecież nawet i to nie zostało do końca udowodnione.

– Jeszcze raz przepraszam, że tak z tym wyskoczyłam – powiedziała Katie. – Złożę poufne zeznania O'Malleyowi, i to „poufne” traktuję poważnie. Będzie pan mógł zobaczyć zebrany przeze mnie materiał dowodowy tylko wtedy, kiedy będę go przedstawiać sędziemu McGuiganowi, tak jak wszyscy inni.

MacCostagáin opadł ciężko na krzesło.

– To mi się nie podoba, Kathleen. Bardzo mi się nie podoba. Nigdy nie byłem zbytym zwolennikiem awansowania kobiet na wysokie stanowiska, ale ciebie wspierałem, zawsze mogłaś na mnie liczyć, odkąd zostałam nadkomisarzem.

– To prawda. I niech pan nie myśli, że nie jestem za to wdzięczna.

Popatrzył na nią ponuro i pokręcił głową.

– Jednak to, co zamierzasz, odbije się na mnie tak samo jak na tych, którzy zachowali się nie tak jak trzeba. Może też wpłynąć na moją emeryturę, jeśli będę musiał podać się do dymisji przed ukończeniem sześćdziesiątki i nie uda mi się odsłużyć pełnych trzydziestu lat.

Frank Magorian podszedł do Katie i stanął nieprzyjemnie blisko. Pachniał jakąś wyjątkowo mocną ziołową wodą kolońską.

– Może zastanowisz się jeszcze i zmienisz zdanie? Mogłabyś powiedzieć mediom, że sprawdziłaś materiał dowodowy na temat burdelu i twoje podejrzenia okazały się jednak bezpodstawne.

Katie spojrzała na nich obu. Okropnie kusiło ją, by powiedzieć Magorianowi, że on też jest podejrzany o branie łapówek, ale się powstrzymała.

– Przepraszam – wybąkała. – Kiedy zgłaszałam się na stanowisko szefa dochodzeniówki, w aplikacji był warunek, że będę działać absolutnie uczciwie i spełniać najwyższe standardy etyczne.

– Rozumiem, czyli nie dasz się przekonać?

Katie skinęła głową.

– Nie dam. A teraz muszę wracać do pracy, bo mam jej mnóstwo, więc wybaczcie, proszę...

Wróciła do swojego gabinetu roztrzęsiona i usiadła za biurkiem; trudno jej było złapać oddech. Zdała sobie sprawę, że poza tym, że naraża się na potworne niebezpieczeństwo, ryzykuje też natychmiastową utratę stanowiska.

Rozdział 36

Następnego dnia miała oficjalnie wolne. Detektyw inspektor Fitzpatrick zajmował się operacją Motyl, a Kyna i detektyw O'Donovan jeszcze raz przeczesywali raporty finansowe Jimmy'ego Ó Faoláina. Próbowali zidentyfikować ludzi, których oszukał i którzy mogliby mieć motyw do zemsty.

Wzięła Foltchain i Barneya na spacer nad rzeką. Był rześki, zimny dzień. Woda w przystani skrzyła się srebrem, a białe chmury sunęły po niebie jak podarte koszule nocne. Kosmate uszy Foltchain powiewały na wietrze. Miało się wrażenie, że suczka najchętniej puściłaby się biegiem daleko naprzód, ale cierpliwie raz po raz przystawała, żeby poczekać na Barneya, a kiedy ten, kuśtykając, dołączał do niej, dodawała mu odwagi, trącając czule nosem jego szyję.

Katie coraz bardziej tęskniła za Conorem. Gdy w pracy miała tyle stresu i wydawało się, że śledztwo prowadzi donikąd, tak dobrze było wrócić do domu, dać się uściskać, a potem zjeść razem kolację przed telewizorem. Najgorsze były samotne przebudzenia przed świtem w łóżku, w którym nie miała się do kogo przytulić.

Dochodziła do przystani promu, kiedy zadzwieczał jej telefon. To była doktor Kelley z kostnicy w szpitalu.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedziała. – Dzwoniłam na komendę, ale powiedzieli, że dziś ma pani wolne.

– Tak. Rzadko się zdarza. Mogła pani pomówić z Fitzpatrickiem. On kieruje operacją Motyl.

– Tak naprawdę ja nie w tej sprawie. Chodzi o pana McManusa, tego, którego wszyscy nazywają Zezowatym, i jego przyjaciółkę Rosellę. Dziś rano dotarły ich szczątki z Limerick. Niewiele z nich zostało. W gruncie rzeczy rzadko widuje się ciała tak mocno spalone, chyba że chodzi o ofiary uwięzione w płonącym aucie po wypadku drogowym.

– Miała pani możliwość już je przebadać? – spytała Katie i strzeliła palcami na psy, żeby przywołać je do porządku. – Ej, wy! Nie uciekajcie!

– Rozumiem, że nie jest pani na służbie – odezwała się doktor Kelley – ale jeśli to możliwe, wolałabym nie mówić tego przez telefon. Mogłabym prosić, żeby pani wpadła i sama rzuciła okiem? Tylko na chwilę.

– Która jest? Tuż po dziesiątej. Wyprowadzam teraz psy, ale mogę być u pani przed jedenastą, jeśli Jack's Hole nie będzie za bardzo zakorkowana.

– Strasznie mi przykro, że zawracam głowę, ale wiem, że jest pani osobiście zaangażowana w tę sprawę, i sądzę, że to, co tu mam, może mieć dla pani decydujące znaczenie, żeby nie powiedzieć więcej.

Katie już miała spytać patolożkę, skąd wie, że ona i Conor byli razem, ale uznała, że nie warto. W Cork nie dawało się utrzymać niczego w tajemnicy. Teraz pewnie już wszyscy od Youghal po Crookhaven słyszeli, że jedyna kobieta detektyw nadinspektor w Cork sypiała z jedynym detektywem specjalizującym się w tropieniu zaginionych zwierząt domowych.

Zamierzała zabrać psy i pojechać z nimi na drugi brzeg rzeki do ojca, żeby zobaczyć, jak daje sobie radę z przeprowadzką, ale zdecydowała, że wybierze się do niego później. Pomyślała, że może ugotuje trochę swojej specjalności – zupy Bloody Mary, z pomidorów i papryczki chilli, z dodatkiem wódki – i zawiezie wieczorem tacie.

Gwizdnęła na Barneya i Foltchain i zawróciła na Carrig View. Idąc za psami, cieszyła się, że ma tę parę do towarzystwa, a rano jest tak słoneczny, jednak doskwierała jej samotność, tak bardzo, że aż czuła fizyczny ból. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy znajduje mężczyznę, którego może pokochać, dochodzi do jakiejś katastrofy. Albo jemu dzieje się coś złego, albo muszą się rozstać.

Straciła nawet swoje jedyne dziecko, malutkiego Seamusa, który umarł w łóżeczku wkrótce po swoich pierwszych – ostatnich – urodzinach. Może tak ma wyglądać jej życie.

* * *

Doktor Kelley stała nad bezgłowym ciałem funkcjonariusza Wassana. Miała na sobie czapkę chirurga i fartuch, ale maskę ściągnęła w dół, żeby móc popijać z kubka herbatę.

– Wielkie dzięki, że pani przyszła – powiedziała, gdy Katie przepychała się między wózkami porozstawianymi byle jak w kostnicy. – Jestem teraz bardzo ostrożna z mówieniem czegokolwiek przez telefon czy pisaniem w mailach. Mam pewność, że ktoś zhakował mi wyniki sekcji Willy’ego Nolana. Tego gangstera z Summerhill w Dublinie, którego znaleźli powieszzonego i nikt nie wierzył, że to samobójstwo. Pamięta pani?

Katie ruchem głowy wskazała ciało Wassana.

– Jak pani idzie z tymi biednymi chłopakami?

– Tworzę obrazy w trzy-D ich przeciętych szyi. Wszyscy zostali ścięci piłą łańcuchową i jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że to ta sama, której użyto w dwóch poprzednich zabójstwach. Są zasinienia na rękach i torsach, tam gdzie byli związani, a na nadgarstkach widać ślady kajdanek. Mają też różne sińce i odciski palców na skórze, co świadczy o tym, że próbowali walczyć z porywaczami.

– Wie pani, nad czym się zastanawiam? To może brzmi idiotycznie, ale stale się zastanawiam, czy to bolało.

Doktor Kelley przez chwilę popijała wolno herbatę, a potem odstawiła kubek na stół sekcyjny obok otwartej szyi Wassana.

– O tak – powiedziała. – Wyobrażam sobie, że to boli jak diabli przez pierwszych kilka sekund, ale po przecięciu nerwów i kręgów już nic się nie czuje. Ale jest sporo dowodów na to, że mózg zachowuje świadomość jeszcze przez

kilka sekund po obcięciu głowy, więc człowiek wie, co mu się stało, a nawet może zobaczyć własne ciało bez głowy.

Katie wzdrygnęła się.

– Żałuję, że spytałam! Wie pani, czasami myślę, co jest gorsze... być żywym i stale bać się śmierci czy nie żyć i nie musieć się już o nic martwić.

– Może najlepiej nigdy się nie urodzić – odparła patolożka. – Wtedy nie trzeba by było odkrywać, jak bardzo okrutne może być życie. Ale... proszę rzucić okiem na tych dwoje...

Obróciła się i skinęła na Katie, by podeszła za nią do dwóch wózków stojących obok siebie po drugiej stronie kostnicy. Oba były nakryte pogniecionymi bladozielonymi prześcieradłami. Doktor Kelley kolejno je odsłoniła. Leżeli pod nimi Zezowaty McManus i jego dziewczyna, Rosella Rooney.

Patolożka miała rację. Oboje byli tak spaleni, że wyglądali jak z pokruszonego węgla; tylko w pęknięciach skóry widać było czerwone mięso i kości. Ich twarze były tak czarne, jak kiedyś malowano białych, by grali role Murzynów. Zęby wyszczerzone, oczodoły puste. Gdyby nie różnica wielkości, na pierwszy rzut oka nie dałoby się rozpoznać, gdzie Zezowaty, a gdzie Rosella, bo nie zostało nic, co choćby sugerowało płęć.

– W przyczepie nie było pewnie aż tak wysokiej temperatury jak w krematorium – powiedziała doktor Kelley. – Jednak po stanie tych ciał określiłabym ją na jakieś pięćset pięćdziesiąt stopni. Co najmniej. W środku były grzejniki naftowe, które oczywiście podsyciły ogień.

– Jezus Maria – szepnęła Katie. – Ale co właściwie chciała mi pani pokazać?

– Na razie dokonałam tylko wstępnych oględzin ich ciał. Powinno być dość krwi i treści żołądkowej, żeby przeprowadzić badania toksykologiczne... wie pani, na wypadek gdyby zostali otruci. Ale już mogę stwierdzić, dlaczego nawet nie próbowali uciekać, kiedy zaczęło się palić.

Skinęła na Katie, żeby ta podeszła bliżej końca wózka, tam gdzie była głowa Zezowatego McManusa. Wskazała na jego lewą skroń, jakieś sześć centymetrów

nad linią oczodołów. Skóra w tym miejscu była spękana i czarna, Katie nie bardzo więc widziała, o co może chodzić, i trudno się było dziwić, że ci, którzy wydobyli ciało ze zgliszczy, nie zauważyli nic szczególnego.

Doktor Kelley wyjęła wacik z kieszeni fartucha i przytknęła go do czoła McManusa. Koniuszek znikł w środku i dopiero wtedy Katie dostrzegła dziurę po kuli w czaszce. Zanim Zezowaty McManus spłonął, został zastrzelony.

– O Matko Boska – szepnęła. – A co z jego dziewczyną?

– To samo – odparła patolożka i wetknęła wacik w okrągły mały otwór pomiędzy oczodołami Roselli Rooney. – I oba pociski są jeszcze w środku, w głębi ich mózgów. Będę mogła je wyjąć i wysłać Billowi Phinnerowi. Według mnie to kaliber dziewięć milimetrów.

– Czyli oboje nie żyli już, kiedy wybuchł pożar. I dlatego nie starali się uciekać.

– Na to wygląda. Teraz już pani rozumie, dlaczego byłam tak bardzo ostrożna i prosiłam, żeby pani tu przyjechała, zamiast rozmawiać przez telefon.

– Oczywiście. To oznacza, że Conor ich nie zabił. Nie można być oskarżonym o zabójstwo, jeśli osoba, którą miało się posłać na tamten świat, już nie żyła.

– Conor to pani...?

– Tak – potwierdziła Katie.

Patolożka naciągnęła z powrotem prześcieradła na zwęglone szczątki.

– Czy to możliwe, żeby ich zastrzelił, a potem podpalił przyczepę, żeby zatrzeć ślady? – spytała.

– On nawet nie ma broni. I to nie leży w jego naturze, nie zrobiłby nikomu nic złego. Był pewny, że McManus jest na walkach psów i nie ma go w obozowisku. Podpalił jego przyczepę, żeby wreszcie zmusić go do zaprzestania ohydnych procedur organizowania walk. Nie mógł znieść, że tyle psów cierpi katusze i ginie w męczarniach, a McManus zbija na tym wielką kasę. Podstawowe pytanie brzmi, kto w takim razie ich zastrzelił.

Doktor Kelley podeszła do stołu autopsyjnego po kubek z herbatą.

– Za pół godziny będzie tu moja asystentka. Może skończyć wydruki w try-
D tych pozbawionych głów nieszczęśników. Wydłubię dla pani te pociski
i napiszę wstępny raport na temat przyczyny śmierci tej dwójki. Może pani
zawieźć to do Tipperary osobiście albo przesłać im skan, jeśli nie ma pani czasu.
Może nawet wypuszczą tego pani Conora za kaucją, jeśli uwierzą, że nie zrobił
nic gorszego niż podpalenie jakiejś przyczepy w przyływie uzasadnionej złości.

– Pani doktor, jest pani prawdziwym aniołem w przebraniu.

– No, zobaczymy. Może jednak ten pani Conor miał broń, a pani o tym nie
wiedziała. Czasami wydaje się nam, że znamy kogoś na wylot, a potem okazuje
się, że właściwie nic o nim nie wiedzieliśmy. Weźmy na przykład mojego męża.

Katie myślała, że powie jej coś więcej, ale ona tylko sięgnęła po kubek
i łyknęła trochę herbaty.

– Fuj... – Skrzywiła się. – Wystygła. Smakuje etanolem.

* * *

Jeszcze przed opuszczeniem kostnicy Katie zadzwoniła do swojego
przyjaciela prawnika, Garreta Delaneya, i powiedziała mu, że Zezowaty
McManus i Rosella Rooney zostali zastrzeleni, nim spłonęli.

– Zaczekaj, aż będziesz miała raport z sekcji, nim cokolwiek powiesz czy
zrobisz – poradził jej. – Na wypadek gdyby się okazało, że ta patolożka miała
rację i zastrzelił ich Conor, choć ja na razie w coś takiego nie wierzę.

– Drzwi były zamknięte, prawda? Wobec tego jak Conor mógłby się dostać do
środka i ich zastrzelić?

– Drzwi były zamknięte, prawda, ale w środku technicy nie znaleźli kluczy.
Ktoś, kto zastrzelił McManusa, mógł wziąć klucze i zamknąć drzwi, nim odszedł.
W środku nie znaleziono żadnej broni, co wyklucza możliwość, że McManus
zastrzelił swoją dziewczynę, a potem siebie.

– O... Nie wiedziałam, że nie znaleziono kluczy – powiedziała Katie. – A nie
było śladów, które wskazywałyby na to, że w przyczepie mógł być ktoś jeszcze?

– Nie sądzę, by czegoś takiego szukali. Poza tym niewiele z tej przyczepy zostało. Obawiam się, że tak czy inaczej nie dałoby się nic takiego znaleźć.

– Dobrze, Garret, dziękuję. Odezwę się, kiedy tylko doktor Kelley przyśle mi raport.

– Może nie ma to większego znaczenia, Katie, ale trzy razy omawiałem z Conorem przebieg zdarzeń i nie sądzę, żeby ten człowiek był zdolny kogoś zabić. Strasznie zezłościło go to, że McManus nie stanie przed sądem za organizowanie psich walk i że skatował twojego psa, ale zrobił wszystko, by upewnić się, że w środku nikogo nie ma, nim podpalił przyczepę. A gdyby McManus nie dostał tego ataku podagry, rzeczywiście nie byłoby go w obozowisku.

– Tak, ale najwyraźniej ktoś jednak wiedział, że wrócił. Może ktoś na walkach psów zauważył, jak wychodzi, i poszedł za nim. W tych kręgach jest sporo animozji. Może ktoś miał do niego jakieś pretensje.

– To bardzo możliwe. Ale na razie nie mamy na to dowodów. Może powinienem pojechać do Tipperary i trochę rozejrzeć się wśród ludzi, którzy zajmują się walkami psów. Ktoś musi wiedzieć, komu mogłoby zależeć na wpakowaniu kulki w łeb McManusowi.

– Gdybyś się na to zdecydował, Garret, miej oczy dookoła głowy. Jeśli jest jakieś środowisko groźniejsze od tych, co walczą na gołe pięści, to ci od walk psów.

– Wiem, co robię, nie jestem dzieckiem, Katie, ale dzięki.

Po rozmowie z Garretem Delaneyem Katie pojechała do centrum Cork, żeby zrobić zakupy na rynku. Potrzebne jej były tylko pomidory i papryczki chilli do zupy i pierś kurczaka na niedzielny lunch. Przyjaciele, Devlinowie, proponowali, żeby po mszy w katedrze Świętego Colmana poszli razem coś zjeść do Gilberta, ale wiedziała, że tam wrócą wspomnienia o wieczorze, kiedy Conor się jej oświadczył, i nie zdoła niczego przełknąć.

Kupiła też sałatę i sześć plasterków szynki, a potem poszła na Oliver Plunkett Street do Body Shopu po płyn z drzewa herbacianego na noc i żeby pooglądać

wystawy we Fran & Jane. Kiedy wracała do Winthrop Street, mijala sklep jubilerski Keanes. Rzuciła okiem, ciekawa, czy bransoletka z brylancikami, o której tak marzyła Viona Caffrey, nadal jest na wystawie.

Z zaskoczeniem zobaczyła w środku Vionę Caffrey we własnej osobie. Była w jaskrawoczerwonym płaszczu i rozmawiała z ekspedientem, który zajął się Katie, kiedy weszła spytać o bransoletkę. Viona się obróciła i Katie zauważyła, że dziewczyna ma ją na ręce, unosi i porusza nadgarstkiem, by przypatrzeć się skrzącym się kamieniom.

Katie cofnęła się lekko, żeby tamta nie dostrzegła jej za półkami wystawy, i w tym momencie zorientowała się, że Viona nie jest sama. Obok niej stał krępy mężczyzna w średnim wieku, z kręconymi jasnymi włosami, które zaczynały już siwieć. Miał na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny. Śmiał się i kiwał głową. Położył dłoń na ramieniu Viony i pocałował ją w policzek. Katie z miejsca go rozpoznała. Dość często widywała jego zdjęcia w gazetach. To był Finbar Foley, menedżer Rachmasach Roversów, drużyny sponsorowanej przez Jimmy'ego Ó Faoláina.

Postała pod sklepem trzy, cztery minuty, aż Finbar Foley wyciągnął portfel i podał kartę kredytową ekspedientowi. Najwyraźniej kupował bransoletkę. Mogła wejść do środka, by wiedzieli, że widziała ich razem, ale w końcu nie robili nic nielegalnego, wołała więc, żeby najpierw detektyw O'Donovan postarał się ustalić coś na temat historii ich związku.

To on poprzedniego dnia po południu przesłuchiwał Finbara Foleya i wysnuł wniosek, że menedżer nie był zachwycony tym, że raz za razem przegrywają w meczach ligowych. Nie chciał jednak potwierdzić, że Jimmy Ó Faoláin płacił mu za to, żeby się podkładali. Bał się o przyszłość swojej kariery, bo Jimmy Ó Faoláin nie żył, a Rachmasach Rovers mogli paść z braku sponsora. A jaka drużyna zatrudni menedżera, którego podopieczni już przegrali sześć meczów z siedmiu w tym sezonie?

Katie chciała się dowiedzieć, czy Finbar Foley i Viona Caffrey zeszli się dopiero po śmierci Jimmy'ego Ó Faoláina, czy też spotykali się za jego plecami,

kiedy jeszcze żył. Często wyjeżdżał w interesach, zatem na brak okazji nie mogli narzekać. A jeśli mieli romans, to czy profesjonalna niechęć w połączeniu z zazdrością seksualną mogły być wystarczającym motywem do popełnienia morderstwa? Jimmy Ó Faoláin dał Vionie klucz, a to mogło wyjaśniać, jak zabójca dostał się do domu bez forsowania drzwi czy wybijania szyby w oknie.

Katie cofnęła się trzy kroki głębiej do wejścia sąsiedniego sklepu, Soundstore, gdy Foley i jego towarzyszka wychodzili z Keanesa. Kiedy szli ulicą, Viona nadal obracała bransoletkę rzucającą ogniki i śmiała się. Foley pocałował ją, a ona przystanęła i oddała pocałunek. Katie wyjęła iPhone'a z kieszeni kurtki i nakręciła tę scenę. W razie potrzeby to będzie niepodważalny dowód, że są dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi.

Rozdział 37

Kiedy Finbar Foley i Viona Caffrey skręcili w Winthrop Street, Katie ruszyła dalej Oliver Plunkett Street i weszła do kawiarni Italee. Zamówiła cappuccino i panini z wędzonym łososiem i kozim serem, po czym siadła przy oknie, żeby patrzeć na przechodniów.

Zastanawiała się, czy to będzie łakomstwo zamówić sobie jeszcze tiramisu, kiedy jej telefon zagrał melodyjkę *Siúil A Rún*. Dzwoniła doktor Kelley.

– Zrobiłam rentgen czaszek obu spalonych i wyciągnęłam pociski. Zważyłam je i sfotografowałam. Jak przypuszczałam, kaliber dziewięć milimetrów. Jednak to wasi eksperci od balistyki muszą ustalić, czy zostały wystrzelone z tej samej broni. Przeprowadziłam też wstępne badania zawartości ich żołądków oraz moczu, krwi, wątroby i włosów, będę też analizować, co jest w szpiku – ciągnęła. – I u niej, i u niego można stwierdzić spożycie niewielkiej ilości alkoholu. W jelicie McManusa była nie do końca rozpuszczona tabletką naproxenu, który zwykle przepisuje się na ataki podagry. W żadnym z ciał nie ma śladów trujących substancji. Przekażę koronerowi, że w obu przypadkach śmierć niemal na pewno była wynikiem pojedynczego strzału w głowę.

– Ma pani już raport? – spytała Katie.

– Będzie gotowy za jakieś pół godziny.

– To wpadnę i zabiorę kopię do Tipperary.

– Mogę go zeskanować i pani przysłać. Nie ma sensu, żeby się pani fatygowała aż tutaj.

– Dziękuję, ale zajrzę do pani. Mam wolne popołudnie. Zamierzałam kupić sobie buty, ale tak naprawdę wcale nie są mi potrzebne.

– Chce się pani z nim spotkać, tak?

Katie nie odpowiedziała na to pytanie.

– Do zobaczenia i dziękuję, pani doktor – rzuciła tylko.

Zamówiła tiramisu, ale kiedy je jadła, zorientowała się, że z naprzeciwka obserwuje ją jakiś mężczyzna siedzący przy stoliku kawiarni Market Lane. Miał ogoloną głowę i czarną skórzaną kurtkę. Trzymał przed sobą gazetę, ale zauważyła, że ani razu na nią nie spojrzał i nie przewracał kartek. A poza tym po nagłówku dotyczącym parkometrów poznała, że to wczorajsze wydanie „Evening Echo”.

Z kawiarni wyszedł kelner i spytał, co mu podać, ale on tylko pokręcił głową. Kelner coś mu powiedział, ale najwyraźniej nie miał odwagi oznajmić, że jeśli nic nie zamawia, to nie może tam siedzieć, i wrócił do środka.

Katie nieraz już była śledzona. Głównie były to próby zastraszenia jej. Raz na Anglesea Street zajechała jej drogę biała furgonetka, wyskoczyli z niej dwaj mężczyźni i roztrzaskali młotkiem przednią szybę jej samochodu. Prawie zawsze wiedziała, kto ją śledzi. Zwykle byli to członkowie rodzin przestępców, którzy mieli stanąć przed sądem. Ale z jakiejś przyczyny pojawienie się tego mężczyzny wywołało w niej większy niepokój niż poprzednie przypadki. Po pierwsze, nie wyglądał na członka któregoś z miejscowych gangów. Poza tym nadal nie rozumiała, jakim cudem zabójcy ostatnich trzech sygnalistów poznali adresy kryjówek i zdołali ich tak szybko porwać. Oświadczyła publicznie, że ma zamiar donieść O’Malleyowi o nagannych praktykach funkcjonariuszy, i teraz sama była sygnalistką.

Jeśli ten w czarnej skórzanym kurtce naprawdę ją obserwuje, to pewnie wie, kim ona jest. Ale gdzie jest – to mógł jedynie wiedzieć, śledząc ją. Czy od samego rana podąża za nią krok w krok? A jeśli tak, kim jest i dlaczego ją obserwuje?

Pocieszało ją trochę, że ma przy sobie w kaburze na lewym biodrze rewolwer – smith & wesson airweight. Ale ten człowiek też może mieć broń i być w kontakcie z innymi uzbrojonymi. Wezwie ich i otoczą ją w jednej chwili.

Pewnie mam paranoję. Ale lepiej mieć paranoję, niż dać sobie obciąć głowę.

Zadzwoiła na komendę do nadkomisarza Pearse'a. Powiedziała, gdzie się znajduje i że podejrzewa, że jest śledzona. Opisała mężczyznę i miejsce, gdzie siedzi przed kawiarnią Market Lane na rogu Beasley Street.

– Żaden problem. Zaraz się tym zajmę.

Zanim skończyła tiramisu, Oliver Plunkett Street nadeszło dwóch mundurowych w jaskrawożółtych kurtkach. Zatrzymali się przy stoliku tamtego mężczyzny. Katie widziała, że z nim rozmawiają. Nie miała pojęcia, co mówią, ale najpierw protestował, a potem wyraźnie się zezłościł. Zerwał się z miejsca, lecz jeden z funkcjonariuszy położył mu dłoń na ramieniu i zmusił go, by siadł z powrotem.

W tej chwili Katie zawołała kelnera i zapłaciła rachunek. Potem założyła kurtkę, wyszła z kawiarni i ruszyła szybko Oliver Plunkett Street, nie oglądając się za siebie; skręciła od razu w lewo w Parnell Place, gdzie zaparkowała samochód.

Obejrzała się dopiero, gdy doszła do rogu. Widziała, że mundurowi nadal rozmawiają z mężczyzną, ale on ignorował ich i wychylał się na krześle, żeby zobaczyć, dokąd ona idzie.

Dotarła do samochodu, wsiadła i w tym momencie zadzwęczał jej telefon. Dzwonił nadkomisarz Pearse.

– Właśnie odezwali się do mnie funkcjonariusze Brennan i O'Leary. Ten mężczyzna twierdzi, że był wykończony krążeniem po sklepach i przysiadł sobie odpocząć, to wszystko. Kiedy powiedzieli, że przecież nie ma przy sobie zakupów, zaczął się trochę awanturować. Zagrozili, że go aresztują, jeśli się nie uspokoi. Od razu przestał. Przedstawił się jako Thomas Lenihan i podał adres w Gurze. Nie popełnił żadnego wykroczenia, niewiele więcej mogli więc zrobić.

– Dziękuję, Michael. W każdym razie dzięki temu odczepił się ode mnie.

– Śledził cię... Myślisz, że to może mieć jakiś związek z twoim zamiarem złożenia doniesienia?

– Nie mam pewności. Ale teraz będę się lepiej rozglądać, czy przypadkiem ktoś za mną nie chodzi.

– Chodzi mi o to, czy potrzebujesz ochrony.

– Dziękuję za propozycję, ale sądzę, że na razie jest dość bezpiecznie, póki mam oczy otwarte i zachowuję się rozsądnie.

* * *

Pojechała do szpitala po raport.

– Mam nadzieję, że to pomoże w zwolnieniu pani faceta – powiedziała doktor Kelley.

Katie otworzyła teczkę i szybko przeczytała wnioski.

– Jeśli tak, będę pani winna wykwintną kolację w Hayfield.

Ruch na M8 był niezbyt nasilony, dotarła więc do Tipperary w niecałe półtorej godziny. Zaparkowała za posterunkiem na St Michael's Road i poszła prosto do inspektora Carrolla. Uprzedziła go o swoim przyjeździe, więc siedział za biurkiem, nadrabiając jakieś papierkowe zaległości.

Facet mocnej budowy, z krzywym złamanym nosem. Kiedy go poznała, pomyślała, że musiał wcześniej uprawiać profesjonalnie boks albo był bandytą, który postanowił wstąpić na uczciwą drogę. Później dowiedziała się, że studiował biznes i księgowość w St Patrick's College w Thurles i był mistrzem gry w szachy. Jeśli ktoś nauczył ją, by nie sądzić ludzi po pozorach, to inspektor Carroll.

– Jak przypuszczam, chce się pani zobaczyć z Conorem – powiedział, odrzucając długopis i wstając.

– Oczywiście, ale najpierw muszę panu pokazać to. Wstępny raport doktor Kelley dotyczący Zezowatego McManusa i Roselli Rooney. Nie zginęli w pożarze. Zanim się spalili, oboje zostali zabici strzałem w głowę.

– O rany, poważnie? – Inspektor Carroll wziął teczkę i szybko przejrzał treść. Potem popatrzył na Katie. – No... to całkiem zmienia postać rzeczy. Te walki

psów zorganizowane przez McManusa... Zrobiliśmy tam nalot późnym popołudniem i przerwaliśmy je.

– Kiedy Conor podpalał przyczepę, myślał, że to tam pojechał McManus.

– Tak twierdzi.

– Przepraszam, inspektorze, trochę się pogubiłam. Co pan wcześniej mówił?

– Przerwaliśmy te walki, aresztowaliśmy kilka osób za posiadanie narkotyków i za zakłócanie porządku publicznego. Jednego zgarnęliśmy za posiadanie broni. To Luke Kiggins, siedział już u nas nieraz za drobne wykroczenia jak ściganie się na autostradzie, dręczenie psów i koni czy zwijanie telefonów komórkowych. Rodzina Kigginsów to śmiertelni wrogowie McManusa i jego ludzi. Urządzają walki psów w całym Kilkenny i Laois, próbowali organizować je też w Tipperary.

– Jaką miał broń?

– Pistolet półautomatyczny. I tak, kaliber dziewięć milimetrów. FÉG PA-sześćdziesiąt trzy. Nie wiem, czy kiedyś trafiła pani na taki, ale my ostatnio widzieliśmy kilka. Są produkowane na Węgrzech i wiem, że IRA przeszmygłowała tu cały transport.

– Zbadaliście tę broń? Czy wyglądało na to, że była niedawno użyta?

– Nie mieliśmy żadnych doniesień, żeby ktoś został postrzelony, więc nie posłaliśmy pistoletu do techników. Ma siedmiostrzałowy wymienny magazynek, ale były w nim tylko cztery naboje. Oczywiście pytaliśmy Kigginsa o te brakujące. Powiedział, że ćwiczył strzelanie do celu.

– A gdzie jest teraz Kiggins?

– Został warunkowo wypuszczony. Pojawi się dopiero w sądzie.

– Macie tu ten pistolet? Mogę go zabrać do naszych ekspertów od balistyki?

– Nie widzę przeszkód. W gruncie rzeczy teraz, kiedy zobaczyłem ten raport patologa, powiedziałbym, że to bardzo istotne i pilne.

Podszedł do otwartych drzwi swojego gabinetu i krzyknął:

– Sierzancie Malone! Podejdzie pan do sejfu i przyniesie mi ten pistolet, który odebraliśmy Luke'owi Kigginsowi? I magazynek! – Obrócił się znów do Katie. –

Może zajrzy pani teraz do Conora? Z przyjemnością wypuściłbym go natychmiast, ale obawiam się, że trzeba poczekać, aż zostanie udowodnione, że to nie on zastrzelił McManusa i jego kobietę.

Katie uśmiechnęła się do niego lekko.

– Bez obaw. Wiem, że to nie on.

– A jednak to on podpalił przyczepę.

– Do tego się przyznał, prawda?

Inspektor Carroll poprowadził ją korytarzem do celi na tyłach posterunku.

– Proszę tego nie cytować, ale ja upewniłbym się, że McManus jest w środku, zanim podłożyłbym ogień. McManus to potwór. Psy czują ból tak samo jak my, mają takie same uczucia jak ludzie, mają dusze. W oczach Boga McManus byłby uznany za seryjnego zabójcę. Spotkała go zasłużona kara.

Doszli do celi i dyżurny funkcjonariusz otworzył jedną z nich. Conor leżał na łóżku, czytając jakąś powieść w sfatygowanej miękkiej oprawie. Na widok Katie upuścił książkę na podłogę i wstał, unosząc ręce niczym pokutnik witający zstępującego z nieba, niosącego mu wybaczenie anioła.

Żadne z nich nie powiedziało słowa, ale objęli się mocno. Oczy Katie zaszczyły łzami. Inspektor Carroll dyskretnie wycofał się z celi i przytknął drzwi, dając machnięciem dłoni znak dyżurnemu, żeby zostawił ich na chwilę samych.

Tulili się do siebie i całowali, aż wreszcie Katie odepchnęła Conora.

– Mam ci coś do powiedzenia, Con. Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, na razie, ale może uda mi się wydostać cię stąd.

Otarł łzy z oczu wierzchem dłoni.

– Chryste na rowerze, Katie, mam nadzieję. Jedzenie jest tu strasznie gówniane.

Oboje zaczęli się śmiać, choć nie byli do końca pewni, czy śmieją się, czy płaczą. Przysiedli na pryczy i Katie opowiedziała o odkryciu doktor Kelley – że Zezowaty McManus i Rosella Rooney zostali zastrzeleni.

– Kiedy tylko Bill Phinner będzie mógł przebadać pociski, zostaniesz pewnie wypuszczony za kaucją. Nie możesz być oskarżony o zabójstwo, skoro oni już nie

żyli.

– A jeśli kule nie będą pasowały do broni Luke’a Kigginsa? Jeśli to nie on ich zabił?

– Najprawdopodobniej jednak on. Kto jeszcze miał broń i był w Ballynonty, kiedy Zezowaty postanowił wracać? Nikt poza tymi, którzy oglądali walki psów, nie mógł wiedzieć, że McManus pojechał do obozowiska.

– A może ktoś, kto był na miejscu, zobaczył, jak wraca, i go zastrzelił.

– Nie bądź takim pesymistą. Sądziłam, że zawsze starasz się myśleć pozytywnie i patrzeć na słoneczną stronę.

– Tak było, ale wiesz co? Wtedy, w restauracji Gilberta, słońce dla mnie zaszło. Jeśli mam być szczery, to nie sądzę, że jeszcze kiedykolwiek wzejdzie.

– Ależ tak, kochany. Popatrz na siebie. Może jesteś w areszcie, ale mógłbyś się przyczesać. I... tak.

– Problem w tym, że nie mam cholernego grzebienia – poskarżył się Conor. Po czym pokręcił lekko głową i dodał: – Co rozumiesz przez to „tak”? Tak co?

– Tak. Wyjdę za ciebie.

Gapił się na nią, a jego orzechowe oczy znów zaszły łzami. Przygryzł wargę i przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Objął Katie, przytulił i kołysał jak Leonardo DiCaprio Kate Winslet na dziobie *Titanica*.

Wreszcie odchrząknął i wyprostował się.

– Katie, jesteś księżniczką. Rudowłosą, zielonooką księżniczką. Czasem patrzę na ciebie i nie mogę uwierzyć, że jesteś prawdziwa i że mnie kochasz. A teraz mówisz, że chciałabyś zostać moją żoną.

– Bo chcę. Będę panią Ó Máille.

Do drzwi celi zapukał inspektor Carroll.

– Mam to, po co pani przyjechała.

Katie pocałowała Conora i wstała.

– To tylko początek, Con. Nie martw się. Zawiozę broń prosto do Billa Phinnera i powiem, żeby migiem brał się do strzelania.

Wyszła z celi i oficer dyżurny zamknął za nią drzwi. Inspektor Carroll poprowadził ją z powrotem do swojego gabinetu i wyciągnął z szuflady pistolet w szczelnej foliowej torebce. Bez słowa podał jej wypełnione już poświadczenie odbioru, a ona je podpisała.

– Będę czekał na dobre wiadomości – powiedział.

Katie wzięła pistolet i uśmiechnęła się.

– Gdyby nie było to wbrew regulaminowi, inspektorze, pocałowałabym pana.

Rozdział 38

Nim wróciła do Cork, było ciemno. Pojechała prosto na Anglesea Street i przekazała broń Billowi Phinnerowi, który siedział zgarbiony przed komputerem.

Włożył gumowe rękawiczki i wyjął pistolet wraz z magazynkiem z plastikowej torebki. Podniósł je i przyjrzał się im dokładnie.

– FÉG PA-sześćdziesiąt trzy. Wyprodukowane na Węgrzech w zakładach FÉGARMY. Nadal używane przez węgierską policję. Prosta, tania broń. Łatwa do schowania pod marynarką. Chcieli wycofać ją po upadku komunizmu, ale mieli wyprodukowane tysiące sztuk. Nadal je eksportują, głównie do Ameryki, ale spora część trafiła do nas.

– Czy doktor Kelley przysłała ci już pociski?

– Tak. Przyjechały jakąś godzinę temu. Mój człowiek od balistyki, Colm, miał rzucić na nie okiem jutro.

– To może być pistolet, z którego zostały wystrzelone, więc gdyby była jakaś szansa sprawdzenia tego jeszcze dziś wieczorem...

Opowiedziała, jak Garda Síochána z Tipperary aresztowała Luke'a Kigginsa podczas walk psów. Phinner słuchał, obracając w dłoniach pistolet i pociągając nosem.

– Zobaczę, może się uda. Proszę zostawić to mnie.

– Jak to dla mnie zrobisz, Bill, kupię ci paczkę prezentową tych e-papierosów.

– Nie trzeba. Rzuciłem to i wróciłem do zwykłych fajek. Nie mogłem znieść paradowania w oparach dymu pachnącego jak sklep z cukierkami. Palacze z okolicy myśleli, że zmieniłem orientację.

* * *

Choć wróciła na Carrig View zmęczona, postanowiła ugotować zupę Bloody Mary i zawieźć ojcu. Dzięki temu mogła odwrócić nieco uwagę od sprawy Conora i niepokojącej możliwości, że testy balistyczne Billa Phinnera nie potwierdzą przypuszczenia i Zezowaty McManus i Rosella Rooney zostali zastrzeleni przez kogoś innego, nie Luke'a Kigginsa.

Mimo wszystko była pewna, że nie popełniła błędu, przyjmując oświadczyzny Conora. Kochała go i choć w emocjach popełnił głupstwo, podpalając przyczepę Zezowatego, to przynajmniej się do tego przyznał i pokazał, że ma odwagę odpowiedzieć za swój czyn. Widok Barneya kuśtykającego przez korytarz, by ją przywitać, przypomniał jej raz jeszcze, jak złym i sadystycznym człowiekiem był McManus.

Foltchain i Barney przyszły do kuchni śledzić, jak kroi kilogram dojrzałych pomidorów i wkłada je do brytfanki z dwiema oczyszczonymi z ziarenek papryczkami posypanymi odrobiną cukru, solą i pieprzem. Piekła wszystko pół godziny, a potem zmiksowała, dodając bulion warzywny i pastę pomidorową, wytrawne sherry i chrzan, a na koniec cztery łyżki wódki.

Oba psy patrzyły na nią błagalnie, kiedy próbowała zupy.

– Nie – powiedziała. – Nie dostaniecie tego. Za dużo w tym alkoholu. To dla was za ostre. Dziś byłybyście wstawione, a jutro wyłybyście i chorowały.

Kiedy dotarła do domu ojca, drzwi otworzyła Blaithin. Zapinała właśnie guziki płaszcza i wiązała na głowie chustkę.

– Katie! Dobrze cię widzieć! W samą porę... Muszę iść do domu, a twój biedny tata walczy z pakowaniem. Nie potrafi zdecydować, co zatrzymać, a co wyrzucić, choć tłumaczę mu, że nie może zabrać wszystkiego, zwłaszcza tych książek i czasopism. Ma dość egzemplarzy „Garda Review”, żeby zbudować sobie z nich drugi dom!

– Dziękuję, Blaithin. Zobaczę, może uda mi się mu pomóc. Nie wiem, czy jest już po kolacji, ale przywiozłam dla niego trochę zupy.

– No, zjadł trochę zapiekanki z kurczakiem, ale niewiele, i na pewno dobrze zrobiłoby mu małe co nieco na dobranoc. Od kilku dni prawie nic nie je. Myślę, że martwi się tą przeprowadzką. Nie pamiętam, żeby kiedyś był taki milczący. Czasem muszę dwa razy powtarzać pytanie, żeby mnie usłyszał.

Katie zniosła mały garnek z zupą do kuchni i postawiła na płycie kuchenki. Potem poszła do salonu, gdzie ojciec, klęcząc, przeglądał sterty książek. Wyglądało to tak, jakby otaczał go mały fort.

– Jak leci, tato? – spytała.

– Katie, moja kochana! Co za miła niespodzianka! Która to godzina? Myślałem, że przyprowadzisz mi swojego nowego psa i pójdziemy na spacer.

– Wiem, tato, ale jak ci mówiłam, moje życie jest teraz całkiem zwariowane. Miałam dzień wolny, ale okazało się, że muszę jechać do Wilton, a potem do Tipperary. Teraz mam trochę czasu, pomyślałam więc, że wpadnę i pomogę ci w pakowaniu. Przywiozłam ci zupę Bloody Mary, bo wiem, że ją lubisz.

– Wspaniale. Zjem potem miseczkę, dziękuję. No i co tam? Masz jakieś pojęcie, kto mógł ściąć głowy tym sygnalistom?

– Na razie nie. Nigdy nie zetknęłam się z taką sprawą. Ktokolwiek to zrobił, najwyraźniej kompletnie nie przejmuje się tym, czy zostawia ślady. Odciski palców, butów, DNA. Tak jakby wierzyli, że w życiu ich nie złapiemy, a nawet jeśli, to że nie będziemy w stanie wnieść oskarżenia.

– Widziałem cię w telewizji. Mówiłaś, że sama masz zamiar złożyć doniesienie. W jakiej sprawie?

– Są takie dwie prostytutki w Wilton. Oferowały usługi funkcjonariuszom w zamian za przymykanie oka na ich biznes. Zgłoszę to O'Malleyowi, żeby zobaczyć, czy w ten sposób da się sprowokować morderców i zdemaskować ich. Zabili już pięciu sygnalistów. Jeśli ja będę sygnalistką, może przyjdą i po mnie.

– Na litość boską, Katie! To cholernie niebezpieczna gra. Nie chcę zobaczyć cię bez głowy.

– Dam sobie radę, tato, i mam mnóstwo ochroniarzy, których mogę wezwać w razie potrzeby. Ale nie widzę innego sposobu, żeby znaleźć sprawców. Myślę,

że był w to zamieszany ktoś od nas, a może nawet więcej osób, w tym problem. Może jacyś wyżsi rangą oficerowie, którzy mogliby stracić pracę, gdyby materiał dowodowy sygnalistów został przedstawiony przed sędzią McGuiganem.

– Poważnie? Chyba nie sądzisz, że jakiś oficer byłby zdolny ściąć drugiemu głowę, żeby tylko utrzymać się na stołku?

– Myślę, że jest w tym coś więcej, ale na razie jeszcze nie mam pewności co. W końcu to rozgryzę, ale teraz to dla mnie poważny problem, a mam jeszcze inne, mniejsze.

Katie kusilo, żeby powiedzieć o oświadczeniach Conora i o tym, że je przyjęła, ale uznała, że to zachowa na koniec wieczoru, kiedy bardziej się zrelaksują i usiądą do jedzenia zupy. Ojciec nie był specjalnie zachwycony Conorem, bo to rozwodnik i nosi brodę. „Zawsze mam wrażenie, że faceci, którzy zapuszczają brodę, mają coś do ukrycia”, mówił.

– A teraz powiedz mi... – Katie klasnęła w dłonie i rozejrzała się dokoła. – Co mogę zacząć pakować?

– Tam, przy drzwiach, znajdziesz dwie sterty starych albumów ze zdjęciami. Z tego nic nie wyrzucę. Za kanapą są tekturowe pudła i taśma klejąca. Ale najpierw nalej sobie drinka, a ja też nie odmówię jednego.

Kiedy nalała sobie wódki z tonikiem, a ojcu piwa Satzenbrau, siadła po turecku na podłodze i zaczęła pakować albumy. Szło jej wolno, bo nie potrafiła się oprzeć i przeglądała je. Były tam zdjęcia jej i matki siedzących na ich ogrodowej huśtawce, fotografie Katie i jej sióstr budujących zamki na plaży w Kinsale. Niektóre zdjęcia mamy zostały zrobione zaledwie kilka tygodni przed jej śmiercią. Patrzyła na nie w milczeniu.

– Tak nagle ucichłaś – zauważył ojciec. – Co tam u ciebie, jak się masz?

– O... przepraszam. Oglądam te stare zdjęcia.

– Ja nie jestem w stanie. Nic tak nie boli jak patrzenie na zdjęcia z czasów, kiedy człowiek był szczęśliwy.

Katie dokończyła pakowania pierwszego pudła, zalepiła je i podeszła do kolejnej sterty albumów. Te były starsze, sfatygowane, w zielonej skórzanej

oprawie. W środku znajdowały się małe czarno-białe zdjęcia ojca w domu jego rodziców na Lower Pouladuff Road niedaleko Cork Lough.

Na pierwszej stronie drugiego albumu, który otworzyła, zobaczyła spłowiąły ręczny napis – *Ghairdín Glas 1965–1968*. Zajrzała dalej, obracając ostrożnie kartki, i na trzeciej stronie znalazła zdjęcie dziadka i babci stojących za furtką do ich ogrodu. Uśmiechali się i osłaniali oczy od słońca. Tabliczka na furtce głosiła: *Ghairdín Glas*.

Nigdy nie była w tym domu, bo dziadek zmarł, zanim się urodziła, a babcia przeprowadziła się do swojego brata w Ard Sionnach, więc Katie nie wiedziała, że dom tak się nazywał. Ale *Ghairdín Glas* to była także nazwa stowarzyszenia starszych ludzi, którzy stracili siedem i pół miliona euro, inwestując w Equity Sunshine – piramidę Jimmy’ego Ó Faoláina.

Rzuciła okiem na ojca odkładającego na bok książki, które zamierzał wyrzucić albo oddać do sklepów charytatywnych. To nie mógł być przypadek, że stowarzyszenie nazywało się *Ghairdín Glas*. Pewnie ojciec nim kierował albo był jego skarbnikiem i dlatego nadał mu nazwę domu, w którym dorastał, kojarzącą mu się z miłymi wspomnieniami. Członkowie stowarzyszenia zostali okrutnie wykiwani przez Jimmy’ego Ó Faoláina i dlatego ojciec stracił całe oszczędności i musiał się wynosić z domu.

Już miała unieść album i spytać, czy to on założył *Ghairdín Glas*, kiedy przemknęła jej przez głowę przerażająca myśl. Pomału odłożyła album i zamknęła go.

Co detektyw O’Donovan mówił o *Ghairdín Glas*? *Nie wyobrażam sobie, żeby tacy emeryci potrafili wejść do Jimmy’ego Ó Faoláina i zastrzelić go, nie zostawiając żadnych śladów. Oczywiście jeżeli by tam w ogóle dokuśtykali na swoich skrzypiących kolanach. I skąd wzięliby półautomatycznego sig sauera?*

Jej ojciec był wyszkolonym policjantem, doszedł do stopnia inspektora, zanim zmuszono go do podania się do dymisji. Wiedział, jak otworzyć zamek i jak gdzieś wejść – w rękawiczkach używanych przez techników kryminalnych i ochraniaczach na buty – tak by nie zostawić po sobie śladów. Miał przeszkolenie

w strzelaniu i potrafił posługiwać się półautomatycznym sig sauerem, bo to było wymogiem w Garda Síochána. Poza tym nadal był sprawny. Zanim zajęła się nim Blaithin, bardzo chorował, ale teraz chodził na długie spacery, a nawet grywał w golfa, więc na pewno nie za bardzo strzykało mu w kolanach.

O Matko Boska, nie mów, że to on strzelał. Błagam, nie. Nie mój własny ojciec. Wiem, że zawsze gorąco wierzył w sprawiedliwość, a on i jego przyjaciele stracili wszystkie pieniądze. Brian Cooney nawet popełnił samobójstwo z powodu bankructwa. Ale przecież gorąca wiara w sprawiedliwość nie musi się zmienić w mordercze pragnienie zemsty?

Jeszcze bardziej zmartwiała z przerażenia, przypominając sobie, co powiedział ojciec niedługo po tym, jak skończyła Garda College. Miała tę scenę przed oczami. Świątowali przy lunchu w barze Bosun tu, w Monkstown. Zażartowała, że teraz to ona jest w Garda Síochána i może go chronić.

„Nigdy nie będziesz miała takiej potrzeby, kochanie – zapewnił. – Nadal dobrze sobie z tym radzę. Zabrałem ze sobą kilka pamiątek, kiedy odchodziłem ze służby. Jedna z nich to moja broń”.

I ułożył palce w geście, jakby strzelał z pistoletu.

Znów popatrzyła na niego, skupionego nad książkami po drugiej stronie pokoju. Nie tylko umiałby zabić Jimmy’ego Ó Faoláina, ale miał też broń. Nie pokazywał jej Katie, ale prawie na pewno był to półautomatyczny sig sauer.

Postanowiła nic nie mówić. Wydawało się niemożliwe, żeby to on był sprawcą. Co by sobie o niej pomyślał, gdyby spytała wprost: „Czy to ty zastrześliś Jimmy’ego Ó Faoláina?”. Jeśli to prawda, nigdy by się nie przyznał, a jeśli tego nie zrobił, to albo by się zezłościł i obraził, albo pomyślał, że ona stroi sobie niesmaczne żarty.

Nawet gdyby mu pokazała zdjęcie domu nazwanego Ghairdín Glas, to przecież niczego nie dowodziło. Ojciec pewnie powiedziałby, że to zwykły przypadek, nic więcej.

* * *

Kiedy spakowali wszystkie książki, które tata chciał zatrzymać, Katie podgrzała zupę i ukroiła spore kromki sodowego chleba. Usiedli razem przy stole w kuchni.

Teraz, kiedy miała podejrzenie, że to ojciec zastrzelił Jimmy'ego Ó Faoláina, kompletnie straciła apetyt, ale próbując to ukryć, wmusiła w siebie pół miseczki zupy i piątkę chleba. Nie mogła się opanować, by jedząc, nie zerkać raz po raz na siedzącego naprzeciwko ojca. Prawie jakby spodziewała się, że ni z tego, ni z owego oświadczy: „To nie ja, Katie, słowo, i mogę ci tego dowieść!”, a ona będzie mogła roześmiać się z ulgą.

Ojciec tylko popatrzył na nią pytająco.

– Co? Co ci chodzi po głowie?

– Nic, tato. Myślałam o tych albumach i niektórych zdjęciach. Zapomniałam już, jaka ładna była mama. Jak się jest dzieckiem, to nie myśli się o tym, czy mama jest ładna. Mama to mama.

Ojciec odłożył łyżkę.

– Ja pamiętam, jaka była śliczna. Jak mógłbym zapomnieć? A ty jesteś jak skóra zdarta z matki, ale nie powtarzaj tego siostrze.

Katie zdecydowała nie mówić mu o tym, że zamierzają się pobrać z Conorem. Wiedziała, że to go specjalnie nie ucieszy, a nie chciała psuć mu nastroju przy kolacji. Poza tym, choć była pewna, że Conor zostanie oczyszczony z zarzutów o zabójstwo, to nadal czekał go proces w związku z podpaleniem i groziło mu więzienie. Póki to się nie wyjaśni, i tak nie mogli planować wesela.

Ojciec zaczął wspominać, jak to spędzili tydzień w hrabstwie Wicklow i jej matka wygrała konkurs piękności. Katie słuchała jednym uchem. Nie mogła przestać się zastanawiać, czy nadal ma pistolet. Może pozbył się go lata temu, ale skoro trzymał stopy „Garda Review” i każdą książkę, którą kiedykolwiek przeczytał, wydawało się jej to mało prawdopodobne. Jeśli jednak zastrzelił Jimmy'ego Ó Faoláina, może wyrzucił broń, bo była dowodem obciążającym. Mógł cisnąć ją do wody na przystani i nikt jej już nigdy nie znajdzie.

Z drugiej strony, ktokolwiek zastrzelił Jimmy'ego Ó Faoláina, bardzo się starał nie zostawić żadnych śladów, więc mógł uznać, że nie ma potrzeby pozbywać się broni.

Wątpliwe, by Katie udało się załatwić nakaz rewizji jego domu, ponieważ jej podejrzania opierały się jedynie na bardzo osobistej interpretacji faktów. Ale gdyby nawet dostała ten nakaz, a broń nie zostałaby znaleziona albo nie pasowałyby do pocisków, które zabiły Jimmy'ego Ó Faoláina, ojciec pewnie już nigdy nie chciałby z nią rozmawiać.

– Aleś ty dziś milcząca – rzucił.

– Po prostu jestem zmęczona – powiedziała. – Chcesz jeszcze trochę zupy?

– Tak, poproszę. Pali w ustach, ale jest pyszna.

Katie nałożyła ojcu drugą miseczkę i siedziała, patrząc, jak je.

Co mi w ogóle przychodzi do głowy? Naprawdę podejrzewam, że mój rodzony ojciec mógł z zimną krwią kogoś zastrzelić? Nawet jeśli sądził, że ten ktoś w pełni na to zasługuje, czy zrobiłby coś takiego? Jimmy Ó Faoláin obrabował setki inwestorów, każdy z nich mógłby cieszyć się z jego śmierci. A jednak bardzo chciałabym być absolutnie pewna, że to nie mój tata go zabił, pomyślała.

Ojciec odłamał kawał chleba, wytarł nim miseczkę z resztek zupy i włożył go sobie do ust.

– Zanim wyjdiesz, mam na strychu jeszcze trochę albumów ze zdjęciami, które chciałbym ci pokazać – oznajmił.

– Może następnym razem – zaproponowała Katie. – Przywiozę tu w niedzielę po południu Barneya i Foltchain i wtedy je pooglądamy.

– O, daj spokój, zaraz je zniosę. Jest tam to zdjęcie twojej matki z wyjazdu do hrabstwa Wicklow. Właśnie sobie to przypomniałem i sam chciałbym je jeszcze raz zobaczyć.

Znikł na górze, zostawiając Katie powstawianie misek i talerzy do zmywarki. Usłyszała stuknięcie, kiedy opuszczał drabinę, a potem skrzypienie stopni, gdy wspinał się po niej na strych.

Poszła do salonu i rozejrzała się szybko. Po przeciwnej stronie stała staroświecka komoda. Katie wahała się chwilę, nim podeszła i wysunęła dwie dolne szuflady. Nie było w nich nic poza matami na stół z obrazkami żaglowców i mahoniowym pudełkiem ze sztukami. Otworzyła dwie kolejne szuflady, a potem trzy górne. Znalazła jedynie długopisy i koperty, i rolkę taśmy klejącej.

Szukasz broni w domu taty, bo sądzisz, że mógł kogoś zastrzelić? Nie wstyd ci? Nie... bo nie jestem tylko Katie, córką swojego ojca, ale także detektyw nadkomisarz Katie Maguire.

Ruszyła do korytarza i otworzyła dwie szuflady pod wieszakiem. Znalazła tam łyżkę do butów, zgniecioną plakietkę poświadczającą, że podatek drogowy został uiszczony, i trzy złożone szaliki mamy. Albo ojciec zostawił je tu przez sentyment, albo nie zdawał sobie sprawy, że tu są.

Zajrzała do ogromnego kredensu w jadalni, a potem poszła do małego pokoju obok, gdzie ojciec miał swój gabinet. Zaglądała pośpiesznie do szuflad biurka, cały czas nasłuchując, czy tata nie składa drabiny pod strychem i nie wraca na dół.

Następnie poszła do kuchni, choć było mało prawdopodobne, żeby to tam trzymał broń. Sprawdziła wszystkie szafki i powyciągała szuflady, ale znalazła tylko sztucce, otwieracze do puszek i ściereczki.

Jeśli w ogóle miał pistolet, to najprawdopodobniej trzymał go w szafce nocnej. Ostatnio w Cobh i Monkstown było kilka przypadków, kiedy włamywacze torturowali starszych ludzi, by zmusić ich do otwarcia sejfów i oddania kosztowności.

Usłyszała, jak ojciec zamyka klapę strychu, nie miała więc czasu iść na górę i przeszukać sypialni. Zszedł z zadowoloną z siebie miną, niosąc pod pachą trzy albumy.

– Sam ich nie oglądałem od lat – powiedział. – Co ty na to, żeby wypić jeszcze jednego drinka przed odjazdem? Moglibyśmy przejrzeć razem te zdjęcia. Jest tu mnóstwo twoich, jak miałaś jakieś pięć, sześć lat.

– Najpierw muszę skoczyć do łazienki. Zaraz będę.

Weszła do toalety i właśnie zdejmowała długi rudy sweter, kiedy odezwał się jej telefon. Wyjęła go z kieszeni i zobaczyła, że dzwoni Bill Phinner.

– Przepraszam za późną porę, ale mówiłaś, że chcesz mieć jak najszybciej wyniki.

– Nie ma sprawy, Bill. I co jest?

– Pasują.

– Co? Poważnie?

– Nie ma co do tego wątpliwości. Pociski, które zabiły McManusa i jego przyjaciółkę, zostały wystrzelone z tego pistoletu, który przekazałaś mi dziś po południu. Zrobiliśmy sześć strzałów próbnych i zbadaliśmy pociski pod mikroskopem. Zarysowania są dokładnie takie same.

Katie ledwie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Dzięki Bogu, Bill. Nie wiesz nawet, jak ciężki kamień spadł mi z serca.

– Wyobrażam sobie. Bardzo się cieszę. Skan wyników będzie czekał jutro rano w twoim komputerze, a jeśli nie masz nic przeciwko temu, wyślę go też mailem inspektorowi Carrollowi.

– Oczywiście, dobrze. Dzięki wielkie, Bill. Jestem twoją dłużniczką.

Odłożyła telefon na rezerwuar WC, opuściła dżinsy, stringi i usiadła na sedesie. Mogłaby krzyknąć z radości. Conor stanie przed sądem, ale będzie mogła zaświadczyć o okolicznościach łagodzących – nie mógł znieść, że McManus organizuje tak okrutne walki psów, a decyzja, że nie będzie za to odpowiadał, doprowadziła Conora do ostateczności. Jeśli szczęście dopisze, może nawet skończy się na grzywnie albo kilkuset godzinach przymusowych prac społecznych.

Odchyliła się do tyłu i niechcący strąciła telefon z wierzchu rezerwuaru. Wpadł między niego a ścianę.

O Jezu, pomyślała, jeszcze tego mi trzeba. Dlaczego nie mogę się niczym ucieszyć, żeby zaraz coś się nie działo? Na szczęście telefon nie upadł na posadzkę i nie stłukł się. Dwa tygodnie wcześniej upuściła go podczas zakupów w Dunnes i wymiana szybki kosztowała ją trzydzieści euro.

Zapięła dzinsy, umyła ręce i zajrzała za zbiornik. Telefon zatrzymał się na jakiejś paczuszce owiniętej białą plastikową torbą do wykładania łazienkowego kubła, oblepionej brązową taśmą. Sięgnęła i wyjęła telefon, a potem wyciągnęła i paczkę.

Nie musiała jej nawet rozrywać, by wiedzieć, co to. Poznała to po wadze i kształcie. Coś się jej przy tym skojarzyło: jak siedziała w starym kinie Capitol z ojcem, matką i trzema siostrami i oglądała *Ojca chrzestnego*. Jest tam scena, kiedy Michael idzie do restauracji na spotkanie z dwoma mężczyznami z wrogiego gangu i ich ochroniarze obmacują go, by upewnić się, że nie ma broni. W połowie posiłku Michael rusza do toalety i wyciąga pistolet, który wcześniej ukryto za rezerwuarem WC.

Ojciec powiedział: „Sprytne! Kto by pomyślał o chowaniu pistoletu w kiblu? Muszę to sobie zapamiętać”. Przypomniła sobie, że powtarzał to potem wielokrotnie. Zwłaszcza kiedy ona spotykała się z niebezpiecznymi przestępcami, jak z Eugene’em Ó Béarą czy Eamonnem „Cwaniakiem” Collinsem. Widywała się z Cwaniakiem wielokrotnie w pubie Dana Lowery’ego na MacCurtain Street i za każdym razem kazał jej rozchylić kurtkę i pokazać, że nie jest uzbrojona.

Schowała paczkę pod sweter i kiedy wyszła z toalety, ruszyła od razu do swojej dużej brązowej skórzanej workowatej torby i wsunęła do niej pakiet. Ojciec był w kuchni, wyciągał kolejną butelkę Satzenbrau z lodówki, i kiedy przyszedł do salonu, ona już siedziała na dużej zielonej wiktoriańskiej kanapie z jednym z albumów na kolanach.

– Patrzę na niektóre z tych zdjęć i trudno mi uwierzyć, że to ja – powiedziała.

– Wszyscy się zmieniamy, co? Czas robi swoje, choć my nie zdajemy sobie z tego sprawy. Popatrz tu, na mnie, przed posterunkiem w Togher. Ale niewiniątko! Jakby nigdy nic. I te włosy!

Katie uśmiechnęła się do niego, ale nie potrafiła utrzymać tego uśmiechu. Proszę, na Boga, tato, oby te kule, które zabiły Jimmy’ego Ó Faoláina, nie pasowały do twojej broni.

Rozdział 39

Po powrocie do domu Katie wzięła Barneya i Foltchain na przechadzkę aż do Dock Cottages. Spacer miał pomóc jej oczyścić głowę i dać psom trochę ruchu przed snem.

Rozpaczliwie chciała wierzyć, że ojciec nie mógłby zastrzelić Jimmy'ego Ó Faoláina, ale jeśli żywiłaby podobne podejrzenia wobec kogoś innego, bez wahania poszłaby tym tropem. Aż ścisnęło ją w brzuchu i nie potrafiła już cieszyć się ulgą, jaką przyniosła jej wiadomość Billa Phinnera, że to nie Conor zastrzelił Zezowatego McManusa i Rosellę Rooney.

Zawróciła i szła Carrig View z powrotem do domu, gdy zorientowała się, że sunie za nią pomału jakiś samochód. Poza tym nie było widać żadnych innych aut, a to toczyło się przy krawężniku, mając zapalone tylko światła postojowe. Rzuciła okiem przez ramię i wydało się jej, że samochód jeszcze bardziej zwolnił. Szła dalej, ale rozpięła kurtkę, żeby w razie potrzeby szybko wyciągnąć broń.

Nie mogła mieć pewności, czy ci w samochodzie rzeczywiście ją śledzą, a jeśli tak, to czy jest to wynik jej oświadczenia na konferencji prasowej, że ma zamiar złożyć doniesienie na temat funkcjonariuszy odwiedzających rumuński burdel. W Cork było mnóstwo przestępców, którzy mogli chcieć zrobić jej coś złego. Ale ogolony mężczyzna, który obserwował ją, kiedy w porze lunchu siedziała w Italee, a teraz samochód sunący z prędkością spacerową zaledwie dwadzieścia metrów za nią sprawiły, że poczuła się zagrożona. Była przekonana, że poradziłaby sobie, gdyby próbowali ją porwać, lecz doszła do wniosku, że rozsądnie będzie powiadomić kogoś z działu ochrony, żeby mieli na nią oko.

Zawołała Barneya i Foltchain, a kiedy psy do niej podbiegły, wzięła je na smycze i trzymała blisko siebie. Potem obróciła się na wąskim chodniku i stanęła twarzą do zbliżającego się auta. W lewej dłoni miała smycze, a prawą wsunęła pod kurtkę.

Samochód się zatrzymał. I stał prawie pół minuty, podczas gdy ona nie spuszczała z niego oczu. Teraz było jasne, że jadą za nią, a jeśli tak, to wiedzieli, kim jest, a skoro wiedzieli, to musieli zdawać sobie sprawę, że jest uzbrojona. Mogła blefować z dłonią pod kurtką, ale niekoniecznie.

Miała pełną świadomość, jakie to niebezpieczne stać tak bez ruchu. Ktokolwiek prowadzi to auto, też może mieć broń, a ona stanowi nieruchomy cel. Serce jej waliło, od oddechu w wilgotnym nocnym powietrzu unosiły się obłoczki pary. Mogli strzelić jej w nogi i zawlec ją do samochodu, a jedynymi świadkami byłyby jej dwa porzucone psy.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła telefon, by sfotografować samochód. Niemal natychmiast zapaliły się światła mijania, silnik ryknął i auto z piskiem opon ruszyło spod krawężnika, pozostawiając za sobą zapach palonej gumy.

Katie patrzyła na czerwone światła tylne, gdy samochód mijał przystań promu i znikał w oddali. Odetchnęła z ulgą. Barney i Foltchain spojrzały na nią ze współczuciem.

– Już dobrze, nie martwcie się – powiedziała. – Ci paskudni faceci odjechali. Chyba bardziej boją się, że zrobię im zdjęcie, niż że ich zastrzelę.

Dotknęła ekranu i popatrzyła na zrobione zdjęcie. Zobaczyła na nim tylko światła reflektorów, ale może technikom uda się wyostrzyć obraz i odczytać numery. Był to srebrny albo szary mercedes, sedan, co do tego nie miała wątpliwości.

Kiedy wróciła do domu, zaryglowała porządnie drzwi frontowe i założyła łańcuch. Włączyła też alarm, który miał połączenie z posterunkiem w Midleton. Zwykle odkładała pistolet do górnej szuflady w dawnym pokoju dziecięcym, ale tej nocy zostawiła go przy łóżku na szafce nocnej. Broń ojca nadal leżała w jej torbie, nierozpakowana. Katie zamierzała zanieść ją rano Billowi Phinnerowi,

żeby porównał ślady, jakie zostawia, z pociskami, które zabiły Jimmy'ego Ó Faoláina.

Po prysznicu położyła się. Kusilo ją, by wziąć dwa nytole, nie chciała jednak być nieprzytomna, gdyby ktoś się do niej włamał. Ale i tak usnęła w dziesięć minut i spała twardo – nic się jej nawet nie śniło – aż do rana, gdy Barney zaczął popiskiwać cieniutko, jak to on, kiedy chciał dostać coś na śniadanie.

* * *

– A ten gdzie znalazłaś? – zapytał Bill Phinner, kiedy porozcinał plastikową torebkę i wydobył półautomatycznego sig sauera. – Matko Boska, sypiesz we mnie tymi pistoletami jak z rękawa. Trafiałaś przypadkiem na jakiś tajny skład broni IRA?

– A mogłabym na razie nic nie mówić? Jeśli z tej broni nie zastrzelono Jimmy'ego Ó Faoláina, chcę ją zwrócić właścicielowi i nie będzie sprawy. Tak naprawdę ten ktoś nie wie nawet, że pożyczyłam sobie ten pistolet.

– Jasne. Przekażę go Colmowi, kiedy tylko tu dotrze, i jeszcze dziś po południu powinien mieć wyniki albo nawet wcześniej. Przy okazji, wysłałem raport inspektorowi Carrollowi. Potwierdził, że go dostał.

– Dziękuję, Bill. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– No, miałybyś stertę pistoletów i nie miałyby kto ich dla ciebie posprawdzać.

– A właśnie – powiedziała. – Jest jeszcze coś, na co mógłbyś dla mnie spojrzeć.

Pokazała mu zdjęcie samochodu, który jechał za nią Carrig View.

– Może twój geniusz fotografik zdoła odczytać z tego numer rejestracyjny.

Nie wyjaśniła, dlaczego pstryknęła to zdjęcie, bo nie chciała, żeby to, co robi, rozniosło się po komendzie. Jeśli tu, na Anglesea Street, są jacyś skorumpowani funkcjonariusze, łatwiej zdradzą się tym, co wiedzą, niż tym, czego nie wiedzą.

Po wyjściu z laboratorium poszła zobaczyć się z nadkomisarzem Pearse'em i poprosiła, żeby załatwił jej ochronę, kiedy wychodzi z komendy i pod jej dom

na noc. Zgodził się, choć z jego miny widziała, że nie pochwała jej zamiaru złożenia zeznań i sądzi, że z własnej nieprzymuszonej woli ściągnęła na siebie zagrożenie.

– Mam braki kadrowe i budżet nie jest bez dna, ale chyba damy jakoś radę.

Kiedy dotarła do swojego gabinetu, zastała tam czekającego na nią detektywa O’Creana. Robił wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

– Co tam, Cairbre? – zapytała.

– Chodzi o zapis z kamery sklepu spożywczego Decky’s. Była ustawiona tak, że nie łapie żadnych pojazdów jadących od Mervue Lawn na południe Glenheights Road. Ale bogowie się do nas uśmiechnęli, bo podejrzani skręcili gwałtownie na parking przed sklepem i jeden z nich pobiegł kupić sobie paczkę johnny bluesów. Mamy więc wyraźne ujęcie jego i samochodu. Nawet można zobaczyć sierżanta MacAuleya na tylnym siedzeniu.

– Wspaniale. Co to za samochód?

– Mercedes, sedan, srebrny.

– Widać jego numery?

– Całkiem wyraźnie, pani nadkomisarz – odparł podekscytowany. – Ale mamy coś jeszcze lepszego. Coś mi się skojarzyło, ten numer, zszedłem więc sprawdzić w spisie i okazało się, że mam rację. To ten sam numer jak mercedesa, którego odholowano z Crosser, tego, którym jechał ten cały Farry, kiedy uderzył w auto Buckleya.

– Ten sam?

– Identyczny. Rejestrowany w Cork. Zaczyna się od sto sześćdziesiąt dwa C. Sprawdziłem go w spisie pojazdów mechanicznych. I taki numer nie istnieje.

– Myślę, że zasłużyłeś na nagrodę, Cairbre – powiedziała Katie. – Zapamiętam ci to! Mówiłeś detektywowi inspektorowi Fitzpatrickowi?

– Jeszcze go nie ma, ale wysłałem mu esemesa. Chce pani, żebym poprosił nadkomisarza Pearse’a o puszczanie wiadomości o tym do wszystkich?

– Nie. Chwilowo nie. I nie mów o tym nikomu więcej poza członkami zespołu Motyl. Upředź ich, że na razie to ściśle tajne. Jak dotąd to najmocniejszy

dowód, że za zabójstwami sygnalistów stoją Seamus Twomey i Douglas Quinn, ale musimy zebrać jeszcze mnóstwo materiału, nim będziemy mogli ich aresztować.

Detektyw O'Crean zamyślił się, marszcząc brwi.

– Dobrze. Musimy dowieść, że ten samochód, którym jechał Farry, należy do Twomeya lub Quinna, prawda? Albo przynajmniej że mu go udostępnił.

– No właśnie. Ponieważ oba auta mają ten sam fałszywy numer rejestracyjny, prawdopodobnie były kradzione. Jeśli tak, to po mieście może krążyć więcej takich srebrnych mercedesów. Wszystkie z tą samą rejestracją i łatwo zatrzymać nie ten co trzeba.

– Racja – przyznał O'Crean. – I nawet jeśli to Twomey i Quinn zorganizowali te zabójstwa, nadal nie mamy pojęcia, czemu wzięli na cel tych sygnalistów, prawda? W dodatku wszystkich pięciu. – Przerwał, a po chwili dodał: – Rozumiem, dlaczego mogli polować na O'Regana. Wiadomo... ujawnił, że handlarze narkotyków unikają więzienia, a niektórzy z nich byli z ich gangu. Ale czemu odcięli głowę Wassanowi, który skarżył się na rasistowskie traktowanie? Albo sierżantowi MacAuleyowi? On tylko doniósł o wymazywaniu punktów karnych. Co to obchodzi Twomeya i Quinna?

– Właśnie tego musimy się dowiedzieć – rzuciła Katie. – Ale dzięki tobie i tak zrobiliśmy spore postępy w śledztwie. Za godzinę, dwie mamy naradę, możemy podyskutować, co dalej, skoro upewniliśmy się już trochę co do Twomeya i Quinna.

Kiedy detektyw O'Crean opuścił gabinet, wstała od biurka i podeszła do okna. Czuła, że operacja Motyl wreszcie rusza z miejsca, ale nadal była przekonana, że ktoś z Anglesea Street maczał palce w zamordowaniu pięciu sygnalistów, nawet jeśli chodziło tylko o przekazanie istotnych informacji zabójcom.

Stephen MacQuaid przysłał jej esemesa z wiadomością, że przepytał swoich ludzi od ochrony, ale wszyscy stanowczo zaprzeczyli, żeby mieli komukolwiek mówić, gdzie znajdują się mieszkania kryjówek, a w dodatku większość z nich

w ogóle nie znała tych adresów. Niewykluczone, że któryś z nich kłamie i został przekupiony przez zabójców, ale nie sposób tego dowieść.

Katie popatrzyła przez szybę na okna jednego ze skrzydeł komendy. Zastanawiała się, czy za którymś z nich siedzi informator albo nawet zabójca. Jedno wiedziała na pewno – musi zachować największą ostrożność, zarówno w swoich posunięciach prywatnych, jak i w tym, ile mówi. Ufała swojemu zespołowi zaangażowanemu w operację Motyl, ale co do niektórych detektywów nie miała absolutnej pewności; było też kilku mundurowych, o których nie wiedziała nic poza tym, jak się nazywają.

Ktoś zapukał do drzwi i kiedy się obejrzała, zobaczyła, że to James Gallagher, ekspert księgowy z policji skarbowej. Miał ze sobą teczkę.

– Przepraszam, że wpadam tak bez zapowiedzi, pani nadkomisarz. Coś się pojawiło i sądziłem, że powinienem pokazać to pani osobiście, a nie wysłać mailem. I tak wybierałem się do miasta po nowe skoroszyty.

– Proszę, niech pan siada – zaprosiła go Katie. – Ma pan ochotę na filiżankę kawy? Mnie chyba od ostatniej spadł już poziom kofeiny i przydałby mi się łyk.

– Wystarczy szklanka wody, dziękuję. To okropnie sucha praca, ta rachunkowość. Poza takimi przypadkami.

Usiadł na jednej z kanap przy oknie, rozpiął teczkę i wyciągnął trzy kartki sczepione razem w przezroczystej plastikowej koszulce, a potem pojedynczą kartkę, w drugiej koszulce.

– Przysłali mi to wczoraj z komendy głównej w Dublinie, późno wieczorem, kurierem. Jak pani wie, mieliśmy siedemdziesiąt trzy tomy księgowości Jimmy’ego Ó Faoláina do przejrzania i jeszcze sporo nam tego zostało. Nadal głowimy się nad systemem, jakim kodował swoich klientów, ale skontaktowaliśmy się z kryptologiem, doktorem Heffernanem z Trinity College. Heffernan jest przekonany, że uda mu się złamać szyfr.

Weszła Moirin. Katie poprosiła o cappuccino i butelkę wody Ballygowan. Kiedy asystentka zniknęła, James Gallagher podał kartki Katie niczym ktoś, kto właśnie podpisał ważny traktat pokojowy.

– Te pierwsze trzy zostały znalezione między stronami przedostatniej księgi Jimmy’ego Ó Faoláina.

Katie rzuciła okiem na pierwszą.

– To jego testament – stwierdziła.

– Tak to wygląda, w dodatku unieważniający ten datowany wcześniej, który odkryliśmy w jego sejfie. Jeśli spojrzy pani na drugą stronę, to zobaczy pani, że w przypadku jego śmierci cały majątek miał, po opłaceniu odpowiednich podatków, przypaść w udziale niejakiej Vionie Caffrey z Mayfield.

– Była jego dziewczyną. Kupował jej kupę biżuterii, choć zapewniła mnie, że nigdy nie dawał jej większych sum pieniędzy.

– Teraz, kiedy nie żyje, da. W każdym razie zgodnie z tym testamentem. Ale w tym zapisie jest sporo błędów ortograficznych. Na przykład *per stirpes*, łacińskie określenie związane z podziałem masy spadkowej, jest pisane *per stripes*. Bardzo osobliwe jak na prawnika tego kalibru. I proszę porównać ten podpis z podpisem na tej stronie. Ten drugi jest z umowy zawartej na początku dwa tysiące siedemnastego roku z towarzystwem ubezpieczeniowym Doherty’s Insurance. Kreska w podpisie na testamencie jest dużo grubsza, jakby ktoś mocno przyciskał pióro i pisał bardzo wolno, prawda? A „F” jest mniej fantazyjne. Wczoraj po południu obejrzał to dla nas grafolog, z którego usług korzystamy w przypadku poważnych oszustw. Nie ma wątpliwości, że ten podpis jest sfalszowany i to nawet niezbyt dobrze. Dla pewności moi koledzy skontaktowali się z kancelarią notariusza i potwierdziło się, że ostatni testament sporządzony przez Jimmy’ego Ó Faoláina to ten, który znaleźliśmy w sejfie.

Katie oddała dokumenty księgowemu.

– Krąg się zacieśnia – powiedziała. – To oznacza, że nawet jeśli Viona Caffrey nie zastrzeliła Jimmy’ego Ó Faoláina, wiedziała o planowanym zabójstwie.

James Gallagher skinął głową.

– Byłaby pani zdumiona, jak wiele sfalszowanych testamentów widzimy po przedwczesnej śmierci bogatych ludzi. Niekoniecznie oznacza to, że to

beneficjenci tych testamentów położyli kres ich życiu, ale to może być jakiś motyw.

Nie potrafiła przestać myśleć o ojcu. Jeśli Viona Caffrey sfałszowała testament Jimmy'ego Ó Faoláina, bardzo możliwe, że wynajęła też zabójcę i że tata jest niewinny. Viona miała swój klucz do domu i bardzo łatwo mogła dorobić drugi, żeby morderca nie musiał forsować zamka.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że zabrała pistolet taty. Był jej ojcem, emerytowanym oficerem Garda Síochána, najuczciwszym, najbardziej godnym zaufania człowiekiem, jakiego znała. Wstąpiła do służby, bo tak bardzo go podziwiała. Żadna z sióstr nie przejawiała zainteresowania, by kontynuować rodzinną tradycję, i Katie widziała, że tata jest tym gorzko rozczarowany, choć starał się tego nie okazywać.

James Gallagher wziął papiery.

– Zaniosę je na dół do techników, żeby je zbadali – oznajmił. – Jak przypuszczam, macie odciski palców i DNA Viony Caffrey?

– Oczywiście. Jeśli to ona napisała ten testament, wkrótce będziemy mieć potwierdzenie.

– No, wie pani, jak to się mówi... Gdzie jest wola, sposób się znajdzie. Dla chcącego nic trudnego.

Kiedy zobaczył wyraz twarzy Katie, dodał:

– Żartowałem.

Rozdział 40

Kiedy Michael Ó Doibhilin wchodził do baru Halfway, Seamus Twomey podniósł lewą rękę i pokazał na swój zegarek.

– Spóźniłeś się, ściemniaczu. Chyba mówiłem ci, żebyś był tu punktualnie o jedenastej trzydzieści.

– Wylało ze studzienki na Blarney Street – powiedział Michael, siadając. Nie przeszkadzało mu, że to wyjaśnia, ale bez względu na to, jaką władzę miał nad nim Twomey, nie zamierzał przeproszać.

– Kiepsko wyglądasz, Mick – wtrąciła Gwenith. – Ciężka noc, co? Trzeba było zostać ze mną. Skoro nie mogłeś spać, to chociaż byś się na coś przydał.

Miała na sobie fioletowy golf. Jego wywinięcie przy szyi konkurowało z fałdami tłuszczu pod brodą.

Douglas Quinn coś tam stukał na iPhone i zaledwie raz podniósł wzrok, by spojrzeć na Michaela. Obok niego siedział Hoggy, z rękami założonymi na brzuchu. Oczy miał zamknięte.

– Prom *Swansea* będzie w Ringaskiddy o pierwszej piętnaście – powiedział Twomey. – Nasz człowiek jedzie białą wynajętą furgonetką z Northgate. Jest załadowana dywanami, ale oczywiście towarem też. Chcemy mieć pewność, że przejdzie przez kontrolę bez obszukiwania.

– Jasne – rzucił Michael. – Dzwoniłem już do kumpli na cle i wiedzą, co robić. Nie ma problemu, pod warunkiem że dostaną na parę drinków.

Twomey sięgnął do kieszeni kurtki roboczej wiszącej na oparciu krzesła za nim. Wyciągnął złożoną żółtą kopertę i podał nad stołem.

– Tu jest tysiąc. To powinno pomóc im trzymać wężące psy na odległość.

Michael wziął kopertę i wcisnął do wewnętrznej kieszeni. Kiedy to robił, ktoś klepnął go w ramię.

– Patrzcie, patrzcie! Kogo to ja widzę!

Podniósł wzrok i zobaczył sierżanta Boyle'a, który zwykle siedział w dyżurce na Anglesea Street. Był to jeden z tych kolegów w średnim wieku, który wyglądał, jakby regularnie ćwiczył na siłowni. Wielkie bicepsy, króciutko obcięte szpakowate włosy i głowa okrągła jak piłka.

– Zaskoczony? – Wyszczrzył się, ukazując dwa braki w uzębieniu. – Nie mniej niż ja, szefie, że cię tu widzę. Zaczekaj, tylko zorganizuję drinki.

Podszedł do baru i wrócił z kuflami dla Twomeya, Quinna, Hoggy'ego i siebie. Niósł też jabłkowe poitini dla Gwenith.

– Też masz chęć na jednego, detektywie? Nie mogę tak cię tu tytułować, teraz będziemy mówić po prostu Mick?

– Właśnie. Mickdup – mruknął Twomey.

– Ja jestem Christy – powiedział sierżant Boyle. – Jako detektyw na pewno domyślasz się, że mój tata szalał na punkcie hurlingu. Gdyby Christy Ring kandydował na papieża, mój ojciec pierwszy by na niego głosował.

– Na razie pasuję z drinkiem – oświadczył Michael. – Nie chcę pojawić się w Ringaskiddy, ziejąc alkoholem.

Christy przyciągnął krzesło i usiadł obok niego.

– Pojadę z tobą dopilnować ładunku. Nie żeby Seamus ci jeszcze nie dowierzał, po tym co wyprawiałeś wczoraj piłą łańcuchową. Szkoda, że nie mogłem zobaczyć tego na własne oczy, ale miałem dyżur.

Michael milczał. Nadal był lekko zszokowany widokiem znajomego sierżanta z komendy w tym hałaśliwym pubie w towarzystwie dwóch najsłynniejszych po północnej stronie Cork handlarzy narkotyków. To był facet, do którego machał niemal codziennie, wchodząc do pracy, i wymieniał z nim uwagi na temat pogody.

– Mick? – odezwał się Twomey. – Co tam ostatnio słyhać w sprawie Farry'ego i Vincenta?

Michael pokręcił głową.

– Przez kilka dni miałem zwolnienie lekarskie. Nie słyszałem nic nowego. Zbierają materiał dowodowy przeciwko nim. Mogą mnie znów wezwać i zadać mi więcej pytań.

– Na które będziesz powtarzał uparcie „Bez komentarza”?

– Nie wskażę palcem na ciebie, jeśli o to ci chodzi.

– Dobry z ciebie chłopak. Powiem ci, ściemniaczu, że dziesięć razy bardziej ufam skaptowanemu glinie niż komukolwiek innemu. Taki zna prawo od podszewki. Wie, co mu się upieczce. A na dodatek ma sporo do stracenia, jeśli da się złapać. Dla gliny to żadna frajda znaleźć się w więzieniu. Będzie miał wiele szczęścia, jeśli tylko poczęstują go wrzątkiem wlanym prosto w gardło.

– Wiesz, jak wrócisz z Ringaskiddy, może zajrzemy do mnie i poudajesz, że jesteś znów Tommym, co? – zaświergotała Gwenith.

Jej brat uniósł brew i popatrzył na Michaela, jakby mówił: „Lepiej daj jej, czego chce, ściemniaczu, bo inaczej będzie kiepsko”.

Kiedy Christy skończył piwo, znów klepnął Michaela w ramię.

– Idziemy, szefie, zwijamy się – rzucił. – Lepiej się nie spóźnić.

Wyszli z baru i wsiedli do srebrnego mercedesa sedana zaparkowanego na chodniku. Zaczęło mżyć, na szybie osiadła mgiełka. Christy uruchomił silnik i ruszył, nie sygnalizując nic migaczem. Kierowca, który wyjechał z za rogu Baker's Road, zatrąbił na niego. Christy zahamował, opuścił szybę i pokazał tamtemu palec.

– Następnym razem uważaj, ciulu! – krzyknął. Potem zamknął okno i odjechał, chichocząc. – Ciul jeden – powtórzył z wyraźną uciechą.

Jakiś czas jechali w milczeniu.

– Wiem, jakie zadajesz sobie pytanie, Mick – odezwał się wreszcie Christy. – Nie muszę być do tego jasnowidzem.

– Ach, tak. Więc jakie?

– Zastanawiasz się, jak taki wzorowy sierżant mógł związać się z takimi dwoma gnojami jak Seamus Twomey i Douglas Quinn, że nie wspomnę o tej

grubaśnej Gwenith.

Michael milczał ze wzrokiem wlepionym przed siebie.

– Jeśli chcesz wiedzieć, mój średni syn, Brendan, uzależnił się od heroiny. Nie wyobrażasz sobie, w jakim był stanie. Zaczął kraść, żeby zdobyć narkotyki. Najpierw obrabiał mnie i swoją matkę, potem przyjaciół. W końcu zwijał coś w sklepach. Zaczęły się też włamania do domów. Mimo wszystko uzbierał mu się potworny dług u diler, a kiedy nie mógł go spłacić, pobili go tak, że ledwie przeżył. Freddie. Jego diler nazywał się Freddie Finn.

– Słyszałem o nim. Ale jakoś ostatnio wszelki ślad po nim zaginął, co?

– Rzeczywiście, i powiem ci czemu. Chciałem go aresztować za pobicie Brendana, ale syn błagał, żebym tego nie robił, bo nie było dowodu, że to on kazał go tak skatować. Freddie uciąłby Brendanowi jaja, gdybym go zwinął. Orientował się, że jestem jego ojcem. Poszedłem więc do Seamusa Twomeya, który wiedział, jak bardzo nie znoszę Freddiego Finna. Zapłaciłem Seamusowi i on obiecał to załatwić, i załatwił, bo od tamtej pory nikt nie widział Freddiego ani nic o nim nie słyszał. Nikt nie wie, co się z nim stało. Ale potem Seamus zaczął prosić mnie o różne przysługi. Co miałem robić? Nie mam wyjścia, jak ty, Mick. Myślałem, że Seamus po prostu da Freddiemu wycisk, ale on bez wątpienia załatwił gościa na cacy, a ja mu za to zapłaciłem. Ty ściąłeś głowę temu Bonnerowi. Jesteś w takiej samej sytuacji jak ja. Jeżeli nie będziemy tańczyć, jak Seamus nam zagra, to mamy przechłapane.

Wjechali do portu i zaparkowali. Była dopiero za dziesięć pierwsza i nie widać było jeszcze promu *Swansea*, więc poszli do kawiarni i usiedli. Christy kupił colę i pił ją prosto z butelki.

Michael nie był pewien, czy powinien spytać go o sygnalistów. Jeśli to Seamus Twomey zorganizował ich egzekucję, Christy może po powrocie donieść mu, że Michael wydaje się podejrzanie dociekliwy. Czy Christy był teraz w pełni oddany Twomeyowi, czy też w głębi duszy nadal myślał o złożonej przysiędze, że będzie bronił przestrzegania prawa i nie stanie się członkiem żadnej tajnej organizacji?

Przed budynkiem terminalu przesunął się wpływający prom.

– Jak myślisz, jak to jest, kiedy ścinają ci głowę? – odezwał się Michael.

Christy łyknął coli i wzruszył ramionami.

– Mówisz o tych sygnalistach?

– No i o tym Bonnerze też.

– Sygnaliści... a czego oni się spodziewali? Nie kabluję się na kumpli, bez względu na to, co robią.

– No, ale to dość radykalne, żeby zaraz ścinać komuś głowę i jeszcze wtykać te flety...

– Można było spuścić im łomot, ale co by to pomogło? I tak pojechaliby do Dublina i zeznawali. Musieliśmy wystraszyć każdego, komu chodziłoby coś takiego po głowie, żeby raz na zawsze przestał nadawać.

„My?”, pomyślał Michael.

– No jasne. Na to nie wpadłem. To sprawa lojalności, prawda? Nie da się pracować, jeśli wszyscy na wszystkich kablują.

– Dokładnie. Żadnych zasad, współpracy, solidarności, zaufania, kompletny upadek. Ta służba, do której wstępowałem, już nie istnieje. Słyszałem w telewizji, że detektyw nadkomisarz Maguire też zamierza na nas donosić. Zawsze miałem wrażenie, że jest sztywna, jakby połknęła kij.

– Lepiej niech uważa, bo jeszcze sama straci głowę. – Michael starał się, żeby zabrzmiało to tak, jakby specjalnie się tym nie przejmował.

Christy znów łyknął coli.

– Święta racja, szefie – skwitował, wstając. – Chodź, zaczynają rozładowywać pojazdy.

* * *

Na zewnątrz, w deszczu, Michael zobaczył znajomych celników w czapkach i żółtych odblaskowych kurtkach. Obok nich na mokrym betonie siedziały dwa angielskie spaniele o przemoczonej sierści.

– Cześć, Mannix, Kyran. Jak tam forma, chłopaki?

Obaj byli mniej więcej w tym samym wieku co Michael, a z Kyranem grywał nawet kiedyś w piłkę nożną i chodził z jego siostrą. Kyran po jednym z meczów przedstawił go w pubie Mannixowi. Ten pierwszy był niski i przysadzisty, a jego kolega – wysoki, z długim nosem. Przypominał flaminga. Kyran zawsze żartował sobie, że Mannix mógłby palić, nawet biorąc prysznic.

– Czego szukamy? – zapytał Kyran. – Albo raczej czego nie szukamy?

– Białej furgonetki wypożyczonej w Northgate – odparł Christy. – Nie ma tam nic pierwszej klasy, nie zawracajcie więc sobie tym głowy. Nikt nie stanie przed Stwórcą, bo ktoś przedawkował czy uzależnił się na całe życie. To tylko lekarstwa, antydepresanty i takie tam rzeczy, ale będziemy sprzedawać je dużo taniej niż w aptekach, nie chcemy więc płacić cła za ich sprowadzenie. Teoretycznie można powiedzieć, że to przemyt, ale tak naprawdę raczej działalność charytatywna. W Cork jest mnóstwo ludzi biednych, z ciężką depresją, którzy nie mogą pozwolić sobie na leki po cenach rynkowych.

Mannix obejrzał się, żeby upewnić się, czy nie obserwuje ich jakiś inny celnik.

– My sami jesteśmy w ciężkiej depresji, prawda, Kyran? I biedni.

– To jesteśmy w stanie wam pomóc – oświadczył Christy. – Nie możemy dać wam tabletek, ale mamy inny antydepresant, co, Mick? Chcesz dać im receptę?

Michael też się rozejrzał, a potem przekazał Kyranowi kopertę, którą dostał od Seamusa Twomeya. Przez krótką, straszną chwilę miał wrażenie, że to może być prowokacja i Christy zaraz powie mu, że jest aresztowany za przekupywanie celników. Nadbiegną funkcjonariusze i założą mu kajdanki. Ale Kyran wepchnął kopertę do kieszeni jaskrawej kurtki i nic się nie stało.

– Wielkie dzięki, Mick – rzucił. – Wiesz co? Jakoś od razu mi lepiej.

Stali, patrząc na sznur samochodów zjeżdżających z promu. Furgonetka z Northgate była przedostatnia. Kyran przytrzymał psy, gdy przejeżdżała obok nich, choć i tak nie wyczułyby oksykodonu i fentanylu opakowanych w folię bąbelkową, mimo że oksykodon jest podobny chemicznie do heroiny, a fentanyl

ponad sto razy bardziej uzależniający od morfiny. Ale na wszelki wypadek trzymał je mocno, bo gdyby kierowca miał w kieszeni coś na własny użytek, psy od razu złapałyby ten zapach.

Furgonetka wyjechała z terminalu i znikła.

– Dzięki za pomoc, chłopaki – powiedział Christy. – Bardzo ją sobie cenimy.

– Zawsze do usług – zapewnił Mannix. – Miło zrobić coś dla społeczeństwa. Przecież po to jesteśmy.

* * *

Pojechali z powrotem do baru Halfway. Gwenith wypięła już co najmniej trzy jabłkowe poitini i wykrzykiwała obsceniczne obelgi pod adresem jakiejś kobiety siedzącej na drugim końcu sali.

– Ty zdziro! Ty pierdolona zdziro! Pieprzyłabyś się z każdym, komu jeszcze serce bije i kto ma dwudziestaka!

Kiedy jednak Michael i Christy podeszli, by usiąść, przestała się wydzierać, wzięła pod ramię Michaela i zaczęła się do niego kleić.

– Może i jesteś kłamliwym bydlakiem, ale cię kocham. Kocham twojego fiuta, Mick. Masz najlepszego fiuta, jakiego widziałam, od kiedy widziałam jakiegoś fiuta.

– Nie zwracaj na nią uwagi – burknął jej brat. – Jak poszło?

– Jak po sznurku – odparł Christy.

Twomey sięgnął do swojej kurtki i wyciągnął plik banknotów po pięćdziesiąt euro. Poślinił kciuk i odliczył dziesięć dla Michaela i dziesięć dla Christy'ego, a potem podsunął je im po blacie.

– Będę chciał, żebyście pomogli mi znów w czwartek. Mam kolejny transport ze *Swansea*.

– W czwartek pracuję – rzucił Christy.

– W porządku. Myślę, że mogę zawierzyć Michaelowi. Powinien dać sobie radę sam, co, Mick?

– Jasne – powiedział Michael. – Przy takiej stawce za godzinę mogę dla ciebie pracować na pełny etat.

– O nie. Potrzebuję cię na komendzie, tam będziesz dla mnie najbardziej przydatny.

Michael poszedł do baru i kupił kolejkę wszystkim, po czym wrócił i siadł obok Gwenith. Uspokoila się już, ale dalej kleiła się do niego i obsypywała go lepкими całusami.

Starał się podsłuchać, o czym rozmawiają Twomey z Quinnem, ale siedzieli nachyleni ku sobie i mówili bardzo cicho. W tym samym czasie kobieta, na którą wcześniej krzyczała Gwenith, śmiała się hałaśliwie, a Gwenith stale szarpała go za rękę i ponaglała:

– Skończmy tego drinka, Mick, i możemy iść do mnie, co ty na to?

W co ja się dałem wrobić? – zastanawiał się. Przyłączyłem się do gangu, żeby zebrać na nich więcej dowodów i zemścić się za swoje porwanie i śmierć Buckleya i O'Briena. A skończyłem sam jako morderca i teraz piję z Gwenith w tym odpowiedniku dziewiątego kręgu piekła.

Dosłyszał głos Douglasa Quinna.

– Możemy zażądać, ile tylko chcemy, chłopie. Mówię ci, zapłacą każdą cenę.

Próbował uchwycić, co to za „oni” i za co zapłacą „każdą cenę”, lecz Gwenith znów pociągnęła go za rękę.

– Chodź, Mick, jestem taka napalona. Dokończ to piwo i idziemy.

Michael i Gwenith wstali. Była już tak pijana, że zatoczyła się na stolik i o mało nie porzlewała wszystkich drinków.

Jej brat mrugnął do Michaela.

– Zajmij się nią, Mick, daj jej wszystko, o co poprosi. I przyprowadź ją tutaj z powrotem w dobrym nastroju, dobrze?

Michael nie odezwał się, tylko uśmiechnął się do niego blado i pomógł Gwenith przejść chwiejnym krokiem do drzwi. Na szczęście znalazł miejsce do zaparkowania niedaleko przy sklepach i zdołał dociągnąć ją do swojego opla astry. Otworzył drzwi od strony pasażera i wepchnął ją do samochodu. Musiał

jeszcze podnieść z chodnika jej lewą nogę, jak rzeźnik chwytający udziec wołowy, i załadować ją do środka. Nie zawracał już sobie głowy zapinaniem Gwenith pasów.

– Już nie mogę się doczekać – bełkotała, kiedy jechali Cathedral Road. Wsadziła dłoń między uda Michaela i tak go ścisnęła, że aż zaskowytał.

– Gwenith, ja prowadzę!

– O, już za chwilę, obiecuję. To najlepszy sposób na spędzanie wieczoru, jaki wynaleziono!

Zaparkował przy jej domu na Sprigg's Road i musiał ją wlec do wejścia i przez próg. Kiedy dotarli pod drzwi, niemal minutę szukała kluczy, a przez kolejne pół starła się trafić do dziurki zamka. Wreszcie Michael zabrał jej klucze i sam go otworzył.

– Cholerne poitini – rzuciła, kiedy przytrzymując się ścian, sunęła w kierunku sypialni. – Wiesz, musieli mi czegoś tam dosypać...

– Ile ich wypijaś? – zapytał Michael.

– Nie wiem. Może jakieś pięć.

– Za dużo. To jak dziesięć wódek.

– Co ty? Jesteś jakiś pieprzony ekspert alkoholowy czy co? – Popchnęła na wpół otwarte drzwi, podreptała do niepościelonego łóżka i padła twarzą na materac, nie wypuszczając z rąk torebki.

Michael przystanął obok, zastanawiając się, co robić, gdy nagle zaczęła chrapać.

– Gwenith? – odezwał się cicho.

Nie odpowiedziała, a kiedy się nachylił, zobaczył, że ma zamknięte oczy, a spod rozchylonych warg, którymi wylądowała na kołdrze, widać zęby. Zasnęła jak kamień.

– Gwenith? – powtórzył raz jeszcze, tym razem szeptem.

Zostawił ją chrapiącą i poszedł do salonu. Panował tu jeszcze większy bałagan, niż kiedy był tu ostatnim razem. Na kanapie leżały sterty ubrań do prasowania, na podłodze stał pojemnik z resztkami chińszczyzny na wynos,

w których tkwiła brudna łyżka. Zasłony były zaciągnięte, w zaduchu cuchnęło jedzeniem, tanimi perfumami i potem.

Fachowo, szybko jak włamywacz, przeszukał szuflady komody na końcu pokoju i mniejsze, przy bocznych stolikach. Sprawdzał, co jest pod naręczami ciuchów, a nawet ukląkł i zajrzał pod kanapę. Znalazł tam jednak jedynie stary numer „Echo” sprzed trzech tygodni i ogromne czarne koronkowe majtki z rozciągniętą gumką.

Podszedł do drzwi sypialni, żeby upewnić się, czy Gwenith się nie zbudziła, po czym przeszukał mały zagracony pokój z mnóstwem walizek, tekturowych pudeł i stert prześcieradeł i koców. Otwierał wszystkie walizki i pudła. Strzepywał koce, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś ukrytego między nimi.

Jeszcze raz posłuchał, czy Gwenith spokojnie chrapie, i zrewidował kuchnię. W szufladzie na sztućce znalazł strzykawkę do zastrzyków podskórnych i trzy nowe igły, ale żadnych narkotyków. Szafki były pełne przypadkowej zbieraniny talerzy i kubków, a kiedy zajrzał do lodówki w rogu, odkrył mnóstwo resztek jedzenia na wynos i przeterminowane jogurty truskawkowe.

Otworzył zamrażarkę na dole, a gdy zdał sobie sprawę, co w niej jest, zszokowany przycisnął dłoń do ust. Nie było tam nic do jedzenia poza kilkoma kulkami groszku przyklejonymi do lodu, który utworzył się na dnie. Półki były wyjęte, a zamrażarka była załadowana od dołu do góry białymi torbami z Tesco. Było ich sześć i przez szron, który pokrywał najbliższą z nich, Michael rozpoznał zarysy ludzkiej twarzy.

Wyrwał jedną z toreb z zamrażarki, postawił ją na kuchennym stole i próbował rozwinąć. Plastik solidnie przymarzył do zawartości. Michael wziął więc nóż z szuflady i po czterech czy pięciu nacięciach zdołał rozerwać torbę. W środku, z oczami nadal otwartymi, z rzęsami pokrytymi lodem, znajdowała się odcięta głowa sierżanta Lacey'a.

Nie potrzebował odpakowywać innych toreb, by wiedzieć, kto w nich jest.

Wyjął telefon i zrobił zdjęcie głowy sierżanta Lacey'a i innych upchanych w zamrażarce. Kiedy zaczynał pakować głowę Lacey'a, usłyszał wołanie

Gwenith:

– Mick! Mick! Gdzie jesteś, do cholery, Mick? Jesteś tam jeszcze?

Najszybciej, jak mógł, owinął głowę Lacey'a i wepchnął z powrotem między resztę. Zamknął drzwiczki zamrażarki, nóż wrzucił do szuflady ze sztućcami i strzepnął kilka drobinek lodu, które zostały na blacie. Potem otworzył szafkę, zdjął z półki niebiesko-biały kubek i nalał do niego wody z kranu.

W drzwiach pojawiła się Gwenith. Chwiejąc się na nogach, przytrzymywała się framugi.

– O, tu jesteś, Mick. Co ty tu robisz, do cholery?

– Pić mi się chciało. Napiłem się trochę wody.

– Marnie się czuję, Mick. Tak naprawdę czuję się jak gówno. Na pewno ktoś mi doprawił czymś to poitini.

– Czemu się nie połóżysz? Myślę, że po prostu trochę za dużo ich wypiałś, i tyle.

– O, zapomniałam. Jesteś ekspertem od ankoholu. – Język się jej plątał. – Ale jeszcze nigdy nie było mi tak niedobrze.

– Może zaszkodziło ci coś, co zjadłaś. Masz alka-seltzer albo coś takiego?

Gwenith złapała się za brzuch i wydała z siebie gwałtowne beknięcia. Nim zdolała odpowiedzieć, zwymiotowała na swój fioletowy sweter. Podwójna broda wydymała się przy każdym szarpnięciu. Gwenith rzygała i rzygała, aż wreszcie cały przód golfu pokrył się błyszczącą beżową breją, którą zbryzgana była też podłoga.

– Jezu, coś ty jadła? – zapytał Michael.

Odbijało się jej bez końca, a z każdym rzutem kołysały się jej tłuste fałdy na szyi. Wreszcie zdołała wykrztusić:

– Jadłam coś w Nando's.

Marzył jedynie o tym, by ominąć rzygi Gwenith, dotrzeć do drzwi wyjściowych i nigdy już tu nie wracać. Ale tuż za nim leżały w zamrażarce głowy pięciu funkcjonariuszy i musiał wykryć, kto ich zabił. Wątpliwe, by dokonała

tego sama Gwenith, a gdyby skontaktował się z Anglesea Street i spowodował, że natychmiast ją aresztują, zgodnie z prawem będzie mogła odmówić zeznań.

Poza tym nie było pewności, czy znajdą dość śladów na głowach sygnalistów, by zamknąć i skazać Seamusa Twomeya czy kogokolwiek z jego gangu. To by znaczyło, że śmierci detektywów Buckleya i O'Briena, i młodego Pendzabczyka, którego sam ściął, poszły na marne, nie wspominając już o traumie, jakiej doznał, kiedy został porwany, i o utracie Eithne. Skoro całe jego życie miało lec w gruzach, nie chciał, żeby to się stało tak bez sensu.

Pomógł Gwenith dojść do łazienki, otarł ją trochę ręcznikiem do rąk, a potem zdjął jej sweter i biustonosz. Chlipała i pociągała nosem. Ramiona jej drżały.

– Musimy cię tylko umyć, a potem prześpisz się parę godzin – powiedział jej, siląc się na czuły, uspokajający ton. – Jak się obudzisz, poczujesz się dużo lepiej.

Siedziała na brzegu wanny, kiedy ściągał z niej obcisłe czarne legginsy i jej trzeszczące w szwach majtki wyszczuplające. Potem pomógł jej wejść do wanny i posadził, a sam wziął do ręki prysznic, żeby ją umyć. Starał się nie myśleć o niczym, kiedy unosił jedną po drugiej ciężkie piersi i polewał, a potem kierował strumień wody na brzuch i padołek. Gwenith odbiło się głośno. Michael modlił się, żeby tylko nie zapowiadało to kolejnej serii wyrzucania z siebie kurczaka peri-peri.

Gdy mimo jej pisków i niezdarnych prób podniesienia się na nogi udało mu się ją umyć, dźwignął ją, owinał ręcznikiem i wytarł niczym ogromne niemowlę.

– Wiesss co, Mick? – bełkotała, kiedy wciągał jej przez głowę koszulę nocną. – Jesteś jak cholerny cerz, na biam koniu. To znaczy chodzi mi, że rycerzee...

– Wiem, o co ci chodzi, Gwenith. A teraz kładź się, zamknij oczy i pośpij trochę jak śpiąca królewna. Przykro mi, że nie mogę z tobą zostać, ale obiecuję, że odbijemy to sobie innym razem. Dobrze?

– Naprawdę nie możesz zostać? Potulić mnie choć trochę?

Umościła się na łóżku i Michael położył się obok, na kołdrze. Objął Gwenith i parę razy uściskał ją dla dodania otuchy. W jakiś dziwny sposób, którego sam nie rozumiał – choć brzydził się nią i odrzucała go fizycznie – było mu jej żal.

Zastanawiał się, czy byłaby taka sama, gdyby wychowała się w innej rodzinie, nie u Twomeyów, tylko gdzieś daleko od Gurranabraher.

Myślał też o tych zamrożonych głowach. Dlaczego zabójcy je tu trzymali? Żeby nie wiem jak bardzo chcieli zemścić się na sygnalistach, musieli zdawać sobie sprawę, jakie to straszne dla rodzin, że będą chować swoich bliskich bez głów.

A potem pomyślał o sierżancie Christym Boyle'u. Czy jego opowieść o motywach współpracy z Seamusem Twomeyem i Douglasem Qinnem była wiarygodna? Czy naprawdę miał syna uzależnionego od narkotyków i czy Twomey rzeczywiście zorganizował zabójstwo Freddiego Finna?

Fakt, Freddie Finn zniknął i nie pojawiał się już w tutejszym środowisku handlarzy narkotykami, ale może po prostu wyniósł się gdzieś, gdzie była mniejsza konkurencja, na przykład do Szkocji albo na północ Anglii. Michael nie wierzył też, by Christy był jedynym funkcjonariuszem Garda Síochána, który stał za likwidacją sygnalistów.

Po jakichś dziesięciu minutach Gwenith znów zasnęła i zaczęła wydychać rytmicznie powietrze lepkimi ustami. Michael cofnął rękę i podniósł się z łóżka. Zanim wyszedł z mieszkania, zajrzał do kuchni i ostatni raz rzucił okiem na głowy w zamrażarce.

Przeżegnał się.

– Spoczywajcie w pokoju – powiedział. – Rozkawałkowali wasze ziemskie ciała, bydlaki, ale wasze dusze w całości pójdą do nieba.

Rozdział 41

Katie pisała szkic raportu na temat rumuńskiego burdelu, gdy do jej gabinetu zajrzał komendant MacCostagáin z kubkiem kawy w dłoni.

Uniosła wzrok znad ekranu komputera. Zawsze poznawała, kiedy wyżsi rangą oficerowie jak Magorian czy Denis MacCostagáin mieli jej coś ważnego do zakomunikowania. Pojawiali się wtedy w progu otwartych drzwi jakby nigdy nic, tak jakby zamierzali po prostu ponarzekać sobie na paskudną pogodę i że w taki dzień psa by się nawet nie wypędziło na dwór. A potem mimochodem rzucali: „A tak przy okazji, Kathleen...”, i przystępowali do rzeczy.

– Chce pan, żebym dała spokój z doniesieniem do wydziału wewnętrznego – powiedziała, jeszcze zanim MacCostagáin zdążył otworzyć usta.

– Ach – bąknął, starając się nie zdradzić zaskoczenia. – Rzec w tym, Kathleen, że martwię się nie tylko o naszą opinię, ale też o twoje bezpieczeństwo. Michael Pearse mówił mi, że załatwił ci ochronę, mimo to nie jestem zachwycony, że się narażasz, zwłaszcza że naprawdę nie ma takiej konieczności.

– Panie komendancie, funkcjonariusze domagają się regularnych usług seksualnych w zamian za to, że nie aresztują dwóch kobiet prowadzących burdel. I pan sugeruje, że powinniśmy im na to dalej pozwalać?

– To nie takie znów wielkie wykroczenie. Ta afera bardziej popsuje atmosferę, niż to warte. My tu, na Anglesea Street, robimy, co w naszej mocy, by odbudować nasze dobre imię. Twoje doniesienie to ostatnie, czego nam trzeba.

– Przykro mi, ale nie potrafię przemykać na to oka. Nie możemy oczekiwać, że społeczeństwo będzie przestrzegać prawa, jeśli my sami go nie przestrzegamy.

– Kathleen, martwię się o ciebie. To może być twoja ostatnia szansa.

Katie wyprostowała się w fotelu i popatrzyła na niego, unosząc brwi.

– A co to ma dokładnie znaczyć?

– Tylko to, że powinnaś się dwa razy zastanowić, zanim wyskoczysz z czymś takim. Jeśli podałaś mi nazwiska funkcjonariuszy, którzy odwiedzali ten burdel, powiem im, że wiem, co robili, i nieźle im się oberwie. To powinno zadziałać. Mógłbym nawet zagrozić, że powiadomię ich dziewczyny o tym, co wyprawiają.

– Nie sądzę, że powinniśmy uciekać się do szantażu, by dyscyplinować naszych ludzi. I myślę, że ta sprawa powinna zostać ujawniona na najwyższym szczeblu, aby każdy w Garda Síochána uświadomił sobie, że nasze zachowanie musi być wzorowe, od komendanta po szeregowych funkcjonariuszy.

– Czy ty przypadkiem nie robisz się zanadto świętoszkowata, jeśli wolno mi się tak wyrazić?

Nie skomentowała tego. Nie chciała mówić mu, że w normalnej sytuacji pewnie nie zawracałaby sobie głowy składaniem tego doniesienia. Tak jak sugerował, uznałaby za wystarczające udzielenie nagany funkcjonariuszom domagającym się seksu od kobiet prowadzących burdel. Można byłoby też zawiesić ich na jakiś czas w obowiązkach albo obniżyć im pensje.

– Jeśli to wszystko, panie komendancie... – Wróciła wzrokiem do ekranu komputera i uniosła dłonie nad klawiaturą.

– Na razie tak – rzucił MacCostagáin. – Nadal mam nadzieję, że zmienisz zdanie. W razie czego proszę dać mi znać.

– Tak jest.

Denis MacCostagáin ze swoim kubkiem kawy przez chwilę stał przed jej biurkiem, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł. Katie widziała, że za progiem gabinetu zatrzymała się Moirin i obserwuje wychodzącego komendanta. Najwyraźniej słyszała, jak się spierają, i teraz patrzyła pytająco na Katie. Ta uniosła dłoń.

– Nie martw się, Moirin – rzuciła. – Wszystko gra. Pan komendant jest dziś nie w humorze, to wszystko.

Choć zawsze uważała MacCostagáina za zrzędę, ta rozmowa ją zmartwiła. Nie chciała się z nim kłócić, bo zawsze ją wspierał, nawet kiedy nie całkiem się z nią zgadzał, ale teraz nie widziała innego sposobu, by posunąć śledztwo dalej. Dni mijały, media zadawały pytania, podważając jej kompetencje do prowadzenia takiej sprawy, a ona nadal była daleka od rozwiązania zagadki.

Pisała dalej, lecz nie zdołała wypełnić nawet połowy strony, gdy przerwał jej telefon. Dzwoniła Riona, wdowa po sierżancie Johnie Laceyu. Płakała.

– O dobry Boże...

– Co się stało, Riono? Proszę wziąć wdech i powiedzieć. Jak się czuje Aidan?

– Aidan... nie najgorzej... Nie straci prawej stopy. Lekarze mówią, że za trzy, cztery miesiące będzie znów chodził. Ale nie z powodu syna dzwonię... Chodzi o Johna.

Znów się rozszlochała. Katie cierpliwie czekała, aż trochę się uspokoi.

– Odebrałam telefon – odezwała się wreszcie Riona. – Ten facet... nie przedstawił się i ostrzegał, żeby lepiej nie próbować sprawdzać, skąd dzwoni.

– Co mówił?

– Pytał, kiedy będzie pogrzeb Johna, a jak spytałam, czemu go to interesuje, on na to, że pewnie wolałabym pochować go w całości.

– Co miał przez to na myśli? Dodał coś jeszcze?

– Tak. Że mogę odzyskać jego głowę, jeśli chcę. Trudno mi było uwierzyć w to, co mówi, ale twierdził, że ma głowę Johna i może mi ją zostawić w Peace Park.

Riona urwała na chwilę i Katie słyszała tylko jej zawodzenie, przypominające miauczenie cierpiącego kota.

– Powiedział, że chce za to dziesięć tysięcy euro, w gotówce. Poda mi instrukcje, gdzie zostawić pieniądze, a kiedy je zabierze, przyniesie głowę Johna do parku i zostawi ją na ławce, przy pomniku handlarki cebulą.

Znów urwała.

– Skąd ja, na Boga, wezmę dziesięć tysięcy euro? – spytała po chwili.

– Proszę się starać zachować spokój – powiedziała Katie. – Pieniądze to nie problem. Tak naprawdę to może nam pomóc ująć tych, którzy zabili pani męża. Jak mówił ten mężczyzna? Miał jakiś szczególny akcent?

– Trudno powiedzieć, bo głos był jakiś stłumiony, jakby przez chustkę. Ale nie brzmiał jak ktoś z Cork. Według mnie bardziej jak z Wexford, może z Carlow.

– Powiedział, jak ma się pani z nim kontaktować, kiedy zdobędzie pani pieniądze?

– Mówił, że daje mi dwadzieścia cztery godziny, a potem znów zadzwoni.

– Kiedy jest pogrzeb Johna?

– W czwartek. Tak planowałam.

– Dobrze. Zbierzemy dla pani pieniądze, ale będziemy mieli pani telefon na podsłuchu i kiedy on zadzwoni, zobaczymy, czy uda się go namierzyć. Możliwe, że używa jednorazowej komórki, której nie da się wytropić, ale spróbujemy. Możemy też wziąć pod obserwację miejsce, gdzie każe pani zostawić pieniądze.

– A jeśli go aresztujecie, kiedy będzie brał pieniądze, i nie odzyskam już głowy Johna? Przypuśćmy, że nie powie nam, gdzie ona jest?

– Nie musimy go zgarniać na miejscu, Riono. Zobaczymy, jak to się potoczy. Obiecuję, że w czwartek będzie pani mogła pochować męża w całości.

– Chciałabym w to wierzyć. Naprawdę bardzo bym chciała.

– Wyślę zaraz do pani technika od telefonów i zacznę starania o zgromadzenie gotówki. Jeżeli ktoś znów by dzwonił, proszę natychmiast skontaktować się ze mną, a jeśli nie ze mną, to z detektywem inspektorem Fitzpatrickiem lub z detektyw sierżant Ni Nuallán. I jeżeli zauważy pani coś szczególnego, na przykład że ktoś się kręci na ulicy pod domem, to też proszę dać znać.

– Jezus Maria, to jakiś koszmar. A nawet coś gorszego niż koszmar.

– Wiem, Riono. Ale proszę mi wierzyć, robimy, co w naszej mocy, by to zakończyć i żebyśmy wszyscy się z tego koszmaru obudzili.

Katie zadzwoniła do działu telekomunikacji na górnym piętrze i załatwiła, żeby jeden z techników pojechał do Riony Lacey i założył jej podsłuch.

Detektywa inspektora Fitzpatricka nie było w komendzie, więc zadzwoniła do Kyny i powiedziała jej o żądaniu okupu za głowę sierżanta Lacey.

– Założę się, że to tylko początek – rzuciła Kyna. – Będą kontaktować się ze wszystkimi rodzinami sygnalistów z tym ultimatum. Pięć głów po dziesięć tysięcy euro za sztukę.

– Na pewno. Ale na razie możesz pójść do MacCostagáina i powiedzieć mu o telefonie Riony Lacey. Poproś go o zgodę na pobranie dziesięciu tysięcy euro w banknotach po sto.

Kyna zawahała się i Katie odgadła, co myśli – skoro to takie ważne, dlaczego Katie nie zwróci się z tym do niego sama?

– Komendant i ja mieliśmy małe starcie w związku z planowanym przeze mnie doniesieniem – wyjaśniła. – Chyba potrzebuje trochę czasu, żeby ochłonąć, zanim znów z nim porozmawiam. Wiesz, jacy są mężczyźni. Potrafią robić z igły widły.

– Zaraz dam ci znać. Jeśli urwie mi głowę, mam nadzieję, że masz dość kasy na wykup.

– Kiepski dowcip, Kyno. Pogadamy później.

* * *

Katie wiedziała, że prędzej czy później odezwie się do niej Bill Phinner z wynikami po próbach balistycznych, które jego ekspert, Colm, miał przeprowadzić z pistoletem jej ojca. Ale skończyła pisać doniesienie, a Phinner się nie pojawił, więc zamierzała skoczyć na drugą stronę ulicy do Market Tavern na filiżankę kawy i kanapkę z kiełbaską. I wtedy zobaczyła go w progu.

– Wychodzisz? – zapytał.

Miała już jedną rękę w rękawie kurtki.

– Czy to może poczekać, aż coś zjem?

Pokręcił lekko głową.

– Colm właśnie sprawdził. To ten pistolet, z którego zastrzelono Jimmy’ego Ó Faoláina.

Katie powoli wyjęła rękę z rękawa i odwiesiła z powrotem kurtkę.

– Nie ma żadnych wątpliwości?

– Absolutnie. Ślady na pocisku bezspornie na to wskazują.

Usiadła za biurkiem. Spodziewała się, że Phinner zapyta teraz, do kogo należy ta broń, ale nie zamierzała mu jeszcze tego mówić. Nikomu na razie nie powie – póki nie będzie miała okazji porozmawiać z ojcem.

– Dziękuję, Bill. Zejdę do ciebie później, to pogadamy.

– Jest jeszcze coś. Sprawdziliśmy rejestrację tego pistoletu, jak to zwykle robimy. To broń policyjna. Wiemy, do kogo należy, albo przynajmniej do kogo należała pierwotnie. I przypuszczam, że dlatego trafiła do twoich rąk.

Katie próbowała się opanować, ale aż przebiegł ją dreszcz.

– Jasne. Masz rację. Nadal należy do pierwotnego właściciela. I prawda, to dlatego ją znalazłam. Czy mogę cię prosić, żebyś na razie nie przekazywał tej informacji dalej? Muszę pojechać do niego i najpierw z nim pomówić.

– Przyznam, że to wiele wyjaśnia – powiedział Bill Phinner. – Człowiek, który wszedł do domu Jimmy’ego Ó Faoláina i zastrzelił go, musiał być profesjonalistą i dobrze wiedział, co robi.

– Mogę tylko ze smutkiem dodać, że teraz domyślam się i motywów. Jimmy Ó Faoláin obrabował wielu starszych ludzi z ich oszczędności i emerytur, a mój ojciec był jednym z nich.

– Okropnie przykro mi to słyszeć. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Wielka szkoda, że nie mogę zarzucić Colmowi jakiegoś błędu technicznego i stwierdzić, że to jednak nie był pistolet twojego ojca. Ale obawiam się, że Colm się nie pomylił. – Uśmiechnął się do niej smutno. – W każdym razie powodzenia. Porozmawiamy później.

Katie siedziała nieruchomo przy biurku prawie pięć minut, zastanawiając się, co robić. Kilka razy dzwonił telefon, lecz nie odebrała, a kiedy zajrzała Moirin, żeby zapytać dlaczego, uniosła dłoń.

– Nie ma mnie, Moirin – rzuciła tylko. – Proszę, ty przyjmuj wiadomości, jeśli ktoś coś dla mnie ma.

Poszła do małej łazienki obok gabinetu i zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Była zaskoczona, że wygląda tak spokojnie, tak jakby nie miała na głowie nic gorszego niż zorganizowanie tegorocznej loterii na komendzie. Jak można powiedzieć własnemu ojcu: „Odkryłam, że to ty jesteś zabójcą”? I co potem? Powinna założyć mu kajdanki, jak to się robi w przypadku wszystkich morderców? Bez tego człowieka nawet by jej nie było. Wychowywał ją, karmił, odwoził do szkoły, bawił się z nią, śpiewał, zabierał na wakacje do Dingle i ze śmiechem chlapał się z nią w morzu. Jak go teraz aresztować i zamknąć w celi?

Miała twarz swojej matki. Wydatne kości policzkowe i szmaragdowozielone oczy, i te matczyne rude włosy. Kiedy była nastolatką, często brano je za siostry. Po ojcu z kolei odziedziczyła poczucie odpowiedzialności i tak jak on nie umiała godzić się na kompromisy, żeby nie wiem ile miało ją to kosztować.

Wróciła do biurka i podniosła słuchawkę. Wybrała numer ojca i czekała. Długo nie odbierał.

– Katie? – odezwał się wreszcie. Miał dziwnie zaczepny ton.

– Tak, tato, to ja. Będiesz w domu przez resztę popołudnia?

– Chcesz przyjechać się ze mną zobaczyć, tak?

– No, tak. Chcę.

– Chyba wiem czemu, Katie. Jesteś aż za bardzo do mnie podobna, to twój problem, jeśli można to nazwać problemem.

– Muszę z tobą porozmawiać, tato, to wszystko.

– Chodzi o broń, prawda?

Matko Boska, on już wie, że ją zabrałam. I na pewno domyślił się po co.

– Tato... – zaczęła. – Po prostu muszę z tobą porozmawiać.

– Miałem zamiar wyczyścić ją dziś rano, Katie, ale szukałem jej, a ona znikła.

– Zaraz przyjadę do Monkstown i wtedy o tym porozmawiamy.

– Katie, powinienem był wiedzieć, że prędzej czy później wpadniesz na to, że to ja. Mądrała z ciebie. Jesteś o wiele za bystra.

– Tato, wyłączam się, wskakuję do auta i już do ciebie jadę. Zaczekaj na mnie i wtedy razem się zastanowimy. Jesteś moim ojcem i moim idolem. Zawsze cię podziwiałam. Tylko niech ci nie przychodzą do głowy jakieś głupoty.

– Zaczekaj, Katie, nie odkładaj jeszcze słuchawki – powstrzymał ją ojciec. – Jest coś, co powinnaś wiedzieć.

– Tato...

– Nie, cicho, słuchaj. Ja to zrobiłem. Nagraj tę rozmowę, żebyś mogła uznać to za moje przyznanie się do winy.

– Nie rób tego przez telefon, tato. Przynajmniej pozwól mi przyjechać. Wtedy będziesz mógł mi to powiedzieć twarzą w twarz.

– Nie, Katie. Tak mi łatwiej. Nie chcę patrzeć na ciebie i widzieć, jak bardzo cię zawiodłem. Zawsze byłaś moim największym skarbem, kochanie. Jako jedyna wstąpiłaś do Garda Síochána i patrz, jak świetnie sobie radzisz. Detektyw nadkomisarz, a ja doszedłem ledwie do inspektora, zanim musiałem się wycofać.

– Tato, to nie była twoja wina, że musiałeś odejść.

– Teraz to już bez znaczenia. Było, minęło. Teraz liczy się tylko to, że zastrzeliłem Jimmy'ego Ó Faoláina. Domyślałem się, że już odgadłaś dlaczego, ale jeśli nie, to dlatego, że przekonał mnie i moich przyjaciół do zainwestowania wszystkiego, co mieliśmy, w ten jego program Equity Sunshine. Obiecywał, że to bezpieczny sposób ulokowania pieniędzy do końca życia i gwarancja coraz większych zysków. Okazało się, że okradł nas, naiwnych, do ostatniego centa, a umowę sformułował tak, że nie mogliśmy już nic na to poradzić. Niemal wszyscy straciliśmy nasze domy. Biedny stary Brian Cooney popełnił samobójstwo. A co się za to stało świętemu Jimmy'emu Ó Faoláinowi? Nic, absolutnie nic. Śmiał się przez całą drogę na Kajmany.

– Czy to samobójstwo Briana popchnęło cię do podjęcia decyzji? – spytała Katie.

Pomału wychodziła z pierwszego szoku po tym, jak przyznał się do zabójstwa, i teraz próbowała rozmawiać z nim w sposób bardziej profesjonalny. Zrobił, co zrobił, i nic już nie mogło przywrócić życia Jimmy'emu Ó Faoláinowi. Ojciec potrzebował teraz moralnego wsparcia i pomocy prawnej.

– Jeśli na twoje działanie miało wpływ samobójstwo Briana, to mogłoby to stanowić ważną okoliczność łagodzącą, kiedy dojdzie do procesu.

– Można powiedzieć, że to był wyzwalacz – przyznał ojciec. – Brian i ja znaliśmy się od lat. Byliśmy dla siebie jak bracia. Ale decyzję podjąłem, kiedy odkryłem, że moglibyśmy odzyskać większość naszych pieniędzy.

– Mów dalej – zachęciła go.

Czuła, jak to śledztwo zaczyna się układać w logiczną całość, a to, co zamierzał powiedzieć za chwilę, mogłaby niemal wyrecytować razem z nim, słowo po słowie.

– Jak konkretnie zamierzałeś odzyskać te pieniądze?

– Odwiedziłem Jimmy'ego sześć tygodni temu. Chciałem próbować przekonać go, żeby oddał nam środki przynajmniej z niektórych naszych inwestycji. Zdecydowanie odmówił. Przedsiębiorstwa, w które włożył pieniądze, nieoczekiwanie znalazły się pod ścianą i straciliśmy wszystko. Staralem się go przebłagać. Powiedziałem, że jednym z inwestorów w Equity Sunshine jest osiemdziesięciodziewięcioletnia wdowa, która nie ma nikogo, kto by się nią zajął, i teraz będzie musiała sprzedać domek, w którym mieszkała od prawie siedemdziesięciu lat. I wiesz, co on zrobił, ten Jimmy Ó Faoláin? Roześmiał mi się w twarz i powiedział, że pewnie potrzebne są jej nowe okulary. Powinna była przeczytać dopisek małym drukiem, że może stracić wszystkie zainwestowane pieniądze, także te wzięte na hipotekę domu, i że Equity Sunshine nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

– I wtedy zdecydowałeś, że trzeba go zabić?

– Nie. Byliśmy u niego na tarasie, a on wszedł do środka, żeby odebrać telefon. Być może od kolejnego biednego nic niepodejrzewającego emeryta, którego zamierzał okraść. W każdym razie na taras wyszła jego dziewczyna.

Słyszała naszą kłótnię i kiedy powiedziałem jej: „Wiesz, mógłbym zabić go za to, jak skrzywdził tych wszystkich staruszków, którzy powierzyli swoje pieniądze Equity Sunshine”, ona spytała: „To czemu tego nie zrobisz?”. Wybąkałem: „Co?”, a ona na to: „Zabij go”. Mówiła, że on się nad nią znęca. Tłucze ją i zmusza do seksu, kiedy ona nie ma ochoty, i podkrada pieniądze z jej konta. Mimo to była jedyną beneficjentką w jego testamencie, bo żaden z krewnych nie chciał go znać. Mówiła, że nie zapisałyby pieniędzy na cele dobroczynne. Uważał, że jak ktoś jest biedny, to z własnej winy, bo najwyraźniej nie pracował dość ciężko, a on nie odpowiada też za to, że ktoś urodził się w Afryce, więc czemu miałyby płacić za karmienie takiego? Viona... ta jego dziewczyna... mówiła, że mogłaby sama go zabić albo załatwić zabójcę. Ale gdyby go otruła, od razu byłoby wiadomo, kto to zrobił, a Broni nigdy w życiu nie miała w rękach. Jednak jeśli ja bym go zabił, nikt nigdy nie wpadłby na to, że to mogłem być ja. A kiedy ona dostanie spadek, odda mi tyle z pieniędzy skradzionych mi przez Jimmy’ego, ile będzie tylko mogła. I zwróci, co się da, innym akcjonariuszom Equity Sunshine, bo na rachunkach zagranicznych jest mnóstwo pieniędzy i nikt ich tam nie wytropi. Uznałem, że nawet jeśli odzyskam tylko połowę zainwestowanych pieniędzy i sprzedam dom, będę miał dość na porządny domek i wygodne życie do końca moich dni.

– I postanowiłeś go zastrzelić?

– Nie myślałem trzeźwo, Katie. Rozpaczałem po śmierci przyjaciela i nie mogłem pogodzić się z utratą domu, w którym mieszkałem tak długo z waszą mamą. Jeśli chcesz wiedzieć, widziałem w Jimmym Ó Faoláinie diabła wcielonego i uznałem, że zasługuje na śmierć. Kiedy to teraz wspominam, nie mogę uwierzyć, że zrobiłem coś takiego.

– To powinno pomóc ci w sądzie, tato. Jak dostałeś się do domu Ó Faoláina?

– Viona dorobiła dla mnie klucz. Podała mi też kombinację wyłączającą alarm, ale jak się okazało, nie było to potrzebne, bo alarm nie był włączony, kiedy wszedłem. Najpierw nie mogłem znaleźć Jimmy’ego. Poszedłem nawet do jego

sypialni, ale i tam go nie było. Potem usłyszałem, jak kicha i wyciera nos, i wiedziałem już, gdzie jest.

– Dorobiła dla ciebie klucz. To dowodzi, że była współniczką.

– Nie dała mi jak na razie żadnych pieniędzy. Powiedziała, że sama nie wie, gdzie jest testament Jimmy’ego, ale jego wykonawcy prędzej czy później go otworzą i kiedy tylko dostanie spadek, przeleje pieniądze na mój rachunek bankowy.

– Tato, księgowi śledczy przejrzeni dokładnie księgi rachunkowe Jimmy’ego Ó Faoláina i znaleźli testament, w którym zapisuje całe pieniądze i wszystko, co posiada, Vionie Caffrey.

– No to pięknie. Ale teraz to już nie ma dla mnie znaczenia, prawda? Tam gdzie się znajdę, nie będę potrzebował pieniędzy. A już na pewno nie domu.

– Słuchaj, cokolwiek się stanie, nie popadaj w rozpacz. Zaraz przyjadę do Monkstown i naradzimy się, jak najlepiej to zorganizować. Musisz się zgłosić sam i postarać o pierwszorzędnego prawnika, który będzie cię reprezentował. Poleciłabym ci Garreta Delaneya, który zajął się dla mnie sprawą Conora.

– O, Garret Delaney... chyba go znam. A przy okazji, jak się ma Conor?

– Opowiem ci wszystko, jak dojadę. To nie powinno zająć więcej niż czterdzieści pięć minut, jeśli nie będzie za dużego korka na South Link.

– Nie ma sensu, Katie.

– Oczywiście, że jest. Zabiłeś człowieka, ale możesz powołać się na bardzo istotne okoliczności łagodzące. Możesz powiedzieć, że Jimmy Ó Faoláin pozbawił cię wszystkiego, co posiadałeś i na co pracowałeś całe życie. Możesz powiedzieć, że Viona Caffrey oszukała cię i namówiła do zabójstwa.

– Co masz na myśli, mówiąc „oszukała”? Miała zwrócić mi pieniądze. Przyrzekła mi to.

– Ten testament jest sfalszowany, tato. Jimmy Ó Faoláin nigdy nie zamierzał dać jej ani centa.

– Co?

– Zresztą nawet gdyby udało się jej dostać wszystko, co posiadał, ona kombinuje coś z Finbarem Foleyem, wiesz, tym menedżerem drużyny Rachmasach Rovers. Bardzo wątpię, żebyście ty i twoi przyjaciele mogli choć powąchać te pieniądze. Tak czy inaczej, większość z nich jest pochowana na zagranicznych kontach, więc w ogóle nikt się do nich nie dobierze, a to, co uda się nam odnaleźć, zostanie zarekwirowane albo położy na tym łapę urząd skarbowy.

Ojciec zamilkł.

– Tato? – odezwała się Katie. – Jesteś tam jeszcze? Tato?

– Potraktowała mnie jak kompletnego idiotę, co? Wmanewrowała w zastrzelenie tego faceta, żeby oni mogli zgarnąć całą jego forszę bez ryzyka, że zostaną aresztowani. Jezu Chryste...

– My ją aresztujemy, tato, o to się nie martw. A teraz słuchaj, w tej chwili wychodzę z Anglesea Street i będę u ciebie przed drugą trzydzieści.

– Nie przyjeżdżaj – powiedział.

– Tato, muszę.

– Nie! – warknął.

Nigdy nie słyszała w jego głosie tyle złości od czasu, kiedy jako trzylatka wrzuciła do kominka wszystkie jego najlepsze muszki do łowienia ryb, bo chciała zobaczyć, jak się zapalają.

– Tato...

Ale on już odłożył słuchawkę.

Odepchnęła do tyłu fotel i zerwała się na nogi.

– Moirin! – krzyknęła, łapiąc kurtkę z wieszaka. – Wychodzę. To pilne. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie, ale zadzwonię do ciebie.

– Mam wezwać funkcjonariusza przydzielonego do ochrony?

– Nie ma na to czasu. Jeśli ktoś by pytał, gdzie jestem, powiedz, że wezwały mnie niecierpiące zwłoki sprawy rodzinne. Jadę do ojca w Monkstown.

– Mogę jakoś pomóc? – spytała zaniepokojona Moirin. Rzadko widywała Katie w takiej panice.

– Tak, Moirin. Możesz się pomodlić.

Rozdział 42

Ruch na South Link Road był niezbyt natężony. Jechała najszybciej, jak mogła, choć zaczęło ostro padać i niektóre odcinki drogi były zalane.

Z N28 skręciła na Raffeen Village i Castlefarm i pędziła Strand Road, aż dotarła do Monkstown. Podjechała pod duży, pomalowany na zielono dziewiętnastowieczny dom ojca, zaciągnęła hamulec i wyskoczyła z auta.

Kiedy wchodziła schodami na ganek, zobaczyła, że drzwi frontowe są uchylone. Popchnęła je i weszła.

– Tato! Tato? To ja, Katie! Gdzie jesteś?

Nie było odpowiedzi. Pobiegła do salonu, ale ojca tam nie było. Na stoliku ze szklanym blatem stały kubek z niedopitą herbatą i talerz z dwoma herbatnikami, a na podłodze obok zobaczyła telefon ojca. Kiedy skończyli rozmowę, musiał go po prostu upuścić.

Podeszła do schodów i znów zawołała. Nadal nie odpowiadał, więc pobiegła na górę i zajrzała kolejno do pokoi. Łóżko ojca nie było posłane, drzwi szafy zostały otwarte. Na brzegu umywalki w łazience leżała maszynka do golenia, wilgotny ręcznik wisiał na krawędzi wanny.

Szybko wróciła na dół. Nie było go w domu, więc może poszedł do szopy na końcu ogrodu. Kiedy umarła matka Katie, przesiadywał tam godzinami, mówiąc jej i siostrze, że majsterkuje, ale pewnego popołudnia zajrzała przez okno i zobaczyła, jak zgarbiony siedzi na krześle, trzymając w dłoniach oprawioną fotografię zmarłej żony, i usłyszała, że coś do niej mówi.

Ponieważ teraz był w stresie, bardzo możliwe, że znów schował się w szopie, szukając pocieszenia. Przynajmniej taką miała nadzieję i modliła się o to.

Zostawiła drzwi frontowe niezamknięte na klucz, bo go nie miała.

Dobry Boże, oby nie zrobił nic głupiego. Jego samochód stał na miejscu, ojciec nie mógł więc nigdzie pojechać.

Obeszła dom i ruszyła w głąb ogrodu. Deszcz siekł liście wawrzynu, a woda bulgotała w rynnie biegnącej wokół dachu szopy. Katie próbowała otworzyć drzwi, ale były zamknięte, a kiedy spojrzała przez szybę, zorientowała się, że taty tam nie ma. Gdzie on się podział, na Boga? Najbardziej martwiło ją to, że nie zabrał telefonu.

Ruszyła przez ogród z powrotem na front domu. Wchodziła na schody do wejścia, gdy usłyszała za sobą szybkie kroki na żwirze podjazdu. Już miała się obejrzeć, ale została staranowana jak piłkarz rugby i poleciała w bok, uderzając głową w róg drewnianej balustrady ganku.

Zaskoczona, nie mogąc złapać tchu, próbowała obrócić się i kopnąć napastnika, ale był za wysoki, za ciężki i o wiele za silny. Miał na głowie czarną kominiarkę. Widziała tylko oczy i usta.

– Złaż ze mnie, sukinsynu! – wysapała gniewnie, łapiąc rękaw jego czarnej skórzanej kurtki i próbując zepchnąć go ze schodów. Ale usłyszała więcej kroków na żwirze i pojawili się kolejni dwaj. Jeden chwycił ją za prawą rękę, drugi za lewą i podnieśli ją jak szmacianą lalkę o rudych włosach. Trzeci stał naprzeciw niej. Trzymał obrzyn.

– Detektyw nadkomisarz Maguire! – powiedział. – Ale musieliśmy cię gonić, dziewczyno! Już myśleliśmy, że zgubiliśmy cię w Carr's Hill.

– Kim jesteście? – spytała bojowo. Lewa skroń pulsowała bólem. Ramię było mocno potłuczone. – Cokolwiek zamierzacie, nie ujdzie wam to na sucho.

– To ty tak myślisz, skarbie. Jesteśmy strażnikami lojalności, oto kim jesteśmy. Pilnujemy, żeby żaden funkcjonariusz Garda Síochána nie zdradzał innego. A przyjechaliśmy po ciebie, bo właśnie to planowałeś: zdradzić kolegów. Nie szkodzi, że zawsze są wobec ciebie lojalni. Nie szkodzi, że cię ochraniają. Wydajesz im rozkaz, pani nadkomisarz Maguire, a oni wypełniają go bez

szemrania. A ty jak się im odpłacasz? Pędzisz z donosem, jak szczur, piszcząc o ich drobnych wykroczeniach.

Katie myślała o pistolecie, który miała pod kurtką, ale dwaj mężczyźni mocno trzymali ją za ręce. Była pewna, że gdyby tylko puścili jedną, choćby na chwilę, zdołałaby wyciągnąć broń szybciej, niż ten z obrzynem mógłby zareagować, a obrzyny nie strzelają zbyt celnie.

Spojrzała w kierunku ulicy. Frontowy ogródek ojca był otoczony wysokim żywopłotem z cisów, a swój samochód zaparkowała w otwartej bramie, więc nawet jeśli ktoś by tędy przechodził, trudno by mu było zobaczyć, co się dzieje. A w to mokre, paskudne popołudnie prawdopodobnie wszyscy w Monkstown siedzą w domach przed telewizorem albo w restauracji, przedłużając sobie czas lunchu.

– Hoggy – odezwał się ten z obrzynem. – Sprawdź no pod jej kurtką, szefie, dobrze? Zobacz, czy nie ma spluwy. I nie zapomnij zabrać jej telefonu.

Katie kopała i miotała się na boki, sypiąc kamykami jak spłoszony koń, ale ten uzbrojony podszedł bliżej i wycelował jej dwoma otworami obrzyna prosto w nos z odległości mniejszej niż dziesięć centymetrów.

– Wolałbym nie odstrzelić ci tym głowy – rzucił chrypliwym głosem. – Ale jeśli będziesz sprawiać kłopoty, zrobię to. Słowo. Bez wahania. Odpalę z obu rur jednocześnie. Twój mózg wyląduje na wyspie Spike.

Przestała się szarpać. W intonacji tego mężczyzny usłyszała to, co opisywała Riona Lacey. To nie Cork. Raczej Carlow lub Wexford. Akcent mieszkańców Carlow i Wexford jest mniej śpiewny niż tych z Cork, bardziej miękki, i tam mówi się trochę wolniej, wtrącając rzadziej takie „No, wiesz”, „Co nie?”.

Ten, który trzymał jej prawą rękę, musiał być Hoggym, bo sięgnął, odpiął jej kurtkę i wsunął pod nią dłoń. Oklepał jej brzuch, namacał rękojeść rewolweru i wyciągnął go z kabury.

– Patrzcie, co za piękność – powiedział, unosząc jej smith & wessona airweight. – Sam bym takiego nie odmówił.

– Weź go sobie, jeśli chcesz – rzucił ten z bronią. – Pani nadkomisarz nie będzie już potrzebny.

– O, Mikołaj się do mnie pospieszył. – Hoggy wepchnął sobie rewolwer Katie do kieszeni, po czym oklepał jej kurtkę, żeby znaleźć telefon, i ten też sobie schował.

– Możemy pogadać – rzuciła Katie.

– Ach, tak? A o czym to? Że zmieniłaś zdanie na temat doniesienia i możemy oddać ci twoją pukawkę, uścisnąć sobie dłonie i puścić cię wolno? A potem co? Jak tylko będziesz bezpiecznie z powrotem na posterunku, zaraz polecisz poskarżyć się O'Malleyowi z wydziału wewnętrznego i zaczniesz nadawać na kolegów, jak to miałaś w zamiarze.

– Jesteś z Garda Síochána, co? – spytała.

– Nie ma znaczenia, kim jestem. Jestem człowiekiem, który nie znosi nielojalności, to wszystko. W Garda Síochána powinno być jak między trzema muszkieterami, tylko mnożąc to przez cztery tysiące. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

– Nie złożę doniesienia – powiedziała Katie. – Dam ci na to słowo.

Mężczyzna uniósł lufę i oparł sobie na ramieniu.

– Wiesz co? Gdybym tylko mógł ci wierzyć... Ale rozkaz to rozkaz. Nie mogę wrócić i powiedzieć, że pękłem i cię puściłem. Wyobrażam sobie, jaki opieprz bym dostał. Mógłbym nawet skończyć jako trup, bardziej martwy niż ty.

– Co za rozkaz? – spytała. – Od kogo?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– No pewnie. Jeśli ktoś kazał ci mnie zabić, chcę wiedzieć kto.

Mężczyzna z obrzynem wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, by się za bardzo wkurzył, jeśli ci powiem. W końcu nikomu tego już nie wypaplesz, prawda? Ale nie, nie powiem ci. Nie chcę, żebyś pojawiła się na jakimś seansie spirytystycznym i kłapała dziobem.

– Zdajesz sobie sprawę, że jak cię złapią, to resztę życia spędzisz za kratami? Ty i ci dwaj też.

– Nikt nas nie złapie, pani nadkomisarz. I w tym rzecz. Nie jesteśmy jakimiś tam tuzinkowymi zabójcami, z którymi masz zwykle do czynienia. Mamy nad sobą parasol. Przyjaciół na wysokich stanowiskach, bardzo wysokich, więc nikt nas nie ruszy.

– Pozwól, że powtórzę swoją ofertę. Nie złożę doniesienia, ani teraz, ani nigdy. Jeśli już chcesz wiedzieć, na konferencji prasowej mówiłam o swoim doniesieniu tylko po to, żeby was sprowokować. Zadziałało, chociaż... nie całkiem tak, jak się spodziewałam.

– Przykro mi, ale nie łykam tego – powiedział ten z bronią. – Gdybyśmy cię nie złapali, aresztowałybyś nas bez wahania, żebyśmy gnili w więzieniu do końca swoich dni, tak jak wspomniałaś. Słyszałem o tobie, pani nadkomisarz. Jesteś tym typem gliny, co nie odpuszcza, nigdy, póki nie przyszpili tego, kogo tropi. Póki żyjesz i chodzisz po tej ziemi, zawsze będziemy musieli mieć się na baczności, a my nie chcemy tak żyć.

Opuścił broń.

– Hoggy, Patrick, idziemy – zakomenderował. – Mam dość do urzygu tej bezsensownej dyskusji. Gorzej niż przy cholernym brexicie.

To przekonało Katie. „Do urzygu” to określenie typowe dla Wexford. Ale ta wskazówka na nic jej się nie przyda, jeśli ją zabiją, a teraz Katie była już pewna, że nie przeżyje tego porwania. To było dziwne, pozbawione emocji, surrealistyczne doznanie. Nie przypominało strachu, jaki czuła, kiedy zaatakował ją nożem diler narkotyków albo gdy do niej strzelano, albo kiedy pędził na nią samochód na Maylor Street. Wtedy czuła przypływ adrenaliny. Teraz, kiedy Hoggy i Patrick wlekli ją przez furtkę, miała wrażenie, że jest już martwa.

Rozdział 43

Jakieś sto metrów dalej czekał zaparkowany mercedes sedan. Rozpoznała numery. Takie same jak te uchwycone kamerą przemysłową przy sklepie Decky's. Mężczyźni przyciągnęli Katie do samochodu, Hoggy otworzył drzwi z tyłu i wepchnął ją brutalnie na środek siedzenia.

Kierowca czekający wewnątrz palił papierosa Johnny Blue. W aucie było tyle dymu, że ledwie dało się oddychać.

Pojechali z powrotem do centrum Cork. Nikt nic nie mówił, tylko kierowca kaszlał i pociągał nosem. Deszcz trochę zelżał. Zza chmur wyglądało upiornie blade słońce. Sunęli północną stroną rzeki, a potem skręcili z Lower John Street na Watercourse Road. Minęli tamtejszy posterunek. Katie dostrzegła dwóch stojących przed nim mundurowych. Rozmawiali, ale ściśnięta pomiędzy Hoggym i Patrickiem, nie mogła zrobić nic, żeby przyciągnąć ich uwagę.

Dotarli do stacji Maxol. Zatrzymali się na tyłach, przy magazynie. Wysiadając, mężczyzna z obrzynek schował go pod kurtką i rzucił okiem dokoła, nim zapukał w tylną szybę mercedesa sygnetem, dając znać, że jest czysto i mogą iść za nim.

Zastukał siedem razy w drzwi magazynu. Otworzył mu jeden ze zbirów Seamusa Twomeya. Facet o farbowanych, płomiennie rudych włosach i ze srebrnym kolczykiem w nosie. Hoggy wepchnął Katie za próg. Uderzył ją mocny zapach dymu papierosów i zioła.

Wprost nie mogła uwierzyć, że taki tam tłum. Wewnątrz było chyba ze czterdziestu ludzi z gangu. Niektórzy przysiedli na stertach pudeł, żeby mieć lepszy widok. Kiedy prowadzili ją na środek, Katie rozejrzała się. Zobaczyła

Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna, i Gwenith. Rozpoznała też kilku innych drobniejszych kryminalistów. Ale najbardziej zaszokowało ją to, że Gwenith jest pod rękę z Michaeliem Ó Doibhilinem.

Był blady i spięty. A kiedy Katie oglądnęła się na niego, popatrzył na nią tak, jakby rozpaczliwie chciał przekazać jej coś bardzo ważnego. Powiedział coś bezgłośnie, ale nie potrafiła nic odczytać z ruchu warg, a przecież nie mogła podejść i spytać, o co mu chodzi. Co on tu robił, z Gwenith Twomey i tymi ludźmi? To ona zmusiła go, żeby z nią przyszedł, czy też był tu dla przyjemności, żeby zobaczyć egzekucję swojej detektyw nadkomisarz? Dziwnie zachowywał się po porwaniu. Nie chciał zeznawać przeciwko Farry'emu, Vincentowi czy Seamusowi Twomeyowi. Może zrobili mu pranie mózgu i wstąpił do gangu, tak jak niektórzy młodzi muzułmanie dają się wciągnąć radykałom z ISIS.

Mężczyzna z dwururką odłożył broń na jedną ze skrzyń i podszedł do Seamusa Twomeya, ściągając kominiarkę. Hoggy i Patrick też zdjęli swoje. Wszyscy trzej zapalili papierosy.

– Dobra robota, Christy – pochwalił Twomey. – Powiedziałbym, że należy ci się bonus od szefa.

– Trochę szkoda – powiedział Christy. – Może ona i jest upierdliwa, i chce być świętsza niż papież, ale jednak to niezła laska.

Seamus Twomey podszedł do Katie z lekceważącym, pogardliwym uśmiechem. Był mniej więcej jej wzrostu, nie wyższy, tylko jego łysa różowa głowa była nieproporcjonalnie duża. Błyszczała w blasku świetlówek zawieszonych przy suficie. Przez te jego mieniące się żółtawo oczy Katie miała wrażenie, że ma do czynienia z jakimś gadem albo kosmitą, a nie istotą ludzką.

– Nieźle się namieszało, pani superwoman nadkomisarz, co?

– Mówiłam już twojemu człowiekowi, że nie wniosę zarzutów, jeśli o to wam chodzi. Nie wiem, co jeszcze mogłabym wam zaproponować.

– Za późno już na to, kochanie. Teraz wiesz, kim jesteśmy i jak załatwiliśmy tamtych sygnalistów. Ja sam mam to gdzieś, jeśli wy, gliniarze, chcecie donosić jeden na drugiego. Christy, który tu jest, traktuje te bzdury o lojalności bardziej

osobiście, ale on sam jest gliną, więc trudno się dziwić. Ja, jeśli tylko pilnujesz swojego nosa i nie wchodzisz mi w drogę, jestem łagodny jak baranek. Robię to tylko dla kasy.

– Kto ci płaci?

– Nie chcesz wiedzieć. Przecież nie masz zamiaru marnować ostatnich chwil życia na gorycz rozczarowania, prawda? Powinnaś pomyśleć o tym, co było piękne, no nie? Przecież miałaś szczęśliwe chwile, prawda? Dni wolne od pracy, urodziny, Wigilie... pierwszy pocałunek z chłopakiem. O tym sobie pomyśl!

– Jesteś chory – rzuciła. – To jedyne słowo, które przychodzi mi do głowy, żeby cię opisać. Chory, kompletnie ci odbiło.

Seamus Twomey zrobił skruszoną minkę.

– Przykro mi, że tak to odbierasz, detektyw superwoman Maguire. Fajnie byłoby, gdybyśmy mogli się zakumplować. Ale obawiam się, że w tej sytuacji nie ma na to wielkich szans.

– Przejście! – krzyknął Hoggy.

I członkowie gangu stojący półkolem za Twomeyem rozstąpili się, żeby Hoggy mógł podejść z piłą łańcuchową.

Katie zamknęła oczy. W głębi ducha prosiła Boga o wybaczenie grzechów, wszystkich tych momentów, kiedy straciła cierpliwość albo skłamała, albo dała się ponieść pożądaniu. Wypowiadała się już kiedyś z tego, że chłodno traktowała dawnego kochanka, Johna, gdy stał się kaleką, i że zdarzyło się jej spędzić pełną namiętności noc z Conorem i Kyną, w trójkącie, ale teraz znów w myślach żałowała tych grzechów. I tego, czego nigdy nie wyznała przed nikim, nawet przed samą sobą, że jako kilkuletnia dziewczynka ukradła Bláthnaid Byrne bransoletkę z przywieszkami.

Usłyszała, jak Hoggy pociąga za linkę, i otworzyła oczy. Na twarzy Michaela Ó Doibhilina malowało się absolutne przerażenie, ale pyzata Gwenith obok niego uśmiechała się szeroko i od czasu do czasu przyciągała go do siebie.

– Byłoby ci dużo wygodniej, gdybyś uklękła – powiedział Twomey. – Możesz wyobrazić sobie, że jesteś na mszy, prawda, i modlisz się po raz ostatni.

Katie nadal stała, więc nachylił się do niej i dodał:

– Jak sama nie uklękiesz, to będziemy musieli cię zmusić, a przecież nie chcemy wyjść na jakichś chamów, co?

– Powiedz, kto ci to zlecił – odezwała się Katie. – Jeśli nawet nie mogę zdradzić tego nikomu na tym świecie, powiem Bogu, żeby nigdy nie wpuścił do nieba tych ludzi.

– Aleś ty mściwa – prychnął. – Jeśli tak, na pewno nic ci nie powiem. Nigdy w życiu!

Nagle piła zaskoczyła i zagłuszyła to, co mówił dalej. Podszedł Hoggy z piłą nachyloną pod kątem czterdziestu pięciu stopni, pracującą na swobodnym jałowym biegu.

Katie wiedziała już, że nie ma ucieczki. Taki miał być finał jej życia. Tak bardzo podziwiała ojca, że aż wstąpiła do Garda Síochána, a ponieważ była tak oddana pracy, została awansowana na detektyw nadkomisarz. Ale każdy dzień jej życia, kiedy wstawała z łóżka, ubierała się i szła na Anglesea Street, gdy aresztowała przestępcę, śmiała się z dowcipu czy całowała Kynę, prowadził do tego, co miało się właśnie stać.

Uklękła i ściągnęła niżej kołnierz swetra. Skoro nie mogła tego uniknąć, niech to się skończy jak najszybciej. Zastanawiała się, czy ścinanie głowy boli, teraz się tego dowie.

Seamus Twomey położył dłoń na jej ramieniu i przekrzykując warkot pilarki, zawołał:

– Mick! Chodź no tu, Mickdup!

– Co, ja? – odezwał się Michael, wskazując na siebie jak Robert De Niro w filmie *Taksówkarz*.

– Dawaj, Mick! Myślę, że to ty powinienesz czynić honory domu, bo jesteś gliną, a ta śliczna pani jest supergliną.

Rozległy się śmiechy, sporo członków gangu zagwizdało z uznaniem. Zaczęli postukiwać obcasami w skrzynki, na których siedzieli.

Michael zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie! Nie! – zaprotestował. – Nie ją! Nie mógłbym!

– Daj spokój, Mick! Jak to się mówi? A właśnie, Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Masz szansę odbić sobie wszystkie te chwile, kiedy kazała ci stać na deszczu, wykonując bezsensowną robotę, która niczemu nie służy! Nie mów mi, że nie zmuszała cię do takich rzeczy!

– Nie! – powtórzył Michael. – Nie mógłbym!

– Przecież jesteś już prawie ekspertem, Mick! Jak odcinałeś łeb temu Bonnerowi, nawet ci ręka nie zadrżała. To dopiero było brutalne!

Hoggy podkreślił obroty, szczerząc zęby do Michaela, a Twomey podszedł do Douglasa Quinna i trącił go łokciem.

– Naprawdę nie mogę – upierał się Michael, unosząc ręce w obronnym geście.

Ale Quinn wyciągnął czarny czeski pistolet samopowtarzalny i wycelował mu w głowę.

– Twój wybór, Mick – rzucił Twomey. – To byłby dowód twojej lojalności, niepodważalny. Jeśli zrobisz to dla nas, staniesz się pełnoprawnym członkiem Fola na hÉireann.

– Myślałem, że już nim jestem. Jezu, Seamus.

– Powiedzmy, że byłeś na okresie próbnym. A teraz, kiedy utniesz głowę detektyw superwoman, nie będzie już żadnych wątpliwości. Patrick! Masz ten flecik? Patrick! Nie mów, że zgubiłeś!

Z grupy wystąpił Patrick i wyjął spod kurtki błyszczący flet low-D. Twomey wziął go i uniósł.

– Masz, Mick. Pozwolę ci nawet samemu jej to zatknąć! Kupiłem go dziś rano, tak, kupiłem, a takie zabawki są cholernie drogie! Kosztował mnie ponad dwie stówy! Nie mogłem go zwinąć, bo facet w sklepie nie spuszczał mnie z oka.

Douglas Quinn nadal mierzył prosto w głowę Michaela. Lewą ręką podtrzymywał sobie łokieć. Michael obejrzał się na Gwenith, żeby go poparła, ale na próżno.

– Dawaj, dawaj! – rzuciła. – Dasz radę! Jak to zrobisz, obiecuję ci dziś wieczór, którego w życiu nie zapomnisz. Masz to u mnie jak w banku!

Michael wahał się chwilę, a potem wyciągnął ręce, by Hoggy mógł przekazać mu piłę. Podkręcił ją raz czy dwa razy, nie obracając się twarzą do Katie, a potem docisnął, żeby łańcuch chodził na najwyższych obrotach, i zbliżył się do Katie. Zerknęła na niego, a potem wychyliła się lekko, żeby zobaczyć stojącego za Michaeliem Quinna z bronią przystawioną mu do głowy.

Matko Boska, jaki on ma wybór? Co ja bym zrobiła na jego miejscu?

– Michael – powiedziała, choć ryk piły był tak głośny, że wątpiła, by mógł słyszeć jej słowa. – Michael, wybaczam ci.

Znów zamknęła oczy. Słyszała i czuła, jak piła się zbliża. Odchyliła głowę do tyłu, żeby Michael mógł zrobić szybkie, czyste cięcie.

– Pani nadkomisarz! – krzyknął.

Otworzyła oczy, kiedy padał na kolana i obracał się, a piła wżerała się w prawą nogawkę Quinna i dalej w goleń. Bandzior wrzasnął z bólu, gdy piła cięła mięśnie, ścięgna i kość. Zwalił się na podłogę. Siknęła krew i wszyscy, którzy zebrali się, by oglądać egzekucję Katie, cofnęli się przerażeni, krzycząc i przeklinając.

Michael wstał i raz po raz podkręcał piłę.

– Kto następny?! – darł się histerycznie. – Proszę, kto chce spróbować?! Chodźcie, jak macie dość odwagi!

Leżący u jego stóp Quinn wił się i jęczał. Z prawej nogi tryskała krew i zalewała posadzkę.

– Mick! Mick! Na litość boską, co ty wyprawiasz? – krzyknął Twomey.

W tej chwili Katie zauważyła, jak Christy sięga do kurtki i wyciąga policyjny rewolwer. Rozejrzała się rozpaczliwie i zobaczyła, że Quinn upuścił pistolet, kiedy padał. Broń była tuż przy bucie Michaela, błyszczała od krwi. Katie przesunęła się na kolanach i podniosła ją.

Nie zdążyła. Christy strzelił do Michaela, trzy razy, trafiając raz w pierś, dwa razy w ramię. Michael zachwiał się i upadł, przygniatając Quinna. Piła terkotała obok nich. Łańcuch się zatrzymał, choć silnik dalej chodził.

Christy najwyraźniej nie zorientował się, że Katie podniosła pistolet, bo podszedł do Michaela, mierząc z broni, jakby chciał go dobić. W tym momencie Katie wycelowała mu w serce i strzeliła dwa razy. Christy obrócił się gwałtownie, jakby poślizgnął się na lodzie, i runął na wznak na podłogę.

Seamus Twomey wrzeszczał.

– Hoggy! Zastrzel ją, do cholery!

Ale Katie nie wahała się i kiedy Hoggy sięgał do kieszeni po jej broń, zamknęła jedno oko, wycelowała i strzeliła mu w nasadę nosa. Zakołysał się na boki i z otworu pomiędzy jego oczami połała się wąska strużka krwi. Potem zwalił się na posadzkę i przez chwilę wierzgał nogami, nim znieruchomiał.

Spanikowany Twomey rozglądał się dokoła i Katie zauważyła, że patrzy na obrzyn Christy’ego leżący na jednej ze skrzynek. Twomey zaczął się ukradkiem jak krab przysuwać do niej bokiem, sądząc, że Katie tego nie zauważy. W uszach jej dzwoniło od hałasu i strzałów i kiedy krzyknęła „Stój, Twomey! Nawet o tym nie myśl!”, sama ledwie się słyszała.

Jednak do niego to dotarło, bo zatrzymał się i podniósł ręce.

Katie rozejrzała się i zdała sobie sprawę, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazła. Otaczała ją ponad trzydziestka zbirów i choć trzymali się na razie na dystans, bo żaden nie chciał być kolejnym zastrzelonym, na pewno policzyli sobie dokładnie. Wystrzeliła już trzy razy, a w magazynku nie mogło być więcej niż siedem naboii.

Była jednak jeszcze jedna broń, a w tej nie zabraknie amunicji. Przełożyła pistolet Quinna do lewej dłoni i choć nie wyszło jej to zgrabnie i omal nie upuściła śliskiego od krwi pistoletu, jednocześnie podniosła chodzącą piłę. Trzymając ją wysoko przed sobą, podeszła do Twomeya.

– Kładź się – rozkazała.

– Pieprz się. Nie mam zamiaru.

– Kładź się, Seamus, albo i tak się położysz, bo cię zastrzelę i będziesz martwy.

Rozejrzał się po swoich ludziach, lecz nikt na razie nie miał odwagi rzucić się naprzód i obezwładnić Katie. Niezgrabnie schylił się i podpierając się dłońmi, opadł na czworaki, po czym obrócił się i położył na plecach z rękami skrzyżowanymi na piersi jak figura na średniowiecznym nagrobku.

– Wiesz co, ale z ciebie suka! – wycedził przez zęby, patrząc w sufit. – Zawsze wiedziałem, że jesteś dziwką. Detektyw superwoman? Raczej detektyw szmata.

– Myślisz, że mnie to cokolwiek obchodzi, ty szumowino?

– I tak nie wyjdiesz stąd żywa, obiecuję ci to, suko.

Włożyła pistolet Quinna do lewej kieszeni kurtki, ale nim wszyscy zorientowali się, co robi, podkręciła piłę i zniżyła między uda Twomeya. Zęby łańcucha znalazły się tak blisko džinsów, że zahaczyły o kilka nitek z rozporka; Twomey szarpnął się, próbując się cofnąć.

– Chryste! Co ty wyprawiasz, dziewczyno?! Zwariowałaś czy co?!

– Daję ci wybór, taki jak ty dałeś Michaelowi Ó Doibhilinowi. Możesz powiedzieć mi, kto ci zapłacił, żebyś zabił pięciu sygnalistów, albo przez resztę życia będziesz mówił cienkim głosem i sikał na siedząco.

– Oszalałaś! Rozum straciłaś?!

– To ty coś stracisz, chyba że mi odpowiesz, zanim policzę do pięciu! Kto ci to zlecił, Seamus? Kim jest ten „szef szycha”?

Trzech, może czterech z gangu zaczęło się ostrożnie zbliżać, ale na ich widok Twomey wrzasnął:

– Nie! Nie! Nie podchodźcie! Dajcie jej spokój! Bo jeszcze mi odetnie małego!

Gwenith najwyraźniej zobaczyła pistolet Christy’ego leżący na podłodze, bo zaczęła się do niego podsuwać, na paluszkach niczym baletnica, jakby sądziła, że w ten sposób stanie się mniej widoczna. Katie od razu wychwyciła to kątem oka.

– Gwenith Twomey! Nawet nie próbuj! – krzyknęła i podkręciła obroty piły na dowód, że nie żartuje.

Gwenith uniosła tłuste ręce i zatrzymała się.

Katie poluzowała przycisk, ale nadal trzymała piłę blisko rozporoka jej brata. Nachyliła się do niego.

– Nie dam ci więcej czasu, Seamus. Jeśli nie powiesz mi teraz, kto ci zapłacił za zamordowanie sygnalistów, to koniec. Będziesz eunuchem.

Zadrżał, a potem uniósł głowę i podał jej nazwisko, choć mówił tak cicho, że go nie dosłyszała i musiała kazać mu powtórzyć. Kiedy to zrobił, popatrzyła na niego zdumiona.

– Żartujesz.

Pokręcił gwałtownie głową.

– Kurwa, naprawdę myślisz, że żartowałem, kiedy grozisz, że utniesz mi jaja? Bądźmy poważni!

Katie znów rozejrzała się dokoła. Ludzie Twomeya byli coraz bardziej niespokojni, stopniowo coraz ciaśniej ją otaczali. Były trzy sztuki broni, po którą mogli sięgnąć – sig sauer Christy’ego na posadzce obok jego ciała, obrzyn Christy’ego, nadal leżący na skrzyni, i jej rewolwer, tkwiący w kieszeni Hoggy’ego. Nie mogła trzymać piły nad Twomeyem w nieskończoność, więc jak mogła się wydostać z tego magazynu bez szwanku?

Popatrzyła na Michaela leżącego twarzą do podłogi. Oko miał otwarte, ale widziała, że nie żyje. Douglas Quinn leżał na boku przy nim. Był blady. Stracił przytomność. Jeśli nie zostanie natychmiast opatrzony, by zatrzymać krwawienie z naczyń przy kości strzałkowej i goleni, pewnie też umrze.

Nadal zastanawiała się, jak odłożyć piłę, wyciągnąć pistolet Quinna i uciec z magazynu, zanim ktoś z gangu ją zastrzeli, kiedy usłyszała głośnie walenie do drzwi. Na chwilę ustało, ale zaraz znów zaczął się łomot i odezwał się głos:

– Garda Síochána! Mamy broń! Otwierać! Otwierać, natychmiast!

Członkowie gangu wpadli w panikę, niczym przerażone uwięzione w klasie uczniaki. Niektórzy podsuwali skrzynie pod zaciemnione okna i próbowali je otworzyć, choć były zablokowane. Inni bezradnie miotali się wte i wewte po magazynie, nie wiedząc, co robić.

Jednemu udało się rozbić okno starym żelazkiem, które znalazł na podłodze, ale było za późno. Drzwi magazynu stanęły otworem i wpadło pięciu funkcjonariuszy w hełmach i czarnych kamizelkach kuloodpornych, dwaj mieli pistolety maszynowe.

– Policja! Poddać się! – krzyczeli, podbiegając do gangsterów. – Kłąć się! Płasko na podłogę! Ty! Złaż z okna! Na podłogę!

Jakiś sierżant podszedł do Katie, mierząc do niej z pistoletu.

– Wyłącz tę piłę! – rozkazał. – Wyłącz i odłóż na bok! Kładź się, na podłogę!

Katie wyłączyła i odrzuciła od siebie piłę, aż ta odbiła się od posadzki. A potem położyła się płasko na pokrytym piaskiem i żwirem betonie, rozstawiając szeroko ręce. Mogła przedstawić się, kiedy tamci otoczą już gang Seamusa Twomeya i wezwą karetkę dla Douglasa Quinna.

Obróciła głowę i zobaczyła, że Gwenith leży zaledwie trzy metry od niej, jej piersi i brzuch były rozpląszczone na ziemi, przez co przypominała wyrzuconego na brzeg morświna. Robiła groźną minę do Katie i ruszała ustami, na pewno wyzywając ją od najgorszych.

W tym momencie jednak Katie usłyszała głos Kyny.

– Nadkomisarz Maguire? Pani nadkomisarz? To ja. Już dobrze. Wstań! Chodź, może pomogę.

Katie ujęła dłoń w rękawiczce, którą podała jej Kyna, i dźwignęła się na nogi. Miała nadal pokrwawione palce po cięciu nogi Douglasa, jej kurtka też była mocno poplamiona krwią.

Kyna nosiła hełm i czarny strój bojowy jak reszta oddziału.

– W porządku, sierżancie! Jest tutaj! Detektyw nadkomisarz Maguire! – krzyknęła i dodała ciszej: – Jezus Maria, Katie, jak ty wyglądasz! Coś ci się stało?

– Nie, dzięki Bogu, nie – uspokoiła ją Katie. – Można powiedzieć, że to tylko drobne obrażenia.

Podszedł sierżant i uniósł ciemne gogle.

– Nie jest pani ranna? Przepraszam, że tak na panią wrzeszczałem. Procedury.

– Świetnie się pan spisał, sierżancie. W pełni rozumiem.

Do magazynu weszli trzej ratownicy medyczni, a potem więcej funkcjonariuszy, wszyscy w kamizelkach kuloodpornych. Kazali wstawać członkom gangu, jednemu po drugim, i wyprowadzali ich z magazynu.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – spytała Kynę Katie.

– Kiedy tak wypadłaś z komendy, próbowałam do ciebie dzwonić. Z pięć, sześć razy, ale nie odbierałaś, więc domyśliłam się, że coś jest nie tak. Poszłam na górę i kazałam chłopakom od komunikacji sprawdzić telefon Twomeya. Wytropili, że odebrał trzy połączenia z Monkstown, gdzie miałaś być.

– Pojechali za mną, wyobrazasz sobie? – powiedziała Katie. – Nie zastałam ojca w domu, a kiedy już zamierzałam wracać, rzucili się na mnie.

– No, miałam nosa – odparła Kyna. – Ustaliliśmy, że Twomey znajduje się w tym budynku, i nie minęło dziesięć minut, jak szef stacji Maxol zadzwonił na sto dwanaście, bo słyszał strzały. Służył w wojsku, dobrze wiedział, co mówi. Nigdy nie widziałam, żeby grupa uderzeniowa zebrała się tak szybko.

– Dzięki Bogu.

– Chodźmy, wyprowadzę cię, pani nadkomisarz.

Katie spojrzała na Seamusa Twomeya. Dalej leżał, choć teraz się obrócił i był twarzą do podłogi. Tyle chciałaby mu powiedzieć, ale liczyło się już jedynie to, co powie mu sędzia, kiedy Twomey zostanie skazany. Flet leżał na betonie obok niego. Katie schyliła się i podniosła go.

– Zawieź mnie na Anglesea Street, proszę, dobrze? – zwróciła się do Kyny.

– Jesteś pewna? Mogłabym zabrać cię do szpitala, żeby cię obejrzel, jeśli chcesz. Albo do domu, jak wolisz.

– Nie. Na Anglesea Street. Mam coś do załatwienia. Opowiem ci o tym po drodze.

Rozdział 44

Sierżant dyżurny gapił się na nią, kiedy z idącą tuż za jej plecami Kyną szła w poplamionej krwią kurtce przez hol recepcji. Ale skierowała się prosto do wind i nie odezwała się do nikogo.

Na trzecim piętrze poprosiła Kynę, by poczekała na nią w sali odpraw. Sama ruszyła korytarzem do gabinetu komendanta Denisa MacCostagáina i nie pukając, otworzyła drzwi.

Stał przy oknie, plecami do niej, i rozmawiał przez telefon. Obejrzał się, kiedy usłyszał, jak wchodzi, a gdy ją zobaczył, zakrył słuchawkę dłonią.

– Kathleen?

– Jest pan zaskoczony, że mnie widzi? – spytała. Było jej strasznie zimno, cała się trzęsła, nie miała jednak zamiaru odpuścić. – A może nawet to dla pana prawdziwy szok? Oniemiał pan ze zdumienia, co?

Podeszła bliżej, unosząc pokrwawione dłonie i obracając nimi, żeby się im przyjrzał.

– Z kim pan rozmawia? Z Jerhem O’Connorem? Ustala pan szczegóły mojego pogrzebu? Czy pan się trochę nie pospieszył? A może lepiej powiedzieć: czy nie wybiega pan przed orkiestrę?

Denis MacCostagáin podniósł telefon do ucha.

– Przepraszam, Dan. Oddzwonię później. Pojawiły się nowe okoliczności.

– Święta racja – prychnęła Katie. – Ktoś wstał z martwych, by przyjść i pana nękać, tyle że ta osoba jakimś cudem jeszcze nie jest całkiem martwa.

– Słuchaj, Kathleen, mogę ci wszystko wyjaśnić. Nastąpiło wielkie nieporozumienie. Nie miało ci się stać nic złego. Ale upierałaś się, że złożysz to

doniesienie, a gang Văduva rozerwałby mnie na strzępy, gdyby musieli zamknąć interes.

– Ma pan na myśli ich burdel.

– No, tak. Ale wszystko, co się tam działo, dotyczyło dorosłych, nikt nie był do niczego zmuszany. Klienci tego chcieli i te kobiety też. Nie ma tu nic nielegalnego i nikomu nie działa się krzywda.

– Funkcjonariusze szantażowali kobiety, domagając się usług seksualnych. A to jest nielegalne. W każdym razie... ile Văduva zapłacili panu za pozbycie się mnie? Ile zapłacili panu za ucięcie mi głowy i wetknięcie mi tego w krtań?

Sięgnęła pod połę kurtki, wyciągnęła flet i podetknęła mu pod nos.

– Byłam głucha i ślepa, co? – powiedziała. Głos jej drżał. – „Szefem szczyą” musiał być ktoś z najwyższego szczebla. Ktoś, kto ma dość wpływów, by robić interesy ze wszystkimi gangami, którym zaszkodziłaby komisja sędziego McGuigana. Prawnik O’Regana podejrzewał Franka Magoriana, bo wydawał się dziwnie dziany. Ale to był pan, a ja tak bardzo panu ufałam, że przegapiłam oczywiste poszlaki.

MacCostagáin poczłapał do swojego biurka i usiadł. Zgnębiony, popatrzył na Katie. Na jego twarzy malowały się ból, żal i poczucie kompletnej klęski.

– Poza mną i ochroniarzami Stephena MacQuaida tylko jedna osoba wiedziała, gdzie ukryto sygnalistów. I to był pan, panie komendancie.

– Tak.

– Jeśli dobrze rozumiem, powiedział pan bandytom zagrożonym przez doniesienia, że może pan uciszyć sygnalistów za jakąś sumę. Nieważne, o kogo chodziło. Zorganizowałby pan to dla każdego, kto panu płaci. Nie miał pan skrupułów, czy to handlarze narkotyków, eskorta więzienna czy zarządzający zakładami karnymi, którzy puszczają wolno skazanych przestępców. Mogli to być też złodzieje samochodów i funkcjonariusze, którzy usuwali dowody przeciwko nim. Albo funkcjonariusze oskarżeni o rasizm. To pan wynajął Seamusa Twomeya i Douglasa Quinna, żeby poucinali głowy sygnalistom i powtykali im

w szyje flety. To pan wynajął tych drani, żeby i mnie odcięli głowę i wepchnęli mi flet w krtań.

– Ci z Văduva... – zaczął MacCostagáin.

– Văduva? Grozili panu o wiele gorsi gangsterzy niż oni, a pan się nie ugiął! Pamięta pan O’Flynnów? Mówili, że wysadzą w powietrze całą komendę, z nami w środku!

Denis MacCostagáin milczał. Katie podeszła do jego biurka.

– Dlaczego? Dlaczego?

– To obcinanie głów... i te flety. To nie był mój pomysł. Wymyśliła to Gwenith Twomey.

– Nie ma znaczenia, jak zostali zamordowani! Ale zostali zamordowani i pan to zorganizował, dla pieniędzy! Dziś o mały włos sama nie zostałam ścięta i gdyby nie Michael Ó Doibhilin, leżałabym już bez głowy, martwa, z tym fletem tkwiącym w szyi! A Michael zginął, bo mnie ratował!

– Przykro mi. Lubilem go.

– O, pieprz się! Wcale ci nie jest przykro! Gdybyś żałował, nie organizowałbyś kolejnych zabójstw sygnalistów po tym, co spotkało O’Regana. Poddałbyś się i wyznał, co zrobiłeś, i padłbyś na swoje nędzne kolana i błagał, błagał na wszystko Boga, by się nad tobą zlitował!

MacCostagáin nagle cofnął się z fotelem.

– Nie! Masz rację! Wcale nie żałuję! Bo jak ten dobry Bóg mnie potraktował? Odebrał mi ukochaną żonę i zostawił samego jak palec! A jak potraktowali mnie w pracy? W przyszłym roku muszę przejść na emeryturę i dostanę miesięcznie tyle, że ledwie będę mógł związać koniec z końcem! Po wszystkich tych latach, kiedy tyrałem jak niewolnik... po wszystkich tych niepłaconych nadgodzinach... i tak, masz rację... tyle razy ryzykowałem życie, byłem ranny, nawet pchnięty nożem!

Wyszedł zza biurka. Stał przed Katie i dźgając ją palcem, krzyczał dalej:

– A ja bez względu na to, jak źle mnie tu traktowano, bez względu na to, ile musiałem znieść upokorzeń, zawsze byłem lojalny! Nigdy nie zawiodłem

kolegów, nigdy ich nie zdradziłem, nawet jeśli trochę naruszyli zasady. A potem pojawili się sygnaliści, mający w pogardzie jakąkolwiek solidarność, i teraz niewiele brakuje, a cała nasza instytucja się rozpadnie! Pamiętam czasy, kiedy funkcjonariusze Garda Síochána cieszyli się wielką estymą. Teraz wszyscy na nas plują i trudno się dziwić.

– Uknąłś zabicie pięciu niewinnych naszych ludzi, a na dodatek zabito jeszcze czterech innych, ochroniarza MacQuaida, detektywów Buckleya i O'Briena, i Michaela Ó Doibhilina. A z tego, co widziałam ostatnio, Douglas Quinn też nie pociągnie długo.

– I co ty z tym zrobisz, detektyw nadkomisarz Maguire? – warknął MacCostagáin, wracając do biurka i siadając.

Katie wzięła wdech.

– Denisie MacCostagáin, aresztuję pana za zabójstwa sierżantów Lacey'a i MacAuleya, a także funkcjonariuszy O'Regana, Ó Grádaigha i Wassana. Nie musi pan nic mówić, jeśli pan nie chce, ale cokolwiek pan powie, może zostać zapisane i dołączone do materiału dowodowego.

Denis MacCostagáin skinął głową.

– No to już, co? Moje życie się skończyło. Powinienem był wiedzieć pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem, że będziesz dla mnie śmiercią.

– Niech pan nie oczekuje współczucia z mojej strony, ani odrobiny. Niewiele brakowało, a to pan oznaczałby moją śmierć.

Rozdział 45

Katie wezwała nadkomisarza Pearse'a i detektywa inspektora Fitzpatricka. Przyszli do gabinetu komendanta MacCostagáina. Pojawiła się też Kyna. Stali, patrząc na niego w milczeniu, gdy Katie wyjaśniła tak prosto, jak to możliwe, że go aresztuje i dlaczego.

– Nie będę nic mówić – stwierdził Denis MacCostagáin. – Dzwonię po mojego prawnika, to wszystko, i do córki w Mallow.

Nadinspektor Pearse poprowadził go na dół do celi.

– Jedziesz teraz do domu? – spytała Katie Kyna, kiedy wyszli. – Powinnaś.

– Tak. Ale kiedy wezmę prysznic i przebiorę się, muszę poszukać ojca.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? Jesteś jeszcze w szoku.

– No pewnie. Mam wrażenie, że świat mi się zawalił, jeśli mam być szczerą. Ale dam sobie radę.

– Katie...

– Nie martw się. Żyję i odkryliśmy, kto mordował tych biednych sygnalistów, ale jest jeszcze mnóstwo do zrobienia i wolałabym, żebyś została tutaj. Robert, mógłbyś zorganizować przeszukanie mieszkania Seamusa i Gwenith Twomeyów? Douglasa Quinna też. Trzeba znaleźć kilka głów, a poza tym dużo więcej materiału dowodowego. Skontaktujemy się później.

Młody funkcjonariusz odwiózł Katie do domu. Próbował ją zagadywać, ale ona nadal była w szoku, potrafiła odpowiedzieć tylko „Tak”, „Nie” i „Tak myślę”. Po chwili dał jej spokój. Poczekał na nią przed domem, kiedy poszła wziąć szybki prysznic i przebrać się.

Barney i Foltchain ucieszyły się na jej widok, choć wahały podejrzliwie krew na jej kurtce i popatrywały na nią, jakby pytały, czy się czymś martwi.

– Nic mi nie będzie – zapewniła ich, czochrając im uszy. – Kiedy znajde waszego dziadka, wszystko będzie świetnie.

Rzeczywiście świetny dzień, jeśli aresztuję i swojego szefa, komendanta, i własnego ojca pod zarzutem zabójstwa, pomyślała. To największy koszmar, jaki mógłby mi się przyśnić, tyle że to się dzieje naprawdę.

Musiała wystąpić o nakaz aresztowania Viony Caffrey i Finbara Foleya, ale nie chciała tego robić, dopóki nie dostanie pełnego oświadczenia od ojca. Jeśli go nie znajdzie, to jedynym dowodem, jaki na nich miała, był sfałszowany testament. I to jedynie wtedy, jeśli uda się potwierdzić ekspertyzą, że jedno z nich go podrobiło.

Kiedy się umyła i włożyła gruby czarny sweter i dżinsy, funkcjonariusz podjechał z nią do terminalu promu i przeprawili się do Monkstown. Zapadał już zmierzch. Dopiero teraz zaczynała czuć zmęczenie i ból po szarpaninie i upadku. Siedząc w samochodzie, obserwowała zbliżające się wolno światła na brzegu i modliła się, żeby zastać ojca w domu.

Jej auto nadal stało zaparkowane na podjeździe, a po wejściu schodami na ganek stwierdziła, że drzwi frontowe nie są zamknięte. W środku żadne lampy nie były zapalone. Wołała ojca, lecz nikt nie odpowiadał.

Młody funkcjonariusz czekał na nią, kiedy wróciła na zewnątrz.

– Nie ma go w domu? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Może jego przyjaciółka Blaithin wie, gdzie jest. Pracuje w Roaring Donkey. Jak nie, to nie mam pomysłu, gdzie go szukać.

– Chce pani, żebym panią tam podwiózł?

– Nie, nie ma potrzeby, nie rób sobie kłopotu. Wracaj na komendę. Sama podjadę. Jeśli Blaithin nie miała od niego żadnej wiadomości, skontaktuję się z Middleton i zgłoszę zaginięcie.

– Jest pani pewna? Proszę wybaczyć, że to mówię, ale robi pani wrażenie dość zmęczonej.

Katie zdobyła się na uśmiech.

– Dzięki, ale dam sobie radę. Myślę, że zaraz złapię drugi wiatr. Albo nawet trzeci. I będę jak nowa.

* * *

Kiedy przeprowiała się promem z powrotem na Carrig View, pojechała Spy Hill na Midleton Street i zaparkowała przy pubie Roaring Donkey. W lokalu było gwarno, jasno, panowała wesoła atmosfera. Znalazła Blaithin w kuchni. Grillowała hamburgery. Skwierczał tłuszcz.

– Odzywał się do ciebie tata? – spytała głośno Katie, by tamta usłyszała ją przez hałas. – Nie ma go w domu i martwię się, że mi się zgubił.

Blaithin uniosła brwi i delikatnie dotknęła czubkami palców guza na czole Katie.

– Skąd to masz, dziewczyno? Ale śliwka.

– Potknęłam się i upadłam. Czy tata się do ciebie odzywał?

– Nie, dziś nie. Wieczorem się z nim zobaczę. Mam mu ugotować coś na kolację.

– Blaithin, on gdzieś przepadł. Nie ma go w domu i zostawił za sobą otwarte drzwi frontowe.

– O, znasz swojego tatę. Wiecznie gdzieś się włóczy. Jest teraz zdrow jak ryba i sprawny, ale czasami wszystko mu się miesza. Założę się, że jakbyś znów do niego zajrzała, to zastaniesz go już w domu.

Co miała mówić? „Blaithin, odkryłam, że jest mordercą. To on zastrzelił Jimmy’ego Ó Faoláina”.

Postanowiła, że na razie nic jej nie powie.

– Daj mi znać, jeśli miałabyś od niego jakieś wiadomości, dobrze? Masz numer mojej komórki, prawda?

– Zadzwoń. I nie martw się. Nic mu nie będzie. Jeżeli nie ma go w domu, to pewnie po prostu gdzieś się zasiedział, zobaczysz.

Katie ruszyła do domu. Myślała, żeby pojechać po Midleton, zajrzeć do Ensign Tavern i Bosun i sprawdzić, czy tam nie ma ojca, ale była zbyt zmęczona i rozedrgana. Po uderzeniu w głowę widziała wszystko jak przez mgłę. Kiedy tylko dotarła do siebie, zadzwoniła na posterunek w Midleton i zgłosiła zaginięcie ojca, choć nie wyjaśniła, co mogło być przyczyną tego, że zniknął.

Wysłała im mailem aktualne zdjęcie taty. Był na nim tak radosny, że oczy zaszczyły jej łzami.

* * *

Następnego dnia rano nadal nic nie było wiadomo o ojcu, mimo intensywnych poszukiwań służb lokalnych i zespołu z wydziału centralnego, specjalizującego się w sprawach osób zaginionych. Pojechała na komendę wcześniej z rana i nadrabiała zaległości od godziny, gdy w progu pojawił się detektyw inspektor Fitzpatrick.

– W nocy wszyscy zostali przyjęci zgodnie z procedurą – oznajmił. – Seamus i Gwenith Twomeyowie, i cały ten gang bandytów, w sumie trzydzieści trzy osoby. Twomeyowie są na dole w celach razem z jednym dupkiem, Brendanem Horganem. Najwyraźniej to on odcinał głowy. Zaprzeczył, by kiedykolwiek posiadał piłę łańcuchową, ale centrum ogrodnicze we Frankfield ma zanotowane, że niejaki Brendan Horgan dokupywał nowe łańcuchy do modelu Husqvarna czterysta pięćdziesiąt nie dalej jak pół roku temu. Bill Phinner bada teraz piłę, zbierając ślady DNA.

– A co z resztą?

– Niektórych zatrzymaliśmy za posiadanie narkotyków i noszenie noży. Reszta zostanie zwolniona warunkowo.

– A Denis MacCostagáin?

– Dziś ma przyjść do niego prawnik. Próbowałem z nim rozmawiać, nieformalnie, ale nie odzywa się słowem. Dobrze się składa, że jest tu James Gallagher z policji skarbowej. Będzie mógł przejrzeć rachunki MacCostagáina. Zobaczymy, ile kasy zarobił na zabójstwach sygnalistów.

– Matko Boska, niezły pasztet, co? Mathew McElvey mówi, że na drugą zwołuje konferencję prasową, a ja nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– Cieszę się, że to twoje zadanie, nie moje. Ale co możesz powiedzieć? W każdej skrzynce znajdzie się kilka robaczywych jabłek, zrobiliśmy jednak wszystko, co w naszej mocy, by się ich pozbyć.

Katie odchyliła się na oparcie fotela.

– Nie potrafię wyobrazić sobie, co teraz będzie. To może zatrząść w posadach całą instytucją.

– Pewnie szkoda, że tak późno.

Skinął w kierunku fletu leżącego na biurku Katie.

– Pamiątka? – zapytał.

Podniosła instrument i uśmiechnęła się cierpko do Fitzpatricka.

– Może powinnam nauczyć się na nim grać. Mogłabym zagrać od czasu do czasu *Motyła*, żeby przypominać sobie, jak niewiele brakowało, a straciłabym głowę.

* * *

Trzy dni później wypuszczono warunkowo Conora. Wrócił na Carrig View. Katie dostała tydzień zwolnienia lekarskiego, by dojść do siebie po doświadczeniach z Seamusem Twomeyem i jego gangiem, więc mogli z Conorem spędzić trochę czasu razem, nabrać sił w spokoju, spacerując z psami i robiąc sobie wycieczki do pubów pod miastem.

Dom i magazyn Seamusa Twomeya zostały przeszukane. Znalezione narkotyki warte ponad trzysta trzydzieści osiem tysięcy euro – heroinę, kokainę, narkotyki rekreacyjne i opioidy. Mieszkanie Gwenith też zrewidowano. I oprócz

niewielkiej ilości marihuany odkryto w nim upchnięte w zamrażarce odcięte głowy pięciu sygnalistów. Wszystkie zostały troskliwie i z szacunkiem popakowane i odesłane pogrążonym w żałobie rodzinom, żeby mogły pogrzebać swoich zmarłych w całości.

Nadal nic nie było wiadomo o ojcu Katie, mimo ponawianych apeli w mediach i w sieci. Choć eksperci Billa Phinnera ustalili ponad wszelką wątpliwość, że testament, w którym Jimmy Ó Faoláin zostawia cały majątek Vionie Caffrey, został sfałszowany, nie znaleźli na tym dokumencie nic, co by wskazywało, kto go podrobił. Był spisany na typowym, przeznaczonym do tego celu formularzu, który każdy mógł kupić w sklepie, a papier nie nosił żadnych śladów DNA.

Katie poprosiła detektywa O'Donovana, by wytropił miejsce pobytu Viony Caffrey i Finbara Foleya, lecz Foleya przynajmniej od tygodnia nie widziano już w jego domu szeregowym w Togher, a Viona w poniedziałek poleciała Ryanair'em do Genui i nie stawiała się na lot powrotny. W Ryanairze nikt nie miał pojęcia, gdzie jest.

* * *

– Jeśli mnie zamkną, poczekaś na mnie? – zapytał Conor, gdy trzymając się za rękę, spacerowali plażą w Garrettstown, na Old Head w Kinsale.

Psy pobiegły daleko naprzód. Foltchain raz po raz podskakiwała. Jej kosmate uszka fruwały w powietrzu. Barneyowi zdjęto już gips, ale nadal nie biegał płynnie i nie mógł jeszcze skakać.

– Jeśli przysięgniesz na Biblię, że nigdy więcej nic nie podpalisz – powiedziała Katie. – Przynajmniej póki nie skonsultujesz się ze mną.

– Kiedy się pobierzemy, będziesz nadal detektyw nadkomisarz Maguire, czy detektyw nadkomisarz Ó Máille?

– Możliwe, że w ogóle rzucę to w diabły i jako twoja utrzymanka będę sobie leżeć i pachnieć.

– Nie wyobrażam sobie tego. Nigdy w życiu. To nie w twojej naturze. Poza tym bardzo trudno byłoby mi cię rozpieszczać z moimi dochodami detektywa od zwierząt domowych.

– Mogę ci pomagać. Na Boga, mam dość doświadczenia w tropieniu.

Katie zatrzymała się na chwilę, nie puszczając jego dłoni. Morze skrzyło się srebrem, w górze skrzeczały mewy. To tutaj zatonąła *Lusitania*. W maju 1915 roku. Z 1198 pasażerami na pokładzie. Jej wrak leżał na dnie. Katie sama była już sekundy od śmierci i to pozostawiło w niej coś, czego nie umiała stłumić, tak jakby ponure bicie dzwonu w bezksiężycową noc. Mogła już teraz leżeć w trumnie, bez powietrza, w ciemności, zamiast spacerować na wietrze po plaży, wdychając zapach morza.

Telefon zagrał melodyjkę *Siúil A Rún*. Conor puścił jej rękę i poszedł naprzód, kiedy odbierała. Gwizdnął na Barneya i Foltchain, żeby wracały, nim znikną im z oczu.

Dzwonił detektyw O'Donovan.

– Znalaziono pani ojca – powiedział. – Został wyciągnięty z rzeki, przy przystani promu, jakieś dwie godziny temu. Ci z posterunku w Midleton zidentyfikowali go ze zdjęcia, które im pani przysłała.

– Dziękuję, Patrick.

Opuściła dłoń z telefonem i stała twarzą do wiatru wiejącego z południowego zachodu. Był porywisty i silny, tak mocny, że płynące z jej oczu łzy leciały w dal nad piaskiem.

Przypisy

¹ ISPCA, Irish Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Irlandzkie Stowarzyszenie Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt).

² *Pole* (ang.) – Polak; *pole* (ang.) – pręt, słupek.